

nocny

pociąg

do lizbony

pascal
mercier

noir
sur
blanc

PASCAL MERCIER

NOCNY POCIĄG DO LIZBONY

Przełożyła
Magdalena Jatowska

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Część pierwsza.

WYJAZD

Część druga.

SPOTKANIE

Część trzecia.

PRÓBA

Część czwarta.

POWRÓT

Przypisy

Tytuł oryginału: NACHTZUG NACH LISSABON

Opracowanie redakcyjne: BARBARA TARNAS

Korekta: ELŻBIETA JAROSZUK, BEATA WYRZYKOWSKA

Fotografia na okładce: © TOSHI SASAKI/amanaimages/Corbis/Fotochannels

Projekt okładki: Witold Siemaszkiewicz

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © Carl Hanser Verlag München Wien 2004

For the Polish edition

Copyright © 2015, Noir sur Blanc, Warszawa

Na przekład książki subwencji udzieliła

Szwajcarska Fundacja dla Kultury Pro Helvetia

szwajcarska fundacja dla kultury

prohelvetia

ISBN 978-83-7392-539-7

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Nuestras vidas son los ríos
que van a dar en la mar,
qu'es el morir

Jorge Manrique

Nous sommes tous de lopins et d'une contexture si informe et diverse, que chaque pièce, chaque momant, fait son jeu. Et se trouve autant de différence de nous à nous mesmes, que de nous à autrui.

Wszyscy jesteśmy jakoby strzępki, i to tak niekształtnej i rozmaitej tkaniny, że każdy kawałek, każda chwila mają inny deseń. Jednakie zachodzą zmiany między nami a nami samymi, co między nami a kim innym.

Michel de Montaigne, *Próby*, Księga druga, rozdział 1, przeł. Tadeusz Żeleński (Boy), Warszawa 1985

Cada um de nós é varios, é muitos, é uma prolixidade de si mesmos. Por isso aquele que despreza o ambiente não é o mesmo que dele se alegra ou padece. Na vasta colónia do nosso ser há gente de muitas espécies, pensando é sentindo diferentemente.

Każdy z nas to gromada rozmaitych postaci, obfitość samego siebie. Dlatego ten, kto gardzi otoczeniem, nie jest tym samym, który – w jego osobie – cieszy się tym otoczeniem albo się nim męczy. Rozległą kolonię naszego bycia zamieszkują różnego rodzaju ludzie odmiennie myślący i czujący.

Fernando Pessoa, *LIVRO DO DESASSOSSEGO*, Księga niepokoju, zapis z 30.12.1932, przeł. Michał Lipszyc, „Świat Literacki” 2007

Część pierwsza

Wyjazd

1 Dzień, w którym nic nie miało się odbyć tak samo jak dawniej w życiu Raimunda Gregoriusa, zaczął się tak jak niezliczone inne dni. Za kwadrans ósma Gregorius nadszedł od strony Bundesterrasse i wkroczył na most Kirchenfeld, prowadzący z centrum miasta do gimnazjum. Robił tak w każdy dzień szkolny, zawsze za kwadrans ósma. Kiedy pewnego dnia most został zamknięty, w rezultacie Gregorius pomylił się na lekcji greki. To nie zdarzyło się nigdy przedtem ani nigdy potem. W całej szkole mówiono tego dnia tylko o tej pomyłce. Im dłużej trwała dyskusja, tym więcej osób uznawało, że się przesłyszały. Wreszcie przekonanie to zwyciężyło także wśród uczniów, którzy byli świadkami zajęcia. Było po prostu nie do pomyślenia, by Mundus, jak go wszyscy nazywali, pomylił się na lekcji greki, łaciny lub hebrajskiego.

Gregorius spojrział na wprost na strzeliste wieże Muzeum Historycznego miasta Berno, w górę na wzgórze Gurten oraz w dół na Aare i jej lodowcowo zielone wody. Porywisty wiatr pędzący wiszące nisko na niebie chmury szarpnął za parasol Gregoriusa i chlusnął mu deszczem w twarz. Wtedy Gregorius dostrzegł kobietę stojącą na środku mostu. Oparła łokcie o barierkę i nie zważając na ulewę, czytała coś, co wyglądało jak list. Musiała przytrzymywać kartkę obiema dłońmi. Gdy podszedł bliżej, zniecierpliwiona zmiała papier w kulę i mocnym ruchem rzuciła ją przed siebie. Gregorius bezwiednie przyspieszył i teraz był oddalony od kobiety zaledwie o kilka kroków. Na jej bladej, mokrej od deszczu twarzy widział gniew. Nie był to gniew, jaki mógłby się wyładować w głośnych słowach, a potem wywietrzeć, lecz zacięty, skierowany do wewnątrz gniew, który już długo musiał się w niej żarzyć. Kobieta oparła się na wyprostowanych ramionach o barierkę, a jej pięty wysunęły się z pantofli. *Zaraz skoczy.* Gregorius zostawił parasol podmuchom wiatru, które porwały go poza barierkę mostu, rzucił na ziemię teczkę pełną szkolnych zeszytów i wykrzyknął serię przekleństw, które nie należały do jego zwykłego słownictwa. Teczka otworzyła się, a zawartość wypadła na mokry asfalt.

Kobieta odwróciła się. Przez kilka chwil obserwowała bez ruchu, jak zeszyty ciemniejają od wody. Potem wyjęła z kieszeni płaszcz pisak, podeszła dwa kroki, pochyliła się nad Gregoriusem i napisała mu na czole szereg cyfr.

– Przepraszam pana – zadyszana powiedziała po francusku, z obcym akcentem. – Nie mogę zapomnieć tego numeru telefonu, a nie mam przy sobie kartki.

Teraz spojrzała na swoje dłonie, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu.

– Oczywiście mogłam też... – I oto, zerkając raz na czoło Gregoriusa, raz na swoją dłoń, zapisała numer na wierzchu dłoni. – Ja... nie chciałam go zachować, chciałam o wszystkim zapomnieć, ale gdy ujrzałam, jak list wpada do wody... musiałam zapisać ten numer.

Krople deszczu na grubych szklach okularów zasłaniały Gregoriusowi widok, macał więc niezręcznie rękoma, szukając mokrych zeszytów. Wydało mu się, że czubek pisaka ponownie przejechał mu po czole. Potem zauważył jednak, że był to palec kobiety, która próbowała zmazać cyfry chusteczką.

– Narzucam się, wiem... – Zaczęła pomagać Gregoriusowi zbierać zeszyty. Przypadkiem dotknął jej dłoni i kolana, a gdy oboje jednocześnie sięgnęli po ostatni zeszyt, zderzyli się głowami.

– Bardzo dziękuję – powiedział, kiedy stanęli naprzeciw siebie. Wskazał na jej czoło. – Bardzo boli?

Zamyślona, ze spuszczonego wzrokiem, pokręciła przecząco głową. Deszcz moczył jej włosy i spływał po twarzy.

– Czy mogę przejść się z panem kilka kroków?

– E... tak, oczywiście – wyjąkał Gregorius.

W milczeniu poszli razem do końca mostu i dalej, w kierunku szkoły. Poczucie czasu mówiło Gregoriusowi, że jest po ósmej i pierwsza lekcja już się zaczęła. Jak daleko oznacza „kilka kroków”? Kobieta dostosowała się do jego tempa i szła obok, jakby mieli tak iść przez cały dzień. Postawiła szeroki kołnierz płaszcz tak wysoko, że z boku Gregorius widział tylko jej czoło.

– Idę w tamtą stronę, do gimnazjum – powiedział i zatrzymał się. – Jestem nauczycielem.

– Czy mogę pójść z panem? – spytała cicho.

Gregorius zawahał się i przejechał rękawem po mokrych okularach. – W każdym razie będzie tam sucho – powiedział w końcu.

Weszli po schodach, Gregorius przytrzymał przed nią drzwi, a potem stanęli w holu, który po rozpoczęciu lekcji wydawał się wyjątkowo pusty i cichy. Ich płaszcze ociekały wodą.

– Proszę tu poczekać – powiedział Gregorius i poszedł do toalety, by przynieść ręcznik.

Przed lustrem wytarł okulary i osuszył twarz. Cyfry na czole nadal były widoczne. Przytrzymał róg ręcznika pod strumieniem ciepłej wody i właśnie miał potrzebę skóry, gdy zatrzymał się w połowie ruchu. *To była chwila, która zdecydowała o wszystkim*, pomyślał, gdy kilka godzin później wspominał całe wydarzenie. Nagle bowiem uświadomił sobie, że wcale *nie chce zetrzeć śladu* spotkania z zagadkową kobietą.

Wyobraził sobie, jak wejdzie do klasy z numerem telefonu na czole, on, Mundus, najbardziej przewidywalny i obliczalny człowiek w tym budynku, a prawdopodobnie w całej historii szkoły, pracujący tu od ponad trzydziestu lat, który nigdy nie dopuścił się żadnych uchybień, podpora całej instytucji, może nieco nudny, ale poważany i szanowany nawet na uniwersytecie z powodu zdumiewającej znajomości języków klasycznych, obiekt serdecznych żartów uczniów, którzy co roku na nowo wystawiali go na próbę, dzwoniąc w środku nocy i pytając o koniunkturę mało znanego fragmentu starożytnego tekstu tylko po to, by za każdym razem otrzymać natychmiast suchą i wyczerpującą odpowiedź, zawierającą również krytyczny komentarz do innych teorii na ten temat, wszystko w jednym potoku słów i wypowiedziane spokojnie, bez śladu zagniewania z powodu zakłócania mu odpoczynku – po prostu Mundus, człowiek o niemożliwie staromodnym, niemal starożytnym imieniu, które wręcz *musiano* skracać i nie *można* było skrócić go inaczej niż w ten sposób, przezwisko jak żadne inne słowo rzucało światło na jego istotę, gdyż jako filolog nosił w sobie rzeczywiście nie mniej, tylko cały świat, lub raczej wiele całych światów,

ponieważ oprócz wszystkich fragmentów tekstów łacińskich i greckich znał na pamięć także hebrajskie, czym zadziwił już kilku profesorów specjalizujących się w Starym Testamencie. *Jeśli chcecie zobaczyć prawdziwego uczonego*, zwykł mawiać rektor, gdy przedstawiał go nowej klasie, *oto on*.

I ten uczone, myślał teraz Gregorius, ten rzeczowy człowiek, który wydawał się składać wyłącznie z martwych słów i który był przezywany *Papirusem* przez kolegów zazdroszczących mu popularności – ów uczone wejdzie do klasy z numerem telefonu na czole, zapisanym przez zrozpaczoną, najwyraźniej wahającą się między wściekłością a miłością kobietę, kobietę w czerwonym skórzanym płaszczu, mówiącą z czarownie miękkim, południowym akcentem, brzęącym niczym przeciągnięty w nieskończoność szept, który ze słuchającego czynił jej współnika.

Gdy Gregorius przyniósł ręcznik, kobieta wsunęła grzebień między zęby i wytarła długie, czarne włosy leżące na kołnierzu płaszcza niczym w misie. W holu pojawił się dozorca, który dostrzegłszy Gregoriusa, rzucił zdumione spojrzenie na zegar nad wejściem, a potem na zegarek na ręce. Gregorius skinął mu głową jak zawsze. Mijająca ich pospiesznie uczennica dwukrotnie obróciła się w biegu, po czym pobiegła dalej.

– Nauczam tam – powiedział Gregorius do kobiety i wskazał przez okno na drugą część budynku. Mijały sekundy. Poczł bicia serca. – Chce pani iść ze mną?

Gregorius nie mógł później uwierzyć, że naprawdę to powiedział, musiał jednak tak zrobić, ponieważ poszli razem do klasy. Słyszał pisk swoich gumowych podeszew na linoleum i stukanie obcasów kroczącej obok kobiety.

– Jaki jest pani ojczysty język? – zapytał.

– *Português* – odparła.

O, które ku jego zaskoczeniu wymawiała jak *u*, wznoszące się, dziwnie ściśnięte, czyste *ê* oraz miękkie *sz* na końcu słowa złożyły się w uszach Gregoriusa w melodię, która rozbrzmiewała znacznie dłużej niż w rzeczywistości i której najchętniej słuchałby cały dzień.

– Proszę zaczekać – powiedział, wyjął z marynarki notatnik i wyrwał kartkę. – Do zapisania numeru.

Trzymał już dłoń na klamce, gdy poprosił ją, by jeszcze raz wypowiedziała to słowo. Powtórzyła je i po raz pierwszy zobaczył, jak się uśmiecha.

Gdy weszli do klasy, natychmiast urwały się rozmowy. Pomieszczenie wypełniła cisza wyrażająca całkowite zdumienie. Później Gregorius przypominał sobie dokładnie, że cieszyła go ta pełna zaskoczenia cisza, to milczące niedowierzanie przebijające z każdej twarzy, i cieszyła go własna radość, że jest zdolny do odczuć, o jakie siebie nie podejrzewał.

Co się dzieje? To pytanie kryło się w każdym z ponad dwudziestu spojrzeń skierowanych na niezwykłą parę w drzwiach, na Mundusa, który z mokrą łysiną i w ciemnym od deszczu płaszczu stał obok pospiesznie uczesanej kobiety z pobladłą twarzą.

– Może tam? – powiedział Gregorius i wskazał jej puste krzesło w rogu z tyłu sali. Potem stanął z przodu, przywitał się jak zwykle z uczniami i usiadł za biurkiem. Nie miał pojęcia, jak powinien się wytłumaczyć, zadał więc po prostu dalszą pracę nad tekstem, który właśnie omawiali. Ćwiczenie posuwało się powoli, a Gregorius co chwila napotykał zaciekawione spojrzenie. Zdarzały się też spojrzenia zdeorientowane, ponieważ on – on, Mundus, który nawet we śnie wychwytywał każdy błąd – przymykał oczy na liczne usterki, niedokładności i nieporadne sformułowania.

Udało mu się utrzymać wrażenie, że nie zerka na kobietę. A jednak widział ją w każdej chwili, widział mokre pasma włosów, które odgarniała z twarzy, zaciśnięte białe dłonie i nieobecne, zagubione spojrzenie skierowane w stronę okna. W pewnym momencie kobieta wyjęła kartkę i zanotowała numer telefonu. Potem na powrót oparła się na krześle i wyglądała tak, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje.

Sytuacja była nieznośna i Gregorius spoglądał na zegarek – jeszcze dziesięć minut do przerwy. Wtedy kobieta wstała i cicho podeszła do drzwi. Na progu odwróciła się do niego i przyłożyła palec do ust. Skinął głową, a ona z uśmiechem powtórzyła gest. Potem drzwi zamknęły się z lekkim trzaskiem.

Od tej chwili Gregorius przestał słyszeć, co mówią uczniowie. Miał wrażenie, jakby został całkiem sam, otoczony ogłuszającą ciszą. Znalazł się przy oknie i podążał wzrokiem za czerwoną kobiecą sylwetką, aż zniknęła za rogiem budynku. Poczuł w sobie echo wysiłku, na który musiał się zdobyć, by za nią nie pobiec. Wciąż widział przyłożony do ust palec, który mógł znaczyć tak wiele: *Nie chcę przeszkadzać* i *To będzie nasza tajemnica*, ale także *Niech mi pan pozwoli odejść, dalszego ciągu nie będzie*.

Gdy zabrzmiał dzwonek na przerwę, Gregorius nadal stał przy oknie. Za jego plecami uczniowie niezwykle cicho wychodzili z sali. Później i on wyszedł, tylnymi drzwiami opuścił szkolny budynek i usiadł po drugiej stronie ulicy w bibliotece, gdzie nikt nie mógł go szukać.

Na drugiej lekcji zjawił się punktualnie jak zawsze. Wcześniej starł cyfry z czoła, po chwili wahania zapisał je w notatniku i osuszył wąskie pasmo siwych włosów. Jedynie wilgotne plamy na marynarce i spodniach zdradzały jeszcze, że zdarzyło się coś niezwykłego. Wyjął z teczki stos przemoczonych zeszytów.

– Przykry wypadek – powiedział po prostu. – Potknąłem się i wypadły na deszcz. Poprawki powinny być jednak czytelne, w przeciwnym razie musicie popracować z koniekturami.

Takiego go znali i po klasie przeszła słyszalna fala ulgi. Od czasu do czasu chwycił jeszcze zaciekawione spojrzenie, a w głosach niektórych uczniów pobrzmiwały resztki onieśmienia. Poza tym wszystko było jak dawniej. Wypisał najczęstsze błędy na tablicy. Potem polecił uczniom pracować w ciszy.

Czy to, co zaszło w nim w ciągu następnego kwadransa, można nazwać podjęciem decyzji? Później Gregorius często zadawał sobie to pytanie i nigdy nie miał pewności. Lecz jeśli nie była to decyzja, to co?

Zaczęło się od tego, że nagle spojrzął na pochylonych nad zeszytami uczniów, jakby widział ich po raz pierwszy.

Lucien von Graffenried, który podczas dorocznego turnieju szachowego w auli, kiedy to Gregorius grał jednocześnie przeciw dwunastu uczniom, po kryjomu przesunął figurę. Po wykonaniu ruchów na pozostałych szachownicach Gregorius stanął ponownie przed nim. Natychmiast zauważył zmianę. Spojrzął spokojnie na Luciena. Płonąca czerwień pokryła

policzki chłopaka. „Nie musisz tego robić”, powiedział Gregorius i postarał się, by partia zakończyła się remisem.

Sarah Winter, która o drugiej nad ranem stanęła przed drzwiami jego mieszkania, bo nie wiedziała, co począć z niechcianą ciążą. Zaparzył herbatę i słuchał, tylko tyle. „Tak się cieszę, że poszłam za pańską radą – powiedziała tydzień później. – Było dla mnie o wiele za wcześnie na dziecko”.

Beatrice Lüscher, o równomiernym, kanciastym charakterze pisma, która pod ciężarem niezmiennie najlepszych stopni starzała się przerażająco szybko. Rene Zingg, nieustannie zagrożony oblaniami.

I oczywiście Natalie Rubin. Dziewczyna, która rzadko okazywała komuś względy i zachowywała się nieco jak dworska panna z minionych stuleci, zdystansowana, czarująca i budząca lęk z powodu ciętego języka. W zeszłym tygodniu, gdy rozległ się dzwonek na przerwę, wstała, przeciągnęła się jak ktoś, kto dobrze czuje się w swoim ciele, i wyjęła z kieszeni spódnicy cukierka. Idąc do drzwi, zdjęła papieraek, by włożyć cukierek do buzi. Ledwo jednak dotknęła nim ust, zatrzymała się, obróciła, wysunęła w stronę Gregoriusa jaskrawoczerwony cukierek i spytała: „Chce pan?”. Ubawiona jego zdumieniem roześmiała się swym wyjątkowym, jasnym śmiechem i celowo przesunęła dłonią po jego dłoni.

Gregorius myślał o wszystkich po kolei. Początkowo sądził, że podsumowuje tylko swoje odczucia wobec nich. Ale gdy doszedł do środkowych ławek, stwierdził, że coraz częściej myśli: *Ileż życia mają jeszcze przed sobą, jakże otwarta jest ich przyszłość, jak wiele może się im przydarzyć, jak wiele mogą jeszcze doświadczyć!*

Português. Przypomniawszy sobie melodię tego słowa i twarz kobiety z zamkniętymi oczami, wyłaniającą się zza ręcznika, białą jak alabaster. Po raz ostatni powiódł spojrzeniem ponad głowami uczniów. Potem powoli wstał, podszedł do drzwi, zdjął z wieszaka mokry płaszcz i nie odwracając się, wyszedł z sali.

Teczka z książkami, które towarzyszyły mu przez całe życie, została na biurku. U szczytu schodów Gregorius zatrzymał się i pomyślał o tym, jak raz na kilka lat oddawał książki do ponownego oprawienia, zawsze w tym samym zakładzie, gdzie śmiano się z wytartych, miękkich stron, które

w dotyku przypominały już bibułę. Dopóki teczka zostanie na biurku, uczniowie będą myśleć, że Gregorius wróci. Ale nie zostawił książek z tego powodu, a teraz walczył z pokusą, by po nie wrócić. Skoro ma odejść, musi odejść także od tych książek. Czuł to bardzo wyraźnie, nawet jeśli w tej chwili, w drodze do wyjścia, nie miał pojęcia, co właściwie znaczy „odejść”.

W holu jego wzrok padł na małą kałużę, która utworzyła się, gdy kobieta w mokrym płaszczu czekała, aż on przyjdzie z łazienki. Był to ślad przybysza z innego, odległego świata i Gregorius spoglądał na niego z szacunkiem, jaki odczuwał wobec znalezisk archeologicznych. Dopiero gdy usłyszał szuranie dozorczy, otrząsnął się i szybko opuścił budynek.

Nie oglądając się, dotarł aż na róg, skąd niezauważony mógł spojrzeć za siebie. Nagle z wielką mocą, o którą siebie nie podejrzewał, poczuł, jak bardzo kochał ten budynek i wszystko to, co symbolizował, i jak bardzo będzie za nim tęsknił. Policzył, że po raz pierwszy wkroczył do niego przed czterdziestoma dwoma laty jako piętnastoletni gimnazjalista wahający się między radością i niepokojem. Cztery lata później opuścił szkołę ze świadectwem dojrzałości w ręku tylko po to, by po następnych czterech latach wrócić jako zastępca nauczyciela greki, któremu zdarzył się wypadek, a który swego czasu otworzył przed nim bramy antyku. Ze studenta na zastępstwie stał się kontynuującym studia stałym wykładowcą, który miał już trzydzieści trzy lata, gdy wreszcie zdał końcowe egzaminy na uniwersytecie.

Zrobił to wyłącznie dlatego, że Florence, jego żona, naciskała. Nigdy nie rozważał pisania doktoratu, a gdy go o to pytano, tylko się uśmiechał. Na takich rzeczach mu nie zależało. Zależało mu za to na czymś bardzo prostym – by poznać starożytne teksty w każdym szczególe, w każdym gramatycznym i stylistycznym detalu, i aby wiedzieć, jakie jest pochodzenie każdego wyrażenia. Innymi słowy, aby być *dobrym*. Nie wynikało to ze skromności – wobec samego siebie był bardzo wymagający. Nie chodziło też o dziwactwo czy wypaczoną formę próżności. Był to raczej, jak zdarzało mu się później myśleć, cichy gniew skierowany przeciwko światu waśniaków, niezłomny upór, którym chciał się zemścić na gronie pozerów. Przez takich pozerów cierpiał całe życie jego ojciec, który został tylko muzealnym strażnikiem. To, że inni, umiejący znacznie

mniej niż Gregorius – śmiesznie mało, prawdę mówiąc – zdawali egzaminy i otrzymywali stałe posady, stwarzało wrażenie, jakby należeli do odmiennego, nieznośnie powierzchownego świata norm, dla których on żywił jedynie pogardę. W szkole nikomu nie przyszłoby do głowy, by go zwolnić i zastąpić kimś bardziej utytułowanym. Rektor, z wykształcenia także filolog klasyczny, wiedział, jak dobry był Gregorius – znacznie lepszy niż on sam – i wiedział, że uczniowie by protestowali. Egzaminy, gdy je w końcu zdał, wydały się Gregoriusowi śmiesznie łatwe, skończył pisać w połowie przewidzianego czasu. Zawsze miał nieco za złe Florence, że zmusiła go do porzucenia uporu.

Odwrócił się i poszedł powoli w stronę mostu Kirchenfeld. Gdy most znalazł się w zasięgu jego wzroku, Gregoriusa ogarnęło niezwykle, równie niepokojące co wyzwajające uczucie, że w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat po raz pierwszy naprawdę bierze życie w swoje ręce.

2 Przystanął w miejscu, gdzie wcześniej w ulewnym deszczu kobieta czytała list, i spojrział w dół. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak głęboko można było stąd spaść. Czy naprawdę chciała skoczyć? A może ogarnął go przedwczesny lęk, związany z tym, że brat Florence również skoczył z mostu? Poza tym, że jej ojczystym językiem był portugalski, nie wiedział o kobiecie nic. Nie znał nawet jej imienia. Oczywiście nie miało sensu wypatrywanie zmiętego listu z tej wysokości. Pomimo to szukał go, aż z wysiłku oczy zaszły mu łzami. Czy ten ciemny punkt to jego parasol? Sięgnął do kieszeni i upewnił się, że ma przy sobie notatnik z numerem telefonu, który zapisała mu na czole bezimienna Portugalka. Potem doszedł do końca mostu, niepewny, dokąd się skierować. Właśnie uciekał od swojego dotychczasowego życia. Czy ktoś, kto zamierzał zrobić coś takiego, mógł po prostu pójść do domu?

Spojrzenie Gregoriusa padło na hotel Bellevue, najstarszy i najszacowniejszy hotel w mieście. Mijał go tysiące razy, nie wchodząc do środka. Zawsze jednak czuł, że hotel tam jest i, jak pomyślał teraz,

w nieokreślony sposób było to dla niego ważne. Zaniepokoiłby się, gdyby odkrył, że budynek zburzono albo że przestał być hotelem – czy też tym właśnie hotelem. Mimo to nigdy nie przyszło mu do głowy, że on, Mundus, miałby tam czegoś szukać. Teraz z ociąganiem podszedł do wejścia. Przed nim zatrzymał się bentley, z którego wysiadł szofer i wszedł do hotelu. Gdy Gregorius podążył za nim, uczynił to z uczuciem, że robi coś zupełnie rewolucyjnego, i wręcz zakazanego.

Foyer z kopułą z kolorowego szkła było puste, a dywan tłumił wszelkie odgłosy. Gregorius cieszył się, że deszcz ustał i jego płaszcz nie ocieka wodą. Poszedł dalej w swoich ciężkich, wykoślawionych butach i wkroczył do sali jadalnej. Tylko dwa z nakrytych do śniadania stolików były zajęte. Ciche dźwięki divertimento Mozarta sprawiały wrażenie, że goście znajdują się z dala od wszystkiego, co głośnie, brzydkie i dokuczliwe. Gregorius zdjął płaszcz i usiadł przy stole pod oknem. Nie, poinformował kelnera w jasnobieżowej marynarce, nie jest hotelowym gościem. Poczuł, jak tamten mierzy go wzrokiem – zwyczajny golf, znoszona marynarka ze skórzanymi łatami na łokciach, wypchane sztruksowe spodnie, wąskie pasmo włosów wokół potężnej łysiny, siwiejąca broda w białe ciapki nadające mu zaniedbany wygląd. Gdy kelner odszedł, przyjąwszy zamówienie, Gregorius niespokojnie sprawdził, czy ma przy sobie dość pieniędzy. Potem oparł łokcie na wykrochmalonym obrusie i popatrzył na most.

Nie miało sensu żywić nadziei, że kobieta pojawi się tam ponownie. Wróciła przez most i zniknęła w jednej z uliczek starego miasta. Widział ją w wyobraźni, jak siedzi z tyłu klasy i nieobecny spojrzeniem wygląda przez okno. Widział, jak zaciska białe dłonie. I ponownie zobaczył, jak jej alabastrowa twarz wyłania się zza ręcznika, delikatna, ze śladami wyczerpania. *Português*. Z ociąganiem wyjął notes i spojrzął na numer telefonu. Kelner podał mu śniadanie i kawę w srebrnym dzbanku. Gregorius pozwolił, by wystygła. Nagle wstał i ruszył do telefonu. W połowie drogi zawrócił i skierował się ponownie do stolika. Zapłacił za nietknięte śniadanie, po czym opuścił hotel.

Minęło wiele lat, odkąd Gregorius ostatni raz odwiedził hiszpańską księgarnię przy Hirschengraben. Wcześniej czasami odbierał tam dla Florence książki, których potrzebowała do pracy doktorskiej o San Juanie de la Cruz. Niekiedy przeglądał je w autobusie, ale w domu nigdy ich nie

dotykał. Hiszpański – to było jej terytorium. Język przypominał łacinę, a jednak był całkiem inny niż łacina, i to mu przeszkadzało. Gregoriusa irytowało, że słowa, w których tak bardzo przebijała się łacina, wychodziły z ust współczesnych ludzi – na ulicy, w supermarkecie, w kawiarni. Że używano ich, by zamówić colę, targować się i przeklinać. Trudno mu było znieść tę myśl, a gdy się zjawiała, szybko i zdecydowanie odsuwał ją od siebie. Oczywiście Rzymianie także się targowali i przeklinali. Ale to było co innego. Uwielbiał łacińskie zdania, ponieważ miały w sobie spokój przeszłości. Ponieważ nie zmuszały, by na nie odpowiedzieć. Ponieważ stanowiły język niedotyczący rozmów. I ponieważ w swej niewzruszoności były piękne. Martwe języki – ludzie, którzy tak je nazywali, nie mieli o nich pojęcia, naprawdę nie mieli zielonego pojęcia, a Gregorius potrafił być twardy i nieugięty w swej pogardzie wobec takich ludzi. Gdy Florence rozmawiała przez telefon po hiszpańsku, zamykał drzwi. To ją raniło, a on nie potrafił jej tego wytłumaczyć.

W księgarni pachniało cudownie starą skórą i kurzem. Właściciel, starszy mężczyzna, o którego znajomości języków romańskich krążyły legendy, zajmował się czymś na zapleczu. W księgarni było pusto, przebywała w niej tylko młoda kobieta, z wyglądu studentka. Siedziała w rogu przy stole i czytała ciekawą książkę w poźółkłej oprawie. Gregorius wolałby być sam. Bez świadków łatwiej zniósłby uczucie, że znalazł się tu tylko dlatego, że nie mógł zapomnieć melodii portugalskiego słowa, a może także dlatego, że nie wiedział, dokąd miałby pójść. Przeszedł wzdłuż regału, nie oglądając żadnej z książek. Od czasu do czasu przytrzymał okulary, by przeczytać tytuł na wyższej półce, ledwo jednak go przeczytał, tytuł zaraz wylatywał mu z głowy. Tak jak już wiele razy, Gregorius został sam ze swoimi myślami, a jego umysł zamknął się na świat zewnętrzny.

Gdy otworzyły się drzwi, obrócił się szybko i rozczarowany, że to tylko listonosz, stwierdził, iż wbrew postanowieniu i wszelkiemu rozsądkowi czekał jednak na Portugalikę. Studentka zamknęła książkę i wstała, ale zamiast odłożyć tom do pozostałych leżących na stole, nadal wpatrywała się w szare okładki, pogłaskała je i dopiero po kilku chwilach odłożyła książkę tak delikatnie i ostrożnie, jakby kartki mogły rozsypać się w pył przy gwałtownym poruszeniu. Dziewczyna stała jeszcze chwilę przy stole i wyglądało na to, że może zmienić zdanie i jednak kupi książkę. Potem

wyszła z rękoma w kieszeniach i ze spuszczoną głową. Gregorius wziął książkę w dłonie i przeczytał: AMADEU INÁCIO DE ALMEIDA PRADO, UM OURIVES DAS PALAVRAS, LISBOA 1975.

Nadszedł księgarz, rzucił okiem na tom i przeczytał tytuł. Gregorius usłyszał tylko potok syczących dźwięków, połykane, ledwo słyszalne samogłoski zdawały się wyłącznie pretekstem, by na końcu wyrazów powtarzać szumiące sz.

– Czy zna pan portugalski?

Gregorius pokręcił głową.

– To znaczy *Złotnik słów*. Czyż to nie piękny tytuł?

– Spokojny i elegancki. Jak matowe srebro. Czy mógłby pan powtórzyć go po portugalsku?

Księgarz ponownie wymówił melodyjne słowa. Można było usłyszeć, że rozkoszuje się ich aksamitnym brzmieniem. Gregorius otworzył książkę i przekartkował do miejsca, gdzie zaczynał się tekst. Podał tom sprzedawcy, który rzucił mu zdumione, ale przyjazne spojrzenie i zaczął czytać. Gregorius, słuchając, zamknął oczy. Po kilku zdaniach księgarz przerwał.

– Czy mam przetłumaczyć?

Gregorius skinął głową. I usłyszał słowa, które wywarły na nim oszałamiające wrażenie, ponieważ brzmiały tak, jakby zostały napisane tylko dla niego, i to nie tylko dla niego, ale dla niego w to właśnie przedpołudnie, które wszystko zmieniło.

Z tysiący doświadczeń, które zbieramy, najwyżej jedno wyrażamy w słowach, a i to tylko przypadkowo i bez staranności, na którą zasługuje. Wśród wszystkich tych niemych doświadczeń kryją się te, które niezauważenie nadają naszemu życiu formę, barwę i melodię. Gdy zaś jako archeologowie duszy zwracamy się ku tym skarbom, odkrywamy, jak są zagmatwane. Przedmiot obserwacji nie trwa nieruchomo, słowa mijają się z przeżyciami i w rezultacie widzimy na papierze same sprzeczności. Długo czas wierzyłem, że to ułomność, coś, co należy pokonać. Dziś sądzę, że jest

inaczej: że zaakceptowanie chaosu to królewski trakt prowadzący do zrozumienia tych znanych, a jednak zagadkowych doświadczeń. Wiem, brzmi to dziwnie, a nawet dziwacznie. Ale odkąd w ten sposób patrzę na tę kwestię, mam wrażenie, że po raz pierwszy jestem prawdziwie skoncentrowany i żyję pełnią życia.

– To wstęp – powiedział księgarz i zaczął przerzucać kartki. – A w kolejnych rozdziałach, jak się zdaje, autor zaczyna sięgać ku owym ukrytym przeżyciom. Jako archeolog odkrywający samego siebie. Niektóre rozdziały mają wiele stron, inne z kolei są bardzo krótkie. Tutaj na przykład jest taki, który składa się z pojedynczego zdania. – Przetłumaczył:

Jeśli naprawdę jest tak, że możemy przeżyć tylko małą część tego, co się w nas znajduje – co dzieje się z resztą?

– Chciałbym kupić tę książkę – powiedział Gregorius.

Księgarz zamknął tom i przejechał dłonią po okładce w taki sam delikatny sposób, jak wcześniej studentka.

– Znalazłem ją w zeszłym roku w pudle z tanią książką w antykwariacie w Lizbonie. I teraz sobie przypominam: wziąłem ją, bo spodobał mi się wstęp. Potem o niej zapomniałem. – Spojrzał na Gregoriusa, który gorączkowo szukał portfela. – Podaruję ją panu.

– To... – zaczął Gregorius zachrypłe i odchrząknął.

– I tak kosztowała tyle co nic – powiedział księgarz i podał mu książkę. – Teraz sobie pana przypominam – San Juan de la Cruz. Zgadza się?

– Czytała go moja żona – powiedział Gregorius.

– A zatem jest pan filologiem klasycznym z Kirchenfeld, wspominała o panu. Potem słyszałem kogoś jeszcze, jak o panu opowiadał. Brzmiało to tak, jakby pan był chodzącą encyklopedią. – Roześmiał się. – Niezwykle lubianą encyklopedią.

Gregorius włożył książkę do kieszeni płaszcza i podał mężczyźnie dłoń.
– Bardzo dziękuję.

Księgarz odprowadził go do drzwi. – Mam nadzieję, że pana nie...

– W żadnym wypadku – odparł Gregorius, dotykając jego ramienia.

Na Bubenbergplatz Gregorius przystanął i powiódł wzrokiem dookoła. Spędził tu całe życie, znał wszystko wokół i czuł się tu jak w domu. To ważne dla kogoś tak krótkowzrocznego jak on. Dla kogoś takiego miasto, w którym żył, było jak obudowa, zamieszкана jaskinia, bezpieczna konstrukcja. Wszystko inne oznaczało niebezpieczeństwo. Tylko ktoś noszący tak samo grube szkła jak Gregorius mógł to zrozumieć. Florence nie rozumiała. I może z tego samego powodu nie rozumiała, dlaczego nie lubi latać. Wsiąść do samolotu i kilka godzin później przybyć do zupełnie innego świata, nie mając czasu, by obejrzeć poszczególne widoki po drodze – nie lubił tego, bo wywoływało w nim niepokój. *To niewłaściwe*, powiedział do Florence. *Niewłaściwe? Co masz na myśli?* – spytała poirytowana. Nie potrafił tego wyjaśnić i dlatego coraz częściej latała sama albo z innymi, zwykle do Ameryki Południowej.

Gregorius podszedł do witryny z plakatami przy kinie Bubenberg. Na późnym seansie wyświetlano czarno-biały film według powieści Georges'a Simenona *L'homme qui regardait passer les trains*. Gregoriusowi spodobał się tytuł i długo przyglądał się zdjęciom. Pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy wszyscy kupowali kolorowe telewizory, całe dni na próżno próbował znaleźć czarno-biały odbiornik. Wreszcie przyniósł do domu telewizor ze śmietnika. Nawet po ślubie z uporem odmawiał wyrzucenia go, telewizor stał więc w pracowni, a gdy Gregorius był sam, ignorował kolorowy odbiornik w salonie i włączał starą skrzynkę, na której obraz migotał i od czasu do czasu się rozjeżdżał. *Mundus, jesteś niemożliwy*, powiedziała pewnego dnia Florence, gdy zastała go przed tym okropnym, nieforemnym pudłem. Kiedy zaczęła się do niego zwracać tak jak inni i traktować w domu jak popychadło całego miasta Berno – to był początek końca. Gdy po rozwodzie kolorowy telewizor zniknął z mieszkania, Gregorius odetchnął z ulgą. Po wielu latach kineskop zupełnie się popsuł i dopiero wtedy Gregorius kupił nowy, kolorowy odbiornik.

Zdjęcia w kinowej witrynie były duże i drażniąco ostre. Jedno ukazywało bladą, alabastrową twarz Jeanne Moreau, która odgarniała z twarzy

wilgotne pasemka włosów. Gregorius ruszył z miejsca i wszedł do najbliższej kawiarni, by obejrzeć dokładniej książkę, w której Portugalczyk ze szlacheckiego rodu próbował wyrazić w słowach samego siebie i swe nieme przeżycia.

Dopiero teraz, gdy z dokładnością miłośnika starych książek Gregorius powoli przewracał stronę po stronie, odnalazł portret autora, stare zdjęcie, pożółkłe już przed oddaniem do druku. Czarne niegdyś plamy zbrązowiły i widać było jasną twarz na tle gruboziarnistego, cienistego mroku. Gregorius przetarł okulary, założył je ponownie i w ciągu kilku chwil pozwolił się całkowicie oczarować tej twarzy.

Mężczyzna nieco po trzydziestce promieniał inteligencją, pewnością siebie i śmiałością, które dosłownie oślepiły Gregoriusa. Jasna twarz z wysokim czołem była zwieńczona bujnymi ciemnymi włosami, połyskującymi matowo i zaczesanymi do tyłu, włosy przypominały hełm, z którego po bokach, miękkimi falami spadały na uszy pojedyncze pasma. Wąski rzymski nos nadawał twarzy wielką wyrazistość, tak samo jak mocne brwi przypominające grube belki, namalowane szerokim pędzlem i dość krótkie od zewnętrznej strony, więc na środku powstawało zagęszczenie, dokładnie tam, gdzie znajdowały się myśli. Pełne, wygięte usta, które pasowałyby do twarzy kobiety, były otoczone cienkimi wąsami i przyciętą brodą. Z powodu czarnego cienia, który broda rzucała na smukłą szyję, Gregorius miał wrażenie, że postać charakteryzuje się pewną surowością i twardością. Jednak najważniejsze były ciemne oczy. Podkreślały je cienie, ale nie cienie zmęczenia, wyczerpania lub choroby, lecz powagi i melancholii. W spojrzeniu łagodność mieszała się z nieustraszonnością i niezłomnością. Mężczyzna ten był marzycielem i poetą, pomyślał Gregorius, ale jednocześnie kimś, kto potrafił zdecydowanie posługiwać się bronią albo skalpelem, kimś, komu lepiej zejść z drogi, gdy w jego oczach płonie ogień. Te oczy zdołałyby powstrzymać zgraję gotowych do walki olbrzymów, ale nieobce też im było nienawistne spojrzenie. Jeśli chodzi o ubranie, zdjęcie ukazywało tylko biały kołnierzyk i węzeł krawata oraz ciemniejszy fragment odzienia, które Gregorius wyobrażał sobie jako surdut.

Dochodziła pierwsza, gdy Gregorius otrząsnął się z zamyślenia nad portretem. Ponownie pozwolił, by kawa wystygła. Pragnął raz jeszcze

usłyszeć głos Portugalki i zobaczyć ją w ruchu. Jeśli w 1975 roku autor miał nieco ponad trzydzieści lat, na które wyglądał, teraz musiał być po sześćdziesiątce. *Português*. Gregorius przywołał w myślach głos bezimiennej Portugalki i nadał mu głębsze brzmienie, choć inne niż u księgarza. Miało to być głos o melancholijnej czystości, który dokładnie odpowiadałby wizerunkowi Amadeu de Prado. Gregorius spróbował wyobrazić sobie brzmienie zdań z książki wypowiedzianych tym głosem. Nie udało mu się, nie wiedział, jak należało wymawiać poszczególne słowa.

Kawiarnię minął Lucien von Graffenried. Gregorius był zaskoczony, ale z ulgą stwierdził, że nawet nie drgnął. Spoglądał za odchodzącym uczniem i myślał o książkach zostawionych w klasie. Musiał poczekać, aż o drugiej znowu zaczną się lekcje. Dopiero wtedy będzie mógł pójść do księgarni, by kupić podręcznik do nauki portugalskiego.

3 Ledwo Gregorius nastawił w domu płytę i wysłuchał pierwszych zdań w języku portugalskim, gdy zadzwonił telefon. Szkoła. Dzwonienie nie ustawało. Stał przy aparacie i zastanawiał się, co mógłby powiedzieć. *Od dzisiejszego przedpołudnia czuję, że chcę działać w życiu coś jeszcze. Że nie chcę już być waszym Mundusem. Nie mam pojęcia, co mnie czeka, ale nie mogę zwlekać ani chwili. Mój czas upływa i możliwe, że nie zostało go wiele.* Gregorius wymówił te zdania na głos. Były prawdziwe, wiedział to, w całym życiu zdarzyło mu się wypowiedzieć niewiele zdań, które byłyby równie prawdziwe jak te. Wymawiane na głos brzmiały jednak pusto i patetycznie, nie nadawały się do powiedzenia do słuchawki.

Telefon przestał dzwonić, ale nie zamilknie na długo. Martwili się i nie spoczną, dopóki go nie odnajdą, przecież mogło mu się coś stać. Wcześniej czy później zadzwonią do drzwi. Teraz, w lutym, zmierzch nadal zapadał wcześniej. Nie będzie mógł zapalić światła. W środku miasta, które stanowiło centrum jego życia, podjął ucieczkę i musiał ukrywać się w mieszkaniu, w którym mieszkał od piętnastu lat. Było to dziwne,

śmieszne i brzmiało jak scenariusz kiepskiej komedii. Jednocześnie było też *poważne*, poważniejsze niż to, co do tej pory przeżył i zrobił. Nie dało się jednak tego wytłumaczyć tym, którzy go szukali. Gregorius wyobraził sobie, jak otwiera drzwi i zaprasza ich do środka. To niemożliwe. Zupełnie niemożliwe.

Trzy razy pod rząd wysłuchał pierwszej płyty kursu i powoli zaczął wyczuwać różnicę między słowem pisanym a mówionym i zauważać połykane głoski. Przydawała mu się teraz niezawodna pamięć do słów, które potrafił przyswajać bez wysiłku.

Telefon dzwonił w coraz krótszych odstępach, jak mu się wydawało. Po poprzedniej lokatorce Gregorius odziedziczył przedpotopowy aparat z kablem bez wtyczki, którą mógłby teraz wyciągnąć. Uparł się, żeby wszystko zostało niezmienione. Zakrył telefon kocem, by stłumić dźwięk.

Głos lektorki polecił mu powtarzać słowa i krótkie zdania. Gdy spróbował, miał wrażenie, że jego usta i język są ociężałe i niezgrabne. Języki klasyczne były jakby stworzone dla jego berneńskich ust, a w tym beczasowym uniwersum nie przyszła mu nigdy do głowy myśl, że trzeba się spieszyć. Portugalczycy natomiast wydawali się spieszyć nieustannie, podobnie jak Francuzi, od których Gregorius zawsze czuł się z tego względu gorszy. Florence uwielbiała tę rozpedzoną elegancję, a gdy po raz pierwszy usłyszał, z jaką lekkością sobie z nią radziła, wręcz oniemiał.

Teraz jednak niespodziewanie było inaczej – Gregorius *chciał* naśladować niepojęte tempo mowy i roztańczone jasne brzmienie przypominające flet pikolo. Powtarzał wciąż te same zdania, by zmniejszyć dystans między swoją ciężką wymową a błyszczącym wzorem. Po chwili uświadomił sobie, że właśnie przeżywa wielkie wyzwolenie, wyzwolenie od nałożonych sobie ograniczeń, od powolności i ociężałości, które przebijały z jego imienia i powolnych kroków jego ojca, gdy zamyślony chodził w muzeum od jednej sali do drugiej. Wyzwolenie od obrazu samego siebie jako kogoś w grubych okularach, pochylonego nad zakurzonymi książkami, obrazu, który towarzyszył mu nawet wtedy, gdy nie czytał, i którego nie stworzył w sposób zaplanowany, lecz który powstał powoli i niezauważenie, obrazu Mundusa wykonanego nie tylko jego własną ręką, ale także ręką wielu innych osób, dla których miłe i wygodne

było trzymanie się tej cichej, muzealnej postaci, bo mogli przy niej odpocząć. Gregorius miał wrażenie, że wydostaje się z tego obrazu jak z zakurzonego olejnego malowidła na ścianie zapomnianego skrzydła muzeum. Chodził w tę i z powrotem w półmroku nieoświetlonego mieszkania, zamawiał po portugalsku kawę, pytał o adres w Lizbonie, dowiadywał się o czyjeś imię i nazwisko, odpowiadał na pytania o swój zawód i prowadził krótkie rozmowy o pogodzie.

W pewnej chwili zaczął rozmawiać z Portugalką, którą spotkał rano. Spytał ją o powód jej gniewu wobec autora listu. *Você quis saltar? Czy chciała pani skoczyć?* Rozemocjonowany trzymał przed nosem nowy słownik i sprawdzał słówka oraz formy czasowników, których mu brakowało. *Português*. Jakże inaczej brzmiało teraz to słowo! O ile wcześniej miało urok klejnotu z dalekiego, niedostępnego kraju, o tyle teraz przypominało raczej jeden z tysiąca szlachetnych kamieni w pałacu, do którego wyważył właśnie drzwi.

Rozległ się dzwonek. Gregorius podszedł na palcach do adapteru i wyłączył go. Na zewnątrz słyszał młode głosy, głosy naradzających się uczniów. Jeszcze dwukrotnie w cichym półmroku zabrzmiał ostry dzwonek, Gregorius czekał bez ruchu. Potem kroki na klatce schodowej się oddaliły.

Kuchnia była jedynym wychodzącym na podwórze pomieszczeniem z żaluzjami. Gregorius spuścił je i zapalił światło. Przyniósł książkę Portugalczyka ze szlacheckiego rodu oraz podręczniki do nauki języka, usiadł przy stole i zaczął tłumaczyć pierwszy po wstępie fragment. Język przypominał łacinę, a jednak był zupełnie inny, ale Gregoriusowi wcale to nie przeszkadzało. Tekst okazał się trudny, praca nad nim wymagała dużo czasu. Metodycznie i z wytrwałością maratończyka Gregorius wyszukiwał słowa i przeczesywał tabele czasowników, aż rozszyfrował nieprzejrzyste formy. Po kilku zdaniach opanowało go gorączkowe podekscytowanie i przyniósł papier, by zapisać tłumaczenie. Dochodziła już dziewiąta, gdy rezultat wreszcie go zadowolił.

PROFUNDEZAS INCERTAS. NIEPEWNE OTCHŁANIE. *Czy pod powierzchnią ludzkich czynów kryje się tajemnica? Czy też może ludzie są w zupełności*

tacy, jak wskazują na to ich widoczne jak na dłoni działania?

Jest to w najwyższym stopniu zdumiewające, ale odpowiedź na owo pytanie zmienia się we mnie wraz ze światłem, które pada na miasto i na Tag. Gdy jest to cudowne światło połyskującego sierpniowego dnia, wydobywające czyste cienie o ostrych krawędziach, myśl o ukrytej ludzkiej głębi wydaje mi się dziwaczna i przypomina osobliwe, nieco wzruszające przywidzenie, podobne do mirażu, który powstaje, gdy zbyt długo spoglądam na fale migoczące w owym świetle. Kiedy jednak w ponury styczniowy dzień miasto i rzekę przykrywa kupa nudnej szarości i światła bez cieni, nie ma we mnie silniejszego przekonania niż to, że wszystkie ludzkie działania są tylko zupełnie niedoskonałym, wręcz śmiesznym, bezradnym wyrazem ukrytego wewnętrznego życia o niezmierzonej głębi, które dążą ku powierzchni, nie mogąc jej nigdy osiągnąć, czy nawet się do niej zbliżyć.

Do tej niezwyklej, niepokojącej zmienności mego osądu dochodzi jeszcze jeden element, który, odkąd jestem go świadomy, nieustannie pogrąża moje życie w burzliwej niepewności – fakt, że w kwestii, ponad którą dla nas, ludzi, nie istnieje właściwie nic ważniejszego, potykam się tak samo także wtedy, gdy chodzi o mnie. Kiedy bowiem siedzę w ulubionej kawiarni, wystawiam twarz do słońca i nasłuchuję dźwięcznego śmiechu mijających mnie dam, wydaje mi się, jakby cały mój wewnętrzny świat był wypełniony aż po najdalsze zakamarki i dokładnie mi znany, ponieważ cały wyraża się w tych przyjemnych doznaniach. Jeśli jednak słońce przesłoni wyrywająca mnie z oczarowania, otrzeźwiająca chmura, naraz jestem pewien, że istnieją we mnie zakazane głębie i otchłanie, z których mogą wypłynąć nieznane jeszcze rzeczy i pociągnąć mnie za sobą. Płacę wtedy szybko i pospiesznie kieruję uwagę na coś innego, w nadziei, że wkrótce znowu pokaże się słońce, a z nim wróci uspokajająca powierzchowność.

Gregorius spojrział na zdjęcie Amadeu de Prado i oparł książkę o lampę. Zdanie po zdaniu przeczytał przetłumaczony tekst, kierując słowa do spoglądającego śmiało, a zarazem melancholijnie mężczyzny. Do tej pory tylko raz zrobił coś podobnego – gdy jako student czytał *Rozmyślania* Marka Aureliusza. Na stole stało gipsowe popiersie cesarza, a gdy pracował nad tekstem, miał wrażenie, że robi to pod okiem jego milczącej obecności. Jednak między tamtym dniem a dzisiejszym była różnica, którą Gregorius wyczuwał tym wyraźniej, im dalej posuwała się noc, choć nie umiał jej wyrazić słowami. Kiedy dochodziła godzina druga, wiedział tylko, że przez celność spostrzeżeń Portugalczyk wyzwolił w nim bystrość i dokładność odbioru rzeczywistości, których nie wyzwolił dotąd nawet mądry cesarz, choć Gregorius pochłaniał jego refleksje, jakby były skierowane bezpośrednio do niego. Zdołał przetłumaczyć kolejny fragment:

PALAVRAS NUM SILÊNCIO DE OURO. SŁOWA W ZŁOTEJ CISZY. *Gdy czytam gazetę, słucham radia albo w kawiarni zwracam uwagę na to, co mówią ludzie, coraz częściej odczuwam przesytność, a nawet wstręt wobec wciąż tych samych słów, które są pisane i wymawiane – wciąż tych samych zwrotów, porównań i metafor. Najgorzej jest, gdy słucham sam siebie i stwierdzam, że mówię wiecznie te same rzeczy. Słowa są tak okropnie zużyte, zniszczone i wytarte, bo zostały wypowiedziane już miliony razy. Czy w ogóle mają jeszcze jakieś znaczenie? Oczywiście wymiana słów nadal działa, ludzie kierują się nimi w działaniach, śmieją się i płaczą, idą w lewo albo w prawo, kelner przynosi kawę lub herbatę. Ale nie tę kwestię chcę poruszyć. Pytanie brzmi: czy słowa wciąż wyrażają myśli? Czy może są tylko zbitkami dźwięków, które oddziałują na ludzi i gnają ich tu i tam wśród rozblaskujących nieustannie śladów odwiecznej paplaniny?*

Zdarza się, że idę na plażę i wystawiam głowę na wiatr. Chciałbym, żeby był lodowaty, znacznie zimniejszy niż w naszym klimacie – żeby wywiały ze mnie wszystkie wyświechtane słowa, wszystkie mdłe nawyki językowe,

i żebym mógł wrócić z oczyszczonym umysłem, oczyszczony z błota wciąż takich samych rozmów. Jednak przy pierwszej okazji, gdy muszę coś powiedzieć, wszystko jest po dawnemu. Oczyszczenie, za którym tęsknię, nie nastąpi samo z siebie. Muszę coś zrobić i muszę to zrobić słowami. Ale co? Nie chodzi mi o to, by wydostać się z obszaru własnego języka i wkroczyć w inny. Nie, nie chodzi o językową dezercję. I powtarzam sobie jeszcze, że nie można na nowo wynaleźć języka. Ale czego zatem pragnę?

Być może jest tak, że chcę na nowo osadzić portugalskie słowa. Zdania, które wówczas by z nich powstały, nie byłyby wyszukane i zmanierowane ani egzaltowane, dziwaczne czy wysilone. Musiałyby to być archetypowe zdania języka portugalskiego, tworzące jego rdzeń, sprawiające wrażenie, że niezanieczyszczone wytryskają bezpośrednio z przejrzystej, diamentowej istoty tego języka. Słowa musiałyby być bez skazy niczym polerowany marmur i czyste niczym dźwięki partity Bacha, które wszystko, czym nie są, przekształcają w idealną ciszę. Czasami, gdy tkwię we mnie jeszcze resztki zgody na językowe błoto, myślę, że mogłaby to być miła cisza zadowolonego salonu lub rozluźniona cisza panująca między zakochanymi. Gdy jednak opanowuje mnie wściekłość na lepkie nawyki językowe, wtedy może to być wyłącznie czysta, chłodna cisza pozbawionego światła wszechświata, w którym ja, jako jedyny mówiący po portugalsku, przemierzam bezszelestne szlaki. Kelner, fryzjerka czy konduktor zdziwiliby się, gdyby usłyszeli te na nowo osadzone słowa, a ich zdumienie wynikałoby z piękna zdań, piękna, które byłoby po prostu odbłaskiem ich jasności. Byłyby to – jak sobie wyobrażam – przymuszające zdania, które można by również nazwać nieubłaganymi. Stałyby nieprzekupne i nieodwracalne i przez to równe słowom Boga. Jednocześnie byłyby pozbawione przesady i patosu, dokładne i oszczędne, tak że nie można by z nich usunąć ani jednego słowa

czy przecinka. W tym byłyby podobne wierszowi, splecione przez złotnika słów.

Gregoriusa z głodu bolał żołądek, zmusił się więc, by coś zjeść. Później usiadł z filiżanką herbaty w ciemnym salonie. Co teraz? Dzwonek u drzwi rozlegał się jeszcze dwukrotnie, a stłumione brzęczenie telefonu po raz ostatni słyszał na krótko przed północą. Rano zostanie zgłoszone jego zaginięcie, a później stanie przed drzwiami policja. Jeszcze mógł zawrócić. Za kwadrans czwarta przeszedłby przez most Kirchenfeld, wkroczył do gimnazjum i wytłumaczył swą zagadkową nieobecność jakąś historią, która czyniłaby z niego dziwaka, ale pasowałaby do jego osoby, i na tym by się skończyło. Nigdy nie dowiedzieliby się, jak ogromną drogę pokonał w niecałe dwadzieścia cztery godziny w swoim wnętrzu.

Ale właśnie o to chodziło: *pokonał ją*. I nie chciał pozwolić innym, by zmusili go do powrotu z tej cichej wyprawy. Wyjął mapę Europy i sprawdził, jak dojechać pociągiem do Lizbony. Informacja kolejowa, jak dowiedział się przez telefon, działała dopiero od szóstej. Zaczął się pakować.

Dochodziła czwarta, gdy gotowy do podróży usiadł w fotelu. Na dworze padał śnieg. Nagle opuściła go wszelka odwaga. To był szalony pomysł. Bezimienna, zagubiona kobieta. Pożółkłe zapiski Portugalczyka ze szlacheckiego rodu. Kurs językowy dla początkujących. Myśl o uciekającym czasie. Z takiego powodu nie wyjeżdżało się u schyłku zimy do Lizbony.

Około piątej Gregorius zadzwonił do Konstantina Doxiadesa, swojego okulisty. Często zdarzało się, że telefonowali do siebie w środku nocy, by dzielić niedole bezsenności. Cierpiących na bezsenność łączyła niema solidarność. Czasami Gregorius rozgrywał z Grekiem na odległość błyskawiczną partię szachów, a potem udawało mu się na chwilę zasnąć, nim nadszedł czas, by iść do szkoły.

– To zupełnie bez sensu, prawda? – powiedział, kończąc urywaną opowieść.

Greki milczał. Gregorius znał to milczenie. Teraz Doxiades zamknie oczy i dotknie kciukiem i palcem wskazującym nasady nosa.

– To ma mnóstwo sensu – odparł Grek. – Mnóstwo.

– Pomoże mi pan, jeśli po drodze stwierdzę, że nie wiem, co dalej począć?

– Niech pan po prostu zadzwoni. W dzień lub w nocy. I proszę nie zapomnieć zapasowych okularów.

I znowu w jego głosie zabrzmiała ta lakoniczna pewność. Lekarska pewność, która jednocześnie znacznie wykraczała poza sprawy zawodowe, pewność człowieka, który przemyślał sprawę, aby wyrazić niewzruszony osąd. Gregorius od dwudziestu lat chodził do tego lekarza, bo jako jedyny umiał przegonić jego strach przed oślepieniem. Czasami porównywał Doxiadesa ze swoim ojcem, który po przedwczesnej śmierci żony wszędzie – niezależnie od tego, gdzie się znajdował i co robił – wydawał się przebywać w zakurzonej pewności muzealnych sal. Gregorius wcześniej odkrył, że pewność ta była bardzo krucha. Lubił ojca i zdarzały się chwile, gdy uczucie stawało się silniejsze i głębsze niż zwykła sympatia. Cierpiał jednak, gdyż ojciec nie był kimś, na kim można się wesprzeć i na kogo można liczyć, nie był człowiekiem takim jak Grek, którego żelazny osąd stanowił mocną podstawę. Gregorius miewał później z tego powodu wyrzuty sumienia. Pewność, której mu brakowało, nie była czymś, co po prostu miało się w rękę, a jej braku nie można było nikomu wypominać jako uchybienia. Trzeba mieć szczęście, żeby być człowiekiem pewnym siebie. A jego ojciec nie miał wiele szczęścia ani ze sobą, ani z innymi ludźmi.

Gregorius usiadł przy kuchennym stole i skreślił kilka listów do rektora. Wszystkie okazały się albo zbyt suche, albo zbyt błagalnie proszące o wyrozumiałość. O szóstej zadzwonił do informacji kolejowej. Z Genewy podróż trwała dwadzieścia sześć godzin. Trasa prowadziła przez Paryż i Irún w Kraju Basków, a stamtąd nocnym pociągiem do Lizbony, dokąd przyjeżdżało się około jedenastej rano. Gregorius zamówił bilet. Pociąg do Genewy odjeżdżał o wpół do ósmej.

Kolejny list był udany.

Szanowny Panie Rektorze, drogi Kolego Kägi

Zapewne dowiedział się Pan już, że wczoraj bez wyjaśnienia wyszedłem z zajęć i nie wróciłem, a także, że pozostawałem nieuchwytny. Czuję się dobrze, nic mi się nie stało. Wczorajszego dnia spotkało mnie jednak przeżycie, które wiele zmieniło. Jest to sprawa zbyt osobista i jeszcze zbyt niejasna, bym mógł ją teraz opisać. Proszę Pana po prostu, by zaakceptował Pan moje nagłe i niewyjaśnione postępowanie. Zna mnie Pan, jak sądzę, dość dobrze, by wiedzieć, że nie postąpiłem tak z lekkomyślności, braku odpowiedzialności lub z obojętności. Udaję się w daleką podróż i nie wiem, kiedy wrócę ani w jakim stanie. Nie oczekuję, że zatrzyma Pan dla mnie moją posadę. Przez większość życia byłem blisko związany z tym gimnazjum i jestem pewien, że będę za nim tęsknił. Teraz jednak coś każe mi wyjechać i możliwe, że jest to decyzja ostateczna. Pan i ja, obaj podziwiamy Marka Aureliusza, a więc z pewnością pamięta Pan ten fragment jego Rozmyślań: „Ponizaj się, ponizaj się sama, o duszo! By sama sobie zapewnić szacunek, nie będziesz miała czasu! Krótkie jest bowiem życie każdego człowieka. To twoje już się prawie do końca zbliża, a ty sama dla siebie nie masz szacunku, lecz szczęścia swego szukasz w duszach ludzi innych. (...) Ci zaś muszą być nieszczęśliwi, którzy nie śledzą z rozważą drgnień duszy własnej”.^[1]

Dziękuję Panu za zaufanie, które zawsze mi Pan okazywał, i za owocną współpracę. Jestem pewien, że wobec uczniów znajdzie Pan właściwe słowa, słowa, które wyrażą, jak bardzo lubiłem z nimi pracować. Wczoraj, zanim wyszedłem, przyglądałem się im i myślałem: ileż jeszcze mają czasu!

W nadziei na Pańskie zrozumienie i z najlepszymi życzeniami dla Pana i Pańskiej pracy pozostaję

Raimund Gregorius

PS Zostawiłem na biurku swoje książki. Czy zadba Pan, by nic im się nie stało?

Wrzucił list do skrzynki na dworcu. Gdy później stał przy bankomacie, drżały mu ręce. Wyczyścił okulary i upewnił się, że ma przy sobie paszport, bilety oraz notes z adresami. Znalazł miejsce przy oknie. Gdy pociąg ruszał w kierunku Genewy, śnieg padał powoli dużymi płatkami.

4 Gregorius tak długo, jak mógł, śledził spojrzeniem ostatnie domy Berna. Gdy wreszcie nieodwracalnie zniknęły mu z oczu, wyjął notatnik i zaczął spisywać nazwiska uczniów, których uczył w ciągu tych wszystkich lat. Zaczął od minionego roku i posuwał się coraz dalej w przeszłość. Przy każdym nazwisku odszukiwał w pamięci twarz, charakterystyczny gest lub pamiętny epizod. Trzy ostatnie lata przyszły mu bez trudu, później coraz częściej miał wrażenie, że kogoś brakuje. W połowie lat dziewięćdziesiątych klasy składały się tylko z nielicznych twarzy i nazwisk, a potem rozmyła się kolejność roczników. Pozostali tylko nieliczni chłopcy i dziewczęta, z którymi przeżył coś szczególnego.

Zamknął notes. Od czasu do czasu spotykał w mieście ucznia lub uczennicę sprzed wielu lat. Nie byli to już chłopcy i dziewczęta, lecz mężczyźni i kobiety z partnerami, pracą i dziećmi. Gregorius był przerażony, widząc zmiany na ich twarzach. Czasami jego przerażenie dotyczyło rezultatu zmian – przedwczesnego zgorzknienia, zaszczutego spojrzenia, oznak poważnej choroby. Najczęściej jednak przerażał go sam fakt, że zmienione twarze świadczyły o nieustannym upływie czasu i bezlitosnym zanikaniu wszystkiego co żywe. Spoglądał wtedy na swoje dłonie, na których widniały pierwsze starcze plamy, a czasami wyjmował swoje zdjęcia z czasów studenckich i próbował uprzytomnić sobie, jak przebył tę długą drogę do dzisiaj, dzień w dzień, rok po roku. W takie dni był bardziej podatny na lęki niż zwykle i zdarzało się, że nieumówiony zjawiał się w gabinecie Doxiadesa, by ten znowu wybił mu z głowy strach przed ślepotą. Najbardziej wytrącały Gregoriusa z równowagi spotkania z uczniami, którzy mieszkali przez długi czas za granicą, na innym

kontynencie, w innym klimacie, mówili innymi językami. *A pan? Wciąż w Kirchenfeld?* – pytali, ich gesty zaś zdradzały, że chcieli już odejść. Nocami po takich spotkaniach Gregorius próbował bronić się najpierw przed podobnymi pytaniami, a później przed uczuciem, że powinien się bronić.

Teraz, gdy to wszystko chodziło mu po głowie, siedział w pociągu, już od ponad dwudziestu czterech godzin bez snu, i jechał na spotkanie niepewnej przyszłości, jakiej nigdy wcześniej nie przeczuwał przed sobą.

Pobyty w Lozannie stanowił pokusę. Na tym samym peronie z drugiego toru odjeżdżał pociąg do Berna. Gregorius wyobraził sobie, że wysiada na tamtejszym dworcu. Spojrzał na zegarek. Gdyby pojechał do Kirchenfeld taksówką, zdążyłby jeszcze na czwartą godzinę lekcyjną. List – musiałby rano zatrzymać listonosza albo poprosić Kägiego, by oddał mu zaklejoną kopertę. Nieprzyjemne, ale nie niemożliwe. Jego spojrzenie padło na notes leżący na stoliku w przedziale. Nie otwierając go, ujrzał ponownie listę uczniów. I naraz zrozumiał, że to, co zaczęło się jako chęć, by po zniknięciu ostatnich berneńskich domów zatrzymać przy sobie coś znanego, w ciągu kolejnej godziny zmieniło się w pożegnanie. Aby móc się z czymś pożegnać, myślał Gregorius, gdy pociąg ruszał, trzeba stawić temu czoło w sposób stwarzający wewnętrzny dystans. Trzeba przekształcić ową niewypowiedzianą, rozległą oczywistość, wypełniającą człowieka, w jasność pozwalającą zrozumieć, jakie ma dla kogoś znaczenie. A to znaczy, że musi ona przelać się w coś, co ma przejrzyste kontury. W coś tak przejrzystego jak lista uczniów, którzy bardziej niż wszystko inne wpłynęli na jego życie. Gregorius miał wrażenie, jakby pociąg wytaczający się z dworca zostawiał za sobą fragment jego samego. Wydawało mu się także, że unosi się na otwartym zimnym morzu na lodowej krze, którą oderwało od lądu małe trzęsienie ziemi.

Gdy pociąg przyspieszył, Gregorius zasnął i obudził się dopiero, kiedy poczuł, że pociąg zatrzymuje się na dworcu w Genewie. W drodze do francuskiego pospiesznego był tak podekscytowany, jakby wyruszał w tygodniową podróż koleją transsyberyjską. Ledwo usiadł, wagon wypełnili francuscy podróżni. Zaczęła się paplanina, wyróżniająca się historyczną elegancją, a gdy ktoś w rozpiętym płaszczu pochylił się nad Gregoriusem, by wstawić bagaż na półkę, spadły mu okulary. To sprawiło,

że Gregorius uczynił coś, czego się po sobie nie spodziewał: zabrał swoje rzeczy i przesiadł się do pierwszej klasy.

Pierwszą klasą jeździł bardzo rzadko, ostatni raz dwadzieścia lat temu. Wtedy to Florence nalegała, a on uległ, i czując się jak oszust zasiadł na drogim siedzeniu. *Uważasz mnie za nudziarza?*, spytał ją po jednej z takich podróży. *Co? Ależ Mundus, nie możesz mnie pytać o takie rzeczy!*, powiedziała i przejechała dłonią po włosach, jak zawsze, gdy nie wiedziała, co zrobić. Teraz, kiedy Gregorius gładził dłonią eleganckie poduszki, a pociąg ruszał, jego postępowanie wydało mu się spóźnioną, dziecinną zemstą, której sens nie całkiem pojmował. Cieszył się, że w pobliżu nie siedzi nikt, kto mógłby obserwować te niezrozumiałe dla niego doznania.

Przeraził się wysokością dopłaty, którą musiał uiścić konduktorowi, a gdy ten wyszedł, przeliczył dwukrotnie pieniądze. Przypomniał sobie kod karty kredytowej i zapisał go w notesie. Chwilę potem wyrwał i wyrzucił kartkę. W Genewie przestał padać śnieg i po raz pierwszy od wielu tygodni ujrzał słońce. Promienie wpadające przez szybę ogrzewały mu twarz i Gregorius się uspokoił. I tak miał mnóstwo pieniędzy na koncie, wiedział o tym przecież. *Co też pan robi?*, spytała urzędniczka w banku, gdy po raz kolejny zobaczyła, ile już uzbierał, bo zawsze tak niewiele wydawał. *Musi pan coś zrobić ze swoimi pieniędzmi!* Zainwestowała je w jego imieniu i przez lata Gregorius stał się zamożnym człowiekiem, ale zdawał się nie mieć pojęcia o swoim majątku.

Gregorius myślał o dwóch łacińskich książkach, które wczoraj o tej porze zostawił na biurku. Na pierwszej stronie były podpisane tuszem *Anneli Weiss*, dziecięcym pismem. W jego rodzinnym domu brakowało pieniędzy na nowe książki, chodził więc po mieście, aż znalazł w antykwariacie używane egzemplarze. Gdy pokazał swój nabytek, grdyka ojca się poruszyła; zawsze mocno się poruszała, gdy ojcu leżało coś na sercu. Początkowo Gregoriusowi przeszkadzało obce nazwisko w książce. Potem zaczął sobie wyobrażać poprzednią właścicielkę jako dziewczynkę w białych podkolanówkach i z rozwianymi włosami, a wkrótce poczuł, że za żadną cenę nie zamieniłby starych książek na nowe. Mimo to cieszył się, gdy za pieniądze, które zarobił na zastępstwach w szkole, mógł kupić

starożytne teksty w pięknych, drogich wydaniach. Od tamtego czasu minęło ponad trzydzieści lat i obecnie wydawało mu się to nieco nierzeczywiste. Jeszcze niedawno stał przed półkami w księgarni, myśląc: „Gdybym mógł sobie pozwolić na taką bibliotekę!”.

Powoli obrazy wspomnień przekształciły się w obrazy snu, a w nich niczym dręczący błędny ogień pojawiał się wciąż cienki notes, w którym jego matka zapisywała, ile zarobiła, sprząając. Gregorius ucieszył się, że obudził go dźwięk tłuczonej butelki, która spadła komuś ze stolika.

Jeszcze godzina do Paryża. Gregorius usiadł w wagonie restauracyjnym i wyjrzał na jasny przedwiosenny dzień. I nagle uświadomił sobie, że naprawdę wybrał się w tę podróż – że nie była tylko możliwością, czymś, co wymyślił w bezsennej noc i co mogło się zdarzyć, lecz czymś, co rzeczywiście miało miejsce. Im bardziej poddawał się temu doznaniu, tym silniejsze miał wrażenie, że relacje możliwości i rzeczywistości zaczęły się odwracać. Czyż właściwie nie było tak, że Kägi, szkoła i uczniowie, których nazwiska wypisał w notesie, istnieli naprawdę, ale tylko jako możliwości, które przypadkowo się urzeczywistniły, to zaś, co Gregorius przeżywał w tej chwili – jazda i przytłumiony stukot kół pociągu, ciche dzwonenie szklanek drżących na sąsiednim stole, zapach zjełczałego oleju dochodzący z kuchni, dym z papierosa, którym co chwila zaciągał się kucharz – było rzeczywiste i nie miało nic wspólnego z samymi możliwościami ani nawet z urzeczywistnionymi możliwościami, było prostą i czystą rzeczywistością, nasyconą i pełną przytłaczającej nieuchronności, jaka cechowała to, co było całkowicie prawdziwe?

Gregorius siedział przed pustym już talerzem i parującą filiżanką kawy z poczuciem, że jeszcze nigdy w życiu nie był tak rozbudzony jak teraz. I wydawało mu się, że nie jest to jedynie kwestia natężenia, jak wówczas, gdy ktoś powoli otrząsa się ze snu i staje się coraz przytomniejszy, aż całkiem oprzytomnieje.

To było coś innego. To był inny, nowy rodzaj rozbudzenia, nowy rodzaj przebywania w świecie, o którym do tej pory nie miał pojęcia. Kiedy w zasięgu jego wzroku pojawił się Gare de Lyon, Gregorius wrócił na swoje miejsce, a gdy później stawiał stopę na peronie, wydawało mu się, jakby po raz pierwszy z pełną świadomością wysiadał z pociągu.

5 Wspomnienie uderzyło go z niespodziewaną gwałtownością. Pamiętał, że to był ich pierwszy dworzec, ich pierwszy wspólny pobyt w obcym mieście. Oczywiście, że pamiętał. Ale nie spodziewał się, że kiedy tu stanie, poczuje się, jakby od tamtej pory czas wcale nie upłynął. Zielone żelazne podpory i czerwone rury. Łuki. Przepuszczający światło dach.

„Pojedźmy do Paryża!”, powiedziała Florence, gdy pierwszy raz jadła śniadanie w jego kuchni, ramionami obejmując wyciągniętą nogę.

„Chcesz...”.

„Tak, teraz. Teraz, zaraz!”.

Jego była uczennica, śliczna dziewczyna, zwykle nieuczesana, która swoją prowokacyjną kapryśnością potrafiła wszystkim zawrócić w głowie. Z semestru na semestr stała się prymuską w łacinie i grece, a gdy po raz pierwszy miał poprowadzić dla chętnych zajęcia z hebrajskiego, siedziała w pierwszej ławce. Ale Gregoriusowi nawet we śnie nie przyszłoby do głowy, że ma to coś wspólnego z nim.

Przyszedł czas matur, a potem minął jeszcze rok, nim spotkali się w kawiarni uniwersyteckiej i siedzieli przy stoliku, aż ich wyrzucano.

„Ależ z ciebie ślepiec! – powiedziała, zdejmując mu okulary. – Niczego wtedy nie zauważyłeś! A wszyscy o tym wiedzieli! Wszyscy!”.

To prawda, myślał Gregorius, siedząc w taksówce i jadąc na Gare Montparnasse – był kimś, kto nie zauważał takich rzeczy, kimś, kto był tak niedostrzegalny nawet dla samego siebie, że nie mógł uwierzyć, by ktoś mógł wobec niego – *niego!* – żywić silne uczucie. Ale w przypadku Florence miał rację.

„Nigdy nie chodziło ci naprawdę o *mnie*”, powiedział pod koniec ich pięcioletniego małżeństwa.

Był to jedyny zarzut, jaki kiedykolwiek do niej skierował. Wcześniej płonęli jak ogień i miał wrażenie, jakby wszystko rozpadało się w popiół.

Wbiła wzrok w ziemię. Mimo wszystko miał nadzieję, że zaprzeczy. Nie zrobiła tego.

LA COUPOLE. Gregorius nie przewidział, że jadąc Boulevard du Montparnasse, zobaczy restaurację, w której zostało przypieczone ich rozstanie, choć żadne nie powiedziało wtedy na ten temat ani słowa. Poprosił kierowcę, by się zatrzymał, i przez chwilę spoglądał w milczeniu na czerwone markizy z żółtym napisem i trzema gwiazdkami po obu stronach. Florence jako doktorantka została tu zaproszona na konferencję romanistów, co stanowiło prawdziwe wyróżnienie. Uznał, że przez telefon jej głos brzmiał wesoło, niemal histerycznie, zwlekał więc z odebraniem jej pod koniec tygodnia, jak się umówili. Potem jednak pojechał i spotkał się z jej nowymi przyjaciółmi w tym słynnym lokalu, w którym zapach wyszukanych potraw i najdroższych win już na wejściu powiedział mu, że tu nie należy.

– Jeszcze chwilę – powiedział teraz do kierowcy i podszedł do restauracji.

Nic się tu nie zmieniło. Natychmiast dostrzegł stół, przy którym całkowicie nieodpowiednio ubrany stawił kiedyś czoło szwadrom literaturoznawców. Chodziło o Horacego i Safonę, tyle pamiętał, stojąc teraz na drodze zabieganym i podenerwowanym kelnerom. Nikt nie mógł dotrzymać mu kroku, gdy swoim berneńskim akcentem cytował wers po wersie i rozbijał w pył pobieżną wiedzę dobrze ubranych panów z Sorbony, jednego po drugim, aż wszyscy przy stole umilkli.

W drodze powrotnej Florence siedziała sama w wagonie restauracyjnym, a wściekłość Gregoriusa powoli przebrzmiewała i ustępowała smutkowi, że musiał się w ten sposób popisywać przed Florence, bo o to oczywiście chodziło.

Zatopiony w tych odległych wydarzeniach, Gregorius zapomniał o upływie czasu i kierowca musiał pędzić na złamanie karku, by dotarli w porę na Gare Montparnasse. Gdy Gregorius zadyszany usiadł w przedziale i pociąg do Irún ruszył, ponownie ogarnęło go wrażenie, które miał już w Genewie: to pociąg, a nie on sam decyduje o tym, że ta tak bardzo rozbudzona i bardzo prawdziwa podróż, godzina po godzinie, stacja

po stacji oddalająca go od dotychczasowego życia, nadal trwa. Przez trzy godziny aż do Bordeaux nie będzie postępu i możliwości powrotu.

Spojrzał na zegarek. W szkole kończył się pierwszy dzień bez niego. W tej chwili sześcioro uczniów czekało na zajęcia z hebrajskiego. O szóstej, po lekcjach, siedł z nimi czasem do kawiarni, a potem opowiadał im o historycznych aspektach i przypadkowości biblijnych teksów. Ruth Gautschi i David Lehmann, którzy chcieli studiować teologię i pracowali najpilniej, coraz częściej znajdowali wymówkę, by nie iść. Przed miesiącem zagadnął ich o to. Mają wrażenie, że coś im odbiera, odparli wymijająco. Oczywiście, można studiować te teksty również pod kątem filologicznym. Ale przecież to Pismo Święte.

Gregorius nieoficjalnie zaproponował rektorowi, by do zajęć z hebrajskiego zatrudnił studentkę teologii, jego była uczennicą. Miała miedziane włosy i siadywała na tym samym miejscu, co dawniej Florence. Jednak nadzieja, że to nie przypadek, nie spełniła się.

Przez kilka chwil w jego głowie panowała całkowita pustka, a potem Gregorius ujrzał przed sobą twarz Portugalki, jak biała, niemal przejrzysta, pojawia się za rękami. Ponownie stał w szkolnej łazience przed lustrem i czuł, że nie chce zmasować numeru telefonu, który zapisała mu na czole zagadkowa kobieta. Raz jeszcze znalazł się przed biurkiem, zdjął z wieszaka wilgotny płaszcz i wyszedł z klasy.

Português. Gregorius otrząsnął się, otworzył oczy i spojrzał na płaski francuski krajobraz, ponad którym słońce chyliło się ku zachodowi. Słowo, które brzmiało jak melodia gubiąca się w sennej dali, naraz przestało go już zachwycać. Spróbował przywołać czarowny ton głosu kobiety, ale pojawiło się jedynie wyblakłe echo, a próżny wysiłek wzmógł tylko w Gregoriusie poczucie, że umyka mu cenne słowo, przez które powziął całą tę szaloną podróż. I niczego nie zmieniał fakt, że dokładnie wiedział, jak wymawiała je lektorka na płycie.

Poszedł do toalety i długo trzymał twarz pod strumieniem wody, która miała smak chloru. Gdy na powrót znalazł się w przedziale, wyjął z bagażu książkę portugalskiego szlachcica i zaczął tłumaczyć kolejny rozdział. Początkowo była to po prostu ucieczka do przodu, konwulsyjna próba, by

pomimo lęku nadal wierzyć w podjętą podróż. Jednak już po pierwszym zdaniu tekst ponownie oczarował go tak, jak nocą w domu w kuchni.

NOBREZA SILENCIOSA. BEZGŁOŚNA SZLACHETNOŚĆ. Błędem jest sądzić, że decydujące chwile życia, w których zmienia się na zawsze jego utarty bieg, muszą cechować się głośnym, jaskrawym dramatyзмом, podmywanym silnymi, wewnętrznymi wzburzeniami. To kiczowata bajka, którą puścili w świat popijający dziennikarze, spragnieni błysku fleszów filmowcy i pisarze, których głowy przypominają stronę brukowca. W rzeczywistości dramatyzm determinującego życie doświadczenia jest często niewiarygodnie cichy. Ma tak niewiele wspólnego z wystrzałem, słupem ognia czy wybuchem wulkanu, że doświadczenie to w chwili, gdy nadchodzi, często nie jest nawet dostrzegane. Kiedy ujawnia swe rewolucyjne działanie i sprawia, że życie zanurza się w zupełnie nowym świetle i otrzymuje całkowicie nową melodię, czyni to bezgłośnie, i w tej cudownej bezgłośnieści leży jego wyjątkowa szlachetność.

Od czasu do czasu Gregorius unosił wzrok znad tekstu i spoglądał na zachód słońca. Wydawało mu się, że w resztkach jasności na ciemniejszym niebie można już teraz dostrzec morze. Odłożył słownik i zamknął oczy.

Gdybym tylko mogła zobaczyć morze, powiedziała jego matka na pół roku przed śmiercią, kiedy czuła, że zbliża się koniec, ale po prostu nie możemy sobie na to pozwolić.

Jaki bank da mi kredyt, usłyszał Gregorius słowa ojca, w dodatku na coś takiego.

Gregorius miał mu za złe takie poddanie się bez walki. A potem, jako uczeń w Kirchenfeld, uczynił coś, co jego samego tak zaskoczyło, że później nigdy do końca nie był pewien, czy naprawdę miało to miejsce.

Był koniec marca, pierwszy dzień wiosny. Przechodnie nosili płaszcze przewieszane przez ramię, a przez otwarte okna baraku wpływało łagodne

powietrze. Barak wzniesiono przed kilkoma laty, ponieważ w głównym budynku gimnazjum brakowało pomieszczeń, i stało się tradycją, że naucza się tam najstarsze klasy. Przeprowadzka do baraku stanowiła zatem pierwszy krok w kierunku egzaminu dojrzałości. Wrażenie wyzwolenia mieszało się ze strachem. *Jeszcze rok i wreszcie koniec z... Jeszcze rok i trzeba będzie...* Te wahania nastroju znajdowały wyraz w sposobie, w jaki uczniowie przechodzili do baraku, nonszalancko, a jednocześnie lekliwie. Teraz, czterdzieści lat później w pociągu do Irún, Gregorius nadal pamiętał, jak to było.

Popołudnie zaczęło się od lekcji greki. Nauczał rektor, poprzednik Kägiego. Miał piękny charakter pisma i sprawiał wrażenie, że maluje litery, a zwłaszcza zaokrąglenia – na przykład w omedze lub tecie, albo gdy wyciągał etę w dół – to była czysta kaligrafia. Kochał grekę. *Jednak kochają w niewłaściwy sposób*, myślał Gregorius, siedzący z tyłu klasy. Nie chodziło o to, że nauczyciel celebrował słowa. Gdyby o to chodziło, Gregoriusowi podobałaby się jego postawa. Ale gdy ów człowiek niczym wirtuoz wypisywał najtrudniejsze i najrzadsze formy czasowników, nie celebrował *słów*, lecz *samego siebie* jako kogoś, kto to potrafi. Słowa były zatem tylko dekoracjami, którymi się przystrajał, czymś na wzór muchy w kropki, którą rektor nosił rok w rok. Wypływały z kreślącej je dłoni z sygnetem, jakby same także stanowiły rodzaj sygnetu, ozdoby szlachetnej i równie zbędnej. Właśnie dlatego *greckie* słowa przestawały być naprawdę greckimi słowami. Jakby złoty pył z sygnetu niszczył ich grecką istotę, która ukazywała się tylko temu, kto chciał ją kochać dla niej samej. Poezja była dla rektora niczym wyszukany mebel, wyborne wino lub elegancki strój wieczorowy. Gregorius miał wrażenie, że przez owo zadowolenie z siebie nauczyciel kradł mu wersy Ajschylosa i Sofoklesa. Wydawał się nic nie wiedzieć o greckim teatrze. A raczej wiedział o nim wszystko, często bywał w Grecji, na naukowych wyjazdach, z których wracał opalony. Ale nic nie *rozumiał* – choć Gregorius nie umiałby powiedzieć, co ma na myśli.

Wyglądał przez otwarte okno baraku i myślał o słowach matki, słowach, które doprowadziły do wrzenia jego wściekłość na próżność rektora, mimo

że nie potrafił wyjaśnić związku między nimi. Czuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Jednym spojrzeniem na tablicę upewnił się, że minie jeszcze trochę czasu, nim nauczyciel dokończy pisać rozpoczęte zdanie i obróci się do uczniów z wyjaśnieniem. Gdy inni przepisywali pochyleni, bezszelestnie odsunął krzesło. Otwarty zeszyt zostawił na ławce. Powoli i z napięciem, jak ktoś, kto przygotowuje niespodziewany atak, postąpił dwa kroki ku oknu, usiadł na parapecie, przełożył nogi i znalazł się na zewnątrz.

Ostatnie, co zobaczył, to była zdumiona i rozbawiona twarz Evy, dziewczyny o rudych włosach, piegowatej cerze i jasnym spojrzeniu, które ku jego rozpaczy nigdy nie skierowało się na niego, chłopaka w grubych okularach w okropnych oprawkach, inaczej niż drwiąco. Eva obróciła się do sąsiadki z ławki i wyszeptala jej coś do ucha. „Niewiarygodne!”, powiedziała zapewne. Mówiła to przy każdej okazji. Dlatego przezywano ją *Niewiarygodną*. „Niewiarygodne!”, powiedziała, gdy dowiedziała się o swoim przezwisku.

Gregorius szybkim krokiem udał się na Bärenplatz. Był dzień targowy, na placu stał stragan przy straganie, nie mógł więc swobodnie przejść. Gdy tłum zmusił go, by przystanął przy jednym ze stoisk, spojrzenie Gregoriusa padło na otwartą kasę, proste, metalowe pudełko z szufladą na monety i drugą na banknoty, których uzbierał się już gruby stosik. Sprzedawczyni pochylała się właśnie i przekładała towary, wystawiając szeroki zadek pod opiętą spódnicą w kratę. Gregorius przysunął się powoli do kasy, a jego wzrok wędrował po stojących w pobliżu ludziach. Dwa kroki i znalazł się za ladą, chwycił z kasy zwitek banknotów, po czym zanurkował w tłum. Kiedy ciężko dysząc, szedł ulicą prowadzącą na dworzec i zmuszał się do zachowania spokojnego kroku, czekał, aż ktoś za nim zawoła albo mocno go schwyci. Jednak nic takiego się nie stało.

Mieszkali przy Länggasse, w szarej kamienicy z brudnym tynkiem, a gdy Gregorius znalazł się na klatce schodowej, w której od rana do wieczora pachniało kapustą, zobaczył w wyobraźni, jak wchodzi do pokoju chorej matki i zaskakuje ją wiadomością, że już wkrótce zobaczy morze. Dopiero na ostatnim stopniu schodów, przed drzwiami mieszkania uświadomił sobie, że cała sprawa była niemożliwa, wręcz niedorzeczna. Jak miał wyjaśnić matce, a potem ojcu, skąd nagle wziął tyle pieniędzy? On, który nigdy nie ćwiczył się w kłamstwie?

W drodze powrotnej na Bärenplatz kupił kopertę i włożył do niej zwitek banknotów. Kiedy ponownie stanął przy stoisku, zobaczył, że kobieta w spódnicy w kratę miała zapłakaną twarz. Kupił owoce, a gdy kobieta ważyła je w rogu straganu, wsunął kopertę pod towary. Na krótko przed dzwonkiem znalazł się z powrotem w szkole, wszedł przez otwarte okno do baraku i usiadł na swoim miejscu.

„Niewiarygodne!”, powiedziała na jego widok Eva i zaczęła odnosić się do niego z większym szacunkiem niż dotychczas. Jednak nie było to tak ważne, jak się spodziewał. Ważniejsze okazało się, że zdobyta w ciągu tej godziny wiedza o sobie samym nie napełniła go przerażeniem, tylko wielkim zdumieniem, które pobrzmiwało w nim jeszcze przez wiele tygodni.

Pociąg ruszył z dworca w Bordeaux w kierunku Biarritz. Prawie zapadła noc i Gregorius widział swoje odbicie w szybie przedziału. Co by się z nim stało, gdyby o jego życiu decydował ten, który wówczas zabrał pieniądze z kasy, a nie ten, który tak bardzo pokochał stare, milczące słowa, że cenił je ponad wszystko inne? Co miały ze sobą wspólnego tamta i obecna wyprawa? Czy w ogóle miały ze sobą coś wspólnego?

Gregorius sięgnął po książkę Prado i przeglądał ją, aż natrafił na lakoniczny fragment, który przetłumaczył mu właściciel hiszpańskiej księgarni przy Hirschengraben:

Jeśli naprawdę jest tak, że możemy przeżyć tylko małą część tego, co się w nas znajduje – co dzieje się z resztą?

W Biarritz do przedziału wsiedli mężczyzna i kobieta, stanęli przy siedzeniu Gregoriusa i zaczęli rozmawiać o zarezerwowanych miejscach. *Vinte e oito*. Chwilę trwało, nim rozpoznał powtarzające się dźwięki jako portugalskie słowa i potwierdziło się jego przypuszczenie: dwadzieścia osiem. Skoncentrował się na tym, co mówili pasażerowie, i w ciągu następnej półgodziny od czasu do czasu udało mu się rozróżnić kilka słów, ale niewiele. Jutro rano znajdzie się w mieście, gdzie większość tego, co mówią ludzie, będzie brzmieć dla niego niezrozumiale. Pomyślał o Bubenberplatz, Bärenplatz, Bundesterrasse, Kirchenfeldbrücke.

Tymczasem zrobiło się całkiem ciemno. Gregorius wymacał dłonią pieniądze, kartę kredytową i zapasowe okulary. Bał się.

Wjechali na dworzec Hendaye przy granicy francuskiej. Wagon opustoszał. Gdy Portugalczycy to zauważyli, przestraszyli się i chwycili za bagaże na półce. „*Isto ainda não é Irún*”, powiedział Gregorius – to jeszcze nie Irún. Było to zdanie z kursu językowego, zmienił tylko nazwę miejscowości. Portugalczycy zawahali się, słysząc jego nieporadną wymowę i powolnie składane słowa. Wyjrżeli jednak na zewnątrz i dostrzegli tablicę z nazwą dworca. „*Muito obrigada*”, powiedziała kobieta. „*De nada*”, odparł Gregorius. Portugalczycy usiedli, pociąg ruszył.

Gregorius miał nigdy nie zapomnieć tej sceny. Były to jego pierwsze słowa wypowiedziane po portugalsku w prawdziwym świecie i zadziałały. To, że słowa oddziaływały, że mogły wprowadzić kogoś w ruch albo zatrzymać, doprowadzić do śmiechu lub łez – fakt ten już w dzieciństwie był dla niego zagadkowy i nigdy nie przestał go oszalać. W jaki sposób słowa to sprawiały? Czy ich moc nie przypominała magii? W tej chwili jednak misterium wydawało się większe niż zwykle, ponieważ wypowiedział słowa, o których jeszcze wczoraj rano nie miał pojęcia. Gdy kilka minut później Gregorius postawił stopę na peronie w Irún, cały jego strach się ulotnił, a on sam pewnym krokiem udał się do wagonu sypialnego.

6 Dochodziła dziesiąta, gdy pociąg, który do rana miał przemierzyć cały Półwysep Iberyjski, ruszył, zostawiając za sobą jedno po drugim przytłumione dworcowe światła, i zanurzył się w ciemność. Oba przedziały obok przedziału Gregoriusa były puste. W drugim od strony wagonu restauracyjnego siedział szczupły, wysoki mężczyzna o szpakowatych włosach. „*Boa noite*”, powiedział, gdy spotkały się ich spojrzenia. „*Boa noite*”, odparł Gregorius.

Gdy nieznajomy usłyszał nieporadną wymowę, po jego twarzy przebiegł uśmiech. Była to delikatnie uformowana twarz o wyrazistych, zdecydowanych rysach, które miały w sobie coś wytwornego i zdystansowanego. Ciemne ubranie mężczyzny charakteryzowała wyraźna elegancja przywodząca Gregoriusowi na myśl foyer opery. Tylko poluzowany krawat nie pasował do całości. Mężczyzna skrzyżował ręce na kamizelce, oparł głowę o drzwi i zamknął oczy. Twarz z zamkniętymi oczami sprawiała wrażenie bardzo bladej i epatowała zmęczeniem, które musiało być związane z czymś więcej niż tylko późną porą. Gdy po kilku minutach pociąg nabrał pełnej prędkości, mężczyzna otworzył oczy, skinął Gregoriusowi głową i znikł w swoim przedziale.

Gregorius dałby wszystko za to, by móc zasnąć, jednak monotony stukot kół, który wyczuwał, leżąc na łóżku, nie pomagał. Usiadł i przycisnął czoło do szyby. Za oknem przemykały małe, opuszczone dworce, mleczone, rozmyte kule światła, błyskawicznie uciekające, nieczytelne nazwy miejscowości, nieruchome wagony towarowe, głowa w czapce w domku dróżnika, beżowski pies, plecak, a nad nim szopa blond włosów. Pewność, którą zyskał dzięki pierwszym wypowiedzianym po portugalsku słowom, zaczęła się kruszyć. *Niech pan po prostu zadzwoni. W dzień lub w nocy.* Usłyszał głos Doxiadesa i przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie przed dwudziestu laty, gdy Grek mówił jeszcze z silnym akcentem.

„Ślepy? Nie. Po prostu nie miał pan szczęścia z oczami. Będziemy regularnie kontrolować siatkówkę. Poza tym jest teraz laser. Nie ma powodu do paniki”. Odprowadzając go do drzwi, przystanął i rzucił mu uważne spojrzenie. „Poza tym jakieś zmartwienia?”.

Gregorius w milczeniu pokręcił głową. O tym, że przeczuwa nadchodzący rozwód z Florence, powiedział mu dopiero kilka miesięcy później. Grek pokiwał głową, nie wydawał się zaskoczony. *Czasami człowiek boi się czegoś, ponieważ boi się czego innego,* stwierdził.

Na krótko przed północą Gregorius poszedł do wagonu restauracyjnego. Wagon był pusty, siedział w nim tylko mężczyzna o szpakowatych włosach i grał z kelnerem w szachy. Właściwie wagon jest zamknięty, powiedział kelner, ale potem przyniósł Gregoriusowi wodę mineralną i gestem zaprosił go, by usiadł przy ich stole. Gregorius szybko zauważył, że mężczyzna,

który założył okulary w złotych oprawkach, właśnie miał wpaść w wyrefinowaną pułapkę kelnera. Już z dłonią na figurze mężczyzna spojrzał na niego, a Gregorius pokręcił głową, i tamten cofnął rękę. Kelner, człowiek o stwardniałych dłoniach i surowych rysach twarzy, które nie zdradzały talentu szachisty, popatrzył zaskoczony. Mężczyzna w złotych oprawkach obrócił szachownicę w stronę Gregoriusa i zaprosił go gestem, by grał dalej. Była to długa, zaciekle walka, i dochodziła już druga, gdy kelner się poddał.

Kiedy później stanęli przed drzwiami przedziału, mężczyzna spytał Gregoriusa, skąd pochodzi, a potem rozmawiali po francusku. Nieznajomy powiedział, że jeździ tym pociągiem raz na dwa tygodnie, ale tylko raz udało mu się wygrać z kelnerem, choć zwykle wygrywa z innymi szachistami. Przedstawił się: Jose António da Silveira, jest biznesmenem i sprzedaje porcelanę w Biarritz, a ponieważ boi się latać, jeździ pociągami.

– Ale kto zna prawdziwe powody swojego lęku – stwierdził po chwili i na jego twarzy ponownie pojawiło się wyczerpanie, które Gregorius zauważył już wcześniej.

Gdy Silveira opowiadał, jak przejął po ojcu mały zakład i przekształcił go w dużą firmę, mówił o sobie jak o kimś innym, kto podejmował zrozumiałe, ale w sumie nietrafne decyzje. Mówił tak również, gdy opowiadał o swoim rozwodzie i dwójce dzieci, które rzadko widywał. W jego głosie słychać było rozczarowanie i smutek, lecz Gregorius z pewnym podziwem zauważył, że nie było to uzalanie się nad sobą.

– Problem polega na tym – powiedział Silveira, gdy pociąg stał na dworcu w Valladolid – że nie mamy pełnego oglądu naszego życia. Ani jeśli chodzi o przyszłość, ani o przeszłość. Kiedy coś się układa, znaczy to, że po prostu mieliśmy szczęście. – Niewidoczny młot uderzył kontrolnie w hamulce. – A jak pan znalazł się w tym pociągu?

Siedzieli na łóżku Silveiry i Gregorius opowiedział mu swoją historię. O Portugalce na moście nie wspomniał. Z czegoś takiego mógł zwierzyć się Doxiadesowi, ale nie obcej osobie. Cieszył się, że Silveira nie poprosił go, by przyniósł książkę Prado. Nie chciał, by ktoś inny ją czytał i wypowiadał się na ten temat.

Gdy skończył, zapadła cisza. Silveira namyślał się, Gregorius poznał to po sposobie, w jaki tamten obracał sygnet, i po krótkich, nieśmiałych

spojrzeniach, które mu rzucał.

– I po prostu wstał pan i wyszedł ze szkoły? Tak po prostu?

Gregorius skinął głową. Nagle zaczął żałować, że o tym opowiedział, wydawało mu się, że w rezultacie zagrożone zostało coś cennego. Powiedział, że spróbuje już zasnąć. Wtedy Silveira wyjął notes. Czy może mu powtórzyć słowa Marka Aureliusza o drgnieniach duszy? Gdy Gregorius wychodził z przedziału, mężczyzna siedział pochylony nad notesem i wodził długopisem po zapisanym tekście.

Gregorius śnił o czerwonych cedrach. Słowa *cedros vermelhos* pojawiały się niczym błędne ogniki w niespokojnych wizjach. Była to nazwa wydawnictwa, w którym ukazały się zapiski Prado. Do tej pory nie poświęcił jej większej uwagi. Dopiero pytanie Silveiry, jak chce odnaleźć autora, przypomniało mu, że w następnej kolejności powinien zlokalizować wydawnictwo. Może książka ukazała się prywatnym nakładem, pomyślał, zasypiając. Wtedy czerwone cedry miałyby znaczenie zrozumiałe jedynie dla Amadeu de Prado. We śnie błędził z tajemniczą nazwą na ustach i książką telefoniczną pod pachą po trudnych, wyjątkowo stromych uliczkach Lizbony, zagubiony w pozbawionym twarzy mieście, o którym wiedział tylko, że leżało na wzgórzach.

Gdy Gregorius obudził się około szóstej i przez okno przedziału dostrzegł napis SALAMANCA, bez najmniejszej zapowiedzi otworzyła się w nim śluza wspomnień, która pozostawała zamknięta przez czterdzieści lat. Pierwsze, co uwolniła, była nazwa innego miasta: *Isfahan*. Nagle przypomniał sobie o tym perskim mieście, do którego chciał pojechać po zakończeniu szkoły. Nazwa, nosząca w sobie tyle tajemniczej obcości, brzmiała teraz niczym klucz do innego potencjalnego życia, którym nie odważył się żyć. Gdy pociąg ruszał z dworca w Salamance, Gregorius raz jeszcze po tak długim czasie przeżył doznania, które otworzyły wtedy, a także zamknęły owo inne życie.

Zaczął się od tego, że nauczyciel hebrajskiego już po roku nauki polecił im przeczytać Księgę Hioba. Gregorius był oszołomiony, gdy zaczął rozumieć obce zdania i otworzyła się przed nim droga prowadząca do Orientu. U Karola Maya Orient brzmiał bardzo niemiecko, nie tylko z powodu języka. Teraz jednak, w tej księdze, którą czytało się od tyłu do

przodu, brzmiał jak prawdziwy Orient. Elifaz z Temanu, Bildad z Szuach i Sofar z Naamy. Trzej przyjaciele Hioba. Już same imiona o odurzającym, obcym brzmieniu wydawały się pochodzić zza oceanów. Cóż za cudowny, podobny sennemu marzeniu świat!

Potem przez jakiś czas Gregorius chciał zostać orientalistą. Kimś, kto zna się na *Wschodzie*. Uwielbiał to słowo, prowadziło go poza Länggasse, w jasne światło. Na krótko przed maturą ubiegał się o stanowisko prywatnego nauczyciela dzieci szwajcarskiego przemysłowca, który przebywał w Isfahanie. Ojciec niechętnie – pełen troski, ale także obaw przed pustką, jaką pozostawi po sobie syn – dał mu trzynaście franków trzydzieści rappów na gramatykę perską, a Gregorius na małej tablicy w swoim pokoju umieścił orientalne litery.

Później jednak zaczął prześladować go sen, sen, który zdawał się trwać całą noc. Był to zupełnie prosty sen, a część udręki spowodowana była właśnie ową prostotą, która zdawała się nasilać, im częściej obraz powracał. Sen bowiem składał się właściwie z jednego tylko obrazu – gorący orientalny piasek, pustynny piasek, biały i ognisty, rozżarzony oddech Persji, sypie się mu na okulary i osadza się na nich jak rozpalona skorupa, która zasłania cały widok, a potem szkła zaczynają się topić i palić oczy.

Po dwóch, trzech tygodniach, kiedy sen atakował go wciąż na nowo i prześladował nawet za dnia, Gregorius oddał gramatykę perską i zwrócił ojcu pieniądze. Trzy franki trzydzieści rappów, które wolno mu było zachować, włożył do małej puszki i miał wrażenie, jakby oto posiadał perskie monety.

Cóż by się z nim stało, gdyby pokonał strach przed palącym piaskiem Orientu i pojechał? Gregorius wspominał zimną krew, z jaką sięgnął do kasy straganiarki na Bärenplatz. Czy wystarczyłaby, aby poradzić sobie ze wszystkim, co rzuciłby na niego Isfahan? *Papirus*. Dlaczego coś, co przez lata uważał za nieszkodliwy żart, nagle tak bolało?

Gdy Gregorius wszedł do wagonu restauracyjnego, talerz Silveiry był już pusty, a portugalska para, z którą poprzedniego wieczoru zamienił pierwsze słowa w nowym języku, piła drugą kawę.

Poprzednią godzinę spędził, leżąc w łóżku i rozmyślając o listonoszu, który około dziewiątej zjawiał się w holu gimnazjum i oddawał listy

dozorcy. Dziś odda także jego list. Kägi nie będzie mógł uwierzyć własnym oczom. Mundus porzucił swoje życie. Każdy inny, ale przecież nie on. Wiadomość rozejdzie się po schodach w górę i w dół, na stopniach przed wejściem do budynku uczniowie będą rozmawiać tylko o tym.

Gregorius w myślach odwiedził każdego z kolegów z pracy i wyobraził sobie, co pomyślą, poczują, powiedzą. Poczynił przy tym odkrycie, które przeszyło go niczym porażenie prądem w przypadku żadnego z nich nie miał pewności. Początkowo wszystko wydawało się jasne, na przykład major Burri, gorliwy parafianin, uznał to za niezrozumiałe, wręcz nienaturalne i naganne, bo przecież co teraz będzie z zajęciami. Anita Mühletaler, która niedawno się rozwiodła, pokiwała zamyślona głową, potrafi sobie to wyobrazić, choć sama by tak nie postąpiła. Kalbermatten, bawidamek i potajemny anarchista z Saas Fee, oznajmi zapewne w pokoju nauczycielskim: „Właściwie czemu nie?”, a Virginie Ledoyen, nauczycielka francuskiego, której przygięta postać głęboko kontrastowała z dumnym nazwiskiem, zareaguje na wiadomość ostrym, sędziowskim spojrzeniem. Początkowo wszystko było jasne. Jednak potem Gregorius przypomniał sobie, że przed kilkoma miesiącami widział świętoszkowatego ojca rodziny Burriego w towarzystwie jakiejś blondynki w krótkiej spódniczce, dziewczyna wydawała się kimś więcej niż jego znajomą. Że Anita Mühletaler potrafiła być bardzo małostkowa, jeśli uczniowie pozwalali sobie na zbyt wiele. Że Kalbermatten okazywał się tchórzem, gdy chodziło o sprzeciwienie się Kägiemu, a Virginie Ledoyen łatwo dawała się zmiękczyć i owinać wokół palca niektórym potrafiącym ją podejść uczniom.

Czy można było na tej podstawie wyciągnąć jakieś wnioski? Wnioski dotyczące nastawienia kolegów do niego samego i jego zaskakującego czynu? Czy miał prawo liczyć na ciche zrozumienie, a nawet potajemną zazdrość? Gregorius podniósł się i wyjrzał przez okno. Krajobraz zanurzony był w połyskującej srebrno zieleni gajów oliwnych. Zażyłość, jaka przez te wszystkie lata łączyła go z kolegami, okazała się zakrzepłą niewiedzą, która przerodziła się w złudne przyzwyczajenie. I właściwie czy było dla niego ważne – naprawdę ważne – by wiedzieć, co tamci myśleli? Czy nie wiedział tego tylko z powodu zaspanego umysłu, a może właśnie

uświadamiał sobie obcość, która zawsze istniała, ale kryła się za społecznymi rytuałami?

W porównaniu z twarzą, która w półmroku nocnego przedziału wydawała się przejrzysta – przejrzysta dla uczuć, które przedzierały się z wewnątrz, i dla zewnętrznego spojrzenia, które chciało ją zgłębić – rysy Silveiry były tego ranka zamknięte. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby żałował, że w intymnej atmosferze przedziału, gdzie pachniało wełnianymi kocami i środkami dezynfekcyjnymi, otworzył się przed obcym człowiekiem, Gregorius z wahaniem usiadł więc przy jego stoliku. Jednak wkrótce zrozumiał – w surowych, opanowanych rysach nie odbijały się dystans i odrzucenie, lecz zamyślenie, które zdradzało, że spotkanie z Gregoriusem wywołało w Silveirze skomplikowane, zaskakujące dla niego samego doznania, i mężczyzna próbował się do nich ustosunkować.

Wskazał na telefon leżący obok filizanki. – Zarezerwowałem dla pana pokój w hotelu, w którym często spotykam się z partnerami w interesach. Oto adres.

Podał Gregoriusowi wizytówkę ze wskazówkami wypisanymi na tylnej stronie. Potem stwierdził, że przed przyjazdem musi jeszcze przejrzeć różne dokumenty, i chciał wstać. Zatrzymał się jednak, a sposób, w jaki spojrzał na Gregoriusa, dowodził, że musiało w nim coś drgnąć. Spytał, czy Gregorius nigdy nie żałował, że poświęcił życie językom antycznym. Z pewnością oznaczało to bardzo spokojną, wyciszoną egzystencję.

Uważasz mnie za nudziarza? Gregorius przypomniał sobie, jak poprzedniego dnia rozmyślał nad pytaniem, które wtedy skierował do Florence, a wspomnienie to musiało w jakiś sposób uwidocznić się na jego twarzy, bo Silveira poprosił przestraszony, by nie rozumiał jego słów opacznie, próbował bowiem tylko wyobrazić sobie, jak wyglądałoby takie życie, zupełnie inne niż jego.

– To życie, którego pragnąłem – odparł Gregorius, lecz już wtedy, gdy słowa formowały się w jego ustach, poczuł lęk, że w zdecydowaniu, z jakim je wypowiedział, kryła się przekora. Jeszcze dwa dni temu, gdy wszedł na most Kirchenfeld i zobaczył czytającą list Portugalkę, nie potrzebowałyby tej przekory. Powiedziałyby dokładnie to samo, ale słowa nie

miałyby takiego zabarwienia, lecz wydostałyby się z jego ust niczym niezauważalny, spokojny wydech.

I dlaczego pan tu usiadł? Gregorius bał się takiego pytania i przez chwilę elegancki Portugalczyk przypominał mu inkwizytora.

Silveira spytał, ile czasu potrzeba, by nauczyć się greki. Gregorius odetchnął i udzielił odpowiedzi, która okazała się o wiele za długa. Podsuwając serwetkę, Silveira poprosił, by napisał dla niego kilka słów po hebrajsku.

Wtedy Bóg rzekł: „Niechaj się stanie światłość!”. *I stała się światłość* [Rdz 1,3]^[2], napisał Gregorius i przetłumaczył.

Zadzwoił telefon Silveiry. Gdy Portugalczyk skończył rozmowę, powiedział, że musi już iść. Wsunął serwetkę do kieszeni marynarki. – Które słowo oznacza światłość? – spytał, jeszcze stojąc, a w drodze do drzwi powtarzał to słowo pod nosem.

Szeroka rzeka widoczna za oknem musiała być Tagiem. Gregorius drgnął – oznaczało to, że wkrótce przyjadą na miejsce. Poszedł do przedziału, który konduktor składający łóżka zdążył już przekształcić w zwykły przedział z pluszowymi siedzeniami, i usiadł przy oknie. Nie chciał, by podróż się skończyła. Co będzie robił w Lizbonie? Miał zarezerwowany pokój. Da chłopcu hotelowemu napiwek, zamknie drzwi, odpocznie. A potem?

Z ociąganiem wyjął książkę Prado i przerzucił kilka stron.

SAUDADE PARADOXAL. PARADOKSALNA TĘSKNOTA. *Przez 1922 dni uczęszczałem do liceum, do którego posłał mnie ojciec, liceum o najsurowszej dyscyplinie w kraju, jak mówiono. „Nie musisz być uczonym”, powiedział ojciec i spróbował się uśmiechnąć, co najczęściej mu się nie udawało. Już trzeciego dnia stało się dla mnie jasne, że muszę zacząć liczyć dni, by mnie nie zdruzgotały.*

Gdy Gregorius sprawdzał w słowniku słowo „zdruzgotać”, pociąg zajechał na dworzec Santa Apolonia w Lizbonie.

Te kilka zdań go wciągnęło. Były to pierwsze zdania zdradzające coś na temat zewnętrznego życia Portugalczyka. Uczeń w surowej szkole, liczący dni do zakończenia, syn ojca, któremu zwykle nie udawało się uśmiechnąć. Czy to stanowiło źródło tłumionej wściekłości przebijającej ze słów Prado? Gregorius nie umiał stwierdzić dlaczego, ale chciał się dowiedzieć więcej o tej wściekłości. Dostrzegł pierwsze rysy na portrecie kogoś, kto żył tu, w tym mieście. Kogoś, z kim chciał mieć więcej do czynienia. Czuł się tak, jakby w przeczytanych zdaniach miasto wychodziło mu naprzeciw. Jakby właśnie przestało być całkiem obcym miastem.

Wziął bagaż i wyszedł na peron. Silveira czekał na niego. Zaprowadził go do taksówki i podał kierowcy adres hotelu. – Ma pan moją wizytówkę – powiedział do Gregoriusa i uczynił krótki gest pożegnania.

7 Gdy Gregorius się obudził, było późne popołudnie, a zmierzch powoli okrywał zachmurzone miasto. Zaraz po przyjeździe Gregorius położył się w ubraniu na łóżku i zapadł w ołowiany sen, w którym nie opuszczało go wrażenie, że właściwie nie powinien sobie pozwolić na sen, bo ma tysiące rzeczy do zrobienia, rzeczy bez nazwy, ale przez to nie mniej pilnych, wręcz przeciwnie, fantomowa bezimiennność sprawiała, że natychmiast należało się nimi zająć, aby zapobiec wydarzeniu się czegoś złego, czegoś, co nie dawało się nazwać. Gdy obmywał sobie w łazience twarz, poczuł z ulgą, jak wraz z otępieniem ustępuje w nim lęk, że będzie winny jakiegoś zaniedbania.

Przez następną godzinę siedział przy oknie i na próżno usiłował uporządkować myśli. Od czasu do czasu jego wzrok kierował się ku torbie podróźnej, która nierozpakowana stała w rogu pokoju. Gdy zapadła noc, zszedł do recepcji i poprosił, by zadzwoniono na lotnisko i zapytano, czy tego dnia jest jeszcze lot do Zurychu lub Genewy. Lotu nie było, a kiedy Gregorius jechał windą na górę, poczuł ze zdziwieniem, że ogarnia go ulga. Potem siedział w ciemności na łóżku i starał się zrozumieć owo zaskakujące poczucie ulgi. Wybrał numer Doxiadesa i czekał, aż dzwonek

rozlegnie się dziesięć razy, nim odłożył słuchawkę. Otworzył książkę Amadeu de Prado i czytał dalej od miejsca, w którym skończył na dworcu.

Sześć razy dziennie słyszałem bicie dzwonu na wieży, który oznajmiał początek zajęć i rozbrzmiewał tak, jakby wzywał mnichów do modlitwy. W sumie 11532 razy zaciskałem zęby i wracałem z podwórza do ciemnego budynku, zamiast pójść za głosem wyobraźni, wiodącym mnie przez bramę do portu, ku relingom parowca, na którego pokładzie zlizywałem sól z warg.

Teraz, trzydzieści lat później, wciąż powracam do tego miejsca. Nie ma ku temu najmniejszego praktycznego powodu. Dlaczego zatem? Siedzę na omszałych, popękanych schodach przed wejściem i nie mam pojęcia, dlaczego serce podchodzi mi do gardła. Dlaczego przepętnia mnie zazdrość, gdy widzę, jak uczniowie o brązowych nogach i lśniących włosach wchodzi i wychodzą, jakby czuli się tu zdomowieni? Czego im zazdrozczę? Niedawno, gdy w gorący dzień otworzono okna, usłyszałem głosy nauczycieli i jękających się, przestraszonych uczniów, odpowiadających na pytania, które mnie także przerażały. Raz jeszcze siedzieć tam w środku – nie, na pewno tego nie pragnąłem. W chłodnym mroku długich korytarzy napotkałem dozorcę, mężczyznę z wysuniętą naprzód ptasią głową, który rzucił mi nieufne spojrzenie. „Czego pan tu szuka?”, spytał, gdy już go minąłem. Miał astmatyczny, świszczący głos, brzmiący tak, jakby dochodził z sali sądowej w zaświatach. Zatrzymałem się, ale nie obróciłem. „Chodziłem tu do szkoły”, powiedziałem i poczułem wobec siebie pogardę, gdy usłyszałem, jak ochrypli jest mój głos. Przez kilka sekund na korytarzu panowała zupełna, niesamowita cisza. Potem stojący za moimi plecami mężczyzna ruszył dalej, szurając nogami. Poczuliem się przyłapany, ale na czym?

Ostatniego dnia końcowych egzaminów wszyscy staliśmy przy ławkach w szkolnych czapkach na głowach, wyglądało to tak, jakbyśmy stali na baczność. Senhor Cortês równym krokiem podchodził po kolei do każdego z nas, z surową jak zwykle miną oznajmiał końcowy wynik i wręczał świadectwo, patrząc nam prosto w oczy. Mój sąsiad z ławki przyjął świadectwo poblady i bez cienia radości, a potem trzymał je w złożonych dłoniach niczym Biblię. Największy nieuk, opalony na brązowo ulubieniec dziewczyn, rzucił z chichotem swoje świadectwo na ziemię, jakby to był śmieć. Potem wyszliśmy na południowy żar lipcowego dnia. Co można było, co należało zrobić z czasem, który oto mieliśmy przed sobą, otwarty i nieukształtowany, lekki jak piórko dzięki wolności i ciężki jak ołów z powodu niepewności?

Nigdy przedtem ani potem nie przeżyłem czegoś, co równie dobitnie i wyraźnie jak poniższa scena ukazałoby mi, jak różni są ludzie. Klasowy nieuk jako pierwszy zdjął czapkę, obrócił się z rozmachem na pięcie i rzucił czapkę przez płot otaczający szkolne podwórze do stawu, gdzie powoli nasiąkła wodą i w końcu znikła pośród lilii wodnych. Trzech, czterech innych poszło za jego przykładem, a jedna z czapek zawisła na płocie. Mój sąsiad z ławki poprawił czapkę na głowie, przestraszony i oburzony, nie dało się stwierdzić, które odczucie w nim przeważa. Co zrobi jutro rano, gdy nie będzie już miał powodu, by ją włożyć? Największe wrażenie zrobiło jednak na mnie to, co zaobserwowałem w zacienionym rogu podwórza. Ktoś na wpół ukryty za zakurzonym krzewem próbował schować swoją czapkę do teczki. Nie chciał jej tam po prostu wepchnąć, wyraźnie świadczyły o tym powolne ruchy. Próbował na różne sposoby ostrożnie schować czapkę, wreszcie zrobił miejsce, wyjmując z teczki kilka książek, które niezręcznie i nieporadnie wsunął pod pachę. Gdy się obrócił i rozejrzał wokół, w jego oczach można było wyczytać zarówno nadzieję, że nikt nie dostrzegł go przy

tych zawstydzających czynnościach, jak i ostatni, niemal zatarty przez doświadczenie ślad dziecinnej myśli, że przez odwrócenie wzroku można stać się niewidzialnym.

Jeszcze dziś czuję, jak obracam w dłoniach własną przepoconą czapkę, to w jedną, to w drugą stronę. Siedziałem wtedy na ciepłym mchu schodów wejściowych i rozmyślałem o władczym życzeniu mego ojca, bym został lekarzem – a zatem kimś, kto potrafi uwolnić podobnych mu ludzi od bólu. Kochałem go za jego zaufanie i przeklinałem z powodu przytłaczającego brzemienia, które nałożył na mnie tym dotkliwym życzeniem. Tymczasem dołączyły do nas uczennice ze szkoły dla dziewcząt. „Cieszysz się, że już koniec?”, spytała Maria João i usiadła obok. Zmierzyła mnie spojrzeniem. „A może jest ci smutno z tego powodu?”.

Teraz wreszcie wydaje mi się, że wiem, co wciąż zmusza mnie, by jeździć do szkoły – chciałbym wrócić do tych chwil na podwórzu, kiedy spadła z nas przeszłość, ale przyszłość jeszcze się nie zaczęła. Czas stanął i wstrzymał oddech, jak nie uczynił tego już nigdy potem. Czy chcę wrócić do brązowych kolan Marii João i mydlanego zapachu jej jasnej sukienki? Czy może chodzi o pragnienie – podobne marzeniu, patetyczne pragnienie – by raz jeszcze znaleźć się w tamtym punkcie mego życia i móc wybrać zupełnie inny kierunek niż ten, który uczynił ze mnie człowieka, jakim jestem teraz?

To dość niezwykle pragnienie, ma posmak paradoksu i logicznego fenomenu. Ten bowiem, kto tego pragnie, nie jest tym samym człowiekiem, który nietknięty jeszcze przez przyszłość stoi na rozstaju dróg. Jest to raczej człowiek określony przez przemierzoną już przyszłość, która stała się przeszłością, i to on pragnie przywołać na powrót to, czego przywołać się nie da. Ale czy chciałby to przywołać, gdyby tego nie doznał? Jeszcze raz usiąść na ciepłym mchu i trzymać czapkę – to paradoksalne pragnienie, by

cofnąć się do czasu przed sobą samym i zabrać w tę podróż siebie samego, określonego przez to, co się zdarzyło. I czy można sobie wyobrazić, że tamten chłopak oparłby się życzeniu ojca i nie zaczął chodzić na wykłady z medycyny – tak jak czasem teraz tego pragnę? Czy mógłby postąpić w ten sposób i pozostać mną? Nie było we mnie wtedy nagromadzonych doświadczeń, przez które mógłbym chcieć wybrać na rozstaju inną ścieżkę. Cóż zatem dałoby mi cofnięcie czasu i, przez wymazanie jednego doświadczenia po drugim, przemienienie się na powrót w tamtego chłopaka, którego zauroczył świeży zapach sukienki Marii João i widok jej brązowych kolan? Ów chłopak z czapką musiałby się bardzo ode mnie różnić, by wybrać inny kierunek, taki, jakiego pragnąłbym dziś. W takim jednak przypadku jako inny człowiek nie stałby się także tym, który pragnie powrotu do dawnego rozstaju dróg. Czy mogę zatem pragnąć nim być? Wydaje mi się, że byłbym zadowolony, będąc nim. Ale to zadowolenie może istnieć tylko dla mnie, który jestem mną, a nie nim, i tylko jako spełnienie pragnień, które nie są jego pragnieniami. Gdybym naprawdę był nim, nie miałbym pragnień, których spełnienie tak by mnie zadowoliło, takich pragnień jak moje, gdy zapominam, że gdyby się spełniły, wcale bym ich nie miał.

Mimo to jestem pewien, że wkrótce ponownie obudzę się z pragnieniem, by jechać do szkoły i w ten sposób poddać się tęsknocie, której przedmiot nie może istnieć, ponieważ nie jest nawet wyobrażalny. Czy może być coś bardziej zwariowanego – poddawać się pragnieniu, które nie ma wyobrażalnego przedmiotu?

Dochodziła już północ, gdy Gregorius wreszcie zyskał pewność, że zrozumiał trudny tekst. Prado był zatem lekarzem i został nim, ponieważ ojciec, któremu zwykle nie udawało się uśmiechnąć, wyraził takie władcze życzenie, życzenie nie wynikające z dyktatorskiej samowoli czy ojcowskiej

próżności, lecz z bezradności wywołanej przewlekłymi bólami. Gregorius stworzył książkę telefoniczną. Nazwisko Prado występowało w niej czternaście razy, ale nie obok imienia Amadeu, Inácio czy Almeida. Dlaczego zakładał, że Prado mieszkał w Lizbonie? W spisie firm poszukał wydawnictwa Cedros vermelhos, na próżno. Czy będzie musiał przeszukać cały kraj? Czy to miało sens? Choćby najmniejszy sens?

Gregorius wyruszył do nocnego miasta. Spacerowanie po mieście po północy – robił to, odkąd ukończył dwadzieścia lat i utracił zdolność szybkiego zasypiania. Wałęsał się pustymi uliczkami Berna, przystawał od czasu do czasu i niczym ślepiec nasłuchiwał nielicznych odgłosów kroków, które zbliżały się i oddalały. Lubił zatrzymywać się przed ciemnymi wystawami księgarń i wyobrażać sobie, że ponieważ inni śpią, wszystkie te książki należą tylko do niego. Teraz powolnym krokiem wyszedł z bocznej uliczki, przy której znajdował się hotel, na szeroką Avenida da Liberdade i udał się w kierunku Baixy, dolnej części miasta, gdzie ulice rozchodziły się regularnie jak na szachownicy. Było zimno, a delikatna mgła tworzyła mleczną otokę wokół staromodnych latarni rzucających złote światło. Znalazł bar, gdzie zjadł na stojąco kanapkę i wypił kawę.

Prado wciąż na nowo siadywał na schodach szkoły i wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby wiódł zupełnie inne życie. Gregorius przypomniał sobie pytanie, które zadał mu Silveira i na które udzielił przekornej odpowiedzi, że ma życie, jakiego pragnął. Czuł, że obraz wątpliwego lekarza siedzącego na omszałych schodach oraz pytanie wątpliwego biznesmena w pociągu zachwiały w nim czymś, czymś, co na pewnych, dobrze znanych ulicach Berna nigdy nie zostałyby zachwiane.

Jedyny klient, który oprócz Gregoriusa znajdował się w barze, zapłacił i wyszedł. W nagłym, niezrozumiałym pośpiechu Gregorius również zapłacił i wyszedł za mężczyzną. Był to starszy człowiek, który powłóczył nogą i co chwila przystawał, by odpocząć. Gregorius szedł za nim, zachowując duży dystans, do Bairro Alto, górnego miasta, aż mężczyzna zniknął w drzwiach wąskiego odrapanego domu. Na parterze zapaliło się światło, odsunięto zasłonę i oto mężczyzna stanął w otwartym oknie z papierosem w ustach. Z ciemności bramy dającej schronienie Gregorius popatrzył na nieznanego i na oświetlone mieszkanie. Kanapa z wytartym obiciem. Dwa niepasujące do niej fotele. Gablotka z naczyniami i małymi,

kolorowymi figurkami z porcelany. Na ścianie krzyż. Ani jednej książki. Jak by to było być tym mężczyzną?

Gdy nieznajomy zamknął okno i zasunął zasłonę, Gregorius wyszedł z bramy. Stracił orientację i skręcił w pierwszą uliczkę wiodącą w dół. Nigdy jeszcze nie szedł za kimś, rozmyślając, jak by to było żyć obcym życiem zamiast swojego. Obudziła się w nim zupełnie nowa ciekawość, pasująca do nowego rodzaju przytomności, której doświadczył w pociągu i z którą wysiadł na Gare de Lyon w Paryżu wczoraj, a może kiedy indziej.

Od czasu do czasu przystawał i spoglądał przed siebie. Antyczne teksty, jego antyczne teksty także były przecież pełne postaci, które miały swoje życie, a czytanie i rozumienie owych tekstów oznaczało czytanie o tym życiu i rozumienie go. Dlaczego zatem teraz, kiedy miał do czynienia z portugalskim szlachcicem i kuśtykającym mężczyzną, wszystko wydawało się takie nowe? Na wilgotnym bruku stromej uliczki Gregorius stawiał niepewnie krok po kroku i odetchnął z ulgą, gdy rozpoznał Avenida da Liberdade.

Uderzenie zaskoczyło go, ponieważ nie usłyszał nadjeżdżającego na rolkach mężczyzny. Był to olbrzym, który mijając Gregoriusa, uderzył go łokciem w skroń i zrzucił mu okulary. Oszołomiony i nagle oślepiiony Gregorius przekuśtykał kilka kroków i ku swemu przerażeniu poczuł, jak staje na okularach, a te z trzaskiem pękają pod jego stopą. Zalała go fala paniki. *Niech pan nie zapomni o zapasowych okularach* – przypomniał sobie rozmowę przez telefon z Doxiadesem. Minęło kilka minut, zanim jego oddech się uspokoił. Gregorius ukląkł i poszukał odłamków szkielec i oprawek. To, co wyczuł, zgarnął na kupkę i owinął w chusteczkę. Powoli, z ręką przy ścianie domu, doczłapał do hotelu.

Nocny portier podskoczył przerażony, a gdy Gregorius zbliżył się do lustra w holu, zobaczył, że ze skroni kapie mu krew. W windzie przycisnął do rany chusteczkę, którą dał mu portier, a potem pobiegł korytarzem, drżącymi palcami otworzył drzwi i rzucił się do torby podróżnej. Poczuł na policzkach łyżę ulgi, gdy dłoń trafiła na chłodne metalowe etui z zapasowymi okularami. Włożył je, zmył krew i zakleił ranę na skroni plastrem, który dał mu portier. Było wpół do trzeciej. Na lotnisku nikt nie odbierał telefonu. Około czwartej Gregorius zasnął.

8 Gdyby następnego ranka Lizbona nie tonęła w tym oszałamiającym świetle, myślał później Gregorius, sprawy przybrałyby zapewne zupełnie inny obrót. Być może pojechałby na lotnisko i następnym samolotem wrócił do domu. Ale światło nie pozwoliło mu się wycofać. Blask sprawiał, że to, co minione, stawało się bardzo odległe, niemal nierzeczywiste, wola traciła wszelki cień dawnych spraw i jedyną możliwością było wyruszyć w przyszłość, cokolwiek miała przynieść. Berno przysypane śniegowymi płatkami leżało daleko, a Gregorius z trudem mógł uwierzyć, że minęły dopiero trzy dni, odkąd spotkał na moście Kirchenfeld zagadkową Portugalkę.

Po śniadaniu wybrał numer José Antonia de Silveiry. Zgłosiła się sekretarka. Spytał, czy może skierować go do okulisty, który mówi po niemiecku, francusku lub angielsku. Po półgodzinie sekretarka zadzwoniła, przekazała mu pozdrowienia od Silveiry i podała adres lekarki, do której chodziła jego siostra. Okulistka miała za sobą długą praktykę w szpitalach uniwersyteckich w Coimbrze i Monachium.

Gabinet znajdował się w dzielnicy Alfama, najstarszej części miasta za zamkiem. Gregorius powoli wyszedł na jasną ulicę i zawczasu ustępował każdemu, kto mógłby go potrącić. Czasami przystawał i przecierał sobie oczy za grubymi szklami. A więc to była Lizbona, miasto, do którego przyjechał, ponieważ przyglądając się swoim uczniom, nagle ujrzał własne życie od końca i ponieważ wpadła mu w ręce książka portugalskiego lekarza, którego słowa brzmiały tak, jakby zostały skierowane właśnie do niego.

Pomieszczenie, w którym znalazł się godzinę później, nie wyglądało wcale jak gabinet lekarski. Ciemna boazeria, oryginalne obrazy i grube dywany sprawiały wrażenie, jakby to było mieszkanie rodziny szlacheckiej, gdzie wszystko miało stałe miejsce i bezgłośnie toczyło się własnym rytmem. Gregoriusa nie zaskoczyło, że poczekalnia okazała się pusta. Ktoś, kto mieszkał w takich pokojach, nie musiał zarabiać na życie. Senhora

Eça przyjdzie za kilka minut, poinformowała kobieta za biurkiem. W niczym nie przypominała asystentki w gabinecie lekarskim. Jedyne, co świadczyło o wykonywanej pracy, to jasny ekran pełen nazwisk i liczb. Gregorius pomyślał o surowych, nieco zapuszczonych pomieszczeniach u Doxiadesa i jego śmiałej w obejściu pomocnicy. Nagle ogarnęło go poczucie, że dopuszcza się zdrady, a gdy otworzyły się jedne z wysokich drzwi i pojawiła się okulistka, ucieszył się, że nie musi dłużej przebywać sam z tym nierozsądnym wrażeniem.

Doutora Mariana Conceição Eça była kobietą o dużych ciemnych oczach, które budziły zaufanie. Płynnym niemieckim, z nielicznymi tylko błędami, przywitała Gregoriusa jako przyjaciela Silveiry i wiedziała już, o co chodzi. Spytała, skąd ten dziwny pomysł, by przeproszać za zamieszanie z powodu popsutych okularów. To oczywiste, że ktoś tak krótkowzroczny jak on musi mieć pewność, że ma zapasową parę.

Gregorius natychmiast całkowicie się uspokoił. Opadł głęboko na fotel przed jej biurkiem i zapragnął już nigdy nie musieć wstawać. Kobieta zachowywała się tak, jakby mogła mu poświęcić nieograniczenie dużo czasu, Gregorius jeszcze nigdy nie miał takiego wrażenia u lekarza, nawet u Doxiadesa, i było to nierealne, niemal jak we śnie. Przypuszczał, że okulistka wymierzy okulary, wykona zwyczajowe testy i odeśle go z receptą do optyka. Zamiast tego lekarka spytała najpierw o historię choroby, o wszystkie kolejne etapy i problemy. Gdy wreszcie podał jej okulary, spojrzała na niego badawczo.

– Jest pan człowiekiem, który nie sypia dobrze – stwierdziła.

Potem poprosiła go, by przeszedł do innej części gabinetu, do urządzeń pomiarowych.

Badanie trwało ponad godzinę. Przyrządy wyglądały inaczej niż u Doxiadesa, a senhora Eça studiowała stan oczu Gregoriusa z dokładnością kogoś, kto zaznajamia się z zupełnie nowym obszarem. Największe wrażenie wywarło na Gregoriusie to, że trzykrotnie powtórzyła testy ostrości widzenia. Między nimi następowały przerwy, kiedy pozwalała mu wstać i wciągała w rozmowę o jego pracy.

– To, jak się widzi, zależy od wielu rzeczy – powiedziała z uśmiechem, gdy zauważyła zdziwienie Gregoriusa.

W końcu ustalona została liczba dioptrii, która wyraźnie odbiegała od dotychczasowej, a wyniki badań obu oczu były bardziej zróżnicowane. Senhora Eça dostrzegła niepokój Gregoriusa.

– Po prostu spróbujmy – powiedziała, dotykając jego ramienia.

Gregorius wahał się między obroną i zaufaniem. Zaufanie zwyciężyło. Okulistka podała mu wizytówkę optyka, a potem sama do niego zatelefonowała. Jej portugalski przywołał ponownie uczucie oczarowania, które ogarnęło Gregoriusa, gdy zagadkowa kobieta z mostu Kirchenfeld wymówiła słowo *português*. Nagle fakt, że znalazł się w tym mieście, miał sens. Sens, którego nie dało się nazwać, wręcz przeciwnie, częścią jego istoty było to, że nie poddawał się przymusowi i próbom ubrania go w słowa.

– Dwa dni – powiedziała okulistka, odkładając słuchawkę. – Cesar mówi, że mimo najlepszych chęci nie da się szybciej.

Gregorius wyjął z kieszeni marynarki tomik z zapiskami Amadeu de Prado, pokazał lekarce niezwykłą nazwę wydawnictwa i opowiedział o daremnych poszukiwaniach w książce telefonicznej. Zamyślona stwierdziła, że owszem, wygląda to na prywatne wydawnictwo.

– Czerwone cedry – nie zdziwiłoby mnie, gdyby była to metafora.

Gregorius myślał o tym już wcześniej – metafora lub szyfr oznaczający coś tajemniczego, krwawego lub pięknego, ukrytego pod kolorowymi, zeschniętymi liśćmi historii życia.

Lekarka poszła do sąsiedniego pokoju i wróciła z książką adresową. Otworzyła ją i przejechała palcem po stronie.

– Tu. Júlio Simões – powiedziała – przyjaciel mojego zmarłego męża, antykwariusz. Zawsze sprawiał wrażenie, że o książkach wie więcej niż zwykli śmiertelnicy, był wręcz niesamowity.

Zapisała adres i wyjaśniła Gregoriusowi, gdzie znajduje się antykwariat.

– Proszę go ode mnie pozdrowić. I niech pan przyjdzie w nowych okularach, chcę mieć pewność, że zapisałam panu dobre.

Gdy Gregorius obrócił się na schodach, wciąż stała w drzwiach, z dłonią na framudze. Silveira do niej zadzwonił, a więc zapewne wiedziała, że Gregorius uciekł. Chętnie by jej o tym opowiedział. Jego kroki na klatce

schodowej były powolne jak u kogoś, kto niechętnie opuszcza jakieś miejsce.

Niebo pokryło się delikatnym białym welonem, który przyćmiewał słoneczny blask. Zakład optyczny znajdował się w pobliżu przeprawy promowej przez Tag. Ponura twarz Cesara Santarema rozjaśniła się, gdy Gregorius powiedział mu, od kogo przychodzi. César spojrział na receptę, zważył w dłoni okulary, które podał mu Gregorius, i łamanym francuskim powiedział, że szkła można zrobić z lżejszego materiału i wstawić w lżejsze oprawki.

Był to już drugi raz w krótkim czasie, gdy ktoś podawał w wątpliwość osąd Konstantina Doxiadesa, a Gregoriusowi wydało się, jakby zabierano mu jego dotychczasowe życie, które, odkąd pamiętał, było życiem w ciężkich okularach na nosie. Niepewnie przymierzał jedne oprawki po drugich i wreszcie pozwolił asystentce Santarema, znającej tylko portugalski i trajkocącej z prędkością wodospadu, namówić się na wąskie, czerwone oprawki, które wydawały się o wiele za modne i za eleganckie na jego szerokiej, kwadratowej twarzy. W drodze na Bairro Alto, gdzie znajdował się antykwariat Julia Simõesa, Gregorius powtarzał sobie raz po raz, że potraktuje nowe okulary jako zapasowe i nie będzie ich nosił, a gdy wreszcie stanął przed antykwariatem, zdążył już odzyskać wewnętrzną równowagę.

Senhor Simões był żyłastym mężczyzną z ostrym nosem i ciemnymi oczami, z których biła żywa inteligencja. Mariana Eça zadzwoniła do niego i opowiedziała, o co chodzi. Połowa mieszkańców Lizbony, pomyślał Gregorius, zdaje się być zajęta zapowiadaniem go i przekazywaniem dalej, można już niemal mówić o kręgu zapowiadaczy. Nie przypominał sobie, by kiedyś spotkało go coś podobnego.

CEDROS VERMELHOS – Simões powiedział, że w ciągu trzydziestu lat pracy nie spotkał się z takim wydawnictwem, jest tego pewien. UM OURIVES DAS PALAVRAS – nie, o takim tytule również nie słyszał. Przerzucił kartki książki, przeczytał tu i tam parę zdań, a Gregoriusowi wydało się, że antykwariusz czeka, aż pamięć podsunie mu jednak jakieś informacje. Wreszcie spojrział ponownie na rok wydania. 1975 – wtedy uczył się jeszcze w Porto i nie mógł nic wiedzieć o książce, która ukazała się prywatnym nakładem, zwłaszcza że została wydrukowana w Lizbonie.

– Jeśli ktoś mógłby wiedzieć – powiedział, nabijając fajkę – to tylko stary Coutinho, który prowadził ten antykwariat przede mną. Dobiega dziewięćdziesiątki i zupełnie zwariował, ale ma fenomenalną pamięć do książek, to prawdziwy cud. Nie mogę do niego zadzwonić, bo ledwo słyszy, ale napiszę kilka słów.

Simões podszedł do biurka i napisał coś na kartce, którą włożył do koperty.

– Musi pan okazać mu cierpliwość – powiedział, podając kopertę Gregoriusowi. – Miał w życiu pecha i jest zgorzkniałym starcem. Ale bywa bardzo miły, gdy trafi się w odpowiednią nutę. Problem polega na tym, że nigdy z góry nie wiadomo, jaka jest ta właściwa.

Gregorius pozostał długo w antykwariacie. Poznawać miasto przez książki, jakie w nim sprzedają – zawsze tak robił. Pierwszą zagraniczną podróż w czasach studenckich odbył do Londynu. Na promie w drodze powrotnej do Calais uświadomił sobie, że w ciągu trzech dni poza schroniskiem młodzieżowym, Muzeum Brytyjskim i licznymi księgarniami nie zobaczył prawie wcale miasta. *Przecież te same książki mogły równie dobrze stać gdzie indziej!* – mówili ludzie, kręcąc głową i zdumiewając się, ile stracił. *Tak, ale w rzeczywistości nie stoją gdzie indziej* – odpowiadał Gregorius.

I oto stał przed sięgającymi sufitu regałami z portugalskimi książkami, których właściwie nie mógł przeczytać, i czuł, jak nawiązuje łączność z miastem. Gdy rankiem opuszczał hotel, miał wrażenie, że musi jak najszybciej odnaleźć Amadeu de Prado, by nadać sens swojemu pobytowi tutaj. Potem jednak były ciemne oczy, rudawe włosy i czarny aksamitny żakiet Mariany Ecy, a teraz wszystkie te książki z nazwiskami poprzednich właścicieli, które przypominały mu podpis Anneli Weiss w podręcznikach do łaciny.

O GRANDE TERRAMOTO. Poza tym, że zdarzyło się w 1755 roku i zniszczyło Lizbonę, nic nie wiedział o wielkim trzęsieniu ziemi, które zachwiało wiarą w Boga tak wielu ludzi. Zdjął książkę z półki. Pozycja obok, która się przechyliła, nosiła tytuł A MORTE NEGRA i traktowała o epidemii dżumy w XIV i XV wieku. Z obiema książkami pod pachą Gregorius przeszedł do działu z literaturą. Luis Vaz de Camões, Francisco

de Sã de Miranda, Femão Mendes Pinto, Camilo Castelo Branco. Cały wszechświat, o którym nigdy wcześniej nie słyszał, nawet od Florence. Jose Maria Eça de Queiros, O CRIME DO PADRE AMARO. Z ociąganiem, jakby to było coś zakazanego, wziął tom z półki i dołożył do pozostałych. A potem naraz ujrzał przed sobą tę książkę: Fernando Pessoa, O LIVRO DO DESASSOSSEGO. Właściwie to niewiarygodne, ale przyjechał do Lizbony, nie myśląc o tym, że jedzie do miasta, gdzie mieszkał i pracował przy Rua dos Douradores młodszy księgowy Bernardo Soares, alter ego Pessoa, wyrażający jego myśli samotniejsze niż wszystkie, o jakich świat słyszał przedtem i potem.

Czy to aż tak niewiarygodne? Pola są zieleńsze w opisie niż w swej zieleni. To zdanie Pessoa doprowadziło do najostrzejszej sceny, jaka rozegrała się między nim i Florence w ciągu tych wszystkich lat.

Siedziała w salonie z kolegami z pracy, słychać było śmiechy i brzęk kieliszków. Gregorius niechętnie wszedł, bo potrzebował książki. Wtedy właśnie ktoś przeczytał te słowa. *Czy to nie genialne zdanie?* – wykrzyknął znajomy Florence. Potrzęsnał przy tym artystyczną grzywą i położył dłoń na jej nagim ramieniu. *To zdanie rozumieją tylko nieliczni* – stwierdził Gregorius. Nagle w pokoju zapadła cisza. *A ty jesteś jednym z tych wybranych?* – spytała Florence ostrym tonem. Celowo powoli wziął książkę z półki i wyszedł bez słowa. Kilka minut trwało, aż ponownie doszły go głosy z salonu.

Później, kiedy zobaczył gdzieś KSIĘGĘ NIEPOKOJU, szybko się oddalał. Nigdy nie rozmawiali o tym epizodzie. Był jedną z tych wszystkich spraw, które pozostały nietknięte, gdy się rozstawali.

Teraz Gregorius zdjął książkę z półki.

– Wie pan, co mi przypomina ta niewiarygodna książka? – spytał senhor Simões, gdy wstukował cenę w kasie. – To jakby Marcel Proust napisał eseje Michela de Montaigne’a.

Gregorius był ogromnie zmęczony, gdy z ciężką torbą dotarł na szczyt Rua Garrett koło pomnika Camóesa. Nie chciał jednak wracać do hotelu. Zaznajamiał się właśnie z miastem i pragnął wzmocnić w sobie to wrażenie, aby mieć pewność, że wieczorem nie zadzwoni na lotnisko, by

zarezerwować bilet. Wypił kawę i wsiadł do tramwaju, który miał go zawieźć na Cemiterio dos Prazeres. W tamtej okolicy mieszkał Vítor Coutinho, zwariowany starzec, który być może wiedział coś o Amadeu de Prado.

9 Stuletni lizboński tramwaj zawiózł go z powrotem do Berna z czasów dzieciństwa. Trzęsący się, podskakujący i dzwoniący wagon jadący przez Bairro Alto wydawał się taki sam jak wagony, którymi Gregorius godzinami jeździł po ulicach Berna, gdy jeszcze nie musiał płacić za bilet. Takie same ławki z lakierowanych drewnianych listew, taki sam sznur od dzwonka obok uchwytów zwisających z sufitu, taka sama metalowa rączka, którą motorniczy przestawiał, zwalniając i przyspieszając, a której sposób działania był dla Gregoriusa tak samo niezrozumiały jak dawniej. W okresie, gdy nosił już czapkę gimnazjalisty, stare wagony zastąpiono nowymi. Jeździły ciszej i płynniej, inni uczniowie wyrywali się, by znaleźć się w takim wagonie, a wielu spóźniało się na lekcje, ponieważ czekali na jeden z nowych pojazdów. Gregorius nie odważył się tego powiedzieć, ale przeszkadzało mu, że świat się zmienia. Zebrał w sobie całą odwagę, udał się do zajezdni i spytał mężczyznę w roboczym ubraniu, co się stanie ze starymi wagonami. Mężczyzna powiedział, że zostaną sprzedane do Jugosławii. Musiał dostrzec nieszczęśliwy wyraz twarzy chłopaka, bo poszedł do biura i wrócił z modelem starego wagonu. Gregorius zachował go do dziś i dbał o niego niczym o cenne, niezastąpione znalezisko z pradawnych czasów. Miał model przed oczami, gdy lizboński tramwaj, turkocząc i piszcząc, zatrzymał się na końcowym przystanku.

Do tej pory Gregoriusowi nie przyszło do głowy, że Portugalczyk o nieustraszonym spojrzeniu może nie żyć. Myśl ta pojawiła się dopiero teraz, gdy stanął przed cmentarzem. Powoli i trwożnie szedł uliczkami miasta zmarłych, mijając małe mauzolea.

Minęło może pół godziny, gdy przystanął przed wysokim grobowcem z białego marmuru, który w ciągu lat pokryły plamy. W kamieniu wykuto dwie tablice o ozdobnych brzegach. AQUI JAZ ALEXANDRE HORÁCIO DE ALMEIDA PRADO QUE NASCEU EM 28 DE MAIO DE 1890 E FALECEU EM 9 DE JUNHO DE 1954, napisano na górnej tablicy, oraz AQUI JAZ MARIA PIEDADE REIS DE PRADO QUE NASCEU EM 12 DE JANEIRO DE 1899 E FALECEU EM 24 DE OUTUBRO DE 1960. Na dolnej, wyraźnie jaśniejszej i mniej omszałej tablicy Gregorius przeczytał: AQUI JAZ FÁTIMA AMELIA CLEMÊNCIA GALHARDO DE PRADO QUE NASCEU EM 1 DE JANEIRO DE 1926 E FALECEU EM 3 DE FEVEREIRO DE 1961, a pod spodem, literami słabiej pokrytymi patyną AQUI JAZ AMADEU INÁCIO DE ALMEIDA PRADO QUE NASCEU EM 20 DE DEZEMBRO DE 1920 E FALECEU EM 20 DE JUNHO DE 1973.

Gregorius wbił wzrok w ostatnią cyfrę. Książka, którą miał w kieszeni, ukazała się w 1975 roku. Jeśli idzie o tego samego Amadeu de Prado, lekarza, który uczęszczał do surowego liceum senhora Cortesa, a później siadywał na ciepłych, omszałych schodach, bo zastanawiał się, jak by to było być kimś innym – nie opublikował swoich zapisków samodzielnie. Zrobił to ktoś inny, prawdopodobnie prywatnym nakładem. Przyjaciel, brat, siostra. Jeśli po dwudziestu dziewięciu latach osoba ta nadal żyła, właśnie ją musiał odnaleźć.

Jednak nazwisko na nagrobku mogło okazać się przypadkowe. Gregorius pragnął, by była to przypadkowa zbieżność, pragnął tego z całą mocą. Czułby się bardzo rozczarowany i zniechęcony, gdyby nie mógł się spotkać z melancholijnym mężczyzną, który chciał na nowo stworzyć język portugalski, ponieważ dawna forma tak się zużyła.

Mimo to wyjął notes i zapisał wszystkie imiona wraz z datami urodzin i śmierci. Ów Amadeu de Prado miał pięćdziesiąt trzy lata. Ojca stracił w wieku trzydziestu czterech lat. Czy był to ten ojciec, któremu zwykle nie udawało się uśmiechnąć? Matka zmarła, gdy miał lat czterdzieści. Fátima Galhardo – mogła być to żona Amadeu, zmarła w wieku trzydziestu pięciu lat, gdy on sam ukończył czterdzieści jeden lat.

Gregorius raz jeszcze powiódł wzrokiem po nagrobku i dopiero teraz dostrzegł napis na cokole, na wpół zasłonięty przez dziki powój: QUANDO

A DITADURA É UM FACTO A REVOLUÇÃO É UM DEVER. *Kiedy dyktatura jest faktem, rewolucja jest obowiązkiem.* Czy śmierć owego Prado była śmiercią polityczną? Rewolucja goździków w Portugalii, koniec dyktatury, te wydarzenia rozegrały się wiosną 1974 roku. Prado ich zatem nie doczekał. Napis brzmiał tak, jakby Prado zginął jako bojownik ruchu oporu. Gregorius wyjął książkę i spojrzął na portret. Pomyślał, że to możliwe, pasowałoby do wyrazu twarzy autora, a także do cichego gniewu ukrytego za wszystkim, co pisał. Poeta i mistyk języka, który sięgnął po broń i walczył przeciwko Salazarowi.

Opuszczając cmentarz, Gregorius spróbował spytać mężczyznę w uniformie, gdzie można się dowiedzieć, do kogo należy grób. Jednak ograniczone portugalskie słownictwo nie wystarczyło. Wyjął karteczkę, na której Júlio Simões zapisał adres swego poprzednika, i udał się w drogę.

Vítor Coutinho mieszkał w domu, który wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał się zawalić. Położony był z dala od ulicy, ukryty za innymi budynkami, jego dolną część porastał powój. Nie było dzwonka i Gregorius stał przez chwilę bezradnie na podwórzu. Gdy już zbierał się do odejścia, jakiś ostry głos zawołał z okna na piętrze:

– *O que é que quer?* Czego pan chce?

Głowa w oknie otoczona była białymi lokami, które płynnie przechodziły w białą brodę, a na nosie znajdowały się okulary w szerokich ciemnych oprawkach.

– *Pergunta sobre limo* – zawołał Gregorius najgłośniej, jak potrafił, i uniósł w górę książkę Prado.

– *O quê?* – spytał ponownie mężczyzna, a Gregorius powtórzył.

Głowa znikła, zabrzączał domofon. Gregorius wszedł na korytarz, gdzie stały sięgające sufitu regały pełne książek. Na czerwonej kamiennej posadzce leżał wytarty orientalny dywan. Pachniało starym jedzeniem, kurzem i tabaką. Na skrzypiących schodach ukazał się siwy mężczyzna z fajką w pociemniałych zębach. Na wypchane sztruksowe spodnie opadała sprana, nieokreślonego koloru koszula w kratę, stopy tkwiły w sandałach z niezapiętymi paskami.

– *Quem é?* – powtórzył mężczyzna zbyt głośno, w typowy dla niedosłyszących sposób. Jasnobrzowe, przypominające bursztyny oczy rozbliły z irytacją pod krzaczastymi brwiami jak u kogoś, komu zakłócono spokój.

Gregorius podał mu kopertę z listem od Simõesa. Powiedział po portugalsku, że przyjechał ze Szwajcarii, a po francusku dodał, że jest filologiem klasycznym i poszukuje autora tej książki. Gdy Coutinho nie zareagował, zaczął powtarzać swoje słowa głośniej.

Starzec przerwał mu, oświadczając po francusku, że nie jest głuchy. Na jego pomarszczonej, ogorzałej twarzy pojawił się chytry uśmieszek. Głuchota to dobra wymówka, żeby nie wysłuchiwać całej tej gadaniny.

Mówił po francusku z dziwnym akcentem i powoli, ale słowa wypowiadał pewnie i we właściwym szyku. Przebiegł wzrokiem list Simoesa, po czym wskazał Gregoriusowi kuchnię na końcu korytarza i ruszył przodem. Na kuchennym stole obok otwartej puszkę sardynek i opróżnionego do połowy kieliszka czerwonego wina leżała otwarta książka. Gregorius podszedł do krzesła po drugiej stronie stołu i usiadł. Starzec zbliżył się i uczynił coś zaskakującego – zdjął Gregoriusowi okulary i sam je założył. Zamrugał i rozejrzał się wokół, trzymając w dłoni własną parę.

– A więc to nas łączy – stwierdził, oddając Gregoriusowi okulary.

Solidarność tych, którzy szli przez świat w grubych szklach. Z twarzy Coutinha ustąpiła wszelka irytacja i niechęć. Sięgnął po książkę Prado.

Jakiś czas bez słowa wpatrywał się w portret lekarza. Potem wstał bezwiednie jak lunatyk i nalał Gregoriusowi kieliszek wina. Do kuchni wszedł kot i otarł się starcowi o nogi. Ten nie zwrócił na niego uwagi, zdjął okulary i palcem wskazującym oraz kciukiem dotknął nasady nosa. Gest przypominał Gregoriusowi Doxiadesa. Z sąsiedniego pokoju dobiegało tykanie zegara. Coutinho opróżnił fajkę, po czym zdjął z półki i nabił inną. Ponownie upłynęło kilka chwil, nim zaczął mówić, cicho, głosem przywołującym odległe wspomnienia.

– Skłamałbym, twierdząc, że go znałem. Nawet się nie spotkaliśmy. Ale widziałem go dwukrotnie, gdy stał w drzwiach swojego gabinetu, w białym kitlu, unosząc brwi w oczekiwaniu na kolejnego pacjenta. Byłem tam

z siostrą, którą leczył. Żółtaczka. Wysokie ciśnienie. Ufała mu bezgranicznie. Myślę, że się w nim podkochiwała. Nic dziwnego, wspaniały mężczyzna, w dodatku jego osobowość działała na ludzi niemal hipnotycznie. Był synem słynnego sędziego, który odebrał sobie życie, niektórzy opowiadali, że nie mógł już wytrzymać bólu skrzywionych pleców, inni przypuszczali, że nie potrafił sobie wybaczyć sprawowania urzędu w czasach dyktatury.

Amadeu de Prado był cenionym, wręcz uwielbianym lekarzem. Do czasu, gdy uratował życie Rui Luisowi Mendesowi, człowiekowi z tajnej policji, którego zwano katem z Lizbony. Było to w połowie lat sześćdziesiątych, krótko po moich pięćdziesiątych urodzinach. Potem ludzie zaczęli unikać Prado, co złamało mu serce. Od tamtej pory pracował dla ruchu oporu, choć nikt o tym nie wiedział. Jakby chciał odpokutować swój czyn. Prawda wyszła na jaw dopiero po jego śmierci. Umarł, o ile pamiętam, dość nagle na krwotok mózgowy, rok przed rewolucją. Pod koniec życia mieszkał z Adrianą, swoją siostrą, która go ubóstwiała.

To ona musiała dać zapiski brata do druku, podejrzewam nawet u kogo, ale drukarnia dawno już nie istnieje. Kilka lat później książka pojawiła się u mnie w antykwariacie. Położyłem ją w kącie, nie przeczytałem. Czuję do niej niechęć, właściwie sam nie wiem dlaczego. Może dlatego, że nie lubiłem Adriany, choć słabo ją znałem. Pomagała bratu w gabinecie, a mnie działał na nerwy jej władczy sposób traktowania pacjentów. Może to z mojej strony niesprawiedliwe, ale taki już jestem.

Coutinho przerzucił kartki książki. – Dobrze napisana, jak się wydaje. I dobry tytuł. Nie wiedziałem, że pisał. Skąd pan ją ma? I dlaczego pan go szuka?

Historia, którą opowiedział teraz Gregorius, brzmiała inaczej niż ta opowiedziana Jose Antoniowi da Silveirze w nocnym pociągu. Przed wszystkim dlatego, że tym razem wspomniał o zagadkowej Portugalce, z którą rozmawiał na moście, i o numerze telefonu zapisanym na czole.

– Ma pan wciąż ten numer? – spytał starzec, któremu historia spodobała się tak bardzo, że przyniósł nową butelkę wina.

Przez chwilę Gregorius czuł pokusę, by wyjąć notes. Potem uznał jednak, że to dla niego zbyt wiele – po epizodzie z okularami można się było spodziewać, że starzec tam zadzwoni. Simões przedstawił go jako wariata.

Nie oznaczało to, że Coutinho oszalał, o tym nie mogło być mowy. Ale żyjąc samotnie z kotem, zatracił najwyraźniej wycucie dystansu i bliskości.

Gregorius odparł, że nie, nie ma już tego numeru. Szkoda, stwierdził starzec. Nie uwierzył mu i nagle siedzieli znowu naprzeciw siebie jak dwaj zupełnie obcy ludzie.

W książce telefonicznej nie figuruje Adriana de Almeida Prado, powiedział Gregorius po pełnej zakłopotania chwili ciszy.

To o niczym nie świadczy, odparł mrukliwie Coutinho, jeśli Adriana wciąż żyje, musi mieć około osiemdziesiątki, a starzy ludzie rezygnują czasem z telefonu, on sam zrobił to niedawno. Gdyby umarła, na nagrobku widniałoby także jej imię. Adres, gdzie mieszkał i pracował lekarz – nie, po czterdziestu latach już go nie pamięta. Gdzieś w Bairro Alto. Nietrudno będzie odnaleźć ten dom, bo ma na fasadzie niebieskie kafle, to jedyny niebieski dom w okolicy. A przynajmniej był nim wtedy. *O consultório azul*, niebieska przychodnia, tak ją nazywano.

Nim Gregorius opuścił starca godzinę później, zdążyli ponownie się do siebie zbliżyć. W zachowaniu Coutinha surowy dystans pojawiał się na przemian z zaskakującą serdecznością, choć nie dało się rozpoznać powodu gwałtownych zmian. Zdumiony Gregorius obejrzał dom, który stanowił jedną wielką bibliotekę. Starzec był niesłychanie odczytany i miał niezwykle dużo pierwszych wydań.

Znał się na portugalskich nazwiskach. Prado, jak dowiedział się Gregorius, byli bardzo starym rodem, sięgającym João Nunesa do Prado, wnuka Alfonsa III, króla Portugalii. Eça? Nazwisko pochodziło od Pedra I i Inês de Castro i było jednym z najszacowniejszych w Portugalii.

– Moje nazwisko jest jeszcze starsze i także związane z domem królewskim – powiedział Coutinho, a w ironicznym tonie dało się wyczuć dumę.

Pozazdrościł Gregoriusowi znajomości języków antycznych, a odprowadzając go do drzwi, zdjął z półki grecko-portugalskie wydanie Nowego Testamentu.

– Nie mam pojęcia, dlaczego chcę ci to dać – powiedział – ale tak zrobię.

Gdy Gregorius szedł przez podwórze, wiedział, że nigdy nie zapomni tego zdania. I dotyku dłoni na plecach, która łagodnie wypchnęła go za drzwi.

We wczesnym zmierzchu rozległ się turkot tramwaju. Nocą nie odnajdę niebieskiego domu, pomyślał Gregorius. Miniony dzień trwał niemal wieczność, wyczerpany oparł więc głowę o poplamioną szybę wagonu. Czy to możliwe, że jest w tym mieście dopiero od dwóch dni? I że minęły dopiero cztery dni, a więc nawet nie sto godzin, odkąd zostawił na biurku podręczniki? Wysiadł na Rossio, najśłynniejszym placu Lizbony, i z ciężką torbą z antykwariatu Simõesa poczłapał do hotelu.

10 Dlaczego Käge rozmawiał z nim w języku, który brzmiał jak portugalski, ale nim nie był? I dlaczego znieważał Marka Aureliusza, choć nie wspomniał o nim ani słowa?

Gregorius usiadł na brzegu łóżka i starł sen z oczu. We śnie zjawił się potem dozorca, który w holu gimnazjum polewał wężem miejsce, gdzie Gregorius stał z Portugalką, gdy wycierała włosy. Wcześniej lub później, nie dało się tego ustalić, Gregorius udał się z nią do biura Kägego, by mu ją przedstawić. Nie musiał w tym celu otwierać drzwi, nagle stali po prostu przed ogromnym biurkiem jak petenci, którzy zapomnieli, w jakiej sprawie przyszli. Ale rektora już nie było, biurko i ściany znikły i ukazał się widok na Alpy.

Gregorius spostrzegł, że drzwiczki barku były uchylone. W pewnym momencie obudził się z głodu i zjadł orzeszki i czekoladę. Wcześniej dręczyła go przepełniona skrzynka na listy w mieszkaniu w Bernie, wypchana rachunkami i reklamami, a potem nagle jego biblioteka stanęła w ogniu, po czym przekształciła się w bibliotekę Coutinha mieszczącą same zwęglone Biblie, niezliczenie wiele.

Przy śniadaniu Gregorius nałożył sobie wszystkiego podwójną porcję i został na miejscu ku niezadowoleniu kelnerki, która przygotowywała stoły do podania obiadu. Nie miał pojęcia, co robić dalej. Wcześniej

przysłuchiwał się niemieckiemu małżeństwu układającemu plan zwiedzania miasta. On sam także spróbował, ale mu się nie udało. Lizbona nie interesowała go jako zbiór zabytków, jako tło turystyczne. Lizbona była miastem, do którego uciekł od swego życia. Jedyne, co potrafił sobie wyobrazić, to przepłynięcie promem przez Tag, by zobaczyć miasto z innej perspektywy. Ale właściwie na to także nie miał ochoty. Czego zatem naprawdę chciał?

W pokoju ułożył książki, które się do tej pory nazbierały – obie pozycje dotyczące trzęsienia ziemi i czarnej śmierci, powieść Eçy de Queirós, *Księgę niepokoju*, Nowy Testament, podręczniki do nauki języka. Potem na próbę spakował walizkę i ustawił ją przy drzwiach.

Nie, nie o to chodziło. Nie mógł wrócić z powodu okularów, które miał odebrać nazajutrz. Wylądować w Zurychu, a potem wysiąść z pociągu w Bernie – to nie było możliwe, nie było już możliwe.

Co zatem? Czy to myśl o upływającym czasie i śmierci powodowała, że nagle człowiek nie wiedział już, czego chce? Że nie rozpoznawał własnej woli? Że tracił oczywistą znajomość swoich chęci? I w ten sposób stawał się dla samego siebie kimś obcym, problematycznym?

Dlaczego nie udał się na poszukiwania niebieskiego domu, w którym być może nadal mieszkała Adriana de Prado, trzydzieści jeden lat po śmierci brata? Dlaczego zwlekał? Skąd nagle ta bariera?

Gregorius zrobił to, co robił zawsze, gdy czuł się niepewny: otworzył książkę. Jego matka, chłopska córka spod Berna, rzadko brała książkę do ręki, co najwyżej kiczowate powieści Ludwiga Ganghofera, które czytała całymi tygodniami. Ojciec odkrył czytanie jako sposób walki z nudą wypełniającą puste sale muzealne. Spodobało mu się to i zaczął czytać wszystko, co mu wpadło w ręce. *Teraz i ty uciekasz w książki*, powiedziała matka, kiedy syn także odkrył czytanie. Gregoriusa zabolalo, że tak to widziała i że nie rozumiała, gdy mówił o uroku i blasku pięknych zdań.

Są ludzie, którzy czytają, i cała reszta. Łatwo można zauważyć, czy ma się do czynienia z osobą czytającą, czy nie. Nie istnieje między ludźmi większa różnica. Różne osoby dziwiły się, gdy tak twierdził, niektórzy kręcili głowami, uznając jego poglądy za dziwactwo. Ale tak było. Gregorius to wiedział. *Wiedział to.*

Odesłał pokojówkę i na kilka godzin oddał się usilnym staraniom, by zrozumieć zapiski Amadeu de Prado, których tytuł przyciągnął jego wzrok, gdy kartkował książkę.

O INTERIOR DO EXTERIOR DO INTERIOR. WNĘTRZE ZEWNĘTRZA WNĘTRZA. *Jakiś czas temu – było to wspaniałego czerwcowego przedpołudnia, gdy uliczki wypełniała poranna nieporuszona jasność – stanąłem na Rua Garrett przed wystawą, na której z powodu oślepiającego światła ujrzałem zamiast towarów swoje odbicie. Było to uciążliwe, stać tak sobie na drodze – zwłaszcza że cała sytuacja świetnie oddawała mój stosunek do samego siebie – i właśnie szykowałem się, by pod ocieniającym daszkiem z dłoni skierować wzrok do wewnątrz, gdy tuż za moim odbiciem pojawiła się – niczym groźny cień burzy odmieniający świat – postać wysokiego mężczyzny. Przystanął, wyjął z kieszeni koszuli paczkę papierosów i włożył jednego w usta. Gdy po raz pierwszy zaciągał się dymem, jego błędzące spojrzenie zatrzymało się wreszcie na mnie. My, ludzie – cóż wiemy o sobie nawzajem? – pomyślałem i, by nie musieć stawiać czoła odbitemu spojrzeniu, udałem, że bez trudu widzę sklepową wystawę. Obcy ujrzał szczupłego mężczyznę z posiwiałymi włosami, wąską, surową twarzą i ciemnymi oczami za okrągłymi szklami w złotych oprawkach. Rzuciłem sprawdzające spojrzenie na swoje odbicie. Jak zwykle nadmiernie prostowałem kanciaste ramiona, głowę trzymałem wyżej, niż właściwie pozwalał na to mój wzrost, do tego nieco odchyłoną w tył, i bez wątpienia słuszne było to, co mówili nawet ci, którzy mnie lubili – wyglądałem jak arogancki pyszałek, lekceważący sobie wszelkie ludzkie sprawy, mizantrop gotowy drwić ze wszystkich i wszystkiego. Takie wrażenie musiał mieć palący papierosa mężczyzna.*

Jak bardzo się mylił! Czasami myślę sobie, że stoję i chodzę w tak przesadny sposób, by protestować przeciw nieodwracalnie skrzywionemu

ciału ojca, przeciw jego cierpieniom spowodowanym chorobą Bechterewa, przeciw konieczności kierowania wzroku ku ziemi niczym zmęczony parobek, który nie odważa się stanąć naprzeciw pana z uniesioną głową i śmiałym spojrzeniem. Mam czasem wrażenie, jakbym wyciągając się nadmiernie, mógł wyprostować plecy mego dumnego, nieżyjącego już ojca albo dzięki jakiejś magicznej zasadzie wstecznego działania sprawić, by jego życie było mniej pochylone i przepełnione bólem niż w rzeczywistości – jakbym przez obecny wysiłek potrafił zatrzyć udręczoną przeszłość i zastąpić ją przeszłością lepszą, swobodniejszą.

Nie było to jedyne złudne wrażenie, jakie mój widok musiał wywołać w obcym mężczyźnie. Po wlokącej się bez końca nocy, spędzonej bez snu i pociechy, byłem ostatnim człowiekiem, który spoglądałby na innych z góry. Poprzedniego dnia powiedziałem pewnemu pacjentowi w obecności jego żony, że nie zostało mu wiele życia. Musisz to zrobić – wmawiałem samemu sobie, zanim zawołałem oboje do gabinetu. Muszą móc poczynić plany odnośnie do siebie i swoich pięciorga dzieci – i w ogóle ludzka godność bierze się z tej siły, zdolności, by stawić czoło losowi, nawet tak trudnemu. Był wczesny wieczór, przez otwarte drzwi balkonowe lekki ciepły wiatr przynosił zapachy i odgłosy przebrzmiewającego letniego dnia i gdybym mógł całkowicie i bezwolnie oddać się tej łagodnej fali życia, byłby to moment szczęścia. Gdyby tylko ostry, bezlitosny wiatr zacinał deszczem o szyby – pomyślałem, gdy mężczyzna i kobieta usiedli naprzeciw mnie na krawędzi krzesel, niepewni i pełni bojaźliwej niecierpliwości, spragnieni usłyszeć wyrok, który uwolniłby ich od strachu przed bliską śmiercią, by mogli zejść na dół i wmieszać się w tłum spacerujących przechodniów z morzem czasu przed sobą. Zdjąłem okulary i potarłem kciukiem i palcem wskazującym nasadę nosa, nim się odezwałem. Oboje musieli rozpoznać ten gest jako zapowiedź okropnej prawdy, ponieważ gdy uniosłem wzrok,

chwycili się za ręce, które – jak mi się wydawało, a myśl ta ścisnęła mi gardło, toteż pełne strachu oczekiwanie dodatkowo się przedłużyło – nie szukały się kilkadziesiąt lat. Mówiłem w dół do tych dłoni, tak trudno było wytrzymać spojrzenia, z których przemawiało nienazwane przerażenie. Dłonie zaciskały się na sobie, uciekała z nich krew i właśnie ten obraz bezkrwistych, białych, zaciśniętych palców pozbawił mnie snu, i to ów obraz próbowałem odgonić, idąc na spacer, który zaprowadził mnie przed lustrzaną wystawę. (Spacerując po rozświetlonych uliczkach, próbowałem przegonić coś jeszcze: wspomnienie tego, jak gniew z powodu niezręczności mych słów przy oznajmianiu gorzkiej wieści skierował się później na Adrianę, tylko dlatego że ona, która troszczy się o mnie bardziej niż matka, wyjątkowo zapomniała kupić mój ulubiony chleb. Oby złociste światło przedpołudnia wymazało tę niesprawiedliwość, której się dopuściłem!).

Mężczyzna z papierosem oparł się teraz o słup latarni i wędrował wzrokiem między mną a ulicznym ruchem. To, co we mnie widział, nie mogło zdradzać niczego z mojej pełnej zwątpienia w samego siebie kruchości, która tak mało pasowała do dumnej, wręcz wywyższającej się postawy ciała. Przeniosłem się w jego spojrzenie, odwzorowałem je w sobie i wchłonąłem z niego swoje odbicie. Pomyślałem, że nigdy, ani przez chwilę w życiu, nie byłem taki, na jakiego wyglądałem i jakie sprawiałem wrażenie. Ani w szkole, ani na studiach, ani w pracy. Czy inni ludzie także nie rozpoznają się w swoim zewnętrznym obrazie? Czy ten obraz wydaje się im maską pełną niezgrabnych grymasów? Czy z przerażeniem zauważają przepaść między sposobem, w jaki postrzegają ich inni, a sposobem, w jaki odbierają samych siebie? Czy znajomość czegoś od wewnątrz i znajomość z zewnątrz są tak od siebie odległe, że wręcz nie mogą uchodzić za znajomość tego samego?

Oddalenie wobec innych, które wywołuje ta świadomość, staje się jeszcze większe, gdy uzmysłowimy sobie, że nasza postać nie jawi się im tak samo jak naszym oczom. Ludzi nie postrzegamy tak jak domy, drzewa czy gwiazdy. Postrzegamy ich z nastawieniem, że w pewien sposób będziemy mogli się z nimi zetknąć i w ten sposób uczynić ich częścią własnego wnętrza. Siła wyobraźni przykrawa ich tak, by pasowali do naszych pragnień i nadziei, ale także, by potwierdzali nasze lęki i uprzedzenia. Pewnie i bez uprzedzeń nie docieramy nawet do zewnętrznych zarysów innych osób. Po drodze wzrok zostaje odciągnięty i zmącony przez wszystkie te pragnienia i przekonania, które czynią z nas wyjątkowego, indywidualnego człowieka, jakim jesteśmy. Nawet zewnątrz wewnętrznego świata jest częścią naszego wnętrza, nie mówiąc już o myślach, które snujemy na temat obcego wewnętrznego świata i które są tak niepewne i bezpodstawne, że więcej mówią o nas samych niż o innych ludziach. Jak człowiek z papierosem widzi człowieka o szczupłej twarzy, pełnych ustach i w okularach w złotych oprawkach na ostrym, prostym nosie, który nawet mnie samemu wydaje się za długi i zbyt dominujący? Jak owa postać wpasowuje się w szkielet jego upodobań, niechęci i pozostałą architekturę duszy? Co w moim wyglądzie jego spojrzenie wyolbrzymia i rozdmuchuje, a co omija, jakby wcale nie istniało? Obraz, który tworzy mężczyzna palący papierosa na podstawie mego odbicia, to karykatura, a wymyślony przez niego obraz świata moich myśli stanowi karykaturę karykatury. I tak jesteśmy sobie podwójnie obcy, ponieważ między nami stoi nie tylko złudny świat zewnętrzny, ale także złudny obraz tego świata, który powstaje w naszym wnętrzu.

Czy owo oddalenie i obcość są złem? Czy malarz musiałby przedstawić nas z daleko wyciągniętymi ramionami, rozpaczliwie i nadaremnie próbujących dosięgnąć siebie nawzajem? A może obraz powinien ukazywać

nas w postawie wyrażającej ulgę z powodu tego, że istnieje ta podwójna bariera, która stanowi zarazem mur obronny? Czy powinniśmy być wdzięczni za ochronę, którą gwarantuje nam wzajemna obcość? I za wolność, którą umożliwia? Jak by to było, gdybyśmy stali naprzeciw siebie nieosłaniani przez podwójną barierę, którą stanowi przedstawione ciało? Gdybyśmy wtopili się w siebie, ponieważ nie istniałoby między nami nic dzielącego i zakłamującego?

Czytając ten opis samego siebie, Gregorius spoglądał raz po raz na portret umieszczony na początku książki. W myślach zmienił kolor zaczesanych niczym hełm włosów lekarza na siwy i założył na nos Prado okrągłe okulary w złotych oprawkach. Inni dostrzegali w nim poczucie wyższości, nawet pogardę dla ludzi. A przy tym, jak powiedział Coutinho, Prado był szanowanym, wręcz uwielbianym lekarzem. Dopóki nie uratował życia członkowi tajnej policji. Potem ci sami ludzie, którzy go uwielbiali, zaczęli go unikać. To złamało mu serce i próbował wszystko naprawić, pracując dla ruchu oporu.

Jak to możliwe, by czuł potrzebę odpokutowania czegoś, co na jego miejscu zrobiłby – musiałyby zrobić – każdy lekarz i co było przeciwieństwem zaniedbania? Gregorius uznał, że w opowieści Coutinha coś się nie zgadza. Sprawy musiały być bardziej skomplikowane, powikłane. Gregorius przekartkował książkę. *Nós homens, que sabemos uns dos outros? My, ludzie, cóż wiemy o sobie nawzajem?* Gregorius jeszcze chwilę przerzucał kartki. Może natrafi na fragment dotyczący tego dramatycznego i bolesnego zwrotu w życiu Prado?

Gdy niczego nie znalazł, opuścił o zmierzchu hotel i udał się na Rua Garrett, gdzie Prado spoglądał na swe odbicie w wystawowym oknie i gdzie znajdował się również antykwariat Julia Simõesa.

Nie świeciło już słońce, które zmieniałoby okna wystaw w lustra. Jednak po chwili Gregorius znalazł jasno oświetlony sklep odzieżowy z ogromnym lustrem, w którym mógł się przejrzeć przez szybę. Próbował zrobić to, co Prado – przenieść się w obce spojrzenie, odtworzyć je w sobie i przez to

spojrzenie pochwycić swoje odbicie. Zobaczyć siebie jak kogoś obcego, kogo dopiero się poznaje.

Takim zatem widzieli go uczniowie i koledzy z pracy. Tak wyglądał ich Mundus. I Florence także miała go przed sobą w tej postaci, najpierw jako zakochana uczennica z pierwszej ławki, potem jako kobieta, dla której stawał się coraz bardziej ociężałym i nudnym mężem, coraz częściej wykorzystującym swą uczoność, by niszczyć czar, swobodę i szyk jej romantycznego, lśniącego świata.

Wszyscy oni mieli przed sobą ten sam obraz, a jednak, jak powiedział Prado, widzieli za każdym razem co innego, ponieważ każdy postrzegany fragment świata zewnętrznego stanowił fragment świata wewnętrznego. Portugalczyk miał pewność, że ani chwili w swoim życiu nie był taki, jaki wydawał się innym. Nie rozpoznawał samego siebie w swoim wizerunku – choć tak dobrze znanym – i owa obcość niezmiernie go przerażała.

Gregorius został potrącony przez spieszącego gdzieś przechodnia i wzdrygnął się. Przewrzenie z powodu niespodziewanego uderzenia zbiegło się z niepokojącą myślą, że on sam nie ma takiej pewności jak portugalski lekarz. Skąd Prado brał owo przekonanie, że jest zupełnie inny, niż widzą go inni? Jak je uzyskał? Mówił o nim niczym o jasnym świetle w swoim wnętrzu, które płonęło od zawsze, światłem oznaczającym zarówno głęboką znajomość samego siebie, jak i wielkie wyobcowanie wobec innych. Gregorius zamknął oczy i ponownie znalazł się w wagonie restauracyjnym w pociągu jadącym do Paryża. Nowy rodzaj spostrzegawczości, której doświadczył, gdy uświadomił sobie, że podróż rzeczywiście się odbywa – czy miała ona coś wspólnego z niezwykłą spostrzegawczością Portugalczyka wobec samego siebie, spostrzegawczością, której ceną była samotność? A może były to dwie zupełnie różne sprawy?

Ludzie często mówili Gregoriusowi, że idzie przez świat w takiej postawie, jakby był nieustannie pochylony nad książką, jakby ciągle czytał. Teraz więc wyprostował się i spróbował poczuć, jak to jest przesadnie sztywnymi plecami i wysoko uniesioną głową prostować skurczone z bólu plecy własnego ojca. W gimnazjum miał kiedyś nauczyciela, który cierpiał na chorobę Bechterewa. Chował głowę w ramiona, by nie musieć wciąż patrzeć w ziemię. Sprawiał takie samo wrażenie jak dozorca, którego Prado spotkał w szkole – człowiek o ptasim wyglądzie. O pokurczonej postaci

nauczyciela krążyły okrutne żarty, a on mścił się złośliwą surowością. Jak to było mieć ojca, który musiał żyć w tak upokarzającej postawie, godzina po godzinie, dzień po dniu, przy stole sędziowskim, jak i przy stole rodzinnym?

Alexandre Horácio de Almeida Prado był sędzią – słynnym sędzią, jak powiedział Coutinho. Sędzią, który wydawał wyroki za czasów Salazara, człowieka łamiącego wszelkie prawa. Sędzią, który, być może, nie potrafił sobie tego darować i dlatego szukał śmierci. *Kiedy dyktatura jest faktem, rewolucja jest obowiązkiem* – głosił napis na cokole nagrobka Prado. Czy napis umieszczono tam ze względu na syna, który przystał do ruchu oporu, czy ze względu na ojca, który zbyt późno poznał prawdę tych słów?

Schodząc na wielki plac, Gregorius poczuł, że chce się tego dowiedzieć, i to całkiem inaczej, gwałtowniej niż w przypadku kwestii historycznych, z którymi całe życie miał do czynienia w starych tekstach. Dlaczego? Sędzia nie żył od pół wieku, do rewolucji doszło trzydzieści lat temu, śmierć syna także była odległą przeszłością. Dlaczego zatem? Co go to wszystko obchodziło? Jak to możliwe, że jedno portugalskie słowo i numer telefonu zapisany na czole wyrwały go z uporządkowanego życia w Bernie i uwikłały w życie Portugalczyków, którzy dawno umarli?

W księgarni przy Rossio jego wzrok przykuła ilustrowana biografia Antonia de Oliveiry Salazara, człowieka, który odegrał decydującą, może katastrofalną rolę w życiu rodziny Prado. Okładka przedstawiała ubranego na czarno mężczyznę o władczym, ale nie bezwzględny wyrazie twarzy i twardym, wręcz fanatycznym spojrzeniu zdradzającym jednak inteligencję. Gregorius przerzucił kilka kartek. Uznał, że Salazar był człowiekiem żądnym władzy, ale nie sięgał po nią ślełą brutalnością i tęłą przemocą i nie cieszył się władzą jak niewyczerpanym źródłem nazbyt sycących potraw na orgiastycznym bankiecie. Aby ją zdobyć i utrzymać przez tak długi czas, zrezygnował w życiu ze wszystkiego, co kłóciło się z nieustanną czujnością, bezwarunkową dyscypliną i ascetycznymi rytuałami. Cena była wysoka, Gregorius mógł to wyczytać w surowych rysach i rzadko pojawiającym się, wymuszonym uśmiechu. Tłumione potrzeby i pragnienia człowieka żyjącego skromnie pośród rządowego przepychu wyładowywały się natomiast – zniekształcone przez retorykę

racji stanu tak, że aż nierozpoznawalne – w bezlitosnych, katowskich wyrokach.

Gregorius leżał w ciemności i myślał o wielkim dystansie, który zawsze istniał między nim a sprawami dziejącymi się na świecie. Nie chodziło o to, że nie interesował się politycznymi wydarzeniami za granicą. W kwietniu 1974 roku, gdy skończyła się dyktatura w Portugalii, niektórzy jego rówieśnicy pojechali tam i mieli mu za złe, gdy mówił, że nie uprawia politycznej turystyki. Nie było zatem tak, że jak ślepy domator o niczym nie wiedział. Ale zawsze miał wrażenie, jakby czytał Tukidydesa. Tukidydesa, który pisał do gazet i którego oglądało się w telewizji. Czy miało to związek ze Szwajcarią i jej neutralnością? Czy tylko z samym Gregoriusem? Z jego fascynacją słowami, za którymi kryły się rzeczy odległe, choćby nawet straszne, krwawe i niesprawiedliwe? A może także z jego krótkowzrocznością?

Gdy ojciec, który uzyskał jedynie rangę podoficera, wspominał czasy, gdy jego kompania stacjonowała nad Renem, sam Gregorius zawsze miał wrażenie, że chodzi o coś nierzeczywistego i nieco dziwnego, czego wartość polega głównie na tym, że można o tym opowiadać jako o czymś ekscytującym, wybijającym się ponad banalność reszty życia. Ojciec to czuł i kiedyś puściły mu nerwy. *Baliśmy się, cholernie się baliśmy* – powiedział – *bo wszystko mogło potoczyć się inaczej, a wtedy pewnie nie byłoby ciebie na świecie*. Nie krzyczał, ojciec nigdy tego nie robił, a jednak były to gniewne słowa, których syn wysłuchał ze wstydem i nigdy nie zapomniał.

Czy dlatego chciał się teraz dowiedzieć, jak to było być Amadeu de Prado? I zrozumiawszy go, zbliżyć się w ten sposób do świata?

Zapalił światło i ponownie przeczytał zdania, które już wcześniej przykuły jego uwagę.

NADA. NIC. Anewryzm. Każda chwila może być ostatnią. Bez najmniejszej zapowiedzi, w całkowitej niewiedzy przekroczę niewidzialną ścianę, za którą nie ma nic, nawet ciemności. Mój kolejny krok może być krokiem przez tę ścianę. Czyż nie jest bezsensowne bać się, skoro nawet nie doświadczę tego nagiego wygaśnięcia i dobrze wiem, że tak będzie?

Gregorius zadzwonił do Doxiadesa i spytał go, czym jest aneurizm.

– O ile wiem, słowo to pochodzi z greckiego i oznacza rozepchnięcie, ale czego? – Grek odparł, że chodzi o rozszerzenie naczynia tętniczego z powodu wrodzonej wady lub uszkodzeń ścian naczynia. Tak, aneuryzmy występują również w mózgu, nawet często. Nierzadko ludzie nic nie zauważają i mogą długo – latami – czuć się dobrze. Potem naczynie nagle pęka i następuje koniec. Dlaczego Gregorius pyta o to w środku nocy? Czy źle się czuje? I w ogóle gdzie teraz jest?

Gregorius uświadomił sobie, że popełnił błąd, dzwoniąc do Greka. Nie znalazł słów odpowiadających ich wieloletniej zażyłości. Sztywno wyjąkał coś o starym tramwaju, o niezwykłym antykwariuszu i cmentarzu, na którym pochowano zmarłego Portugalczyka. Sam słyszał, że nie miało to sensu. Zapadła cisza.

– Panie Gregorius? – odezwał się wreszcie Doxiades.

– Słucham?

– Jak nazywają się szachy po portugalsku?

Gregorius gotów był go uściskać za to pytanie.

– *Xadrez* – powiedział, a suchość w ustach zniknęła.

– Z oczami wszystko w porządku?

Teraz język ponownie przywarł do dziąseł. – Tak. – I po kolejnej chwili ciszy Gregorius spytał: – Czy ma pan wrażenie, że ludzie widzą pana takim, jakim naprawdę pan jest?

Greki wybuchnął głośnym śmiechem. – Oczywiście, że nie!

Gregorius poczuł się bezradny, bo ktoś, w dodatku właśnie Doxiades, śmiał się z tego, czym Amadeu de Prado był dogłębnie przerażony. Wziął do ręki książkę, jakby chciał się jej przytrzymać.

– Czy naprawdę wszystko w porządku? – spytał ponownie Grek, przerywając ciszę.

Gregorius powiedział, że tak, wszystko w porządku.

Zakończyli rozmowę w zwykły sposób.

Gregorius leżał w ciemnościach niespokojny i próbował zrozumieć, co właściwie zaszło między nim a Grekiem. W końcu był to człowiek, którego

słowa dodały mu odwagi, by udać się w podróż, mimo że w Bernie zaczął padać śnieg. Doxiades zarobił na studia, pracując jako taksówkarz w Salonikach. *Dość nieokrzesane towarzystwo, ci taksiarze* – powiedział kiedyś. On sam także bywał czasem nieokrzesany. Na przykład gdy przeklinał albo mocno zaciągał się papierosem. Ciemny zarost i gęste, czarne włosy na przedramionach nadawały mu w takich chwilach dziki i nieujarzmiony wygląd.

Doxiades uważał zatem za oczywiste, że jego obraz w oczach innych był zniekształcony. Czy to możliwe, żeby kogoś to nie obchodziło? I czy oznaczało to brak wrażliwości? A może godną zazdrości wewnętrzną niezależność? Zaczynało świtać, gdy Gregorius wreszcie zasnął.

11 *To nie może być, to niemożliwe.* Gregorius zdjął nowe, lekkie niczym piórko okulary, przetarł oczy i ponownie je włożył. To było możliwe – widział lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Dotyczyło to zwłaszcza górnej połowy szkieleł, przez które patrzył na świat. Rzeczy dosłownie na niego wyskakiwały, jakby tłoczyły się, by przyciągnąć jego wzrok. A ponieważ Gregorius nie czuł już na nosie dotychczasowego ciężaru, który czynił okulary obronnym wałem, wyrazisty świat wydał mu się napastliwy, niemal groźny. Nowe doznania wywoływały też lekkie zawroty głowy, zdjął więc ponownie okulary. Po ponurej twarzy Cesara Santarema przemknął uśmiech.

– A teraz nie wie pan, czy lepsze są stare, czy nowe – stwierdził.

Gregorius skinął głową i stanął przed lustrem. Wąskie czerwonawe oprawki i nowe szkła, które nie sprawiały wrażenia wojskowych barier przed oczami, czyniły z niego innego człowieka. Kogoś, dla kogo ważny był wygląd. Kogoś, kto chciał wyglądać elegancko, sztywnie. Dobrze, to może przesada, ale mimo wszystko... Asystentka Santarema, która namówiła go na oprawki, stanęła za Gregoriusem i uczyniła gest pełen uznania. Santarem to zauważył. *Tem razão* – powiedział – ma rację.

Gregorius poczuł narastającą wściekłość. Włożył stare okulary, kazał zapakować nowe i szybko zapłacił.

Gabinet Mariany Ecy w dzielnicy Alfama znajdował się o pół godziny drogi na piechotę. Gregorius szedł tam cztery godziny. Zaczął od tego, że za każdym razem, gdy dostrzegł jakąś ławkę, przysiadał i zmieniał okulary. Świat widziany przez nowe szkła był większy, przestrzeń po raz pierwszy naprawdę trójwymiarowa, a rzeczy bez przeszkód rozciągały się w trzech wymiarach. Tag nie stanowił już nieokreślonej brązowej powierzchni, lecz stał się rzeką, a Castelo de São Jorge wznosił się pod niebo jak prawdziwy zamek. Jednak ten świat był męczący. Co prawda w nowych oprawkach na nosie chodziło się lżej, ciężki krok, do którego przywykł Gregorius, nie pasował do lekkości na twarzy, ale świat stał się bliższy i bardziej osaczający, wymagał więcej, choć nie było jasne, na czym polegają jego wymagania. A gdy te nieokreślone wymagania zaczynały mu ciążyć, Gregorius chował się za starymi szklami, które wszystko utrzymywały na dystans i pozwalały mu podawać w wątpliwość, czy poza słowami i tekstami istnieje w ogóle jakiś świat zewnętrzny. Wątpliwość ta była mu droga i miła i właściwie nie potrafił wyobrazić sobie bez niej życia. Nie potrafił też jednak zapomnieć o nowym widoku. W małym parku wyjął zapiski Prado i spróbował czytać.

O verdadeiro encenador da nossa vida é o acaso – urn encenador cheio de crueldade, misericórdia é encanto cativante. Gregorius nie wierzył własnym oczom, jeszcze żadnego zdania Prado nie zrozumiał tak łatwo. *Prawdziwym reżyserem naszego życia jest przypadek – reżyserem pełnym okrucieństwa, litości i usidlającego czaru.* Zamknął oczy i poddał się słodkiej iluzji, że nowe szkła przybliżą mu w ten sposób także pozostałe zapiski Portugalczyka – jakby były one bajecznym, magicznym instrumentem, który odsłaniał znaczenie słów poza ich zewnętrznymi konturami. Gregorius dotknął okularów i wyciągnął się na ławce. Zaczynał je lubić.

Chcę mieć pewność, że zapisałam panu dobre – brzmiały słowa kobiety o ogromnych oczach, ubranej w czarny aksamitny żakiet, słowa, które go zaskoczyły, ponieważ przypominały wypowiedź pilnej, ale nieśmiałej uczennicy, i zupełnie nie pasowały do pewności siebie, którą

promieniowała okulistka. Gregorius popatrzył za dziewczyną jadącą na wrotkach. Gdyby pierwszego wieczoru w Lizbonie tamten wrotkarz uderzył go łokciem odrobinę inaczej – gdyby nie zawadził o skroń – teraz Gregorius nie zdążyłby do tej kobiety, wahając się między nieco rozmytym a ostrym spojrzeniem, które sprawiało, że świat był tak nierzeczywiście rzeczywisty.

W pobliskim barze wypił kawę. Była pora obiadowa, lokal wypełnili elegancko ubrani mężczyźni z sąsiedniego biurowca. Gregorius przyglądał się swej nowej twarzy widocznej w lustrze, a potem całej postaci, którą niedługo miała ujrzeć lekarka. Wypchane sztruksowe spodnie, gruby golf i stara wiatrówka rzucały się w oczy na tle dobrze skrojonych marynarek, dobranych kolorystycznie koszul i krawatów. Nie pasowały też do nowych okularów, zupełnie nie pasowały. Gregoriusa zezłościło, że przeszkadzał mu ten kontrast, i z każdym łykiem kawy stawał się coraz bardziej zagniewany. Przypomniwał sobie spojrzenie, jakim zmierzył go kelner w hotelu Bellevue rankiem w dniu jego ucieczki i jak wcale go to nie obeszło, wręcz przeciwnie, miał wrażenie, że swym niechlujnym wyglądem sprzeciwia się pustej elegancji otoczenia. Gdzie się podziała ta pewność? Włożył stare okulary, zapłacił i wyszedł.

Czy w czasie jego pierwszej wizyty w okolicy gabinetu Mariany Ecy stały tak bogate domy? Gregorius włożył nowe okulary i rozejrzał się. Lekarze, prawnicy, firma winiarska, afrykańska ambasada. Pocił się w grubym golfie, a jednocześnie czuł na twarzy zimny wiatr, który oczyścił niebo. Za którym oknem mieścił się gabinet przyjęć?

*To, jak dobrze się widzi, zależy od wielu rzeczy, powiedziała. Była za kwadrans druga. Czy może tak po prostu zjawić się u niej o tej porze? Poszedł kilka ulic dalej i przystanął przed sklepem z męską odzieżą. *Mógłbyś sobie czasem kupić coś nowego do ubrania.* Uczennica Florence, dziewczyna z pierwszej ławki, uważała jego obojętność w kwestii ubioru za pociągającą. Żonie wkrótce zaczęła przeszkadzać taka postawa. *W końcu nie mieszkasz sam. A do tego znajomość greki nie wystarczy.* W ciągu dziewiętnastu lat, kiedy znowu mieszkał sam, tylko dwa lub trzy razy był w sklepie odzieżowym. Podobało mu się, że nikt nie czynił mu wyrzutów. Czy dziewiętnaście lat uporu to dość? Z wahaniem wszedł do sklepu.*

Obie sprzedawczynie zadały sobie masę trudu i sprowadziły nawet kierownika. Gregorius wciąż na nowo oglądał się w lustrze: najpierw w garniturach, które czyniły z niego raz bankiera, raz operowego widza, hulakę, profesora, księgowego, potem w marynarkach, od dwurzędowych po sportowe, które przywodziły na myśl przejażdżki w pałacowym parku, wreszcie w skórze. Ze wszystkich pełnych zachwytu portugalskich zdań, jakie na niego spadały, nie rozumiał ani słowa i wciąż kręcił głową. Wreszcie opuścił sklep w marynarce z szarego sztruksu. Kilka domów dalej niepewnie obejrzał się w oknie wystawowym. Czy elegancki golf w kolorze czerwonego wina, który dał sobie wcisnąć, pasował do czerwieni oprawek?

Nagle Gregorius stracił panowanie nad sobą. Szybkim, wściekłym krokiem przeszedł do toalety po drugiej stronie ulicy i przebrał się na powrót w stare rzeczy. Gdy mijał bramę, za którą piętrzyła się góra złomu, odstawił torbę z nowymi ubraniami. Potem powoli poszedł w stronę domu lekarki.

Ledwo wszedł, usłyszał otwierające się na górze drzwi, a potem zobaczył ją na schodach, ubraną w zwiewny płaszcz. Teraz żałował, że nie zatrzymał nowych rzeczy.

– Ach, to pan – powiedziała i spytała, jak się czuje w nowych okularach.

Gdy opowiadał, podeszła do niego, dotknęła okularów i sprawdziła, czy dobrze leżą. Poczł zapach perfum, pasmo włosów dotknęło jego twarzy i przez ułamek sekundy ruch Mariany zlał się z ruchem Florence, gdy po raz pierwszy zdjęła mu okulary. Kiedy mówił o nierzeczywistej rzeczywistości, jaką nagle zyskało otoczenie, uśmiechnęła się i spojrzała na zegarek.

– Muszę zdążyć na prom, wybieram się z wizytą. – Coś w wyrazie jego twarzy musiało ją zastanowić, ponieważ zatrzymała się w połowie kroku. – Płynął już pan po Tagu? Czy chciałby mi pan towarzyszyć?

Gregorius nie potrafił sobie potem przypomnieć jazdy samochodem. Tylko to, że jednym płynnym ruchem wjechali na wolne miejsce, które wydawało się o wiele za małe. Potem siedzieli na górnym pokładzie promu, a Mariana Eça opowiadała mu o wuju, którego miała odwiedzić, bracie jej ojca.

João Eça mieszkał po drugiej stronie rzeki w Cacilhas, w domu opieki. Rzadko się odzywał i przez całe dni rozgrywał słynne partie szachów. Dawniej był księgowym w dużym przedsiębiorstwie, skromny, nierzucający się w oczy, niemal niewidzialny człowiek. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że pracuje dla ruchu oporu. Zasłona okazała się prawie idealna. Miał czterdzieści siedem lat, gdy pochwycili go ludzie Salazara. Jako komunista został skazany za zdradę stanu na dożywocie. Dwa lata później Mariana, jego ulubiona bratanica, odebrała go z więzienia.

– Było to latem 1974 roku, kilka tygodni po rewolucji, miałam dwadzieścia jeden lat i studiowałam w Coimbrze – powiedziała z odwróconą głową.

Gregorius usłyszał, jak przełyka, a jej głos nabrał szorstkości, by się nie załamać.

– Nigdy nie otrząsnęłam się z tego widoku. Skończył dopiero czterdzieści dziewięć lat, ale tortury uczyniły z niego starego, schorowanego człowieka. Dawniej miał pełny, dźwięczny głos, teraz mówił ochryple i cicho, a jego dłonie, które grywały Schuberta, przede wszystkim Schuberta, były zniekształcone i nieustannie drżały. – Wciągnęła powietrze i usiadła wyprostowana. – Zostało tylko to niesłychanie bezpośrednio, nieustraszone spojrzenie jego szarych oczu – nie złamali go. Minęły lata, nim zdołał mi opowiedzieć, jak trzymali mu przed oczami rozżarzone żelazo, by zmusić go do mówienia. Zbliżali je coraz bardziej, a on czekał, aż w końcu zatonie w fali płonącej ciemności. Nie uciekał jednak wzrokiem od żelaza, lecz przeszywał nim jego twardość i żar i przenikał twarze oprawców. Ta niewiarygodna niezłomność ich powstrzymała. „Od tamtej pory niczego się już nie boję – powiedział – dosłownie niczego”. I jestem pewna – niczego im nie zdradził.

Stanęli na lądzie.

– Tam – wskazała Mariana, a jej głos odzyskał zwykłą moc – tam znajduje się dom opieki.

Wskazała mu prom, który przepływał rzekę po większym luku, co pozwalało zobaczyć miasto z innej perspektywy. Potem przez chwilę stała niezdecydowana, było to wahanie zdradzające świadomość bliskości między nimi, która zrodziła się zaskakująco szybko, a nie mogła być teraz utrzymana. Pojawił się też cień wątpliwości, czy było właściwe mówić tak

wiele o João i o sobie. Gdy w końcu Mariana ruszyła w kierunku domu opieki, Gregorius długo patrzył za nią i wyobrażał sobie, jak w wieku dwudziestu jeden lat stała przed więzieniem.

Wrócił do Lizbony i raz jeszcze odbył rejs po Tagu. João Eça należał do ruchu oporu, Amadeu de Prado pracował dla ruchu oporu. *Resistência* – lekarka naturalnie użyła portugalskiej nazwy, jakby dla tej sprawy, tej świętej sprawy, nie mogło być innego słowa. W ustach Mariany słowo to, wymawiane z cichym naciskiem, miało upajające, pełne brzmienie, zyskiwało mityczny blask i mistyczną aurę. Księgowy i lekarz, pięć lat różnicy. Obaj zaryzykowali wszystko, obaj pracowali pod idealną przykrywką, obaj byli mistrzami dyskrecji i wirtuozami zapieczętowanych ust. Czy się znali?

Gdy Gregorius ponownie znalazł się na łądzie, kupił plan miasta z dokładną mapą Bairro Alto. Przy posiłku ułożył trasę wyprawy w poszukiwaniu niebieskiego domu, w którym powinna mieszkać postarzała Adriana de Prado, sama i bez telefonu. Kiedy opuszczał lokal, zaczynało zmierzchać. Wsiadł do tramwaju jadącego do dzielnicy Alfama. Po chwili odnalazł bramę ze stosem złomu. Torba z nowymi ubraniami stała tam nadal. Wziął ją, zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do hotelu.

12 Kolejny ranek był szary i pochmurny. Zupełnie wbrew swoim przyzwyczajeniom, poprzedniego wieczoru Gregorius zasnął wcześniej i zatonął w powodzi sennych obrazów, w których w niezwyklej kolejności pojawiały się statki, ubrania i więzienia. Choć niepojęta, wizja nie była nieprzyjemna i nie przypominała koszmaru, ponieważ chaotycznym, rapsodycznie zmieniającym się epizodom towarzyszył niesłyszalny głos o przemożnej sile należący do kobiety, której nazwiska szukał gorączkowo, jakby zależało od tego jego życie. Dokładnie w chwili przebudzenia Gregorius przypomniał sobie słowo, za którym gonił: *Conceição* – piękna, bajkowa część pełnego nazwiska lekarki, które widniało na mosiężnej tabliczce przy wejściu do gabinetu: Mariana Conceição Eça. Gdy Gregorius

cicho wypowiedział to słowo, z zapomnienia wyłoniła się kolejna scena snu, w której kobieta o szybko zmieniającej się tożsamości zdejmowała mu okulary, naciskając mocno na jego nos, tak mocno, że nadal czuł tam ucisk.

Dochodziła pierwsza w nocy i niepodobna było ponownie zasnąć. Przewertował więc książkę Prado i zatrzymał się na fragmencie noszącym tytuł CARAS FUGAZES NA NOITE. ULOTNE TWARZE W NOCY.

Często mam wrażenie, że spotkania między ludźmi są niczym mijanie się szaleńczo rozpędzonych pociągów głęboką nocą. Rzucamy szybkie, pobieżne spojrzenia na innych, siedzących w słabym świetle za mętłym szkłem i zaraz znikających z naszego pola widzenia, ledwie mieliśmy czas ich dostrzec. Czy rzeczywiście to mężczyzna i kobieta przemknęli niczym przywidzenie w rozświetlonych ramach okna, które wyłoniło się z niczego i zdawało się bez sensu i celu wycięte w bezludnej ciemności? Czy się znali? Czy rozmawiali ze sobą? Śmiali się? Płakali? Można powiedzieć, że jest tak, gdy obcy przechodnie mijają się w wietrzny, deszczowy dzień, wtedy porównanie to ma pewien sens. Ale w wielu przypadkach siedzimy naprzeciw siebie dłużej, jemy razem i pracujemy, leżymy obok siebie, mieszkamy pod wspólnym dachem. Gdzie podziewa się wtedy ta ulotność? Przecież wszystko sprawia wrażenie stałości, bliskości, intymnej zażyłości – czy nie jest to stworzona dla naszego spokoju ułuda, przez którą próbujemy ukryć i odrzucić migoczącą, niepokojącą ulotność, ponieważ niemożliwe byłoby stawić jej czoło w każdej chwili? Czyż każde spojrzenie innego człowieka, każda wymiana spojrzeń nie przypomina ulotnego spotkania podróżnych, którzy mijają się oszołomieni niehumanitarną prędkością i uderzeniem powiewu sprawiającego, że wszystko drży i dzwoni? Czy nasze spojrzenia nie uciekają wciąż od innych ludzi, jak dzieje się to w rozpędzonym nocnym pociągu, i nie zostawiają nas jedynie z domysłami,

skrawkami myśli i błędnymi osądami? Czyż w rzeczywistości nie jest tak, że spotykają się nie ludzie, lecz cienie, które rzucają ich wyobrażenia?

Jak to było, myślał wcześniej Gregorius, być siostrą kogoś, z kogo przebijała tak zawrotnie głęboka samotność? Kogoś, kto w swych rozważaniach ujawniał tak bezkompromisową konsekwencję, choć z jego słów nie przebijała rozpacz, ani nawet zdenerwowanie? Jak to było asystować mu, podawać strzykawkę i pomagać bandażować rany? Jego rozważania o dystansie i obcości między ludźmi – co oznaczały dla atmosfery w niebieskim domu? Czy Prado krył te myśli w sobie, czy też dom był miejscem, jedynym miejscem, w którym pozwalał im przejawiać się także na zewnątrz? Na przykład w sposobie, w jaki chodził z pokoju do pokoju, brał książkę do ręki i decydował, jakiej muzyki chce słuchać? Jakie dźwięki pasowały do jego samotnych myśli, w swej czystości i twardości przypominających twory ze szkła? Czy szukał dźwięków stanowiących ich potwierdzenie, czy też potrzebował melodii i rytmów działających jak balsam, nie usypiająco i otepiająco, ale łagodząco?

Rozmyślając nad tymi kwestiami, nad ranem Gregorius zapadł ponownie w lekki sen, w którym stanął przed nieprawdopodobnie wąskimi, niebieskimi drzwiami z pragnieniem, by zadzwonić, a jednocześnie z przekonaniem, że nie ma pojęcia, co powiedzieć kobiecie, gdy ta mu otworzy. Po przebudzeniu zszedł na śniadanie w nowym ubraniu i nowych okularach. Kelnerka zdziwiła się, gdy zauważyła jego odmieniony wygląd, a potem po jej twarzy przemknął uśmiech. I oto w szary, mglisty niedzielny poranek Gregorius ruszył w drogę, by odszukać niebieski dom, o którym mówił stary Coutinho.

Obszedł dopiero kilka uliczek górnego miasta, gdy zobaczył mężczyznę, za którym podążył pierwszego wieczoru, jak z papierosem w ustach podchodzi do okna. Teraz, w świetle dnia, dom wydawał się jeszcze węższy i bardziej odrapany niż wtedy. Wnętrze pokoju znajdowało się w cieniu, lecz Gregorius dostrzegł kanapę, gablotkę z kolorowymi porcelanowymi figurkami i krucyfiks. Przystanął i poczekał, aż mężczyzna spojrzy na niego.

– *Uma casa azul?* – spytał.

Mężczyzna przyłożył dłoń do ucha i Gregorius powtórzył pytanie. Odpowiedzią był potok słów, których nie rozumiał, a którym towarzyszyły ruchy dłoni z papierosem. Gdy mężczyzna mówił, podeszła do niego pochylona staruszka.

– *O consultório azul?* – spytał ponownie Gregorius.

– *Sim!* – zawołała kobieta skrzeczącym głosem, a potem jeszcze raz: – *Sim!*

Podeksytowana gestykulowała chudymi jak szczapy ramionami i kościstymi dłońmi, a po chwili Gregorius zrozumiał, że macha do niego. Z ociąganiem wszedł do domu, w którym pachniało zgnilizną i spalonym tłuszczem. Miał wrażenie, jakby musiał się przebić przez grubą ścianę odpychających zapachów, by dotrzeć do drzwi mieszkania, za którymi czekał mężczyzna z nowym papierosem w ustach. Kuśtykając, poprowadził Gregoriusa do salonu, po czym niezrozumiale mamrocząc, niejasnym gestem poprosił go, by usiadł na kanapie.

W ciągu następnej półgodziny Gregorius z wysiłkiem starał się odnaleźć w potoku niezrozumiałych słów i wieloznacznych gestów obojga gospodarzy, którzy próbowali mu wytłumaczyć, jak to było przed czterdziestu laty, gdy Amadeu de Prado leczył ludzi z okolicy. W ich głosach pobrzmiwało uwielbienie, uwielbienie dla kogoś, kto stoi znacznie wyżej od mówiącego. Ale oprócz tego uwielbienia w otoczeniu unosiło się jeszcze jedno uczucie. Gregorius rozpoznał je w końcu jako skrępowanie wynikające z dawnego przewinienia, któremu się zaprzecza, ale nie można go zupełnie wymazać z pamięci. *Ludzie zaczęli unikać Prado, co złamało mu serce*, wspomniał słowa Coutinha, gdy ten opowiadał, jak lekarz uratował życie Rui Luisa Mendesa, kata z Lizbony.

Mężczyzna uniósł nogawkę spodni i pokazał Gregoriusowi bliznę. – *Ele fez isto, to on zrobił* – powiedział i przejechał po bliznie poźółkłym od nikotyny palcem. Kobieta potarła kościstymi dłońmi skronie i uczyniła gest odpychania – Prado wyleczył ją z bólu głowy. Potem wskazała na małą bliznę na palcu, prawdopodobnie ślad po kurzajce.

Gdy Gregorius zastanawiał się później, co właściwie przeważało szalę i kazało mu wreszcie zadzwonić do niebieskich drzwi, przypominały mu się

zawsze gesty tych ludzi, na których ciałach uwielbiany, później postawiony pod pręgierzem i wreszcie znowu uwielbiany lekarz zostawił ślady. Było to tak, jakby jego dłonie na nowo ożyły.

Gregorius wysłuchał wskazówek, jak dotrzeć do dawnego gabinetu Prado, i opuścił mieszkanie. Gospodarze głowa przy głowie spoglądali na niego z okna i Gregoriusowi wydało się, że w ich spojrzeniach dostrzega zazdrość, paradoksalną zazdrość, gdyż on mógł zrobić coś, co dla nich nie było już osiągalne – mógł poznać na nowo Amadeu de Prado, torując sobie drogę do jego przeszłości.

Czy to możliwe, że najprostsza droga, by zyskać pewność co do samego siebie, polegała na poznaniu i zrozumieniu kogoś obcego? Kogoś, kogo życie biegło zupełnie innym torem i według odmiennej logiki? W jaki sposób ciekawość życia drugiego człowieka pasowała do świadomości, że czyjś czas upływa?

Gregorius stał przy ladzie w małym barze i pił kawę. Znalazł się tu już drugi raz. Godzinę wcześniej dotarł na Rua Luz Soriano i po kilku krokach stanął przed niebieskim domem Prado, trzypiętrowym budynkiem, który sprawiał wrażenie niebieskiego z powodu błękitnych kafli, ale jeszcze bardziej dlatego, że wszystkie okna sklepione były wysokimi łukami pomalowanymi lśniąca ultramaryną. Stara farba odpadała, niektóre miejsca zawilgotniały i pokrywał je czarny mech. Farba odpadała również z kutych krat pod oknami. Tylko niebieskie drzwi wejściowe były idealnie pomalowane, jakby ktoś chciał powiedzieć: to one właśnie są najważniejsze.

Obok dzwonka nie było tabliczki. Z bijącym sercem Gregorius spoglądał na drzwi z mosiężną kołatką. *Jakby cała moja przyszłość znajdowała się za tymi drzwiami*, pomyślał. Potem poszedł do baru znajdującego się o kilka domów dalej i próbował zwalczyć w sobie to groźne uczucie, że zaraz wypadnie z toru. Spojrzał na zegarek – przed sześcioma dniami o tej porze zdjął z wieszaka w klasie wilgotny płaszcz i uciekł od swojego bezpiecznego, klarownego życia, nawet się nie oglądając. Sięgnął do kieszeni płaszcza i poszukał klucza do berneńskiego mieszkania. I nagle, wyczuwalna tak mocno i fizycznie jak napad wilczego głodu, ogarnęła go potrzeba, by przeczytać tekst po grecku lub hebrajsku, zobaczyć przed sobą

piękne obce litery, które po czterdziestu latach nie straciły dla niego nic ze swej orientalnej, bajkowej elegancji, upewnić się, że w trakcie sześciu oszałamiających dni nie utracił zdolności, by rozumieć wszystko, co wyrażały.

W hotelu został Nowy Testament po grecku i portugalsku, który podarował mu Coutinho, jednak do hotelu było zbyt daleko, chodziło o to, by przeczytać coś tu i teraz, w niewielkiej odległości od niebieskiego domu, grożącego, że go połknie, jeszcze zanim otworzyły się drzwi. Gregorius pospiesznie zapłacił i ruszył w poszukiwaniu księgarni, w której mógłby znaleźć takie teksty. Była jednak niedziela i jedyne, co znalazł, to zamknięta przykościelna księgarnia z książkami na wystawie, które nosiły greckie i hebrajskie tytuły. Oparł czoło o chłodną od mgły szybę i poczuł, jak ponownie ogarnia go pokusa, by pojechać na lotnisko i najbliższym samolotem wrócić do Zurychu. Z ulgą poczuł, że udało mu się przetrwać to przytłaczające pragnienie niczym palącą, ale ustępującą gorączkę, cierpliwie pozwolił więc mu odejść, po czym powoli wrócił do baru w pobliżu niebieskiego domu.

Z kieszeni nowej marynarki wyjął książkę Prado i spojrzał na śmiałą, nieulekłą twarz Portugalczyka. Lekarz, który wykonywał swój zawód z żelazną konsekwencją. Bojownik ruchu oporu, który, ryzykując życie, próbował odkupić winę niebędącą w istocie winą. Złotnik słów, którego najgłębszą pasją było wydzierać nieme doświadczenia ludzkiego życia z milczenia.

Nagle Gregoriusa ogarnął strach, że w niebieskim domu mógł już zamieszkać ktoś inny. Pospiesznie położył na ladzie drobne za kawę i szybkim krokiem ruszył w kierunku domu. Przed niebieskimi drzwiami odetchnął głęboko dwa razy i bardzo wolno wypuścił powietrze z płuc. Potem nacisnął dzwonek.

Brzęczący dźwięk, który brzmiał tak, jakby dochodził z oddali średniowiecza, rozległ się nadmiernie głośno. Nic się nie stało. Ani światła, ani kroków. Gregorius ponownie zmusił się do zachowania spokoju, a potem zadzwonił drugi raz. Nic. Wyczerpany oparł się plecami o drzwi. Pomyślał o swoim mieszkaniu w Bernie. Był zadowolony, że to już koniec. Powoli włożył książkę Prado do kieszeni płaszcza i dotknął chłodnego

metalnego klucza do mieszkania. Potem oderwał się od drzwi i zamierzał odejść.

W tym momencie usłyszał kroki. Ktoś schodził po schodach. Za oknem dostrzegł światło. Kroki zbliżyły się do drzwi.

– *Quem é?* – zawołał niski, ochrypły kobiecy głos.

Gregorius nie wiedział, co odpowiedzieć. Czekał w milczeniu. Mijały sekundy. Potem w zamku przekręcono klucz i drzwi się otworzyły.

Część druga

Spotkanie

13 Stanęła przed nim wysoka, ubrana na czarno kobieta o surowej urodzie, przypominająca zakonnicę. A może raczej postać z greckiej tragedii. Błada, szczupła twarz była otoczona szydełkową chustą, którą kobieta przytrzymywała pod brodą szczupłą, kościstą ręką z wystającymi ciemnymi żyłami, wyraźniej niż rysy twarzy świadczącymi o podeszłym wieku. Głęboko osadzone oczy, lśniące niczym czarne diamenty, zmierzyły Gregoriusa gorzkim spojrzeniem, które mówiło o wyrzeczeniach, o samodyscyplinie i samozaparciu i które stanowiło upomnienie dla wszystkich ludzi całe życie bez oporu pozwalających poganiać się innym. Te oczy potrafiły płonąć, pomyślał Gregorius, gdy ktoś sprzeciwił się niezłomnej, niemej woli kobiety, która trzymała się prosto jak świeca, a głowę nosiła nieco wyżej, niż pozwalałoby na to jej wzrost. Rozchodził się od niej lodowaty żar, a Gregorius nie miał pojęcia, jak się przed nim uchronić. Nagle nie wiedział nawet, jak powiedzieć „dzień dobry” po portugalsku.

– *Bonjour* – odezwał się ochryple, gdy kobieta nadal patrzyła na niego bez słowa, a potem z kieszeni płaszcza wyjął książkę Prado i otworzył ją na portrecie autora.

– Wiem, że ten człowiek, lekarz, mieszkał tu i pracował – ciągnął po francusku. – Ja... chciałem zobaczyć, gdzie mieszkał, i porozmawiać z kimś, kto go znał. Te zdania, które napisał, robią ogromne wrażenie. To mądre zdania. Cudowne zdania. Chciałbym wiedzieć, jaki był człowiek, który potrafił je napisać. Jak wyglądało życie z nim.

Zmiana na surowej, bladej twarzy kobiety, która przez czerń chusty zyskiwała matowe lśnienie, była ledwie zauważalna. Tylko ktoś obdarzony niezwykłą spostrzegawczością, jak Gregorius w tej chwili, mógł dostrzec, że surowe rysy niewiele zaledwie odrobinę – się rozluźniły, a spojrzenie straciło nieco odpychającej ostrości. Mimo to kobieta milczała, a czas zaczął się dłużyć.

– *Pardonnez-moi, je ne voulais pas...* – zaczął Gregorius, cofnął się dwa kroki i sięgnął do kieszeni, która nagle wydała się za mała, by pomieścić książkę. Obrócił się, by odejść.

– *Attendez!* – powiedziała kobieta. Jej głos brzmiał teraz mniej ostro i cieplej niż wcześniej za drzwiami. We francuskim słowie przebijał ten sam akcent co u bezimiennej Portugalki na moście Kirchenfeld. Mimo to wypowiedź przypominała rozkaz, któremu nie można się przeciwstawić, i Gregorius pomyślał o słowach Coutinha na temat władczego sposobu, w jaki Adriana traktowała pacjentów. Zwrócił się do niej ponownie, nadal z książką w dłoni.

– *Entrez* – powiedziała kobieta, odeszła od drzwi i dłonią wskazała mu schody prowadzące na piętro. Zamknęła drzwi dużym kluczem, który zdawał się pochodzić z poprzedniego stulecia, i poszła za Gregoriusem. Gdy znaleźli się na górze, zdjęła kościstą białą dłoń z poręczy schodów i minęła go, kierując się do salonu. Gregorius usłyszał, jak kobieta sapie, a jego nozdrza uderzył cierpki zapach, który równie dobrze mógł być zapachem leków, jak i perfum.

Gregorius nigdy jeszcze nie widział takiego salonu, nawet na filmie. Ciągnął się przez całą szerokość domu i wydawał się nie mieć końca. Nieskazitelnie lśniący parkiet miał wzór w rozety z różnych gatunków drewna o różnych odcieniach, a gdy Gregorius sądził, że jego spojrzenie spoczęło na ostatniej już rozecie, za nią zawsze zjawiała się kolejna. Wreszcie powędrował wzrokiem za okno i popatrzył na stare drzewa, które teraz, pod koniec lutego, stanowiły plataninę czarnych gałęzi sięgających wysoko pod ołowiane niebo. W rogu salonu stał okrągły stół obok stylowych francuskich mebli – sofy i trzech foteli wyściełanych oliwkowym, srebrno połyskującym aksamitem, z wygiętymi oparciami i nogami z czerwonego drewna. W następnym rogu znajdował się lśniący czarny stojący zegar, którego złote wahadło było nieruchome, wskazówki zatrzymały się na godzinie szóstej dwadzieścia trzy. W rogu pod oknem umieszczono fortepian przykryty ciężką kapą z czarnego brokatu, przetykaną błyszczącymi złotymi i srebrnymi nitkami.

Jednak największe wrażenie wywarły na Gregoriusie niezliczone regały z książkami wpuszczone w ściany koloru ochry. Zwieńczone były małymi

lichtarzami w secesyjnym stylu, a powyżej rozciągał się kasetonowy sufit barwy ochry, tak jak ściany, w ciemnoczerwone geometryczne wzory. *Niczym klasztorna biblioteka* – pomyślał Gregorius – *biblioteka człowieka o klasycznym wykształceniu, pochodzącego z zamożnego domu*. Nie odważył się przejść wzdłuż ścian, lecz jego spojrzenie szybko odnalazło ciemnoniebieskie oksfordzkie tomy ze złotymi tłoczonymi literami, Cyclerona, Horacego, pisma ojców Kościoła, OBRAS COMPLETAS autorstwa San Ignacia. Nie przebywał w tym domu nawet dziesięciu minut, a już pragnął nigdy go nie opuszczać. To po prostu *musiała* być biblioteka Amadeu de Prado. Czy nią *była*?

– Amadeu uwielbiał ten pokój, książki. „Mam tak mało czasu, Adriano – powtarzał często – za mało czasu na czytanie, może powinienem być zostać księdzem?”. Chciał jednak, żeby gabinet był zawsze otwarty, od rana do wieczora. „Kto cierpi lub się boi, nie może czekać”, zwykł mawiać, gdy widziałam jego wyczerpanie i próbowałam go hamować. Czytał i pisał nocami, gdy nie mógł spać. A może nie mógł spać, bo miał poczucie, że musi czytać, pisać i rozmyślać, nie wiem. To było jego przekleństwo, ta bezsenność, i jestem pewna, że bez tego cierpienia i niepokoju, bez tego wiecznego poszukiwania słów bez chwili wytchnienia jego mózg działałby znacznie dłużej. Może Amadeu nadal by żył. W tym roku skończyłby osiemdziesiąt cztery lata, dwudziestego grudnia.

Nie zapytawszy, kim jest Gregorius, i nie przedstawivszy mu się ani słowem, opowiadała o swoim bracie, o jego cierpieniach, poświęceniu, pasji i śmierci. O wszystkich rzeczach – co do tego słowa i wyraz twarzy kobiety nie pozostawiały wątpliwości – które były w jej życiu najważniejsze. I mówiła o nich tak bezpośrednio, jakby w błyskawicznej, nieziemskiej metamorfozie Gregorius stał się mieszkańcem świata jej wyobraźni i wszechwiedzącym świadkiem wspomnień. Był kimś, kto nosił przy sobie księgę opatrzoną tajemniczym znakiem *Cedros vermelhos*, czerwonych cedrów, i to wystarczyło, by zapewnić mu wstęp do świętego kręgu jej myśli. Ile lat czekała na to, by zjawił się ktoś taki jak on, ktoś, komu mogła opowiedzieć o zmarłym bracie? Na nagrobku widniał rok 1973. Zatem Adriana mieszkała w tym domu sama przez trzydzieści jeden

lat, trzydzieści jeden lat jedynie ze wspomnieniami i pustką, którą zostawił po sobie brat.

Do tej pory Adriana trzymała chustę zebraną pod brodą, jakby chciała coś ukryć. Teraz odsunęła dłoń, szydełkowa chusta rozsunęła się i ukazała czarną aksamitkę, która otaczała szyję. Tego widoku rozchylającej się chusty odsłaniającej szeroką wstążkę na białych fałdkach szyi Gregorius miał nigdy nie zapomnieć. Widok stopił się w trwały, szczegółowy obraz i później, gdy Gregorius wiedział już, co kryła aksamitka, stał się ikoną jego wspomnień. Do wspomnień należał także ruch dłoni, którym Adriana sprawdzała, czy wstążka nadal jest na miejscu i czy leży właściwie. Wydawało się, że ruch ten bardziej się jej przytrafiał, niż że sama go wykonywała, a jednocześnie wyrażał całą jej istotę i mówił o niej więcej, niż czyniła to rozmyślnie i świadomie.

Chusta zsunęła się nieco w tył i oto Gregorius ujrzał posiwiałe włosy, których pojedyncze pasma przypominały jeszcze o dawnej czerni. Adriana chwyciła opadającą chustę, uniosła ją i z zakłopotaniem nasunęła na czoło. Potem jednak zatrzymała się i przekornym gestem zerwała nakrycie z głowy. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, a wzrok Adriany zdawał się mówić: *Tak, zestarzałam się*. Pochyliła głowę do przodu, pasmo kręconych włosów opadło na oczy, górna część tułowia skurczyła się, a potem dłonie z ciemnofioletowymi żyłami powolnym, zagubionym ruchem złożyły chustę na kolanach.

Gregorius wskazał na książkę Prado, którą wcześniej położył na stole. – Czy to wszystko, co napisał Amadeu?

Te kilka słów zdziało cuda. Z Adriany opadło całe wyczerpanie i przygaszenie, wyprostowała się, odrzuciła głowę w tył, przejechała dłońmi po włosach i spojrzała na Gregoriusa. Był to pierwszy raz, gdy na jej twarzy pojawił się uśmiech, szelmowski i uroczy, dzięki któremu wyglądała dwadzieścia lat młodziej.

– *Venha, senhor*. Niech pan pójdzie za mną. – Wszelka władczość zniknęła z jej głosu, słowa brzmiały nie jak rozkaz ani nawet nie jak wezwanie, lecz jak obietnica, że mu coś pokaże, wprowadzi do ukrytego, tajemnego świata. Do tej obietnicy intymności i poufałości pasowało także

to, że Adriana najwyraźniej zapomniała, iż Gregorius nie mówi po portugalsku.

Poprowadziła go korytarzem do schodów wiodących na poddasze i ciężko oddychając, pokonała je stopień po stopniu. Przystanęła przed jednymi z dwójga drzwi. Można było to odczytać jako zwykłą chwilę odpoczynku, lecz gdy Gregorius układał później swoje wspomnienia, miał pewność, że było to także zwlekanie, niepewność, czy naprawdę powinna pokazać obcemu człowiekowi to, co dla niej najświętsze. Wreszcie, ostrożnie jak przy odwiedzinach w pokoju chorego, Adriana nacisnęła klamkę, a delikatność, z jaką najpierw uchyliła drzwi tylko nieznacznie, by potem powoli otworzyć je na całą szerokość, stworzyła wrażenie, że wchodząc na poddasze, cofnęła się w czasie o ponad trzydzieści lat i wkraczała do pokoju, oczekując, że znajdzie w nim Amadeu piszącego i rozmyślającego, może nawet śpiącego.

Na obrzeżach umysłu Gregoriusa przemknęła nieco zamglona myśl, że oto ma do czynienia z kobietą, która kroczy po wąskiej krawędzi oddzielającej jej obecne prawdziwe życie od innego, niewidocznego i oddalonego w czasie, ale dla niej samej bardziej rzeczywistego, i że potrzeba tylko lekkiego pchnięcia, niemal powiewu, by spadła i bezpowrotnie zniknęła w przeszłości spędzonej z bratem.

W pomieszczeniu, do którego weszli, czas rzeczywiście się zatrzymał. Przestronny pokój urządzone z ascetyczną surowością. Na jednym końcu przy ścianie stało biurko z krzesłem, po drugiej stronie łóżko, przed którym leżał mały dywanik przypominający dywan modlitewny. Na środku znajdował się fotel z lampą do czytania, obok na nagich deskach leżały stosy nieporządnie ułożonych książek. Poza tym nic. Całość stanowiła sanktuarium, ołtarz wspomnień o Amadeu Inácio de Almeida Prado, lekarzu, bojowniku ruchu oporu i złotniku słów. Wewnątrz panowała chłodna złotousta cisza katedry, bezgłośny szum pomieszczenia, które wypełnia zamrożony czas.

Gregorius przystanął w drzwiach – nie był to pokój, do którego obcy mógł tak po prostu wejść. Również Adriana, przechodząc między nielicznymi meblami, nie poruszała się w zwykły sposób. Nie stawiała na czubkach palców, a jej chód nie był sztuczny, jednak Gregorius pomyślał, że powolne kroki mają w sobie coś eterycznego, coś niematerialnego,

niemal beczasowego i bezmiejscowego. Dotyczyło to również ruchów ramion i dłoni, gdy Adriana podchodziła do mebli i gładziła je delikatnie, niemal ich nie dotykając.

Najpierw podeszła do krzesła przy biurku, krzesła z zaokrąglonym siedzeniem, o wygiętym oparciu i nogach, które pasowało do krzesel w salonie. Stało pod kątem do blatu, jakby ktoś wstał z niego pospiesznie i je przesunął. Gregorius bezwiednie czekał, aż Adriana je wyprostuje, i dopiero gdy delikatnie obwiodła palcami wszystkie krawędzie mebla, niczego nie zmieniając, zrozumiał – tak nierówno ustawione krzesło pozostawił po sobie Amadeu przed trzydziestoma laty i dwoma miesiącami, a zatem było to ustawienie, którego za żadną cenę nie należało zmieniać. Próba zmiany oznaczałaby sytuację, w której ktoś w prometejskim zapędzie chciałby wyrwać przeszłość z jej nieodwracalności i obalić prawa natury.

Zasady dotyczące stołu odnosiły się również do obiektów na blacie, na którym znajdował się lekko wzniesiony pulpit, ułatwiający pisanie i czytanie. Na pulpicie, mocno przekrzywiona, leżała ogromna, otworzona w połowie książka, a przed nią stos kartek. Na pierwszej kartce, jak, wysiliwszy wzrok, dostrzegł Gregorius, zapisano tylko kilka słów. Adriana wierzchem dłoni delikatnie pogładziła drewno i dotknęła filiżanki z niebieskawej porcelany, która stała na miedzianoczerwonej tacy wraz z cukiernicą pełną kandyzowanego cukru i przepełnioną popielniczką. Czy te rzeczy były równie stare? Trzydziestojednoletnia kawa? Popiół z papierosów liczący ponad ćwierć wieku? Tusz w otwartym piórze musiał rozpaść się w drobny pył albo zaschnąć w czarną grudkę. Czy żarówka w bogato zdobionej lampie ze szmaragdowozielonym kloszem mogłaby się jeszcze zapalić?

Gregoriusa zdziwił pewien fakt, chwilę jednak potrwało, nim sobie to uświadomił – na meblach nie leżał kurz. Zamknął oczy i oto Adriana stała się tylko duchem o słyszalnych zarysach, który krążył po pokoju. Czy ów duch regularnie wycierał tu kurze, przez jedenaście tysięcy dni? I w tym czasie posiwiiał?

Gdy ponownie otworzył oczy, Adriana stała przed wysokim niczym wieża stosem książek, wyglądającym, jakby w każdej chwili mógł się zawalić. Spojrzała na grubą książkę dużego formatu, która leżała na górze i miała na okładce rysunek mózgu.

– *O cérebro, sempre o cérebro* – powiedziała cicho i z wyrzutem. Mózg, ciągle mózg. – *Porquê não disseste nada?* – Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Teraz w jej głosie krył się gniew, pełen rezygnacji gniew, wygładzony przez czas i milczenie, którym martwy brat odpowiadał od dziesięcioleci. Nie powiedział jej nic o tętniaku, pomyślał Gregorius, ani o swoim strachu i o świadomości, że w każdej chwili może nastąpić koniec. Dowiedziała się o tym dopiero z jego zapisków. I mimo całego smutku była zagniewana, że poskąpił jej intymności tej wiedzy.

Adriana uniosła wzrok i spojrzała na Gregoriusa, jakby zdążyła o nim zapomnieć. Powoli jej duch powrócił do rzeczywistości.

– A tak, proszę wejść – powiedziała po francusku i pewniejszym niż wcześniej krokiem wróciła do biurka, z którego wysunęła dwie szuflady. Leżały tam grube stosy kartek umieszczone między kartonowymi okładkami i wielokrotnie przewiązane czerwoną wstążką.

– Zaczął na krótko po śmierci Fatimy. „To walka z wewnętrznym paraliżem”, powiedział, a kilka tygodni później: „Dlaczego nie zacząłem tego robić wcześniej! Nie jest się naprawdę świadomym, jeśli się nie pisze. Człowiek nie ma pojęcia, kim jest. Nie mówiąc już o tym, kim me jest”. Nikomu nie wolno było tego czytać, mnie także nie. Zamykał szufladę na klucz, który zawsze nosił przy sobie. Był... bywał bardzo nieufny.

Zamknęła szuflady. – Chciałabym teraz zostać sama – powiedziała szorstko, niemal wrogo, a gdy schodzili po schodach, nie odezwała się już ani słowem. Gdy otworzyła drzwi, stała milcząca, kanciasta i sztywna. Nie była kobietą, której podaje się rękę.

– *Au revoir et merci* – powiedział Gregorius, z ociąganiem zbierając się do wyjścia.

– Jak się pan nazywa?

Pytanie rozległo się głośniejsz, niż było to konieczne, i brzmiało nieco jak ochryple szczeknięcie, które przypomniało mu Coutinho. Powtórzyła nazwisko: *Gregoriusz*.

– Gdzie pan mieszka?

Wymienił nazwę hotelu. Bez słowa pożegnania zamknęła drzwi i przekręciła klucz.

14 W Tagu odbijały się chmury. W szalonym tempie goniły za błyszczącymi w słońcu powierzchniami, ślizgały się po nich, połykały światło i z kłującym blaskiem wyłaniały się w innym miejscu z mrocznego cienia. Gregorius zdjął okulary i zakrył twarz dłońmi. Gorączkowe zmiany między palącą jasnością i groźnym cieniem, które z niezwykłą ostrością przenikały przez nowe szkła, były męczarnią dla bezbronnych oczu. Wcześniej w hotelu, gdy obudził się z lekkiego i niespokojnego popołudniowego snu, ponownie spróbował włożyć stare okulary, jednak ich ściskający ciężar zaczął mu już przeszkadzać, czuł się w nich tak, jakby idąc przez świat, musiał dźwigać na twarzy męczące brzemie.

Niepewny i jakby obcy samemu sobie długo siedział na brzegu łóżka i próbował odszyfrować i uporządkować wywołujące zamęt przeżycia z przedpołudnia. We śnie, w którym pojawiła się niema Adriana z marmurowo bladą twarzą, dominował kolor czarny, czerń, która miała dziwną właściwość, że przyczepiała się do przedmiotów – wszystkich przedmiotów, niezależnie od tego, jakiej były barwy i jak bardzo nią lśniły. Aksamitka na szyi Adriany sięgająca aż do podbródka zdawała się ją dusić, bo nieustannie za nią szarpała. Potem znowu złapała się obiema dłońmi za głowę i nie chodziło przy tym o czaszkę, lecz o mózg, który chciała w ten sposób chronić. Wieże ksiązek zwały się jedna po drugiej, a przez chwilę, w której pełne napięcia oczekiwanie mieszało się z niepokojem i wyrzutami sumienia podglądacza, Gregorius siedział przy biurku Prado, gdzie znajdowało się morze skamieniałości, wśród nich na wpół zapisana kartka, lecz gdy tylko skierował na nią wzrok, słowa błyskawicznie zbladły i stały się nieczytelne.

Kiedy wspominał te senne obrazy, miał chwilami wrażenie, jakby wcale nie odwiedził niebieskiego gabinetu, jakby to wszystko było tylko wyjątkowo żywą wizją, w której – niczym epizod nawarstwiającej się ułudy – nastąpiło pozorne zróżnicowanie między jawą i snem. Potem chwycił się za głowę, a gdy odzyskał poczucie realności odbytej wizyty i postaci

Adriany, gdy ujrzał ją przed sobą spokojnie i wyraźnie, odartą z sennych dodatków, raz jeszcze przeżył w myślach niecałą godzinę, którą u niej spędził, ruch po ruchu, słowo po słowie. Czasem martwił na wspomnienie surowego, gorzkiego spojrzenia, skrywającego niezgodę na wydarzenia z przeszłości. Gregoriusa ogarnęło niesamowite wrażenie, gdy ujrzał Adrianę kroczącą po pokoju Prado, całkowicie zwróconą ku minionej teraźniejszości i bliską obłędu. Potem z kolei chciał delikatnie otulić jej głowę szydełkową chustą, by zapewnić umęczonemu duchowi chwilę wytchnienia.

Droga do Amadeu de Prado prowadziła przez tę twardą i kruchą zarazem kobietę, a właściwie przez jej duszę, przez ciemne korytarze jej wspomnień. Czy chciał się tego podjąć? Czy do tego dorósł? On, którego znienawidzeni koledzy nazywali *Papirusem*, ponieważ żył bardziej w starych tekstach niż w realnym świecie?

Chodziło o to, by odnaleźć inne osoby, które znały Prado, nie tylko go widziały, jak Coutinho, czy odwiedziły jego gabinet, jak utykający mężczyzna i staruszka z wczorajszego ranka, lecz naprawdę go znały, jako przyjaciela, może jako członka ruchu oporu. Gregorius pomyślał, że trudno będzie dowiedzieć się czegoś na ten temat od Adriany. Traktowała zmarłego brata jako swoją wyłączną własność, stało się to ostatecznie jasne po sposobie, w jaki przemawiała do niego, spoglądając na książkę medyczną. Zaprzeczyłaby istnieniu kogokolwiek, kto mógłby podważyć jedynie słuszny obraz brata – który należał do niej i tylko do niej – albo próbowałaby za wszelką cenę utrzymać taką osobę z daleka.

Gregorius odszukał numer Mariany Ecy i po długich minutach wahania zadzwonił. Czy miałyby coś przeciwko temu, gdyby odwiedził João, jej wuja, w domu opieki? Dowiedział się, że Prado też należał do ruchu oporu, więc może João go znał. Przez chwilę w słuchawce panowała cisza i Gregorius chciał już przeprosić za swoją propozycję, gdy Mariana powiedziała zamyślona:

– Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie, widok nowej twarzy może dobrze na niego wpłynąć. Zastanawiam się tylko, jak to przyjmie, potrafi być bardzo oschły, a wczoraj był jeszcze mniej rozmowny niż zwykle. W żadnym wypadku nie powinien pan zbyt mu się narzucać.

Zamilkła.

– Chyba wiem, co mogłoby pomóc. Chciałam wczoraj zanieść wujowi płytę, nowe nagranie sonat Schuberta. Właściwie z pianistów lubi słuchać tylko Marii João Pires, nie wiem, czy chodzi o brzmienie, o tę kobietę czy o dziwną formę patriotyzmu, ale mimo to płyta mu się spodoba. Zapomniałam wziąć ją ze sobą. Mógłby pan wstąpić do mnie i zanieść mi ją. Można powiedzieć jako mój posłaniec. To powinno dać panu szansę.

Wypił u niej herbatę, czerwonożółtą, parującą assam z kandyzowanym cukrem, i opowiedział o wizycie u Adriany. Pragnął, by Mariana jakoś to skomentowała, ale ona tylko słuchała i jedynie raz, gdy mówił o filizance kawy i pełnej popielniczce, które wyglądały, jakby przetrwały trzy dziesięciolecia, jej oczy zwęziły się jak u kogoś, kto nagle wpadł na jakiś trop.

– Niech pan będzie ostrożny – powiedziała na pożegnanie. – Chodzi mi o Adrianę. I niech mi pan da znać, jak poszło z João.

I oto siedział na promie z sonatami Schuberta w kieszeni i płynął do Cacilhas, do mężczyzny, który przeszedł przez piekło tortur i nie stracił śmiałego spojrzenia. Gregorius ponownie zakrył twarz dłońmi. Gdyby przed tygodniem, gdy poprawiał zeszyty do łaciny w swoim berneńskim mieszkaniu, ktoś przepowiedział mu, że za siedem dni w nowym stroju i w nowych okularach będzie siedział na lizbońskim promie, by od torturowanego więźnia reżimu Salazara dowiedzieć się czegoś o portugalskim lekarzu i poecie, który nie żył od ponad trzydziestu lat, uznałby tę osobę za wariata. Czy to wciąż był on, Mundus, krótkowzroczny mól książkowy, którego ogarniał strach tylko dlatego, że w Bernie spadło kilka płatków śniegu?

Prom przybił do brzegu i Gregorius skierował się powoli do domu opieki. Jak uda mu się porozumieć? Czy João Eça oprócz portugalskiego zna jakiś inny język? Była niedziela po południu, pensjonariuszy odwiedzali goście, już na ulicy mógł ich poznać po bukietach kwiatów. Na wąskich balkonach starzy ludzie okryci kocami siedzieli w słońcu, które co chwila chowało się za chmurami. Gregorius zapytał przy wejściu o numer pokoju. Zanim zapukał, kilkakrotnie głęboko odetchnął. Już drugi raz tego dnia stał z bijącym sercem przed obcymi drzwiami, nie wiedząc, co go czeka.

Nie było odpowiedzi, gdy zapukał ponownie – także nie. Gregorius obrócił się, by odejść, kiedy usłyszał, jak drzwi otwierają się z cichym skrzypnięciem. Oczekiwał człowieka w zniszczonym ubraniu, kogoś, kto zwykle nie musiał porządnie się ubierać, tylko siadywał w szlafroku przed szachownicą. Mężczyzna, który ukazał się w drzwiach bezgłośnie niczym duch, wyglądał zupełnie inaczej. Miał na sobie granatowy blezer, lśniąca białą koszulę z czerwonym krawatem, spodnie zaprasowane w nienaganny kant i błyszczące czarne buty. Dłonie trzymał w kieszeniach swetra, łysa głowa o rzadkich włosach krótko przyciętych nad odstającymi uszami była lekko zwrócona w bok, jak u kogoś, kto niechętnie przyjmuje to, co go spotyka. Szare, zmrużone oczy rzuciły spojrzenie, które zdawało się rozcinać wszystko, na co natrafiało. João Eça mógł być stary i schorowany, jak powiedziała jego bratanica, ale nie był człowiekiem złamanym. Lepiej nie mieć go za przeciwnika, pomyślał Gregorius.

– *Senhor Eça?* – spytał. – *Venho da parte de Mariana, a sua sobrinha. Trago este disco. Sonatas de Schubert.* – Były to słowa, które zdążył sprawdzić na łodzi i wielokrotnie powtórzyć.

Eça nadal stał nieporuszenie w drzwiach i spoglądał na niego. Takiego spojrzenia Gregorius jeszcze nigdy nie musiał wytrzymywać i po chwili spuścił wzrok. Eça otworzył drzwi na całą szerokość i dał mu znak, by wszedł. Gregorius znalazł się w dokładnie wysprzątanym pokoju, w którym umieszczono rzeczy niezbędne – wyłącznie takie. Przez krótką chwilę myślał o luksusowych wnętrzach, w których mieszkała lekarka, i zastanawiał się, dlaczego nie wyposażyła wuja lepiej. Myśl umknęła po pierwszych słowach Ecy.

– *Who are you?* – Głos był cichy i ochryply, a jednak krył się w nim autorytet, autorytet człowieka, który widział wszystko i na którym nic nie zrobi wrażenia.

Gregorius z płytą w ręku opowiedział o swoim pochodzeniu, zawodzie i wyjaśnił, jak poznał Marianę.

– Dlaczego pan tu przybył? Przecież nie z powodu płyty.

Gregorius położył płytę na stole i wciągnął powietrze. Potem wyjął z kieszeni książkę Prado i wskazał na portret.

– Pana bratanica sądziła, że mógł pan go znać.

Eça rzucił szybkie spojrzenie na zdjęcie i zamknął oczy. Lekko się zachwiał, a potem, wciąż z zamkniętymi oczami, podszedł do kanapy i usiadł.

– Amadeu – powiedział w ciszy, a potem powtórzył: – Amadeu. *O sacerdote ateu*. Bezbożny kapłan.

Gregorius czekał. Jedno niewłaściwe słowo, jeden niewłaściwy gest i Eça nie powie już nic więcej. Podszedł do szachownicy i spojrzał na rozpoczętą partię. Musiał zaryzykować.

– Hastings 1922. Alechin pokonuje Bogolubowa – powiedział.

Eça otworzył oczy i rzucił mu zdziwione spojrzenie.

– Tartakowera spytano kiedyś, kogo uważa za największego szachistę. Powiedział: „Jeśli szachy to walka – Laskera, jeśli nauka – Capablancę, jeśli sztuka – Alechina”.

– Tak – odparł Gregorius. – Poświęcenie obu wież świadczy o wyobraźni artysty.

– Pobrzmiewa w tym zazdrość.

– Bo tak jest. Mnie nie przyszłoby to do głowy.

Na zniszczonej, chłopskiej twarzy Eça ukazał się zarys uśmiechu.

– Jeśli to pana pocieszy – mnie także nie.

Ich spojrzenia skrzyżowały się, a potem każdy skierował wzrok w swoją stronę. Albo Eça uczyni teraz coś, by kontynuować rozmowę, albo spotkanie skończone.

– Tam we wnęce jest herbata – powiedział Eça. – Ja też chętnie się napiję.

W pierwszej chwili Gregorius poczuł się urażony, że kazano zrobić mu coś, co zwykle należy do zadań gospodarza. Potem jednak zobaczył, jak dłonie Ecy w kieszeniach blezera zaciskają się w pięści i zrozumiał – Eça nie chciał, by dostrzegł jego wykrzywione i drżące dłonie, świadectwo przebytej męki. Nalał herbaty do dwóch filiżanek. Unosiła się z nich para. Gregorius czekał. W sąsiednim pokoju rozległ się śmiech gości. Potem zapadła cisza.

Bezgłośny sposób, w jaki Eça wyjął wreszcie rękę z kieszeni i skierował ją ku filiżance, przypominał jego bezgłośne ukazanie się w drzwiach.

Eça miał zamknięte oczy, jakby sądził, że dzięki temu zniekształcona dłoń stanie się niewidoczna także dla innych. Dłoń była pełna śladów po rozżarzonych papierosach i drżała jak u chorego na parkinsona, palce nie miały dwóch paznokci. Eça rzucił Gregoriusowi badawcze spojrzenie – czy podoła temu widokowi. Gregorius powstrzymał odrzę, która ogarnęła go niczym uczucie słabości, i spokojnie uniósł filiżankę do ust.

– Moją można napełniać tylko do połowy.

Eça powiedział to cicho i z napięciem, a Gregorius miał nigdy nie zapomnieć tych słów. Poczul pieczenie w oczach, które zapowiadało łzy, a potem uczynił coś, co na zawsze miało wpłynąć na relacje między nim a tym umęczonym mężczyzną – wziął filiżankę Ecy i wlał w siebie połowę gorącej herbaty.

Język i gardło paliły. Nie miało to znaczenia. Spokojnie odstawił opróżnioną w połowie filiżankę obok kciuka Ecy. Mężczyzna popatrzył na Gregoriusa długo, a spojrzenie to głęboko wbiło się w jego pamięć. W spojrzeniu tym mieszały się niedowierzanie i wdzięczność, wdzięczność tylko na próbę, bo Eça dawno temu przestał oczekiwać od innych ludzi czegokolwiek, za co można być wdzięcznym. Drżącą dłonią uniósł filiżankę do ust, poczekał na sprzyjający moment i pił szybkimi łykami. Gdy odstawiał filiżankę na podstawkę, rozległo się rytmiczne brzęczenie.

Eça wyjął z kieszeni paczkę papierosów, włożył jednego do ust i uniósł ku niemu dygoczący płomień. Palił, zaciągając się spokojnie, głęboko, aż drzenie nieco ustało. Dłoń z papierosem trzymał tak, by nie było widać brakujących paznokci. Druga dłoń ponownie zniknęła w kieszeni. Gdy zaczął mówić, spoglądał przez okno.

– Po raz pierwszy spotkałem go jesienią 1952 roku w Anglii, w pociągu z Londynu do Brighton. Przebywałem na kursie językowym, na który posłano mnie z zakładu, chcieli, żebym nauczył się prowadzić zagraniczną korespondencję. Była to pierwsza niedziela po tygodniu zajęć i pojechałem do Brighton, bo tęskniłem za morzem. Dorastałem nad wodą, na północy, w Esposende. Drzwi przedziału otworzyły się i wszedł mężczyzna o lśniących włosach, które przypominały kask, i o tych niewiarygodnych oczach, śmiałych, łagodnych, melancholijnych. Odbywał długą podróż wraz z żoną Fatimą. Pieniądze nigdy nie grały dla niego roli, ani wtedy, ani potem. Dowiedziałem się, że jest lekarzem. Fascynował go zwłaszcza

mózg. Był twardo stojącym na ziemi materialistą, który w przeszłości chciał zostać księdzem. Do wielu spraw miał paradoksalne podejście, nie sprzeczne, ale paradoksalne.

Miałem dwadzieścia siedem lat, on był pięć lat starszy. We wszystkim znacznie mnie przerastał. W każdym razie takie odniosłem wrażenie podczas tamtej podróży. On ze szlacheckiego domu w Lizbonie, ja – syn rolnika z północy. Spędziliśmy razem cały dzień, poszliśmy na spacer po plaży, zjedliśmy obiad. W pewnej chwili zaczęliśmy rozmawiać o dyktaturze. *Devemos resistir*, musimy stawić opór, powiedziałem. Do dziś pamiętam te słowa, pamiętam je, ponieważ wydały mi się nieco niezgrabne wobec tego człowieka o delikatnych rysach poety, który czasem używał wyrazów, jakich nigdy przedtem nie słyszałem.

Zamknął oczy, spojrzał przez okno, skinął głową. Poruszyłem temat, który wywoływał w nim wewnętrzny konflikt. Był to temat niewłaściwy dla mężczyzny, który podróżował z żoną po świecie. Zacząłem mówić o czymś innym, ale on przestał się angażować w rozmowę, zostawił ją Fatimie i mnie. „Masz rację – powiedział na pożegnanie – oczywiście masz rację”. I było jasne, że mówi o przeciwstawieniu się reżimowi.

Gdy myślałem o nim w drodze do Londynu, wydawało mi się, że Amadeu w części duszy chętniej wróciłby ze mną do Portugalii, niż kontynuował podróż. Poprosił, bym podał mu swój adres, i było to coś więcej niż uprzejmość ze strony przypadkowego znajomego z pociągu. Wkrótce rzeczywiście przerwali podróż i wrócili do Lizbony, ale nie miało to nic wspólnego ze mną. Jego siostra, ta starsza, usunęła ciężę i niemal przy tym umarła. Chciał o nią zadbać, nie ufał lekarzom. Lekarz, który nie ufał lekarzom. Taki był, taki właśnie był Amadeu.

Gregorius ujrzał przed sobą gorzkie, nieprzejednane spojrzenie Adriany. Zaczął rozumieć. A co z młodszą siostrą? To musiało poczekać.

– Minęło trzynaście lat, nim ujrzałem go znowu – ciągnął Eça. – Było to zimą 1965 roku, tego roku, gdy tajna policja zamordowała Delgado. W zakładzie podano mi mój nowy adres i pewnego wieczoru stanął przed drzwiami, blady i nieogolony. Włosy, które niegdyś błyszczały jak czarne złoto, zmatowiały, a spojrzenie wyrażało ból. Opowiedział mi, że uratował życie Rui Luisowi Mendesowi, wysokiemu oficerowi tajnej policji, którego

zwano katem Lizbony, i że dawni pacjenci zaczęli go unikać. Czuł się wyrzutkiem.

„Chcę pracować dla ruchu oporu”, powiedział.

„Żeby to naprawić?”.

Zakłopotany spuścił wzrok.

„Nie dopuściłeś się niczego złego – powiedziałem. – Jesteś lekarzem”.

„Chcę coś zrobić – odparł. – Rozumiesz, zrobić. Powiedz mi, co mogę zrobić. Znasz się na tym”.

„Skąd wiesz?”.

„Wiem – stwierdził. – Wiem od czasu Brighton”.

To było niebezpieczne. Dla nas znacznie bardziej niż dla niego. Jak na bojownika ruchu oporu nie miał – jak by to powiedzieć – właściwej wewnętrznej postawy, odpowiedniego charakteru. Przy takiej działalności musisz okazywać cierpliwość, umieć czekać, musisz mieć głowę taką jak moja, chłopską czaszkę, a nie duszę subtelnego marzyciela. Inaczej za dużo ryzykujesz, popełniasz błędy, sprowadzasz niebezpieczeństwo. Zimna krew, owszem, miał jej niemal za dużo, wykazywał skłonność do ryzykanctwa. Brakowało mu wytrwałości, uporu, umiejętności powstrzymania się od działania, nawet gdy okazja wydawała się sprzyjająca. Wiedział, że tak myślę, wyczuwał myśli innych, jeszcze zanim pojawiły się w ich głowach. To było dla niego trudne, sądzę, że pierwszy raz w życiu ktoś powiedział mu – nie potrafisz tego zrobić, brakuje ci zdolności. Ale rozumiał, że mam rację, w żadnym razie nie zamykał oczu na swoje wady i pogodził się z tym, że początkowo przydzielano mu małe, nieznaczące zadania.

Ciągle ostrzegałem go, że musi oprzeć się pokusie, by opowiedzieć pacjentom o swojej pracy dla nas. Robił to przecież, aby odpokutować rzekomą zdradę wobec ofiar Mendesa. Właściwie plan ten miałby sens tylko wtedy, gdyby oskarżający go ludzie dowiedzieli się o wszystkim. Gdyby mógł ich skłonić do zmiany pogardliwej opinii na swój temat. Żeby jak dawniej szanowali go i uwielbiali. Wiedziałem, że to pragnienie jest w nim potężne, było ono jego i naszym najgorszym wrogiem. Amadeu oburzał się, gdy o tym mówiłem, jakbym nie doceniał jego inteligencji, ja, zwykły księgowy i do tego pięć lat młodszy od niego. Wiedział jednak, że

także w tej kwestii miałem rację. „Nienawidzę, gdy ktoś zna mnie tak dobrze jak ty”, powiedział kiedyś. I uśmiechnął się krzywo.

Zwalczał w sobie tę tęsknotę, nedorzeczną tęsknotę za przebaczeniem za coś, co nie było nawet występkiem, i nie popełnił żadnego błędu, w każdym razie takiego, który miałby konsekwencje.

Mendes z ukrycia ochraniał go, swojego wybawcę. W gabinecie Amadeu przekazywano wiadomości, koperty z pieniędzmi zmieniały właścicieli. Nigdy nie dochodziło do przeszukań, jakie zwykle były na porządku dziennym. Amadeu wściekał się z tego powodu, taki już był ten bezbożny kapłan, chciał, by traktowano go poważnie, podleganie ochronie raniło jego dumę, która przypominała nieco dumę męczennika.

Pojawiło się nowe niebezpieczeństwo – niebezpieczeństwo, że Amadeu będzie chciał rzucić Mendesowi wyzwanie swym ryzykanckim, zuchwałym zachowaniem, żeby tamten nie mógł go dłużej chronić. Zagadnąłem go o to. Nasza przyjaźń przez chwilę wisiała na włosku. Tym razem nie przyznał mi racji, ale stał się bardziej opanowany, powściągliwy.

Niedługo potem brawurowo wykonał dwie trudne operacje, którym mógł podołać tylko ktoś taki jak on, kto jak własną kieszeń znał rozkład jazdy pociągów. Amadeu taki właśnie był, szalał na punkcie pociągów, szyn i zwrotnic, znał wszystkie rodzaje lokomotyw, a przede wszystkim każdy budynek dworcowy w Portugalii. Wiedział, czy w najmniejszej mieścinie jest nastawnia, czy nie, bo była to jedna z jego obsesji – fakt, że przestawiając dźwignię, można zdecydować o dalszym biegu pociągu. Ta prosta mechaniczna operacja fascynowała go ze wszech miar i w rezultacie ta jego wiedza i szaleńczy kolejowy patriotyzm uratowały naszym ludziom życie. Towarzysze, którym nie podobało się, że przyjąłem Amadeu, bo uważali go za egzaltowanego wymoczką i potencjalne zagrożenie, zmienili zdanie na jego temat.

Mendes musiał mu być nieskończenie wdzięczny. W więzieniu nie mogłem przyjmować odwiedzin, nie wolno mi było zobaczyć nawet Mariany, nie mówiąc już o towarzyszach, których podejrzewano o przynależność do ruchu oporu. Z jednym wyjątkiem – Amadeu. Mógł przychodzić do mnie dwa razy w miesiącu, w dowolnie wybranym dniu, o dowolnej porze. Naruszał wszystkie reguły.

I przychodził. Zawsze przychodził i zostawał dłużej, niż to było uzgodnione. Nadzorcy bali się gniewnego spojrzenia, które im rzucał, gdy przypominali o upływie czasu. Przynosił leki przeciwbólowe i nasenne. Przepuszczali go, ale potem mi je odbierali. Nigdy mu o tym nie powiedziałem, próbował zburzyć mury. Łzy ciekły mu po policzkach, gdy widział, co ze mną zrobili. Były to oczywiście łzy współczucia, ale także bezradnej wściekłości. Mało brakowało, a rzuciłby się na strażników, jego mokra twarz była czerwona z gniewu.

Gregorius popatrzył na Ecę i wyobraził sobie, jak ten szarym, ostrym wzrokiem spoglądał na rozpalone żelazo, grożące, że syczącym żarem zdusi wszelkie widzenie. Poczul niewiarygodną siłę tego człowieka, którego można było pokonać jedynie przez zniszczenie fizyczne, a nawet wtedy sama jego nieobecność, jego brak w pomieszczeniu nadal promieniowałyby oporem niepozwalającym przeciwnikowi zasnąć.

– Amadeu przyniósł mi Biblię, Nowy Testament. Po portugalsku i grecku. Oprócz gramatyki greckiej była to jedyna książka, jaką przepuścili w ciągu dwóch lat.

„Nie wierzysz przecież w ani jedno słowo”, powiedziałem, gdy przyszli, by zabrać mnie z powrotem do celi.

Uśmiechnął się. „To piękny tekst – powiedział. – Przepiękny język. I zwróć uwagę na metafory”.

Byłem zdumiony. Nigdy wcześniej naprawdę nie czytałem Biblii, jak każdy znałem tylko pojedyncze cytaty. Zaskoczyło mnie niezwykle połączenie rzeczy trafnych i dziwnych. Czasami o tym rozmawialiśmy. *Religię, w której centrum stoi scena egzekucji, uważam za odpychającą – powiedział kiedyś. – Wyobraź sobie, że to byłaby szubienica, gilotyna albo garota. Wyobraź sobie, jak by wtedy wyglądała nasza religijna symbolika.* Nigdy wcześniej tak na to nie patrzyłem i niemal ogarnęło mnie przerażenie, także dlatego, że wypowiedź Amadeu miała w tamtych murach szczególny wydźwięk.

Taki właśnie był, bezbożny kapłan – wszystko musiał przemyśleć do końca. Zawsze wszystko przemyślał do końca, niezależnie od tego, jak ponure byłyby konsekwencje. Czasami kryło się w tym coś brutalnego, coś rozszarpującego się od wewnątrz. Może działało się tak dlatego, że poza mną

i Jorge nie miał innych przyjaciół, musieliśmy więc znosić pewne rzeczy. Amadeu był nieszczęśliwy, bo Mélodie schodziła mu z drogi. Kochał swoją małą siostrzyczkę. Widziałem ją tylko raz, sprawiała wrażenie swobodnej i wesołej, dziewczyna, która zdawała się nie dotykać ziemi. Mogłem sobie wyobrazić, że nie umie znieść melancholii brata, który w dodatku przypominał czasem wrzący wulkan tuż przed wybuchem.

João Eça zamknął oczy. Na jego twarzy widać było wyczerpanie. Odbił podróż w czasie i zapewne od lat tyle nie opowiadał. Gregorius chętnie spytałby go o wiele rzeczy, o młodszą siostrę o niezwykłym imieniu, o Jorge i Fatimę, a także o to, czy João zaczął się wtedy uczyć greckiego. Słuchał, niemal nie oddychając, i zapomniał o piekącym gardle. Teraz zapiekło go ponownie, miał opuchnięty język. W połowie opowieści Eça poczęstował go papierosem. Gregorius uznał, że nie powinien odmówić, bo inaczej zerwałby niewidzialną nić, która się między nimi rozpięła. Nie mógł wypić herbaty z filiżanki Ecy, a potem odmówić papierosa, nie mógł tego zrobić, kto wie dlaczego, po prostu nie mógł, włożył więc do ust pierwszego papierosa w swoim życiu, trwożliwie spojrzął na drżący płomień w dłoni Ecy, a potem zaciągał się nieśmiało i oszczędnie, by się nie rozkaszczać. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo gorący dym szkodził rozpalonym ustom. Przeklinał swój nierozsądek i jednocześnie ze zdziwieniem stwierdził, że wcale nie chce, by wywołane dymem pieczenie ustało.

Ostry dźwięk sprawił, że Gregorius się wzdrygnął.

– Jedzenie – powiedział Eça.

Gregorius spojrzął na zegarek – wpół do szóstej. Eça dostrzegł jego zdumienie i uśmiechnął się pogardliwie.

– O wiele za wcześnie. Jak w więzieniu. Nie chodzi o czas pensjonariuszy, lecz o czas personelu.

Gregorius spytał, czy może go jeszcze odwiedzić. Eça spojrzął na szachownicę. Potem bez słowa skinął głową. Było tak, jakby zamknął się wokół niego pancierz milczenia. Gdy Eça zauważył, że Gregorius chce podać mu dłoń, gwałtownie wepchnął obie ręce do kieszeni i wbił wzrok w ziemię.

Gregorius wrócił do Lizbony, nie zwracając uwagi na otoczenie. Udał się Rua Augusta przez szachownicę Baixa do Rossio. Miał wrażenie, że to koniec najdłuższego dnia w jego życiu. Później, gdy leżał na łóżku w hotelowym pokoju, przypomniał sobie, jak rankiem oparł się czołem o mokre od mgły okno kościelnej księgarni i czekał, aż minie palące pragnienie, by pojechać na lotnisko. Potem poznał Adrianę, wypił czerwonożółtą herbatę u Mariany Ecy, a u jej wuja wypalił poparzonymi ustami swojego pierwszego papierosa. Czy rzeczywiście to wszystko wydarzyło się w ciągu jednego dnia? Spojrzał na portret Amadeu de Prado. Nowe wiadomości, które o nim zebrał, odmieniły jego rysy. Bezbożny kapłan zaczął żyć.

15 – *Voilà. Ça va aller?* Nie jest wygodnie, ale... – powiedziała nieco zakłopotana Agostinha, praktykantka w DIARIO DE NOTÍCIAS, największej i bogatej w tradycje gazecie portugalskiej.

Gregorius odparł, że to mu wystarczy, i usiadł w mrocznej niszy, gdzie znajdowała się przeglądarka mikrofilmów. Agostinha, którą niecierpliwy redaktor przedstawił jako studentkę historii i francuskiego, nie chciała odejść, Gregorius już wcześniej miał wrażenie, że na górze, wśród nieustannie dzwoniących telefonów i migoczących ekranów, była bardziej tolerowana niż potrzebna.

– Czego właściwie pan szuka? – spytała. – Oczywiście nie powinno mnie to obchodzić...

– Informacji o śmierci sędziego – powiedział Gregorius. – O samobójstwie słynnego sędziego 9 czerwca 1954 roku. Zabił się, być może dlatego, że cierpiał na chorobę Bechterewa i nie mógł dłużej znieść bólu pleców, ale może także z poczucia winy, ponieważ sprawował urząd w czasach dyktatury i nie przeciwstawił się niesprawiedliwemu reżimowi. Miał sześćdziesiąt cztery lata, gdy to uczynił, zatem niewiele brakowało mu do emerytury. Coś się musiało zdarzyć, dlatego nie mógł czekać. Coś

związanego z bólem pleców albo z sądem. Tego właśnie chcę się dowiedzieć.

– A... a dlaczego chce pan to wiedzieć? *Pardon...*

Gregorius wyjął książkę Prado i dał jej do przeczytania:

PORQUÊ, PAI? DLACZEGO, OJCZE? „Nie traktuj siebie tak poważnie!”, zwykłeś mawiać, gdy ktoś narzekał. Siedzieliś w swoim fotelu, na którym nikt inny nie mógł siadać, między chudymi nogami laska, wykrzywione artretyzmem dłonie na srebrnej rączce, głowa – jak zawsze – wysunięta do przodu. (Mój Boże, gdybym choć raz mógł ujrzeć Cię wyprostowanego, z uniesioną głową, w postawie, która odpowiadałaby Twojej dumie! Tylko jeden raz! Jednak tysiąckrotny widok wykrzywionych pleców wymazał wszelkie wspomnienia i wręcz sparaliżował wyobraźnię). Częste bóle, które musiałeś w życiu znieść, nadały autorytet Twemu niezmiennemu upominaniu. Nikt nie odważył Ci się sprzeciwić. Nie tylko na zewnątrz, ale i w duchu sprzeciw nie był dozwolony. Co prawda my, dzieci, parodiowaliśmy Twoje słowa, z daleka od Ciebie pozwalaliśmy sobie na drwiny i prześmiewki, i nawet Mamã, gdy krzyczała na nas z tego powodu, zdradzała się czasem uśmiechem, na który rzucaliśmy się pożądliwie. Jednak nasze wyzwolenie było tylko na pokaz, przypominało bezradne bluźnierstwa bogobojnego człowieka.

Twe słowa zobowiązywały. Zobowiązywały aż do tego ranka, gdy przygnębiony szedłem do szkoły, a deszcz siekł mi twarz. Dlaczego właściwie moje przygnębienie wobec ponurych szkolnych sal i nużącego zakuwania nie było czymś, co mógłbym traktować poważnie? Dlaczego nie miałbym traktować poważnie tego, że Maria João w ogóle mnie nie zauważała, choć myślałem tylko o niej? Dlaczego Twoje cierpienie i autorytet, który dzięki niemu zyskałeś, musiały być ostatecznym wyznacznikiem? „Z punktu widzenia wieczności – dodawałeś niekiedy – to

wszystko traci znaczenie”. Pełen wściekłości i zazdrości z powodu nowego kolegi Marii João opuściłem szkołę, poszedłem zdecydowanym krokiem do domu i po obiedzie usiadłem naprzeciw Ciebie w fotelu. „Chcę się przenieść do innej szkoły – powiedziałem głosem, który brzmiał pewniej, niż się czułem. – Obecna jest nie do zniesienia”. „Traktujesz siebie zbyt poważnie”, stwierdziłaś i potarłaś srebrną główkę laski. „Co, jeśli nie siebie, mam traktować poważnie? – spytałem. – A punkt widzenia wieczności nie istnieje”.

Pokój wypełniła cisza grożąca eksplozją. Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. To było niesłychane, a fakt, że słowa te wypowiedziało Twoje ulubione dziecko, dodatkowo pogarszał sprawę. Wszyscy oczekiwali wybuchu, z którego jak zwykle przebiłby się Twój głos. Nic się nie stało. Położyłaś obie dłonie na rączce laski. Na twarzy Mamy pojawił się wyraz, jakiego jeszcze nie widziałem. Pozwalał zrozumieć – myślałem później – dlaczego Cię poślubiła. Wstałaś bez słowa, słychać było tylko ciche stęknienie spowodowane bólem. Nie pojawiłaś się na kolacji. W rodzinnej historii jeszcze nigdy nie miało to miejsca. Gdy następnego dnia usiadłem do obiadu, spojrzałaś na mnie spokojnie i nieco smutnie. „O jakiej szkole myślałaś?”, spytałaś. Maria João na przerwie zagadnęła mnie, czy chcę pomarańczę. „To już nieważne”, odparłem.

Jak rozróżnić, czy jakieś doznanie należy traktować poważnie, czy jako niewiele znaczący nastrój? Dlaczego, Papo, nie porozmawiałaś ze mną, zanim to zrobiłaś? Żeby przynajmniej wiedział dlaczego?

– Rozumiem – powiedziała Agostinha, a potem poszukali w fiszkach informacji o śmierci sędziego Prado. – W 1954 roku obowiązywała ścisła cenzura – dodała – znam się na tym, cenzura prasy była tematem mojej pracy licencjackiej. To, co wydrukowano w DIARIO, nie musi odpowiadać prawdzie. A już na pewno nie, jeśli chodziło o samobójstwo polityczne.

Pierwszą rzeczą, jaką znaleźli, był nekrolog, który ukazał się 11 czerwca. Agostinha uznała, że jak na tamte czasy nekrolog jest bardzo skromny, tak skromny, że przypomina niemy krzyk. *Faleceu*, Gregorius znał to słowo z cmentarza. *Amor, recordação*, krótkie, rutynowe sformułowania. Poniżej imiona najbliższych krewnych: Maria Piedade Reis de Prado, Amadeu, Adriana, Rita. Adres. Nazwa kościoła, gdzie zostanie odprawiona msza. To wszystko. Rita – pomyślał Gregorius – czy to właśnie Mélodie, o której mówił João Eça?

Potem poszukali wzmianki prasowej. W tygodniu po 9 czerwca niczego nie znaleźli. – Nie, nie, dalej – powiedziała Agostinha, gdy Gregorius chciał już zrezygnować. Wiadomość ukazała się 20 czerwca na końcu działu lokalnego:

Ministerstwo Sprawiedliwości poinformowało dziś, że Alexandre Horácio de Almeida Prado, który przez wiele lat służył Sądowi Najwyższemu jako wybitny sędzia, zmarł w zeszłym tygodniu na skutek długiej choroby.

Obok zamieszczono zaskakująco duże zdjęcie sędziego, jego wielkość nie pasowała do lakonicznej informacji. Surowa twarz w binoklach, szpicbródka i wąsy, wysokie czoło, nie mniej wysokie niż u syna, włosy posiwiałe, ale nadal gęste, biały postawiony kołnierzyk z wywiniętymi rogami, czarny krawat, lśniący biały koszula, na którą sędzia opuścił podbródek. Reszta ginęła w ciemnym tle. Zręcznie zrobione zdjęcie, ani śladu cierpienia z powodu krzywych pleców czy artretyzmu rąk, głowa i dłonie wyłaniały się z ciemności spokojnie i zjawiskowo, białe, rozkazujące. Sprzeciw lub jakikolwiek opór były wobec nich niemożliwe, widok ten mógł cały dom objąć władzą, otoczyć zaklęciem i zatruć duszącym autorytetem. Sędzia. Sędzia, który nie mógłby być nikim innym jak sędzią. Mężczyzna o kamiennej surowości i żelaznej konsekwencji, także wobec samego siebie. Człowiek, który wydałby na siebie wyrok, gdyby popełnił jakiegokolwiek wykroczenie. Ojciec, któremu zwykle nie udawało się uśmiechnąć. Miał coś wspólnego z Antoniem de Oliveirą Salazarem – nie chodziło o okrucieństwo, fanatyzm i nie o ambicję czy pragnienie władzy, ale o surowość, wręcz bezwzględność wobec samego

siebie. Czy dlatego tak długo służył temu mężczyźnie odzianemu w czerni, z napiętą twarzą skrytą pod melonikiem? I czy w końcu nie mógł sobie wybaczyć, że w ten sposób wspierał przemoc, przemoc widoczną na drżących dłoniach João Ecy, które niegdyś grywały Schuberta?

Zmarł na skutek długiej choroby. Gregorius poczuł, jak robi mu się gorąco ze złości.

– To jeszcze nic – powiedziała Agostinha. – To nic w porównaniu z przekłamaniem, jakie widywałam. Milczącymi kłamstwami.

Idąc na górę, Gregorius spytał ją o ulicę, którą wymieniono w nekrologu. Widział, że Agostinha chętnie by mu towarzyszyła, i cieszył się, że jednak najwyraźniej była teraz potrzebna w redakcji.

– To, że pan tak bardzo... że historię tej rodziny tak bardzo czyni pan swoją – to jest... – powiedziała, gdy podali sobie dłonie.

– Dziwne, to ma pani na myśli? Tak, to dziwne. Bardzo dziwne. Także dla mnie samego.

16 Nie był to pałac, ale dom zamożnych ludzi, którzy mają miejsca do woli i nie jest dla nich ważny jeden pokój mniej czy więcej, samych łazienek przewidziano dwie lub trzy. Tu właśnie mieszkał przygarbiony sędzia, po tym domu chodził o lasce ze srebrną główką, zażarcie walcząc z odwiecznym bólem, a towarzyszyło mu przekonanie, że nie należy traktować się zbyt poważnie. Czy jego pracownia znajdowała się w kanciastej wieży, której łukowo sklepione okna oddzielone były małymi kolumienkami? Na pełnej załomów fasadzie umieszczono tyle balkonów, że niemal nie dało się ich policzyć, każdy z misterną, kutą balustradą. Gregorius wyobrażał sobie, że wszyscy członkowie rodziny mieli po jednym lub dwa balkony, i pomyślał o wąskich pomieszczeniach z cienkimi ścianami, gdzie mieszkali strażnik muzealny i sprzątaczką z krótkowzrocznym synem, który siedział w swoim pokoju przy prostym drewnianym stole i zawiłą odmianą greckich czasowników bronił się

przeciw dudnieniu radia rozlegającego się z sąsiedniego mieszkania. Malutki balkon, zbyt wąski, by rozstawić na nim parasol, w lecie rozżarzał się od gorąca, ale Gregorius i tak nie wychodziłby na niego zbyt często, bo nieustannie unosiły się nad nim kuchenne zapachy. Za to dom sędziego był rajem, przestronnym, ocienionym i cichym. Wszędzie rosły wysokie, rozłożyste drzewa iglaste o sękatych pniach i splątanych gałęziach, które łączyły się w małe, dające cień dachy, niekiedy przypominające pagody.

Cedry, wzdrygnął się Gregorius. *Cedry. Cedros vermelhos*. Czy naprawdę były to cedry? Te cedry, które w oczach Adriany skąpały się w czerwieni? I w tej wyobrażonej barwie nabrały takiego znaczenia, że ujrzała je, gdy szukała nazwy dla wydawnictwa? Gregorius zatrzymał jakiegoś przechodnia i spytał, czy pobliskie drzewa to cedry. Wzruszenie ramionami i uniesione brwi, zdumienie wywołane pytaniem dziwnego obcokrajowca. Tak, powiedziała w końcu pewna młoda kobieta, to cedry, wyjątkowo duże i piękne. Gregorius w myślach wszedł do domu i spojrzał na soczystą, ciemną zieleń na zewnątrz. Co się mogło wydarzyć? Co mogło zmienić zieleń w czerwień? Krew?

Za oknami wieży pojawiła się jasno ubrana postać kobieca z upiętymi włosami. Lekko, niemal płynąc, chodziła tam i z powrotem, krzątała się bez pośpiechu. Potem wzięła skądś zapalonego papierosa, dym uniósł się pod wysoki sufit, kobieta odsunęła się przed promieniem słońca, który przez gałęzie cedrów wpadł do pokoju i najwyraźniej ją oślepił, a potem nagle znikła. *Dziewczyna, która zdawała się nie dotykać ziemi*, tak João Eça opisał Mélodie. Naprawdę musiała nazywać się Rita. *Jego mała siostrzyczka*. Czy różnica wieku mogła być tak duża, że dziś Rita była kobietą, która nadal poruszała się tak płynnie i sprężysto jak postać w wieży?

Gregorius ruszył dalej i na następnej ulicy wstąpił do baru. Oprócz kawy poprosił o paczkę papierosów tej samej marki, jaką palił poprzedniego dnia u Ecy. Z papierosem w ustach wyobrażał sobie uczniów w Kirchenfeld, jak kilka ulic dalej stali przed piekarnią, palili i pili kawę z papierowych kubków. Kiedy Kägi wprowadził w pokoju nauczycielskim zakaz palenia? Gregorius spróbował się zaciągnąć, palące drapanie w gardle odebrało mu dech, położył nowe okulary na ladzie, zakasłał i otarł łzy z oczu. Kobieta za

ładą, nałogowo paląca matrona, uśmiechnęła się. – *É melhor não começar*, lepiej z tym nie zaczynać – powiedziała, a Gregorius był dumny, że ją zrozumiał, chociaż zrozumienie nastąpiło z opóźnieniem. Nie wiedział, co zrobić z papierosem, i wreszcie zgasił go w szklance wody stojącej na ladzie. Kobieta uprzątnęła szklanę, pobłaźliwie kręcąc głową – początkujący, cóż robić.

Powoli podszedł do wejścia cedrowego domu, przygotowany na to, że kolejny raz pełen niepewności zadzwoni do drzwi. Jednak drzwi same się otworzyły i kobieta, którą widział wcześniej, wyszła ze zniecierpliwionym owczarkiem na smyczy. Teraz miała na sobie niebieskie džinsy i sportowe buty, tylko jasna bluzka wydawała się ta sama. Kilka kroków do bramy przeszła na czubkach palców, ciągnięta przez psa. *Dziewczyna, która zdawała się nie dotykać ziemi*. Pomimo licznych siwych pasm w popielatych włosach nadal wyglądała jak dziewczyna.

– *Bom dia* – powiedziała, uniosła pytająco brwi i spojrzała na niego jasnym wzrokiem.

– Ja... – Gregorius zaczął niepewnie po francusku, czując niemiły posmak papierosa. – Dawno temu mieszkał tu sędzia, słynny sędzia, a ja chciałbym...

– To był mój ojciec – powiedziała kobieta i zdmuchnęła z twarzy kosmyk, który wysunął się z upiętych włosów. Miała dźwięczny głos, pasujący do wodnistej szarości oczu i francuskich słów, które wypowiedziała niemal bez śladu obcego akcentu. *Rita* było dobrym imieniem, ale *Mérodie* po prostu idealnym.

– Dlaczego pan się nim interesuje?

– Ponieważ był ojcem tego człowieka – i Gregorius pokazał jej książkę Prado.

Pies pociągnął za smycz.

– Pan – upomniała go Mérodie. – Pan.

Pies usiadł. Zsunęła uchwyt smyczy na nadgarstek i otworzyła książkę. – *Cedros ver...* – przeczytała i z sylaby na sylabę jej głos stawał się cichszy, aż w końcu całkiem zamarł. Przekartkowała książkę i spojrzała na portret

brata. Jej jasna twarz pokryta malutkimi piegami pociemniała, wydawało się, że z trudem przełyka ślinę. Nie spuszczać wzroku, niczym posąg spoza przestrzeni i czasu, spoglądała na zdjęcie i nagle przejechała czubkiem języka po suchych wargach. Kartkowała dalej, przeczytała jedno, dwa zdania, wróciła do portretu, a potem do strony tytułowej.

– 1975 rok – powiedziała. – Wtedy nie żył już od dwóch lat. Nic nie wiedziałam o książce. Skąd pan ją ma?

Gdy Gregorius opowiadał, łagodnie gładziła dłonią szarą oprawę, ruch ten przypomniawszy mu studentkę w hiszpańskiej księgarni w Bernie. Wydawało się, że kobieta już nie słucha, przestał więc mówić.

– Adriana – powiedziała. – Adriana. I ani słowa. *É proprio dela* – to dla niej typowe.

Początkowo w jej słowach pobrzmiewało tylko zdumienie, potem dołączyła do niego gorycz, i nagle melodyjne imię już do niej nie pasowało. Spoglądała w dal, ponad zamkiem, przez dolinę Baixa na wzniesienie Bairro Alto. Jakby chciała oburzonym wzrokiem dosięgnąć siostry mieszkającej tam w niebieskim domu.

Stali w milczeniu naprzeciw siebie. Pan sapał. Gregorius czuł się jak natręt, jak podglądacz.

– Proszę wejść, napijemy się kawy – powiedziała i zabrzmiało to tak, jakby wykonała lekki przeskok ponad gniewem. – Chciałabym obejrzeć książkę. Pan, miałeś pecha – z tymi słowami wciągnęła psa silnymi dłońmi do domu.

Był to dom, który oddychał życiem, dom z zabawkami na schodach, zapachem kawy, papierosowego dymu i perfum, z portugalskimi gazetami i francuskimi magazynami na stołach, z otwartymi pudełkami po płytach kompaktowych i kotem, który stał na stole i lizał masło. *Mélodie* odgoniła kota i naląła kawy. Rumieńce, które wcześniej wypłynęły jej na twarz, zniknęły, tylko kilka czerwonych plam świadczyło o zdenerwowaniu. Sięgnęła po okulary leżące na gazecie i zaczęła czytać zapiski brata, to tu, to tam. Co jakiś czas zagryzała wargi. W pewnym momencie, nie unosząc wzroku znad książki, wygładziła bluzkę i na ślepo wyjęła papierosa z paczki. Oddychała ciężko.

– To z Marią João i zmianą szkoły – to musiało się zdarzyć przed moim urodzeniem, dzieliło nas szesnaście lat. Ale *Papá* był właśnie taki, jak napisał, dokładnie taki. Miał czterdzieści sześć lat, gdy się urodziłam, byłam pomyłką spłodzoną nad Amazonką w czasie jednej z nielicznych podróży, do których zdołała namówić go *Mamã*, ja sama zupełnie sobie nie wyobrażam Papy nad Amazonką. Gdy skończyłam czternaście lat, obchodziliśmy już jego sześćdziesiąte urodziny, wydaje mi się więc, jakbym znała go tylko jako starego człowieka, jako starego, pochylonego, surowego człowieka.

Mélorie zamilkła, zapaliła nowego papierosa i spojrzała przed siebie. Gregorius miał nadzieję, że zacznie mówić o śmierci sędziego. Jednak jej twarz rozjaśniła się, a myśli podążyły w inną stronę.

– Maria João. A zatem znał ją już jako dzieciak. Nie miałam pojęcia. Pomarańcza. Najwyraźniej nawet wtedy ją kochał. Nigdy nie przestał. Wielka, nietknięta miłość jego życia. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby okazało się, że nigdy jej nie pocałował. Ale nikt, żadna kobieta nie dorastała Marii. Wyszła za mąż, miała dzieci. To się nie liczyło. Gdy dręczyły go problemy, prawdziwe problemy, szedł do niej. W pewnym sensie tylko ona, jedynie ona znała go naprawdę. Umiał tworzyć atmosferę intymności przez dzielenie się tajemnicami, był mistrzem w tej sztuce, prawdziwym wirtuozem. A my wiedzieliśmy, że jeśli ktoś poznał wszystkie jego tajemnice, to Maria João. Fátima cierpiała z tego powodu, a Adriana jej nienawidziła.

Gregorius spytał, czy Maria jeszcze żyje. Mélorie powiedziała, że ostatnio mieszkała w Campo de Ourique, w pobliżu cmentarza, ale to było wiele lat temu, kiedy spotkała ją przypadkiem na grobie Amadeu, to było przyjazne, a jednak chłodne spotkanie.

– Ona, chłopskie dziecko, zawsze zachowywała dystans wobec nas, szlachty. Amadeu też należał do szlachty, ale sprawiała wrażenie, jakby o tym nie wiedziała. Albo jakby to było coś przypadkowego, zewnętrznego, co nie miało nic wspólnego z nim samym.

Jak miała na nazwisko? Mélorie nie wiedziała. – Dla nas była po prostu Marią João.

Przeszli z pokoju w wieży do innej części domu, gdzie stało krosno.

– Robiłam w życiu tysiące rzeczy – roześmiała się Mélodie, widząc zaciekawione spojrzenie Gregoriusa. – Zawsze byłam tą niespokojną, nieobliczalną, dlatego *Papá* nie umiał sobie ze mną poradzić.

Na chwilę jej jasny głos przygasł, jakby przelotna chmura zakryła słońce, ale potem chwila minęła i Mélodie wskazała na wiszące na ścianie zdjęcia, które przedstawiały ją w najróżniejszym otoczeniu.

– Jako kelnerka w barze, na wagarach, pracownica stacji benzynowej i tu, to musi pan zobaczyć – moja orkiestra.

Była to uliczna orkiestra złożona z ośmiu dziewcząt. Wszystkie grały na skrzypcach i nosiły obszerne czapki z daszkiem przekręconym na bok.

– Poznaje mnie pan? Ja mam daszek przekręcony w lewo, wszystkie inne dziewczęta w prawo, to oznaczało, że jestem szefową. Zarabialiśmy pieniądze, spore pieniądze. Grałyśmy na weselach, przyjęciach, byliśmy naprawdę popularne.

Obróciła się gwałtownie, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

– *Papá* tego nie lubił, tych moich występów w nędznych lokalach. Na krótko przed jego śmiercią – byłam właśnie w podróży z *moças de balão*, balonowymi dziewczynami, jak nas nazywano – nagle zobaczyłam po drugiej stronie ulicy służbowy samochód z szoferem, który codziennie za dziesięć szósta rano odbierał go i zawoził do sądu, *Papá* zawsze był pierwszy w Pałacu Sprawiedliwości. Siedział jak zwykle na tylnym siedzeniu i wyjrzał na nas przez okno. Łzy napłynęły mi do oczu i grając, popełniałam jeden błąd za drugim. Drzwi otworzyły się, *Papá* wysiadł powoli, z wykrzywioną bólem twarzą. Skinął laską, by zatrzymać samochody – nawet wtedy promieniował sędziowskim autorytetem – podszedł do nas, przez chwilę stał z tyłu wśród widzów, potem utorował sobie drogę do otwartego futerału skrzypiec i, nie patrząc na mnie, wrzucił garść monet. Łzy płynęły mi po twarzy, dziewczyny musiały dokończyć występ beze mnie. Samochód ruszył, *Papá* pomachał mi wykrzywioną artretyzmem dłonią, ja też mu pomachałam, usiadłam na schodach jakiegoś domu i wypłakiwałam sobie oczy, nie wiem, czy bardziej z radości, że przyszedł, czy ze smutku, że przyszedł dopiero teraz.

Gregorius powiódł wzrokiem po fotografiach. Była dziewczynką, która każdemu siadała na kolanach i u wszystkich wywoływała uśmiech, a gdy płakała, łzy przemijały tak szybko jak krótka ulewa w słoneczny dzień. Wagarowała, lecz ukończyła szkołę, ponieważ uroczą bezczelnością potrafiła oczarować wszystkich nauczycieli. Teraz opowiadała, jak ucząc się nocą francuskiego, nadała sobie imię francuskiej aktorki Élodie, które pozostali natychmiast przerobili na Mélodie, słowo jakby stworzone dla niej, ponieważ jej teraźniejszość była piękna i ulotna niczym melodia, rozkochiwała w sobie wielu, lecz nikt nie potrafił jej zatrzymać.

– Kochałam Amadeu, albo raczej chciałam go kochać, bo było to trudne. Jak można kochać posąg? A on przypominał posąg, już gdy byłam mała, wszyscy się z nim liczyli, nawet *Papá*, ale przede wszystkim Adriana, która odebrała mi brata swoją zazdrością. Był dla mnie miły tak, jak jest się miłym dla młodszej siostry. Chciałam jednak, żeby traktował mnie poważnie, nie tylko rozpieszczał jak lalkę. Musiałam na to czekać do chwili, gdy skończyłam dwadzieścia pięć lat i miałam właśnie wyjść za mąż, dopiero wtedy dostałam od niego ten list, list z Anglii.

Otworzyła sekretarzyk i wyjęła grubą kopertę. Pożółkłe stronicie były po krańce zapisane kaligraficznymi literami, kreślonymi czarnym jak smoła atramentem. Mélodie przez chwilę czytała w milczeniu, a potem zaczęła tłumaczyć, co napisał do niej Amadeu z Oxfordu kilka miesięcy po śmierci swojej żony.

Kochana Mélodie, to był błąd, że wyruszyłem w tę podróż. Sądziłem, że poczuję się lepiej, jeśli jeszcze raz zobaczę rzeczy, które widziałem razem z Fatimą. Wywołały one jednak tylko ból, wracam więc wcześniej, niż planowałem. Tęsknię za Tobą i dlatego posyłam Ci to, co napisałem zeszłej nocy. Może w ten sposób zbliżę się do Ciebie moimi myślami.

OXFORD: JUST TALKING. *Dlaczego nocna cisza między klasztorными budynkami wydaje mi się tak matowa, tak mdła i pusta, tak całkowicie pozbawiona atmosfery i uroku? Tak zupełnie inna niż na Rua Augusta,*

która jeszcze o trzeciej lub czwartej nad ranem, gdy nie ma na niej żywego ducha, kipi życiem? Jak to możliwe w miejscu, gdzie jasny, nieziemsko lśniący kamień otacza budynek o świętej nazwie, przybytki nauki, wzniosłe biblioteki, pomieszczenia pełne ciszy z zakurzonego aksamitu, w których wymawia się, rozważa w zamyśleniu, obala i broni zdań o doskonałej formie? Jak to możliwe?

„Come on”, powiedział rudy Irlandczyk, gdy stałem przed plakatem zapowiadającym wykład pod tytułem LYING TO LIARS, „let’s listen to this, might be fun”. Pomyślałem o ojcu Bartolomeu, który bronił świętego Augustyna – odpłacanie za kłamstwo kłamstwem byłoby tym samym co odpowiadanie na kradzież kradieżą, na świętokradztwo świętokradztwem, na cudzołóstwo cudzołóstwem. I to w obliczu tego wszystkiego, co działo się w Hiszpanii i w Niemczech! Pokłóciliśmy się, jak to często bywało, ale on nie stracił swej łagodności. Nigdy nie tracił owej łagodności, nie zdarzyło się to ani razu, a gdy usiadłem obok Irlandczyka na sali wykładowej, naraz bardzo zatęskniłem za ojcem Bartolomeu i za domem.

To było niewiarygodne. Wykładowczyni, stara panna o ostrym nosie, skrzeczącym głosem przedstawiała kazuistykę kłamstwa, która nie mogła być bardziej sofistyczna i oddalona od rzeczywistości. Ta kobieta nigdy nie musiała żyć w sieci kłamstw dyktatury, gdzie to, czy ktoś potrafi kłamać, staje się kwestią życia lub śmierci. Czy Bóg potrafiłby stworzyć kamień, którego nie umiałby podnieść? Jeśli nie, nie jest wszechpotężny, jeśli tak, też nie jest, ponieważ istnieje kamień, którego nie może podnieść. Tego rodzaju scholastyka wylewała się z owej pergaminowej kobiety z dziwnym ptasim gniazdem siwych włosów na głowie.

Jednak nie sam wykład okazał się najbardziej niewiarygodny. Naprawdę niepojęta była tak zwana dyskusja. Ludzie zamknięci w szare, ołowiane ramy brytyjskich uprzejmych frazesów przemawiali, całkowicie się

ignorując. Bez przerwy powtarzali, że się rozumieją, że odpowiadają przedmówcom. Ale tak nie było. Nikt, żaden z dyskutujących, nie okazał najmniejszej zmiany poglądów na skutek przytoczonych argumentów. I nagle, z grozą, którą poczułem w całym niemal ciele, uświadomiłem sobie, że tak jest zawsze. Mówimy coś do kogoś – jak możemy oczekiwać, że cokolwiek w ten sposób osiągniemy? Potok myśli, obrazów i uczuć, który cały czas przez nas przepływa, ten rwący potok ma taką siłę, iż cudem byłoby, gdyby nie zmywał tak po prostu wszystkich słów, które ktoś do nas kieruje, i nie oddawał ich zapomnieniu, jeśli przypadkiem, zupełnie przypadkiem, nie pasują do naszych słów. Czy ze mną jest inaczej? – pomyślałem. – Czy naprawdę słucham drugiego człowieka? Czy wpuszczam go i jego słowa do siebie, tak że mój wewnętrzny potok zmienia bieg?

„How did you like it?” spytał Irlandczyk, gdy szliśmy Broad Street. Nie powiedziałem mu wszystkiego, powiedziałem jedynie, że wydało mi się to straszne, gdy wszyscy mówili właściwie tylko do siebie. „Well – powiedział – well”. A po chwili: „It’s just talking, you know, just talking. People like to talk. Basically, that’s it. Talking”. „No meeting of minds?” spytałem. „What! – krzyknął i wybuchnął gardłowym śmiechem, który przeszedł w ryk. – What!” A potem cisnął piłkę, którą cały czas miał przy sobie, na asfalt. Chciałbym być tym Irlandczykiem, Irlandczykiem, który miał odwagę zjawić się na wieczornym wykładzie w All Souls College z rażąco czerwoną piłką futbolową. Co bym za to dał, aby być tym Irlandczykiem!

Sądzę, że teraz już wiem, dlaczego nocna cisza w tym znakomitym miejscu jest złą ciszą. Wszystkie skazane na zapomnienie słowa przebrzmiały. Nie to jednak stanowi problem, słowa przebrzmiewają również na Baixa. Tam jednak nikt nie udaje, że chodzi o coś więcej niż mówienie, ludzie mówią i lubują się w tym tak samo, jak lubują się w lizaniu lodów, gdy język odpoczywa od słów. Tutaj zaś wszyscy cały czas

udają, że jest inaczej. Jakby to, co mówią, było niesłychanie ważne. Ale także ci ważniacy muszą spać, a wtedy pozostaje cisza, która pachnie zgnilizną, ponieważ wszędzie leżą zwłoki ważniactwa i cuchną w milczeniu.

– Nienawdził ich, tych ważniaków, *os presunçosos*, których nazywał także *os enhouraçados*, nadęci – powiedziała Mélodie i włożyła list na powrót do koperty. – Nienawdził ich wszędzie – w polityce, w zawodzie lekarskim, wśród dziennikarzy. I był nieubłagany w swoim osądzie. Podobało mi się, że był nieprzekupny, surowy, także wobec samego siebie. Nie lubiłam jednak, gdy stawał się bezwzględny, niszczący. Wtedy schodziłam z drogi memu posagowemu bratu.

Za głową Mélodie wisiało na ścianie zdjęcie, na którym tańczyli razem, ona i Amadeu. Gregorius pomyślał, że choć ruch Prado nie jest sztywny, to widać w nim pewną obcość. Gdy później zastanawiał się nad tym, przyszło mu do głowy odpowiednie słowo – taniec był czymś, co nie *przystawało* do Amadeu.

– Irlandczyk z czerwoną piłką na uświęconej uczelni – powiedziała Mélodie w ciszy. – Bardzo mnie wtedy poruszyła ta scena z listu. Wydawało mi się, że wyraża tęsknotę, o której nigdy wcześniej nie mówił – żeby móc być także chłopcem grającym w piłkę. Nauczył się czytać już jako czterolatek i od tamtej pory przeczytał niemal każdą książkę, w podstawówce nudził się śmiertelnie, a w liceum dwukrotnie przeskoczył klasę. W wieku dwudziestu lat w zasadzie wiedział już wszystko i zastanawiał się czasami, co jeszcze mógłby poznać. Zapomniał jednak o graniu w piłkę.

Pies zaczął ujadać, a potem wpadły dzieci, zapewne wnuki. Mélodie podała Gregoriusowi dłoń. Rozumiała, że chce jeszcze o wiele zapytać, choćby o *Cedros vermelhos* i o śmierć sędziego. Jej spojrzenie świadczyło o tym, że wie, ale że nie czuje się jeszcze gotowa powiedzieć więcej, nawet gdyby nie zjawily się dzieci.

Gregorius usiadł na ławce przy Castelo i rozmyślał o liście, który Amadeu wysłał z Oxfordu do młodszej siostry. Musiał odnaleźć ojca Bartolomeu, łagodnego nauczyciela. Prado miał słuch wyczulony na różne

rodzaje ciszy, słuch, jaki mają tylko ludzie cierpiący na bezsenność. Kobietę wykładającą tamtego wieczoru nazwał pergaminową. Dopiero teraz Gregorius uświadomił sobie, że wzdrygnął się przy tej uwadze i po raz pierwszy odwrócił się w duchu od bezbożnego kapłana o surowym osądzie. *Mundus, Papirus. Pergamin i papirus.*

Gregorius zszedł ze wzgórza w kierunku hotelu. W sklepie kupił szachy. Przez resztę dnia do późnej nocy próbował wygrać z Alechinem jako Bogolubow, nie przyjmując poświęcenia obu wież. Tęsknił za Doxiadesem i włożył stare okulary.

17 *To nie teksty, panie Gregorius. To, co mówią ludzie, to nie są teksty. Oni po prostu rozmawiają.* Doxiades powiedział mu to dawno temu. Gregorius skarżył się wtedy, że to, co mówią ludzie, często jest bez związku i pełne sprzeczności, a oni sami tak szybko zapominają własne słowa. Grek uznał to za wzruszające. Jeśli ktoś tak jak on był taksówkarzem w Grecji, w dodatku w Salonikach, wtedy wie – wie z wyjątkową pewnością – że nie można polegać na tym, co ludzie mówią. Zwykle mówią jedynie po to, by mówić. I nie tylko w taksówce. Żeby brać kogoś za słowo – to mogło przyjść do głowy wyłącznie filologowi, i to filologowi klasycznemu, przez cały dzień mającemu do czynienia ze słowami, których nie można cofnąć, z tekstami właśnie, tekstami, do których w dodatku istnieją tysiące komentarzy.

„Jeśli nie można brać ludzi za słowo, cóż innego można robić z cudzymi słowami?“, spytał Gregorius. Grek roześmiał się głośno. „Traktować je jak okazję, by samemu pogadać! Tak, żeby rozmowa toczyła się dalej”. I oto Irlandczyk z listu Prado do siostry powiedział coś bardzo podobnego, i nie mówił o podróznym w greckich taksówkach, lecz o profesorach z All Souls College w Oxfordzie. A swą wypowiedź skierował do mężczyzny, który do wyświechtanych słów czuł taki wstręt, że pragnął na nowo stworzyć język portugalski.

Już od dwóch dni padał rześisty deszcz. Było tak, jakby magiczna zasłona oddzielała Gregoriusa od świata zewnętrznego. Nie znajdował się w Bernie, lecz tu, w Lizbonie, a zarazem nie przebywał w niej. Przez cały dzień grał w szachy i po raz pierwszy nie pamiętał ustawiania figur i ruchów, nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Czasami przyłapywał się na tym, że trzyma figurę w dłoni i nie wie, gdzie należy ją postawić. W sali jadalnej na dole kelner musiał wielokrotnie pytać go, czego sobie życzy, a Gregorius przez pomyłkę zamówił deser przed zupą.

Następnego dnia zadzwonił do sąsiadki w Bernie i poprosił, by wyjęła listy ze skrzynki, klucz leży pod wycieraczką. Czy ma mu przesłać pocztę? Tak – odparł, a potem zadzwonił ponownie i powiedział, że nie. Kartkując notes, natknął się na numer telefonu, który nieznanym Portugalka zapisała mu na czole. *Português*. Wziął słuchawkę i wybrał numer. Gdy usłyszał sygnał, rozłączył się.

Koiné, nowotestamentowa greka, szybko go znudziła, była zbyt łatwa, jedynie portugalski tekst w Biblii Coutinha miał pewien urok. Gregorius obdzwonił rozmaite księgarnie, pytając o Ajschylosa i Horacego, ewentualnie Herodota i Tacyta. Miał trudności z porozumieniem się, a gdy wreszcie udało mu się zamówić książki, nie odebrał ich z powodu deszczu.

W książce telefonicznej wyszukał szkoły językowe, w których nauczano portugalskiego. Zadzwonił do Mariany Eça, bo chciał jej opowiedzieć o wizycie u João, ale ona się spieszyła i nie miała do tego głowy. Silveira przebywał w Biarritz. Czas zamarł i cały świat zamarł, a stało się tak, ponieważ wola Gregoriusa zamarła, jak nie zdarzyło się to jeszcze nigdy dotąd.

Czasem patrzył pustym wzrokiem przez okno i rozmyślał o tym, co inni – Coutinho, Adriana, João Eça, Mélo die – powiedzieli o Prado. Miał wrażenie, jakby z mgły wyłaniały się zarysy krajobrazu, który nadal był niewyraźny, ale już rozpoznawalny, jak na chińskim rysunku tuszem. W tych dniach Gregorius tylko raz przeglądał zapiski Prado i zatrzymał się na tym fragmencie:

AS SOMBRAS DA ALMA. CIENIE DUSZY. *Historie, które opowiadają o nas inni, i historie, które opowiadamy o sobie sami – które są bliższe prawdy?*

Czy to takie oczywiste, że te własne? Czy człowiek jest autorytetem dla samego siebie? Jednak nie ta kwestia naprawdę mnie zajmuje. Właściwe pytanie brzmi: czy w owych historiach istnieje w ogóle różnica między prawdą i fałszem? W historiach, które opowiadają o rzeczach zewnętrznych – tak. Ale jeśli wyruszymy, aby zrozumieć czyjeś wnętrze? Czy ta podróż kiedykolwiek dobiega końca? Czy dusza jest miejscem faktów, czy też rzekome fakty są tylko złudnymi cieniami naszych historii?

W czwartek rano niebo było czyste i błękitne; Gregorius udał się do siedziby gazety i poprosił praktykantkę Agostinhę, by sprawdziła, gdzie na początku lat trzydziestych mieściło się liceum, w którym nauczano języków klasycznych i w którym wykładali także duchowni. Szukała z gorączkowym zapalem, a gdy znalazła, wskazała mu lokalizację na planie miasta. Znalazła też adres biura kościelnego, zadzwoniła i zapytała o ojca Bartolomeu, który nauczał w owym liceum około roku 1935. Powiedziano jej, że chodzi zapewne o ojca Bartolomeu Lourenço de Gusmão. Dawno przekroczył dziewięćdziesiątkę i rzadko przyjmuje wizyty, a o co chodzi? Amadeu Inácio de Almeida Prado? Spytają ojca i zadzwonią. Telefon zabrzączał po kilku minutach. Ojciec zgodził się porozmawiać z człowiekiem, który po tak długim czasie interesował się Prado. Oczekiwał gościa późnym popołudniem.

Gregorius pojechał do dawnego liceum, gdzie Prado sprzeczał się z ojcem Bartolomeu o nieodwołalny zakaz kłamstwa u świętego Augustyna, a ojciec nie stracił przy tym łagodności. Liceum stało poza wschodnimi granicami miasta i otoczone było starymi, wysokimi drzewami. Budynek o murach barwy wyblakłej żółci mógł niemal uchodzić za Grand Hotel z dziewiętnastego wieku, brakowało tylko balkonów, nie pasowała też smukła dzwonnica. Budynek był zupełnie zapuszczony. Tynk odpadał, okna świeciły pustką lub miały rozbite szyby, na dachu brakowało dachówek, na rogu zwisała krzywo zardzewiała rynna.

Gregorius usiadł na schodach wejściowych, które pokrywał mech już za czasów nostalgicznych odwiedzin Prado. Musiało to być pod koniec lat sześćdziesiątych. Tutaj siadywał i zastanawiał się, jak by to było, gdyby

trzydzieści lat wcześniej na rozstaju dróg wybrał zupełnie inny kierunek. Gdyby przeciwstawił się poruszającemu, ale i władcemu życzeniu ojca i nie wkroczył na salę wykładową wydziału medycyny.

Gregorius wyjął i przekartkował zapiski Prado.

...podobne marzeniu, patetyczne pragnienie, by raz jeszcze znaleźć się w tamtym punkcie mego życia i móc wybrać zupełnie inny kierunek niż ten, który uczynił ze mnie człowieka, jakim jestem teraz?... Jeszcze raz usiąść na ciepłym mchu i trzymać czapkę – to paradoksalne pragnienie, by cofnąć się do czasu przed sobą samym i zabrać ze sobą w tę podróż siebie samego, określonego przez to, co się zdarzyło.

Szkolne podwórze otaczał zmurszały płot, przez który najgorszy uczeń przerzucił swoją czapkę do stawu z liliami wodnymi po końcowym egzaminie aż sześćdziesiąt siedem lat temu. Staw dawno wysechł, pozostało tylko zagłębienie pokryte dywanem z powoju.

Budynek skryty za drzewami musiał być szkołą dla dziewcząt, z której nadeszła Maria João, dziewczyna z brązowymi kolanami, w jasnej sukience pachnącej mydłem, wielka, nietknięta miłość w życiu Amadeu, kobieta, która w ocenie Mélodie jako jedyna wiedziała, kim naprawdę był, kobieta tak wyjątkowo ważna, że Adriana jej nienawidziła, choć Amadeu być może nigdy jej nawet nie pocałował.

Gregorius zamknął oczy. Stał w Kirchenfeld, na rogu ulicy, skąd niezauważenie mógł obejrzeć się na gimnazjum, gdy uciekł z niego w połowie lekcji. Raz jeszcze wspomniął uczucie, które przed dziesięcioma dniami ogarnęło go z nieoczekiwaną siłą i uświadomiło mu, jak bardzo kochał ten budynek i wszystko, co oznaczał, i jak bardzo będzie za nim tęsknił. Uczucie było takie samo, a jednak inne, ponieważ nie było już tym samym uczuciem. Gregorius z bólem stwierdził, że uczucie nie jest już to samo, a zatem nie takie samo. Wstał, powiódł spojrzeniem po łuszczącej się, wyblakłej żółci fasady i naraz przestało boleć, ból ustąpił ulotnemu wrażeniu ciekawości, pchnął więc drzwi, które były tylko przymknięte, a zardzewiałe zawiasy zapiszczały jak na dreszczowcu.

Uderzył go zapach wilgoci i pleśni. Po kilku krokach niemal się pośliznął, ponieważ nierówną, wydeptaną kamienną posadzkę pokrywała

warstwa wilgotnego kurzu i zgniłego mchu. Powoli, z dłonią na poręczy, szedł w górę szerokimi schodami. Skrzydła drzwi wahadłowych, które otwierały się na wysoki parter, były pooblepiane grubo pajęczyną, tak że kiedy Gregorius je przycisnął, rozległ się głuchy szmer darcia. Gregorius wzdrygnął się, gdy korytarzem przeleciały przestraszone nietoperze. Potem zapadła cisza, jakiej dotąd jeszcze nie doświadczył – milczały w niej lata.

Drzwi rektoratu łatwo było rozpoznać, zdołały je misterne wzory. Tutaj także wszystko zalepiały pajęczyny i drzwi ustąpiły dopiero po kilkakrotnym popchnięciu. Gregorius wkroczył do pomieszczenia, w którym dominował jeden sprzęt – ogromne czarne biurko na wygiętych rzeźbionych nogach. Przy nim wszystkie pozostałe meble – puste, zakurzone regały na książki, skromny stolik do herbaty stojący na nagich, pleśniejących deskach, spartańskie krzesła – były niemal nierzeczywiste. Gregorius wytarł powierzchnię krzesła i usiadł za biurkiem. Senhor Cortês, tak nazywał się ówczesny rektor, mężczyzna o powściągliwym chodzie i surowej minie.

Gregorius wzburzył drobiny kurzu, które zatańczyły w snopie światła słonecznego. Milczący czas wywołał w nim uczucie, że wkroczył tu jako obcy, przez długą chwilę wstrzymywał więc oddech. Potem ciekawość zwyciężyła i otworzył szuflady biurka, jedną po drugiej. Kawalek sznurka, zmurszały drewniany obrzynek po ostrzeniu ołówka, pofałdowany znaczek pocztowy z 1969 roku, piwniczny zapach. A potem, w najniższej szufladzie, hebrajska Biblia, gruba i ciężka, oprawiona w szare płótno, spłowiałe, wytarte, z pęcherzami wilgoci. BIBLIA HEBRAICA głosiły złote litery na okładce, które pokrył czarny cień.

Gregoriusa ogarnęło zdumienie. Liceum, jak dowiedziała się Agostinha, nie było szkołą kościelną. W połowie XVIII wieku Marquês de Pombal wygnał jezuitów z Portugalii, podobne wydarzenie miało miejsce na początku XX wieku. Pod koniec lat czterdziestych zakony takie jak maryści zakładały co prawda kolegia, ale nastąpiło to po ukończeniu nauki przez Prado. Wcześniej istniały tylko publiczne licea, które czasami zatrudniały duchownych jako nauczycieli języków klasycznych. Skąd zatem ta Biblia? I dlaczego w biurku rektora? Zwykły przypadek, nieznaczący zbieg okoliczności? Niewidoczny, milczący protest przeciwko tym, którzy

zamknęli szkołę? Buntownicze zapominalstwo skierowane przeciw dyktaturze i niezauważone przez jej wysłanników?

Gregorius czytał. Ostrożnie przewracał pomarszczone grube karty, zmurszałe i zimne w dotyku. Snop światła słonecznego przesuwiał się powoli. Gregorius zapiął płaszcz, postawił kołnierz i wsunął dłonie w rękawy. Po chwili włożył w usta papierosa z paczki, którą kupił rano. Od czasu do czasu musiał zakasłać. Na zewnątrz, przed uchylonymi drzwiami, przemknęło coś, zapewne szczur.

Czytał Księgę Hioba, czytał ją z bijącym sercem. Elifaz z Ternami, Bildad z Szuach i Sofar z Naamy. *Isfahan*. Jak brzmiało nazwisko rodziny, u której miał zostać nauczycielem? W księgarni Francke znalazł wtedy album o Isfahanie ze zdjęciami meczetów, placów i zasłoniętych przez burzę piaskową okolicznych wzgórz. Nie było go stać na kupno albumu i dlatego codziennie przychodził, by go wertować. Gdy sen o rozpalonym, powodującym ślepotę piasku zmusił Gregoriusa do zrezygnowania z posady, na wiele miesięcy przestał zaglądać do księgarni. Kiedy wreszcie się tam udał, albumu już nie było.

Hebrajskie litery pływały Gregoriusowi przed oczami. Przetarł moką twarz, wyczyścił okulary i czytał dalej. Jakaś część Isfahanu, miejsca oślepienia, pozostała w jego życiu – zawsze czytał Biblię jak poezję, fikcję, muzykę słowa otoczoną ultramaryną i złotem meczetów. *Mam wrażenie, że nie traktuje pan tego tekstu poważnie*, powiedziała Ruth Gautschi, a David Lehmann pokiwał głową. Czy rzeczywiście zdarzyło się to zaledwie miesiąc temu?

Czy istnieje powaga poważniejsza niż poetycka powaga? – spytał ich. Ruth wbiła wzrok w ziemię. Lubiła go. Nie tak jak kiedyś Florence siedząca w pierwszym rzędzie, Ruth nigdy nie zechciałaby zdjąć mu okularów. Ale lubiła go i oto stała rozdarta między sympatią i rozczarowaniem, czy wręcz oburzeniem, że profanował Słowo Boże, skoro czytał je jak długi wiersz i słuchał go niczym kolejnej orientalnej sonaty.

Słońce znikło z gabinetu senhora Cortesa, Gregoriusowi zrobiło się zimno. W ciągu tych godzin odosobnienia wszystko odeszło w przeszłość, siedział pośrodku całkowitej bezświatowości, z której wystawały jedynie

hebrajskie litery jako runy trwoźnego snu. Gregorius wstał, sztywnym krokiem wyszedł na korytarz i wspiał się po schodach prowadzących do klas.

Pomieszczenia były pełne kurzu i ciszy. Jeśli czymś się różniły, to śladami rozkładu. W jednym z nich na suficie znajdowała się ogromna plama wilgoci, w innym umywalka zwisała krzywo, bo złamała się przytrzymująca ją przerdzewiała śruba, w kolejnym na podłodze leżał rozbity szklany klosz, a z sufitu zwisała na drucie naga żarówka. Gregorius dotknął włącznika światła – nic, ani tu, ani w innych salach. Gdzieś w rogu leżała piłka, z której uszło powietrze, ostre odłamki zbitej szyby błyszcząły w południowym słońcu. *Zapomniał jednak o graniu w piłkę*, powiedziała Mélodie o swoim bracie, któremu w tych murach pozwolono przeskoczyć dwie klasy, ponieważ już jako czterolatek zaczął pochłaniać wszelkie pozycje z biblioteki.

Gregorius usiadł w ławce, w której siedział również jako uczeń w baraku berneńskiego gimnazjum. Było stąd widać szkołę dla dziewcząt, ale połowę budynku zasłaniała ogromna pinia. Amadeu de Prado musiał wybrać inne miejsce, takie, z którego mógł oglądać cały rząd okien. Widzieć Marię João w jej ławce, niezależnie od tego, gdzie siedziała. Gregorius przesiadł się tam, skąd miał najlepszy widok, i wyteżył wzrok. Tak, Prado mógł obserwować ją w jasnej sukience pachnącej mydłem. Wymieniali spojrzenia, a kiedy pisała klasówkę, pragnął prowadzić jej dłoń. Czy używał operowej lornetki? W wytwornym domu sędziego musiała znajdować się lornetka. Alexandre Horácio zapewne z niej nie korzystał, o ile w ogóle siadywał w operowej łoży. Ale może jego żona Maria Piedade Reis de Prado? W ciągu sześciu lat, które przeżyła po śmierci męża? Czy ta śmierć była dla niej wyzwoleniem? A może zatrzymała czas i zmieniła uczucia w formacje zastygłej duchowej lawy, jak u Adriany?

Klasy znajdowały się przy długich korytarzach przypominających koszary. Gregorius wchodził do nich po kolei. W pewnej chwili potknął się o martwego szczura i stanął drżący, wycierając dłonie o płaszcz, choć nawet go nie dotknął. Gdy ponownie znalazł się na parterze, otworzył wysokie, pozbawione ozdób drzwi. Tutaj uczniowie jedli posiłki, było okienko do podawania potraw, a za nim okaflowana dawna kuchnia, po której zostały

tylko zardzewiałe rury wystające ze ścian. Nie ruszono także długich stołów. Czy gdzieś tu mieściła się aula?

Odnalazł ją po drugiej stronie budynku. Przyśrubowane na stałe ławki, witrażowe okno, w którym brakowało dwóch szybek, wysoki pulpit z lampką. Z boku osobna ławka, prawdopodobnie dla zarządu szkoły. Cisza jak w kościele, albo nie, po prostu cisza, która coś znaczyła, cisza, której nie można zakończyć dowolnymi słowami. Cisza zmieniająca słowa w rzeźby, monumenty pochwały, nagany lub niszczącej oceny.

Gregorius wrócił do gabinetu rektora. Niepewnie trzymał w dłoni hebrajską Biblię. Miał ją już pod pachą i był w drodze do wyjścia, ale zawrócił. Wyłożył swoim swetrem wilgotną szufladę i na powrót umieścił w niej Biblię. Potem udał się w drogę do ojca Bartolomeu Lourenço de Gusmão, który mieszkał po drugiej stronie miasta, w Belem, w kościelnym domu opieki.

18 – Augustyn i kłamstwo – to była tylko jedna z tysięcy spraw, o które się sprzecaliśmy – powiedział ojciec Bartolomeu. – Często dochodziło między nami do sprzeczek, ale nigdy się nie kłóciliśmy. Bo widzi pan, on był zapaleńcem, buntownikiem, chłopcem o żywej inteligencji, a w dodatku utalentowanym mówcą, który przez sześć lat przeszedł przez liceum jak tornado i stał się legendą.

Trzymał książkę Prado i wierzchem dłoni przejechał po portrecie. Może go wygładzał, a może głaskał. Gregorius przypomniał sobie Adrianę, jak wierzchem dłoni gładziła biurko Amadeu.

– Jest tu starszy – powiedział ojciec Bartolomeu – ale to on. Taki był, dokładnie taki.

Położył książkę na kocu, którym przykrył nogi.

– Gdy zostałem jego nauczycielem, miałem dwadzieścia kilka lat, i było to dla mnie niewiarygodne wyzwanie, by dotrzymać mu kroku. Nauczyciele dzielili się na tych, którzy posyłali go do diabła, i na tych, którzy go

kochali. Tak, to dobre słowo – niektórzy z nas byli w nim zakochani – w jego nieumiarkowaniu, jego bezgranicznej wielkoduszności i zawziętym uporze, w jego pełnej pogardy dla świata śmiałości, odwadze i fanatycznej gorliwości. Był zuchwałym poszukiwaczem przygód, którego łatwo można by sobie wyobrazić na jednym z dawnych statków, śpiewającego, nauczającego i zdecydowanego za wszelką cenę, nawet za pomocą miecza, ochronić mieszkańców dalekich lądów przed jakąkolwiek niegodną napaścią. Gotów był wyzwąć każdego, diabła, czy nawet Boga. Nie, nie wynikało to z manii wielkości, jak twierdzili jego przeciwnicy, było to tylko rozkwitające życie i wulkaniczny, gwałtowny wybuch świeżych sił, deszcz iskier w postaci niezliczonych pomysłów. Bez wątpienia przepełniała go duma, jednak duma tak nieposkromiona i bezmierna, że zapominało się o sprzeciwie i ze zdumieniem spoglądało się na nią jak na cud natury rządzący się swoimi prawami. Ci, którzy go kochali, widzieli w nim surowy diament, nieoszlifowany szlachetny kamień. Ci, którzy go odrzucali, byli urażeni nieokazywaniem przez niego szacunku, co bywało raniące, i milczącym, ale wyraźnie indywidualnym poczuciem sprawiedliwości, jakie jest właściwe ludziom, którzy są szybsi, czystszy i bardziej świetlani od pozostałych i wiedzą o tym. Widzieli w nim szlachetnie urodzonego szczeniaka, wybrańca losu, obdarowanego nie tylko pieniędzmi, ale także talentami, urodą i czarem. Do tego dochodziła ta jego nieodparta melancholia, dzięki której stał się ulubieńcem kobiet. To, że ktoś utrafił o tyle lepiej od innych, było niesprawiedliwe i nie w porządku, stanowiło magnes dla zazdrości i nieżyczliwości. A jednak również ci niechętni odczuwali w duchu podziw, ponieważ nikt nie mógł przymknąć oczu na fakt, że chłopak ten był zdolny dotknąć nieba.

Wspomnienia uniosły ojca Bartolomeu daleko poza pokój, w którym siedzieli, co prawda duży i pełen książek, nieporównywalny z ubogim pokojem João Eçy w Cacilhas, ale mimo to pokój w domu opieki, co można było poznać po sprzecie medycznym i dzwonku przy łóżku. Gregorius od początku polubił tego wysokiego, chudego mężczyznę z białymi jak śnieg włosami i głęboko osadzonymi, mądrymi oczami. Skoro uczył Prado, musiał mieć już sporo ponad dziewięćdziesiąt lat, ale nie było w nim śladu zgrzybiałości, niczego, co świadczyłoby o tym, że utracił bystrość umysłu, z którą przed siedemdziesięciu laty odpowiadał na wyzwania Amadeu. Miał

szczupłe dłonie z długimi, delikatnymi paznokciami, jakby stworzone, by przewracać strony starych, cennych ksiąg. Tymi palcami wertował teraz książkę Prado. Nie czytał jednak, dotykane papieru przypominało raczej rytuał pozwalający przywołać odległą przeszłość.

– Czego to on już nie przeczytał, kiedy jako dziesięcioletek w małym, szytym na miarę surducie przekraczał próg liceum! Niektórzy z nas przyłapywali się na tym, że potajemnie sprawdzali, czy potrafi wszystko zapamiętać. A on z tą swoją fenomenalną pamięcią siadywał po lekcjach w bibliotece i niesamowicie skoncentrowanym, oddalonym od świata spojrzeniem ciemnych oczu, którego nie zmąciłby nawet najgłośniejszy dźwięk, pochłaniał wszystkie grube książki, linijka po linijce, strona po stronie. „Kiedy Amadeu przeczyta książkę – powiedział pewien nauczyciel – nie zostają w niej żadne litery. Połyka nie tylko sens, ale nawet farbę drukarską”.

I tak było – zdawało się, że teksty znikają w nim całkowicie, a na półkach zostają tylko puste łuski. Horyzont jego umysłu skrytego za bezwstydnie wysokim czołem rozpościerał się w zapierającym dech tempie, z tygodnia na tydzień powstawały nowe formacje, zaskakujące formacje złożone z idei, skojarzeń i fantastycznych językowych pomysłów, które nieustannie nas zdumiewały. Zdarzało się, że chował się w bibliotece i całą noc spędzał na czytaniu przy latarce. Za pierwszym razem, gdy nie wrócił do domu, jego matka wpadła w panikę. Stopniowo jednak przyzwyczaiła się, że jej chłopiec ma skłonność do łamania wszelkich reguł, i nawet odczuwała z tego powodu pewną dumę.

Niektórzy nauczyciele bali się, gdy padło na nich skoncentrowane spojrzenie Amadeu. Nie dlatego, że było to spojrzenie odrzucające, wyzywające albo wojownicze. Dawało ono jednak tłumaczącemu jedną, tylko jedną szansę, by zrobić to dobrze. Jeśli popełnił jakiś błąd lub zostawił cień niepewności, owo spojrzenie nie stawało się groźne czy pogardliwe, Amadeu nie okazywał nawet rozczarowania, nie, po prostu odwracał wzrok, nie chciał dać niczego odczuć, wychodząc, zachowywał się uprzejmie, przyjaźnie. Ale właśnie ta wyczuwalna chęć, by nie urazić nauczyciela, okazywała się niszcząca. Sam tego doświadczyłem, a inni potwierdzali – także przygotowując się do zajęć, mieliśmy przed sobą to uważne spojrzenie. Dla niektórych było to spojrzenie egzaminatora,

spychające ich na powrót do szkolnej ławki, innym udawało się stawić mu czoło w sportowym duchu, jak zawodnik, który trafił na silnego przeciwnika. Nie znałem nikogo, kto by nie doświadczył tego uczucia, że Amadeu Inácio de Almeida Prado, przedwcześnie dojrzały, niezwykle bystry syn słynnego sędziego, był obecny w pokoju, gdy przygotowywało się coś trudnego, coś, przy czym nawet nauczyciel mógł popełnić błąd.

Lecz Prado nie stanowił tylko wyzwania. W ogóle nie był odlany z jednej formy. Pokazywały się w nim pęknięcia, rysy i uskoki, czasami miałem wrażenie, że w ogóle go nie znam. Gdy zauważał reakcje, jakie wywoływał jego niezwykle otwarty, ale także wyniosły sposób bycia, spadał z obłoków, ogarniało go przerażenie i próbował wszystko naprawić. Istniał też inny Amadeu, dobry, pomocny kolega. Potrafił całymi nocami siedzieć przy słabszych uczniach, by przygotować ich do egzaminu, i okazywał przy tym skromność i anielską cierpliwość, zawstydzające wszystkich, którzy na niego narzekali.

Ten inny Amadeu miewał też napady melancholii. Gdy go nawiedzały, sprawiał wrażenie, jakby wstępował w niego zupełnie inny duch. Był nadmiernie lękliwy, na najmniejszy hałas wzdrygał się jak uderzony biczem. W takich chwilach stanowił ucieleśnienie trudu, jakim jest życie. I nie daj Boże, żeby ktoś spróbował rzucić jakąś pocieszającą albo rozweselającą uwagę. Wtedy rzucał się na niego z wściekłym sykiem.

Tak wiele potrafił ten hojnie obdarzony chłopak. Nie umiał tylko jednego – bawić się, być rozluźnionym, beztroskim. Przeszkadzały mu nadmierna bystrość i ogromna potrzeba nadzoru i kontroli. Żadnego alkoholu. Żadnych papierosów, te pojawiły się później. Za to nieograniczona ilość herbaty, uwielbiał czerwono-złoty blask mocnej assam, z tego powodu przyniósł z domu srebrny dzbanek, który na koniec podarował kucharzowi.

– Była też dziewczyna, Maria João – wtrącił Gregorius.

– Tak. I Amadeu ją kochał. Kochał ją w ten niepowtarzalny, nieskalany sposób, który u wszystkich wywoływał uśmiech, ale też nieskrywaną zazdrość, zazdrość wobec uczucia, jakie właściwie istnieje tylko w baśniach. Kochał ją i czcił. Tak, tak było – czcił ją – nawet jeśli zwykle nie mówi się tego o dzieciach. Jednak w przypadku Amadeu istniało wiele różnic. Nie była to wcale wyjątkowo ładna dziewczynka, nie księżniczka, wręcz przeciwnie. O ile wiem, nie była też dobrą uczennicą. Nikt tego do

końca nie rozumiał, a na pewno nie rozumiały pozostałe dziewczynki z tamtej szkoły, które dałyby wszystko, by ściągnąć na siebie spojrzenie szlachetnie urodzonego księcia. Może chodziło po prostu o to, że nie była nim zauroczona, nie była tak obezwładniona jak inni. Może tego właśnie potrzebował – że ktoś w oczywisty sposób potraktuje go jak równego sobie, słowami, spojrzeniami i ruchami, których naturalność i niepozomość uwolni go od samego siebie.

Gdy Maria João przychodziła i siadała obok niego na schodach, naraz stawał się całkowicie spokojny, uwolniony od ciężaru swej bystrości i spostrzegawczości, od brzemienia nieustającej przytomności umysłu, nieustannego dążenia, by ciągle wewnętrznie się doskonalić i przewyższać. Siedząc obok niej, nie słyszał bicia dzwonu oznaczającego początek zajęć i sprawiał wrażenie, że chciałby już nigdy nie musieć wstać. Potem Maria kładła mu rękę na ramieniu i sprowadzała go z raju bezcennej swobody z powrotem na ziemię. Zawsze to ona go dotykała, nigdy nie widziałem, żeby on położył dłoń na jej ręce. Gdy zbierała się, by wrócić do szkoły, zwykle wiązała swe czarne lśniące włosy w koński ogon. Za każdym razem przyglądał się jej wtedy jak oczarowany, za setnym razem także, musiał bardzo kochać ten gest. Pewnego dnia zamiast gumki do włosów pojawiła się srebrna klamra, a po wyrazie twarzy Amadeu widać było, że to prezent od niego.

Tak jak Mélodie ojciec Bartolomeu nie znał nazwiska dziewczyny.

– Teraz, gdy mnie pan o to pyta, wydaje mi się, jakbyśmy nie *chcieli* poznać jej nazwiska, jakby poznanie go nam *przeszkadzało* – powiedział. – Trochę tak, jak nie pyta się o nazwiska w przypadku świętych. Albo Diany czy Elektry.

Do pokoju weszła siostra w stroju zakonnym.

– Nie teraz – powiedział ojciec, gdy sięgnęła po rękaw do mierzenia ciśnienia krwi.

Powiedział to z łagodną stanowczością i nagle Gregorius zrozumiał, dlaczego dla młodego Prado było takim szczęściem, że ów człowiek pojawił się na jego drodze. Miał on dokładnie ten rodzaj autorytetu, którego Amadeu potrzebował, by upewnić się co do swych granic, a może także po to, by uwolnić się od surowego, gorzkiego autorytetu osądzającego ojca.

– Ale chętnie napijemy się herbaty – powiedział ojciec Bartolomeu i uśmiechem zmył kielkujące zdenerwowanie siostry. – Assam, i prosimy o mocną, żeby naprawdę lśniła czerwonym złotem.

Zamknął oczy i milczał. Nie chciał opuścić odległych czasów, w których Amadeu de Prado podarował Marii João klamrę do włosów. Gregorius pomyślał, że w ogóle pragnie pozostać przy swym ulubionym uczniu, z którym dyskutował o Augustynie i tysiącu innych spraw. Przy chłopcu, który mógł dotknąć nieba. Chłopcu, któremu chętnie położyłby dłoń na ramieniu tak jak Maria João.

– Maria i Jorge – ciągnął ojciec Bartolomeu z zamkniętymi oczami – byli jakby jego opiekuńczymi świętymi. Jorge O’Kelly. To w nim, późniejszym aptekarzu, Amadeu znalazł przyjaciela, i nie zdziwiłoby mnie, gdyby pozostał on jego jedynym prawdziwym przyjacielem, nie licząc Marii. Pod wieloma względami był dokładnym przeciwieństwem Amadeu i czasami myślałem, że potrzebował Jorge, żeby być *całym*. Z tą chłopską czaszką, nastroszonymi, wiecznie nieuczesanymi włosami i niezgrabnym, rozwlekłym sposobem bycia Jorge mógł sprawiać wrażenie ograniczonego, a w dni otwarte widziałem, że szlachetnie urodzeni rodzice innych uczniów obracali się ze zdumieniem, gdy mijali ich w biednym odzieniu. Był taki nieelegancki w pomiętych koszulkach, niekształtnej marynarce i zawsze tym samym czarnym krawacie pod szyją, który nosił przekrzywiony na znak protestu wobec przymusu.

Pewnego razu minęliśmy na korytarzu Amadeu i Jorge, a mój kolega powiedział: „Gdybym musiał w leksykonie wyjaśnić pojęcie elegancji i jej całkowitego przeciwieństwa, przedstawiłbym po prostu obraz tych dwóch chłopców. Wszelki komentarz byłby zbędny”.

Jorge był tym, przy którym Amadeu mógł odpocząć i zwolnić tempo. Gdy przebywał z Jorge, po chwili sam stawał się powolny. Udzielała mu się rozwaga przyjaciela. Na przykład przy grze w szachy. Początkowo denerwowało go, że Jorge w nieskończoność zastanawia się nad kolejnym ruchem, do jego obrazu świata, do tej żywej metafizyki nie pasował fakt, iż ktoś, kto potrzebował tak dużo czasu na rozmyślanie, mógł w końcu wygrać. Potem jednak Amadeu zaczynał wdychać jego spokój, spokój kogoś, kto zdawał się zawsze wiedzieć, kim jest i gdzie przynależy. To

brzmi szaleńczo, ale sędzę, że Amadeu *potrzebował* regularnych porażek z Jorge. Był nieszczęśliwy, gdy zdarzało mu się wygrać, musiał wtedy czuć się tak, jakby runęła skała, której zwykle mógł się chwycić.

Jorge dobrze wiedział, kiedy jego irlandzcy przodkowie przybyli do Portugalii, był dumny ze swej irlandzkiej krwi i dobrze mówił po angielsku, choć jego usta w ogóle nie wydawały się stworzone do angielskich słów. I rzeczywiście nikt by się nie zdziwił, gdyby spotkał go w irlandzkiej zagrodzie lub w wiejskim pubie, a gdy wyobrażałem sobie Jorge w takiej sytuacji, wyglądał jak młody Samuel Beckett.

Już wtedy był zatwardziałym ateistą, nie mam pojęcia, skąd to wiedzieliśmy, ale wiedzieliśmy. Gdy poruszaliśmy ten temat, niewzruszony cytował swe rodowe zawołanie: *Turris fortis mihi Deus*. Czytał rosyjskich, andaluzyjskich i katalońskich anarchistów, rozmyślał o przekroczeniu granicy i walce przeciwko Franco. Później przystał do ruchu oporu – zdziwiłbym się, gdyby tak się nie stało. Przez całe życie był pozbawionym iluzji romantykiem, jeśli coś takiego istnieje, a musi istnieć. I ten romantyk miał dwa marzenia – zostać aptekarzem i grać na steinwayu. Pierwsze marzenie zrealizował, jeszcze dziś stoi w białym kitlu za ladą na Rua dos Sapateiros. Z drugiego marzenia wszyscy się śmiali, on sam najbardziej, ponieważ jego kanciaste dłonie z szerokimi palcami i żłobionymi paznokciami pasowały bardziej do szkolnego kontrabasu, na którym jakiś czas próbował swych sił, aż w przypiływie zwątpienia z powodu braku talentu tak mocno piłował struny, że złamał smyczek.

Ojciec Bartolomeu wypił herbatę, a Gregorius z rozczarowaniem stwierdził, że picie coraz bardziej przeradza się w siorbanie. Nagle widział już tylko starego człowieka, któremu usta odmawiały posłuszeństwa. Zmienił się także nastrój gospodarza, w głosie pobrzmiwały smutek i melancholia, jakby przemawiał teraz w pustce, którą zostawił po sobie Prado po zakończeniu nauki.

– Oczywiście wszyscy wiedzieliśmy, że jesienią, gdy upały miną, a światło nabierze złotego odcienia, nie spotkamy go na korytarzach. Nie mówiliśmy jednak o tym. Na pożegnanie podał nam wszystkim dłoń, nie zapomniął o nikim, dziękował ciepłymi, dystyngowanymi słowami, pamiętam jeszcze, że przez chwilę myślałem: jak prezydent.

Ojciec Bartolomeu zawahał się, a potem jednak to powiedział.

– Mogły być nieco mniej kształtne, te słowa. Bardziej nieporadne, zająknięte, niepewne. Nieco bardziej niż nieociosany kamień. Nieco mniej niż wypolerowany marmur.

I z nim, ojcem Bartolomeu, powinien pożegnać się inaczej niż z pozostałymi, pomyślał Gregorius. Innymi, bardziej osobistymi słowami, może objęciem. Ojca zabolalo, że Prado potraktował go jak jednego z wielu. Teraz, po siedemdziesięciu latach, nadal go to bolalo.

– W pierwszych dniach po rozpoczęciu nowego roku szkolnego chodziłem po korytarzach jak ogłuszony. Ogłuszony jego nieobecnością. Wciąż musiałem sobie powtarzać: nie możesz oczekiwać, że ujrzysz kask jego włosów, nie możesz już żywić nadziei, że jego dumna postać wyłoni się zza rogu i zobaczysz, jak coś komuś tłumaczy i porusza przy tym dłońmi w ów niepowtarzalny, wyrazisty sposób. Jestem pewien, że pozostali czuli podobnie, choć o tym nie rozmawialiśmy. Tylko raz usłyszałem, jak ktoś powiedział: „Od tamtej pory wszystko jest inaczej”. Nie było wątpliwości, że mówił o nieobecności Amadeu. O tym, że na korytarzach nie słychać jego łagodnego barytonu. Nie tylko już go nie widywaliśmy, nie spotykaliśmy. *Widzieliśmy jego nieobecność* i natrafialiśmy na nią jak na coś fizycznego. Brak Amadeu przypominał ostro zarysowaną pustkę na fotografii, z której ktoś precyzyjnymi cięciami uwolnił jakąś postać i oto postać ta stała się ważniejsza, bardziej władcza niż reszta otoczenia. Dokładnie tak odczuwaliśmy brak Amadeu – przez jego precyzyjną nieobecność.

Minęły lata, nim ponownie go spotkałem. Studiował w Coimbrze i tylko od czasu do czasu słyszałem coś o nim przez przyjaciela, który asystował profesorowi medycyny na wykładach i przy sekcjach zwłok. Amadeu wkrótce i na studiach stał się legendą. Choć już nie tak świetlaną. Uznani, odznaczeni nagrodami profesorowie, autorytety w swoich dziedzinach, czuli się przez niego oceniani. Nie dlatego, że wiedział więcej niż oni, nie. Był jednak nienasycony w swej potrzebie wyjaśnień i na sali wykładowej musiało dochodzić do dramatycznych scen, gdy z nieprzejednaną kartezyjską logiką wykazywał, że coś, co podano jako wyjaśnienie, w istocie nim nie jest.

Kiedyś zadrwił z wyjątkowo próżnego profesora, porównując jego wyjaśnienie do wypowiedzi wyśmianego przez Moliera lekarza, który objaśnił usypiające działanie pewnego środka przez *virtus dormitiva*. Potrafił być bezlitosny, gdy natykał się na próżność. Bezlitosny. Scyzoryk otwierał mu się w kieszeni. *To kolejna forma głupoty, zwykł mawiać, aby być próżnym, trzeba zapomnieć o kosmicznym braku znaczenia wszelkich naszych działań, co stanowi jaskrawy przejaw głupoty.*

Gdy ogarniał go taki nastrój, lepiej było nie mieć go za przeciwnika. W Coimbrze wkrótce się o tym dowiedzieli. I o czymś jeszcze – że miał szósty zmysł do prób rewanzu planowanych przez innych. Taki zmysł miał też Jorge i Amadeu udało się odwzorować go w sobie i samodzielnie rozwijać. Kiedy wyczuwał, że ktoś chce go skompromitować, szukał najbardziej skomplikowanego posunięcia, które można było w tym celu wykonać, i dokładnie się na nie przygotowywał. Postępował tak również na wydziale w Coimbrze. Gdy na sali wykładowej przywoływano go do tablicy i pytano o najodleglejsze kwestie, odkładał kredę, którą pragnący zemsty profesor podał mu ze złośliwym uśmiechem, i wyjmował z kieszeni własną. „Ach, to”, mówił pogardliwie przy takich okazjach, a potem zapełniał tablicę szkicami anatomicznymi, równaniami fizjologicznymi albo formułami biochemicznymi. „Czy *muszę* to wiedzieć?”, spytał, gdy kiedyś się przeliczył. Uśmieшки pozostałych studentów nie były widoczne, ale słyszalne. Po prostu nikt nie potrafił mu dorównać.

Ostatnie pół godziny siedzieli w ciemności. Teraz ojciec Bartolomeu zapalił światło.

– Pochowałem go. Chciała tego Adriana, jego siostra. O szóstej rano, gdy nieuleczalna bezsenność wygnała go na miasto, miał wylew na Rua Augusta, którą podobno wyjątkowo lubił. Jakaś kobieta spacerująca z psem zadzwoniła po karetkę, ale już nie żył. Krew z pękniętego tętniaka w mózgu na zawsze zgasiła blask jego świadomości.

Wahałem się, nie wiedziałem, co pomyślałby o prośbie Adriany. *Pogrzeb to sprawa pozostałych, zmarły nie ma z tym nic wspólnego*, powiedział kiedyś. To była jedna z jego oziębłych wypowiedzi sprawiających, że niektórzy się go obawiali. Czy nadal obowiązywała?

Adriana, która przypominała smoka, smoka strzegącego Amadeu, była bezradna jak mała dziewczynka wobec spraw, przed którymi stawia nas śmierć. Postanowiłem więc uczynić zadość jej życzeniu. Musiałem znaleźć słowa, które ostałyby się wobec milczącego ducha Amadeu. Po kilkudziesięciu latach, kiedy to nie spoglądał mi już przez ramię podczas przygotowań, wrócił. Żar jego życia wygasł, ale miałem wrażenie, że to białe, nieodwracalnie ciche oblicze wymagało ode mnie jeszcze więcej niż poprzednia twarz, której wielobarwna żywotność tak często stawiała mi wyzwania.

Moje słowa nad grobem musiały się ostać nie tylko wobec zmarłego. Wiedziałem, że będzie tam O'Kelly. W jego obecności nie mogłem wygłosić słów, które opowiadałyby o Bogu i o tym, co Jorge zwykł nazywać *pustymi obietnicami*. Jedynym wyjściem było opowiedzenie o moich doświadczeniach z Amadeu i o niezatartych śladach, jakie pozostawił we wszystkich, którzy go znali, nawet w swoich wrogach.

Na cmentarzu zebrał się niewiarygodny tłum. Ludzie, których leczył, mali ludzie, którym nigdy nie posłał rachunku. Pozwoliłem sobie na jedno religijne słowo: *Amen*. Wymówiłem je, bo Amadeu je kochał i Jorge o tym wiedział. Święte słowo przebrzmiało w ciszy grobów. Nikt się nie poruszył. Zaczęło padać. Ludzie płakali, obejmowali się. Nikt nie odwrócił się, by odejść. Śluzы nieba się otworzyły i zebrani zostali przemoczeni do suchej nitki. A jednak stali. Po prostu stali. Pomyślałem: nogami z ołowiu chcą zatrzymać czas, chcą powstrzymać czas przed dalszym upływem, żeby nie udało mu się odsunąć od nich ukochanego lekarza, choć każda sekunda czyni tak ze wszystkim, co stało się przedtem. Wreszcie, po około półgodzinie bezruchu, nastąpiło poruszenie, które zaczęło się od najstarszych, niemogących już utrzymać się na nogach. Jednak jeszcze godzinę trwało, nim cmentarz opustoszał.

Gdy i ja chciałem wreszcie odejść, zdarzyło się coś dziwnego, coś, o czym czasem potem śniłem, coś tak nierzeczywistego jak scena z Buñuela. Dwoje ludzi, mężczyzna i młoda kobieta o chłodnej urodzie, podeszło z przeciwległych stron do grobu. Mężczyzną był O'Kelly, kobiety nie znałem. Nie wiedziałem tego, ale wyczułem, że są sobie bliscy. Miałem wrażenie, jakby to była intymna znajomość i jakby ta intymność wiązała się z jakimś nieszczęściem, tragedią, w którą uwikłany został również Amadeu.

Musieli pokonać mniej więcej podobną odległość do grobu i zdawali się dokładnie dostosowywać do siebie tempo kroków, aby podejść równocześnie. Po drodze ich spojrzenia ani razu się nie spotkały, wbili wzrok w ziemię. To, że unikają patrzenia na siebie, stwarzało między nimi większą bliskość niż jakakolwiek wymiana spojrzeń. Nie popatrzyli na siebie również wtedy, gdy stanęli przy grobie i zdawali się oddychać w harmonii. Sprawiali wrażenie, że zmarły należy teraz tylko do nich, i czułem, że muszę odejść. Do dziś nie wiem, jaka tajemnica ich wiązała i co miała wspólnego z Amadeu.

Rozległo się bicie dzwonu, musiał to być sygnał na kolację. Cień gniewu przemknął po twarzy ojca Bartolomeu. Silnym ruchem zrzucił koc z nóg, podszedł do drzwi i zamknął je. Gdy na powrót usiadł w fotelu, sięgnął ku przełącznikowi i zgasił lampę. Wózek z brzęczącymi naczyniami przetoczył się po korytarzu i oddalił. Ojciec Bartolomeu zaczekał, aż ponownie zapadnie cisza, po czym kontynuował.

– A może jednak wiem, albo podejrzewam. Na ponad rok przed swoją śmiercią Amadeu stanął nagle w środku nocy przed moimi drzwiami. Opuściła go cała pewność siebie, jego rysy, oddech, ruchy świadczyły o rozgorączkowaniu. Zaparzyłem herbatę, a on uśmiechnął się przelotnie, gdy przyniosłem kandyzowany cukier, który jako uczeń wręcz uwielbiał. Potem na jego twarzy znowu pojawił się wyraz udręki.

Było jasne, że nie mogę go naciskać ani wypytywać. Milczałem i czekałem. Walczył ze sobą, jak tylko on potrafił – jakby zwycięstwo i porażka w tej walce miały zdecydować o życiu i śmierci. I może tak było naprawdę. Słyszałem pogłoski, że pracował dla ruchu oporu. Podczas gdy on, oddychając z trudem, wpatrywał się przed siebie, obserwowałem, co uczynił z nim czas – pierwsze starcze plamy na smukłych dłoniach, zmęczona skóra pod bezsennymi oczami, siwe pasma we włosach. I nagle z przerażeniem uświadomiłem sobie – wyglądał na zaniedbanego. Nie jak niedomyty kloszard. Zaniedbanie było mniej rzucające się w oczy, łagodniejsze – nieprzystrzyżona broda, włoski wyrastające z uszu i nosa, niedbale przycięte paznokcie, żółtawe plamy na białym kołnierzyku, niewyczyszczone buty. Jakby od wielu dni nie przebywał w domu. Do tego nieregularne drganie powiek, które stanowiło kwintesencję życiowego utrudzenia.

„Jedno życie za wiele żyć. Tak nie można przecież rozumować. Prawda?”, powiedział Amadeu zduszonym głosem, a w jego słowach kryło się zarówno oburzenie, jak i strach, że zrobi coś złego, coś niewybaczalnego.

„Wiesz, co uważałem na ten temat – odparłem. – Od tamtej pory nie zmieniłem zdania”.

„A gdyby chodziło o *bardzo* wiele istnień?”.

„Czy ty musiałbyś to zrobić?”.

„Wręcz przeciwnie, muszę temu *zapobiec*”.

„On za dużo wie?”.

„Ona. Stała się niebezpieczna. Nie wytrzymałaby. Zaczęłaby sypać. Tak myślą inni”.

„Jorge też?”. To był strzał na ślepo, ale trafiony.

„Nie chcę o tym rozmawiać”.

Mijały minuty milczenia. Herbata wystygła. To go rozrywało. Czy ją kochał? A może chodziło tylko o to, że była człowiekiem?

„Jak się nazywa? *Imiona to niewidoczne cienie, w które ubierają nas inni, a my ich*. Pamiętasz jeszcze?”.

Były to jego własne słowa z jednego z wielu wypracowań, którymi nas wszystkich zadziwiał.

Wspomnienie wyzwoliło go na krótką chwilę i uśmiechnął się.

„Estefânia Espinhosa. Imię jak wiersz, nieprawdaż?”.

„Jak chcesz to zrobić?”.

„Przez granicę. W góry. Niech mnie ojciec nie pyta dokąd”.

Zniknął za ogrodową bramą i to był ostatni raz, gdy widziałem go żywego.

Po zdarzeniu na cmentarzu wciąż rozmyślałem o tej nocnej rozmowie. Czy kobietą była Estefânia Espinhosa? Czy przyjechała z Hiszpanii, gdzie dotarła do niej wieść o śmierci Amadeu? Czy podchodząc do O’Kelly’ego, podeszła do mężczyzny, który chciał ją wydać na śmierć? I czy stali bez

ruchu i bez wymiany spojrzeń nad grobem człowieka, który poświęcił trwającą całe życie przyjaźń, by uratować kobietę o poetyckim imieniu?

Ojciec Bartolomeu zapalił światło. Gregorius wstał.

– Niech pan zaczeka – powiedział ojciec Bartolomeu. – Teraz, gdy opowiedziałem panu wszystko, powinien pan przeczytać również to – i wyjął z regału na książki prastarą teczkę, związaną wyblakłymi tasiemkami. – Jest pan filologiem klasycznym, zrozumie pan. To odpis mowy Amadeu wygłoszonej na uroczystości zakończenia szkoły, przygotował ją specjalnie dla mnie. Po łacinie. Wspaniała mowa. Niewiarygodna. Mówi pan, że widział pulpit w auli. Tam ją wygłosił, właśnie tam.

Byliśmy przygotowani na wiele, ale nie na coś takiego. Po pierwszym zdaniu zapadła cisza, wszyscy wstrzymali oddech. I cisza ta coraz bardziej się pogłębiała, nikt nie śmiał odetchnąć. Zdania, które wyszły spod pióra siedemnastoletniego obrazurcy, przemawiającego, jakby przeżył już całe życie, były niczym uderzenia pejcza. Zacząłem się zastanawiać, co się stanie, gdy przebrzmi ostatnie słowo. Bałem się. Bałem się o niego, bo wiedział, co robi, a zarazem nie wiedział. Bałem się o tego poszukiwacza przygód o cienkiej skórze, którego delikatność nie mogła sprostać potędze jego słów. Bałem się także o nas, że nie dorośliśmy do takiej sytuacji. Nauczyciele siedzieli sztywno wyprostowani. Niektórzy zamknęli oczy i wydawali się zajęci stawianiem w duchu muru chroniącego przed huraganowym ogniem obrazurczych oskarżeń, bastionu przeciw bluźnierstwom, jakich nie spodziewano się nigdy usłyszeć w tych ścianach. Czy będą jeszcze umieli z nim rozmawiać? Czy oprą się pokusie, by bronić się lekceważeniem, które na powrót uczyni z Amadeu jedynie dziecko?

Ostatnie zdanie, zobaczy pan, zawierało groźbę, poruszającą, a także zatrważającą, bo za nią wyczuwało się wulkan, który mógł pluć ogniem, a jeśli do tego nie dojdzie, spłonie zapewne we własnym żarze. Amadeu nie wymówił tego zdania głośno i z zaciśniętymi pięściami, lecz cicho, niemal łagodnie, i do dziś nie wiem, czy uczynił tak rozmyślnie, by wzmocnić wrażenie, czy po tym, jak z całkowitym zdecydowaniem wygłaszał w ciszy śmiałe, bezwzględne słowa, nagle stracił odwagę i łagodnością głosu chciał z góry prosić o wybaczenie. Z pewnością tego nie zaplanował, ale być

może takie pragnienie zrodziło się w jego wnętrzu, a Amadeu był niezwykle skupiony na zewnątrz, lecz nie do wewnątrz.

Ostatnie słowo przebrzmiało. Nikt się nie poruszył. Amadeu uprzątnął kartki, powoli, ze spojrzeniem skierowanym na pulpit. W końcu nie miał już czego uprzątać. Nie miał już nic do roboty tam, przed wszystkimi, zupełnie nic. Jednak od takiego pulpitu, po takiej mowie, nie można odejść, nim publiczność się nie ustosunkuje, w jakikolwiek sposób. Byłaby to porażka najgorszego rodzaju – jakby zupełnie nic się nie powiedziało.

Czułem potrzebę, by wstać i zaklaskać. Już choćby ze względu na błyskotliwość tej karkołomnej mowy. Potem jednak uznałem, że bluźnierstwa nie można okłaskiwać, nawet jeśli było wyjątkowo gładkie. Nikt nie może tego zrobić, a najmniej duchowny, człowiek boży. Siedziałem więc. Minęły sekundy. Nie mogło ich minąć dużo więcej, inaczej byłaby to katastrofa, zarówno dla niego, jak i dla nas. Amadeu uniósł głowę i wyprostował plecy. Jego spojrzenie powędrowało do witraża i tam się zatrzymało. Nie zrobił tego celowo, nie była to teatralna sztuczka, jestem pewien. Całkowicie mimowolnie uczynił ten gest, który, jak pan zobaczy, ilustrował mowę. Pokazywał, że to *była* jego mowa.

Być może to by wystarczyło, by przełamać lody, potem jednak zdarzyło się coś, co wszystkim na sali wydało się niczym żartobliwy dowód na istnienie Boga – na dworze zaczął szczekać pies. Początkowo było to krótkie, suche szczeknięcie, które razem z nami przeklinało nasze małosłowne, ponure milczenie, potem zaś przekształciło się w wydłużone wycie i ujadanie, odpowiadające cierpieniu przedstawionemu w mowie.

Jorge O’Kelly wybuchnął głośnym śmiechem, a po upiornej chwili pozostali poszli za jego przykładem. Sądzę, że Amadeu na moment ogarnęła konsternacja, śmiech był ostatnim, na co liczył. Jednak to Jorge zaczął, uznał więc, że wszystko w porządku. Uśmiech, który ukazał się na jego twarzy, był nieco wysiłony, ale utrzymał się, a gdy do wycia i ujadania dołączyły się kolejne psy, Amadeu opuścił mównicę.

Wtedy otrząsnął się z odrętwienia senhor Cortês, rektor. Wstał, podszedł do Amadeu i uściśnął mu dłoń. Czy po uścisku dłoni można poznać, że ktoś odczuwa zadowolenie, bo to uścisk ostatni? Senhor Cortês skierował do Amadeu kilka słów, które wtopiły się w zbiorowe wycie psów. Amadeu

odpowiedział, a gdy mówił, na powrót odnalazł pewność siebie, widać to było po ruchu, jakim wsunął skandaliczny manuskrypt do kieszeni surduta; nie chował go zawstydzony, tylko raczej składał cenną rzecz w bezpieczne miejsce. W końcu Amadeu skłonił głowę, spojrzął rektorowi prosto w oczy i obrócił się w stronę drzwi, gdzie czekał na niego Jorge. O’Kelly położył mu dłoń na ramieniu i wypchnął z sali.

Później widziałem ich obu w parku. Jorge przemawiał i gestykulował, Amadeu słuchał. Przypominało mi to trenera, który omawia z podopiecznym przebieg walki. Potem podeszła do nich Maria João. Jorge chwycił przyjaciela obiema rękoma za ramiona i ze śmiechem popchnął go w kierunku dziewczyny.

Wśród nauczycieli niewiele później rozmawiano o tej mowie. Nie powiedziałbym, że ją przemilczano. Było raczej tak, jakbyśmy nie znajdowali słów lub odpowiedniego tonu, by podzielić się wrażeniami. Być może niektórzy byli też zadowoleni, że tego dnia panował nieznośny upał. Nie musieliśmy mówić: „Niemożliwe!” lub: „Może coś w tym jednak jest”. Zamiast tego mogliśmy powtarzać: „Ależ nieznośny upał!”.

19 Jak to możliwe, myślał Gregorius, że jadę w stuletnim tramwaju przez wieczorną Lizbonę i mam przy tym wrażenie, jakbym teraz, z trzydziestoosmioletnim opóźnieniem, wyruszał do Isfahanu? Wracając od ojca Bartolomeu, odebrał wreszcie z księgarni dramaty Ajschylosa i wiersze Horacego. W drodze do hotelu coś zaczęło mu przeszkadzać, szedł coraz wolniejszym i coraz bardziej niepewnym krokiem. Przez kilka minut stał w oparach unoszących się z budki z kurczakami, na przekór odpychającemu zapachowi spalonego tłuszczu. Wydawało mu się niesłychanie ważne, by właśnie teraz przystanąć i dowiedzieć się, cóż to przebija się na powierzchnię. Czy kiedykolwiek wcześniej próbował w takim skupieniu zgłębić samego siebie?

Był skupiony na zewnątrz, lecz nie do wewnątrz. Gdy ojciec Bartolomeu powiedział te słowa o Prado, brzmiały one jak coś oczywistego. Jakby

każdy dorosły z pewnością wiedział, że istnieje skupienie na zewnątrz i do wewnątrz. *Português*. Gregorius ponownie ujrzał stojącą na moście Portugalkę, jak wyciągniętymi ramionami opiera się o barierkę, a jej pięty wysuwają się z pantofli. *Estefânia Espinhosa*. *Imię jak wiersz* – powiedział Prado. – *Przez granicę. W góry. Niech mnie ojciec nie pyta dokąd*. I nagle, choć nie rozumiał, skąd wzięła się w nim ta myśl, Gregorius uświadomił sobie, co takiego czuł – nie chciał przeczytać mowy Prado w hotelowym pokoju, lecz w opuszczonym liceum, tam, gdzie została wygłoszona. Tam, gdzie owinięta w jego sweter leżała w szufladzie hebrajska Biblia. Tam, gdzie szczury i nietoperze.

Dlaczego to może dziwaczne, ale przecież nieszkodliwe pragnienie wywołało w nim poczucie, że rozstrzyga się właśnie coś ważniejszego? Jakby fakt, że zamiast udać się w dalszą drogę do hotelu, Gregorius zawróci do tramwaju, miał przynieść dalekosiężne konsekwencje? Wszedł do sklepu z artykułami metalowymi tuż przed zamknięciem i kupił najmocniejszą latarkę, jaką znalazł. I oto siedział na powrót w jednym ze starych turkoczących tramwajów i jechał w kierunku przystanku metra, które kursowało do liceum.

Budynek szkoły tonął w ciemności parku i wyglądał na bardziej opuszczony niż jakakolwiek inna budowla. Ruszając w drogę, Gregorius miał przed oczami snop światła słonecznego, który w południe wędrował po gabinecie senhora Cortesa. Teraz ujrzał przed sobą budynek stojący cicho niczym zatopiony statek na dnie morza, ukryty przed ludźmi i nietykalny dla czasu.

Usiadł na kamieniu i pomyślał o uczniu, który dawno temu włamał się nocą do berneńskiego gimnazjum i, aby się zemścić, wykonał z biura rektora telefony do całego świata, co kosztowało tysiące franków. Uczeń nazywał się Hans Gmür i nosił to nazwisko jak garotę. Gregorius zapłacił rachunek, nakłonił też Kägiego, by nie składał doniesienia na policji. Spotkał się z Gmürem w mieście i próbował się dowiedzieć, za co ten chciał się mścić. Bezskutecznie. „Po prostu dla zemsty”, powtarzał chłopak. Jadł placek z jabłkami i sprawiał wrażenie wyczerpanego i zżeranego nienawiścią tak starą, jak on sam. Gdy się rozstawali, Gregorius długo za

nim spoglądał. Później powiedział Florence, że w jakiś sposób go podziwiała czy też mu zazdrości.

„Wyobraź sobie, siedzi w ciemnościach przy biurku Kägiego i dzwoni do Sydney, do Belem, do Santiago, nawet do Pekinu. Do kolejnych ambasad, gdzie mówią po niemiecku. Nie ma nic do powiedzenia, ani słówka. Chce po prostu słuchać szumu połączenia i czuć, jak mijają grzesznie drogie sekundy. Czy to nie jest w jakiś sposób wspaniałe?”.

„I właśnie ty to mówisz? Człowiek, który najchętniej opłacałby swoje rachunki, jeszcze zanim zostały wystawione? Żeby nie być nic nikomu dłużnym?”.

„Właśnie – odparł. – Właśnie ja”.

Florence poprawiła przesadnie modne okulary jak zawsze, gdy mówił coś podobnego.

Teraz Gregorius zapalił latarkę i podążył za strumieniem światła do wejścia. W ciemności pisk drzwi rozległ się znacznie głośniejszy niż za dnia i sprawiał wrażenie czegoś zakazanego. W budynku rozszedł się szmer przerażonych nietoperzy. Gregorius czekał, aż przebrzmi, a potem otworzył drzwi na parterze. Światłem latarki omiatał kamienną posadzkę korytarzy, by nie nadepnąć na martwego szczura. W wychłodzonych murach było lodowato, najpierw więc zajrzał do pokoju rektora, by zabrać sweter.

Spojrzał na hebrajską Biblię. Należała do ojca Bartolomeu. W 1970 roku, gdy zamykano liceum, ponieważ było kuźnią czerwonych kadr, on i następca senhora Cortêsa stali w pustym biurze rektora przepięknie wściekłością i poczuciem bezradności. „Mieliśmy potrzebę, by coś zrobić, coś symbolicznego”, opowiadał ojciec Bartolomeu. Włożył Biblię do szuflady biurka. Rektor spojrzał na niego i uśmiechnął się. „Idealnie. Nasz Pan im jeszcze pokaże”, powiedział.

Gregorius usiadł w auli w ławce dla kierownictwa szkoły, skąd senhor Cortês z kamienną miną słuchał mowy Prado. Wyciągnął z torby teczkę ojca Bartolomeu, rozwiązał tasiemki i wyjął stos kartek, które Amadeu po swoim przemówieniu porządkował na pulpicie otulony w zakłopotane, oburzone milczenie. Były to te same litery, starannie wykaligrafowane głęboko czarnym atramentem, litery, które widział już na kartach listu

wysłanego przez Prado do M elodie z Oxfordu. Gregorius skierowa  promie  latarki na z lto po yskuj cy papier i zaczą  czyta .

SZACUNEK I WSTR T WOBEC S OWA BOŻEGO

Nie chc  ży  w  wiecie bez katedr. Potrzebuj  ich pi kna i wznios oci. Potrzebuj  ich przeciw zwyczajno ci  wiata. Chc  spogl da  na  sni ce witraże i da  si  o lepia  niezieskim barwom. Potrzebuj  ich blasku. Potrzebuj  go przeciw brudnej, jednolitej barwie uniform w. Chc  si  da  otuli  cierpkemu ch lodowi ko cio w. Potrzebuj  ich nakazuj cego milczenia. Potrzebuj  go przeciw bezdusznemu rykowi koszar i zmy lnej paplaninie konformist w. Chc  s ysze  upajaj cy d wi k organ w, ten zalew niezieskich ton w. Potrzebuj  ich przeciw k uj cej  mieszno ci muzyki marszowej. Kocham modl cych si  ludzi. Potrzebuj  ich widoku. Potrzebuj  go przeciw zdradzieckiej truci nie powierzchowno ci i bezmy lno ci. Chc  czyta  pot żne s owa Biblii. Potrzebuj  nierzeczywistej si y ich poezji. Potrzebuj  ich przeciw spustoszeniu j zyka i dyktaturze has .  wiat bez tych rzeczy by by  wiatem, w kt rym nie chcia bym ży .

Istnieje jednak także inny  wiat, w kt rym nie chc  ży  –  wiat, w kt rym demonizuje si  cia o i samodzielne my lenie, a jako grzechy pi tnuje si  najlepsze rzeczy, jakie możemy przeży .  wiat, w kt rym wymaga si  od nas mi o ci do tyran w, zdieci w i skrytob jc w, gdy ich brutalne kroki rozbrzmiewaj  na ulicach z og uszaj cym echem albo gdy z koci  bezg o no ci , jak tch rqliwe cienie, przekradaj  si  zau kami i swym ofiarom od ty u wbijaj  w serce  sni c  stal. Do najbardziej absurdalnych rzeczy, jakich ż daj  z ambony, należy wybaczenie takim kreaturom, a wr cz ich kochanie. Nawet je li kt s naprawd  by by do tego zdolny, oznacza oby to niespotykane zak łamanie i brutalne zaprzeczenie samemu

sobie, za które trzeba by zapłacić nieodwracalnym okaleczeniem. Owo przykazanie, niedorzeczne, zwyrodniałe przykazanie miłości wrogów jest stworzone w celu łamania ludzi, odebrania im wszelkiej odwagi i ufności w siebie i czynienia ich uległymi w rękach tyranów, aby nie znaleźli sił do powstania przeciwko nim, a jeśli trzeba do chwycenia za broń.

Szanuję Słowo Boże, bo kocham jego poetycką siłę. Brzydzę się Słowem Bożym, bo nienawidzę jego okrucieństwa. Miłość ta to trudna miłość, ponieważ musi nieustannie rozróżniać między siłą światłości owych słów i siłą ujarzmania przez zadowolonego z siebie Boga. Nienawiść ta to trudna nienawiść, bo jakże można nienawidzić słów, które tworzą melodię życia w naszym zakątku ziemi? Słowa, które od dzieciństwa uczyły nas, czym jest szacunek? Słowa, które były dla nas niczym światło latarni morskiej, gdy zaczęliśmy czuć, że widzialne życie nie może być całym życiem? Słowa, bez których nie bylibyśmy tym, czym jesteśmy?

Lecz nie zapominajmy – są to słowa, które wymagają od Abrahama, by zabił własnego syna jak zwierzę. Cóż robimy z naszą wściekłością, gdy o tym czytamy? Co sądzić o takim Bogu? Bogu, który zarzuca Hiobowi, że się z nim sprzecza, choć nic nie potrafi i niczego nie rozumie? A któż go takim stworzył? I dlaczego jest mniej niesprawiedliwe, gdy Bóg bez powodu sprowadza na kogoś nieszczęście, niż gdy czyni to zwykły śmiertelnik? Czy Hiob nie ma wszelkich powodów się skarżyć?

Poezja Słowa Bożego jest tak potężna, że wszystko przy niej milknie, a każdy sprzeciw staje się żalonym ujadaniem. Dlatego nie można po prostu odłożyć Biblii, trzeba ją odrzucić, gdy ma się dość jej wymagań i niewolnictwa, które na nas nakłada. Przemawia z niej odległy, ponury Bóg, który potężny obszar ludzkiego życia – wielki krąg, jaki zatacza, gdy zostawi mu się wolność – chce zawęzić do jednego, niezmiennego punktu posłuszeństwa. Przytłoczeni zgryzotami i obciążeni grzechem, wyjałowieni

poddaństwem i brakiem godności w akcie spowiedzi, z popielnym krzyżem na czole mamy iść do grobu, w tysiącokrotnie rozwiewanej nadziei na lepsze życie u Jego boku. Lecz jak może być lepiej u boku Kogoś, kto odarł nas wcześniej ze wszystkich radości i wolności?

A jednak owe słowa, które pochodzą od Niego i ku Niemu zdążają, są oszałamiającej piękności. Jakże kochałem je jako ministrant! Jak mnie upajały w blasku świec na ołtarzu! Jak jasne, jak słonecznie jasne było dla mnie, że słowa te stanowią miarę wszystkich rzeczy! Jak niezrozumiałe wydawało mi się, że dla ludzi ważne są także inne słowa, skoro każde z nich mogło oznaczać jedynie niedopuszczalne rozmycie i zatracenie istoty! Jeszcze dziś, gdy słyszę gregoriańskie śpiewy, przystaję i przez ulotną chwilę smucę się, że wcześniejsze upojenie bezpowrotnie ustąpiło buntowi. Buntowi, który zapłonął we mnie niczym słup ognia, kiedy po raz pierwszy usłyszałem te słowa: sacrificium intellectūs.

Jak mamy być szczęśliwi bez ciekawości, bez pytań, wątpliwości i sporów? Bez radości myślenia? Te dwa słowa są jak cios mieczem, który pozbawia nas głowy, oznaczają nie mniej niż wezwanie, by nasze czucie i działanie skierować przeciw myśleniu, są nakazem głębokiego rozdarcia, rozkazem, by poświęcić właśnie to, co jest istotą wszelkiego szczęścia – wewnętrzną jedność i harmonię naszego życia. Niewolnik na galerze jest skuty łańcuchem, ale może myśleć, co chce. On jednak, Bóg, żąda od nas, abyśmy własnymi rękoma sprowadzili nasze zniewolenie w najgłębsze głębie i uczynili to dobrowolnie i z radością. Czy może istnieć większe szyderstwo?

Wszeghobecny Pan jest tym, który obserwuje nas dzień i noc, w każdej godzinie, minucie i sekundzie prowadzi księgę naszych czynów i myśli, nigdy nie zostawia nas w spokoju, nie daje nam ani chwili na bycie tylko dla siebie. Czym jest człowiek bez tajemnic? Bez myśli i pragnień, które zna

tylko on, on sam? Oprawcy inkwizycji i ci dzisiejsi wiedzą: uniemożliw mu ucieczkę do wewnątrz, nie gaś nigdy światła, nie zostawiaj go nigdy samego, odbierz mu sen i spokój, a będzie mówił. Kiedy tortura kradnie nam duszę, oznacza to, że niszczy samotność z samym sobą, której potrzebujemy jak powietrza do oddychania. Czy Pan, nasz Bóg, nie pomyślał, że swą niepohamowaną ciekawością i odpychającym podglądactwem kradnie nam duszę, duszę, która w dodatku ma być nieśmiertelna?

Któż naprawdę chce być nieśmiertelny? Któż chciałby żyć wiecznie? Jakże nudna i jałowa musiałaby być świadomość, że nie ma znaczenia, co zdarzy się dzisiaj, w tym miesiącu, w tym roku – będzie jeszcze nieskończenie wiele dni, miesięcy i lat. Dosłownie nieskończenie wiele. Czy w takiej sytuacji cokolwiek jeszcze byłoby ważne? Nie musielibyśmy już liczyć się z czasem, nie moglibyśmy niczego zaprzepaścić, nie musielibyśmy się spieszyć. Byłoby obojętne, czy zrobimy coś dziś, czy jutro, całkowicie obojętne. Tysiąckrotne zaniedbania wobec wieczności stawałyby się niczym i nie miałyby sensu niczego żałować, bo zawsze zostawałby czas, by to nadrobić. Nie moglibyśmy nawet żyć chwilą, gdyż owo szczęście czerpiemy ze świadomości upływającego czasu, próżniactwo to przygoda w obliczu śmierci, wyprawa krzyżowa przeciw dyktatowi pośpiechu. Jeśli wszędzie i zawsze byłby czas na wszystko – gdzie zostałyby jeszcze miejsce na radość marnotrawienia czasu?

Uczucie nie jest tym samym, gdy pojawia się po raz drugi. Traci barwę przez gwarancję jego powrotu. Czujemy zmęczenie i przesytność naszymi doznaniem, jeśli zdarzają się za często i trwają za długo. W nieśmiertelnej duszy musiałby powstać gigantyczny przesytność i palące zwątpienie wobec pewności, że to nigdy się nie skończy, nigdy. Uczucia chcą się rozwijać, a my z nimi. Są, czym są, ponieważ odrzucają to, czym były kiedyś,

i ponieważ płyną w przyszłość, gdzie od nowa oddalają się od siebie. Gdyby ten strumień płynął w nieskończoność, musiałyby w nas po tysiącokroć powstawać doznania, których, przyzwyczajeni do ich przewidywalnego trwania, nawet nie potrafilibyśmy sobie wyobrazić. Nie wiemy więc naprawdę, co jest nam obiecane, gdy słyszymy o życiu wiecznym. Jak to jest istnieć w wieczności bez pociechy, że z czasem zostaniemy uwolnieni od potrzeby bycia sobą? Nie wiemy tego i błogosławieństwem jest, że nigdy się nie dowiemy. Lecz wiemy jedno – taki raj nieśmiertelności byłby piekłem.

Śmierć, to ona nadaje chwili piękno i grozę. Tylko przez śmierć czas jest żywym czasem. Dlaczego nie wie tego PAN, wszechwiedzący Bóg? Dlaczego grozi nam bezkresem, który musiałby oznaczać nieznośną pustkę?

Nie chcę żyć w świecie bez katedr. Potrzebuję blasku ich witraży, ich chłodnej ciszy, ich władczego milczenia. Potrzebuję dźwięku organów i świętego zamyślenia modlących się ludzi. Potrzebuję świętości słów, wzniosłości wielkiej poezji. Potrzebuję tego wszystkiego. Ale nie mniej potrzebuję wolności i wrogości wobec wszelkiego okrucieństwa. Ponieważ jedno jest niczym bez drugiego. I nikt nie może mnie zmusić, bym wybierał.

Gregorius przeczytał tekst trzykrotnie, a jego zdumienie narastało. Łacińska moc słowa i stylistyczna elegancja, która nie ustępowała Cynceronowej. Bogactwo myśli i prawdziwość uczuć przypominające Augustyna. Siedemnastolatek. Pomyślał, że gdyby Prado z podobną wirtuozerią grał na instrumencie, nazwano by go cudownym dzieckiem.

Jeśli chodzi o końcowe zdanie, ojciec Bartolomeu miał rację – groźba była poruszająca, bo w kogóż miała trafić? Ów chłopak zawsze wybrałby wrogość wobec zła. Gdyby musiał, poświęciłby w tym celu katedry. By sprzeciwić się zwyczajności świata, bezbożny kapłan zbudowałby sobie własne kościoły, choćby miały to być tylko katedry złotych słów. Jego wrogość wobec okrucieństwa stałaby się tym bardziej zaciekle.

A może nie była to wcale pusta groźba? Czy Amadeu, stojąc przy mównicy, nieświadomie przeczuwał, co zrobi trzydzieści pięć lat później – sprzeciwi się planom ruchu oporu, także planom Jorge, i uratuje Estefanię Espinhosę?

Gregorius żałował, że nie słyszy jego głosu i nie może poczuć palącej lawy, po której płynęły jego słowa. Wyjął książkę i skierował światło latarki na portret. Prado był ministrantem, swą pierwszą dziecięcą namiętność skierował ku świecom na ołtarzu i biblijnym słowom, które w jasnym blasku wydawały się nietykalne. Ale potem wkradły się między nie słowa z innych ksiąg i rozrosły się w jego duszy, aż stał się kimś, kto waży wszystkie obce słowa, a własne wykuwa niczym złoto.

Gregorius zapiął płaszcz, wsunął zimne dłonie w rękawy i położył się na ławce. Był wyczerpany. Wyczerpany wysiłkiem słuchania i rozgorączkowany pragnieniem zrozumienia. Wyczerpało go również skupienie do wewnątrz, które łączyło się z gorączką i czasami sprawiało wrażenie, że nie jest niczym innym jak tylko gorączką. Po raz pierwszy Gregorius zatęsknił za łóżkiem w berneńskim mieszkaniu, gdzie czytając, czekał na chwilę, gdy wreszcie będzie mógł zasnąć. Myślał o moście w Kirchenfeld, zanim pojawiła się na nim i nieodwracalnie zmieniła go Portugalka. Myślał o podręcznikach do łaciny pozostawionych w klasie. Minęło już dziesięć dni. Kto zamiast niego wprowadzał *ablativus absolutus*? Wyjaśniał budowę *Iliady*? Na zajęciach z hebrajskiego omawiali ostatnio dobór słów u Lutra, który postanowił, że Bóg będzie *zazdrosnym* Bogiem. Gregorius objaśnił uczniom olbrzymi dystans między hebrajskim a niemieckim tekstem, dystans zapierający dech. Kto będzie teraz kontynuować owe rozważania?

Marzył. Ostatnie metro odjechało dawno temu. W pobliżu nie było telefonu ani taksówek, dotarcie na piechotę do hotelu zajęłoby kilka godzin. Przed drzwiami auli rozlegał się cichy hałas nietoperzy. Od czasu do czasu piszczały szczury. Poza tym martwa cisza.

Chciało mu się pić i ucieszył się, że znalazł w kieszeni płaszcza dropsa. Gdy wsunął go do ust, ujrzał przed sobą dłoń Natalie Rubin podsuwającą mu jaskrawoczerwony cukierek. Przez ułamek sekundy wyglądało to tak,

jakby sama chciała włożyć go w usta Gregoriusa. A może tylko to sobie wyobraził?

Przeciągnęła się i roześmiała, gdy spytał, jak ma odnaleźć Marię João, skoro najwyraźniej nikt nie zna jej nazwiska. Od wielu dni on i Natalie stali przy budce z kurczakami w pobliżu Cemitério dos Prazeres, ponieważ to tam Mélodie po raz ostatni widziała Marię. Nastąpiła zima i zaczął padać śnieg. Pociąg do Genewy ruszył z dworca w Bernie. Surowy konduktor spytał, dlaczego Gregorius wsiadł, w dodatku do pierwszej klasy. Przemarznięty Gregorius szukał we wszystkich kieszeniach biletu. Gdy się obudził i rozprostował zesztywniałe członki, na dworze zaczynało świtać.

20 W porannym metrze przez jakiś czas był jedynym podróżnym i wydawało mu się, że jazda pociągiem jest kolejnym epizodem w cichym, wyobrażonym świecie liceum, z którym zaczął się już oswajać. Potem wsiedli Portugalczycy, pracujący Portugalczycy niemający nic wspólnego z Amadeu de Prado. Gregorius był wdzięczny za ich trzeźwe, ponure twarze, pokrewne twarzom ludzi, którzy na Länggasse wsiadali wczesnym rankiem do autobusu. Czy mógłby tutaj żyć? Żyć i pracować, zostać kimkolwiek zechce?

Portier w hotelu spojrział na niego z troską. Czy dobrze się czuje? Czy nic mu się nie stało? Potem podał mu kopertę z grubego papieru zapieczętowaną czerwonym lakiem. Wczoraj po południu została przyniesiona przez starszą kobietę, która czekała na niego do późna w nocy.

Adriana, pomyślał Gregorius. Ze wszystkich ludzi, których tu znał, tylko ona opatrzyłaby list pieczęcią. Jednak opis portiera do niej nie pasował. Nie przyszłaby też sama, nie taka kobieta jak ona. Musiała to być gospodyni, do której zadań należało utrzymywanie kurzu z dala od pokoju Amadeu, aby nic nie przypominało o upływie czasu. Gregorius raz jeszcze zapewnił, że wszystko w porządku, i wszedł na górę.

Queria vê-lo! Chcę pana zobaczyć. *Adriana Soledade de Almeida Prado.* Tylko tyle napisano na drogim papierze listowym tym samym czarnym atramentem, który Gregorius widział w pismach Amadeu, literami sprawiającymi wrażenie jednocześnie niezgrabnych i dumnych. Jakby osoba pisząca musiała z trudem przypominać sobie każdą literę, by postawić ją z zardzewiałą godnością. Czy zapomniała, że Gregorius nie zna portugalskiego i że rozmawiali ze sobą po francusku?

Przez chwilę Gregorius poczuł strach wobec tych lakonicznych słów, które brzmiały jak rozkaz posyłający go do niebieskiego domu. Później jednak ujrzał bladą twarz i czarne oczy o gorzkim spojrzeniu, ujrzał kobietę przechodzącą jak nad przepaścią przez pokój brata, którego śmierć nie miała prawa się zdarzyć, i oto słowa w liście nie brzmiały już nakazująco, lecz przypominały wołanie o pomoc wydobywające się z zachrypłego gardła obwiązanego tajemniczą czarną aksamitką.

Spojrzał na czarnego lwa, najwyraźniej zwierzę heraldyczne rodziny Prado, wytłoczone na górze, dokładnie pośrodku strony. Lew pasował do surowości ojca i jego mrocznej śmierci, pasował do czarnej postaci Adriany, a także do nieubłaganej śmiałości Amadeu. Za to z Mélo die, niestałą dziewczyną o lekkim kroku, zrodzoną w wyniku niezwykle lekkomyślności nad brzegiem Amazonki, nie miał nic wspólnego. A z matką, Marią Piedade Reis? Dlaczego nikt nie mówił o niej?

Gregorius wziął prysznic i spał do południa. Cieszył się, że najpierw pomyślał o sobie i kazał Adrianie czekać. Czy w Bernie też to potrafił?

Później, w drodze do niebieskiego domu wstąpił do antykwariatu Julia Simõesa i spytał, gdzie może dostać gramatykę perską oraz która szkoła językowa jest najlepsza, gdyby postanowił nauczyć się portugalskiego.

Simões roześmiał się. – Wszystko naraz, portugalski i perski?

Gniew Gregoriusa trwał tylko chwilę. Mężczyzna nie mógł wiedzieć, że na tym etapie jego życia nie istniała różnica między portugalskim i perskim, że w pewnym sensie były one jednym i tym samym językiem. Simões spytał jeszcze, jak daleko Gregorius zaszedł w poszukiwaniach Prado i czy Coutinho potrafił mu pomóc. Godzinę później, gdy dochodziła czwarta, Gregorius zadzwonił do niebieskiego domu.

Kobieta, która otworzyła, mogła mieć ponad pięćdziesiąt lat.

– *Sou Clotilde, a criada* – powiedziała. Jestem służącą.

Dłonią naznaczoną nieustanną pracą przeczesła posiwiałe włosy i sprawdziła, czy kok dobrze się trzyma.

– *A senhora está no salão* – oznajmiła i ruszyła przodem.

Podobnie jak przy pierwszej wizycie Gregorius poczuł się oszołomiony wielkością i elegancją salonu. Jego spojrzenie padło na stojący zegar. Wciąż wskazywał szóstą dwadzieścia trzy. Adriana siedziała w rogu przy stole. W powietrzu ponownie zawisł cierpki zapach leków i perfum.

– Późno pan przychodzi – powiedziała.

Ton listu przygotował Gregoriusa na brak powitania i surowe słowa. Gdy usiadł przy stole, z zażenowaniem uświadomił sobie, jak łatwo pogodził się z ostrym sposobem bycia starej kobiety. Jak łatwo przychodziło mu traktować całe jej zachowanie jako wyraz bólu i samotności.

– Teraz jestem – powiedział.

– Tak – odparła. A po dłuższej chwili dodała ponownie: – Tak.

Do stołu bezgłośnie podeszła służąca, niezauważona przez Gregoriusa.

– *Clotilde* – powiedziała Adriana – *liga o aparelho*, nastaw aparat.

Dopiero teraz Gregorius dostrzegł skrzynkę. Był to prastary magnetofon, potwór ze szpulami dużymi jak talerze. Clotilde przeciągnęła taśmę przez szparę przy pokrętle i umocowała ją na pustej szpuli. Wcisnęła guzik i szpule zaczęły się obracać. Potem wyszła.

Przez chwilę słyhać było tylko trzaski i szumy. Potem kobiecy głos powiedział:

– *Porque não dizem nada?* Dlaczego nic nie mówicie?

Wiecej Gregorius nie zrozumiał, ponieważ to, co dobiegło z aparatu, było dla jego uszu chaotyczną plątaniną głosów, zagłuszana szumem i głośnym trzaskiem, który musiał wynikać z nieumiejętnej obsługi mikrofonu.

– *Amadeu* – powiedziała Adriana, kiedy dało się słyszeć pojedynczy męski głos. Jej zwykła chryпка wzmożła się, gdy wymówiła jego imię. Uniosła dłoń do gardła i objęła czarną aksamitkę, jakby chciała jeszcze mocniej przycisnąć ją do skóry.

Gregorius przysunął ucho do głośnika. Głos okazał się inny, niż sobie wyobrażał. Ojciec Bartolomeu mówił o łagodnym barytonie. Wysokość się zgadzała, ale brzmienie było surowe, sprawiało wrażenie, że mężczyzna ten może przemawiać z nieubłaganą zaciętością. Czy także dlatego, że jedyne słowa, jakie zrozumiał Gregorius, brzmiały „*não quero*”, nie chcę?

– Fátima – oznajmiła Adriana, gdy z zamętu wyłonił się kolejny głos. Lekceważący sposób, w jaki wypowiedziała to imię, mówił wszystko. Fátima przeszkadzała. Nie tylko w tej rozmowie. W każdej rozmowie. Nie była warta Amadeu. Bezprawnie przywłaszczyła sobie drogiego brata. Byłoby lepiej, gdyby nigdy nie wkroczyła w jego życie.

Fátima miała łagodny, ciepły głos, którym wyraźnie nie było jej łatwo się przebić. Czy jednocześnie łagodność ta niosła ze sobą wymóg, by słuchać ze szczególną uwagą i skupieniem? A może to tylko szum powodował takie wrażenie? Nikt nie przerywał wypowiedzi Fatimy, a gdy skończyła, jej słowa przebrzmiały w ciszy.

– Wszyscy zawsze są wobec niej tacy uważni, tacy cholernie uważni – powiedziała Adriana, jeszcze kiedy Fátima przemawiała. – Jakby jej seplenienie było straszną przypadłością, która wszystko usprawiedliwia, każdy religijny kicz, po prostu wszystko.

Gregorius nie słyszał seplenienia, rozmyło się w zakłóceniach.

Kolejny głos należał do Mélodie. Mówiła w niesłychanym tempie, wydawała się celowo dmuchać w mikrofon, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem. Adriana odwróciła się ze wstrętem i wyjrzała przez okno. Gdy usłyszała własny głos, szybko wyciągnęła rękę i wyłączyła magnetofon.

Przez kilka minut spojrzenie Adriany spoczywało na maszynie, która z przeszłości czyniła teraźniejszość. Było to takie samo spojrzenie jak w niedzielę, gdy spoglądała na książki Amadeu i przemawiała do martwego brata. Słyszała nagranie setki, może tysiące razy. Znała każde słowo, każdy trzask, każdy szum. Wszystko było tak, jakby nadal siedziała z pozostałymi osobami w domu rodzinnym, gdzie mieszkała teraz Mélodie. Dlaczego zatem miałyby mówić o tym inaczej niż w formie teraźniejszej albo w formie przeszłej odnoszącej się do wydarzeń z wczoraj?

– Nie wierzyliśmy własnym oczom, gdy *Mamã* przyniosła tę rzecz do domu. Nie zna się na maszynach, zupełnie nie. Boi się ich. Zawsze myśli,

że wszystko popsuje. A potem przynosi do domu magnetofon, jeden z pierwszych, jakie można kupić.

„Nie, nie – powiedział Amadeu, gdy potem o tym rozmawialiśmy – nie chodzi o to, że chce uwiecznić nasze głosy. Chodzi o coś zupełnie innego. O to, żebyśmy znowu zwracali na nią uwagę”.

Ma rację. Teraz, gdy *Papá* nie żyje, a nasz gabinet jest tutaj, życie musi się jej wydawać puste. Rita się włóczy i rzadko ją odwiedza. Co prawda Fátima jeździ do niej co tydzień, ale to mało pomaga.

„Wolałaby zobaczyć ciebie”, mówi do Amadeu, gdy wraca.

Amadeu nie chce już jej odwiedzać. Nie mówi tego, ale ja wiem. Jest tchórzem, jeśli chodzi o Mamę. To jedyny rodzaj tchórzostwa, jaki w nim tkwi. W nim, który nie cofa się przed żadną nieprzyjemnością, żadną.

Adriana chwyciła się za gardło. Przez chwilę wydawało się, że zacznie mówić o tajemnicy, którą skrywa aksamitka, i Gregorius wstrzymał oddech. Jednak chwila minęła, a spojrzenie Adriany wróciło do rzeczywistości.

Gregorius spytał, czy może jeszcze raz wysłuchać słów Amadeu.

– *Não me admira nada*, to mnie nie dziwi – zaczęła cytować Adriana, a potem powtórzyła z pamięci każde słowo Amadeu. Było to więcej niż cytowanie i więcej niż naśladownictwo, jakie udaje się dobremu aktorowi w chwili natchnienia. Bliskość była znacznie większa. Była idealna. Adriana *była* Amadeu.

Gregorius ponownie usłyszał *não quero* i rozróżnił nową kwestię: *ouvir a minha voz de fora*, usłyszeć mój głos z zewnątrz.

Gdy skończyła, Adriana zaczęła tłumaczyć. Fakt, że to wszystko jest możliwe, nie, to go nie dziwi, powiedział Prado. Zasadę techniczną zna z medycyny. *Ale nie lubię tego, co dzieje się ze słowami*. Nie chce słyszeć swego głosu z zewnątrz, nie chce się na to narażać, uważa się za już wystarczająco niesympatycznego. W dodatku chodzi o zatrzymanie mówionego słowa – a zwykle mówi się z wyzwajającą świadomością, że większość słów będzie zapomniana. To okropne, wiedzieć, że wszystko zostaje utrwalone, każde nieprzemyślane zdanie, każdy objaw braku smaku. Przypomina mu to Bożą niedyskrecję.

– Tu tylko mamrocze – powiedziała Adriana. – *Mamã* nie lubi takich wypowiedzi, a Fátima czuje się wobec nich bezradna.

Maszyna ta niszczy wolność zapominania, mówił dalej Prado. *Ale nie robię ci wyrzutów, Mamo, to jest całkiem zabawne. Nie możesz brać tak poważnie wszystkiego, co mówi twój uważający się za wyjątkowo bystrego syn.*

– Dlaczego, do diabła, zawsze ją pocieszasz i wszystko wycofujesz? – wybuchnęła Adriana. – Skoro na ten swój łagodny sposób tak cię dręczyła! Dlaczego nie potrafisz po prostu obstawać przy tym, co myślisz? Kiedy indziej zawsze to robisz! *Zawsze!*

Gregorius spytał, czy mógłby jeszcze raz wysłuchać nagrania, ze względu na głos. Prośba ją poruszyła. Gdy przewijała z powrotem taśmę, miała twarz małej dziewczynki, zdumionej i szczęśliwej, że dorośli także uważają za ważne to, co jest ważne dla niej.

Gregorius ponownie wysłuchał słów Prado. Położył książkę z portretem na stole i wsłuchiwał głos w twarz, aż w końcu stał się on częścią twarzy. Potem spojrzał na Adrianę i przeraził się. Musiała go nieprzerwanie obserwować, a wtedy jej twarz otworzyła się, ustąpiła z niej wszelka surowość i zgorzknienie, pozostała jedynie otwartość, z jaką witała Gregoriusa w swoim świecie miłości i uwielbienia dla Amadeu. *Niech pan będzie ostrożny. Chodzi mi o Adrianę*, wspomniiał słowa Mariany Ecy.

– Proszę za mną – powiedziała Adriana. – Chcę panu pokazać, gdzie pracujemy.

Gdy go prowadziła, jej krok był pewniejszy i szybszy niż wcześniej. Szła do swojego brata w gabinecie, była potrzebna, spieszyła się, *кто чује бóл albo się бои, nie może czekać*, zwykł mawiać Amadeu. Zdecydowanym ruchem wsunęła klucz do zamka, otworzyła wszystkie drzwi i wpuściła światło.

Przed trzydziestu jeden laty Prado przyjął tu swego ostatniego pacjenta. Na leżance rozłożony był świeży papierowy ręcznik. Na stoliku z przyrządami leżała strzykawka, jedna z tych, które już dawno wyszły z użycia. Na środku biurka otwarta kartoteka pacjenta, jedna z kart ułożona

krzywo. Obok stetoskop. W koszu na śmieci wacik z zakrzepłą krwią. Na drzwiach zawieszono dwa białe kitle. Ani pyłka kurzu.

Adriana zdjęła z wieszaka biały fartuch i włożyła go. – Jego wisi zawsze po lewej, Amadeu jest leworęczny – powiedziała, zapinając guziki.

Gregorius zaczął bać się chwili, gdy Adriana nie będzie wiedziała, co dalej zrobić w minionej teraźniejszości, w której poruszała się jak lunatyczka. Ale jeszcze do tego nie doszło. Z odprężoną twarzą, promieniując zapalem do pracy, otworzyła szafkę z lekami i sprawdziła zawartość.

– Morfina już się kończy – wymamrotała. – Muszę zadzwonić do Jorge.

Zamknęła szafkę, wygładziła papierowy ręcznik na kozetce, czubkiem stopy wyrównała wagę, sprawdziła, czy umywalka jest czysta, a potem stanęła przed biurkiem. Nie dotykając przekrzywionej karty, a nawet na nią nie patrząc, zaczęła mówić o pacjentce.

– Dlaczego poszła do tej partaczki, do tej fabrykantki aniołków? No tak, nie ma pojęcia, jak strasznie poszło to u mnie. Ale każdy wie, że Amadeu potrafi zadbać o takie sprawy. Że gwizdże na prawo, jeśli los wymaga tego od kobiety. Etelvina i jeszcze jedno dziecko, to przecież niemożliwe. Amadeu mówi, że w przyszłym tygodniu musimy zdecydować, czy potrzebna będzie opieka szpitalna.

Jego siostra, ta starsza, usunęła ciężę i niemal przy tym umarła, usłyszał Gregorius słowa João Ecy. Ogarnął go niepokój. Tu, na dole, Adriana tonęła w przeszłości znacznie głębiej niż na górze, w pokoju Amadeu. Na górze panowała przeszłość, którą mogła oglądać jedynie od zewnątrz. Później wystawiła jej pomnik w postaci książki. Gdy jednak Amadeu siedział przy biurku ze staromodnym piórem w dłoni, paląc papierosa i pijąc kawę, nie mogła do niego dotrzeć i Gregorius miał pewność, że płonęła wtedy z zazdrości wobec odosobnienia jego myśli. Tu, w gabinecie, było inaczej. Słyszała wszystko, co powiedział, rozmawiała z nim o pacjentach i asystowała mu. Wtedy cały należał do niej. Przez wiele lat tutaj znajdowało się centrum jej życia, miejsce najżywszej teraźniejszości. Twarz Adriany pomimo śladów starości – w pewnej mierze poza nimi – była w tej chwili młoda i piękna, mówiła o pragnieniu, by móc na zawsze zostać w tej rzeczywistości i nie musieć opuszczać wiecznie szczęśliwych lat.

Zbliżała się chwila przebudzenia. Palce Adriany niepewnie sprawdzały, czy wszystkie guziki fartucha są zapięte. Blask oczu zaczął przygasać, obwisła skóra na starej twarzy opadła, błogość minionego czasu znikła.

Gregorius nie chciał, by Adriana się obudziła i wróciła do zimnej samotności życia, w którym Clotilde musiała nastawiać magnetofon. Jeszcze nie teraz, to byłoby zbyt okrutne. Zaryzykował więc.

– Rui Luís Mendes. Czy Amadeu leczył go tutaj?

Było tak, jakby wziął ze stolika strzykawkę i wstrzyknął jej narkotyk, który w błyskawicznym tempie rozszedł się po ciemnych żyłach. Adrianę przeszła fala wstrząsu, kościste ciało drżało kilka chwil jak w gorączce, oddech stał się ciężki. Gregorius przestraszył się i przeklinał zadany cios. Potem jednak konwulsje ustały, ciało Adriany wyprostowało się, migoczący wzrok złagodniał i podeszła do leżanki. Gregorius czekał na pytanie, skąd wie o Mendesie. Jednak Adriana już dawno pograżyła się w przeszłości.

Położyła płaską dłoń na papierze rozłożonym na kozetce. – To było tutaj. Dokładnie tutaj. Widzę, jak leży, jakby od tamtej pory minęły tylko minuty.

A potem zaczęła opowiadać. Muzealne pomieszczenia ożyły dzięki sile i pasji jej słów, upał i nieszczęście owego odległego dnia powróciły do gabinetu, w którym Amadeu Inácio de Almeida Prado, miłośnik katedr i zaciekły wróg wszelkiego zła, uczynił coś, co już nigdy nie miało go opuścić, coś, czego nie mógł pokonać i zakończyć nawet dzięki zacieklej przenikliwości swego umysłu. Coś, co niczym lepki cień zawisło nad ostatnimi latami jego gasnącego życia.

Było to gorącego, mokrego sierpniowego dnia roku 1965, na krótko po czterdziestych piątym urodzinach Prado. W lutym został zamordowany Humberto Delgado, kandydat centrolewicowej opozycji w wyborach prezydenckich 1958 roku, który wracał właśnie z algierskiego wygnania i przez granicę z Hiszpanią próbował wjechać do kraju. Odpowiedzialność za morderstwo przypisano hiszpańskiej i portugalskiej policji, ale wszyscy byli przekonani, że to robota tajnej policji, *Polícia Internacional de Defesa do Estado, P. I. D. E.*, która przejęła kontrolę, odkąd publicznie poinformowano o starczych dolegliwościach Antonia de Salazara. W Lizbonie krążyły nielegalnie wydrukowane ulotki, odpowiedzialnością

za krwawy czyn obarczające Rui Luisa Mendesa, wzbudzającego postrach oficera tajnej policji.

– My także znaleźliśmy ulotkę w skrzynce – powiedziała Adriana. – Amadeu wpatrywał się w zdjęcie Mendesa, jakby chciał je zniszczyć spojrzeniem. Potem podarł kartkę na drobne kawałki i spuścił w toalecie.

Było południe, nad miastem unosił się cichy, palący upał. Prado położył się, by odbyć swą codzienną popołudniową drzemkę, która trwała pół godziny, dokładnie niemal co do minuty. Była to jedyna chwila w całym cyklu dnia i nocy, gdy udawało mu się zasnąć bez trudu. Spał wtedy głęboko i bez snów, głuchy na wszelkie odgłosy, a gdy coś wyrывało go ze snu, przez chwilę był zdezorientowany i nieprzytomny. Adriana czuwała nad jego snem jak nad świętością.

Amadeu właśnie zasnął, gdy Adriana usłyszała, jak południową ciszę na ulicy rozrywają ostre krzyki. Pobiegła do okna. Przed wejściem do sąsiedniego domu leżał na noszach mężczyzna. Ludzie, którzy stali wokół niego i zasłaniaли Adrianie widok, krzyczeli na siebie i dziko gestykulowali. Adrianie wydawało się, że jedna z kobiet podeszła na palcach do leżącego. Dwóm wysokim mężczyznom udało się wreszcie odepchnąć zgromadzonych ludzi, unieśli mężczyznę i zanieśli go pod wejście gabinetu przyjąć Prado. Dopiero teraz Adriana poznała człowieka na noszach, a jej serce przestało bić – to był Mendes, mężczyzna z ulotki, którego zdjęcie podpisano: o *carniceiro de Lisboa*, rzeźnik z Lizbony.

– W tej chwili wiedziałam dokładnie, co się stanie. Wiedziałam to we wszystkich szczegółach, było tak, jakby przyszłość już się zdarzyła – jakby zawarta się w moim prerażeniu jako już dokonany fakt, a teraz szło tylko o to, by rozciągnęła się w czasie. To, że następna godzina oznaczać będzie głęboką rysę w życiu Amadeu i najcięższy egzamin, jaki do tej pory musiał zdać – nawet to stanęło mi przed oczami ze straszną jasnością.

Mężczyźni, którzy nieśli Mendesa, zadzwonili dziko do drzwi, a Adrianie wydało się, że wraz z ostrym dźwiękiem, który rozlegał się wciąż na nowo i nieznośnie nabrzmiewał, do eleganckiej, bezpiecznej ciszy domu wedrą się przemoc i brutalność dyktatury, które do tej pory – nie bez wyrzutów sumienia – zdołali utrzymać na dystans. Dwie, trzy sekundy rozważała, czy

nie robić nic i nie udać, że umarła. Wiedziała jednak, że Amadeu by jej tego nigdy nie wybaczył. Otworzyła więc i poszła go obudzić.

– Nie wyrzekł ani słowa, wiedział – nie obudziłabym go, gdyby nie chodziło o sprawę życia i śmierci. „Do gabinetu”, powiedział po prostu. Chwiejąc się, zbiegł boso po schodach, rzucił się do umywalki i spryskał twarz zimną wodą. Potem podszedł do leżanki, gdzie spoczywał Mendes.

Skamieniał i przez dwie, trzy sekundy wpatrywał się z niedowierzaniem w bladą, zdradzającą wycieńczenie twarz z drobnymi kroplami potu na czole. Odwrócił się i spojrzał na mnie, szukając potwierdzenia. Skinęłam głową. Na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Potem zadrżał. Obiema rękami rozerwał Mendesowi koszulę, tak że oderwały się guziki. Przyłożył ucho do owłosionej klatki piersiowej, potem osłuchiwał go stetoskopem, który mu podałam.

– Naparstnica!

Powiedział tylko to jedno słowo, a w napiętym głosie kryła się cała nienawiść, z którą walczył, nienawiść niczym ze lśniącej stali. Gdy naciągałam strzykawkę, masował serce Mendesa, słyszałam głuchy trzask łamanych żeber.

Gdy podałam mu strzykawkę, nasze spojrzenia spotkały się na mgnienie rzes. Jakże wtedy kochałam mojego brata! Z niesłychaną siłą żelaznej, niezłomnej woli walczył z pragnieniem, by pozwolić po prostu umrzeć mężczyźnie na leżance, który według wszelkich podejrzeń miał na sumieniu tortury i morderstwa i w swym otyłym, spoconym ciele nosił cały bezlitosny ucisk dyktatury. Jakże to byłoby proste, jak niewiarygodnie proste. Wystarczyłoby kilka sekund bezczynności. Po prostu nic nie robić! *Nic!*

I rzeczywiście – gdy Amadeu zdezynfekował odpowiednie miejsce na piersi Mendesa, zawahał się i zamknął oczy. Nigdy poza tą chwilą, ani wcześniej, ani później, nie obserwowałam człowieka, który w ten sposób walczył z samym sobą. Potem Amadeu otworzył oczy i wbił Mendesowi igłę prosto w serce. Wyglądało to jak śmiertelny cios. Zamarłam. Uczynił to z zapierającą dech pewnością, z jaką robił każdy zastrzyk, miało się wrażenie, że ludzkie ciała są dla niego w takich chwilach jak ze szkła. Bez najmniejszego drżenia, z niesłychanym opanowaniem pompował teraz

Mendesowi lek w serce, żeby ten odzyskał siły. Gdy wyjął igłę, cała porywczność go opuściła. Przyklepił plaster w miejscu nakłucia i osłuchał Mendesa stetoskopem. Potem spojrział na mnie i skinął głową. – Karetka – powiedział.

Przyszli i wynieśli Mendesa na noszach. Tuż przed drzwiami odzyskał przytomność, otworzył oczy i napotkał spojrzenie Amadeu. Byłam zdumiona, widząc, jak spokojnie, niemal rzeczowo wyglądał mój brat. Może sprawiło to także wyczerpanie, w każdym razie opierał się o drzwi w postawie kogoś, kto właśnie przetrwał ciężki kryzys i może liczyć na spokój.

Ale stało się wręcz przeciwnie. Amadeu nie wiedział nic o ludziach, którzy wcześniej zebrali się wokół leżącego Mendesa, a ja o nich zapomniałam. Dlatego byliśmy nieprzygotowani, gdy nagle usłyszeliśmy histeryczne głosy wołające: „*Traidor! Traidor!*”. Musieli zobaczyć, że Mendes żył niesiony przez sanitariuszy, i oto wykrzykiwali swą wściekłość na tych, którzy wyrwali go śmierci, na jaką zasłużył, i w których widzieli zdrajców sprzeciwiających się słusznej karze.

Tak jak wcześniej, gdy rozpoznał Mendesa, Amadeu zasłonił twarz dłońmi. Teraz jednak uczynił to powoli, i o ile wcześniej trzymał głowę jak zawsze uniesioną wysoko, teraz pochylił ją i owo pochylenie najlepiej oddawało zmęczenie i smutek, z jakim spoglądał na to, co się działo.

Jednak ani zmęczenie, ani smutek nie mogły odebrać mu ducha. Pewnym ruchem zdjął z wieszaka fartuch, którego wcześniej nie miał czasu włożyć, i wygładził go. Tę lunatyczną pewność siebie widoczną w jego działaniu zrozumiałam dopiero później – od razu wiedział, że musi pokazać się ludziom jako lekarz i że najprędzej ujrzą go takim, jeśli przywdzieje odpowiedni strój.

Gdy pojawił się w drzwiach, okrzyki umilkły. Przez chwilę stał po prostu ze spuszczoną głową i dłońmi w kieszeniach fartucha. Wszyscy czekali, że powie coś na swoją obronę. Amadeu uniósł głowę i spojrział wokół. Wydało mi się, jakby jego nagie stopy nie spoczywały zwyczajnie na kamiennym chodniku, lecz jakby się nimi zapierał.

– *Sou médico* – powiedział i raz jeszcze, błagalnie: – *Sou médico*.

Rozpoznałam troje czy czworo naszych pacjentów z sąsiedztwa, którzy zawstydzeni wbili wzrok w ziemię.

– *É um assassino!* – zawołał ktoś.

– *Carniceiro!* – krzyknął inny.

Widziałam, jak ramiona Amadeu unosiły się i opadały, oddychał ciężko.

– *É um ser humano, uma pessoa*, jest istotą ludzką, osobą – powiedział głośno i wyraźnie i zapewne tylko ja, która znałam każdy odcień jego głosu, usłyszałam lekkie drżenie, gdy powtórzył: – *Pessoa*.

Tuż potem na białym kitlu wylądował pomidor. Był to, o ile wiem, pierwszy i jedyny raz, gdy ktoś fizycznie zaatakował Amadeu. Nie potrafię stwierdzić, jak bardzo ów atak przyczynił się do tego, co się z nim potem stało – na ile głęboki był wstrząs związany ze sceną, która rozegrała się przed drzwiami. Przypuszczam jednak, że miał niewielkie znaczenie w porównaniu z tym, co zdarzyło się potem – jakaś kobieta wyszła z tłumu, stanęła przed Amadeu i splunęła mu w twarz.

Gdyby to było pojedyncze plunięcie, mógłby je może uznać za skutek niepohamowanych emocji, porównywalny z wściekłym, niekontrolowanym dygotaniem. Ale kobieta plunęła wielokrotnie, raz po raz, jakby wypluwała duszę z ciała i topiła Amadeu w ślinie wstrętu, która w powolnych strużkach ciekła mu po twarzy.

Przyjął ten kolejny atak z zamkniętymi oczami. Lecz tak samo jak ja musiał rozpoznać ową kobietę – była to żona pewnego pacjenta, którego przez wiele lat odwiedzał w domu, a za wizyty nie brał ani grosza, aż mężczyzna zmarł na raka. Jaka niewdzięczność! – pomyślałam najpierw, potem jednak ujrzałam w oczach kobiety ból i rozpacz, które wyzierały z wściekłości, i oto zrozumiałam: opluwała go, ponieważ czuła wdzięczność za to, co zrobił. Był dla niej jak bohater, opiekuńczy anioł, boski posłaniec towarzyszący jej w ciemności choroby, w której, gdyby została sama, poniosłaby klęskę. I oto on, właśnie on, stanął na drodze sprawiedliwości polegającej na tym, że Mendes nie powinien dłużej żyć. Myśl ta w duszy nieufformowanej, nieco ograniczonej kobiety wywołała takie poruszenie, że doprowadziła do wybuchu, a im dłużej ów wybuch trwał, tym stawał się

bardziej mityczny i nabierał znaczenia wykraczającego zdecydowanie poza osobę Amadeu.

Gdy tłum poczuł, że w ten sposób została przekroczona pewna granica, ludzie rozproszyli się i odeszli ze spuszczonego wzrokiem. Amadeu obrócił się i podszedł do mnie. Otarłam mu twarz chustką. W domu stanął przy umywalce, wsunął głowę pod kran i odkręcił kurek tak mocno, że woda tryskała na wszystkie strony. Wytarł twarz do sucha, był bardzo blady. Sądzę, że w tamtej chwili dałby wszystko, by móc zapłakać. Stał tak i czekał na łzy, ale one nie chciały nadejść. Po śmierci Fatimy, która nastąpiła cztery lata wcześniej, nigdy nie płakał. Wykonał kilka sztywnych kroków w moją stronę, jakby od nowa uczył się chodzić. Potem stanął przede mną, mając w oczach łzy, które nie chciały popłynąć, chwycił mnie obiema rękami za ramiona i mokrym czołem dotknął mego czoła. Gdy tak staliśmy, minęły może trzy, cztery minuty i należą one do najcenniejszych minut mojego życia.

Adriana zamilkła. Przeżywała owe minuty raz jeszcze. Jej twarz drżała, ale łzy także nie chciały popłynąć. Podeszła do umywalki, podstawiła złożone dłonie pod strumień wody i zanurzyła w nich twarz. Powoli przejechała rącznikiem po oczach, policzkach i ustach. Następnie, jakby opowiadana historia wymagała zajęcia ponownie pozycji narratorki, wróciła na poprzednie miejsce i dopiero wtedy zaczęła mówić dalej. Dłoń położyła na leżance tak jak wcześniej.

Amadeu, opowiadała, długo brał prysznic. Potem usiadł przy biurku, wyjął czystą kartkę i wieczne pióro.

Nic się nie stało. Nie pojawiło się ani jedno słowo.

– To było najgorsze ze wszystkiego – mówiła Adriana. – Widzieć, że to, co się wydarzyło, uczyniło go niemym, aż niemal się tym dusił.

Na pytanie, czy chce coś zjeść, skinął bezwiednie głową. Potem poszedł do łazienki i zmył z fartucha plamy po pomidorach. Do stołu zasiadł – po raz pierwszy – w kitlu i nieprzerwanie gładził mokre miejsca. Adriana miała wrażenie, że te ruchy jego rąk pochodzą z wielkiej głębi i że bardziej przytrafiają się Amadeu, niż są wykonywane celowo. Bała się, że na jej oczach brat straci rozum i zostanie tak na zawsze, mężczyzna spoglądający zagubionym wzrokiem i w myślach próbujący wciąż usunąć brud, jakim

obrzucili go ludzie, którym poświęcał wszystkie swoje umiejętności i siły, w dzień czy w nocy.

Nagle, nim przełknął kolejny kęs, Amadeu pobiegł do łazienki i zwymiotował w nieskończenie długiej serii duszących skurczów. Potem powiedział bezdźwięcznie, że chce nieco odpocząć.

– Chętnie wzięłabym go wtedy w ramiona – powiedziała Adriana – ale to było niemożliwe, sprawiał wrażenie, jakby płonął i jakby mógł spalić każdego, kto za bardzo się do niego zbliży.

W ciągu dwóch kolejnych dni wszystko było tak, jakby nic się nie stało. Prado był tylko nieco bardziej spięty niż zwykle, a jego serdeczność wobec pacjentów miała w sobie coś eterycznego i nierzeczywistego. Od czasu do czasu zatrzymywał się w połowie ruchu i spoglądał przed siebie pustym, zamglonym wzrokiem jak epileptyk w czasie ataku, a gdy podchodził do drzwi poczekalni, w jego ruchach kryło się wahanie, jakby bał się, że wśród zgromadzonych może znaleźć się ktoś, kto zarzucił mu zdradę.

Trzeciego dnia zachorował. O poranku Adriana zastała go przy kuchennym stole. Miał dreszcze. Wydawało się, że postarzał się o lata. Nie chciał nikogo widzieć. Z wdzięcznością przekazał jej załatwienie wszystkich spraw, a potem pogrążył się w głębokiej, niemal upiornej apatii. Nie ogolił się i nie ubrał. Jedynym odwiedzającym, którego do siebie dopuścił, był Jorge, aptekarz, ale i z nim nie zamienił wielu słów, przyjaciel zaś znał go zbyt dobrze i nie naciskał. Adriana opowiedziała Jorge, jak do tego doszło, a on w milczeniu kiwał głową.

– Po tygodniu nadszedł list od Mendesa. Amadeu nie otworzył go, tylko zostawił na stoliku przy łóżku. Leżał tam dwa dni. Trzeciego dnia wczesnym rankiem Amadeu włożył nieotworzony list do koperty i zaadresował do nadawcy. Uparł się, by własnoręcznie zanieść go na pocztę. Otwierają dopiero o dziewiątej, zaprotestowałam. Mimo to ruszył pustą ulicą z dużą kopertą w dłoni. Patrzyłam za nim i czekałam przy oknie, aż wrócił po kilku godzinach. Szedł bardziej wyprostowany, niż kiedy odchodził. W kuchni spróbował, czy może znowu pić kawę. Mógł. Potem ogolił się, ubrał i usiadł przy biurku.

Adriana zamilkła, a jej twarz przygasła. Spoglądała zagubionym wzrokiem na leżankę, przy której stał Amadeu, gdy ruchem przypominającym śmiertelny cios wbił Mendesowi igłę w serce, co

uratowało mu życie. Historia dobiegła końca i wraz z nią skończył się dla Adriany czas.

W pierwszej chwili Gregoriusowi wydało się, jakby czas uciekł mu sprzed nosa, przez co poczuł przez chwilę udrękę, w której Adriana żyła od ponad trzydziestu lat – udrękę przymusu przebywania w czasie, który dawno minął.

Adriana oderwała dłoń od leżanki i jednocześnie straciła łączność z przeszłością, stanowiącą jej jedyną terażniejszość. Początkowo nie wiedziała, co ma zrobić z ręką, potem wsunęła ją do kieszeni białego kitla. Ruch ten podkreślił wyjątkowość fartucha, Gregoriusowi wydał się on magiczną powłoką, w którą Adriana ucieka od cichej, pozbawionej wydarzeń terażniejszości, by narodzić się ponownie w odległej, rozognionej przeszłości. Teraz, gdy ta przeszłość zgasła, kitel wyglądał jak porzucony kostium w rekwizytorni opuszczonego teatru.

Gregorius nie mógł dłużej znieść widoku jej martwoty. Najchętniej uciekłby do miasta, poszedłby do lokalu gdzie panuje gwar, śmiech i muzyka. Do miejsca, jakich zwykle unikał.

– Amadeu siada przy biurku – powiedział. – Co pisze?

Na twarz Adriany powrócił blask dawnego życia. Jednak oprócz radości, że może dalej mówić o bracie, pojawiło się coś innego, coś, co Gregorius rozpoznał dopiero po chwili. Był to gniew. Nie dychawiczny gniew, który rozpala się z powodu drobnostki, wybucha i szybko gaśnie, lecz gniew głęboki, przyczajony, podobny do tłącego się pożaru.

– Nie chciałam, żeby o tym pisał. Albo nawet myślał. To było jak powolna trucizna, która od tamtego dnia krążyła w jego żyłach. Zmieniła go. Zniszczyła. Nie chciał mi nic pokazać. Ale potem stawał się inny. Wyjęłam z szuflady i przeczytałam, gdy spał. Pierwszy i ostatni raz zrobiłam coś takiego. Bo potem i we mnie pojawiła się trucizna. Trucizna naruszonego szacunku, zniszczonego zaufania. Potem już nigdy nie było między nami tak jak dawniej.

Gdyby tylko nie był tak bezwzględnie uczciwy! Tak pochłonięty walką przeciw oszukiwaniu samego siebie! *Należy wymagać od człowieka prawdy o sobie samym*, zwykł mawiać. Stanowiło to niemal jego wyznanie wiary. Ślub łączący go z Jorge. Credo, które wreszcie zniszczyło nawet tę świętą

przyjaźń, tę przeklętą świętą przyjaźń. Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło, ale miało to związek z fanatyczną ideą poznania samego siebie, którą ci obaj kapłani uczciwości już w szkole nosili przed sobą niczym chorągiew krzyżowców.

Adriana podeszła do ściany obok drzwi i oparła się o nią czołem, a ręce skrzyżowała na plecach, jakby ktoś ją związał. W milczeniu wadziła się z Amadeu, z Jorge i z sobą samą. Broniła się przed nieodwracalnym faktem, że dramat ocalenia Mendesa, który zapewnił jej cenne minuty bliskości z bratem, wkrótce potem dał początek czemuś, co wszystko zmieniło. Opierała się o ścianę całym ciężarem ciała, musiało ją boleć czoło. Nagle, zupełnie znienacka, puściła splecione za plecami dłonie, uniosła ręce w górę i zaczęła uderzać pięściami w ścianę, raz po raz, staruszka pragnąca zawrócić koło czasu. Był to rozpaczliwy grad niemych uderzeń, wybuch bezradnej wściekłości, gwałtowny protest przeciw utracie szczęśliwych chwil.

Uderzenia osłabły i zwolniły, emocje zelzały. Wyczerpana Adriana opierała się jeszcze chwilę o ścianę. Potem cofnęła się i usiadła na krześle. Czoło miała pokryte białym kurzem tynku, z którego co chwila odrywało się ziarenko i staczało po twarzy. Jej spojrzenie powędrowało z powrotem ku ścianie; Gregorius podążył za nim i dopiero teraz zobaczył, że w miejscu, gdzie wcześniej stała, widniał duży prostokąt, jaśniejszy niż reszta powierzchni. Ślad po obrazie, który musiał tam dawniej wisieć.

– Długo nie rozumiałam, dlaczego zdjął mapę – powiedziała Adriana. – Mapę mózgu. Wisiała tu jedenaście lat, od czasu gdy urządziliśmy gabinet. Mnóstwo łacińskich nazw. Nie ośmieliłam się spytać o powód, wybuchnął, gdy zadało mu się niewłaściwe pytanie. Nie wiedziałam nic o tętniaku, zataił to przede mną. Bomba z opóźnionym zapłonem w mózgu sprawia, że nie można znieść widoku takiej mapy.

Gregorius był zaskoczony tym, co zrobił. Podeszedł do umywalki, wziął ręcznik i stanął przed Adrianą, by otrzeć jej czoło. Początkowo siedziała sztywno w obronnej postawie, potem jednak, wyczerpana i wdzięczna, wtuliła głowę w ręcznik.

– Czy nie zabrałby pan tego, co on wtedy napisał? – spytała, prostując się. – Nie chcę już dłużej trzymać tego w domu.

Gdy poszła po zapisane strony, które o tak wiele obwiniła, Gregorius podszedł do okna i wyjrzał na ulicę, tam gdzie leżał Mendes. Wyobraził sobie, że stoi na dole przed drzwiami, przed sobą ma zdenerwowany tłum. Z tłumy wysuwa się kobieta, która go opluwa, nie raz, lecz kilkakrotnie. Kobieta ta, choć zawsze tak wiele od siebie wymagał, oskarża go o zdradę.

Adriana włożyła kartki do koperty.

– Często myślałam o tym, by je spalić – powiedziała, podając mu kopertę.

W milczeniu odprowadziła go do drzwi, wciąż w białym fartuchu. A potem, gdy już prawie znalazł się na dworze, Gregorius usłyszał nagle przestraszony głos małej dziewczynki, którą także była: – Czy przyniesie mi je pan z powrotem? Proszę, należą przecież do niego.

Idąc ulicą, Gregorius wyobrażał sobie, jak Adriana zdejmuje biały kitel i wiesza go obok fartucha Amadeu. Potem gasi światło i zamyka drzwi. Na górze czeka na nią Clotilde.

21 Gregorius z zapartym tchem przeczytał to, co napisał Prado.

Początkowo tylko przebiegał wzrokiem zdania, by jak najszybciej dowiedzieć się, dlaczego Adriana odebrała te zapiski jak przekleństwo, które zawisło nad kolejnymi latami ich życia. Potem sprawdził każdy wyraz. W końcu przepisał cały tekst, by lepiej zrozumieć, jak biegły myśli Prado.

Czy zrobiłem to dla niego? Czy w jego interesie chciałem, by nadal żył? Czy uczciwie mogę powiedzieć, że to właśnie było moją wolą? Jest tak w przypadku pozostałych moich pacjentów, także tych, których nie lubię. Przynajmniej mam taką nadzieję i nie chciałbym dojść do wniosku, że moimi czynami kierują zupełnie inne motywy niż te, które, jak sądzę, znam. Ale w jego przypadku?

Moja dłoń zdaje się mieć własną pamięć i pamięć ta najwyraźniej jest bardziej godna zaufania niż wszelkie inne źródła poznania samego siebie. Pamięć dłoni, która wbiła Mendesowi igłę w serce, mówi mi, że była to dłoń mordercy tyrana, która w paradoksalnym akcie przywróciła martwego tyrana do życia.

(To kolejne potwierdzenie tego, czego nieustannie uczyło mnie doświadczenie całkowicie wbrew początkowej skłonności moich myśli: że ciało jest mniej przekupne niż duch. Duch stanowi uroczą scenę dla oszustw wobec samego siebie, utkanych z pięknych, łagodzących słów, które stwarzają poczucie zrozumienia siebie, przybliżają poznanie, znieczulają nas na niespodzianki, jakie sami sobie szykujemy. Jak nudno byłoby jednak żyć w takiej niewysilonej pewności co do swojej osoby!).

Czy zatem naprawdę uczyniłem to dla siebie? By wydać się sobie dobrym lekarzem i odważnym człowiekiem, który ma siłę pokonać własną nienawiść? By święcić triumf z powodu zapanowania nad samym sobą i móc poddać się uniesieniu, że pokonałem siebie? A zatem przez moralną próżność i gorzej jeszcze – całkiem zwyczajną próżność? Doświadczenie tamtych sekund – nie było to doświadczenie samolubnej próżności, której jestem świadom, wręcz przeciwnie, było to doświadczenie działania wbrew sobie i niepozwalania na bliskie poczucie zadośćuczynienia i radości z cudzej krzywdy. Ale być może nie jest to dostateczny dowód. Może istnieje próżność, której nie jestem świadom i która ukrywa się za sprzecznymi odczuciami?

Jestem lekarzem – tak odpowiedziałem oburzonemu tłumowi. Mogłem też powiedzieć: złożyłem przysięgę Hipokratesa, to święta przysięga i nigdy jej nie złamię, nigdy, niech się dzieje co chce. Czuję, że lubię to mówić, uwielbiam to, są to słowa, które mnie uskrzydłają, upajają. Czy jest tak dlatego, że przypominają słowa święceń kapłańskich? Czy zatem

przywrócenie życia temu rzeźnikowi, gdy właściwie je stracił, było działaniem religijnym? Działaniem kogoś, kto potajemnie żałuje, że nie czuje się już uzbrojony w dogmaty i liturgię? Kto nadal oplakuje nieziemski blask świec na ołtarzu? A zatem nie było to działanie oświecone? Czy niezauważenie stoczyła się w mojej duszy krótka, lecz zacięta i gwałtowna walka między dawnym wychowankiem księży a mordercą tyranów, który do tej pory nie przystąpił do dzieła? Wbić w serce igłę z ratującą życie trucizną – czy w czynie tym kapłan i morderca podali sobie dłonie? I obaj uzyskali to, za czym tęsknili?

Gdybym był na miejscu Inês Salomão, która mnie opluła – co mógłbym do siebie powiedzieć?

„To, czego od ciebie wymagaliśmy, nie było morderstwem – mógłbym powiedzieć – a zatem nie byłoby to przestępstwo, ani w sensie prawnym, ani w sensie moralnym. Gdybyś pozwolił mi umrzeć, żaden sędzia nie mógłby cię ścigać i nikt nie mógłby poprowadzić cię przed Mojżeszową tablicę, na której napisano: nie zabijaj. Nie, to, czego oczekiwaliśmy, było bardzo proste, łatwe, ostentacyjne – żebyś człowieka, który sprowadził na nas nieszczęście, tortury i śmierć i od którego litościwa natura wreszcie chciała nas uwolnić, nie trzymał całą siłą przy życiu i nie spowodował, żeby nadal mógł sprawować swe krwawe rządy”.

Jak mógłbym się bronić?

„Każdy zasługuje na to, by pomóc mu pozostać przy życiu, niezależnie od tego, co uczynił. Zasługuje na to jako osoba, zasługuje jako człowiek. Nie możemy decydować o życiu i śmierci”.

„A jeśli oznacza to śmierć innego człowieka? Czy nie strzelamy do kogoś, jeśli widzimy, że ten strzela do innych? Czy nie przeszkodziłbyś Mendesowi w dokonaniu zbrodni nawet przez zabicie go? A przecież to znacznie więcej niż to, co mogłeś zrobić, czyli nic?”.

Jak bym się teraz czuł, gdybym pozwolił mu umrzeć? Gdyby ludzie, zamiast opluwać, wielbiliby mnie za śmiertelne zaniechanie? Gdyby z okolicznych ulic biło we mnie spokojne tchnienie ulgi zamiast zatrutej wściekłości rozczarowania? Jestem pewien – prześladowałoby mnie to nawet we śnie. Lecz dlaczego? Bo nie mogę istnieć bez czegoś bezwarunkowego, absolutnego? A może gdybym z zimną krwią pozwolił mu umrzeć, oznaczałoby to po prostu wyparcie się samego siebie? Lecz przecież tym, czym jestem, jestem z przypadku.

Wyobrażam sobie, że idę do Inês, dzwonię i mówię:

„Nie mogłem postąpić inaczej, taki jestem. Mogło się stać inaczej, ale się nie stało, bo oto jestem, jaki jestem, nie mogłem inaczej”.

„Nie chodzi o to, jak ty się czujesz ze sobą – mogłaby odpowiedzieć – to zupełnie nieistotne. Wyobraź sobie po prostu: Mendes wyzdrowieje, włoży mundur i wyda mordercze rozkazy. Wyobraź sobie. Wyobraź to sobie bardzo dokładnie. A potem sam osądź”.

Co mógłbym jej odpowiedzieć? Co? CO?

*Chcę coś zrobić, zwrócił się Prado do João Eça, rozumiesz: zrobić. Powiedz mi, co mogę zrobić. Co właściwie chciał odpokutować? Nie dopuściłeś się niczego złego, powiedział mu Eça, jesteś lekarzem. Sam Prado wyszedł z tymi słowami do oskarżycielskiego tłumu i z pewnością powtarzał je sobie setki razy. Ale go nie uspokoiły. Wydawały mu się zbyt proste, zbyt gładkie. Prado był człowiekiem wielce nieufnym wobec wszystkiego, co gładkie i powierzchowne, żywił pogardę i wrogość wobec okrzepłych zdań takich jak: *Jestem lekarzem*. Udał się na brzeg i pragnął, by lodowaty wichur zmiotł wszystko, co brzmiało jak zwykłe przyzwyczajenie językowe, zdradziecka forma przyzwyczajenia, która utrudnia refleksję, bo stwarza iluzję, jakby refleksja już nastąpiła i znajdowała wyraz w pustych słowach.*

Gdy Mendes leżał przed nim, Prado widział go jako wyjątkowego, jednostkowego człowieka, o którego życie chodzi. Tylko jako jednostkowego człowieka. Nie mógł widzieć jego istnienia jako czegoś, z czym należy się liczyć, mając wzgląd na innych, jako czynnika w większym równaniu. I to właśnie zarzuciła mu kobieta w rozmowie, którą przeprowadził sam ze sobą – że nie pomyślał o konsekwencjach, które również dotyczyły pojedynczych istnień, wielu jednostkowych istnień. Że nie był gotów poświęcić jednostki dla wielu jednostek.

Przystał do ruchu oporu, pomyślał Gregorius, także dlatego, by nauczyć się takiego myślenia. Nie udało mu się. *Jedno życie za wiele żyć. Tak nie można przecież rozumować. Prawda?* – powiedział po latach do ojca Bartolomeu. Poszedł do dawnego mentora, by potwierdzić swoje poglądy. Ale i tak nie potrafił postąpić inaczej. Wywiózł Estefanię Espinhosę przez granicę, poza zasięg tych, którzy sądzili, że muszą ją poświęcić, by zapobiec czemuś gorszemu.

Wewnętrzna siła Prado, która czyniła z niego tego, kim był, nie dopuszczała innego działania. Pozostała jednak wątpliwość, ponieważ nie mógł pozbyć się podejrzania moralnej zarozumiałości, podejrzania, które wiele znaczyło dla człowieka nienawidzącego próżności jak zarazy.

Tę wątpliwość przeklinała Adriana. Chciała mieć brata tylko dla siebie i czuła, że nie można mieć tylko dla siebie kogoś, kto nie jest w zgodzie z samym sobą.

22 – Nie wierzę! – powiedziała Natalie Rubin przez telefon. – Po prostu nie wierzę! Gdzie pan jest?

Gregorius odparł, że jest w Lizbonie i potrzebuje książek, niemieckojęzycznych książek.

– Książek – roześmiała się. – Czegóż by innego!

Wyliczył: największy, jaki wydano, słownik niemiecko-portugalski, szczegółowa gramatyka portugalska, sucha jak książka do łaciny, bez tych

bzdur rzekomo ułatwiających naukę, historia Portugalii.

– I coś, czego być może wcale nie ma – historia portugalskiego ruchu oporu w czasach Salazara.

– Brzmi to jak przygoda – powiedziała Natalie.

– I nią jest – odparł Gregorius. – W pewien sposób.

– *Faço o que posso* – powiedziała. Zrobię, co będę mogła.

Początkowo Gregorius nie zrozumiał, a potem zadrzał. Fakt, że jedna z jego uczennic znała portugalski – tak nie powinno być. Niszczyło to dystans między Bernem a Lizboną. Burzyło urok, cały szalony urok jego podróży. Przeklinał siebie, że do niej zadzwonił.

– Jest pan tam jeszcze? Moja matka jest Portugalką, jeśli pan się dziwi.

Gregorius powiedział, że potrzebuje dodatkowo gramatyki nowoperskiej i podał tytuł książki, która wtedy, przed czterdziestu laty, kosztowała trzysta franków trzydzieści. Jeśli jeszcze jest w księgarniach, jeśli nie, niech Natalie znajdzie inną. Powiedział to jak uparty chłopak, który nie chce pozwolić odebrać sobie marzeń.

Potem zapisał adres Natalie i podał jej adres hotelu. Powiedział, że pieniądze prześle dzisiaj pocztą. Jeśli coś zostanie – trudno, może później będzie jeszcze czegoś potrzebował.

– Można więc powiedzieć, że zakłada pan u mnie konto? To mi się podoba.

Gregoriusowi spodobało się, jak Natalie to powiedziała. Gdyby tylko nie znała portugalskiego...

– Wywołał pan tu straszne zamieszanie – stwierdziła, gdy na linii zapadła cisza.

Gregorius nie chciał o tym słyszeć. Potrzebował ściany niewiedzy między Bernem a Lizboną.

Spytał, co się stało.

„On już nie wróci”, powiedział Lucien von Graffenried w pełnej zdumienia ciszy, gdy Gregorius zamknął za sobą drzwi klasy.

„Zwariowałeś – stwierdzili inni. – Mundus przecież tak po prostu nie ucieknie, nie Mundus, nigdy w życiu”.

„Nie umiecie czytać z twarzy”, odparł Graffenried.

Gregorius nie spodziewałby się tego po Graffenriedzie.

– Poszliśmy do pana domu i dzwoniliśmy – powiedziała Natalie. – Mogłabym przysiąc, że pan tam był.

Jego list do Kägiego przyszedł dopiero w środę. Przez cały wtorek Kägi dowiadywał się na policji o meldunki z wypadków. Lekcje łaciny i greki się nie odbyły, uczniowie siedzieli bezradnie na schodach. Wszystko stanęło na głowie.

Natalie zawahała się. – Ta kobieta... to znaczy... uznaliśmy to w pewien sposób za ekscytujące. Przepraszam – dodała, gdy milczał.

A w środę?

– Na dużej przerwie znaleźliśmy na czarnej tablicy wywieszkę. Napisano, że nie będzie pan już nauczał i że sam Kägi poprowadzi lekcje. Wysłaliśmy do Kägiego delegację. Siedział za biurkiem i miał pański list przed oczami. Był zupełnie inny niż zwykle, dużo skromniejszy, łagodniejszy, nie wyglądał jak rektor. „Nie wiem, czy mogę to zrobić”, powiedział, ale potem przeczytał fragment z Marka Aureliusza, który pan zacytował. Spyaliśmy, czy sądzi, że pan zachorował. Długo milczał i wyglądał przez okno. „Nie wiem – powiedział wreszcie – ale nie sądzę. Sądzę raczej, że nagle coś poczuł, coś nowego. Coś cichego, a jednak rewolucyjnego. To musiało być jak bezgłośna eksplozja, która wszystko zmieniła”. Opowiedzieliśmy o... o tej kobiecie. „Tak – powiedział na to Kägi – taaak”. Miałam wrażenie, że w pewien sposób jest zazdrosny. „Kägi jest cool – stwierdził potem Luden. – Wcale bym się tego po nim nie spodziewał”. Racja. Ale na lekcjach jest tak nudno. My... bardzo byśmy chcieli, żeby pan wrócił.

Gregorius poczuł pieczenie w oczach i zdjął okulary. Przełknął ślinę. – Ja... nie mogę teraz nic na to odpowiedzieć – powiedział.

– Ale nie jest pan... nie jest pan chory? To znaczy...

Odparł, że nie, nie jest chory. – Trochę zwariowany, ale nie chory.

Roześmiała się. Jeszcze nigdy nie słyszał jej śmiejącej się w taki sposób, zupełnie inaczej niż dworska panna. To był zaraźliwy śmiech i Gregorius śmiał się wraz z Natalie, zaskoczony niesłyszana do tej pory, nieznaną lekkością swojego śmiechu. Przez chwilę śmiali się jednogłośnie, on wzmacniał ją, a ona jego, śmiali się dalej, powód dawno już przestał być

ważny, został tylko sam śmiech, to było jak jazda pociągiem, uczucie, że stukot kół na szynach, dźwięk pełen bezpieczeństwa i przyszłości, nigdy się nie skończy.

– Dziś sobota – powiedziała Natalie szybko, gdy skończyli. – Księgarnie otwarte są tylko do czwartej. Zaraz wychodzę.

– Natalie? Chciałbym, żeby ta rozmowa została między nami. Jakby wcale się nie odbyła.

Roześmiała się. – Jaka rozmowa? *Até logo.*

Gregorius spojrział na papierek po cukierku, który w ciągu nocy spędzonej w liceum włożył do kieszeni płaszcza i którego dziś rano, gdy sięgnął do kieszeni, ponownie dotknął. Zdejmował słuchawkę z widełek i odkładał. W informacji na nazwisko Rubin podali mu trzy numery. Drugi okazał się właściwy. Wybierając numer, Gregorius miał wrażenie, że skacze ze skały w przepaść. Nie zrobił tego w pośpiechu czy powodowany ślepym impulsem. Wielokrotnie brał słuchawkę, po czym odkładał ją i podchodził do okna. W poniedziałek był pierwszy marca i tego ranka światło wydawało się inne, po raz pierwszy było to światło, jakie sobie wyobraził, gdy pociąg odjeżdżał w śnieżnej zawiści z dworca w Bernie.

Nic nie przemawiało za tym, by zadzwonić do Natalie. Papierek po cukierku w kieszeni nie był powodem, by znienacka dzwonić do uczennicy, z którą jeszcze nigdy nie rozmawiał o sprawach osobistych. A już na pewno nie w sytuacji, gdy uciekł, a wykonanie telefonu oznaczało mały dramat. Czy to właśnie przesądziło sprawę – że nic nie przemawiało za tym, a wszystko przeciw?

I oto śmiali się razem, kilka minut. To było jak dotknięcie. Lekkie, ulotne dotknięcie bez sprzeciwu, coś, co sprawiało, że wszelki kontakt fizyczny przypominał niezgrabny, wręcz śmieszny manewr. W gazecie przeczytał kiedyś artykuł o policjancie, który wypuścił na wolność zatrzymanego złodzieja. *Śmialiśmy się razem* – powiedział na swoje usprawiedliwienie policjant – *więc nie mogłem go zamknąć. Po prostu już się nie dało.*

Gregorius zadzwonił do Mariany Ecy i do Mélodie. Nikt nie odbierał. Udał się w stronę Baixy, na Rua dos Sapateiros, gdzie Jorge O’Kelly, jak powiedział ojciec Bartolomeu, nadal stał za ladą apteki. Po raz pierwszy od czasu jego przyjazdu pogoda pozwalała rozpiąć płaszcz. Gregorius poczuł

na twarzy łagodny powiew i stwierdził, że jest zadowolony, że nie dodzwonił się do obu kobiet. Nie miał pojęcia, co chciałby im powiedzieć.

W hotelu spytali, jak długo jeszcze planuje zostać. – *Não faço ideia*, nie mam pojęcia – odparł, a potem zapłacił za dotychczasowy pobyt. Kobieta w recepcji odprowadziła go spojrzeniem do wyjścia, widział to w lustrze wiszącym na kolumnie. Udał się powoli na Praça do Rossio. W wyobraźni ujrzał Natalie Rubin, jak idzie do księgarni Stauffacher. Czy wiedziała, że perskiej gramatyki należało szukać u Haupta na Falkenplatz?

W kiosku wystawiono plan Lizbony, na którym zaznaczono sylwetki wszystkich kościołów. Gregorius kupił plan. Ojciec Bartolomeu powiedział, że Prado znał każdy kościół i wiedział o nich wszystko. Niektóre odwiedzali razem. *Należałoby to wyrzucić!* – mówił, gdy mijali konfesjonały. – *To takie upokarzające!*

W aptece O’Kelly’ego drzwi i framugi okien były pomalowane na ciemną zieleń i złoto. Nad drzwiami laska Eskulapa, w oknie staromodna waga. Gdy Gregorius wszedł do środka, rozległo się wiele dzwonek, które razem tworzyły łagodną brzęczącą melodię. Był zadowolony, że może się ukryć wśród licznych klientów. i oto ujrzał widok, jaki uważał za niemożliwy – aptekarz stojący za ladą i *palący papierosa*. Cały sklep pachniał dymem i lekami, a O’Kelly przypalał właśnie nowego papierosa od żaru poprzedniego. Potem upił łyk kawy z filiżanki stojącej na ladzie. Nikt nie wydawał się tym zdumiony. Aptekarz szeleszczącym głosem tłumaczył coś klientom albo z nimi żartował. Gregorius miał wrażenie, że do wszystkich zwraca się na ty.

To zatem był Jorge, twardo stojący na ziemi ateista i pozbawiony złudzeń romantyk, którego Amadeu de Prado potrzebował, by być w pełni sobą. Mężczyzna, którego wyższość w szachach miała dla niego, wywyższonego, tak duże znaczenie. Mężczyzna, który jako pierwszy wybuchnął śmiechem, gdy szczekający pies zakończył długą ciszę po bluźnierczej mowie Prado. Mężczyzna, który potrafił tak długo ćwiczyć grę na kontrabasie, aż złamał smyczek, ponieważ czuł, że rozpaczliwie brak mu talentu. I wreszcie przeciw temu mężczyźnie zwrócił się Prado, gdy uświadomił sobie, że Jorge skazał na śmierć Estefanię Espinhosę, kobietę, którą – jeśli

przypuszczenia ojca Bartolomeu były prawdziwe – lata później Jorge spotkał na cmentarzu, ale nie wymienił z nią spojrzeń.

Gregorius opuścił aptekę i usiadł w położonej naprzeciw kawiarni. Wiedział, że w książce Prado był fragment zaczynający się od telefonu Jorge. Gdy teraz, w ulicznym hałasie i otoczony ludźmi, którzy rozmawiali albo z zamkniętymi oczami wystawiali twarze do wiosennego słońca, zaczął kartkować słownik i tłumaczyć tekst, poczuł, że dzieje się z nim coś wielkiego i niesłychanego – zajmował się pisaniem słowa pośród głosów, ulicznej muzyki i parującej kawy. *Ale przecież czytasz czasami w kawiarni gazetę*, odparła Florence, gdy tłumaczył jej, że teksty wymagają ochronnych murów, które nie przepuszczają hałasu świata, najlepiej grubych, solidnych murów podziemnego archiwum. *Ach, gazetę*, odparł. *Ja mówię o tekstach*. A teraz nagle nie brakowało mu już murów, portugalskie słowa przed nim stapały się z portugalskimi słowami obok i za nim, wyobrażał sobie, że Prado i O’Kelly siedzą przy sąsiednim stoliku, przerwał im kelner, lecz dla słów nie miało to znaczenia.

AS SOMBRAS DESCONCERTANTES DA MORTE. OTUMANIAJĄCE CIENIE ŚMIERCI. *„Obudziłem się ze snu, bojąc się śmierci – powiedział Jorge przez telefon. – I nadal czuję przyływ paniki”*. Dochodziła trzecia w nocy. Jego głos brzmiał inaczej niż wtedy, gdy rozmawiał z klientami z apteki, proponował mi coś do picia albo mówił: *„Twój ruch”*. Co prawda nie słysząc w nim było drżenia, ale głos sprawiał wrażenie napiętego, jakby Jorge z trudem opanowywał potężne uczucia, które grożą wybuchem.

Śnił, że siedzi na scenie przed nowym fortepianem Steinwaya i nie umie grać. Jeszcze niedawno ów zdeklarowany racjonalista uczynił coś oszałamiająco wariackiego – za pieniądze, które zostawił mu brat, kupił steinwaya, choć nie zagrał na nim ani jednego taktu. Sprzedawca zdziwił się, że Jorge po prostu wskazał na lśniący fortepian i nawet nie otworzył klapy nad klawiaturą. Od tej pory muzealnie lśniący fortepian stoi w jego osamotnionym mieszkaniu i wygląda jak monumentalny nagrobek.

„Obudziłem się i nagle wiedziałem, że granie na tym instrumencie tak, jak na to zasługuje, nie leży w zasięgu mojego życia”. Siedział naprzeciw mnie w szlafroku i wydawał się zapadać w fotel głębiej niż zwykle. Z zakłopotaniem potarł swe wiecznie zimne dłonie. „Na pewno myślisz teraz: to przecież od początku było jasne. I w jakiś sposób oczywiście o tym wiedziałem. Ale widzisz, gdy się obudziłem, po raz pierwszy wiedziałem o tym naprawdę. I teraz tak się boję”.

„Boisz się czego? – spytałem i czekałem, aż on, mistrz nieustraszonego, prostego spojrzenia, popatrzy na mnie. – Czego dokładnie?”

Po twarzy Jorge przemknął uśmiech – zwykle to on zmusza mnie do dokładności i swój analitycznie wyszkolony rozum, swoją chemiczną rzeczowość przeciwstawia mojej skłonności, by sprawy ostateczne pozostawiać w ulotnym zawieszeniu.

Powiedziałem, że lęk przed bólem i agonią umierania jest przecież niemożliwy w przypadku aptekarza, a jeśli chodzi o upokarzające doświadczenie rozkładu fizycznego i duchowego – cóż, często już rozmawialiśmy o różnych sposobach i możliwościach, na wypadek gdyby została przekroczona granica tego, co można znieść. Co zatem stanowi przedmiot jego lęku?

„Fortepian – od dzisiejszej nocy przypomina mi o tym, że istnieją sprawy, których nie zdążę zrobić. – Zamknął oczy jak zawsze, gdy chciał wyprzedzić niemy zarzut z mojej strony. – Nie chodzi o nieważne małe radości i ulotne przyjemności, jak na przykład gdy w pełnym kurzu upale sięgamy po szklankę wody. Chodzi o rzeczy, które wyjątkowo mocno pragnę zrobić i przeżyć, ponieważ dopiero one uczyniłyby moje własne, wyjątkowe życie pełnym, a bez nich pozostałoby ono niepełne niczym oderwany korpus, nagi fragment”.

Odparłem, że przecież od momentu śmierci nie będzie już istniał, a zatem nie doświadczy tego niedomknięcia i nie będzie mógł nad nim ubolewać.

„Tak, z pewnością – stwierdził Jorge; wyglądał na poirytowanego, jak zawsze, gdy usłyszał coś, co wydawało mu się nieistotne – ale chodzi o obecną, żywą świadomość, że życie pozostanie niedomknięte, fragmentaryczne i bez wymarzonej harmonii. Ta wiedza, to jest najgorsze – to właśnie jest strach przed śmiercią”.

„Lecz nieszczęście nie polega na tym, że twoje życie teraz, gdy rozmawiamy, nie ma jeszcze tej pełni. Prawda?”.

Jorge pokręcił głową. Nie mówi o żalu, że nie zebrał jeszcze wszystkich doświadczeń, które musiałyby pojawić się w jego życiu, aby stało się ono pełne. Jeśli sama świadomość niepełności obecnego życia byłaby nieszczęściem, wtedy każdy musiałby cały czas być nieszczęśliwy. Świadomość otwartości jest warunkiem, aby życie było żywe, a nie martwe. Nieszczęście zatem powoduje co innego: wiedza, że także w przyszłości nie będzie możliwe zebranie owych dopełniających, doskonalących doświadczeń.

„Jeśli jednak w żadnym momencie życia – powiedziałem – owa niedokończoność nie czyni danej chwili nieszczęśliwą, dlaczego nie miałyby to dotyczyć również tych chwil, które przepełnione są świadomością, że pełnia nie jest możliwa do osiągnięcia? Przecież najwyraźniej upragnione spełnienie jest przez nas pożądane tylko jako przyszły etap, jako coś, do czego się zbliżamy, a nie coś, do czego docieramy”. „Mógłbym też wyrazić to inaczej – dodałem. – Z jakiego punktu widzenia można się skarżyć na nieosiągalną pełnię i stanowi ona potencjalny przedmiot lęku? Skoro nie chodzi o punkt widzenia ulotnej chwili, dla której brak pełni nie jest złem, lecz bodźcem i oznaką żywotności?”.

Jorge powiedział, że, owszem, aby odczuwać taki rodzaj lęku, z którym się obudził, należy przyjąć inny punkt widzenia niż ten dotyczący zwykłych, otwartych na przyszłość chwil: aby uznać brak pełni za zło, trzeba spojrzeć na życie jako całość, można powiedzieć: popatrzeć na nie od końca – dokładnie tak, jak wtedy, gdy myśli się o śmierci.

„Dlaczego jednak takie spojrzenie miałoby stanowić powód do paniki? – spytałem. – Obecnie brak pełni w twoim życiu nie jest złem, w tym się zgodziłem. Wydaje się, że złem jest tylko brak pełni, którego nie możesz doświadczyć, który można stwierdzić dopiero spoza grobu. Żyjąc teraz, nie możesz wybiegać w przyszłość, aby rozpaczać z powodu niezaistniałego jeszcze końca swojego niepełnego życia, które musi dopiero znaleźć się w tym przewidywanym punkcie końcowym. I tak przedmiot twojego lęku przed śmiercią wydaje się dość osobliwy: to brak pełni życia, którego nigdy nie doświadczysz”.

„Bardzo chciałbym zostać kimś, kto potrafi wydobyć brzmienie fortepianu – powiedział Jorge. – Kimś, kto – powiedzmy – umie zagrać na fortepianie Wariacje Goldbergowskie Bacha. Estefânia – ona potrafi, zagrała je dla mnie i od tamtej pory noszę w sobie pragnienie, by także to umieć. Jeszcze przed godziną żyłem w nieokreślonym, niejasnym poczuciu, że będę miał czas, by się tego nauczyć. Dopiero sen o scenie sprawił, że obudziłem się przekonany, iż zakończę życie, nie zagrawszy Bacha”.

„Dobrze – odparłem – ale dlaczego lęk? Dlaczego nie po prostu ból, rozczarowanie, smutek? Albo wściekłość? Lęk odczuwa się przed czymś, co dopiero nastąpi, co nas czeka, jednak twoja wiedza na temat wiecznie milczącego fortepianu już istnieje, mówimy o niej jako należącej do teraźniejszości. Owo zło może trwać, ale nie może stać się większe, nie ma więc logicznego powodu do strachu przed jego nasileniem. Twoja nowa

wiedza zatem może cię przygnębiać i dusić, lecz nie stanowi powodu do paniki”.

Jorge odparł, że to nieporozumienie, strach bowiem wiąże się nie z nową wiedzą, lecz z tym, czego ona dotyczy – wprawdzie dopiero przyszłym, ale przewidywalnym brakiem pełni życia, już teraz odczuwalnym jako brak, który ze względu na swą wielkość zmienia w naszej duszy pewność w strach.

Owa pełnia życia, której przeczuwany brak powoduje, że pot występuje mu na czoło – czym może ona być? Na czym może polegać, jeśli weźmiemy pod uwagę, jak rapsodyczne, zmienne i niestałe jest nasze życie, zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne? Nie jesteśmy odlani z jednej formy, wcale nie. Czy mówimy po prostu o potrzebie nasycenia przeżyciami? Czy to właśnie dręczyło Jorge, to nieosiągalne uczucie, by siedzieć przed lśniącem steinwayem i przyswajać muzykę Bacha w chwili, gdy wypływa spod jego własnych palców? A może chodzi o potrzebę, by przeżyć dość, aby móc opowiadać o swoim życiu jako pełnym?

Czy też jest to kwestia obrazu samego siebie, decydującego wyobrażenia, które wykształciliśmy dawno temu na temat tego, co trzeba osiągnąć i przeżyć, aby móc zaakceptować własne życie? Wtedy strach przed śmiercią jako strach przed niespełnieniem znajdowałby się niejako cały w moim ręku, bo to przecież ja tworzę obraz swojego życia i tego, jak powinno się ono wypełnić. Cóż byłoby zatem prostszego niż myśl, by zmienić ów obraz i dostosować go do życia – lęk przed śmiercią musiałby natychmiast zniknąć. Jeśli mimo to lęk pozostaje przy mnie, to dlatego że obraz, choć stworzony przeze mnie i nikogo innego, nie zależy od mojej woli i nie podlega dowolnym zmianom, lecz jest zakotwiczony we mnie i wyrasta z układu czucia i myślenia, którym jestem. Tak więc strach przed śmiercią można by opisać jako strach, że nie staniemy się tym, kim zamierzaliśmy.

Jasna jak słońce świadomość przemijalności, która ogarnęła Jorge w środku nocy i którą muszę rozbudzać w moich pacjentach, gdy obwieszczam śmiertelną diagnozę, porusza nas tak bardzo, ponieważ, często nieświadomie, dążymy ku pełni i ponieważ każda szczęśliwie przeżyta chwila przedstawia fragment układanki tworzącej ową pełnię. Kiedy zyskujemy pewność, że nigdy nie osiągniemy pełni, wtedy nagle nie wiemy, jak powinniśmy przeżyć nasz czas, bo nie możemy już przeżywać go w nadziei na spełnienie. To właśnie jest przyczyną tego niezwykłego, wstrząsającego doświadczenia, które dotknęło niektórych z moich zmierzających ku śmierci pacjentów – choć ich czas stał się tak krótki, nie wiedzieli, co z nim zrobić.

Gdy po rozmowie z Jorge wyszedłem na ulicę, właśnie wschodziło słońce, a nieliczni ludzie, których spotkałem, wyglądali w świetle dnia jak sylwetki, śmiertelnicy bez twarzy. Usiadłem na parapecie jednego z okien na parterze i czekałem, aż ich twarze zbliżą się i otworzą przede mną. Jako pierwsza nadeszła ociężałym krokiem kobieta. Zobaczyłem, że jej twarz jest jeszcze zaspana, ale bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak rozkwitnie w świetle słońca i będzie spoglądać pełna nadziei i oczekiwania, oczami skierowanymi w przyszłość. Następnie minął mnie starszy mężczyzna z psem. Przystanął, zapalił papierosa i spuścił psa ze smyczy, by zwierzę mogło pobiec do parku. Kochał tego psa i swoje życie z nim, wyraz jego twarzy nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Starsza kobieta w szydełkowej chuście na głowie, która nadeszła po chwili, również trzymała się życia, choć poruszała się z trudem na opuchniętych nogach. Mocno ścisnęła za rękę chłopca niosącego szkolny tornister, zapewne wnuka, którego w pierwszym dniu zajęć prowadziła wczesnym rankiem do szkoły, aby nie spóźnił się na rozpoczęcie swej nowej drogi.

Wszyscy oni umrą i wszyscy na myśl o tym odczuwają strach. Umrzeć kiedyś – tylko nie teraz. Próbowałem przypomnieć sobie labirynt argumentów i pytań, po którym błądziłem z Jorge przez pół nocy, oraz ową jasność, która była w zasięgu ręki, by w ostatnim momencie się wymknąć. Potem obejrzałem się za młodą, przeciągającą się właśnie kobietą, starym mężczyzną bawiącym się smyczą i utykającą babcią gładzącą dziecko po głowie. Czy to nie oczywiste, proste i jasne, na czym polegałoby ich przerażenie, gdyby w tym momencie zostali powiadomieni o tym, że wkrótce umrą? Wystawiłem twarz ze śladami niewyspania na poranne słońce i myślałem: oni chcą po prostu zaczerpnąć więcej życia, obojętne, czy byłoby łatwe, czy uciążliwe, ubogie czy bogate. Nie chcą, by się skończyło, nawet jeśli po zakończeniu życia nie będą mogli żałować jego utraty – i wiedzą to.

Poszedłem do domu. Jaki związek ma skomplikowane, analityczne rozważanie z ową widoczną pewnością? Której z owych postaw powinniśmy bardziej ufać?

Otworzyłem okno w gabinecie i spojrzałem na bladoniebieskie niebo ponad dachami, kominami i praniem rozwieszonym na sznurach – co zasłoby po tej nocy między mną i Jorge? Czy siedzielibyśmy naprzeciw siebie przy szachach jak zwykle, czy inaczej? Cóż dzieje się z nami wobec intymności śmierci?

Było późne popołudnie, gdy Jorge wyszedł z apteki i zaniknął drzwi. Gregorius marzył od godziny i pił jedną kawę po drugiej. Teraz położył banknot pod filiżanką i podążył za O'Kellym. Gdy mijał aptekę, zauważył, że w środku pali się jeszcze światło. Zajrzał przez okno – nikogo, przedpotopowa kasa przykryta brudną osłoną.

Aptekarz skręcił za rogiem, Gregorius musiał się pospieszyć. Szli Rua da Conceição przez Baixę i dalej do dzielnicy Alfama, mijając trzy kościoły, w których po kolei wybijano pełną godzinę. Na Rua de Saudade Jorge

wyrzucił i przydeptał trzeciego już papierosa, po czym zniknął w wejściu domu.

Gregorius przeszedł na drugą stronę ulicy. W żadnym z mieszkań nie zapaliło się światło. Z wahaniem skierował się ku domowi i wszedł do ciemnej klatki schodowej. Jorge musiał zniknąć za tymi ciężkimi drewnianymi drzwiami. Nie wyglądały na drzwi mieszkania, raczej na drzwi pubu, ale nigdzie nie widział szyldu. Hazard? Czy mógł posądzać o to Jorge po tym wszystkim, czego się o nim dowiedział? Z dłońmi w kieszeniach płaszcz Gregorius stanął przed drzwiami. Zapukał. Nic. Gdy w końcu nacisnął klamkę, miał podobne wrażenie jak rankiem, gdy wybierał numer Natalie Rubin – jakby skakał w pustkę.

Był to klub szachistów. W niskim, zadymionym pomieszczeniu ze słabym oświetleniem grano jednocześnie przy dwunastu stołach, sami mężczyźni. W rogu stała mała lada z napojami. Brakowało ogrzewania, mężczyźni mieli na sobie płaszcze i ciepłe kurtki, niektórzy nosili berety. Na O’Kelly’ego widocznie już czekano, Gregorius rozpoznał go za zasłoną dymu, partner Jorge podstawiał mu właśnie zaciśnięte w pięściach figury do wylosowania. Przy stoliku obok siedział samotny mężczyzna, który spojrzał na zegarek, po czym zabębnił palcami o stół.

Gregorius przestraszył się. Mężczyzna wyglądał tak jak ów człowiek z Jury, przeciw któremu grał dziesięć godzin, by w końcu przegrać. Pojechał na turniej do Moutier, był zimny grudzień, słońce się nie pojawiało, a wzgórza piętrzyły się nad miasteczkiem niczym górska twierdza. Przeciwnik, miejscowy, który mówił po francusku jak debil, miał taką samą kanciastą twarz jak Portugalczyk siedzący przy stoliku, tak samo sterczące włosy, które wyglądały, jakby przejechano po nich kosiarką, takie samo cofnięte czoło, takie same odstające uszy. Tylko nos Portugalczyka był inny. I spojrzenie. Czarne, kruczoczarne spojrzenie spod krzaczastych brwi, spojrzenie przypominające mur cmentarny.

Tym spojrzeniem obdarzył teraz Gregoriusa. *Nie przeciw temu mężczyźnie* – pomyślał Gregorius. – *Byle nie przeciwko niemu.* Mężczyzna skinął zapraszająco. Gregorius podszedł. W ten sposób mógł spoglądać na grającego przy sąsiednim stole O’Kelly’ego. Mógł go niezauważenie

obserwować. To była cena. *Ta cholerna święta przyjaźń*, przypomniał sobie słowa Adriany. Usiadł.

– *Novato?* – spytał mężczyzna.

Gregorius nie wiedział, czy znaczyło to po prostu *nowy tutaj*, czy *początkujący*. Wybrał pierwszą wersję i skinął głową.

– Pedro – powiedział Portugalczyk.

– Raimundo – odparł Gregorius.

Mężczyzna grał jeszcze wolniej niż Jurajczyk. Powolność towarzyszyła mu od pierwszego ruchu, ołowiana, paraliżująca powolność. Gregorius rozejrzał się. Nikt nie używał zegara. Zegary nie pasowały do tego miejsca. Nie pasowało do niego nic oprócz szachownic. Rozmowy także nie.

Pedro położył przedramiona płasko na stole, oparł podbródek na dłoniach i spojrzał od dołu na szachownicę. Gregorius nie wiedział, co mu bardziej przeszkadza: ten wysilony, epileptyczny wzrok i uniesione tęczęwki na żółtawym tle czy maniakalne ssanie wargi, które wtedy u Jurajczyka doprowadzało go do szału. To będzie walka z niecierpliwością. Z Jurajczykiem ją przegrał. Przeklinał liczne wypite kawy.

Wymienił pierwsze spojrzenie z siedzącym obok Jorge, człowiekiem, którego obudził niegdyś strach przed śmiercią i który przeżył Pradę już o trzydzieści jeden lat.

– *Atenção!* – powiedział O’Kelly, wskazując podbródkiem Pedra. – *Adversário desagradável*. Nieprzyjemny przeciwnik.

Pedro uśmiechnął się, nie unosząc głowy. Wyglądał jak głupi. – *Justo, muito justo*, bardzo słusznie – wymamrotał, a w kącikach jego ust pojawiły się małe bańki.

Dopóki chodzi o samo obliczenie ruchu, Pedro nie popełni błędu, tyle Gregorius wiedział po godzinie. Nie można się było dać zwieść uciekającemu czołu i wzrokowi epileptyka – przeciwnik wszystko przeliczał, nawet dziesięciokrotnie, jeśli musiał, i liczył z wyprzedzeniem przynajmniej dziesięciu ruchów. Pytanie brzmiało, co się stanie, jeśli Gregorius wykona zaskakujące posunięcie. Ruch nie tylko pozornie bezsensowny, ale faktycznie niemający sensu. W ten sposób Gregorius

często zbijął z pantałyku silnych przeciwników. Tylko w przypadku Doxiadesa ta strategia nie poskutkowała. „Bzdura”, powiedział po prostu Grek i już nie oddał uzyskanej przewagi.

Minęła kolejna godzina i Gregorius postanowił narobić zamieszania, poświęcając pion i nie uzyskując tym samym najmniejszej korzyści.

Pedro kilkakrotnie wysunął i cofnął wargę, a potem uniósł głowę i spojrzał na Gregoriusa. Gregorius żałował, że nie ma starych okularów, które były niczym bastion broniący również przed takimi spojrzeniami. Pedro zamrugał, potarł skronie, krótkimi, grubymi palcami przejechał po sterczących włosach. Potem zostawił pion. – *Novato* – wymruczał – *diz novato*. Teraz Gregorius wiedział, że oznaczało to początkującego.

To, że Pedro nie pobił piona, ponieważ podejrzewał pułapkę, dało Gregoriusowi pozycję, z której mógł zaatakować. Ruch po ruchu przesuwał swoją armię do przodu i odbierał Pedrowi wszelką możliwość obrony. Portugalczyk zaczął co kilka minut z hałasem wciągać smarki, Gregorius nie wiedział, czy robi tak celowo, czy wynika to z ogólnego zaniedbania. Jorge uśmiechnął się, gdy zauważył, że okropny dźwięk drażni Gregoriusa, pozostali najwyraźniej znali już nawyki Pedra. Za każdym razem, gdy Gregorius udaremniał plan Pedra, jeszcze zanim ten wprowadził go w życie, spojrzenie przeciwnika stawało się odrobinę twardsze, jego oczy przypominały teraz lśniący kamień. Gregorius odchylił się na krześle i rzucił spokojne spojrzenie na szachownicę: partia mogła potrwać jeszcze kilka godzin, ale nie stanie się już nic zaskakującego.

Ze spojrzeniem pozornie skierowanym na okno, przed którym na luźnym kablu kołysała się uliczna latarnia, Gregorius zaczął obserwować twarz O'Kelly'ego. W opowiadaniu ojca Bartolomeu mężczyzna ten był początkowo świetlaną postacią, co prawda świetlaną postacią bez blasku, wcale nie oślepiającą, lecz mimo wszystko jawił się jako nieprzekupny, nieustraszony chłopak, który nazywał rzeczy po imieniu. Koniec opowiadania dotyczył jednak nocnej wizyty Prado u ojca Bartolomeu. *Ona. Stała się niebezpieczna. Nie wytrzymałaby. Zaczęłaby sypać. Tak myślą inni. Jorge też? Nie chcę o tym rozmawiać.*

O'Kelly zaciągnął się papierosem, po czym poprowadził gońca przez szachownicę i zbił wieżę przeciwnika. Palce miał żółte od nikotyny, a pod paznokciami czarne obwódki. Duży, mięsisty nos z otwartymi porami był dla Gregoriusa odpychający, przypominał mu jakiś wykwit bezwzględności. Pasował do wcześniejszego uśmiechu wyrażającego zadowolenie z cudzego nieszczęścia. Jednak wszystkie odpychające cechy ustępowały wobec zmęczonego, dobrodusznego spojrzenia brązowych oczu.

Estefânia. Gregorius wzdrygnął się i poczuł, że robi mu się gorąco. Po południu przeczytał to imię w zapiskach Prado, ale nie skojarzył go wtedy. ...*Wariacje Goldbergowskie ...Estefânia – ona potrafi, zagrała je dla mnie, i od tamtej pory noszę w sobie pragnienie, by także to umieć.* Czy mogła to być ta Estefânia? Kobieta, którą Prado musiał uratować przed O'Kellym? Kobieta, o którą rozbiła się przyjaźń ich obu, ta cholerna święta przyjaźń?

Gregorius zaczął gorączkowo liczyć. Tak, to możliwe. Trudno wyobrazić sobie coś okrutniejszego niż to, że ktoś gotów był poświęcić dla ruchu oporu kobietę, która grając Bacha, potrafiła umocnić w nim cudowne, oszałamiające steinwayowskie marzenie, zrodzone już w czasach licealnych.

Co zaszło między nimi wtedy na cmentarzu, gdy ojciec Bartolomeu już odszedł? Czy Estefânia Espinhosa wróciła do Hiszpanii? Była młodsza niż O'Kelly, na tyle młodsza, że Prado mógł się w niej zakochać dziesięć lat po śmierci Fatimy. Jeśli tak się stało, wtedy dramat między Prado i O'Kellym nie był tylko dramatem rozbieżnej moralności, ale także dramatem miłosnym.

Co Adriana wiedziała o tym dramacie? Czy w ogóle dopuszczała do siebie taką myśl? A może musiała zamknąć przed nią swój umysł, podobnie jak przed wieloma innymi rzeczami? Czy nietknięty, szalony steinway nadal stał w mieszkaniu O'Kelly'ego?

Ostatnie ruchy Gregorius wykonał z rutynową pobieżną koncentracją, z jaką grał symultanicznie z uczniami w Kirchenfeld.

Nagle ujrzał, że Pedro powstrzymuje uśmiech, i rzuciwszy uważne spojrzenie na szachownicę, przeraził się. Przewaga została stracona, a Portugalczyk rozpoczął niebezpieczny atak.

Gregorius zamknął oczy. Ogarnęło go ołowiane zmęczenie. Dlaczego po prostu nie wstać i nie wyjść? Jak w ogóle doszło do tego, że siedzi w Lizbonie w nieznośnie niskim pomieszczeniu, w duszącym dymie i gra przeciw odpychającemu mężczyźnie, który nic go nie obchodzi i z którym nie może zamienić ani słowa?

Poświęcił ostatniego gońca i rozpoczął tym samym końcówkę rozgrywki. Nie mógł już wygrać, musiał wystarczyć remis. Pedro poszedł do toalety. Gregorius rozejrzał się. Sala opustoszała. Nieliczni mężczyźni, którzy zostali, podeszli do jego stołu. Pedro wrócił, usiadł i wciągnął smark. Przeciwnik Jorge wyszedł, a on sam usiadł tak, by móc z sąsiedniego stolika obserwować zakończenie gry. Gregorius słyszał jego szeleszczący oddech. Jeśli nie chciał przegrać, musiał o nim zapomnieć.

Alechin wygrał kiedyś finałową rozgrywkę, choć miał o trzy figury mniej. Gregorius, wtedy jeszcze uczeń, z niedowierzaniem odtworzył końcówkę partii. A potem przez wiele miesięcy rozgrywał każdy finał, którego zapis znalazł. Od tamtej pory jedno spojrzenie wystarczało mu, by dostrzec, co powinien zrobić. Dostrzegł to również teraz.

Pedro zastanawiał się pół godziny, a jednak wpadł w pułapkę. Zobaczył ją, ledwo wykonał ruch. Nie mógł już wygrać. Raz po raz wysuwał i wciągał wargę. Utkwił w Gregoriusie kamienne spojrzenie. – *Novato* – powiedział – *novato*. Potem pospiesznie wstał i wyszedł.

– *Donde és?* – spytał jeden z zebranych. Skąd jesteś?

– *De Berna, na Suíça* – powiedział Gregorius i dodał: – *Gente lenta*, powolni ludzie.

Roześmiali się i postawili mu piwo. Niech przyjdzie znowu.

Na ulicy podszedł do niego O'Kelly.

– Dlaczego mnie pan śledził? – spytał po angielsku.

Widząc zdumienie na twarzy Gregoriusa, uśmiechnął się.

– Był czas, kiedy moje życie zależało od tego, czy zauważę, że ktoś mnie śledzi.

Gregorius zawahał się. Co się stanie, jeśli mężczyzna nagle ujrzy portret Prado? Trzydzieści lat po tym, jak pożegnał się z nim na cmentarzu? Powoli wyjął książkę z kieszeni płaszcza, otworzył ją i pokazał

O’Kelly’emu zdjęcie. Jorge zamrugał, wyjął książkę z dłoni Gregoriusa, stanął pod uliczną latarnią i przytrzymał zdjęcie tuż przed oczami. Gregorius miał nigdy nie zapomnieć tej sceny: O’Kelly, który w świetle kołyszącej się latarni spogląda na portret straconego przyjaciela, z niedowierzaniem, przerażony, z twarzą grożącą rozpadem.

– Niech pan pójdzie ze mną – powiedział Jorge ochrypłym głosem, który brzmiał rozkazująco tylko dlatego, by ukryć poruszenie. – Mieszkam niedaleko.

Ruszył przodem, a jego chód był sztywniejszy i bardziej niepewny niż wcześniej; Jorge wyglądał teraz jak stary człowiek.

Jego mieszkanie było norą, zadymioną norą ze ścianami wytapetowanymi fotografiami pianistów. Rubinstein, Richter, Horowitz. Dinu Lipati. Murray Perahia. Ogromny portret Marii João Pires, ulubionej pianistki João Ecy.

O’Kelly przeszedł przez salon, zapalając mnóstwo lamp, które podświetlały wyłaniające się z ciemności zdjęcia. Tylko jeden róg pokoju pozostał nieoświetlony. Stał tam fortepian, a jego milcząca czerń zaciemniała i odbijała światło wielu lamp. *Bardzo chciałbym zostać kimś, kto potrafi wydobyć brzmienie fortepianu... Zakończę życie, nie zagrawszy Bacha.* Przez dziesięciolecia ów fortepian stał tu niczym ciemna fatamorgana polerowanej elegancji, czarny pomnik niespełnionego marzenia o spełnionym życiu. Gregoriusowi przyszły na myśl nietykalne przedmioty w pokoju Prado, ponieważ na fortepianie O’Kelly’ego także nie było nawet drobin kurzu.

Życie nie jest tym, co przeżywamy, jest tym, co wyobrażamy sobie, że przeżywamy, brzmiał jeden z zapisów Prado.

O’Kelly usiadł w fotelu, w którym najwyraźniej zawsze siadał. Popatrzył na portret Amadeu. Jego spojrzenie, rzadko zakłócanie mrugnięciem powiek, potrafiło zatrzymać ruch planet. Pokój wypełniło czarne milczenie fortepianu. Ciszę rozbił ryk motocykla dochodzący z ulicy. *Ludzie nie znoszą ciszy – napisał w jednym z krótszych ustępów Prado – bo oznaczałoby to, że znoszą siebie samych.*

Jorge zapytał, skąd ma książkę, a Gregorius opowiedział. *Cedros vermelhos*, przeczytał na głos Jorge.

– To w stylu Adriany, tak melodramatycznie. Nie lubił tego, ale starał się nie dać Adrianie nic odczuć. „Jest moją siostrą i pomaga mi żyć moim życiem”, powiedział.

Jorge spytał, czy Gregorius wie, co oznaczają czerwone cedry. M \acute{e} lodie, odparł Gregorius, miał wrażenie, że ona wie. Skąd zna M \acute{e} lodie i dlaczego go to wszystko interesuje, spytał O’Kelly. Ton pytania nie był w zasadzie ostry, ale Gregoriusowi wydało się, że pobrzmiwa w nim echo tej ostrości, która kryła się w głosie Jorge dawniej, gdy musiał się pilnować i być czujnym, jeśli pojawiało się coś niezwykłego.

– Chciałbym wiedzieć, jak to było być nim – odparł.

Jorge spojrział na niego zdumiony, spuścił wzrok na portret i zamknął oczy.

– Czy można to zrobić? Dowiedzieć się, jak to jest być kimś innym? Nie będąc *nim*?

Gregorius powiedział, że można przynajmniej dowiedzieć się, jak to jest, gdy wyobrażamy sobie, że jesteśmy kimś innym.

Jorge roześmiał się. Tak musiało to brzmieć, gdy śmiał się ze szczekającego psa na uroczystości zakończenia nauki w liceum.

– I dlatego pan uciekł? Zupełne wariactwo. Podoba mi się. *A imaginação, o nosso último santuário*, wyobraźnia jest naszą ostateczną świętością, zwykł mawiać Amadeu.

Gdy O’Kelly wymówił imię Prado, zaszła w nim zmiana. Gregorius pomyślał, że *Jorge nie wymawiał tego imienia kilkadziesiąt lat*. Palce Jorge drżały, gdy zapalał papierosa. Zakaszłał, potem otworzył książkę tam, gdzie Gregorius po południu włożył między strony rachunek z kawiarni. Jego chuda pierś unosiła się i opadała, oddech szeleścił cicho. Gregorius najchętniej zostawiłby go samego.

– A ja ciągle żyję – powiedział i odłożył książkę. – Tamten strach, ten niezrozumiały strach też jeszcze istnieje. I fortepian nadal stoi. Dziś nie jest już pomnikiem, jest po prostu sobą, fortepianem, tylko sobą, niemym

towarzyszem bez żadnego przesłania. Rozmowa, o której pisze Amadeu, odbyła się pod koniec 1970 roku. Jeszcze wtedy, no cóż, przysięgłbym, że nigdy się nie utracimy, on i ja. Byliśmy jak bracia. Więcej niż bracia.

Pamiętam, jak zobaczyłem go po raz pierwszy. To było na początku roku szkolnego, zjawił się w klasie dzień później, nie pamiętam już dlaczego. I do tego spóźnił się na lekcje. Już wtedy nosił surdut chłopca z bogatego domu, takiego ubrania nie można było kupić w zwykłym sklepie. Jako jedyny nie dźwigał teczek, jakby chciał powiedzieć: *wszystko mam w głowie*. Pasowało to do niespotykanej pewności siebie, z jaką usiadł na wolnym miejscu. Ani śladu arogancji czy zblazowania. Po prostu pewność, że nie ma rzeczy, której nie potrafiłby się bez trudu nauczyć. I nie sądzę, że *wiedział* o swojej pewności, to by ją uszczupliło, nie, on *był* tą pewnością. Wstał, przedstawił się i ponownie usiadł – dojrzały do wystąpień chłopak, chociaż nie, nie wystąpień, nie chciał i nie potrzebował sceny, to był urok, czysta gracia, która płynęła z jego ruchów. Ojciec Bartolomeu zająknął się, gdy to ujrzał, i przez chwilę nie wiedział, co dalej powiedzieć.

Gdy O'Kelly zamilkł, Gregorius powiedział, że czytał końcową mowę Prado. Jorge wstał, poszedł do kuchni i wrócił z butelką czerwonego wina. Nalał, wypił dwa kieliszki, nie pospiesznie, ale jak ktoś, kto tego potrzebuje.

– Pracowaliśmy nad tym całymi nocami. Czasami opuszczała go odwaga. Wtedy pomagał gniew. „Bóg karze Egipt plagami, ponieważ faraon upiera się przy swojej woli – wykrzykiwał. – Ale to sam Bóg go takim uczynił! I uczynił go takim, by móc potem zademonstrować swoją potęgę! Cóż za próżny, zarozumiały Bóg! Cóż za pozer!”. Uwielbiałem go, gdy wypełniał go taki gniew i gdy stawiał czoło Bogu, to swoje wysokie, piękne czoło.

Chciał, by tytuł brzmiał: „Szacunek i wstręt wobec *umierającego* Słowa Bożego”. Powiedziałem, że to patetyczne, patetyczna metafizyka, i w końcu zrezygnował. Miał skłonność do patosu, nie chciał tego przyznać, ale wiedział o tym, i dlatego gdy tylko miał okazję, walczył z kiczem i potrafił być przy tym niesprawiedliwy, okropnie niesprawiedliwy.

Jedyną osobą, którą chronił przed swoją klątwą, była Fátima. Mogła wszystko. Nosił ją na rękach przez całe osiem lat małżeństwa. Potrzebował kogoś, kogo mógłby nosić na rękach, taki już był. To jej nie uszczęśliwiło.

Nie rozmawialiśmy o tym, ona i ja, niezbyt mnie lubiła, może była zazdrosna o bliskość między mną i Amadeu. Kiedyś spotkałem ją na mieście, w kawiarni, czytała gazetę z ogłoszeniami o pracy i niektóre zakreśliła. Gdy mnie zobaczyła, schowała gazetę, ale podszedłem od tyłu i już ją dostrzegłem. „Chciałabym, żeby bardziej mi ufał”, powiedziała w tamtej rozmowie. Jednak jedyną kobietą, której naprawdę ufał, była Maria João. Maria, mój Boże, tak, Maria.

O’Kelly przyniósł nową butelkę. Jego słowa zaczęły się zlewać. Napił się i zamilkł.

Gregorius spytał, jak miała na nazwisko Maria João.

– Ávila. Jak święta Teresa. Dlatego w szkole nazywali ją *a santa*, święta. Gdy to usłyszała, ze złości rzucała różnymi rzeczami. Później, po zamążpójściu, przybrała zupełnie zwyczajne, niepozorne nazwisko, ale je zapomniałem.

O’Kelly pił i milczał.

– Naprawdę myślałem, że nigdy się nie utracimy – powiedział w ciszy. – Myślałem, że to niemożliwe. Kiedyś przeczytałem gdzieś zdanie: *Przyjaźnie mają swój czas i koniec*. Nie nasza, myślałem wtedy, *nie nasza*.

O’Kelly pił teraz coraz szybciej, a usta odmawiały mu posłuszeństwa. Z trudem wstał i na niepewnych nogach wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił z kartką papieru.

– Proszę. To napisaliśmy razem. W Coimbrze, gdy wydawało się nam, że należy do nas cały świat.

Była to lista zatytułowana LEALDADE POR. Poniżej Prado i O’Kelly wypisali wszystkie powody, dla których rodzi się lojalność.

Dług wobec kogoś, wspólnie pokonywane etapy rozwoju, dzielone cierpienie, dzielone radości, solidarność śmiertelnych, wspólnota poglądów, wspólna walka przeciw otoczeniu, wspólne mocne strony, słabości, wspólna potrzeba bliskości, wspólne gusta, wspólna nienawiść, dzielone tajemnice, dzielone fantazje, marzenia, dzielone zachwyty, dzielone poczucie humoru, wspólni bohaterowie, wspólnie podejmowane decyzje,

wspólne powodzenia, niepowodzenia, zwycięstwa, porażki, wspólne rozczarowania, wspólne błędy.

Gregorius zauważył, że na liście brakuje miłości. Ciało O’Kelly’ego napięło się i przez chwilę pomimo upojenia był zupełnie trzeźwy.

– Nie wierzył w miłość. Unikał wręcz tego słowa. Uważał je za kiczowate. Istnieją trzy rzeczy, i tylko te trzy, zwykł mawiać: *pożądanie, upodobanie i poczucie bezpieczeństwa*. I wszystkie przemijają. Najbardziej ulotne jest pożądanie, potem ustępuje upodobanie i, niestety, jest tak, że poczucie bezpieczeństwa, poczucie, że ktoś się nami opiekuje, także kiedyś przemija. Życiowe wyzwania, wszystkie te rzeczy, z którymi musimy sobie poradzić, są po prostu zbyt liczne i zbyt potężne, żeby nasze uczucia mogły je przetrwać niezmienione. Dlatego najważniejsza jest lojalność. Twierdził, że to nie uczucie, lecz wola, postanowienie, zajęcie strony przez duszę. Coś, co przypadkowość spotkań i przypadkowość uczuć zmienia w konieczność. *Powiew wieczności* – jak mówił – *tylko powiew, ale jednak*.

Mylił się. Obaj się myliliśmy.

Później, po powrocie do Lizbony, często zajmowała go kwestia, czy istnieje też coś takiego jak lojalność wobec samego siebie. Zobowiązanie, by nie uciekać przed samym sobą. Ani w wyobraźni, ani w czynach. Gotowość trwania ze sobą, nawet jeśli już się siebie nie lubi. Mógłby opisać się na nowo, a potem sprawić, by opis stał się prawdą. *Toleruję samego siebie tylko wtedy, gdy pracuję*, powiedział.

O’Kelly zamilkł, napięcie w jego ciele ustąpiło, spojrzenie zmętniało, oddech stał się wolniejszy jak u śpiącego. Niemożliwością byłoby teraz po prostu wyjść.

Gregorius wstał i spojrzał na półki z książkami. Cały regał pełen książek o anarchizmie, rosyjskich, andaluzyjskich i katalońskich. Wiele pozycji z *justiça* w tytule. Dostojewski i jeszcze więcej Dostojewskiego. Eça de Queiros, O CRIME DO PADRE AMARO, książka, którą Gregorius kupił przy pierwszej wizycie w antykwariacie Julia Simõesa. Zygmunt Freud. Biografie pianistów. Literatura o szachach. I wreszcie, w niszy, wąski regał ze szkolnymi podręcznikami, niektóre miały niemal siedemdziesiąt lat.

Gregorius wyjął gramatykę łacińską i grecką i przekartkował zmurszałe strony z wieloma atramentowymi kleksami. Słowniki, teksty do ćwiczeń. Cynceron, Liwiusz, Ksenofont, Sofokles. Biblia, wielokrotnie czytana i pełna dopisków.

O’Kelly obudził się, jednak gdy zaczął mówić, było tak, jakby nadal trwał sen, który dopiero co przeżył.

– Kupił mi aptekę. Całą aptekę w najlepszym punkcie miasta. Tak po prostu. Spotykamy się w kawiarni i rozmawiamy o najróżniejszych rzeczach. Ani słowa o aptece. Był skrytym człowiekiem, cholernym, uroczym wielbicielem tajemnic, nie znałem nikogo, kto lepiej opanował sztukę tajemnicy. Była to forma próżności – nawet jeśli nie dopuszczał do siebie takiej myśli. W drodze powrotnej nagle przystaje. „Widzisz tę aptekę?”, pyta. „Oczywiście, że widzę – mówię. – Co z nią?”. „Należy do ciebie – oznajmia i dynda mi przed nosem pękiem kluczy. – Zawsze chciałeś mieć własną aptekę, teraz masz”. Potem zapłacił też za całe wyposażenie. I wie pan co? Wcale nie było to dla mnie przykre. Czułem się oszołomiony i początkowo co rano przecierałem oczy. Czasami dzwoniłem do niego i mówiłem: „Wyobraź sobie, stoję w mojej własnej aptece”. Wtedy śmiał się, to był jego rozluźniony, szczęśliwy śmiech, który z roku na rok stawał się coraz rzadszy.

Miał dziwny, skomplikowany stosunek do rodzinnej fortuny. Wydawało się, że szerokim gestem wyrzuca pieniądze przez okno, inaczej niż sędzia, jego ojciec, który na nic sobie nie pozwalał. Potem jednak spostrzegając jakiegoś żebraka i był wzburzony, za każdym razem tak samo. „Dlaczego daję mu tylko kilka monet? – mówił. – Dlaczego nie zwitek banknotów? Dlaczego nie *wszystko*? I dlaczego właśnie jemu, a nie pozostałym? To przecież czysty ślepy przypadek, że mijamy tego, a nie innego żebraka. I w ogóle – jak można kupić sobie lody, gdy kilka kroków dalej ktoś musi znosić takie upokorzenie? Tak być nie powinno! Słyszysz: nie powinno!”. Kiedyś był tak wściekły na tę niejasność – tę *przekłątą, lepką niejasność*, jak ją nazywał – że tupnął nogą, zawrócił i wrzucił żebrakowi duży banknot do kapelusza.

Twarz O’Kelly’ego, pogrążona we wspomnieniach jak u kogoś, kogo opuścił długi ból, na powrót pociemniała i postarzała się.

– Gdy się utraciliśmy, chciałem najpierw sprzedać aptekę i oddać mu pieniądze. Ale potem stwierdziłem, że w ten sposób przekreśliłbym wszystko, co było, długi szczęśliwy okres naszej przyjaźni. Jakbym zatrzymał całą minioną bliskość i wcześniejsze zaufanie. Zatrzymałem aptekę. I kilka dni po tym, jak podjąłem decyzję, stało się coś niezwykłego – nagle stała się znacznie bardziej moją apteką. Nie rozumiałem tego. Do dziś nie rozumiem.

Przy pożegnaniu Gregorius powiedział mi, że zostawił w aptece zapalone światło.

O’Kelly roześmiał się. – Celowo. Światło pali się zawsze. *Zawsze*. Czyste marnotrawstwo. By zemścić się na biedzie, w której dorastałem. Światło tylko w jednym pomieszczeniu, kładliśmy się spać po ciemku. Tych kilka centavos kieszonkowego, które dostawałem, przeznaczałem na baterie do latarki, przy której czytałem nocami. Książki kradłem. Książki nie powinny nic kosztować, tak myślałem wtedy i dziś nadal tak myślę. Co chwila wyłączali nam prąd z powodu niezapłaconych rachunków. *Cortar a luz*, nigdy nie zapomnę tej groźby. To właśnie od prostych rzeczy nie można uciec. Jak coś pachniało, jak bolało po klapsie, jak to było, gdy nagle ciemność zalewała dom, jak szorstko brzmiało przekleństwo ojca. Początkowo z powodu zapalonego światła czasami zjawiała się w aptece policja. Teraz wszyscy wiedzą i zostawiają mnie w spokoju.

23 Natalie Rubin dzwoniła trzy razy. Gregorius zadzwonił do niej. Powiedziała, że słownik i gramatyka portugalska nie stanowiły żadnego problemu. „*Pokocha* pan tę gramatykę! Jak kodeks prawniczy, mnóstwo list z wyjątkami, facet ma świra na punkcie wyjątków. Tak jak pan, przepraszam”.

Trudniejsza okazała się historia Portugalii, jest ich kilka, Natalie wybrała najbardziej zwartą. Wszystko już wysłała. Gramatyka perska, której tytuł jej podał, jest jeszcze w sprzedaży, Haupt sprowadzi ją w połowie tygodnia.

Za to historia portugalskiego ruchu oporu – to prawdziwe wyzwanie. Biblioteki były już zamknięte. Natalie może się tym zająć dopiero w poniedziałek. U Haupta poradzili jej, by popytała na wydziale romanistyki, już wie, do kogo musi się zwrócić.

Gregorius przeraził się jej zapalem, choć powinien był go przewidzieć. Usłyszał, że Natalie najchętniej przyjechałaby do Lizbony i pomogła mu w poszukiwaniach.

Gregorius obudził się w środku nocy i nie był pewien, czy powiedziała to tylko we śnie, czy też w rzeczywistości. *Cool*, powtarzali cały czas Kägi i Luden von Graffenried, gdy grał przeciwko Pedrowi, Jurajczykowi, który popychał figury na szachownicy czołem i z wściekłości uderzał głową o stół, kiedy Gregorius go przechytrzył. Gra przeciw Natalie była niezwykła i niesamowita, ponieważ dziewczyna grała bez figur i w ciemności. „Znam portugalski i mogę cię wspierać!”, powiedziała. Próbował odpowiedzieć jej po portugalsku i czuł się jak na egzaminie, bo słowa nie nadchodziły. *Minha senhora*, zaczynał wciąż na nowo. *Minha senhora*, i nie wiedział, co dalej.

Zadzwoił do Doxiadesa. Grek zapewnił, że go nie obudził, bo ze spaniem znowu jest źle. I nie tylko ze spaniem.

Takiego zdania Gregorius nigdy jeszcze od niego nie usłyszał i przestraszył się. Spytał, co się stało.

– Ach, nic – odparł Grek. – Jestem po prostu zmęczony, popełniam błędy w pracy, chciałbym to rzucić.

Rzucić? On chce to *rzucić*? I co potem?

– Pojadę do Lizbony, na przykład – roześmiał się.

Gregorius opowiedział o Pedro, jego uciekającym czole i epileptycznym spojrzeniu. Doxiades przypomniał sobie Jurajczyka.

– Potem przez jakiś czas grał pan fatalnie – powiedział. – Jak na pana.

Jaśniało już, gdy Gregorius na powrót zasnął. Obudził się dwie godziny później. Nad Lizboną piętrzyło się bezchmurne niebo, ludzie chodzili bez płaszczy. Wsiadł na statek i popłynął do Cacilhas do João Eçy.

– Przeczuwałem, że pan dziś przyjdzie – powiedział, a oszczędne słowa w wąskich ustach zabrzmiały jak entuzjastyczny wybuch fajerwerków.

Wypili herbatę i zagrali w szachy. Dłoń Ecy drżała, gdy wykonywał ruch, a gdy stawiał figurę, rozlegało się stuknięcie. Za każdym razem Gregoriusa na nowo przerażały blizny po oparzeniach na wierzchu dłoni.

– Najgorsze nie są rany i ból – powiedział Eça. – Najgorsze jest upokorzenie. Upokorzenie, gdy czujesz, że robisz w spodnie. Kiedy wyszedłem, płonałem chęcią zemsty. Paliła mnie. Czekałem w ukryciu, aż oprawcy wyjdą po służbie. W zwyczajnych płaszczach i z teczkami, jak ludzie, którzy idą do biura. Szedłem za nimi do domu. Odpłacić pięknym za nadobne. Uratował mnie wstręt przed dotknięciem ich. A musiałbym ich dotknąć, strzał byłby zbyt wielką łaską. Mariana sądziła, że przeszedłem proces moralnego dojrzewania. Ani śladu. Zawsze wzbraniałem się przed, jak to nazywają, dojrzwaniem. Nie lubię dojrzałości. Uważam tak zwaną dojrzałość za oportunizm lub czyste zmęczenie.

Gregorius przegrał. Już po kilku ruchach poczuł, że nie *chce* wygrać z tym mężczyzną. Sztuka polegała na tym, by nie dać mu tego odczuć, zdecydował się więc na karkołomny manewr, który gracz taki jak Eça mógł przejrzeć, ale tylko gracz taki jak on.

– Następnym razem niech pan nie da mi wygrać – powiedział Eça, gdy rozległ się dźwięk zapowiadający posiłek. – Inaczej się rozzłoszczę.

Zjedli rozgotowany obiad dla pensjonariuszy, smakował mdło. Eça powiedział, że tak jest zawsze, a gdy ujrzał twarz Gregoriusa, po raz pierwszy naprawdę się roześmiał. Gregorius dowiedział się nieco o bracie João, ojcu Mariany, który ożenił się bogato, i o nieudanym małżeństwie lekarki.

– Tym razem nie spytał pan o Amadeu – stwierdził Eça.

– Jestem tu ze względu na pana, a nie ze względu na niego – odparł Gregorius.

– Nawet jeśli nie przyszedł pan z jego powodu – powiedział Eça pod wieczór – mam coś, co chciałbym panu pokazać. Dał mi to pewnego dnia, gdy spytałem go, co pisze. Czytałem te słowa tak często, że znam je niemal na pamięć. – I przetłumaczył dla Gregoriusa obie strony.

O BÁLSAMO DA DESILUSÃO. BALSAM ROZCZAROWANIA. *Rozczarowanie uchodzi za zło. To nieprzemyślany przesąd. Przez co, jeśli nie przez rozczarowanie, mamy odkryć, czego oczekiwaliśmy i na co mieliśmy nadzieję? I w czym, jeśli nie w tym odkryciu, ma się kryć poznanie samego siebie? Jak zatem możemy bez rozczarowania zyskać jasny pogląd na swój temat?*

Nie powinniśmy przyjmować rozczarowań z westchnieniem, jako czegoś, bez czego nasze życie byłoby lepsze. Powinniśmy ich szukać, czuć je, gromadzić. Dlaczego jestem rozczarowany tym, że wszyscy aktorzy, których uwielbiałem w młodości, noszą teraz ślady starości i rozkładu? Czego uczy mnie rozczarowanie tym, jak mało wart jest sukces? Niektórzy potrzebują całego życia, by przyznać się do rozczarowania swoimi rodzicami. Czego zatem właściwie od nich oczekiwaliśmy? Ludzie, którzy muszą żyć pod bezlitosną władzą bólu, często są rozczarowani tym, jak zachowują się inni, także ci, którzy trwają przy nich i podają im leki. To, co robią i mówią, a także to, co czują, nie wystarcza. „Czego zatem pan oczekuje?”, pytam. Nie potrafią odpowiedzieć i są zmieszani tym, że przez lata nosili w sobie oczekiwanie, które się nie spełniło, choć nic o nim nie wiedzieli.

Ktoś, kto naprawdę chciałby dowiedzieć się, kim jest, musiałby być nieustającym, fanatycznym kolekcjonerem rozczarowań, a szukanie rozczarowujących doświadczeń musiałoby przypominać uzależnienie, determinujące wszystko uzależnienie, ponieważ człowiek taki widziałby wyraźnie, że rozczarowanie to nie paląca, niszczycielska trucizna, lecz chłodny, uspokajający balsam, który otwiera nam oczy na prawdziwe oblicze nas samych.

Takiemu człowiekowi nie mogłoby zależeć tylko na rozczarowaniach, jakie dotyczą innych ludzi lub okoliczności. Jeśli odkryliśmy rozczarowanie jako nić prowadzącą do samego siebie, jesteśmy spragnieni doświadczyć,

jak bardzo rozczarowaliśmy się sobą: na przykład naszym brakiem odwagi i uczciwości albo niezwykle wąskimi granicami, które wyznaczają nasze czucie, działanie i język. Czegóż zatem oczekiwaliśmy od siebie i na co mieliśmy nadzieję? Że będziemy pozbawieni granic albo że będziemy inni, niż jesteśmy?

Ktoś mógłby żywić nadzieję, że ograniczenie oczekiwań spowoduje, iż będzie bardziej rzeczywisty, skurczy się do twardego, stałego jądra i to ochroni go przed bólem rozczarowania. Jednak jak by to było wieść życie, w którym wzbraniamy się od wszelkiego wybiegającego w dal, nieskromnego oczekiwania, życie, w którym istnieją tylko oczekiwania tak banalne jak to, że przyjedzie autobus?

– Nie znałem nikogo, kto tak bezgranicznie jak on potrafił pogрузić się w rozmyślaniach – powiedział Eça. – I kto tak bardzo nienawidził rozczarowań. To, co tu pisze, pisze *wbrew sobie samemu*. Podobnie jak często żył *wbrew sobie*. Jorge by temu zaprzeczył. Czy poznał pan Jorge? Jorge O’Kelly, aptekarz, w którego sklepie dniem i nocą pali się światło? Znał Amadeu znacznie dłużej niż ja, znacznie dłużej. A jednak.

Jorge i ja... no cóż. Raz rozegraliśmy partię. Jedyne raz. Remis. Ale jeśli chodziło o planowanie operacji i o wyjątkowo wyrafinowany kamuflaż, byliśmy niepokonanym zespołem, bliźnięta, które rozumieją się na ślepo.

Amadeu był zazdrosny o to ślepe porozumienie, czuł, że nie może dorównać nam w przebiegłości i braku skrupułów. *Wasza falanga*, nazywał tę naszą więź, która często była także więzią milczenia, nawet wobec niego. I czuło się, że chętnie by tę falangę przełamał. Rzucał przypuszczenia. Czasami trafiał w samo sedno. A czasami całkiem błędził. Szczególnie gdy chodziło o coś, co dotyczyło jego... tak, jego samego.

Gregorius wstrzymał oddech. Czy dowie się teraz czegoś o Estefanii Espinhosie? Nie mógł o to *spytać* ani João Eça, ani Jorge O’Kelly, to było wykluczone. Czy Prado w końcu się pomylił? Czy zapewnił kobiecie

bezpieczeństwo, które wcale nie istniało? A może wahanie Ecy dotyczyło zupełnie innego wspomnienia?

– Zawsze nienawidziłem tutejszych niedziel – powiedział Eça na pożegnanie. – Ciasto bez smaku. Bitka śmietana bez smaku, prezenty bez smaku, frazesy bez smaku. Piekło konwencji. Ale teraz... popołudnia z panem... mógłbym do tego przywyknąć.

Wyjął dłoń z kieszeni i wyciągnął ją do Gregoriusa. Była to dłoń z brakującymi paznokciami. Gregorius czuł jej mocny uścisk przez całą podróż statkiem.

Część trzecia

Próba

24 W poniedziałek rano Gregorius poleciał do Zurychu. Obudził

się o świcie i pomyślał: *Zmierzam ku temu, by siebie zatracić*. Nie było tak, że najpierw obudził się i pomyślał tę myśl przytomnie, w przytomności, która towarzyszyłaby mu nawet bez tej myśli. Stało się odwrotnie: najpierw pojawiła się myśl, a potem przytomność. W ten sposób owa niezwykła, przejrzysta przytomność, nowa dla Gregoriusa i odmienna od przytomności, która ogarnęła go w czasie jazdy do Paryża, w pewnym sensie nie była niczym innym jak samą myślą. Nie miał pewności, czy wie, o co dokładnie mu chodzi, ale myśl pomimo całej niejasności cechowała nakazowa określoność. Gregoriusa ogarnęła panika, drżącymi rękoma zaczął się pakować, w dzikim bezładzie zbierał książki i ubrania. Gdy walizka była pełna, zmusił się do zachowania spokoju i stanął na chwilę przy oknie.

To będzie przepiękny dzień. W salonie Adriany blask rozświetli parkiet. W porannym słońcu biurko Prado będzie wyglądać na jeszcze bardziej opuszczone niż zwykle. Na ścianie nad blatem wisały karteczki z wytartymi, ledwo czytelnymi słowami, z daleka widziało się tylko punkty, gdzie mocniej przyciśnięto pióro. Gregorius bardzo chciałby wiedzieć, o czym te notatki miały przypominać lekarzowi.

Jutro, pojutrze, a może już dzisiaj Clotilde zjawi się w hotelu z nowym zaproszeniem od Adriany. João Eça liczył na to, że w niedzielę Gregorius przyjdzie zagrać w szachy. O’Kelly i Mélodie zdziwią się, jeśli już się nie odezwie, mężczyzna, który pojawił się znikąd i wypytywał o Amadeu, jakby jego zbawienie zależało od tego, czy zrozumie, kim on był. Ojciec Bartolomeu uzna za dziwne, że odpis końcowej mowy Prado Gregorius prześle mu pocztą. Mariana Eça także nie zrozumie, dlaczego jakby zapadł się pod ziemię. I Silveira. I Coutinho.

Gdy regulował rachunek, kobieta w recepcji wyraziła nadzieję, że nie stało się nic złego, skoro wyjeżdża tak nagle. Nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił taksówkarz. Kiedy płacił na lotnisku za bilet, znalazł

w kieszeni płaszcza kartkę, na której Julio Simões, antykwariusz, zapisał adres szkoły językowej. Patrzył na nią przez chwilę, a potem wyrzucił do kosza na śmieci przed drzwiami hali odlotów. Samolot o dziesiątej był w połowie pusty, poinformowali go w okienku i dali miejsce przy oknie.

W poczekalni słyszał tylko portugalski. Raz wychwycił słowo *português*. Teraz było to słowo, które napawało go strachem, choć nie potrafił powiedzieć przed czym. Chciał zasnąć w swoim łóżku przy Länggasse, chciał przejść po Bundesterrasse i moście Kirchenfeld, chciał objaśniać *ablativus absolutus* i opowiadać o *Iliadzie*, chciał stanąć na placu Bubenberg, gdzie wszystko znał. Chciał do domu.

Gdy zbliżali się do lotniska w Kloten, obudziło go zadane po portugalsku pytanie stewardesy. Było to dłuższe pytanie, zrozumiał je bez trudu i odpowiedział po portugalsku. Spojrzał w dół na Jezioro Zuryskie. Szerokie pasma terenu przykrywał brudnawy śnieg. Na skrzydłach samolotu bębnił deszcz.

Pomyślał, że nie chce przecież dostać się do Zurychu, lecz do Berna. Cieszył się, że ma przy sobie książkę Prado. Gdy maszyna podchodziła do lądowania i pozostali pasażerowie schowali swoje książki i gazety, wyjął ją i zaczął czytać.

JUVENTUDE IMORTAL. NIEŚMIERTELNA MŁODOŚĆ. *W młodości żyjemy tak, jakbyśmy byli nieśmiertelni. Wiedza o śmiertelności otacza nas niczym cienka papierowa wstążka, ledwie dotykająca naszej skóry. Kiedy to się zmienia? Kiedy wstążka zaczyna opasywać nas ciaśniej, a w końcu dusić? Po czym poznać jej łagodny, lecz nieustanny ucisk, który wyraźnie daje nam znać, że nigdy nie ustąpi? Jak rozpoznać go u innych? I jak u siebie samego?*

Gregorius zapragnął, żeby samolot stał się autobusem, w którym na końcowej stacji można po prostu siedzieć i czytać dalej, a potem pojechać z powrotem. Wysiadł jako ostatni.

Przy okienku biletowym zwlekał tak długo, że kasjerka zaczęła niecierpliwie obracać bransoletkę.

– Druga klasa – powiedział wreszcie.

Gdy pociąg opuścił dworzec w Zurychu i nabrał rozpędu, Gregoriusowi przyszło do głowy, że Natalie Rubin szuka dziś w bibliotekach książki o portugalskim ruchu oporu, a pozostałe książki są już w drodze do Lizbony. W połowie tygodnia, gdy on będzie już na powrót zadomowiony przy Länggasse, dziewczyna pójdzie do księgarni Haupta tylko kilka domów dalej, a potem zanieśie na pocztę gramatykę perską. Co mógł powiedzieć Natalie, jeśli ją spotka? Co mógł powiedzieć pozostałym? Kägiemu i innym kolegom z pracy? Uczniom? Z Doxiadesem będzie najprościej, ale mimo to, jakie słowa były właściwe, jakie słowa pasowały? Gdy w zasięgu jego wzroku znalazła się berneńska katedra, miał wrażenie, że za kilka minut wkroczy do zakazanego miasta.

W mieszkaniu było lodowato. Gregorius odsłonił żaluzje w kuchni, które zaciągnął dwa tygodnie temu, by się ukryć. Płyta z kursem językowym nadal znajdowała się na adapterze, okładka na stole. Słuchawka telefonu leżała odwrócona na widełkach i przypominała o nocnej rozmowie z Doxiadesem. *Dlaczego ślady przeszłości mnie zasmucają, nawet jeśli są śladami czegoś wesołego?* – pytał Prado w lakonicznej notatce.

Gregorius rozpakował walizkę i położył książki na stole. O GRANDE TERRAMOTO. A MORTE NEGRA. Włączył ogrzewanie we wszystkich pomieszczeniach, nastawił pralkę i zaczął czytać o epidemii dżumy w Portugalii w XIV i XV wieku. Język nie był trudny, czytał więc szybko. Po chwili zapalił ostatniego papierosa z paczki, którą kupił w kawiarni w pobliżu domu Mélodie. W ciągu piętnastu lat, odkąd tu zamieszkał, po raz pierwszy w powietrzu unosił się papierosowy dym. Od czasu do czasu, gdy kończył się rozdział książki, Gregorius myślał o swojej pierwszej wizycie u João Ecy i miał wrażenie, że czuje w gardle palącą herbatę, którą wlał w siebie, by ulżyć jego drżącym dłoniom.

Kiedy podszedł do szafy, by wyjąć grubszy sweter, przypomniał sobie sweter, w który owinał hebrajską Biblię znaną w opuszczonym liceum. Dobrze było siedzieć w gabinecie senhora Cortesa i czytać Księgę Hioba, podczas gdy snop światła słonecznego wędrował po podłodze. Gregorius

pomyślał o Elifazie z Temanu, Bildadzie z Szuach i Sofarze z Naamy. Ujrzał szyld na stacji kolejowej w Salamance i przypomniał sobie, jak przygotowując się do wyjazdu do Isfahanu, zapisał pierwsze perskie słowa na tablicy ściennej w swoim pokoju, tylko kilkaset metrów stąd. Wyjął kartkę i wyruszył na poszukiwanie wspomnień własnej dłoni. Odnalazł kilka kresek i łuków, kilka punkcików oznaczających samogłoski. Potem wspomnienia się urwały.

Wzdrygnął się, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Była to pani Loosli, jego sąsiadka. Powiedziała, że po zmienionym ułożeniu wycieraczki poznała, że wrócił, po czym przekazała mu listy oraz klucz do skrzynki. Czy miło spędził urlop? I czy teraz ferie zaczynają się tak wcześnie?

Jedyne, co zainteresowało Gregoriusa w otrzymanej poczcie, był list od Kägiego. Wbrew przyzwyczajeniu nie sięgnął po nóż do papieru, lecz pospiesznie rozerwał kopertę.

Drogi Gregoriusie,

nie chcę, by list, który Pan do mnie napisał, przebrzmiał w ciszy. Zbyt mocno mnie poruszył. Zakładam, że dokądkolwiek uda się Pan w podróż, kiedyś przekażą Panu pocztę.

Najważniejsze, co chcę Panu powiedzieć, to to, że w naszym gimnazjum jest bez Pana dziwnie pusto. Jak wielka jest ta pustka, może świadczyć fakt, że w pokoju nauczycielskim Virginie Ledoyen powiedziała zupełnie zniecka: „ Czasami nienawidziłam go za ten jego bezpośredni, nieokrzesany sposób bycia i naprawdę mógłby się czasem ubrać trochę porządniej. Wciąż te znoszone, powypychane rzeczy. Muszę jednak powiedzieć, muszę to powiedzieć: w jakiś sposób mi go brak. Étonnant”. Słowa naszej szanownej francuskiej koleżanki są niczym w porównaniu z tym, co słyszymy od uczniów. I, jeśli mogę dodać, od niektórych uczennic. Gdy stoję teraz przed Pana klasą, odczuwam Pańską nieobecność jak wielki, ciemny cień. I co będzie teraz z turniejem szachowym?

Marek Aureliusz – rzeczywiście. My, moja żona i ja, jeśli wolno mi się z tego zwierzyć, w ostatnim czasie coraz bardziej mamy wrażenie, że tracimy dwoje naszych dzieci. Nie jest to strata spowodowana chorobą czy wypadkiem, lecz znacznie gorsza: odrzucają cały nasz sposób życia i nie wyrażają się na ten temat zbyt oględnie. Są chwilę, gdy moja żona wygląda tak, jakby się rozpadała. Przywołanie przez Pana słów mądrego cesarza dobrze tu pasuje. I niech wolno mi będzie dodać coś, czego, miejmy nadzieję, nie odbierze Pan jako zbytnej śmiałości – zawsze, gdy widzę kopertę z Pańskim listem, która jakoś nie chce zniknąć z mojego biurka, odczuwam ukłucie zazdrości. Po prostu wstać i wyjść: cóż za odwaga! „Po prostu wstał i wyszedł – powtarzali wciąż uczniowie. – Po prostu wstał i wyszedł!”.

Pańska posada pozostaje tymczasem wolna, powinien Pan o tym wiedzieć. Część zajęć przejąłem sam, poza tym znaleźliśmy studentów na zastępstwo, także do hebrajskiego. Jeśli chodzi o kwestie finansowe, dyrektorka prześle Panu stosowne dokumenty.

Cóż mam powiedzieć na koniec, drogi Panie? Najlepiej po prostu, że wszyscy życzymy Panu, by Pańska podróż zaprowadziła Pana naprawdę tam, gdzie chce Pan dotrzeć, zarówno w świecie zewnętrznym, jak i wewnętrznym.

Pański Werner Kägi

PS Pańskie książki są w mojej szafie. Nic im się nie stanie. Jeśli chodzi o kwestie praktyczne, mam jeszcze jedną prośbę: czy mógłby Pan przy okazji – nie ma pośpiechu – przysłać mi swoje klucze?

Ręcznie Kägi dopisał: A może chce je Pan zachować? Na wszelki wypadek?

Gregorius długo się nie kładł. Na dworze zapadł zmrok. Nie sądził, że Kägi napisze do niego taki list. Dawno temu widział go kiedyś z dziećmi

w mieście, śmiali się, wszystko wydawało się w porządku. To, co Virginie Ledoyen powiedziała o jego ubraniu, podobało mu się i poczuł się niemal nieszczęśliwy, gdy spojrzął na spodnie nowego garnituru, który włożył na podróż. *Bezpośredni*, tak. Ale *nieokrzesany*? I które to uczennice poza Natalie Rubin i może Ruth Gautschi za nim tęskniły?

Wrócił, bo chciał na powrót znaleźć się w otoczeniu, które znał. Gdzie nie musiał mówić po portugalsku, francusku czy angielsku. Dlaczego list Kägiego sprawił, że ten zamiar, najprostszy ze wszystkich zamiarów, nagle wydał się trudny? Dlaczego teraz było dla niego jeszcze ważniejsze niż wcześniej w pociągu, żeby udać się na plac Bubenberg nocą?

Gdy godzinę później stanął na placu, miał wrażenie, że nie może go już dotknąć. Tak, choć brzmiało dziwnie, było to właściwe słowo – nie mógł już *dotknąć* placu. Trzy razy obszedł go naokoło, czekał na światłach i rozglądał się na wszystkie strony – widział kino, pocztę, pomnik, hiszpańską księgarnię, gdzie natknął się na książkę Prado, z przodu przystanek tramwajowy, kościół Ducha Świętego i dom towarowy LOEB. Stanął na uboczu, zamknął oczy i skoncentrował się na nacisku, jaki jego ciężkie ciało wywierało na asfalt. Stopy zaczęły go palić, ulica zdawała się zbliżać, ale nadal nie udało mu się dotknąć placu. Nie tylko ulica, lecz cały plac z narosłą przez dziesięciolecia bliskością kierował się w jego stronę, jednak ulice, budynki, światła i dźwięki nie mogły dosięgnąć go całkowicie, nie mogły pokonać tej ostatniej, cienkiej jak podmuch warstwy, by dotrzeć do niego w pełni i wejść we wspomnienia jako coś, co nie tylko znał, świetnie znał, ale także czym był. Wcześniej bowiem był tym wszystkim i dopiero teraz, wobec porażki, uświadomił to sobie.

Uparta, niewytłumaczalna warstwa nie chroniła go, nie była jak bufor zapewniający dystans i opanowanie. Wywoływała raczej w Gregoriusie panikę, lęk, że wraz z tymi znanymi rzeczami, które chciał przywołać, by odnaleźć się na nowo, straci również siebie i doświadczy tu tego samego, co o świcie w Lizbonie, tylko w sposób bardziej zdradziecki i znacznie bardziej niebezpieczny, ponieważ o ile poza Lizboną istniało Berno, o tyle poza utraconym Bernem nie było już innego Berna. Ze spojrzeniem wbitym w stałą, a jednak ustępującą spod nóg ziemię Gregorius wpadł na mijającego go przechodnia, potem ogarnęły go zawroty głowy, przez chwilę wszystko się kręciło, chwycił się obiema rękami za głowę, jakby chciał ją

przytrzymać, i gdy ponownie odzyskał spokój i pewność siebie, zobaczył, że ogląda się za nim jakaś kobieta, a w jej spojrzeniu kryje się pytanie, czy nie potrzebuje pomocy.

Zegar na kościele wskazywał już prawie ósmą, ruch uliczny zamierał. Sufit chmur rozdzielił się i ukazał gwiazdy. Było zimno. Gregorius przeszedł przez Kleine Schanze i dalej do Bundesterrasse. Rozemocjonowany czekał na chwilę, gdy skręci na most Kirchenfeld, jak czynił to przez dziesięciolecia za kwadrans ósma rano.

Most był zagrodzony. Przez całą noc, aż do rana, trwała naprawa torów tramwajowych. – Poważny wypadek – powiedział ktoś, gdy zobaczył, jak Gregorius oszołomiony wpatruje się w tablicę.

Z uczuciem, że coś obcego weszło mu w nawyk, wkroczył do hotelu Bellevue i udał się do restauracji. Przytłumiona muzyka, jasnobeżowa marynarka kelnera, srebra. Zamówił kolację. *Balsam rozczarowania*. „Często z tego żartował – powiedział João Eça o Prado – że my, ludzie, uważamy świat za scenę, na której chodzi o nas i o nasze pragnienia. Tę ułudę uznawał za źródło wszelkich religii. «A przy tym nic z tego nie jest prawdą – zwykł mawiać. – Wszechświat po prostu istnieje i jest mu całkowicie obojętne, naprawdę obojętne, co się z nami stanie»”.

Gregorius wyjął książkę Prado i poszukał tytułu ze słowem *cena*. Gdy podano jedzenie, znalazł, czego szukał:

CENA CARICATA. ŚMIESZNA SCENA. Świat jako scena, która czeka na to, żebyśmy odegrali na niej ważne i smutne, śmieszne i nieznaczące dramaty naszych wyobrażeń. Jakże poruszająca i urocza jest owa idea! I jakże nieunikniona!

Gregorius udał się powoli do Monbijou i stamtąd przez most do gimnazjum. Minęło wiele lat, odkąd widział budynek z tej strony, wydał mu się więc dziwnie obcy. Zawsze wchodził do szkoły tylnym wejściem, a teraz miał przed sobą wejście główne. Wszystko było ciemne. Zegar na kościelnej wieży wybijał wpół do dziesiątej.

Mężczyznę, który odstawił rower, podszedł do wejścia, otworzył drzwi i zniknął w środku, był Burri, major. Czasami zjawiał się wieczorem, by przygotować na następny dzień jakiś fizyczny lub chemiczny eksperyment. W laboratorium zapaliło się światło.

Gregorius bezgłośnie wśliznął się do budynku. Nie miał pojęcia, czego tu szuka. Na palcach zakradł się na pierwsze piętro. Drzwi do klas były zamknięte, także wysokie drzwi auli nie dały się otworzyć. Poczł się odrzucony, nawet jeśli nie miało to najmniejszego sensu. Gumowe podeszwy cicho piszczały na linoleum. Przez okno świecił księżyc. W jego bladym świetle Gregorius przyglądał się wszystkiemu w zupełnie nowy sposób, niejako nauczyciel i nie jako uczeń. Klamki, poręcze schodów, szafki uczniów. Odpowiadały mu tysięcznymi spojrzzeniami z dawnych dni i ukazywały się jako przedmioty, których jeszcze nigdy nie widział. Kładł dłoń na klamkach, czuł ich chłodny opór, a potem ruszył dalej korytarzami jak wielki, zmęczony cień. Na parterze, na drugim końcu budynku Burri coś upuścił, odgłos tłuczonego szkła rozległ się echem.

Jedne z drzwi ustąpiły. Gregorius stanął w sali, w której jako uczeń zobaczył na tablicy pierwsze greckie słowa. Było to przed czterdziestoma trzema laty. Zawsze siedział z tyłu po lewej i teraz także usiadł w tym miejscu. Eva, Niewiarygodna, siedząca dwa rzędy przed nim, nosiła włosy związane w koński ogon i godzinami mógł się przyglądać, jak ogon przesuwał się z ramienia na ramię nad bluzką i swetrem. Beat Zurbriggen, który przez te wszystkie lata siedział obok Gregoriusa, często zasypiał na zajęciach, dlatego się z niego wyśmiewano. Potem okazało się, że miało to związek z zaburzeniami przemiany materii, które spowodowały jego wczesną śmierć.

Gdy Gregorius opuszczał klasę, wiedział, dlaczego tak dziwnie było się tu znaleźć – szedł korytarzami i widział samego siebie jako ucznia, zapominając, że przez dziesięciolecia chadzał tędy jako nauczyciel. Czy ktoś wcześniejszy może zapomnieć siebie późniejszego, choć ten późniejszy był sceną, na której wystawiano dramaty wcześniejszego? A jeśli nie było to zapomnienie, to co?

Na dole Burri szedł korytarzem, przeklinając. Trzasnęły drzwi, które musiały być drzwiami do pokoju nauczycielskiego. Gregorius usłyszał, jak

zatrząskują się również drzwi wejściowe. Przekręcono klucz. Został zamknięty.

Czuł się tak, jakby nagle się obudził. Nie było to jednak przebudzenie nauczyciela, nie powrót do Mundusa, który w tym budynku spędził swe życie. Było to przebudzenie potajemnego gościa, któremu tego wieczoru nie udało się dotknąć placu Bubenberga. Gregorius zszedł do pokoju nauczycielskiego. Zagniewany Burri zapomniał zamknąć drzwi. Spojrzał na fotel, w którym zawsze siadała Virginie Ledoyen. *Muszę jednak powiedzieć, muszę to powiedzieć: w jakiś sposób mi go brak.*

Przez chwilę stał przy oknie i spoglądał w noc. Ujrzał aptekę O'Kelly'ego. Na szybie w zielonożółtych drzwiach napisano IRISH GATE. Podeszedł do telefonu, wybrał numer informacji i poprosił o połączenie z apteką. Chciał, by w pustej, jasno oświetlonej aptece telefon dzwonił całą noc, aż Jorge odeśpi alkoholowe upojenie, przyjdzie i za ladą zapali pierwszego papierosa. Po chwili jednak Gregorius usłyszał sygnał oznaczający zajętą linię i odłożył słuchawkę. Gdy ponownie wybrał numer informacji, kazał się połączyć z ambasadą szwajcarską w Isfahanie. Zgłosił się mężczyzna o obcym, ochryplym głosie. Gregorius odłożył słuchawkę. *Hans Gmür – pomyślał – Hans Gmür.*

Wydostał się przez okno przy tylnym wejściu i upadł na ziemię. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, przytrzymał się więc mocno stojaka na rowery. Potem skierował się do baraku i podeszedł do okna, przez które uciekł ongiś w trakcie lekcji greki. Zobaczył, jak Niewiarygodna obraca się do sąsiadki, by zwrócić jej uwagę na niewiarygodne wyjście Gregoriusa. Oddech Ewy poruszył włosy koleżanki, piegi uwydatniły widoczne na twarzy zdumienie, a oczy o srebrnym spojrzeniu zdawały się rozszerzać. Gregorius odwrócił się i poszedł w kierunku mostu Kirchenfeld.

Zapomniał, że most był zamknięty. Zagniewany wybrał drogę przez Monbijou. Gdy dotarł na Bärenplatz, biła północ. Wcześniej rano zaczynał się targ, targ ze straganiarkami i kasami z pieniędzmi. *Książki kradłem. Książki nie powinny nic kosztować, tak myślałem wtedy i dziś nadal tak myślę,* usłyszał słowa O'Kelly'ego. Poszedł dalej w kierunku Gerechtigkeitsgasse.

W mieszkaniu Florence nie paliło się światło. Przed pierwszą nigdy się nie kładzie. Nigdy się nie kładła. Gregorius przeszedł na drugą stronę ulicy i czekał za kolumną. Ostatni raz zrobił tak ponad dziesięć lat temu. Wracała sama do domu, a krok miała zmęczony, bez energii. Gdy ujrzał ją teraz, była w towarzystwie mężczyzny. *Mógłbyś sobie czasem kupić coś nowego do ubrania. W końcu nie mieszkasz sam. A do tego znajomość greki nie wystarczy.* Gregorius spojrzał na swój nowy garnitur – był ubrany lepiej niż tamten mężczyzna. Kiedy Florence uczyniła kolejny krok i na jej włosy padło światło latami, przeraził się: w ciągu tych dziesięciu lat posiwała. I w wieku czterdziestu kilku lat ubierała się tak, jakby przekroczyła pięćdziesiątkę. Gregorius poczuł narastający gniew: czy już nigdy nie pojechała do Paryża? Czy ten niestannie ubrany typ, który wyglądał jak zaniedbany urzędnik podatkowy, zabił w niej zmysł elegancji? Gdy Florence otworzyła potem okno i wychyliła się, czuł pokusę, by wyjść zza kolumny i jej pomachać.

Podszedł do dzwonka u drzwi. W młodości nazywała się Florence de l'Arronge. Jeśli właściwie odgadł ułożenie tabliczek, dziś nosiła nazwisko Meier. Nawet nie przez y. Jak elegancko wyglądała tamta doktorantka, gdy siedziała w COUPOLE! I jak pocziwy i przygaszony wygląd miała ta kobieta! W drodze na dworzec i dalej na Länggasse Gregorius coraz bardziej pograżał się we wściekłości, którą z każdym krokiem coraz mniej rozumiał. Ustąpiła dopiero, gdy stanął przed odrapanym domem, w którym dorastał.

Drzwi były zamknięte, brakowało w nich jednak kawałka pociemniałego szkła. Gregorius przyłożył nos do otworu – jeszcze dziś pachniało węglem. Odszukał okno pokoju, w którym wypisywał na tablicy perskie wyrazy. Zostało powiększone i miało nową framugę. Kipiał z wściekłości, kiedy matka błagalnie wołała go na obiad, a on podekscytowany czytał właśnie gramatykę perską. Dostrzegł na jej nocnym stoliku tanie powieści Ludwiga Ganghofer'a. *Kicz to najbardziej zdradzieckie ze wszystkich więzień – zanotował Prado. – Kraty są otulone złotem uproszczonych, nierzeczywistych uczuć, tak że uchodzą za kolumny pałacu.*

Tej nocy Gregorius spał niewiele, a gdy się obudził, w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Dobijał się do niezliczonych drzwi gimnazjum i przechodził przez niezliczone okna. Gdy miasto ożywiało się nad ranem, on stał przy oknie i nie miał pewności, czy naprawdę był nocą w Kirchenfeld.

W redakcji dużej berneńskiej gazety nie byli dla niego zbyt uprzejmi i Gregorius zateęsknił za Agostinhą z DIÁRIO DE NOTÍCIAS w Lizbonie. Ogłoszenie z kwietnia 1966 roku? Niechętnie zostawili go samego w archiwum, a około południa znalazł nazwisko przemysłowca, który szukał wówczas prywatnego nauczyciela dla swoich dzieci. W książce telefonicznej figurowało trzech Hannesów Schnyderów, ale tylko jeden z dopiskiem dypl. inż. Adres w Elfenau.

Gregorius pojechał i zadzwonił do drzwi z uczuciem, że robi coś całkowicie niewłaściwego. Małżeństwo Schnyder z nieskazitelnej willi najwyraźniej uznało za miłą odmianę wypicie herbaty z mężczyzną, który dawniej omal nie został nauczycielem ich dzieci. Oboje zbliżali się do osiemdziesiątki i opowiadali o cudownych czasach za panowania szacha, kiedy zbili majątek. Dlaczego wtedy wycofał swoją kandydaturę? Chłopak z maturą z języków klasycznych – to byłoby dokładnie to, czego szukali. Gregorius opowiedział o chorobie matki i skierował rozmowę na inny tor.

Wreszcie spytał, jaki jest klimat w Isfahanie. Upał? Burze piaskowe? Roześmiali się. Nic, czego należy się obawiać, w każdym razie nie wtedy, gdy mieszka się tak, jak oni mieszkali. A potem przynieśli zdjęcia. Gregorius został aż do wieczora, a Schnyderowie byli zdumieni i uszczęśliwieni jego zainteresowaniem ich wspomnieniami. Podarowali mu album o Isfahanie.

Nim poszedł spać, oglądał meczety w Isfahanie i słuchał płyty z kursem języka portugalskiego. Zasnął z poczuciem, że poniósł porażkę zarówno w Lizbonie, jak i w Bernie. I że dotychczas nie wiedział, jak to jest, gdy się ponosi porażkę w jakimś miejscu.

Kiedy obudził się około czwartej, zapragnął zadzwonić do Doxiadesa. Cóż jednak mógł mu powiedzieć? Że jest tu, ale i nie jest? Że wykorzystał pokój nauczycielski w gimnazjum jako centralę telefoniczną dla swoich chaotycznych pragnień? I że nie jest nawet pewien, czy to wszystko się wydarzyło?

Komu, jeśli nie Grekowi, mógł o tym opowiedzieć? Gregorius pomyślał o niezwykłym wieczorze, kiedy spróbowali mówić sobie na ty.

– Nazywam się Konstantin – powiedział Grek podczas gry w szachy.

– Raimund – odparł.

Nie było żadnego rytuału, ani trącania się kieliszkami, ani uścisku dłoni, nawet na siebie nie spojrzeli.

– Ależ to podstępny ruch z twojej strony – powiedział Grek, gdy Gregorius zastawił pułapkę.

Nie brzmiało to właściwie i Gregorius miał wrażenie, że obaj to poczuli.

– Nie powinienes lekceważyć moich podstępów – odparł.

Przez resztę wieczoru unikali bezpośrednich zwrotów.

– Dobranoc, panie Gregorius – powiedział Grek na pożegnanie. – Niech pan śpi dobrze.

– Pan też, doktorze – odrzekł Gregorius.

Na tym pozostało.

Czy to był powód, by nie opowiadać Grekowi o ulotnej dezorientacji, która otaczała go, gdy kuśtykał po Bernie? A może zdystansowana bliskość między nimi była dokładnie tym, czego potrzebował, by to opowiedzieć? Gregorius wybrał numer i po dwóch sygnałach odłożył słuchawkę. Czasami Grek bywał szorstki, jak to zapewne mieli w zwyczaju taksówkarze z Salonik.

Wyjął książkę Prado. Kiedy siedział w kuchni przy opuszczonych żaluzjach i czytał, tak samo jak przed dwoma tygodniami, miał wrażenie, że zdania, które szlachetnie urodzony Portugalczyk zapisał na poddaszu niebieskiego domu, pomagają mu być we właściwym miejscu – ani w Bernie, ani w Lizbonie.

AMPLIDÃO INTERIOR. WEWNĘTRZNA DAL. Żyjemy tu i teraz, wszystko, co było wcześniej i w innych miejscach, jest przeszłością, w większości zapomnianą i w niewielkim stopniu dostępną jeszcze w nieuporządkowanych fragmentach wspomnień, które chaotycznie rozbłyskują i ponownie gasną. Jesteśmy zatem przyzwyczajeni, by tak

o sobie myśleć. I jest to naturalny sposób myślenia, gdy kierujemy wzrok na innych ludzi: naprawdę stoją przed nami tu i teraz, nigdzie indziej i nie kiedy indziej, jak zatem mielibyśmy myśleć o ich stosunku do przeszłości, jeśli nie w postaci wewnętrznych epizodów wspomnień, których wyłączna rzeczywistość tkwi w terażniejszości ich dziania się?

Jednak z punktu widzenia naszego wnętrza dzieje się zupełnie inaczej. Nie jesteśmy tam ograniczeni do terażniejszości, lecz sięgamy daleko w przeszłość. Dokonujemy tego przez nasze uczucia, te najgłębsze, czyli te, które decydują o tym, kim jesteśmy i jak to jest być nami. Owe uczucia nie znają bowiem czasu, nie znają go i nie uznają. Oczywiście byłoby błędem, gdybym powiedział: nadal jestem chłopakiem siedzącym na schodach przed szkołą, chłopakiem z czapką w dłoni, którego spojrzenie wędruje ku szkole dla dziewcząt w nadziei, że ujrzy Marię João. Oczywiście to nieprawda, minęło już ponad trzydzieści lat. A jednak jest to prawdziwe. Bicie serca w trudnej chwili jest takim samym biciem serca, jak kiedy senhor Lanções, nauczyciel matematyki, wchodził do klasy, w napięciu wobec wszelkich autorytetów unoszą się władcze słowa mego przygarbionego ojca, a gdy napotykam pełne blasku spojrzenie kobiety, oddech zamiera mi jak za każdym razem, gdy mój wzrok docierał do przeciwległego szkolnego okna i zdawał się krzyżować ze wzrokiem Marii João. Wciąż tam jestem, w tym odległym miejscu w czasie, nigdy nie odszedłem, lecz żyję rozpostarty w przeszłości albo w niej zakotwiczony. Przeszłość jest terażniejszością, nie tylko w formie krótkich epizodów rozbłyskującej pamięci. Tysiące zmian, które popchnęły czas naprzód – mierzone beczasową terażniejszością uczucia są ulotne i nierzeczywiste niczym sen i złudne jak marzenia senne: odzwierciedlają fakt, że jako lekarz, do którego ludzie przychodzą ze swoimi bólami i troskami, jestem niespotykane pewny siebie i nieustraszony. A zalęknione zaufanie widoczne w spojrzeniach osób szukających pomocy

zmusza mnie, by w to wierzyć, dopóki stoją przede mną. Ale ledwo wyjdą, chcę zawołać za nimi: przecież nadal jestem tamtym strachliwym chłopakiem na szkolnych schodach, to zupełnie nieważne, to wręcz kłamstwo, że siedzę w białym fartuchu za potężnym biurkiem i udzielam rad, nie dajcie się zwieść temu, co w śmiesznej powierzchowności zwiemy terażniejszością.

Jesteśmy rozpostarci nie tylko w czasie. Także w przestrzeni rozciągamy się daleko poza to, co widoczne. Zostawiamy część siebie, gdy opuszczamy jakieś miejsce, zostajemy tam, choć odjeżdżamy. I istnieją w nas rzeczy, które możemy odnaleźć ponownie tylko wtedy, gdy tam powrócimy. Jedziemy do samych siebie, podróżujemy w głąb siebie, kiedy monotony stukot kół zabiera nas do miejsca, gdzie przemierzyliśmy pewien odcinek naszego życia, jakkolwiek byłby krótki. Kiedy po raz drugi stawiamy stopę na peronie obcego dworca, słyszymy głosy z megafonu i czujemy niepowtarzalne zapachy, wtedy ponownie znajdujemy się nie tylko w tym dalekim miejscu, lecz także w głębi własnego wnętrza, w nierzadko bardzo odległym zakątku naszej istoty, który, jeśli przebywamy gdzie indziej, tkwi w całkowitej ciemności i jest niewidoczny. Z jakiegoż innego powodu mielibyśmy być tak podekscytowani, tak rozemocjonowani, gdy konduktor wywołuje nazwę miejscowości, gdy słyszymy pisk hamulców i nagle połykają nas cienie dworcowej hali? Gdy pociąg zatrzymuje się z szarpnięciem, dlaczego miałby to być magiczny moment, chwila bezgłośnego dramatyizmu? Jest tak, ponieważ od pierwszych kroków, jakie stawiamy na obcym i już nieobcym peronie, wznawiamy życie, które przerwaliśmy i opuściliśmy wraz z pierwszym szarpnięciem odjeżdżającego pociągu. Cóż może być bardziej ekscytującego niż ponowne podjęcie przerwanej życia wraz ze wszystkimi jego obietnicami?

To błąd, bezsensowny akt przemocy, gdy koncentrujemy się na tu i teraz w przekonaniu, że ogarniamy to, co najistotniejsze. Słuszniej byłoby poruszać się spokojnie i pewnie, z odpowiednią dozą humoru i odpowiednią melancholią po tym czasowo i przestrzennie rozległym wewnętrznym krajobrazie, którym jesteśmy. Dlaczego żal nam ludzi, którzy nie mogą podróżować? Ponieważ skoro nie mogą się rozpostrzeć przestrzennie, nie mogą się też powielać, i w ten sposób zostaje im odebrana możliwość, by udawać się na wyprawy w głąb samych siebie i odkrywać, kim i czym innym mogliby zostać.

Gdy pojaśniało, Gregorius poszedł na dworzec i wszedł do pierwszego pociągu do Moutier w Jurze. Ludzie naprawdę jeździli do Moutier. Naprawdę. Moutier nie było tylko miastem, w którym przegrał z mężczyzną o kanciastej twarzy, uciekającym czole i sterczącej fryzurze, ponieważ nie wytrzymał powolności, z jaką tamten wykonywał kolejne ruchy. Moutier było prawdziwym miastem z ratuszem, supermarketami i herbaciarniami. Gregorius przez dwie godziny na próżno szukał miejsca, gdzie odbył się turniej. Nie można szukać czegoś, o czym nic się już nie wie. Kelnerkę w herbaciarni zdziwiły jego chaotyczne, nieskładne pytania i szeptała coś potem do koleżanki.

Wczesnym popołudniem wrócił do Berna i pojechał windą na górę, na uniwersytet. Były ferie semestralne. Usiadł w pustej sali wykładowej i myślał o młodym Prado w salach wykładowych w Coimbrze. Według ojca Bartolomeu Prado potrafił być bezlitosny w obliczu próżności. *Bezlitosny. Scyzoryk otwierał mu się w kieszeni.* I miał przy sobie własną krede, gdy pewnego dnia ktoś przywołał go do tablicy, by go ośmieszyć. Wiele lat temu wśród zdumionych spojrzeń studentów Gregorius zasiadł na wykładzie o Eurypidesie. Był zaskoczony pompatyczną gadaniną, którą usłyszał. „Dlaczego nie przeczyta pan po prostu tekstu? – chciał zawołać do młodego wykładowcy. – Przeczytać! Po prostu *przeczytać!*”. Gdy mężczyzna coraz częściej wplatał w zdania francuskie pojęcia, które

wydawały się wymyślone specjalnie po to, aby pasowały do jego różowej koszuli, Gregorius wyszedł.

Szkoda, pomyślał teraz, że wtedy naprawdę nie krzyknął na tego smarkacza.

Po kilku krokach przystanął i wstrzymał oddech. Po drugiej stronie ulicy z budynku wyłoniła się Natalie Rubin. Pomyślał, że w jej torbie jest gramatyka perska, a Natalie idzie teraz na pocztę, by nadać paczkę do Lizbony.

Gregorius stwierdził później, że samo to pewnie by nie wystarczyło. Może jednak by został i stałby na placu Bubenberga tak długo, aż ponownie zdołałby go dotknąć. Ale nagle we wczesnym zmierzchu pochmurnego dnia we wszystkich aptekach zapaliło się światło. *Cortar a luz*, usłyszał słowa O'Kelly'ego, a kiedy nie chciały wylecieć mu z głowy, poszedł do banku i przelał większą sumę na swój rachunek. – No, wreszcie potrzebuje pan nieco pieniędzy! – powiedziała kobieta, która zarządzała jego oszczędnościami.

Pani Loosli, sąsiadce, powiedział, że musi na dłuższy czas wyjechać. Spytał, czy może nadal odbierać jego pocztę i przesłać mu ją, kiedy przekaże telefonicznie dokąd. Kobieta chciała dowiedzieć się więcej, ale nie ośmieliła się spytać. – Wszystko w porządku – powiedział Gregorius, ściskając jej rękę.

Zadzwoił do hotelu w Lizbonie i poprosił, by zarezerwowano dla niego na nieokreślony czas ten sam pokój co wcześniej. Dobrze, że zadzwonił – poinformowano go, że przyszła paczka, a starsza pani, która zjawiała się niedawno, znowu przyniosła liścik. Telefonowano też do niego, recepcjonistka zapisała numery. Poza tym w szafie w pokoju znaleziono szachownicę, czy to on ją zostawił?

Wieczorem Gregorius udał się na kolację do hotelu Bellevue, tam mógł mieć największą pewność, że nikogo nie spotka. Kelner był dla niego uprzejmy jak dla starego znajomego. Później Gregorius poszedł na most Kirchenfeld, na którym dopuszczono już ruch. Dotarł do miejsca, gdzie Portugalka czytała list. Gdy spojrział w dół, poczuł zawroty głowy. W domu do późna w nocy czytał książkę o epidemii dżumy w Portugalii. Przewracał strony z poczuciem, że jest kimś, kto zna język portugalski.

Następnego ranka pojechał pociągiem do Zurychu. Samolot do Lizbony startował tuż przed jedenastą. Wylądował wczesnym popołudniem. Na bezchmurnym niebie świeciło słońce, taksówkarz opuścił szyby. Boy hotelowy, który zaniósł walizkę i paczkę z książkami od Natalie Rubin do pokoju, poznał go i gadał jak nakręcony. Gregorius nie rozumiał ani słowa.

25 „*Quer tomar alguma coisa?*” Czy zechce pan się ze mną czegoś napić? – przeczytał w liście, który we wtorek przyniosła Clotilde. Tym razem podpis był prostszy i bliższy: *Adriana*.

Gregorius popatrzył na trzy karteczki z numerami telefonów. W poniedziałek wieczorem dzwoniła Natalie Rubin i była zdumiona, gdy poinformowali ją, że wyjechał. Może więc wcale nie zaniósł na pocztę gramatyki perskiej, z którą ją wczoraj widział?

Zadzwoił do niej. Powiedział, że zaszła pomyłka, odbył tylko małą podróż i teraz znowu mieszka w hotelu. Opowiedziała o bezskutecznych poszukiwaniach literatury o *Resistência*.

– Założę się, że gdybym była w Lizbonie, z pewnością bym coś znalazła – stwierdziła.

Gregorius nie odpowiedział.

W ciszy oznajmiła, że przesłał jej za dużo pieniędzy. A potem dodała, że jeszcze tego dnia zanieś na pocztę gramatykę perską.

Gregorius milczał.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym też się jej nauczyła? – spytała i naraz w jej głosie zabrzmiała bojaźń, która wcale nie pasowała do dworskiej panny, jeszcze mniej niż śmiech, którym niedawno go zaraziła.

– Nie, nie, dlaczegóż by – odparł i spróbował przybrać weselszy ton.

– *Até logo* – powiedziała.

– *Até logo* – odpowiedział.

Wtorkowej nocy Doxiades, a teraz dziewczyna – dlaczego nagle czuł się jak analfabeta, gdy chodziło o bliskość i dystans? A może zawsze taki był, choć tego nie zauważał? I dlaczego nigdy nie miał takiego przyjaciela, jakim był Jorge O’Kelly dla Prado? Przyjaciela, z którym mógłby rozmawiać o rzeczach takich jak lojalność, miłość i śmierć?

Mariana Eça dzwoniła, ale nie zostawiła wiadomości. Jose Antonio da Silveira z kolei polecił przekazać mu, że gdyby Gregorius zjawił się jeszcze kiedyś w Lizbonie, chciałby zaprosić go na kolację.

Gregorius otworzył paczkę z książkami. Gramatyka portugalska tak bardzo przypominała podręcznik do łaciny, że aż się roześmiał. Czytał ją, dopóki się nie ściemniło. Potem otworzył historię Portugalii i stwierdził, że życie Prado dość dokładnie pokrywało się z okresem istnienia Estado Novo. Czytał o portugalskim faszyzmie i tajnej policji P.I.D.E., do której należał Rui Luís Mendes, rzeźnik z Lizbony. TARRAFAL, jak się dowiedział, był obozem dla więźniów politycznych. Znajdował się na Santiago, jednej z Wysp Zielonego Przylądka, a jego nazwa stała się symbolem bezlitosnych prześladowań politycznych. Jednak najbardziej zainteresowało Gregoriusa to, co przeczytał o Mocidade Portuguesa, paramilitarnej organizacji utworzonej na wzór włoski i niemiecki, która jak inne faszystowskie ugrupowania przejęła rzymskie powitanie. Do Mocidade Portuguesa musiała należeć cała młodzież, od szkoły podstawowej po uniwersytet. Było tak od 1936 roku, od czasu hiszpańskiej wojny domowej, kiedy Amadeu de Prado miał szesnaście lat. Czy on także nosił przepisową zieloną koszulę? Unosił ramię, jak to czyniono w Niemczech? Gregorius spojrział na portret – niemożliwe. Ale jak zdołał tego uniknąć? Czy ojciec wykorzystał swoje wpływy? Sędzia, który pomimo więzienia Tarrafal nadal co rano za dziesięć szósta czekał na szofera, by jako pierwszy zjawić się w Pałacu Sprawiedliwości?

Późno w nocy Gregorius stanął na Praça do Rossio. Czy kiedykolwiek będzie mógł dotknąć tego placu tak, jak wcześniej dotykał placu Bubenberga?

Nim wrócił do hotelu, poszedł na Rua dos Sapateiros. W aptece O’Kelly’ego paliło się światło, a na ladzie stał przedpotopowy aparat, który dzwonił w poniedziałek w nocy, gdy Gregorius telefonował z biura Kägiego.

26 W piątek rano Gregorius zadzwonił do Julia Simõesa, antykwariusza, i jeszcze raz poprosił o podanie adresu szkoły językowej, który wyrzucił przed odlotem do Zurychu. W szkole zdziwili się jego niecierpliwością, gdy powiedział, że nie może czekać do poniedziałku i, jeśli to możliwe, chce zacząć od zaraz.

Kobieta, która weszła do sali przeznaczonej na zajęcia indywidualne, była cała ubrana na zielono, użyła nawet zielonych cieni do powiek. Usiadła za biurkiem w dobrze ogrzonym pomieszczeniu i drżąc, otuliła ramiona szalem. Powiedziała, że nazywa się Cecilia, jasnym, melodyjnym głosem, który nie pasował do ponurej, zaspanej twarzy. Czy może jej powiedzieć, kim jest i dlaczego chce się uczyć języka? Oczywiście po portugalsku – dodała z wyrazem twarzy zdradzającym przemożne znudzenie.

Dopiero trzy godziny później, gdy wyczerpany Gregorius z zawrotami głowy wyszedł na ulicę, uświadomił sobie, co zaszło w nim w tamtej chwili – podjął bezczelne wyzwanie mrukliwej kobiety, jakby to było zaskakujące otwarcie szachowe. *Dlaczego w życiu nigdy nie walczysz, choć w szachach potrafisz to tak dobrze!* – mówiła nieraz Florence. *Bo uważam walkę w życiu za śmieszny* – odpowiadał. – *Przecież i tak musimy ciągle walczyć sami ze sobą.* I oto wdał się w walkę z zieloną kobietą. Czyżby w niewiarygodnym przypiływie jasnowidzenia wyczuła, że w obecnej chwili trzeba do niego podejść w ten sposób? Niekiedy miał takie wrażenie, zwłaszcza gdy za ponurą fasadą ukazywał się triumfalny uśmiech wyrażający radość z jego postępów. „*Não, não* – zaprotestowała, gdy wyjął książkę do gramatyki – *tem que aprender falando* – musi się pan uczyć, mówiąc.

W hotelu Gregorius położył się na łóżku. Cecilia zabroniła mu korzystać z gramatyki. Jemu, Mundusowi. Nawet mu ją zabrała. Jej usta poruszały się bezustannie, usta Gregoriusa poruszały się także i nie miał pojęcia, skąd

zjawiają się słowa, *mais doce, mais suave*, powtarzała nieustannie i cieniutką, zieloną apaszką przykrywała usta tak, że materiał wybrzuszał się, gdy mówiła, Gregorius zaś czekał na chwilę, gdy ponownie ujrzy jej wargi.

Gdy się obudził, zaczęło się już ściemniać, a kiedy zadzwonił do drzwi Adriany, była noc. Clotilde poprowadziła go do salonu.

– Gdzie pan był? – spytała Adriana, ledwo wszedł do pokoju.

– Oddaję pani zapiski brata – powiedział Gregorius i podał jej kopertę z kartkami.

Jej rysy stwardniały, obie dłonie pozostały nieporuszone na kolanach.

– A czego się pani spodziewała? – spytał Gregorius i miał wrażenie, że wykonuje śmiałe posunięcie na szachownicy, którego skutków nie potrafi przewidzieć. – Że człowiek taki jak on nie będzie się zastanawiał, co było słuszne? Po podobnym wstrząsie? Po usłyszeniu zarzutu, który podważał wszystko, w co wierzył? Że po prostu przejdzie nad tym do porządku dziennego? Nie mogła pani poważnie tak myśleć!

Przeraził się ostrością swych słów. Był przygotowany, że wyrzuci go za drzwi.

Rysy Adriany wygładziły się i na jej twarzy ujrzął bliskie szczęściu zdumienie. Wyciągnęła ku niemu ręce i Gregorius podał jej kopertę. Przez chwilę gładziła ją wierzchem dłoni, jak uczyniła to za pierwszym razem z meblami w pokoju Amadeu.

– Od tamtej pory chodzi do tego człowieka, którego poznał dawno temu w Anglii, podczas podróży z Fatimą. Opowiadał mi o nim, gdy... wrócił przedwcześnie, z mojego powodu. Nazywa się João, João jakiśtam. Teraz często do niego chodzi. Nocą nie wraca do domu, więc muszę odsyłać pacjentów. Leży na górze na podłodze i studiuje układy szyn. Zawsze był miłośnikiem kolei, ale nie do tego stopnia. Widać, że to mu nie służy, policzki ma zapadnięte, schudł, jest nieogolony, czuję, że to go wpędzi do grobu.

Pod koniec jej głos ponownie stał się zrzędlawy, brzmiała w nim niechęć do uznania przeszłości jako czegoś, co niepowracalnie minęło. Wcześniej jednak, gdy Gregorius przemówił do niej ostro, twarz Adriany przybrała wyraz, który można było odczytać jako gotowość, czy wręcz gorące

pragnienie, by strząsnąć tyranię wspomnień i wyzwolić się z więzienia przeszłości. Zaryzykował więc.

– Już dawno nie studiuje układów szyn, Adriano. Już dawno nie chodzi do João. Już dawno nie przyjmuje pacjentów. Amadeu nie żyje, Adriano. I pani to wie. Zmarł z powodu tętniaka. Przed trzydziestu jeden laty, to połowa ludzkiego życia. Wczesnym rankiem. Na Rua Augusta. Zadzwonili do pani. – Gregorius wskazał na stojący zegar. – O szóstej dwadzieścia trzy. Tak było, prawda?

Gregoriusa ogarnęły zawroty głowy i przytrzymał się mocno oparcia fotela. Nie będzie miał siły, by wytrzymać kolejny wybuch staruszki, jakiego doświadczył tydzień temu w gabinecie. Gdy tylko miną zawroty głowy, wyjdzie i nigdy nie wróci. Dlaczego, na miłość boską, sądził, że jego zadaniem jest wyzwolić tę kobietę, z którą właściwie nie miał nic wspólnego, z zatrzymanej przeszłości i przywrócić ją do teraźniejszego, upływającego życia? Dlaczego postrzegał siebie jako tego, do kogo należy zerwanie pieczęci z jej umysłu? Jak to się stało, że wpadł na ten niedorzeczny pomysł?

W pokoju zapadła cisza. Zawroty głowy ustąpiły, Gregorius otworzył oczy. Adriana siedziała pochylona na kanapie, zakryła twarz dłońmi i płakała, chude ciało trzęsło się, ręce poprzecinane ciemnymi żyłami drżały. Gregorius usiadł obok niej i położył dłoń na jej ramieniu. Przyłgnęła do niego, ponownie trysnął strumień łez. Stopniowo łkanie osłabło i nastał spokój płynący z wyczerpania.

Gdy się wyprostowała i sięgnęła po chusteczkę, Gregorius wstał i podszedł do zegara. Powoli, jakby w zwolnionym tempie, otworzył szybkę osłaniającą cyferblat i przestawił wskazówkę na właściwą godzinę. Nie odważył się obrócić, jeden fałszywy ruch czy fałszywe spojrzenie mogły wszystko zburzyć. Szybka zamknęła się z lekkim szcęknięciem. Gregorius otworzył skrzynkę mieszczącą wahadło i wprawił je w ruch. Tykanie rozległo się głośniejsz, niż oczekiwał. W pierwszych sekundach miał wrażenie, jakby salon wypełniało tylko tykanie. Rozpoczęło się nowe liczenie czasu.

Spojrzenie Adriany było skierowane na zegar i przypominało spojrzenie niedowierzającego dziecka. Dłoń z chusteczką zatrzymała się w połowie ruchu i wydawała się wycięta z czasu. A potem stało się coś, co Gregorius

odebrał jak nieporuszone trzęsienie ziemi – spojrzenie Adriany zamigotało, wypaliło się, zgasło, powróciło i naraz odzyskało całą pewność i jasność spojrzenia w pełni skierowanego ku terażniejszości. Popatrzeli na siebie, a Gregorius chciał wyrazić wzrokiem całą swoją pewność, aby w ten sposób przytrzymać spojrzenie Adriany, gdyby znowu zaczęło migotać.

Clotilde stanęła w drzwiach z herbatą i ujrzała tykający zegar. *Graças a Deus!* – powiedziała cicho. Popatrzyła na Adrianę, a gdy stawiała dzbanek na stole, jej oczy lśniły.

Po chwili Gregorius spytał, jakiej muzyki słuchał Amadeu. Początkowo wydawało się, że Adriana nie zrozumiała pytania. Jej uwaga musiała najwyraźniej przebyć daleką drogę, nim dotarła do terażniejszości. Zegar tykał i z każdym uderzeniem zdawał się obwieszczać, że wszystko jest teraz inaczej. Adriana nagle wstała bez słowa i nastawiła płytę Hectora Berlioza. *Les Nuits d'Été, La Belle Voyageuse, La Captive, La Mort d'Ophélie.*

– Potrafił tego słuchać całymi godzinami – powiedziała. – Co mówię, całymi dniami. – Ponownie usiadła na kanapie.

Gregorius był pewien, że chciała jeszcze coś dodać. Ścisnęła okładkę płyty tak mocno, że pobielaly jej kostki. Przełknęła ślinę. W kącikach ust utworzyły się drobne bąbelki. Przejechała językiem po wargach. Potem złożyła głowę na oparciu kanapy jak ktoś, kto nie ma siły walczyć ze zmęczeniem. Czarna aksamitka przesunęła się w górę i ukazała mały fragment blizny.

– To była ulubiona muzyka Fatimy – powiedziała.

Gdy melodia przebrzmiała, a w ciszy ponownie rozległo się tykanie zegara, Adriana wyprostowała się i poprawiła aksamitną wstążkę. Jej głos wyrażał zdumiony spokój i pełną ulgi pewność kogoś, kto właśnie pokonał jakąś wewnętrzną przeszkodę, którą wcześniej uważał za nie do pokonania.

– Udar serca. W wieku zaledwie trzydziestu pięciu lat. Nie mógł tego pojąć. Mój brat, który potrafił do wszystkich nowości dostosować się z niesłychaną, niemal nieludzką szybkością i którego przytomność umysłu zdawała się rosnać proporcjonalnie do nagłości wypadku, a więc wydawał się żyć naprawdę wtedy, gdy widział przed sobą lawinę nieoczekiwanych zdarzeń, pozornie nie do pokonania – ten człowiek, zawsze dążący do realizmu, nie mógł uwierzyć, po prostu nie chciał zrozumieć, że biała cisza

na jej twarzy nie oznacza jedynie spokoju mijającego snu. Zakazał obdukcji, myśl o nożu była dla niego nie do zniesienia, ciągle odkładał pogrzeb, krzyczał na wszystkich, którzy przypominali mu o rzeczywistości. Zupełnie stracił kontrolę, zamówił mszę za zmarłych, odwołał ją, zapomniał o tym i obsztorcował księdza, gdy się nie odbyła. *Powinienem był się domyślić, Adriano – powiedział. – Miała kołatania serca, nie uważałem tego za poważne, jestem lekarzem, a nie traktowałem tego poważnie, u każdego pacjenta potraktowałbym to poważnie, u niej przypisywałem to nerwom, zdarzały jej się kłótnie z koleżankami z pracy, mówiły, że nie jest przedszkolanką z wykształcenia, tylko rozpuszczoną panną z dobrego domu i żoną bogatego lekarza, która nie wie, jak zabić czas, raniły ją te słowa, okropnie, bo umiała to świetnie, miała naturalny talent, dzieci jadły jej z ręki, pozostałe przedszkolanki były zazdrosne, udało jej się oddalić ból z powodu braku własnych dzieci, udało się jej tak dobrze, naprawdę dobrze, więc także dlatego ją to raniło, nie potrafiła się bronić, to ją wyniszczało, a potem serce zaczęło kołatać, czasami wyglądało to na tachykardię, powinienem był potraktować to poważnie, Adriano, dlaczego nie posłałem jej do specjalisty, znam jednego, z którym studiowałem w Coimbrze, świetny specjalista, musiałbym tylko do niego zadzwonić, dlaczego tego nie zrobiłem, mój Boże, dlaczego tego nie zrobiłem, nawet jej nie osłuchałem, wyobraź sobie, nawet nie osłuchałem.*

Rok po śmierci Mamy poszliśmy więc znowu na mszę za zmarłych, *tego by sobie życzyła – powiedział – a poza tym trzeba nadać śmierci jakąś formę, w każdym razie tak twierdzą wszystkie religie, sam nie wiem, nagle był niepewny swoich myśli, não sei, não sei, powtarzał ciągle. Na mszy za Mamę siedział w ciemnym rogu, żeby nie rzucało się w oczy, że nie uczestniczy w liturgii, Rita tego nie rozumiała, to tylko gesty, rama – powiedziała – byłeś ministrantem, a u Papy jakoś dałeś radę. Teraz, u Fatimy, był tak wytracony z równowagi, że przez chwilę brał udział we*

mszy, a zaraz potem siedział sztywno, zamiast się modlić. Co najgorsze, pomylił się w łacińskim tekście. *On! Pomylił się!*

Nigdy nie płakał publicznie, przy grobie także nie. Był trzeci lutego, niespodziewanie ładny dzień, ale on pocierał nieustannie dłonie, które nieco mu marzły, a potem, gdy zaczęto opuszczać trumnę do grobu, schował ręce do kieszeni i śledził ją wzrokiem, jakiego nie widziałam u niego nigdy przedtem ani potem, był to wzrok kogoś, kto musi pogrzebać wszystko, co posiada, po prostu wszystko. Zupełnie inaczej niż przy grobie Papy i Mamy, wtedy stał po prostu jak człowiek, który długo przygotowywał się do tego pożegnania i wiedział, że oznacza ono także krok naprzód we własnym życiu.

Wszyscy wyczuli, że chce jeszcze zostać sam przy grobie, więc odeszliśmy. Gdy się obejrzałam, stał obok ojca Fatimy, dawnego przyjaciela Papy, Amadeu poznał Fatimę w jego domu i wrócił stamtąd jak zahipnotyzowany. Amadeu objął tego wysokiego mężczyznę, który otarł oczy rękawem, a potem odszedł przesadnie dziarskim krokiem. Brat stał samotnie ze spuszczoną głową, zamkniętymi oczami i złożonymi dłońmi przed otwartym grobem, przynajmniej kwadrans. Mogłabym przysiąc, że się modlił, chciałabym, aby tak było.

Kocham modlących się ludzi. Potrzebuję ich widoku. Potrzebuję go przeciw zdradzieckiej truciznie powierzchowności i bezmyślności. – Gregorius ujrzał młodego Prado, jak w licealnej auli mówi o swojej miłości do katedr. *O sacerdote ateu*, usłyszał słowa João Eçy.

Gregorius mógł się spodziewać, że na pożegnanie po raz pierwszy podadzą sobie dłonie. Starsza kobieta z opadającym na twarz pasmem siwych włosów podeszła do niego powoli, aż stanęła bardzo blisko i poczuł niezwykle zapach stanowiący połączenie perfum i leków. Chciał się cofnąć, jednak sposób, w jaki zamknęła oczy i uniosła dłonie ku jego twarzy, miał w sobie coś nakazującego. Niczym ślepa przejechała po jego rysach zimnymi, drżącymi palcami, które szukały tylko najlżejszego dotknięcia. Gdy dotknęła okularów, zatrzymała się. Prado nosił okulary z okrągłymi szklami i złotymi oprawkami. On, Gregorius, był obcym, który zakończył bezruch czasu i zapieczętował śmierć brata. I sam stał się owym bratem, ożywającym na nowo w opowiadaniu. Bratem – w tej chwili Gregorius był

tego pewien – który miał coś wspólnego z blizną pod aksamitką i czerwonymi cedrami.

Adriana stała przed nim zakłopotana, z ramionami opuszczonymi wzdłuż boków i wzrokiem wbitym w ziemię. Gregorius chwycił ją obiema dłońmi za ramiona. – Przyjdę znowu – powiedział.

27 Przeleżał w łóżku niecałe pół godziny, gdy portier zapowiedział wizytę. Nie wierzył własnym oczom – była to Adriana. Wsparta na lasce, stała na środku hotelowego holu otulona w długi czarny płaszcz, z głową okrytą szydełkową chustą. Stanowiła poruszający i jednocześnie patetyczny obraz kobiety, która po raz pierwszy od wielu lat opuściła swój dom i oto znalazła się w świecie, którego już nie zna, nie ośmieliła się więc nawet usiąść.

Rozpięła płaszcz i wyjęła dwie koperty.

– Ja... chciałabym, żeby pan to przeczytał – powiedziała sztywno i niepewnie, jakby mówienie w tym zewnętrznym świecie było trudniejsze albo w jakiś sposób inne niż wewnątrz. – Pierwszy list znalazłam, gdy sprzątałśmy po śmierci Mamy. O mały włos, a Amadeu by go zobaczył, ale miałam przecucie, gdy wyjmowałam list z tajnej skrytki w biurku Papy, i ukryłam go. Drugi znalazłam po śmierci Amadeu w jego biurku, schowany pod stosem innych papierów. – Spojrzała nieśmiało na Gregoriusa, spuściła wzrok, a potem ponownie na niego popatrzyła. – Ja... nie chciałabym pozostać jedyną osobą, która czytała te listy. Rita, no cóż, Rita by ich nie zrozumiała. A poza tym nie mam nikogo.

Gregorius przekładał koperty z jednej ręki do drugiej. Szukał właściwych słów, ale ich nie znalazł. – Skąd się pani tu wzięła? – zapytał w końcu.

Na zewnątrz w taksówce czekała Clotilde. Gdy Adriana opadła na oparcie tylnego siedzenia, sprawiała wrażenie, jakby podróż w rzeczywisty świat wyczerpała wszystkie jej siły. – *Adeus* – powiedziała do Gregoriusa, nim wsiadła. Podała mu przy tym rękę, poczuł kości i żyły na wierzchu

dłoni, które ugięły się pod naciskiem. Ze zdziwieniem przekonał się, jak silny i zdecydowany był to uścisk, prawie jak uścisk kogoś, kto od rana do wieczora żyje w zewnętrznym świecie i codziennie ściska dziesiątki dłoni.

Ten zaskakująco silny, niemal rutynowy uścisk pozostał z nim, gdy spoglądał za odjeżdżającą taksówką. W myślach Gregoriusa Adriana zmieniła się na powrót w czterdziestoletnią kobietę, którą opisał stary Coutinho, gdy wspominał o władczym sposobie, w jaki traktowała pacjentów. Gdyby nie szok po usunięciu ciąży i gdyby potem żyła własnym życiem, a nie życiem brata – jakim człowiekiem byłaby dzisiaj!

W pokoju otworzył najpierw grubszą kopertę. Był to list od Amadeu do ojca, sędziogo. Nigdy niewysłany list, który przez wiele lat przerabiano wciąż na nowo, widział to po licznych poprawkach, wykonanych różnej starości atramentem i obrazujących rozwój charakteru pisma.

Czcigodny Ojcze, brzmiał początkowy zwrot, który później zmienił się w *Czcigodny, budzący lęk Ojcze*, jeszcze później Amadeu dodał *kochany Papo*, a ostatni dopisek brzmiał *potajemnie kochany Papo*.

Gdy Wasz szofer wiozł mnie dzisiaj na dworzec i siedziałem na poduszkach, na których Wy siadacie co rano, wiedziałem, że wszystkie te sprzeczne doznania, które grożą rozerwaniem mnie na strzępy, będę musiał ubrać w słowa, by nie być dłużej tylko ich ofiarą. Sądzę, że wyartykułowanie sprawy pozwala zachować jej siłę i pozbawić straszności, pisze Pessoa. Pod koniec tego listu dowiem się, czy ma rację. Będę jednak musiał długo czekać na tę wiedzę, ponieważ już teraz, ledwo zacząłem, czuję, że droga do jasności, której szukam, pisząc, będzie długa i wyboista. I lękam się na myśl o czymś, o czym nie wspomniał Pessoa: o możliwości, że wyrażenie sprawy może ją zafałszować. Co dzieje się w takim przypadku z jej siłą i strasznością?

Życzę ci pełnego sukcesów semestru, *powiedzieliście jak za każdym razem, kiedy wracam do Coimby. Nigdy – ani przy tych pożegnaniach, ani*

kiedy indziej – nie użyliście słów, które wyraziłyby pragnienie, by rozpoczynający się semestr przyniósł mi satysfakcję albo nawet przyjemność. Gdy gładziłem w samochodzie drogie obicia, myślałem: czy on w ogóle zna słowo prazer? Czy kiedykolwiek był młody? Kiedyś przecież poznała go Mama. Kiedyś.

Tym razem było jak zawsze, a jednak inaczej, Papo. Jeszcze rok, a potem, miejmy nadzieję, wrócisz, powiedziałaś, gdy stałem już na dworze. To zdanie mnie przyduśiło i miałem wrażenie, że się potykam. Było to zdanie, które pochodziło od udręczonego mężczyzny z pochylonymi plecami, a nie zdanie płynące z ust sędziego. Siedząc w samochodzie, próbowałem usłyszeć je jako wyraz zwykłej, czystej sympatii. Brzmiało jednak inaczej, wiedziałem bowiem: on chce przede wszystkim, żeby jego syn, lekarz, był w pobliżu i pomagał mu w walce z bólem. „Czy mówi czasem o mnie?”, spytałem Enrique siedzącego za kierownicą. Długo nie odpowiadał i udawał, że zajmuje go prowadzenie auta. „Sądzę, że jest z pana bardzo dumny”, powiedział w końcu.

To, że w Portugalii do lat pięćdziesiątych dzieci rzadko zwracały się do rodziców przez ty, a najczęściej w niebezpośredniej formie o *pai*, a *mãe*, Gregorius wiedział od Cecílii, która początkowo zwracała się do niego *você*, by po chwili przestać i zaproponować, by mówili *tu*, to pierwsze jest takie sztywne, w końcu to skrócona forma od *Vossa Mercê*, a więc *Wasza Łaskawość*. Zarówno *tu*, jak i *você* ze strony młodego Prado stanowiło wykroczenie poza zwyczaj, potem zdecydował się mieszać obie te krańcowe formy, jedną nazbyt poufałą, drugą zbyt oficjalną. A może nie była to świadoma decyzja, lecz naturalny, nieprzemyślany wyraz jego zmieniających się odczuć?

Pytaniem do szofera kończyła się jedna karta. Prado nie numerował stron. Dalszy ciąg, napisany innym atramentem, stanowił nagły przeskok.

Czy był to porządek pochodzący od Prado, czy też Adriana ustaliła kolejność stron?

Jesteście sędzią, Ojciec – a zatem człowiekiem, który osądza, skazuje i karze. „Nie pamiętam już, jak do tego doszło – powiedział mi kiedyś wuj Ernesto. – Wydaje mi się, jakby to było ustalone od jego narodzin”. Tak, pomyślałem wtedy, właśnie tak.

Przyznaję – w domu nie zachowywaliście się jak sędzia, nie wydawaliście osądów częściej niż inni ojcowie, raczej rzadziej. A jednak, Ojciec, Waszą oszczędność słów, Waszą niemą obecność często odczuwałem jako osądzającą, sędziowską, wręcz sądową.

Jesteście – wyobrażam sobie – sprawiedliwym sędzią, przepełnionym i kierowanym dobrą wolą, nie sędzią, którego surowe, nieprzejednane wyroki biorą się z urazy mającej źródło w wyrzeczeniach i doznanych porażkach czy też z wypieranych ze świadomości wyrzutów sumienia z powodu własnych potajemnych zbłądzeń. Korzystacie w pełni z pola do okazania łagodności i wyrozumiałości, które zostawia Wam prawo. Zawsze jednak cierpiałem przez to, że jesteście kimś, kto wydaje nad innymi osąd. „Czy sędziowie to ludzie, którzy posyłają ludzi do więzienia?”, spytałem Cię po pierwszym dniu szkoły, gdy musiałem publicznie opowiedzieć, jaki zawód wykonuje mój ojciec. O to bowiem zapytali mnie na przerwie pozostali uczniowie. Ich słowa nie brzmiały pogardliwie czy oskarżycielsko, przemawiała z nich raczej ciekawość i pragnienie sensacji, mało różniące się od ciekawości, która zrodziła się, gdy jeden z uczniów powiedział, że jego ojciec pracuje w rzeźni. Od tamtej pory wybierałem wszystkie możliwe okrzęzne drogi, by nigdy nie musieć przechodzić koło więzienia.

Miałem dwanaście lat, gdy przemknąłem się obok strażników i wśliznąłem na salę sądową, aby zobaczyć Was siedzącego w tozde za

podwyższonym stołem sędziowskim. Wtedy byliście jeszcze zwykłym sędzią, nie sędzią Sądu Najwyższego. Czułem dumę, a jednocześnie byłem głęboko przerażony. Chodziło o ogłoszenie wyroku, wyrok dotyczył zwyczajnej złodziejki i skazywał ją na więzienie, z powodu recydywy bez zawieszenia. Kobieta była w średnim wieku, zmęczona i brzydka, jej twarz nie wzbudzała litości. Mimo to wszystko we mnie zamarło, wydawało mi się, że każda komórka mego ciała uległa skurczowi i zeszywnieniu, gdy złodziejkę wyprowadzono i zniknęła w katakumbach sądu, które wyobrażałem sobie jako ciemne, zimne i wilgotne.

Uznałem, że adwokat nie wykonał dobrze swojego zadania, prawdopodobnie był obrońcą z urzędu, który beznamiętnie wypluwał zdania, i nie dowiedzieliśmy się niczego o motywach tej kobiety, nie mogła się wytłumaczyć, nie zdziwiłoby mnie, gdyby okazała się analfabatką. Nocą leżałem w ciemnościach i broniłem jej, nie była to obrona przeciwko prokuratorowi, lecz raczej przeciwko Wam. Przemawiałem, aż ochrypłem, aż straciłem głos i ustał strumień słów. Na koniec stałem przed Wami z pustą głową, sparalizowany brakiem słów, który odbierałem jako świadomy brak świadomości. Gdy się obudziłem, zrozumiałem, że broniłem się przeciwko oskarżeniu, którego nigdy nie wnieśliście. Nigdy nie zarzuciliście swemu ubóstwianemu synowi czegoś poważnego, ani razu, i czasami myślę, że wszystko, co robiłem, robiłem z tego jednego powodu – aby uprzędzić możliwe oskarżenie, które, miałem wrażenie, że znam, choć nie było mi znane. Czy nie jest to także powód, dla którego zostałem lekarzem? Aby uczynić wszystko, co w ludzkiej mocy, przeciw diabelnemu schorzeniu stawów w Twoich plecach? By uniknąć zarzutu, że nie dość współuczestniczę w Twym milczącym cierpieniu? A zatem przeciw zarzutowi, którym odepchnąłeś od siebie Adrianę i Ritę, tak że sam się potwierdził?

Ale wróćmy do sądu. Nigdy nie zapomnę niedowierzania i oburzenia, które mnie ogarnęły, gdy ujrzałem, jak prokurator i obrońca po ogłoszeniu wyroku podeszli do siebie i śmiali się razem. Myślałem, że coś takiego jest niemożliwe, i do dzisiejszego dnia nie potrafię tego pojąć. Przyznaję Wam: gdy z książkami pod pachą opuszczaliście salę, mieliście poważną twarz, widniał na niej wyraz żalu. Jak bardzo pragnąłem, by naprawdę był w Was żal z tego powodu, że oto za złodziejką zamkną się ciężkie drzwi celi i że w zamku nieznośnie głośno przekręci się ogromny klucz!

Nigdy nie zapomniałem tej złodziejki. Wiele lat później w domu towarowym zobaczyłem inną złodziejkę, młodą kobietę niespotykanej urody, która z artystyczną sprawnością chowała do kieszeni same lśniące rzeczy. Oszołomiony radosnym uczuciem, które towarzyszyło obserwacji, podążyłem za nią w jej śmiałej wyprawie przez wszystkie piętra. Dopiero po pewnym czasie pojąłem, że w moim wyobrażeniu kobieta mściła się za tamtą złodziejkę, którą Wy posłaliście do więzienia. Gdy ujrzałem zbliżającego się do niej ostrożnym krokiem mężczyznę, pospieszyłem ku kobiecie i wyszeptalem: „Cuidado!”. Jej przytomność umysłu odebrała mi mowę. „Vem, Amor”, powiedziała, przytuliła się do mnie i oparła mi głowę na ramieniu. Na ulicy popatrzyła na mnie i w jej spojrzeniu widać było zalęknienie, które stało w zaskakującej sprzeczności z nonszalanckimi, dokonywanymi z zimną krwią wyczynami.

„Dlaczego?”. Wiatr zwał bujne włosy na twarz i na chwilę przysłonił oczy kobiety. Odgarnąłem włosy z jej czoła.

„To długa historia – powiedziałem. – Ale krótko mówiąc: kocham złodziejki. Pod warunkiem że znam ich imię”.

Ściągnęła usta i zastanawiała się przez chwilę. „Diamantina Esmeralda Ermelinda”.

Uśmiechnęła się, pocałowała mnie w usta i znikła za rogiem. Siedziałem potem przy stole naprzeciw Was z poczuciem triumfu i ukojenia z powodu nienazwanego zwycięstwa. W tej chwili wszystkie złodziejki świata kpiły ze wszystkich kodeksów na świecie.

Wasze kodeksy: odkąd pamiętam, jednolite tomy z czarnej skóry wzbudzały we mnie głęboki szacunek, nabożny szacunek. Nie były to książki takie jak inne, a zawarte w nich teksty miały szczególną rangę i wyjątkową godność. Były tak bardzo odległe od wszelkich zwyczajnych spraw, że zaskoczyło mnie, iż znalazłem w nich portugalskie słowa – choć słowa ciężkie, barokowe i poskręcane, wymyślone, jak mi się wydawało, przez mieszkańców jakiejś innej, zimnej gwiazdy. Ich obcość i oddalenie uwydatniał ostry zapach kurzu, który docierał z półek i wywoływał we mnie niejasną myśl, że do istoty owych ksiąg należy to, że nikt ich nigdy nie otwiera i że zachowują swą treść wyłącznie dla siebie.

Znacznie później, gdy zacząłem pojmować, na czym polega samowola dyktatury, przypominałem sobie czasem owe nieużywane kodeksy i w dzieciennych zabawach myślowych zarzucałem Wam, że nigdy ich nie wyjęliście, by cisnąć nimi w twarz oprawcom Salazara.

Nigdy nie wydaliście zakazu zdejmowania kodeksów z półki, nie, to nie Wy go wydaliście, to ciężkie, majestatyczne tomy same zabroniły z drakońską surowością, by je choć nieznacznie przesunąć. Jakże często jako mały chłopak zakradałem się do Waszego gabinetu i z bijącym sercem zwalczałem pragnienie, by wziąć któryś tom do ręki i spojrzeć na świętą zawartość! Miałem dziesięć lat, gdy wreszcie to uczyniłem, drżącymi palcami i wielokrotnie rozglądając się po holu w obawie, że zostanę przyłapany. Chciałem natrafić na ślad misterium Waszego zawodu i zrozumieć, kim byliście w świecie poza domem rodzinnym. Z ogromnym rozczarowaniem przekonałem się, że nieprzystępny, sformalizowany język

panujący między okładkami nie ma w sobie nic z objawienia, nic, dzięki czemu można by odczuć ten upragniony i budzący lęk dreszcz.

Nim wstaliście wtedy, po rozprawie przeciw złodziejce, nasze spojrzenia się spotkały. Tak przynajmniej mi się wydawało. Miałem nadzieję – i nadzieja ta utrzymywała się tygodniami – że sami z siebie skierujecie rozmowę na ten temat. W końcu nadzieja zbladła i przerodziła się w rozczarowanie, które blakło nadal, aż stało się bliskie oburzeniu i gniewowi – czy uważaliście mnie za zbyt młodego, zbyt ograniczonego? To jednak klóciło się z faktem, że zwykle wymagaliście ode mnie tak wiele i wymagania te uważaliście za oczywiste. Czy było dla Was niemiłe, że syn zobaczył Was w todze? Przecież nigdy nie miałem wrażenia, że wstydzicie się Waszego zawodu. Czy obawialiście się moich wątpliwości? Nawet jeśli byłem jeszcze na wpół dzieckiem, wiedzieliście, że będę je mieć, znaliście mnie dość dobrze, przynajmniej żywię taką nadzieję. Czy zatem było to tchórzostwo – rodzaj słabości, o którą w innej sytuacji nigdy bym Was nie posądził?

A ja? Dlaczego sam nie skierowałem rozmowy na ten temat? Odpowiedź jest prosta i jasna: zmusić Was do wytłumaczenia się – tego nie można było zrobić. Zburzyłoby to całą strukturę i architekturę rodziny. I nie tylko nie można było tego zrobić, ale wręcz nie można było tego pomyśleć. Zamiast więc myśleć o tym lub coś zrobić, w wyobraźni nakładałem oba obrazy na siebie: znany, prywatny ojciec, władca milczenia, oraz mężczyzna w todze, który powściągliwymi słowami i dźwięcznym, nietykalnym głosem tryskającym sformalizowaną elokwencją przemawia na sali sądowej, na sali, gdzie każdy dźwięk wywoływał echo przeszywające mnie dreszczem. Zawsze, gdy wykonywałem to ćwiczenie wyobraźni, przerażałem się, ponieważ w obrazie nie było sprzeczności, która mogłaby mnie pocieszyć, lecz ukazywała mi się postać odlana z jednej formy. Było to trudne, Ojczy,

że wszystko łączyło się w ten spiżowy sposób, a gdy nie mogłem już znieść Waszej obecności we mnie, obecności przypominającej kamienny pomnik, przywoływałem na pomoc myśl, której zwykle do siebie nie dopuszczałem, ponieważ bezcześciła świętość intymności: że musiałeś od czasu do czasu obejmować Mamę.

Dlaczego zostałeś sędzią, Papo, a nie adwokatem? Dlaczego opowiedziałeś się po stronie karzących? Muszą być sędziowie, odpowiedziałbyś zapewne, i oczywiście wiem, że nie można temu zaprzeczyć. Ale dlaczego właśnie mój ojciec musiał zostać jednym z nich?

Do tego momentu był to list do żyjącego jeszcze ojca, list, który napisał w Coimbrze młody Prado, można sobie wyobrazić, że zaczął zaraz po wspomnianym powrocie na studia. Na następnym arkuszu zmienił się atrament i charakter pisma. Kreski stały się bardziej pewne, swobodniejsze i jakby wyszlifowane zawodową rutyną lekarskich notatek. Formy czasowników wskazywały na okres po śmierci sędziego.

Gregorius policzył – od zakończenia studiów przez Prado do śmierci sędziego minęło dziesięć lat. Czy rozpoczęta niema rozmowa z ojcem zamarała aż na tak długo? W najgłębszych głębiach uczuć dziesięć lat było niczym sekunda, nikt nie wiedział tego lepiej niż Prado.

Czy musiał czekać do śmierci ojca, by móc dokończyć list? Po studiach wrócił do Lizbony i pracował w klinice neurologicznej, Gregorius wiedział to od Mélodie.

„Miałam wtedy dziewięć lat i cieszyłam się, że wrócił; dziś mogę powiedzieć, że to był błąd – powiedziała. – Ale on tęsknił za Lizboną, zawsze tęsknił, ledwo wyjechał, już chciał wracać, tkwiła w nim zarówno wariacka miłość do kolei, jak i owa tęsknota, był pełen sprzeczności, ten mój wielki świetlany brat, krył się w nim tęskniący za nieznanym podróżnik, fascynowała go kolej transsyberyjska, nazwa *Władywostok* była w jego ustach święta, a jednocześnie istniał też inny człowiek, tęskniący za domem, *to jak pragnienie – mawiał – gdy ogarnie mnie tęsknota za domem, to jest jak nieznośne pragnienie, może chcę poznać wszystkie trasy*

pociągów, by zawsze móc wrócić, nie wytrzymałbym na Syberii, wyobraź sobie: stukot kół przez wiele dni i nocy prowadziłby mnie coraz dalej od Lizbony, coraz dalej”.

Jaśniało już, gdy Gregorius odłożył słownik i przetarł piekące oczy. Zasunął zasłony i położył się w ubraniu pod kołdrą. *Zmierzam ku temu, by się zatracić* – ta myśl kazała mu wrócić na plac Bubenberg, którego nie mógł już dotknąć. Kiedy to było?

A jeśli chcę się zatracić?

Gregorius zapadł w lekki sen, przez który przeleciał huragan urywanych myśli. Zielona Cecília nieustannie zwracała się do sędziego „Wasza Łaskawość”, kradła cenne lśniące przedmioty, diamenty i inne kamienie szlachetne, ale przede wszystkim kradła imiona, imiona i pocałunki, które stukoczące koła unosiły przez Syberię do Władywostoku, skąd było o wiele za daleko do Lizbony, miejsca sądów i bólów.

Gdy około południa Gregorius odsłonił zasłony i otworzył okno, owiał go ciepły wiatr. Stał tak kilka minut i czuł, jak jego twarz pod naporem pustynnego wiatru staje się gorąca i sucha. Po raz drugi w życiu zamówił posiłek do pokoju, a kiedy ujrzał przed sobą tacę, pomyślał o poprzednim razie, w Paryżu, podczas tej szalonej podróży, którą zaproponowała Florence przy pierwszym śniadaniu w jego kuchni. *Pożądanie, upodobanie i bezpieczeństwo*. Najbardziej ulotne jest pożądanie, mówił Prado, potem znika upodobanie, a w końcu pęka także bezpieczeństwo. Dlatego chodzi o lojalność, zajęcie przez duszę strony poza uczuciami. *Powiew wieczności. Nigdy nie chodziło ci naprawdę o mnie*, powiedział na końcu do Florence, a ona nie zaprzeczyła.

Gregorius zadzwonił do Silveiry, który zaprosił go na wieczór na kolację. Potem zapakował album o Isfahanie подарowany mu przez Schnyderów z Elfenu i spytał pokojowego, gdzie może kupić nożyczki, pinezki i taśmę klejącą. Gdy już chciał wychodzić, zadzwoniła Natalie Rubin. Była rozczarowana, że pomimo nadania przesyłki ekspresowej gramatyka perska jeszcze do niego nie dotarła.

– Powinam była ją panu po prostu przywieźć! – powiedziała, a potem, przestraszona i nieco zawstydzona własnymi słowami, spytała, co robi podczas weekendu.

Gregorius nie potrafił się powstrzymać. – Siedzę bez prądu w starej szkole ze szczurami i czytam o trudnej miłości syna do ojca, który odebrał sobie życie z powodu cierpienia lub poczucia winy – tego nikt nie wie.

– Pan sobie... – zaczęła Natalie.

– Nie, nie – odparł Gregorius. – Nie żartuję sobie. Jest dokładnie tak, jak mówię. Tylko nie da się tego wytłumaczyć, po prostu się nie da, i do tego ten wiatr z pustyni...

– Jest pan zupełnie... zupełnie innym człowiekiem. Jeśli wolno mi...

– Oczywiście, że wolno tak pani powiedzieć, Natalie, czasem samemu trudno mi w to uwierzyć.

Tak, zadzwoni do niej, gdy tylko dostanie gramatykę.

– Będzie pan się uczyć perskiego w tej słynnej szczurzej szkole? – Zaśmiała się na dźwięk własnych słów.

– Oczywiście. Tam *jest* przecież Persja.

– Poddaję się.

Wybuchnęli śmiechem.

28 *Dlaczego, Papo, nigdy nie rozmawiałeś ze mną o swoich wątpliwościach, o wewnętrznych walkach? Dlaczego nie pokazałeś mi swoich listów do ministra sprawiedliwości, Twoich próśb o zwolnienie? Dlaczego wszystkie je zniszczyłeś, i teraz jest tak, jakbyś ich nigdy nie napisał? Dlaczego musiałem się dowiedzieć od Mamy o Twoich staraniach o wyzwolenie, o których opowiadała mi ze wstydem, choć stanowią powód do dumy?*

Jeśli to ból kazał Ci w końcu wybrać śmierć, w porządku, na to nie mógłbym nic poradzić. W przypadku bólu siła słów szybko się wyczerpuje. Jeśli jednak nie ból skłonił Cię do tego, lecz poczucie winy i porażki, ponieważ w końcu nie zebrałeś sił, by uwolnić się od Salazara i nie musisz dłużej zamykać oczu na krew i tortury: dlaczego nie porozmawiałeś ze mną? Z Twoim synem, który kiedyś chciał zostać księdzem?

Gregorius uniósł wzrok. Gorące powietrze z Afryki wpadało przez otwarte okna biura senhora Cortesa. Snop słońca wędrujący po nadgniłych deskach był dziś bardziej żółty niż niedawno. Na ścianach wisiały wycięte z albumu zdjęcia Isfahanu. Ultramaryna i złoto, złoto i ultramaryna, i jeszcze więcej, kopuły, minarety, place, bazary, zasłonięte twarze kobiet z głęboko czarnymi, głodnymi życia oczami. Elifaz z Temanu, Bildad z Szuach i Sofar z Naamy.

Najpierw odszukał Biblię owiniętą w sweter, który pachniał już pleśnią i zgnilizną. *Bóg karze Egipt plagami, ponieważ faraon upiera się przy swojej woli – powiedział Prado do O’Kelly’ego. – Ale to sam Bóg go takim uczynił! I uczynił go takim, by móc potem zademonstrować swoją potęgę! Cóż za próżny, zarozumiały Bóg! Cóż za pozer!* Gregorius przeczytał historię – zgadzało się.

O’Kelly opowiadał, że pół dnia kłócili się o to, czy w swojej mowie Prado naprawdę powinien mówić o Bogu jako pozerze, *gabarola* lub *fanfarrão*. Czy nie posunie się za daleko, jeśli – choćby nawet przez króciutki czas trwania pojedynczego bezczelnego słowa – zrówna PANA z pyskатыm ulicznikiem. Jorge przekonał Amadeu, i ten zrezygnował. Przez chwilę Gregorius był rozczarowany O’Kellym.

Przeszedł się po budynku, omijając szczury, usiadł w ławce na miejscu, które niedawno przypisał Prado, miejscu, skąd tamten mógł nawiązać wzrokową łączność z Marią João, a na parterze znalazł w końcu dawną bibliotekę, w której młody Amadeu według słów ojca Bartolomeu pozwolił się zamknąć, by czytać całą noc. *Kiedy Amadeu przeczyta książkę, nie*

zostają w niej żadne litery. Regały były puste, zakurzone i brudne. Jedyna pozostawiona książka leżała jako podpórka pod regałem, żeby się nie przewrócił. Gregorius odłamał róg spróchniałej deski i podłożył go zamiast książki. Potem otworzył i przekartkował tom. Była to biografia Joanny Szalonej. Zabrał ją do biura senhora Cortesa.

Na Antonia de Oliveirę Salazara, profesora ze szlacheckiego rodu, było znacznie łatwiej się nabrać niż na Hitlera, Stalina czy Franco. Z takimi mętami byś się nie zadawał, dzięki swojej inteligencji i nieomylnemu wyczuciu stylu byłeś na to uodporniony i, mogę włożyć dłoń w ogień, nigdy nie unosiłeś ramienia. Ale ten człowiek w czerni, z inteligentną, surową twarzą pod melonikiem: czasami myślałem, że może odczuwałeś z nim jakąś więź. Nie z powodu jego bezlitosnej ambicji i ideologicznego zaślepienia, lecz skutek surowości wobec samego siebie. Ale Ojcie: on przecież paktował z innymi! I przyglądał się zbrodniom, dla których, dopóki żyją ludzie, nigdy nie znajdą się odpowiednie słowa! I był przecież Tarrafal! Był Tarrafal, Ojcie! TARRAFAL! Gdzie się podziała Wasza wyobraźnia? Wystarczyłoby, żebyście raz zobaczyli dłonie, jakie widziałem u João Ecy – poparzone, pokryte bliznami, okaleczone dłonie, które kiedyś grały Schuberta. Dlaczego nigdy nie obejrzelście takich dłoni, Ojcie?

Czy był to strach chorego, który ze względu na swą fizyczną słabość obawiał się walki z władzą? I dlatego odwracał wzrok? Czy to Twoje przygarbione plecy nie pozwoliły Ci być nieugiętym? Lecz nie, bronię się przed takim wytłumaczeniem, byłoby niesprawiedliwe, ponieważ w tej najważniejszej sprawie pozbawiałoby Cię godności, której kiedy indziej nieustannie dowodziłeś, siły, by w myślach i w czynach nigdy nie poddawać się cierpieniu.

Raz, Ojcie, jedyny raz, cieszyłem się, że mogliście pociągać za sznurki w kręgach elegancko ubranych przestępców w cylindrach, to muszę

przyznać: kiedy udało się Wam uwolnić mnie od Mocidade. Widzieliście moją odrazę na myśl, że włożę zieloną koszulę i będę musiał unosić ramię. Nie dojdzie do tego, powiedzieliście po prostu, i byłem szczęśliwy z powodu serdecznego nieprzejednania, które kryło się w Waszym spojrzeniu, nie chciałem wtedy być Waszym przeciwnikiem. Z pewnością Ty sam także nie chciałeś wyobrazić sobie swojego syna jako kiczowatego robota przy obozowym ognisku. Mimo to Wasz czyn – na czymkolwiek polegał, nie chcę tego wiedzieć – odebrałem jako wyraz głębokiego przywiązania, a w noc po wyzwoleniu w Twoją stronę kierowały się moje najsilniejsze uczucia.

Trudniej było, gdy nie dopuściliście, żebym z powodu uszkodzenia ciała Adriany stanął przed sądem. Syn sędziego – nie wiem, za jakie sznurki pociągnęliście, jakie rozmowy odbyliście. Dzisiaj mówię Wam, że chętniej stanąłbym przed sądem i walczył o moralne prawo, by stawiać życie ponad przepisami. Jednak cokolwiek uczyniłeś, bardzo mnie to poruszyło. Nie potrafiłem tego wytłumaczyć, ale byłem pewien, że nie kierowała Wami żadna z dwóch pobudek, których nie mógłbym zaakceptować: lęk przed wstydem albo pragnienie wykorzystania swoich wpływów. Zrobiłeś to po prostu, aby mnie chronić. Jestem z Ciebie dumny, powiedziałaś, gdy wyjaśniłem Ci kwestie medyczne i pokazałem odpowiedni fragment w podręczniku. Potem mnie objąłeś, jedyny raz od czasu mego dzieciństwa. Czuję zapach tytoniu na Twoim ubraniu i mydła na twarzy. Dziś czuję go nadal, a także uścisk Twoich ramion, który trwał dłużej, niż oczekiwałem. Śniłem o tych ramionach i były to błagalnie wyciągnięte ramiona, wyciągnięte do syna w gorącej prośbie, by jak dobry czarodziej wyzwolił Cię od bólu.

W tym śnie czułem oczekiwanie i nadmierną nadzieję, które zawsze pojawiały się na Twojej twarzy, gdy tłumaczyłem Ci mechanizm Twej choroby, nieodwracalne skrzywienie kręgosłupa nazwane od Władimira

Bechterewa, i gdy rozmawialiśmy o misterium bólu. To były chwile wielkiej i głębokiej bliskości – śledziłeś wzrokiem ruch moich ust i każde słowo początkującego lekarza spijałeś jak objawienie. Ja stawałem się wtedy mądrym ojcem, a Ty potrzebującym pomocy synem. Po jednej z tych rozmów spytałem Mamę, jaki był Twój ojciec i jak traktował Ciebie. „Był dumnym, samotnym, nieznośnym tyranem, który jadł mi z ręki – powiedziała. – Fanatycznym orędownikiem kolonializmu. Przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, co o tym sądzisz”.

Gregorius pojechał do hotelu i przebrał się na kolację. Silveira mieszkał w willi w Belem. Drzwi otworzyła służąca, a potem w ogromnym holu, który wyglądał jak wejście do ambasady, pojawił się Silveira. Zauważył, że Gregorius rozgląda się z podziwem.

– Po rozwodzie i odejściu dzieci dom nagle stał się o wiele za duży. Ale nie chcę się wyprowadzać – powiedział Silveira, na którego twarzy Gregorius dostrzegł to samo zmęczenie co przy ich pierwszym spotkaniu w nocnym pociągu.

Później Gregorius sam już nie wiedział, jak do tego doszło. Siedzieli przy deserze, a on mówił o Florence, o Isfahanie i o zwariowanych wizytach w liceum. Było trochę tak jak wtedy, w wagonie sypialnym, gdy opowiadał Silveirze o tym, że wstał i wyszedł z sali lekcyjnej. – Pański płaszcz był wilgotny, gdy zdjął go pan z wieszaka, pamiętam dokładnie, padał wtedy deszcz – powiedział Silveira przy zupie. – I nadal pamiętam hebrajskie słowo oznaczające światło: or. – Wtedy Gregorius opowiedział o bezimiennej Portugalce, o której nie wspomniał w wagonie sypialnym.

– Proszę za mną – powiedział Silveira po kawie i poprowadził go do piwnicy. – Proszę, to był sprzęt kempingowy dzieci. Wszystko najlepszej jakości. Na nic się nie przydał, pewnego dnia dzieci po prostu zostawiły tu te rzeczy, brak zainteresowania, żadnych podziękowań, nic. Przenośny grzejnik, lampa, maszynka do kawy, wszystko na baterie. Może pan to weźmie? Do liceum? Powiem kierowcy, sprawdzi baterie i przewiezie rzeczy.

Nie była to wyłącznie hojność. Chodziło o liceum. Już wcześniej Silveira kazał opisać sobie opuszczoną szkołę i chciał wiedzieć jak najwięcej – mogła to być jednak tylko zwykła ciekawość, ciekawość jak wobec zaczarowanego zamku z bajki. Ale propozycja ze sprzętem kempingowym świadczyła o zrozumieniu dla dziwacznych poczynań Gregoriusa – a jeśli nie było to zrozumienie, to przynajmniej szacunek – jakiego nie oczekiwał od nikogo, a już na pewno nie od biznesmena, którego życie kręciło się wokół pieniędzy.

Silveira zauważył jego zaskoczenie. – Ta sprawa z liceum i szczurami po prostu mi się podoba – powiedział z uśmiechem. – To coś zupełnie innego, coś, czego nie można policzyć. Wydaje mi się, że ma jakiś związek z Markiem Aureliuszem.

Gdy Gregorius został na chwilę sam w salonie, obejrzał książki. Stosy literatury o porcelanie. Prawo handlowe. Przewodniki. Angielskie i francuskie słowniki biznesowe. Leksykon psychologii dziecięcej. Regał ze zbiorem najróżniejszych powieści.

Na stoliku w rogu stało zdjęcie obojga dzieci, chłopca i dziewczynki. Gregorius pomyślał o liście Kägiego. W porannej rozmowie Natalie Rubin wspomniała, że rektor opuszcza lekcje, jego żona przebywa w klinice w Waldau. *Są chwile, gdy moja żona wygląda tak, jakby się rozpadała*, napisał w liście.

– Rozmawiałem przez telefon z kolegą, który często jeździ do Iranu – powiedział Silveira po powrocie. – Potrzebna jest wiza, ale poza tym można bez problemu pojechać do Isfahanu.

Zawahał się, gdy zobaczył wyraz twarzy Gregoriusa.

– Ach tak – powiedział wolno – ach tak. *Oczywiście*. Nie chodzi o *ten* Isfahan. I nie o Iran, lecz o *Persję*.

Gregorius skinął głową. Mariana Eça zainteresowała się jego oczami i zauważyła, że cierpi na bezsenność. Poza tym Silveira był jedynym człowiekiem, który zainteresował się nim samym. *Nim*. Jedynym człowiekiem, dla którego nie był tylko rozumiejącym lustrem, jak dla mieszkańców świata Prado.

Gdy przy pożegnaniu ponownie stanęli w holu, a służąca przyniosła Gregoriusowi płaszcz, wzrok Silveiry powędrował na galerię, skąd wchodziło się do pozostałych pokoi. Silveira spojrzął pod nogi, a potem znowu w górę.

– Skrzydło dzieci. Ich dawne skrzydło. Chciałby je pan zobaczyć?

Dwa przestronne, jasne pomieszczenia z osobną łazienką. Na półkach z książkami mnóstwo powieści Georges’a Simenona.

Stali na galerii. Silveira nagle zdawał się nie wiedzieć, co zrobić z rękoma.

– Jeśli pan zechce, może pan tu zamieszkać. Oczywiście bezpłatnie. Na czas nieokreślony. – Roześmiał się. – O ile nie pojedzie pan właśnie do Persji. Będzie panu lepiej niż w hotelu. Nikt nie będzie panu przeszkadzał, ja często wyjeżdżam. Jutro rano znowu. Julieta, służąca, zatroszczy się o pana. A kiedyś wygrani z panem w szachy.

– *Chamo-me José* – powiedział, gdy przypieczętowali umowę uściskiem dłoni. – *E tu?*

29 Gregorius pakował się. Był podekscytowany, jakby wybierał się w podróż dookoła świata. W myślach uprzątnął część powieści Simenona z regału w pokoju chłopca i postawił swoje książki: te o dżumie i trzęsieniu ziemi, Nowy Testament, który wieki temu podarował mu Coutinho, Pessoa, Eça de Queirós, biografia Salazara ilustrowana zdjęciami, książki od Natalie Rubin. Z Berna zabrał Marka Aureliusza i starego Horacego, greckie tragedie i Safonę. W ostatniej chwili dołożył też *Wyznania* świętego Augustyna. *Książki na następny etap drogi.*

Torba była ciężka, a gdy zdjął ją z łóżka i przeniósł do drzwi, poczuł zawroty głowy. Położył się. Po kilku minutach minęły, mógł dalej czytać list Prado.

Drzę na samą myśl o nieplanowanej i nieznannej, ale jednak nieuniknionej i niepowstrzymanej sile, z jaką rodzice zostawiają w dzieciach ślady, które jak blizny po oparzeniach nie dają się usunąć. Zarysy rodzicielskiej woli i lęków wpisują się rozpalonym rylcem w dusze małych, przepętnionych bezsilnością i niewiedzą o tym, co się z nimi dzieje. Potrzebujemy całego życia, by odnaleźć i odcyfrować wypalony tekst, i nigdy nie możemy być pewni, że go zrozumieliśmy.

Widzisz, Papo, tak i mnie ułożyło się z Tobą. Niedawno zaświtało mi w końcu, że mam w sobie potężny tekst, który władał wszystkim, co do dziś czułem i robiłem, ukryty żarzący się tekst, którego podstępna siła polega na tym, że pomimo całego mojego wykształcenia nigdy nie przyszło mi do głowy, iż może on nie być tak ważny, jak mu to nieświadomie przypisywałem. Ów tekst jest krótki i starotestamentowo ostateczny: INNI SĄ TWOIM SĄDEM.

Nie potrafię tego dowieść, a więc nie miałoby to wagi przed sądem, ale wiem, że od małego czytałem ten tekst w Waszym spojrzeniu, Ojczy, w spojrzeniu zza okularów, które było pełne wyrzeczenia, bólu i surowości i wydawało się podążać za mną, dokądkolwiek poszedłem. Jedyne miejscem, gdzie nie mogło mnie śledzić, był wielki fotel w bibliotece liceum, za którym ukryłem się w nocy, by móc dalej czytać. Mocna przedmiotowość fotela tworzyła wraz z ciemnością nieprzenikalną ścianę, chroniącą mnie przed wszelką natarczywością. Wasz wzrok tam nie docierał, nie było zatem sądu, przed którym musiałbym odpowiadać, gdy czytałem o kobietach o białych członkach i wszystkich tych rzeczach, jakie można robić tylko w ukryciu.

Czy możecie sobie wyobrazić moją wściekłość, gdy przeczytałem u proroka Jeremiasza: Czy może się człowiek ukryć w zakamarkach, tak

bym go nie widział? – wyrocznia PANA. Czy nie wypełniani nieba i ziemi? [Jer 23,24], „Czego chcesz – powiedział ojciec Bartolomeu. – Jest Bogiem”.

„Tak, i dokładnie to przemawia przeciwko Bogu – że jest Bogiem”, odparłem.

Ojciec Bartolomeu roześmiał się. Nigdy nie brał mi niczego za złe. Kochał mnie.

Jak bardzo, Papo, chciałbym mieć ojca, z którym mógłbym rozmawiać o takich rzeczach! O Bogu i jego zarozumiałym okrucieństwie, o krzyżu, gilotynie i garocie. O szaleństwie z nadstawianiem drugiego policzka. O sprawiedliwości i zemście.

Twoje plecy nie wytrzymały kościelnych ławek, więc tylko jeden raz widziałem, jak klęczysz, było to na mszy za zmarłego wuja Ernesta. Nie mogę zapomnieć sylwetki Twego udręczonego ciała, miała coś wspólnego z Dantem i czyścem, który zawsze wyobrażałem sobie jako płomieniste morze upokorzenia, bo cóż jest gorszego niż upokorzenie, wobec niego najgorszy ból jest niczym. Nigdy więc nie zdarzyło się, żebyśmy porozmawiali o tych sprawach. Słowo Deus słyszałem w Twoich ustach tylko w wyświechtanych zwrotach, nigdy naprawdę, nie tak, żeby przemawiała z niego wiara. A jednak nie zrobiłeś nic przeciw niememu wrażeniu, że nosisz w sobie nie tylko kodeksy ziemskie, lecz także kościelne, z których zrodziła się inkwizycja. Tarrafal, Ojczy, TARRAFAL!

30 Szofer Silveiry odebrał go późnym popołudniem. Włożył baterie do sprzętu kempingowego i zapakował dwa koce oraz kawę, cukier

i biskopaty. W hotelu niechętnie żegnali Gregoriusa. „*Foi um grande prazer*”, powiedzieli.

Nocą padał deszcz i na samochodach zebrał się drobny piasek przyniesiony przez pustynny wiatr. Filipe, kierowca, otworzył tylne drzwi dużego lśniącego samochodu. *Gdy gładziłem w samochodzie eleganckie obicia* – wtedy w głowie Prado zrodził się plan napisania listu do ojca.

Gregorius tylko jeden raz jechał z rodzicami taksówką, gdy wracali z urlopu nad jeziorem Thun, gdzie ojciec skręcił kostkę, więc ze względu na bagaż nie dało się inaczej. Patrzył na potylicę ojca i wiedział, jak źle się czuje. Dla matki było to niczym bajka, jej oczy lśniły i nie chciała wcale wysiadać.

Filipe pojechał do willi, a potem do liceum. Droga, którą samochody dostawcze dostarczały niegdyś zaopatrzenie do szkolnej kuchni, całkowicie zarosła. Szofer zatrzymał auto. – Tutaj? – spytał zdumiony. Ciężki mężczyzna z mocnymi ramionami bojaźliwie omijał szczury. W biurze rektora przeszedł powoli wzdłuż ścian, z czapką w rękę, i obejrzał zdjęcia Isfahanu.

– I co pan tu robi? – spytał. – Oczywiście nie wypada mi...

– Trudno powiedzieć – odparł Gregorius. – Bardzo trudno. Wie pan, czym jest sen na jawie. To trochę tak. Ale także zupełnie inaczej. Poważniej. I bardziej szaleńczo. Gdy czas życia się kurczy, nie obowiązują już żadne reguły. A potem wygląda to tak, jakby ktoś oszalał i nadawał się do czubków. Ale w zasadzie jest odwrotnie – tam powinni się znaleźć ci, którzy nie chcą przyznać, że czas ucieka. Ci, którzy dalej postępują tak, jakby nic się nie działo. Rozumie pan?

– Przed dwoma laty miałem zawał serca – powiedział Filipe. – Czułem się dziwnie, gdy wróciłem potem do pracy. Teraz przypomniałem sobie o tym, wcześniej całkiem zapomniałem.

– Tak – stwierdził Gregorius.

Gdy Filipe poszedł, niebo się zachmurzyło, zrobiło się chłodno i ciemno. Gregorius włączył grzejnik, zapalił światło i zagotował kawę. Papierosy. Wyjął je z kieszeni. Silveira spytał go przy kolacji, jakie papierosy palił wtedy po raz pierwszy w życiu. Potem wstał i wrócił z taką samą paczką.

Proszę. Paliła je moja żona. Od lat leżą w szufladzie nocnego stolika. Po jej stronie łóżka. Nie mogłem ich wyrzucić. Tytoń musi być suchy jak wiór. Gregorius rozerwał opakowanie i zapalił papierosa. Teraz potrafił już zaciągać się bez kaszlu. Dym był ostry i smakował palonym drewnem. Ogarnęła go fala zawrotów głowy, a serce zaczęło kołatać.

Przeczytał fragment Księgi Jeremiasza, o którym pisał Prado, i wrócił do Izajasza. *Bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami – wyrocznia PANA. Bo jak niebiosa górują nad ziemią, tak drogi moje – nad waszymi drogami i myśli moje – nad myślami waszymi* [Iz 55, 8-9].

Prado założył, że Bóg jest osobą, która może myśleć, chcieć i czuć. Następnie, jak w przypadku każdej innej osoby, wysłuchał, co ma do powiedzenia, i stwierdził, że nie chce mieć nic wspólnego z tak wywyższającym się charakterem. Czy Bóg miał *charakter*? Gregorius pomyślał o Ruth Gautschi i Davidzie Lehmannie, i swoich własnych słowach o poetyckiej powadze, ponad którą nie ma większej powagi. Berno było bardzo daleko.

Wasza niedostępność, Ojcze. Mama w roli tłumaczki, która musiała tłumaczyć nam Wasze milczenie. Dlaczego nie nauczyliście się sami mówić o Was i Waszych uczuciach? Chcę Wam to powiedzieć: byliście zbyt wygodni, niezwykle wygodnie było ukrywać się za południową rolę głowy szlacheckiej rodziny. Do tego dochodziła rola milczącego cierpienia, przy którym niewymowność jest zaletą, wielką cnotą polegającą na nieuskarżaniu się na ból. I tak Wasza choroba stanowiła rozgrzeszenie dla braku woli, by nauczyć się wyrażać samego siebie. Wasza arogancja: to pozostali powinni nauczyć się odgadywać Was w cierpieniu.

Czy nie zauważyliście, ile tracie w zdolności samostanowienia, którą przecież mamy tylko w takim stopniu, w jakim umiemy wyrazić samego siebie w słowach?

Czy nigdy nie myślałeś o tym, Papo, że dla nas wszystkich może także być ciężarem to, że nie mówisz o bólu i o upokorzeniu skrzywionych pleców? Że Twoje nieme bohaterskie znoszenie cierpienia, niepozbawione próżności, może dla nas stanowić większy ucisk, niż gdybyś czasem przeklął lub przelał łzy litości nad sobą samym, które można by otrzeć Ci z oczu? Bo przecież oznaczało to, że my, dzieci, a przede wszystkim ja, syn, uwięzieni w sferze Twojej nieugiętości, nie mieliśmy prawa się skarżyć, wszelkie takie prawo, jeszcze zanim się go domagaliśmy – tak, zanim któreś z nas zaledwie pomyślało, by się go domagać – było wsysane, połykane, niszczone przez Twą nieugiętość i Twoje dzielnie znoszone cierpienie.

Nie chciałeś środków przeciwbólowych, nie chciałeś tracić przytomności umysłu, byłeś apodyktyczny pod tym względem. Raz, gdy sądziłeś, że nikt Cię nie widzi, obserwowałem Cię przez szparę w drzwiach. Połknąłeś tabletkę, a po krótkiej walce włożyłeś do ust drugą. Kiedy po chwili zajrzałem znowu, siedziałeś w fotelu z głową na oparciu, z okularami na kolanach i na wpół otwartymi ustami. Oczywiście było to nie do pomyślenia, ale tak bardzo chciałem wejść i Cię pogłaskać!

Ani razu nie widziałem Cię płaczącego, stałeś z nieporuszoną wyrazem twarzy, gdy grzebaliśmy Carlosa, ukochanego – także przez Ciebie – psa. Nie byłeś bezdusznym człowiekiem, z pewnością nie. Ale dlaczego przez całe życie zachowywałeś się tak, jakby dusza była czymś, czego należy się wstydzić, czymś niestosownym, punktem słabości, który trzeba trzymać w ukryciu, niemal za wszelką cenę?

Przez Ciebie wszyscy od dziecka nauczyliśmy się, że jesteśmy przede wszystkim ciałem i że w naszych myślach nie ma niczego, czego nie było przedtem w ciele. A potem – cóż za paradoks! – pozbawiłeś nas wszelkiego wykształcenia w sferze czułości, nie mogliśmy więc uwierzyć, że zbliżyłeś się do Mamy na tyle, by nas spłodzić. To nie był on, powiedziała kiedyś

Mélodie, to był nurt Amazonki. Tylko raz poczułem, że wiesz, czym jest kobieta: gdy weszła Fátima. Nie zmieniło się w Tobie nic, a zarazem zmieniło się wszystko. Po raz pierwszy pojąłem wtedy, czym jest pole magnetyczne.

Tu list się kończył. Gregorius włożył kartki na powrót do koperty. Wtedy zauważył notatkę napisaną ołówkiem z tyłu ostatniej stronicy. Co wiedziałem o Twojej fantazji? Dlaczego wiemy tak mało o fantazji naszych rodziców? Co możemy wiedzieć o kimś, jeśli nie wiemy nic o obrazach, jakie pokazuje mu wyobraźnia? Gregorius odłożył kopertę i pojechał do João Eçy.

31 Eça grał białymi, ale nie zaczynał. Gregorius zaparzył herbatę i napełnił obie filiżanki do połowy. Zapalił jeden z papierosów, które zostawiła w sypialni żona Silveiry. João Eça również palił. Palił i pił, i nic nie mówił. Zmierzch opadł nad miastem, zaraz mieli dzwonić na kolację.

– Nie – powiedział Eça, gdy Gregorius podszedł do kontaktu. – Ale proszę zamknąć drzwi.

Szybko się ściemniło. Żar papierosa Eçy rósł i kurczył się. Gdy wreszcie mężczyzna zaczął mówić, było tak, jakby nałożył na swój głos tłumik, jak na instrument, przez co słowa były nie tylko łagodniejsze i głębsze, ale i bardziej chropowate.

– Dziewczyna. Estefânia Espinhosa. Nie wiem, czego się pan dowiedział. Ale jestem pewien, że pan o tym słyszał. Już dawno chciał pan mnie o to zapytać. Czuję to. Nie odważył się pan. Myślałem o tym od zeszłej niedzieli. Lepiej będzie, gdy opowiem panu moją historię. Stanowi, jak sądzę, tylko część prawdy. O ile istnieje prawda. Lecz tę część powinien pan znać. Cokolwiek powiedzą inni.

Gregorius nalał herbaty. Dłonie Eçy drżały, gdy pił.

– Pracowała na poczcie. Poczta jest ważna dla ruchu oporu. Poczta i kolej. Była młoda, gdy poznał ją O’Kelly. Dwadzieścia trzy albo cztery lata. To było w 1970 roku, wiosną. Miała niewiarygodną pamięć. Niczego nie zapominała, ani tego, co widziała, ani tego, co usłyszała. Adresy, numery telefonów, twarze. Krążył dowcip, że zna na pamięć książkę telefoniczną. Nie była z tego powodu zarozumiała. „Dlaczego wy tego nie potraficie? – mówiła. – Nie rozumiem, jak można być tak zapominalskim”. Matka zostawiła ją albo zmarła, gdy Estefânia była mała, nie pamiętam już, a ojca pewnego dnia pojmano i uprowadzono, był kolejarzem, podejrzewali go o sabotaż.

Została kochanką Jorge. Poddał się jej, obserwowaliśmy to z troską, coś takiego zawsze jest niebezpieczne. Lubiła go, ale nie był jej namiętnością. To go gryzło, sprawiało, że stał się drażliwy i chorobliwie zazdrosny. „Bez obaw – powiedział, gdy patrzyłem na niego zamyślony. – Nie tylko ty nie jesteś już początkujący”.

Szkoła dla analfabetów to był jej pomysł. Wspaniały. Salazar rozpoczął kampanię walki z analfabetyzmem, nauka czytania jako patriotyczny obowiązek. Zorganizowaliśmy salę, wstawiliśmy stare ławki, biurko. I ogromną tablicę. Dziewczyna wystarała się o pomoce do nauczania, plansze z literami, takie rzeczy. W klasie dla analfabetów może siedzieć każdy, w każdym wieku. Na tym polegała sztuczka – nikt nie musiał na zewnątrz usprawiedliwiać swojej obecności, a poza tym można było powoływać się przed szpiclami na dyskrecję, to zawstydzające, gdy nie umie się czytać. Estefânia rozesłała zaproszenia, upewniła się, że nie zostały otwarte, choć napisała w nich tylko: *Widzimy się w piątek? Całuję, Noëlia*, zmyślane imię jako znak rozpoznawczy.

Spotykaliśmy się. Omawialiśmy akcje. W przypadku gdyby zjawił się ktoś z P. I. D. E. czy jakakolwiek obca twarz, dziewczyna sięgnęłaby po prostu po kredę, zawsze tak przygotowywała tablicę, jakbyśmy byli w połowie zajęć. Na tym także polegała sztuczka: mogliśmy spotykać się publicznie, nie musieliśmy się ukrywać. Graliśmy świniom na nosie. W ruchu oporu nie jest nikomu do śmiechu. Ale czasem się śmialiśmy.

Pamięć Estefanii stawała się coraz ważniejsza. Nie potrzebowaliśmy nic zapisywać, zostawiać pisemnych śladów. Cała siatka kryła się za jej

czołem. Czasami myślałem: a jeśli coś jej się stanie? Ale była taka młoda i piękna, kwitnące życie, odsuwaliśmy od siebie tę myśl, ciągnęliśmy to dalej i przeprowadzaliśmy jedną akcję po drugiej.

Pewnego wieczoru, było to jesienią 1971 roku, do sali wkroczył Amadeu. Zobaczył ją i był oczarowany. Gdy zakończyliśmy spotkanie, podszedł, by z nią porozmawiać. Jorge czekał przed drzwiami. Ona ledwo spojrzała na Amadeu, natychmiast spuściła wzrok. Przeczynałem, co będzie.

Nic się nie stało. Jorge i Estefânia zostali razem. Amadeu nie zjawiał się już na spotkaniach. Później dowiedziałem się, że poszła do niego do gabinetu. Szalała za nim. Amadeu ją odtrącił. Był lojalny wobec O'Kelly'ego. Lojalny aż do wyparcia się samego siebie. Przez całą zimę panował napięty spokój. Czasami widywaliśmy Jorge z Amadeu. Coś się zmieniło, coś nieuchwytnego. Gdy szli obok siebie, sprawiali wrażenie, jakby nie szli tak równym krokiem jak dawniej. Jakby wspólnota oznaczała wysiłek. Także między O'Kellym i dziewczyną coś się zmieniło. Opanowywał się, ale od czasu do czasu okazywał rozdrażnienie, poprawiał ją, lecz jej pamięć okazywała się niezawodna, wychodził więc. Być może i tak doszłoby do dramatu, tylko byłby bezbolesny w porównaniu z tym, co się stało.

Pod koniec lutego zjawił się na zajęciach jeden z pacholków Mendesa. Bezgłośnie otworzył drzwi i stanął w sali, inteligentny, niebezpieczny człowiek, znaliśmy go. Estefânia była niewiarygodna. Ledwo go zobaczyła, urwała zdanie, w którym chodziło o niebezpieczną operację, sięgnęła po kredę i wskaźnik i nauczła o ζ , pamiętam dokładnie, że było to ζ . Badajoz – tak nazywał się ów mężczyzna, jak hiszpańskie miasto – usiadł, nadal słyszę trzeszczenie ławki w ciszy, w której nikt nie oddychał. Estefânia zdjęła żakiet, choć w klasie było chłodno. Gdy się spotykaliśmy, na wszelki wypadek ubierała się uwodzicielsko. Z nagimi ramionami i przezroczystą bluzką była... można było z miejsca stracić rozum. O'Kelly by tego nie zniósł. Badajoz skrzyżował nogi.

Kuszącym obrotem ciała Estefânia zakończyła udawaną lekcję. „Do następnego razu”, powiedziała. Ludzie wstali, widać było wyraźnie, że z trudem zachowują spokój. Profesor muzyki, u którego uczyła się Estefânia i który siedział obok mnie, uniósł się z miejsca. Badajoz podszedł do niego.

Wiedziałem. Wiedziałem, że to katastrofa.

„Profesor analfabeta – powiedział Badajoz, a jego twarz rozciągnęła się w podłym, odpychającym uśmiešku. – To coś nowego, gratuluje postępów w edukacji”.

Profesor zbladł i przejechał językiem po suchych wargach. Ale jak na okoliczności trzymał się dobrze.

„Niedawno poznałem kogoś, kto nie umie czytać. Wiedziałem o kursach senhory Espinhosa, jest moją uczennicą, i chciałem wyrobić sobie pogląd, zanim zaproponuję znajomemu, by spróbował”, powiedział.

„Aha – odparł Badajoz. – Jak się nazywa?”.

Cieszyłem się, że pozostali już zniknęli. Nie miałem przy sobie noża. Przeklinałem się za to.

„João Pinto”, powiedział profesor.

„Jak oryginalnie – uśmiechnął się Badajoz. – A adres?”.

Podany adres nie istniał. Profesora wezwano i zatrzymano. Estefânia nie wróciła do domu. Zabroniłem jej zamieszkać u O’Kelly’ego. „Podejź do tego rozsądnie – powiedziałem do niego. – To zbyt niebezpieczne, jeśli zostanie wsypana, to ty też”. Ulokowałem ją u starej ciotki.

Amadeu poprosił, żebym przyszedł do jego gabinetu. Rozmawiał z Jorge. Był ogromnie zdenerwowany. Wychodził z siebie. W ten typowy dla niego cichy, blady sposób.

„On chce ją zabić – stwierdził beznamiętnie. – Nie powiedział tego tymi słowami, ale to jasne: chce zabić Estefanię. Żeby wymazać jej pamięć, zanim ją zgarną. Wyobraź sobie, Jorge, mój stary przyjaciel Jorge, mój najlepszy przyjaciel, mój jedyny prawdziwy przyjaciel. Oszalał, chce poświęcić swoją ukochaną. *Chodzi o wiele istnień*, powtarzał wciąż. Jedno życie za wiele, to jego rachunek. Pomóż mi, musisz mi pomóc, to nie może się stać”.

Gdybym jeszcze tego nie wiedział, właśnie w tej rozmowie uświadomiłbym sobie, że Amadeu ją kochał. Oczywiście nie mogłem wiedzieć, co go łączyło z Fatimą, widziałem ich oboje tylko tamtego razu w Brighton, a jednak miałem pewność: to było coś zupełnie innego, dużo dzielszego, rozpalona lawa tuż przed wybuchem. Amadeu stanowił przecież

chodzący paradoks – pewny siebie i nieustraszony, ale także człowiek, który ciągle czuje na sobie spojrzenie innych i cierpi z tego powodu. Dlatego chciał do nas przystąpić, chciał bronić się przed oskarżeniami o ocalenie Mendesa. Sądzę, że Estefânia była jego szansą, by wreszcie wyjść z sali sądowej na wolny, gorący plac życia i ten jeden raz żyć tylko podług swoich pragnień, swoich namiętności, i niech diabli wezmą innych.

Wiedział o tej szansie, tego jestem pewien, znał się dość dobrze, lepiej niż większość ludzi, ale istniała bariera, ta żelazna bariera lojalności wobec Jorge. Amadeu był najbardziej lojalnym człowiekiem we wszechświecie, lojalność stanowiła jego religię. Była to lojalność przeciw wolności i odrobinie szczęścia. Opierał się wewnętrznej lawinie pożądania i odwracał głodny wzrok, gdy widział dziewczynę. Pragnął nadal móc patrzeć w oczy Jorge, nie chciał, żeby czterdziestoletnia przyjaźń skończyła się przez marzenia na jawie, choćby tak palące.

I oto Jorge miał odebrać mu dziewczynę, która nigdy do niego nie należała. Miał zniszczyć kruchą wewnętrzną równowagę, jaka istniała między lojalnością i wypieraną nadzieją. To było zbyt wiele.

Porozmawiałem z O’Kellym. Zaprzeczył, że powiedział coś takiego lub nawet sugerował. Na jego nieogolonej twarzy pojawiły się czerwone plamy i ciężko było stwierdzić, czy miały więcej wspólnego z Estefanią, czy z Amadeu.

Skłamał. Wiedziałem to, a on wiedział, że wiedziałem.

Zaczął pić, czuł, że Estefânia mu się wymyka, z Amadeu lub bez niego, i tego nie wytrzymał.

„Możemy wywieźć ją z kraju”, powiedziałem.

„Pochwyć ją – odparł. – Profesor chce dobrze, ale nie jest dość silny, złamię go i dowiedzą się, że wszystko jest w jej głowie, a potem będą ją ścigać, poślą wszystkie swoje siły, to jest po prostu *zbyt* ważne, wyobraź sobie, *cała lizbońska siatka*, żaden z nich nie zmruży oka, dopóki jej nie dostaną, a mają przecież całą armię”.

Opiekunki roznoszące kolację pukały do drzwi i wołały, ale Eça zignorował je i mówił dalej. W pokoju było ciemno, a jego głos wydawał się dochodzić z innego świata.

– To, co teraz powiem, zaszokuje pana – rozumiałem O’Kelly’ego. Rozumiałem zarówno jego, jak i jego argumenty, bo były to dwie różne rzeczy. Gdyby coś jej wstrzyknęli i przeniknęli do jej pamięci, wszyscy byśmy polegli, około dwustu osób, a nawet jeszcze więcej, jeśli zabraliby się do każdego z osobna. To było nie do pomyślenia. Wystarczyło wyobrazić sobie tylko część konsekwencji i już człowiek stwierdzał: *trzeba się jej pozbyć*.

W tym sensie rozumiałem O’Kelly’ego. Nadal uważam, że byłby to usprawiedliwiony mord. Kto mówi inaczej, ułatwia sobie sprawę. Uważam to za brak wyobraźni. Pragnienie zachowania czystych rąk jako najwyższa zasada. Według mnie to odpychające.

Sądzę, że w tej sprawie Amadeu nie potrafił jasno myśleć, pamiętał jej lśniąca oczy, niezwykłą, niemal azjatycką cerę, zaraźliwy, porywający śmiech, miękki krok, i po prostu nie chciał, by to wszystko zgasło, *nie mógł tego chcieć*, i cieszę się, że nie mógł, bo inaczej stałby się potworem, potworem samozakłamania.

Za to O’Kelly – podejrzewałem, że widział w tym sposób na wyzwolenie, wyzwolenie od udręki, bo nie mógł utrzymać jej przy sobie i wiedział, że namiętność ciągnie ją ku Amadeu. W tym także go rozumiałem, ale w zupełnie innym sensie, bez przyzwolenia. Rozumiałem go, bo w jego uczuciach rozpoznawałem samego siebie. To było dawno, lecz i ja straciłem kobietę dla kogoś innego, a ona wprowadziła w moje życie muzykę, nie Bacha, jak w przypadku O’Kelly’ego, lecz Schuberta. Wiedziałem, co oznacza marzyć o takim wybawieniu, i wiedziałem, jak usilnie można szukać pretekstu do przeprowadzenia podobnego planu.

I właśnie dlatego mu przeszkodziłem. Wydostałem dziewczynę z ukrycia i zaprowadziłem do niebieskiego gabinetu. Adriana nienawidziła mnie za to, ale nienawidziła mnie już wcześniej, byłem dla niej człowiekiem, który wciągnął jej brata do ruchu oporu.

Porozmawiałem z ludźmi, którzy znali przygraniczne góry, i poinstruowałem Amadeu. Nie było go tydzień. Gdy wrócił, zachorował. Estefanii nie zobaczyłem już nigdy.

Pochwycili mnie krótko potem, ale nie miało to nic wspólnego z nią. Podobno była na pogrzebie Amadeu. Dużo później usłyszałem, że pracuje

w Salamance, wyklada historię.

Z O'Kellym przez dziesięć lat nie zamieniłem ani słowa. Dziś jest lepiej, ale nie szukamy ze sobą kontaktu. Wie, co wtedy myślałem, a to nie ułatwia sprawy.

Eça zaciągnął się mocniej papierosem, żar wgryzał się w bibułę połyskującą jasno w ciemności. Zakaszłał.

– Za każdym razem, gdy Amadeu odwiedzał mnie w więzieniu, kusilo mnie, by zapytać go o O'Kelly'ego, o ich przyjaźń. Nie ośmieliłem się. Amadeu nigdy nikomu nie groził, to należało do jego credo. Potrafił jednak, nawet o tym nie wiedząc, być groźbą. Groźbą, że wybuchnie na oczach innych. Jorge oczywiście nie mogłem spytać. Może dziś, po trzydziestu latach, sam nie wiem. Czy przyjaźń może przetrwać coś takiego?

Gdy wyszedłem, poszukałem profesora. Od dnia aresztowania nikt o nim więcej nie słyszał. Te świnię. Tarrafal. Słyszał pan już kiedyś o Tarrafal? Liczyłem się z tym, że tam trafię. Salazar był zgrzybiały, a P.I.D.E. wyprawiała, co chciała. Sądzę, że nie doszło do tego przez przypadek, ale przypadek to brat samowoli. Postanowiłem sobie, że w razie czego będę uderzał głową o ścianę, aż pęknie mi czaszka.

Milczeli. Gregorius nie wiedział, co mógłby odpowiedzieć.

Wreszcie Eça wstał i zapalił światło. Potarł sobie oczy i wykonał otwarcie, którym zawsze zaczynał. Grali do czwartego posunięcia, wtedy Eça odsunął szachownicę. Obaj mężczyźni wstali. Eça wyjął dłonie z kieszeni blezera. Podeszli do siebie i objęli się. Ciało Ecy drżało. Z jego gardła dobiegł ochrypły dźwięk kryjący w sobie zwierzęcą siłę i bezsilność. Potem mężczyźni rozluźnił się i przytrzymał mocno Gregoriusa. Gregorius pogładził go po głowie. Gdy cicho otworzył drzwi, Eça stał przy oknie i wpatrywał się w noc.

32 Gregorius stał w salonie w domu Silveiry i patrzył na liczne fotografie, ujęcia z wielkiej uroczystości. Większość panów miała na sobie

smokingi, a panie długie suknie wieczorowe z trenami zamiatającymi parkiet. Widać było także Jose Antonia da Silveirę, znacznie młodszego, w towarzystwie żony, obfitej blondynki, która przypominała Gregoriusowi Anitę Ekberg w scenie z fontanną di Trevi. Dzieci, może siedmio- lub ośmioletnie, goniły się pod jednym z olbrzymich stołów. Nad stołem wisiał rodowy herb, srebrny niedźwiedź z czerwoną szarfą. Na innym zdjęciu wszyscy siedzieli w salonie i słuchali grającej na fortepianie młodej kobiety, alabastrowej piękności, wyglądającej podobnie jak bezimienna Portugalka na moście Kirchenfeld.

Po przybyciu do willi Gregorius długo siedział na łóżku i czekał, aż przebrzmi wstrząs pożegnania z João Eça. Chropawy dźwięk wydobywający się z krtani mężczyzny, suche łkanie, wołanie o pomoc, wspomnienie tortur, wszystko to razem nigdy nie wyjdzie z jego pamięci. Pragnął móc wlać w siebie tyle gorącej herbaty, by zmyć ból w piersi Ecy.

Powoli przypomniał sobie szczegóły historii Estefanii Espinhoso. Salamanka, wykładała w Salamance. Ujrzał dworcową tablicę ze średniowiecznie ciemnym napisem. Potem tablica zniknęła i pomyślał o scenie, którą opisał ojciec Bartolomeu: jak O’Kelly i kobieta, omijając się wzrokiem, podeszli do siebie i stanęli przy grobie Prado. *To, że unikają patrzenia na siebie, stwarzało między nimi większą bliskość niż jakakolwiek wymiana spojrzeń.*

Wreszcie Gregorius rozpakował walizkę i ustawił książki na półce. W domu panowała wielka cisza. Julieta, służąca, wyszła, zostawiwszy mu na stole kuchennym wiadomość, gdzie znajdzie jedzenie. Gregorius jeszcze nigdy nie był w domu takim jak ten i wszystko wydawało mu się zabronione, nawet odgłos własnych kroków. Włącznik po włączniku zapalał światło. Jadalnia, gdzie spożywali razem kolację. Łazienka. Rzucił krótkie spojrzenie do pracowni Silveiry, by zaraz na powrót zamknąć drzwi.

Stanął w salonie, gdzie pili kawę, i wymówił słowo *nobreza*, podobało mu się, niesłychanie mu się podobało, i powtarzał je raz po raz. Uświadomił sobie, że także słowo *szlachta* zawsze mu się podobało, było to słowo, które wchłaniało przedmiot, lub na odwrót. De l’Arronge – nazwisko panieńskie Florence nigdy nie przywodziło mu na myśl szlachty, a i ona nic sobie z tego nie robiła. Lucien von Graffenried – to co innego, stara berneńska

szlachta, Gregorius myślał wtedy o szlachetnych, nieskazitelnych strukturach z piaskowca na zakręcie Gerechtigkeitsgasse, i o tym, że pewien Graffenried odegrał niejasną rolę w Bejrucie.

I oczywiście Eva von Muralt, Niewiarygodna. To była tylko uczniowska uroczyść, nieporównywalna z przyjęciem na zdjęciach Silveiry, a jednak w wysokich pomieszczeniach pocił się z emocji. „Niewiarygodne!”, powiedziała Eva, gdy jakiś chłopak spytał ją, czy można kupić tytuł szlachecki. „Niewiarygodne!”, wykrzyknęła, gdy Gregorius na koniec wieczoru chciał pozmywać naczynia.

Zbiór płyt Silveiry sprawiał wrażenie zakurzonego. Jakby ten okres w jego życiu, gdy muzyka odgrywała ważną rolę, dawno minął. Gregorius znalazł Berlioza, *Les Nuits d'Été*, *La Belle Voyageuse* i *La Mort d'Ophélie*, muzykę, którą kochał Prado, ponieważ przypominała mu Fatimę. *Estefânia była jego szansą, by wreszcie wyjść z sali sądowej na wolny, gorący plac życia.*

Maria João. Musiał wreszcie odnaleźć Marię João. Jeśli ktokolwiek wiedział, co zdarzyło się wtedy podczas ucieczki i dlaczego Prado po powrocie zachorował, to właśnie ona.

Spędził niespokojną noc, w której nasłuchiwał każdego niezwykłego odgłosu. Rozsypane obrazy senne były podobne do siebie – roilo się w nich od szlachcianek, limuzyn i szoferów, którzy gonili Estefanię. Ścigali ją, choć Gregorius nie zobaczył ani jednego obrazu pościgu. Obudził się z walącym sercem, musiał zwalczyć zawroty głowy i o piątej usiadł przy stole kuchennym nad drugim listem, który przyniosła mu Adriana.

Mój drogi, mój kochany Synu

Przez lata zaczynałem i wyrzucałem tyle listów do Ciebie, że nie wiem już, który to z kolei. Dlaczego to takie trudne?

Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest mieć syna, który został pobłogosławiony taką bystrością i tak licznymi talentami? Wymownego syna, który daje ojcu poczucie, że zostaje mu tylko milczenie, by nie brzmieć jak miernota? Jako student prawa cieszyłem się sławą człowieka dobrze

radzącego sobie ze słowami. A do rodziny Reis, rodziny Twojej matki, zostałem wprowadzony jako elokwentny adwokat. Moje mowy przeciwko Sidoniowi Paisowi, eleganckiemu piękniśowi w uniformie, i Teofilowi Bradze, noszącemu parasol w tramwaju, wywarły duże wrażenie. Jak zatem doszło do tego, że zamilkłem?

Miałeś cztery lata, gdy przyszedłeś do mnie ze swoją pierwszą książką, by przeczytać mi dwa zdania: Lizbona jest naszą stolicą. To przepiękne miasto. Było niedzielne popołudnie, po ulewie, przez otwarte okno napływało parne, ciężkie powietrze, nasączone zapachem mokrych kwiatów. Zapukałeś, wsadziłeś głowę i spytałeś: „Masz chwilę?”. Jak dorosły syn ze szlacheckiego domu, który z szacunkiem zbliża się do głowy rodziny i prosi o audiencję. To dorosłe zachowanie spodobało mi się, ale jednocześnie przeraziłem się. Co zrobiliśmy źle, że nie wbiegłeś z hałasem jak inne dzieci? Twoja matka nie powiedziała mi nic o książce, i byłem oszołomiony, gdy bez najmniejszego zająknięcia przeczytałeś te zdania głosem recytatora. Twój głos był nie tylko czysty, ale także pełen miłości do słów, tak że oba proste zdania zabrzmiały jak poezja. (To głupie, lecz czasami myślałem, że miała w nich źródło Twoja tęsknota, Twoja legendarna tęsknota za domem, w której tak się sobie podobałeś, choć nie była przez to ani trochę mniej prawdziwa; co prawda wtedy nie byłeś jeszcze ani razu poza Lizboną i nie mogłeś znać owej tęsknoty, musiała być w Tobie, nim mogłeś ją odczuć, ale kto wie, po Tobie można spodziewać się wszystkiego, nawet czegoś, co jest niewyobrażalne).

Pokój wypełniła błyskotliwa inteligencja i pamiętam jeszcze, że pomyślałem: jak mało naiwność tych zdań pasuje do jego mądrości! Później, gdy ponownie zostałem sam, дума ustąpiła innym myślom: od tej pory jego umysł będzie jak ostry reflektor bezlitośnie oświetlający wszystkie

moje słabości. Sądzę, że to był początek mojego lęku przed Tobą. Ponieważ lękałem się Ciebie.

Jak trudno jest ojcu sprawdzić się przed swoimi dziećmi! I jak trudno jest znosić myśl, że wszystkimi swoimi słabościami, ślepotą, pomyłkami i tchórzostwem wpisuje się w ich dusze! Początkowo myśli te pojawiały się w związku z dziedzicznością choroby Bechterewa, co, Bogu niech będą dzięki, zostało wam oszczędzone. Później myślałem więcej o duszy, o naszej stronie wewnętrznej, która jest tak podatna na wrażenia jak woskowa tabliczka i zapisuje wszystko z sejsmograficzną dokładnością. Stałem przed lustrem i myślałem: co ta surowa twarz w nich spowoduje!

Ale cóż można począć z własną twarzą? Nie nic, bo nie chodzi mi o zwykłą fizjonomię. Ale nie jest to dużo. Nie jesteśmy rzeźbiarzami rysów naszych twarzy ani reżyserami naszej powagi, naszego śmiechu i płaczu.

Z tych dwóch pierwszych zdań wyrosły setki, tysiące, miliony. Czasami wydawało się, że książki należą do Ciebie podobnie jak trzymające je dłonie. Kiedyś, gdy czytałeś, siedząc na schodach przed domem, zabłąkała się do Ciebie piłka bawiących się dzieci. Twoja dłoń oderwała się od książki i odrzuciła piłkę. Jakże obcy był ten ruch!

Kochałem Cię jako czytającego, bardzo Cię kochałem. Nawet jeśli wydawałeś mi się niesamowity w swojej nienasyconej pasji czytania.

Jeszcze bardziej niesamowity byłeś dla mnie w żarliwości, z jaką niosłeś świece na ołtarz. Inaczej niż Twoja matka, ani chwili nie sądziłem, że mógłbyś zostać księdzem. Masz usposobienie buntownika, a buntownicy nie zostają księżmi. Jaki zatem cel obierze ostatecznie ta żarliwość, jakiego przedmiotu sobie poszuka? To, że posiadała wybuchową siłę, było wręcz namacalne. Bałem się eksplozji, które mogła wywołać.

Czułem ten strach, gdy ujrzałem Cię w sądzie. Musiałem skazać złodziejkę i posłać ją do więzienia, prawo tego wymagało. Dlaczego

spoglądałeś na mnie przy stole jak na pomocnika kata? Twoje spojrzenie mnie paraliżowało, nie mogłem o tym mówić. Czy masz lepszy pomysł na to, co powinniśmy zrobić ze złodziejką? Masz go?

Patrzyłem, jak rosteś, podziwiałem rozbłyśki Twego umysłu, słyszałem, jak przeklinasz Boga. Nie lubiłem Twojego przyjaciela Jorge, anarchiści napawają mnie strachem, ale cieszyłem się, że chłopak taki jak Ty ma przyjaciela, mogło przecież ułożyć się inaczej, Twoja matka wyobrażała sobie Ciebie bladego i cichego za murami zakładu. Była głęboko przerażona treścią Twojej przemowy na zakończenie szkoły. „Syn bluźnierca, czym sobie na to zasłużyłam!”, powiedziała.

Ja także przeczytałem tekst. I byłem dumny! I zazdrosny! Zazdrosny z powodu samodzielności myślenia i wyprostowanej postawy, które przemawiały z każdej linijki. Były niczym lśniący horyzont, do którego pragnąłbym dotrzeć, ale nigdy do niego nie dotarłem, zbyt ciężko mi ołowiane brzemie mojego wychowania. Jak mogłem wytłumaczyć Ci swoją dumną zazdrość? Nie czyniąc się małym, mniejszym jeszcze i bardziej przygarbionym, niż i tak byłem?

To szaleństwo, pomyślał Gregorius. Obaj mężczyźni, ojciec i syn, mieszkali na przeciwległych wzgórzach miasta niczym postacie z dramatu antycznego, połączeni archaicznym lękiem przed sobą nawzajem i miłością, dla której nie znajdowali słów, i pisali do siebie listy, których nie mieli odwagi wysłać. Ograniczeni milczeniem, którego w sobie nie rozumieli, i ślepi na fakt, że jedno milczenie wywoływało drugie.

– Łaskawa pani też tu czasem siadywała – powiedziała Julieta, gdy wróciła późnym przedpołudniem i zastała go przy kuchennym stole. – Ale nie czytała książek, tylko czasopisma.

Zmierzyła go spojrzeniem. Czy nie spał dobrze? Czy coś nie tak z łóżkiem?

Gregorius powiedział, że czuje się dobrze, już dawno nie czuł się tak dobrze.

Julieta wyraziła zadowolenie, że teraz w domu jest ktoś jeszcze, senhor da Silveira stał się taki cichy i zamknięty w sobie. „Nienawidzę hoteli – stwierdził niedawno, gdy pomagała mu przy pakowaniu. – Dlaczego nadal to robię? Czy możesz mi to powiedzieć, Julieto?”.

33 Cecilia stwierdziła, że jest najdziwniejszym uczniem, jakiego kiedykolwiek miała.

– Zna pan więcej literackich wyrazów niż większość ludzi w tramwaju, ale gdy chce pan przekląć, zrobić zakupy albo zamówić bilet, nie ma pan pojęcia, jak to wyrazić. Nie mówiąc już o flirtowaniu. A może wiedziałbyś, co mi powiedzieć?

Drżąc, otuliła ramiona zieloną chustą.

– I do tego facet z najpowolniejszymi ripostami, z jakimi się spotkałam. Powolny, a jednak wygadany – nie sądziłabym, że to możliwe. Ale u pana...

Pod jej karzącym spojrzeniem Gregorius wyjął podręcznik do gramatyki i wykazał Cecylii błąd.

– Tak – powiedziała, a zielona chusta przed jej ustami wydeła się. – Ale czasami to, co niestaranne, jest właściwe. Na pewno u Greków też tak było.

W drodze do domu Silveiry Gregorius wypił kawę naprzeciw apteki O’Kelly’ego. Od czasu do czasu widział za szybą palącego aptekarza. *Poddał się jej – usłyszał słowa João Eçy. – Lubiła go, ale nie był jej namiętnością. To go gryzło, sprawiało, że stał się drażliwy i chorobliwie zazdrosny... Do sali wkroczył Amadeu. Zobaczył ją i był oczarowany.* Gregorius wyjął zapiski Prado i odszukał odpowiedni fragment.

Ale jeśli wyruszamy zrozumieć czyjeś wnętrze? Czy ta podróż kiedykolwiek dobiega końca? Czy dusza jest miejscem faktów, czy też rzekome fakty są

tylko złudnymi cieniami naszych historii?

W tramwaju do Belém stwierdził nagle, że jego odczucia wobec miasta się zmieniają. Do tej pory było ono wyłącznie miejscem poszukiwań, jego postać podsunęła mu chęć dowiedzenia się jak najwięcej o Prado. Gdy Gregorius wyglądał przez okno tramwaju, czas, w którym z piskiem i stękaniem pełził wagon, należał tylko do niego, był po prostu czasem, w którym Raimund Gregorius żył swoim nowym życiem. Ponownie zobaczył samego siebie stojącego w berneńskiej zajezdni i wypytującego o stare wagony. Przed trzema tygodniami miał wrażenie, że jedzie przez Berno swego dzieciństwa. Teraz jechał przez Lizbonę i tylko Lizbonę. Poczuł, że coś przemieszcza się w głębi.

W domu Silveiry zadzwonił do pani Loosli i podyktował jej swój nowy adres. Potem zatelefonował do hotelu i dowiedział się, że nadeszła gramatyka perska. Balkon zalewało światło ciepłego wiosennego słońca. Gregorius przysłuchiwał się ludziom na ulicy i był zdumiony, jak wiele rozumie. Skądś doszedł zapach jedzenia. Pomyślał o malutkim balkonie z czasów dzieciństwa, nad którym unosiły się fale odpychających kuchennych zapachów. Gdy później położył się pod kocem w pokoju syna Silveiry, zasnął po kilku chwilach i znalazł się na konkursie na riposty, w którym wygrywał najpowolniejszy z zawodników. Stał z Evą von Muralt, Niewiarygodną, przy zlewie i wycierał naczynia po przyjęciu. Wreszcie siedział w biurze Kägiego i telefonował godzinami do obcych krajów, w których nikt nie podnosił słuchawki.

Także w domu Silveiry czas zaczął należeć do niego. Po raz pierwszy, odkąd przybył do Lizbony, Gregorius włączył telewizor i obejrzał wieczorne wiadomości. Przysunął się blisko do odbiornika, żeby między nim i słowami był jak najmniejszy dystans. Zdumiał się tym, co się tymczasem wydarzyło i że całkiem inny wycinek świata uznawano tu za ważny. Poza tym zaskoczyło go, że to, co znane, było takie samo jak w domu. Pomyślał: *Mieszkam tu. Vivo aqui*. Nie udało mu się śledzić filmu nadawanego po wiadomościach. Nastawił w salonie płytę z muzyką Berlioza, której Prado słuchał nieustannie po śmierci Fatimy. Rozbrzmiewała w całym domu. Po jakimś czasie Gregorius usiadł przy

stole kuchennym i przeczytał do końca list, który napisał sędzia do budzącego lęk syna.

Czasami, mój Synu, coraz częściej, przypominasz mi obłudnego sędziego, który zarzuca mi, że nadal noszę togę. Że wydaję się zamykać oczy na okropności reżimu. Wtedy czuję na sobie Twoje spojrzenie jak palące światło. I chciałbym się modlić do Boga, żeby napełnił Cię większym zrozumieniem i odebrał Twoim oczom katowskie lśnienie. Dlaczego gdy chodzi o mnie, nie obdarzyłeś go większą wyobraźnią? – chciałbym zawołać do Niego, i byłoby to wołanie pełne żalu.

Bo widzisz, choć Twoja fantazja jest tak wielka, tak bezgraniczna, to nie masz pojęcia o tym, co czyni z człowiekiem ból i skrzywione plecy. No dobrze, pewnie nie ma o tym pojęcia nikt poza ofiarami. Nikt. Potrafisz mi cudownie wytłumaczyć, co odkrył Władimir Bechterew. I nie chcę stracić żadnej z tych rozmów, to cenne godziny, gdy czuję się z Tobą bezpiecznie. Ale potem mijają i powracam do piekła przygarbienia i cierpienia. I jednego wydajesz się nigdy nie brać pod uwagę: że od niewolników upokarzającego pochylenia i nieustannego bólu nie można oczekiwać tego samego co od tych, którzy mogą zapomnieć i zostawić za sobą ciało, by po powrocie ponownie się nim cieszyć. Że nie można od nich oczekiwać tego samego! I że są oni przyzwyczajeni, by nie mówić o tym, bo byłoby to kolejne wielkie upokorzenie!

Prawda – tak, prawda – jest całkiem prosta: nie wiedziałbym, jak mam znosić życie, gdyby Enrique nie odbierał mnie co rano za dziesięć szósta. Niedziele – nie masz pojęcia, jaką są torturą. Czasami w sobotę w nocy nie śpię, ponieważ przeczuwam, co będzie. Śmieją się, bo także każdej soboty wkraczam kwadrans po szóstej do pustego budynku sądu. Czasami myślę, że z bezmyślności rodzi się więcej okrucieństwa niż z jakiegokolwiek innej ludzkiej słabości. Prosiłem wielokrotnie o klucz na niedziele. Odmawiali.

Czasami pragnę, żeby przez jeden dzień, tylko jeden, czuli mój ból – żeby zrozumieli.

Gdy wkraczam do biura, ból nieco ustępuje, jakby pokój zmieniał się w podporę odciążającą ciało. Prawie do ósmej w budynku jest cicho. Najczęściej czytam akta na dany dzień, muszę być pewien, że nie będzie niespodzianek, człowiek mojego pokroju boi się tego. Zdarza się też, że czytam poezję, wtedy oddech się uspokaja, jest tak, jakbym spoglądał na morze, a czasami łagodzi to ból. Rozumiesz teraz?

Ale Tarrafal, powiesz. Tak, Tarrafal, wiem, wiem. Czy z tego powodu powinienem oddać klucz? Próbowałem, i to niejeden raz. Zdejmowałem go z pęku i kładłem na biurku. Potem opuszczałem budynek i wychodziłem na ulicę, jakbym naprawdę to zrobił. Oddychałem w głąb pleców, jak zalecił lekarz, oddech stawał się głośniejszy i głośniejszy, dysząc, szedłem przez miasto, gorący ze strachu, że wyobrazone działanie mogłoby pewnego dnia stać się rzeczywistością. Potem siedziałem przy stole sędziowskim w koszuli mokrej od potu. Rozumiesz teraz?

Nie tylko do Ciebie pisałem niezliczone listy, które ginęły. Pisałem także do ministra, raz po raz. Jeden z listów wysłałem. Potem złapałem na ulicy posłańca roznoszącego pocztę. Był oburzony, że musi przeszukiwać worek, i spoglądał na mnie z pogardliwą ciekawością, jaką niektórzy ludzie okazują wariatom. List wrzuciłem potem tam, gdzie wylądowały pozostałe – do rzeki. Żeby został splukany zdradziecki atrament. Rozumiesz teraz?

Maria João Flores, Twoja wierna przyjaciółka ze szkolnych dni, rozumiała. Pewnego dnia, gdy nie mogłem już znieść, jak na mnie patrzysz, spotkałem się z nią.

„On chce móc pana czcić – powiedziała i położyła dłoń na mojej. – Czcić i kochać, jak kocha się wzór. «Nie chcę go widzieć jako chorego, któremu wszystko się wybacza – mówi. – Byłoby wtedy tak, jakbym nie miał ojca».

W duszy przypisuje innym dokładnie określone role i jest bezlitosny, gdy im nie odpowiadają. To wyszukany rodzaj egoizmu”.

Spojrzała na mnie i podarowała mi uśmiech pochodzący z odległego stepu świadomie przeżytego życia.

„Dlaczego nie spróbuje pan wściekłości?”.

Gregorius wziął do ręki ostatni arkusz. Kilka zdań napisano innym atramentem, a sędzia opatrzył je datą 8 czerwca 1954 roku, na dzień przed śmiercią.

Walka dobiegła końca. Cóż mogę Ci, mój Synu, powiedzieć na pożegnanie?

Ze względu na mnie zostałeś lekarzem. Co by było, gdyby nie istniał cień mego cierpienia, w którym dorastałeś? Jestem Twoim dłużnikiem. Nie ponosisz odpowiedzialności za to, że bóle nie minęły i złamały mój opór.

Klucz zostawiłem w biurze. Przypiszą wszystko cierpieniu. To, że porażka także może zabić – ta myśl jest im obca.

Czy wystarczy Ci moja śmierć?

Gregorius zmarł, podkreślił więc bardziej ogrzewanie. O mały włos Amadeu by go zobaczył, ale miałam przecucie i ukryłam go, usłyszał słowa Adriany. Grzejnik nie pomógł. Włączył telewizor i obejrzał operę mydlaną, z której nie zrozumiał ani słowa, mogli mówić po chińsku. W łazience znalazł proszki nasenne. Gdy zaczęły działać, na dworze już jaśniało.

34 W Campo de Ourique mieszkały dwie Marie João Flores. Gregorius pojechał tam następnego dnia, po zajęciach w szkole językowej. Za pierwszymi drzwiami, do których zadzwonił, mieszkała młoda kobieta

z dwójką dzieci czepiających się jej spódnicy. W drugim domu dowiedział się, że senhora Flores wyjechała na dwa dni.

Odebrał z hotelu gramatykę perską i pojechał do liceum. Wędrowne ptaki przelatywały nad opuszczonym budynkiem. Miał nadzieję, że powróci gorący afrykański wiatr, ale musiało mu wystarczyć łagodne marcowe powietrze, w którym dało się jeszcze wyczuć nutę zimowej ostrości.

W książce do gramatyki leżała karteczka od Natalie Rubin: *Doszłam już dotąd!* To pismo ma coś w sobie, stwierdziła wcześniej, gdy zadzwonił, by przekazać jej, że książka dotarła. Od paru dni nie robi nic innego, rodzice dziwią się jej zapałowi. Na kiedy Gregorius planuje wyjazd do Iranu? Czy dziś nie jest to nieco niebezpieczne?

Przed rokiem Gregorius przeczytał w gazecie historię człowieka, który w wieku dziewięćdziesięciu lat zaczął się uczyć chińskiego. Autor naśmiewał się z tego. *Nie ma pan pojęcia* – tym zdaniem Gregorius zaczął list do redakcji. „Dlaczego psuje pan sobie czymś takim dzień?”, powiedział Doxiades, gdy spostrzegł zżerający go gniew. Gregorius nie wysłał listu. Przeszkadzało mu jednak nieokrzesanie Greka.

Gdy przed kilkoma dniami w Bernie sprawdzał, na ile pamięta jeszcze perskie znaki, nie wróciło do niego wiele. Teraz jednak, z książką przed oczami, poszło szybko. *Wciąż tam jestem, w tym odległym miejscu w czasie, nigdy nie odszedłem, lecz żyję rozpostarty w przeszłości, albo w niej zakotwiczony* – zapisał Prado. – *Tysiące zmian, które popchnęły czas naprzód – mierzone bezczasową terażniejszością czucia są ulotne i nierzeczywiste niczym sen i złudne jak marzenia senne.*

Snop światła wędrował po gabinecie senhora Cortesa. Gregorius myślał o nieodwracalnie spokojnej twarzy zmarłego ojca. Chętnie zwróciłby się do niego ze swoim strachem przed perską burzą piaskową. Ale on nie był takim ojcem.

Przeszedł na piechotę długą drogę do Belem, którą wybrał tak, by minąć dom, gdzie mieszkał sędzia ze swoim milczeniem, bólem i strachem przed wyrokiem syna. Cedry strzelały pod czarne nocne niebo. Gregorius pomyślał o bliźnie pod aksamitką Adriany. Za rozświetlonymi oknami Mélodie chodziła z pokoju do pokoju. Wiedziała, czy były to właśnie te

czerwone cedry. I co miały wspólnego z czynem, za który Amadeu mógłby stanąć przed sądem, bo dopuścił się uszkodzenia ciała.

Był to już trzeci wieczór w domu Silveiry. *Vivo aqui*. Gregorius przeszedł przez dom, przez ciemny ogród i dalej na ulicę. Przespacerował się po dzielnicy i przyglądał się ludziom, jak gotują, jedzą i oglądają telewizję. Gdy wrócił do punktu wyjścia, popatrzył na bladożółtą fasadę i oświetlone kolumny. Wytworny dom w zamożnej dzielnicy. *Tutaj teraz mieszkam*. W salonie usiadł w fotelu. Co to mogło oznaczać? Placu Bubenberga nie potrafił już dotknąć. Czy będzie potrafił na stałe dotknąć ziemi w Lizbonie? Jak to będzie dotknięcie? I jak będą wyglądały jego kroki na tej ziemi?

Życ chwilą – to brzmi tak słusznie, a zarazem tak pięknie – zanotował Prado w jednym z krótkich zapisków – *ale im bardziej tego pragnę, tym mniej rozumiem, co to oznacza*.

Gregorius jeszcze nigdy w życiu się nie nudził. Fakt, że ktoś nie wie, co począć z czasem swego życia – niewiele spraw było dla niego równie niezrozumiałych. Teraz także się nie nudził. Tym, co odczuwał w cichym, o wiele za dużym domu, było coś innego – czas się zatrzymał, a właściwie nie, nie zatrzymał się, ale nie ciągnął go ze sobą, nie unosił go w stronę przyszłości, przepływał obok niego bez zaangażowania i bez dotknięcia.

Poszedł do pokoju chłopca i spojrzął na tytuły powieści Simenona. *L'homme qui regardait passer les trains*. Zdjęcia z ekranizacji tej powieści wywieszono przed kinem Bubenberga, czarno-białe zdjęcia z Jeanne Moreau. To było wczoraj przed trzema tygodniami, w poniedziałek, gdy uciekł. Film musieli nakręcić w latach sześćdziesiątych. Przed czterdziestoma laty. Jak to długo?

Gregorius zwlekał z otwarciem książki Prado. Lektura listów coś zmieniła. Listu ojca jeszcze bardziej niż listu syna. W końcu zaczął jednak kartkować strony. Nie zostało wiele takich, których jeszcze nie znał. Jak będzie po ostatnim zdaniu? Zawsze bał się ostatniego zdania, a od połowy każdej książki regularnie dręczyła go myśl, że ostatnie zdanie niechybnie nastąpi. Tym razem jednak będzie ono znacznie trudniejsze niż zwykle. Będzie tak, jakby zerwała się niewidzialna nić, która do tej pory wiązała Gregoriusa z hiszpańską księgarnią na Hirschengraben. Będzie odwlekał

przewrócenie ostatniej strony i spowalniał wzrok, jak tylko się da, bo nad swym wzrokiem nie ma się pełnej kontroli. Ostatnie spojrzenie na słownik, uważniejsze niż to konieczne. Ostatnie słowo. Ostatnia kropka. Potem znajdzie się w Lizbonie. W Lizbonie w Portugalii.

TEMPO ENIGMÁTICO. ZAGADKOWY CZAS. *Potrzebałem roku, by się dowiedzieć, jak długi jest miesiąc. Było to w październiku ubiegłego roku, ostatniego dnia miesiąca. Stało się to samo, co dzieje się co rok, a jednak zawsze wytrąca mnie z równowagi, jakbym jeszcze nigdy tego nie przeżył – nowe, poblądłe światło poranka zapowiedziało nadejście zimy. Nie było to już palące lśnienie, bolesne oślepienie ani powiew żaru, przed którym chcemy uciec w cień. Łagodne, pojednawcze światło wyraźnie niosło w sobie nadchodzącą krótkość dnia. Nie spotkałem się z tym nowym światłem jako wróg, ktoś, kto w bezradnej śmieszności odrzuca je i zwalcza. Światło to oszczędza siły, gdy świat traci ostre kontury lata i pokazuje nam rozmyte obrysy, zmuszające do mniejszego zdecydowania.*

Nie, to nie blady mleczny welon nowego światła sprawił, że zadrzałem. Był to fakt, że owo złamane, pozbawione sił światło znowu wskazuje nieodwracalne zakończenie pewnego okresu w przyrodzie i odcinka mojego życia. Co robiłem od końca marca, od dnia, gdy filiżanka na stole kawiarni ponownie rozgrzała się w słońcu, aż wzdrygnąłem się przy dotknięciu? Czy od tamtej pory upłynęło dużo czasu, czy mało? Siedem miesięcy – jak to długo?

Zwykle unikam kuchni, to królestwo Any, a w jej energicznym żonglowaniu patelniami jest coś, czego nie lubię. Tamtego dnia jednak potrzebałem kogoś, wobec kogo mógłbym wyrazić swoje bezgłośnie przerażenie, nawet gdybym nie miał go nazwać.

„Jak długi jest miesiąc?”, spytałem bez żadnego wstępu.

Ana, która chciała właśnie zapalić gaz, zdmuchnęła zapalnik.

„O co panu chodzi?”.

Jej czoło było zmarszczone jak u kogoś, kto napotkał nierozwiązywalną zagadkę.

„O to, co powiedziałem: jak długi jest miesiąc?”.

Ze spojrzeniem wbitym w ziemię, zakłopotana potarła dłonie.

„No, czasami trzydzieści dni, czasami...”.

„To przecież wiem – odparłem szorstko. – Jednak pytanie brzmi: jak to długo?”.

Ana sięgnęła po warząchew, aby mieć czym zająć ręce.

„Kiedyś niemal miesiąc opiekowałam się córką – powiedziała z wahaniem i ostrożnością psychiatry, który obawia się, że jego słowa mogą zburzyć w pacjencie coś, czego potem nie będzie można już nigdy odbudować. – Wiele razy dziennie po schodach w górę i w dół z zupą, ostrożnie, żeby nie wylać – to było długo”.

„A potem, patrząc wstecz?”.

Teraz Ana zaryzykowała uśmiech, w którym znalazła wyraz ulga, że najwyraźniej odpowiedź nie była całkiem błędna. „Nadal długo. Ale w jakiś sposób także krócej, sama nie wiem”.

„A ten czas z noszeniem zupy – brakuje ci go teraz?”.

Ana zakręciła warząchwią, potem wyjęła chusteczkę z fartucha i wysmarkała nos. „Oczywiście chętnie pielęgnowałam dziecko, wtedy w ogóle nie było niegrzeczne. Mimo to nie chciałabym tego jeszcze raz przeżywać, ciągle się bałam, bo nie wiedzieliśmy, co to za choroba i czy jest niebezpieczna”.

„Chodzi mi o coś innego: czy żałujesz, że tamten miesiąc minął, że czas upłynął, że nie możesz już nic z nim zrobić”.

„No cóż, minął”, powiedziała Ana i nie wyglądała już jak zamyślony lekarz, lecz jak zastraszony uczeń.

„W porządku”, powiedziałem i obróciłem się do drzwi. Wychodząc, słyszałem, jak pociera nową zapałkę. Dlaczego zawsze, gdy chodziło o coś naprawdę dla mnie ważnego, byłem taki oszczędny, taki surowy, taki niewdzięczny wobec słów innych? Skąd potrzeba, by tego, co tak ważne, bronić szaleńczo przed ludźmi, skoro nie chcą niczego mi odebrać?

Następnego ranka, pierwszego listopada, poszedłem o świcie w pobliże Łuku Triumfalnego na końcu Rua Augusta, najpiękniejszej ulicy świata. Morze w bladym świetle poranka było jak gładka powierzchnia z matowego srebra. Z łóżka wyгнаła mnie idea, by wyjątkowo świadomie przeżyć, jak długi jest miesiąc. W kawiarni byłem pierwszym gościem. Gdy w filizance zostało już niewiele łyków, opóźniałem zwykły rytm picia. Nie byłem pewny, co powinienem zrobić, kiedy filizanka się opróżni. Ten pierwszy dzień będzie bardzo długi, jeśli po prostu zostanę tu, w kawiarni. A nie chciałem przecież dowiedzieć się, jak długi jest miesiąc całkowitej beczynności. Czego zatem chciałem się dowiedzieć?

Czasami jestem taki powolny. Dopiero dziś, gdy ponownie zjawia się światło wczesnego listopada, zauważam, że pytanie, które zadałem Anie – o nieodwracalność, przemijanie, żal, smutek – nie było wcale pytaniem, o które mi chodziło. Pytanie, które chciałem zadać, było zupełnie inne: od czego zależy, że przeżywamy miesiąc jako czas spełniony, nasz czas, a nie czas, który upłynął obok, który zaledwie znieśliśmy, który przeciekł nam przez palce, tak że wydaje się czasem straconym, zaprzepaszczonym, napawającym nas smutkiem nie dlatego, że upłynął, ale dlatego, że nie potrafiliśmy go wykorzystać? Pytanie nie brzmiało zatem: jak długi jest miesiąc? lecz: co można uczynić dla siebie z czasem miesiąca? Kiedy mam wrażenie, że ten miesiąc był całkowicie mój?

Błędem jest zatem, gdy mówię: potrzebowałem roku, by dowiedzieć się, jak długi jest miesiąc. Było inaczej: potrzebowałem roku, by dowiedzieć się, co chciałem zrozumieć, gdy zadałem fałszywe pytanie o długość miesiąca.

Następnego dnia, wczesnym popołudniem, wracając ze szkoły językowej, Gregorius spotkał Marianę Ecę. Gdy ujrzał ją wychodzącą zza rogu i zbliżającą się do niego, uświadomił sobie naraz, dlaczego wstydził się do niej zadzwonić – opowiedziałby jej o zawrotach głowy, ona zastanawiałaby się głośno, co to może być, a tego nie chciał słuchać.

Zaproponowała, by wypili kawę. Rozmawiali o João. „Czekam na niego całe niedzielne przedpołudnie – powiedział podobno o Gregoriusie. – Nie wiem, na czym to polega, ale mogę przy nim mówić o wszystkim, co mi leży na duszy. Nie, żeby potem zniknęło, ale przez kilka godzin jest łatwiej”. Gregorius opowiedział o Adrianie i zegarze, o Jorge i klubie szachowym, i o domu Silveiry. Już miał wspomnieć o podróży do Berna, ale poczuł, że tego nie da się opisać.

Gdy skończył, spytała go o nowe okulary, a potem jej oczy zwęziły się w uważnym spojrzeniu. – Za mało pan sypia – powiedziała. Pomyślał o poranku w jej gabinecie, gdy nie chciał wstawać z fotela przed biurkiem. O dokładnym badaniu. O wspólnej podróży statkiem do Cacilhas i czerwonozłotej herbacie Assam, którą później pili.

– Ostatnio miewam zawroty głowy – powiedział. A po chwili dodał: – Boję się.

Godzinę później opuścił jej gabinet. Jeszcze raz sprawdziła ostrość widzenia i zmierzyła ciśnienie krwi, musiał robić przysiady i ćwiczenia na równowagę i dokładnie opisać zawroty głowy. Potem zapisała mu adres neurologa.

– Nie wydaje mi się to niebezpieczne – powiedziała. – I nie budzi zdziwienia, jeśli weźmiemy pod uwagę, ile zmieniło się w pańskim życiu w tak krótkim czasie. Ale trzeba wszystko zbadać.

Przypomniał sobie pusty prostokąt na ścianie gabinetu Prado, gdzie wisiała mapa mózgu. Mariana dostrzegła jego panikę.

– Guz wywołałby zupełnie inne objawy – powiedziała i pogładziła go po ramieniu.

Do domu Mélodie nie było daleko.

– Wiedziałam, że przyjdzie pan ponownie – stwierdziła, otwierając drzwi. – Po pańskiej wizycie przez kilka dni Amadeu był bardzo obecny w moich myślach.

Gregorius pokazał jej listy ojca i syna.

– To niesprawiedliwe – powiedziała, gdy przeczytała ostatnie słowa w liście ojca. – Niesprawiedliwe. Nie fair. Jakby Amadeu doprowadził go do śmierci. Jego lekarz był przewidującym człowiekiem. Zapisywał mu tabletki nasenne tylko w małych ilościach. Ale *Papá* umiał czekać. Cierpliwość była jego mocną stroną. Cierpliwość jak z milczącego kamienia. *Mamã* czuła, że tak się stanie. Zawsze wszystko przeczuwała. Nie zrobiła nic, by temu zapobiec. „Teraz już go nie boli”, powiedziała, gdy staliśmy przy otwartej trumnie. Kochałam ją za te słowa. „I nie musi się już męczyć”, stwierdziłam. „Tak – odparła – to też”.

Gregorius opowiedział o swoich wizytach u Adriany. Mélodie powiedziała, że po śmierci Amadeu nie była już w niebieskim gabinecie, ale nie dziwi się, że Adriana uczyniła z niego muzeum i świątynię, w której zatrzymał się czas.

– Podziwiała go już jako mała dziewczynka. Był jej starszym bratem, który wszystko potrafił. Który ośmielał się przeciwstawiać Papie! Papie! Rok po tym, jak wyjechał na studia do Coimbrы, przeszła do żeńskiej szkoły naprzeciw liceum. Do tej samej szkoły, do której chodziła też Maria João. Amadeu był tam bohaterem minionych dni, a ona lubiła być siostrą bohatera. Mimo to sprawy ułożyłyby się inaczej, normalniej, gdyby nie ten dramat, gdy uratował jej życie.

Stało się to, kiedy Adriana miała dziewiętnaście lat. Amadeu, którego wkrótce czekały egzaminy państwowe, był w domu i siedział nad książkami dzień i noc. Schodził na dół tylko na posiłki. I przy jednym z posiłków Adriana się zadławiła.

– Wszyscy mieliśmy jedzenie na talerzach i początkowo nic nie zauważyliśmy. Nagle Adriana wydała dziwny odgłos, okropne rżenie, trzymając się za szyję, gwałtownie uderzała stopami o podłogę. Amadeu

siedział obok mnie, myśląc tylko o przygotowaniach do egzaminu, byliśmy przyzwyczajeni, że siedzi tak jak milczący duch i na ślepo pochłania jedzenie. Trąciłam go łokciem i wskazałam na Adrianę. Spojrzał zdezorientowany. Twarz Adriany zrobiła się fioletowa, dziewczyna nie mogła oddychać, a jej zrozpaczone spojrzenie powędrowało ku Amadeu. Wyraz jego twarzy znaleźliśmy wszyscy, wyraz wściekłej koncentracji, który pojawiał się zawsze, gdy Amadeu natrafiał na coś trudnego, czego nie rozumiał od razu, był przyzwyczajony, że wszystko natychmiast rozumie.

Potem zerwał się, przewracając krzesło, kilkoma susami znalazł się przy Adrianie, złapał ją pod ramiona, wyprostował, odwrócił tak, że stanęła do niego plecami, objął ją pod pachami, na moment wciągnął powietrze i mocno szarpnął jej tułów w tył. Z krtani Adriany dobiegło stłumione rżenie. Poza tym nic się nie zmieniło. Amadeu szarpnął jeszcze dwa razy w ten sam sposób, ale kawałek mięsa, który wpadł do tchawicy, nadal się nie poruszył.

To, co się stało potem, wpisało się w nas na zawsze, sekunda po sekundzie, ruch po ruchu. Amadeu posadził Adrianę z powrotem na krześle i kazał mi podejść. Odchylił jej głowę do tyłu.

„Trzymaj mocno – powiedział ściśniętym głosem. – Bardzo mocno!”.

Potem wziął ostry nóż do mięsa i otarł go o serwetkę. Wstrzymaliśmy oddech.

„Nie! – krzyknęła *Mamã*. – Nie!”.

Wydaje mi się, że tego nie słyszał. Usiadł okrakiem na kolanach Adriany i popatrzył jej w oczy.

„Muszę to zrobić – powiedział, a ja do dziś podziwiam spokój w jego głosie. – Inaczej umrzesz. Zabierz ręce. Zaufaj mi”.

Adriana oderwała ręce od gardła. Wymacał palcem wskazującym przerwę między chrząstką tarczowatą i chrząstką pierścieniową. Potem przystawił ostrze noża do tego miejsca. Głęboki wdech, krótkie zamknięcie oczu, po czym uderzył.

Skoncentrowałam się na tym, by trzymać głowę Adriany jak w imadle. Nie widziałam tryskającej krwi, ujrzałam ją dopiero potem na jego koszuli. Ciało Adriany drgnęło. Amadeu znalazł drogę do tchawicy, słyszeliśmy to po śwście, z jakim Adriana wsysała powietrze przez nowy otwór.

Otworzyłam oczy i dostrzegłam ze wstrętem, że Amadeu obraca ostrze noża w ranie, wyglądało to na akt wyjątkowej brutalności, dopiero później pojęłam, że musiał utrzymać otwarty kanał dopływu powietrza. Potem wyjął z kieszeni koszuli długopis, wsunął go w zęby, wolną dłonią odkręcił górną część, wyrwał wkład i włożył dolną część w ranę jak cewnik. Powoli wyjął ostrze i przytrzymał długopis. Oddech Adriany był urywany i świszczący, ale żyła, a bladość spowodowana duszeniem powoli ustępowała z jej twarzy.

„Karetka!”, rozkazał Amadeu.

Papá otrząsnął się z odrętwienia i poszedł do telefonu. Zanieśliśmy Adrianę, z długopisem wystającym z szyi, na kanapę. Amadeu pogładził ją po włosach.

„Nie dało się inaczej”, powiedział.

Lekarz, który zjawił się kilka minut później, położył Amadeu dłoń na ramieniu. „Mało brakowało – powiedział. – Taka przytomność umysłu. Taka odwaga. W pańskim wieku”.

Gdy karetka z Adrianą odjechała, Amadeu w koszuli zachlapanej krwią usiadł na swoim miejscu przy stole. Nikt się nie odezwał. Sądzę, że to było dla niego najgorsze: że nikt nic nie powiedział. Lekarz krótko stwierdził, że Amadeu postąpił właściwie i uratował Adrianie życie. Mimo to nikt nie powiedział ani słowa, a cisza, która wypełniła jadalnię, była pełna przerażonego zdumienia wobec jego zimnej krwi. „Ta cisza sprawiła, że czułem się jak rzeźnik”, powiedział lata później przy jedynej okazji, gdy o tym rozmawialiśmy.

Nigdy nie przeboleał, że w tamtym momencie zostawiliśmy go całkiem samego, i na zawsze zmieniło to jego stosunek do rodziny. Rzadziej przychodził do domu, i tylko jako uprzejmy gość.

Nagle cisza pękła, a Amadeu zaczął drżeć. Zakrył twarz dłońmi i jeszcze dziś słyszę suchy szloch, który wstrząsał jego ciałem. i znowu zostawiliśmy go samego. Pogładziłam Amadeu po ramieniu, ale to nie wystarczyło, byłam tylko ośmioletnią siostrą, potrzebował czegoś zupełnie innego.

Fakt, że nie zdarzyło się nic innego, przelał czarę. Amadeu nagle zerwał się, pognął na górę do swego pokoju, zbiegł z podręcznikiem do medycyny i cisnął książkę z całej siły na stół, zastawa uderzyła o talerze, zabrzczały

szklanki. „Tu! – krzyknął. – Tutaj jest to napisane. Zabieg nazywa się konikotomia. Czemu się tak na mnie gapiecie? Siedzieliście jak durnie! Gdyby nie ja, wynieśliby ją w trumnie!”.

Adrianę operowali, a potem została dwa tygodnie w szpitalu. Amadeu chodził do niej codziennie, zawsze sam, nie chciał pójść z nami. Adrianę przepełniała przemożna wdzięczność, która miała cechy niemal religijne. Leżała na poduszkach blada, z owiniętym gardłem, i wciąż na nowo przeżywała dramatyczną scenę. Gdy byłam u niej sama, opowiadała o tym.

„Na krótko, nim uderzył, cedry przed oknem stały się czerwone, krwistoczerwone – mówiła. – Potem straciłam przytomność”.

Według Mélodie Adriana wyszła ze szpitala z przekonaniem, że musi poświęcić życie bratu, który je uratował. Zdaniem Amadeu było to niewłaściwe, na wszelkie sposoby próbował wybić jej z głowy tę myśl. Przez chwilę wydawało się, że mu się udało, Adriana poznała pewnego Francuza, który się w niej zakochał, a dramatyczny epizod zaczął odchodzić w przeszłość. Jednak miłość rozpadła się w momencie, gdy Adriana zaszła w ciążę. I znowu pojawił się Amadeu, by przeprowadzić zabieg. Poświęcił w tym celu swoją podróż z Fatimą i wrócił z Anglii. Adriana wyuczyła się zawodu pielęgniarki, a gdy po trzech latach Amadeu otworzył niebieski gabinet, było jasne, że będzie pracować jako jego asystentka. Fátima nie zgadzała się, by Adriana zamieszkała razem z nimi. Dochodziło do dramatycznych scen, gdy Adriana przychodziła. Po śmierci Fatimy nie minął tydzień i się wprowadziła. Amadeu był całkowicie załamany stratą i niezdolny do stawienia oporu. Adriana wygrała.

35 – Czasami myślałam, że umysł Amadeu był przede wszystkim mową – powiedziała Mélodie pod koniec rozmowy. – Że jego dusza była złożona ze słów, czego nie doświadczyłam u nikogo innego.

Gregorius pokazał jej zapis o tętniaku. Mélodie nie wiedziała także o tym. Ale istniało coś, o czym sobie przypomniała.

– Wzdrygał się, gdy ktoś używał słów, które wiązały się z przemijaniem, upływem, odchodzeniem, pamiętam przede wszystkim *correr* i *passar*. W ogóle reagował na słowa tak gwałtownie, jakby były znacznie ważniejsze niż rzeczy. O tym przede wszystkim należało wiedzieć, jeśli chciało się zrozumieć mojego brata. Mówił o dyktaturze błędnych i wolności prawdziwych słów, o niewidzialnym więzieniu językowego kiczu i o blasku poezji. Był człowiekiem opętanym, oczarowanym mową, fałszywe słowo znosił gorzej niż cios nożem. I nagle pojawiła się gwałtowna reakcja na słowa, które mówiły o ulotności i przemijaniu. Po jednej z wizyt, gdy Amadeu okazywał tę nową drażliwość, mój mąż i ja zastanawialiśmy się nad tym pół nocy. „Nie te słowa, proszę, nie te słowa!”, powiedział Amadeu. Nie ośmieliliśmy się spytać. Mój brat potrafił być jak wulkan.

Gregorius usiadł w fotelu w salonie Silveiry i zaczął czytać tekst Prado, który dała mu Mélodie.

„Bał się panicznie, że może on trafić w niewłaściwe ręce – powiedziała wtedy. – «Może byłoby lepiej, żebym go zniszczył», stwierdził. Ale potem dał mi go na przechowanie. Miałam otworzyć kopertę dopiero po jego śmierci. Poczulałam się tak, jakby łuski spadły mi z oczu”.

Prado napisał ów tekst w zimowych miesiącach po śmierci matki i dał go Mélodie wiosną, na krótko przed śmiercią Fatimy. Były to trzy fragmenty rozpoczęte na osobnych arkuszach i różniące się odcieniem atramentu. Choć składały się na list pożegnalny do matki, nie było zwrotu do adresata. Zamiast tego tekst opatrzone tytułem podobnie jak wiele zapisków w książce.

DESPEDIDA FALHADA À MAMÃ. NIEUDANE POŻEGNANIE Z MAMĄ.
Pożegnanie z Tobą nie może mi się udać, Mamo. Już Cię nie ma, a prawdziwe pożegnanie musi być spotkaniem. Zbyt długo czekałem, i oczywiście nie jest to przypadek. Co różni szczere pożegnanie od tchórzliwego? Szczere pożegnanie z Tobą stanowiłoby próbę dojścia do porozumienia na temat tego, jak to było z nami, z Tobą i ze mną. Bo to jest sens pożegnania w pełnym, ważnym sensie tego słowa – że dwoje ludzi,

zanim się rozejdą, porozumiewa się co do tego, jak się widzieli i przeżywali. Co się im udało, a co nie. Nie można się lękać – trzeba wytrzymać ból spowodowany dysonansem. Chodzi o to, by zaakceptować również to, co okazało się niemożliwe. Każdy z nas żegna się także z samym sobą – jesteśmy sobie wierni pod spojrzeniami innych. Natomiast tchórzostwo pożegnania kryje się w gloryfikacji – w pokusie, by to, co minione, zanurzyć w złotym świetle i wyprzeć się ciemności. Wtedy przegrywa się właśnie akceptację samego siebie w tych rysach, które uwypukliły ciemność.

Dokonałaś na mnie wielkiego wyczynu, Mamo, i spisuję teraz to, co powinienem Ci powiedzieć już dawno – była to perfidna sztuczka, która obciąża moje życie bardziej niż cokolwiek innego. Dałaś mi mianowicie odczuć – i co do treści tego przekazu nie istniała najmniejsza wątpliwość – że ode mnie, Twojego syna – Twojego syna – oczekujesz nie mniej niż tego, by był najlepszy. Nieważne, w czym najlepszy, lecz moje dokonania musiały przewyższać wszystko inne, i to nie przewyższać jakkolwiek, lecz niebotycznie. Perfidia polega na tym, że nigdy mi tego nie powiedziałaś. Twoje oczekiwanie nigdy nie zostało wyrażone w sposób, który pozwoliłby mi zająć wobec niego stanowisko, zastanowić się i zmierzyć z uczuciami. A jednak wiedziałem, bo istnieje wiedza, którą wsącza się bezbronnemu dziecku kropla po kropli, dzień po dniu, tak że wcale nie zauważa ono tej bezgłośnie narastającej wiedzy. Niewidzialna wiedza krąży w nim jak podstępna trucizna, przesącza się do tkanki ciała i duszy, decyduje o barwie i odcieniu życia. Z tej potajemnie działającej wiedzy, której siła bierze się z ukrycia, powstało we mnie niewidzialne, niewykrywalne przedziwo nieugiętych, bezlitosnych oczekiwań wobec samego siebie, utkane z potwornych nici zrodzonej ze strachu ambicji. Jakże często, zrotpaczony i z groteskowym komizmem, biłem się później w siebie, by wyzwolić samego siebie – tylko po to, by jeszcze bardziej się uwikłać! Nie mogłem obronić się

przed Twoją obecnością we mnie – zbyt doskonała była Twoja sztuczka, zbyt bezbłędna, mistrzowska w przytłaczającej, zapierającej dech perfekcji.

Doskonałość sztuczki polegała na tym, że nie tylko zostawiałaś swoje duszące oczekiwania niewypowiedziane, ale także ukrywałaś je pod słowami i gestami, które wyrażały ich przeciwieństwo. Nie mówię, że był to świadomy, udoskonalony, podstępny plan. Nie, Ty sama wierzyłaś w swoje oszukańcze słowa i padłaś ofiarą maskarady, której inteligencja znacznie przewyższała Twoją. Odtąd wiem, jak ludzie w swych najgłębszych głębiach mogą być powiązani i obecni w sobie nawzajem, nie mając o tym najmniejszego pojęcia.

I jeszcze coś należało do tego misternego planu, by – jako zuchwała rzeźbiarka obcej duszy – stworzyć mnie podług własnej woli. Imiona, które mi nadałaś. Amadeu Inácio. W większości ludzi nie budzą one szczególnych skojarzeń, od czasu do czasu ktoś powie coś o melodyjności. Ale ja wiem lepiej, ponieważ ciągle mam w uszach brzmienie Twojego głosu, brzmienie pełne próżnego nabożeństwa. Miałem być geniuszem. Miałem posiadać boską swobodę, a jednocześnie – jednocześnie! – uosabiać morderczą surowość świętego Ignacego i wykazywać zdolności kapłańskiego wodza.

To surowe określenie, ale jak żadne inne pasuje do sytuacji: moje życie zostało zdeterminowane przez matczyną truciznę.

Czy w nim także istniała ukryta, determinująca całe życie obecność rodziców, może zamaskowana pod pozorem przeciwieństwa? – zastanawiał się Gregorius, idąc cichymi ulicami Belem. Przypomniał sobie cienką książeczkę, w której matka zapisywała, ile zarobiła, sprzątając. Brzydkie, tanie okulary i wiecznie brudne szkła, przez które spoglądała na niego zmęczonym wzrokiem. Gdybym choć raz mogła zobaczyć morze, ale po prostu nas na to nie stać. Było w niej coś pięknego, wręcz świetlanego, o czym bardzo długo nie myślał: godność, z jaką traktowała spotkanych na

ulicy ludzi, których brudami musiała się zajmować. Ani śladu uniżoności, spojrzenie matki było zawsze na tej samej wysokości co spojrzenie tych, którzy płacili, by szorowała na kolanach. *Czy jej to wolno?* – zastanawiał się jako mały chłopiec, a później odczuwał z tego powodu dumę. Gdyby tylko nie kiczowate powieści Ludwiga Ganghofera, po które sięgała w rzadkich chwilach przeznaczanych na lekturę. *Teraz także ty uciekasz w książki.* Nie była zagorzałą czytelniczką. To go bolało, ale nią nie była.

Jaki bank da mi kredyt – usłyszał Gregorius słowa ojca – *i to na coś takiego.* Ujrzał jego dużą dłoń ze zbyt krótko przyciętymi paznokciami, gdy moneta po monecie dawał mu do ręki trzynaście franków trzydzieści na gramatykę perską. *Jesteś pewien, że chcesz tam jechać?* – spytał. – *To przecież tak daleko, tak daleko od tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. Już same litery są takie inne, zupełnie nie jak litery. Nie będziemy wiedzieli, co się z tobą dzieje.* Gdy Gregorius oddał mu pieniądze, ojciec pogładził go po głowie tą dużą dłonią, która o wiele za rzadko pozwalała sobie na czułość.

Stary von Muralt, ojciec Evy, Niewiarygodnej, był sędzią. Olbrzym, na chwilę zjawił się na uczniowskim przyjęciu. Jak by to było, pomyślał Gregorius, gdybym dorastał jako syn surowego, dręczonego bólem sędziego i ambitnej matki, która spełniała swoje życie w życiu ubóstwianego syna? Czy mimo to mógłbym zostać Mundusem, Mundusem Papirusem? Czy można coś takiego wiedzieć?

Gdy wrócił z zimnego nocnego powietrza do ogrzanego domu, poczuł zawroty głowy. Usiadł w fotelu i czekał, aż miną. *To nie budzi zdziwienia, jeśli weźmiemy pod uwagę, ile zmieniło się w pańskim życiu w tak krótkim czasie* – powiedziała Mariana Eça. – *Guz wywołałby zupełnie inne objawy.* Przegonił z głowy głos lekarki i czytał dalej.

Moim pierwszym wielkim rozczarowaniem dotyczącym Ciebie było to, że nie chciałaś słuchać pytań, które dręczyły mnie w związku z pracą Papy. Zastanawiałem się, czy – jako odstawiona na bok kobieta w zacofanej

Portugalii – uznałaś, że nie jesteś zdolna udzielić na nie odpowiedzi? Ponieważ prawo i sądy stanowiły sprawy zajmujące tylko mężczyzn? A może było gorzej, i nie miałaś żadnych pytań i wątpliwości związanych z pracą Papy? A los więźniów z Tarrafal po prostu Cię nie obchodził?

Dlaczego nie zmusiłaś Papy, by porozmawiał z nami, zamiast być tylko pomnikiem? Czy cieszyłaś się z władzy, którą dzięki temu zyskiwałaś? Byłaś mistrzynią niemego, wręcz zanegowanego współudziału w przestępstwach dzieci. I byłaś też mistrzynią w dyplomatycznym pośrednictwie między Papą i nami, lubiłaś tę rolę i odgrywałaś ją nie bez próżności. Czy była to Twoja zemsta za niewielką swobodę, którą zostawiało Ci małżeństwo? Odszkodowanie za brak społecznego uznania i ciężar cierpienia ojca?

Dlaczego ustępowałaś przy każdym sprzeciwie, jaki Ci okazywałem? Dlaczego nie dotrzymywałaś mi kroku i nie nauczyłaś mnie w ten sposób radzić sobie z konfliktami? W rezultacie nie uczyłem się przez zabawę, z przymrużeniem oka, lecz musiałem studiować tę kwestię mozolnie jak z podręcznika, z zaciętą drobiazgowością, która często prowadziła do tego, że traciłem wyczucie i strzelałem ponad celem?

Dlaczego obciążylaś mnie hipoteką faworyzacji? Papá i Ty: dlaczego tak mało oczekiwaliście od Adriany i Mélodie? Dlaczego nie czuliście upokorzenia, które brało się z braku zaufania?

Byłoby jednak niesprawiedliwe, Mamo, gdybym powiedział Ci na pożegnanie tylko tyle. Ponieważ w ciągu sześciu lat po śmierci Papy żywiłem wobec Ciebie nowe uczucie i byłem szczęśliwy, że się pojawiło. Zagubienie, z jakim stałaś nad Jego grobem, głęboko mnie poruszyło i cieszyłem się, że istnieją religijne nawyki, z którymi czujesz się pewniej. Byłem naprawdę szczęśliwy, gdy dostrzegłem u Ciebie pierwsze oznaki wyzwolenia, znacznie szybciej, niż oczekiwałem. Jakbyś pierwszy raz przebudziła się do własnego życia. Przez rok często zachodziłaś do

niebieskiego domu i Fátima obawiała się, że przyłgniesz do mnie, do nas. Ale nie: teraz, gdy runął dotychczasowy szkielet Twojego życia, który decydował też o wewnętrznej grze sił, wydajesz się odkrywać, co zostało Ci odebrane przez zbyt wczesne małżeństwo – własne życie poza rolą rodzinną. Zaczęłaś pytać o książki i kartkować je jak ciekawa uczennica, niezdarna, niedoświadczona, ale z lśniącoymi oczami. Kiedyś, niezauważony przez Ciebie, widziałem Cię stojącą w księgarni z otwartą książką w dłoni. W tamtej chwili kochałem Cię, Mamo, i czułem pokusę, by do Ciebie podejść. Jednak to właśnie byłoby niewłaściwe – przywróciłoby Cię na powrót do dawnego życia.

36 Gregorius chodził po gabinecie senhora Cortesa w tę i z powrotem i nazywał wszystkie przedmioty ich niemieckimi nazwami w berneńskim brzmieniu. Potem ruszył przez ciemne, zimne korytarze liceum i czynił to samo ze wszystkim, co tam ujrzał. Przemawiał do siebie głośno i wściekle, gardłowe słowa odbijały się echem po budynku, a zdziwiony obserwator uznałby, że w opuszczonej budowli zabłąkał się ktoś, kto z jakiegoś powodu zupełnie oszalał.

Zaczęło się rano w szkole językowej. Nagle nie pamiętał najprostszych portugalskich słów, słów, które znał już od pierwszej lekcji z pierwszej płyty kursu, której słuchał przed wyjazdem. Cecilia, która z powodu ataku migreny zjawiała się spóźniona, chciała rzucić ironiczną uwagę, ale powstrzymała się, zmrużyła oczy i uczyniła uspokajający gest.

– *Sossega* – powiedziała. – Niech się pan uspokoi. To spotyka wszystkich uczących się języka obcego. Nagle nic nie wychodzi. To mija. Jutro znowu będzie pan w dobrej formie.

Potem pamięć zastrajkowała przy perskim, pamięć językowa, na której zawsze mógł polegać. W przypływie paniki powtarzał wersety z Horacego

i Safony, przywoływał rzadkie homeryckie słowa i gorączkowo kartkował Pieśń nad Pieśniami Salomona. Wszystko wracało jak zwykle, niczego nie brakowało, nie było żadnej wyrwy w pamięci. A jednak czuł się jak po trzęsieniu ziemi. Zawroty głowy. Zawroty głowy i utrata pamięci. To minie.

W milczeniu stał przy oknie w gabinecie rektora. Dziś nie było już snopa światła wędrującego po pomieszczeniu. Padał deszcz. Naraz, całkiem nagle, Gregoriusa ogarnęła wściekłość. Była to gwałtowna, paląca wściekłość połączona ze zwątpieniem, ponieważ nie miała rozpoznawalnej przyczyny. Powoli uświadomił sobie, że przeżywa rewolucję, bunt przeciw wszelkiej językowej obcości, którą sobie narzucił. Początkowo bunt wydawał się dotyczyć tylko portugalskiego i może francuskiego oraz angielskiego, bo w tych językach musiał tutaj mówić. Potem stopniowo i z oporem Gregorius przyznał, że ogień jego gniewu dotyczy też języków klasycznych, w których żył od ponad czterdziestu lat.

Przeraził się, gdy poczuł głębię swego oburzenia. Podłoga się zachwiała. Musiał coś zrobić, coś chwycić, zamknął oczy, stanął na placu Bubenberga i nazwał rzeczy, które widział, ich nazwami w berneńskiej gwarze. Przemawiał do rzeczy i do samego siebie powolnymi, jasnymi zdaniami. Trzęsienie ziemi ustało, ponownie poczuł pod stopami stały grunt. Przerazenie odbiło się jednak mocnym echem, potraktował je z wściekłością kogoś, kogo wystawiono na wielkie niebezpieczeństwo, i w ten sposób doszło do tego, że niczym szalenciec kroczył korytarzami opustoszałego budynku, jakby miał pokonać duchy ciemnych korytarzy słowami z berneńskiej gwary.

Dwie godziny później, gdy siedział w salonie w domu Silveiry, wszystko to wydało mu się ułudą, czymś, co tylko mu się śniło. Czytając po łacinie i po grecku, czuł się tak samo jak zawsze, a gdy otworzył gramatykę portugalską, wszystko od razu rozumiał i poczynił duże postępy w zasadach trybu warunkowego. Tylko senne obrazy przypominały mu o tym, że coś w nim pękło.

Gdy na chwilę zdrzemnął się w fotelu, znalazł się jako jedyny uczeń w ogromnej klasie i rodzimymi zdaniami bronił się przeciw obcym pytaniom i nakazom, które kierował do niego ktoś, kogo nie widział. Obudził się w wilgotnej koszuli, wziął prysznic, po czym udał się do Adriany.

Clotilde opowiadała mu, że Adriana zmieniała się, odkąd wraz z tykaniem zegara do niebieskiego domu powróciły czas i terażniejszość. Gregorius spotkał ją w tramwaju, gdy wracał z liceum.

„Zdarza się – mówiła cierpliwie, powtarzając słowa, jeśli jej nie rozumiał – że przystaje przed zegarem, jakby chciała go znowu zatrzymać. Ale potem odchodzi, a jej krok jest szybszy i bardziej zdecydowany. Wcześniej wstaje. Tak, jakby nie musiała już tylko... tylko znosić dnia”. Jadła więcej, a raz poprosiła Clotilde, by poszła z nią na spacer.

Gdy drzwi niebieskiego domu się otworzyły, Gregoriusa spotkała niespodzianka. Adriana nie była ubrana na czarno. Została tylko czarna aksamitka zakrywająca bliznę na szyi. Adriana włożyła jasnoszarą spódnicę i żakiet w delikatne niebieskie prążki oraz lśniąco białą bluzkę. Cień uśmiechu na twarzy dowodził, że cieszy ją zdumiona mina Gregoriusa.

Oddał jej listy ojca i syna.

– Czy to nie wariactwo? – powiedziała. – To całe milczenie. *Éducation sentimentale*, zwykł mawiać Amadeu, powinna przede wszystkim wtajemniczać nas w sztukę okazywania uczuć i pokazywać, że dzięki słowom uczucia stają się bogatsze. W jak niewielkim stopniu osiągnął to wobec Papy! – Spojrzała w ziemię. – I wobec mnie!

Gregorius powiedział, że chętnie przeczytałby notatki zostawione przez Amadeu na biurku. Kiedy weszli do pokoju na poddaszu, czekała go kolejna niespodzianka: krzesło nie stało już pod kątem do blatu. Po trzydziestu latach Adrianie udało się wyzwolić je z zeszywniałej przeszłości i wyprostować, nie sprawiało więc już wrażenia, że jej brat właśnie z niego wstał. Gdy Gregorius spojrzał na Adrianę, stała ze spuszczonego wzrokiem, dłońmi w kieszeniach, zrezygnowana stara kobieta, jednocześnie przypominająca uczennicę, która rozwiązała trudne zadanie i z zawstydzoną dumą czeka na pochwałę. Gregorius na chwilę położył dłoń na jej ramieniu.

Niebieska porcelanowa filiżanka stojąca na miedzianej tacy została umyta, a popielniczka opróżniona. Tylko kandyzowany cukier był jeszcze w cukiernicy. Adriana zamknęła prastare pióro, a teraz zapaliła lampę ze szmaragdowozielonym kloszem. Odsunęła krzesło i gestem świadczącym o lekkim wahaniu zaprosiła Gregoriusa, by usiadł.

Na podpórce nadal leżała ogromna, otwarta w połowie książka z dawnych dni, a obok stos kartek. Gregorius rzucił Adrianie pytające spojrzenie, a potem uniósł książkę, by przeczytać nazwisko autora i tytuł. JOÃO DE LOUSADA DE LEDESMA, O MAR TENEBROSO, mroczne, budzące lęk morze. Wielkie, kaligraficzne litery, miedzioryty wybrzeży, rysunki przedstawiające żeglarzy. Gregorius ponownie spojrzął na Adrianę.

– Nie wiem – powiedziała – nie wiem, dlaczego nagle się tym zainteresował, ale oszalał na punkcie książek, które opowiadały o lęku, jaki odczuwali ludzie w średniowieczu, gdy sądzili, że stoją w najbardziej wysuniętym na zachód punkcie Europy, i zastanawiali się, co może być po drugiej stronie wyglądającego na nieskończone morza.

Gregorius przysunął książkę bliżej i przeczytał hiszpański cytat: *Más allá no hay nada más que las aguas del mar, cuyo término nadie mas que Dios conoce. Po drugiej stronie nie ma nic poza wodami morza, których granic nie zna nikt oprócz Boga.*

– Cabo Finisterre – powiedziała Adriana. – W Galicji. Najbardziej wysunięty na zachód punkt Hiszpanii. Był tym opętany. Koniec ówczesnego świata. „Ale u nas, w Portugalii, jest przecież miejsce położone jeszcze dalej na zachód, dlaczego zatem Hiszpania?”, spytałam, wskazując na mapę. Nie chciał jednak o tym słyszeć i wciąż opowiadał o Finisterre, to była jego *idée fixe*. Miał zaszczuty, gorączkowy wyraz twarzy, gdy o tym mówił.

SOLIDÃO, SAMOTNOŚĆ, zatytułowano ostatnią stronę zapisaną przez Prado. Adriana podążyła za spojrzeniem Gregoriusa.

– W ostatnim roku często skarżył się, że nie rozumie, na czym polega samotność, której wszyscy tak bardzo się obawiamy. *Co to właściwie jest, co nazywamy samotnością* – mówił. – *Nie chodzi po prostu o nieobecność innych, można bowiem być samemu i wcale nie czuć się samotnym, albo przebywać między ludźmi, a jednak doświadczać samotności, cóż to zatem jest?* Nieustannie zajmowała go kwestia, że można być samotnym w tłumie. *Dobrze* – twierdził – *nie chodzi tylko o to, że istnieją inni ludzie, że wypełniają przestrzeń obok nas. Ale nawet gdy z nami świętują albo po*

przyjacielsku udzielają nam rady, mądrej, intuicyjnej rady – nawet wtedy może się zdarzyć, że czujemy się samotni. Samotność nie jest zatem czymś, co wiąże się jedynie z nieobecnością ludzi albo z tym, co robią. Z czym zatem? Z czym, na wszystkie skarby świata?

O Fatimie i swoich uczuciach do niej nie rozmawiał ze mną, *intymność to nasza ostatnia świętość*, zwykł mawiać. Jeden raz dał się sprowokować do wygłoszenia uwagi. *Leżę obok niej, słyszę jej oddech, czuję jej ciepło – i jestem przeraźliwie samotny* – powiedział. – *Co to jest? CO?*

Solidão por proscricão, samotność przez wygnanie – zanotował Prado. – *Gdy inni pozbawiają nas swej sympatii, poważania i uznania, dlaczego nie możemy po prostu powiedzieć im: „Nie potrzebuję tego wszystkiego, wystarczam sam sobie”?* Czy to nie jest okropna forma zniewolenia, że tego nie potrafimy? Czy nie czyni to z nas niewolników innych ludzi? Jakiego doznania można zatem wykorzystać jako zaporę, mur ochronny? Jakiego rodzaju wewnętrzna wytrzymałość musi nas wyróżniać?

Gregorius pochylił się nad biurkiem i przeczytał wyblakłe słowa na kartkach przyczepionych na ścianie.

Wymuszenie przez zaufanie. – Pacjenci zwierzali mu się z najintymniejszych spraw, także z tych niebezpiecznych – powiedziała Adriana. – Niebezpiecznych politycznie. A potem oczekiwali, że on też coś wyzna. Żeby nie musieli czuć się nadzy. Nienawidził tego. Nienawidził z głębi serca. *Nie chcę, żeby ktoś czegoś ode mnie oczekiwał* – mówił, tupiąc nogą. – *I dlaczego, do diabła, tak ciężko jest mi się odgraniczyć?* „*Mamã* – chciałam powiedzieć – *Mamã*”. Ale tego nie powiedziałam. Sam wiedział.

Niebezpieczna cnota cierpliwości. – *Paciência*: w ostatnich latach życia nabawił się prawdziwej alergii na to słowo, jego twarz gwałtownie pochmurniała, gdy ktoś wspominał mu o cierpliwości. *To nic więcej jak dozwolony sposób, by się oszukiwać* – mawiał rozdrażniony. – *Lęk przed*

fontannami, które mogą w nas trysnąć. Zrozumiałam go naprawdę dopiero wtedy, gdy dowiedziałam się o tętniaku.

Na ostatniej karteczce napisano więcej niż na pozostałych. *Jeśli kipiel duszy jest niedostępna i potężniejsza od nas samych: dlaczego zatem pochwała i nagana? Dlaczego nie po prostu: „mieć szczęście”, „mieć pecha”?* A owa kipiel jest potężniejsza niż my, jest taka zawsze.

– Dawniej cała ściana była usiana karteczkami – powiedziała Adriana. – Nieustannie zapisywał coś i przymocowywał do ściany. Aż do tej nieszczęsnej podróży do Hiszpanii, półtora roku przed jego śmiercią. Potem rzadko sięgał po pióro, siadywał tylko przy biurku i po prostu patrzył przed siebie.

Gregorius czekał. Od czasu do czasu rzucał ku niej spojrzenie. Adriana siedziała w fotelu obok stosów książek na podłodze, których nie uprzątnęła, na jednej ze stert nadal leżał duży tom z obrazem mózgu. Adriana skrzyżowała dłonie poznaczone ciemnymi żyłami, puściła je i ponownie splotła. Na jej twarzy wrzało. Opór przeciwko wspomnieniom zdawał się zwycięzać.

Gregorius stwierdził, że chętnie dowiedziałby się czegoś o tym okresie. – Żeby go jeszcze lepiej zrozumieć.

– Nie wiem – powiedziała i ponownie popadła w milczenie. Gdy zaczęła mówić, słowa wydawały się dobiegać z wielkiej dali.

– Sądziłam, że go znam. Tak, powiedziałabym: znam go, znam go od wewnątrz i od zewnątrz, w końcu od wielu lat widywałam go codziennie i słyszałam, jak opowiada o swoich myślach i odczuciach, nawet o swoich snach. Potem jednak wrócił do domu ze spotkania, na dwa lata przed śmiercią, w grudniu kończył pięćdziesiąt jeden lat. To było jedno z tych spotkań, na które przychodził też João, João jakiś tam. Ten człowiek nie miał na niego dobrego wpływu. Myślę, że Jorge też tam był, Jorge O’Kelly, jego święty przyjaciel. Wolałabym, żeby nie poszedł na to spotkanie. Nie wpływały na niego dobrze.

– Spotykali się tam ludzie z ruchu oporu – odparł Gregorius. – Amadeu pracował dla ruchu oporu, musiała to pani wiedzieć. Chciał coś zrobić, zrobić coś przeciwko ludziom takim jak Mendes.

– *Resistência* – powiedziała Adriana, a potem jeszcze raz: – *Resistência*.
– Wymawiała to słowo tak, jakby nigdy wcześniej go nie słyszała i nie chciała uwierzyć, że coś takiego mogło istnieć.

Gregorius przeklinał swoją potrzebę, by zmusić Adrianę do uznania rzeczywistości, bo przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała zamilknąć. Potem jednak z jej twarzy zniknęło podenerwowanie i znowu znalazła się przy bracie, który wrócił nocą z nieszczęsnego spotkania.

– Nie spał, a gdy rano spotkałam go w kuchni, miał na sobie ubranie z poprzedniego wieczoru. Wiedziałam, jaki jest, gdy nie śpi. Tym razem jednak był inny. Nie wyglądał na udęconego jak zwykle, pomimo worków pod oczami. I zrobił coś, czego nie robił nigdy wcześniej: odchylił się i bujał na krześle. Kiedy później o tym myślałam, stwierdziłam, że jest tak, jakby wyruszył w podróż. W gabinecie wszystko szło mu niesłuchanie lekko i szybko, udawało mu się jakby samo z siebie, i za każdym razem, gdy wyrzucał zużyte przybory, trafiał do kosza.

Zakochany, powie pan może, czy to nie wyraźne objawy, że był zakochany? Oczywiście, myślałam o tym. Ale na jednym z tych spotkań, męskich spotkań? Poza tym był zupełnie inny niż wtedy z Fatimą. Dziwszy, nieokiełznany, pożądlivy. Można powiedzieć, zupełnie bez umiaru. Napawał mnie lękiem. Stał mi się obcy. Zwłaszcza po tym, jak ją zobaczyłam. Już gdy weszła do poczekalni, poczułam, że nie jest zwykłą pacjentką. Dwudziesto-, dwudziestokilkuletnia. Dziwne połączenie niewinnej dziewczyny i wampa. Lśniące oczy, azjatycka cera, rozkołysany chód. Mężczyźni w poczekalni zerkali na nią ukradkiem, oczy kobiet się zwięziły.

Zaprowadziłam ją do gabinetu. Amadeu właśnie wycierał ręce. Obrócił się i jakby go piorun strzelił. Krew uderzyła mu na twarz. Potem się opanował.

„Adriano, to jest Estefânia – powiedział. – Czy możesz nas na chwilę zostawić samych, mamy coś do omówienia”.

To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. W gabinecie nie było nic, czego nie mogłabym usłyszeć. *Nic*.

Przyszła znowu, cztery albo pięć razy. Zawsze mnie odsyłał, rozmawiał z nią i odprowadzał potem do drzwi. Za każdym razem jego twarz była

zaczerwieniona, a przez resztę dnia zachowywał się niespokojnie i niepewnie robił zastrzyki, on, który służył z pewnej ręki. Ostatnim razem nie przyszła do gabinetu, lecz zadzwoniła tu, na górę, dochodziła już północ. Wziął płaszcz i zszedł na dół. Zobaczyłam, jak oboje skręcają za róg, przemawiał do niej gorączkowo. Po godzinie wrócił z potarganymi włosami, pachnąc nią.

Potem trzymała się z daleka. Amadeu bywał nieobecny. Jakby jakaś ukryta siła wciągała go na głębiej. Był podenerwowany i czasami opryskliwy, także wobec pacjentów. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że nie lubi już swojego zawodu, nie czuje się dobrze, chce uciec.

Raz spotkałam Jorge z tą dziewczyną. Obejmował ją w talii, wydawało się, że nie jest jej przyjemnie. Byłam zdumiona, bo Jorge udał, że mnie nie poznaje, i pociągnął dziewczynę w boczną uliczkę. Czułam dużą pokusę, by opowiedzieć o wszystkim Amadeu. Nie zrobiłam tego. Cierpiał. Kiedyś, wyjątkowo kiepskiego wieczoru, poprosił mnie, bym zagrała *Wariacje Goldbergowskie* Bacha. Siedział z zamkniętymi oczami i byłam przekonana, że myśli o niej.

Partie szachów z Jorge, które należały do rytmu życia Amadeu, ustały. Przez całą zimę Jorge nie przyszedł do nas ani razu, nawet na Boże Narodzenie. Amadeu nie rozmawiał o nim.

Któregoś wieczoru na początku marca O'Kelly stanął przed drzwiami. Słyszałam, jak Amadeu otworzył.

„To ty”, powiedział.

„Tak, ja”, odparł Jorge.

Poszli na dół do gabinetu, nie chcieli, żebym słyszała ich rozmowę. Otworzyłam drzwi mieszkania i nasłuchiwałam. Nic, ani jednego głośnego słowa. Potem trzasnęły drzwi wejściowe. O'Kelly z wysoko postawionym kołnierzem płaszcza i papierosem w zębach zniknął za rogiem. Cisza. Amadeu nie przychodził i nie przychodził. Wreszcie zeszałam na dół. Siedział w ciemności i nie poruszał się.

„Zostaw mnie – powiedział. – Nie chcę rozmawiać”.

Gdy wrócił późno w nocy, był blady, cichy i całkiem roztrzęsiony. Nie miałam odwagi spytać, co się stało.

Następnego dnia gabinet był zamknięty. Przyszedł João. Nie dowiedziałam się niczego z ich rozmowy. Odkąd zjawiała się dziewczyna, Amadeu żył obok mnie, a godziny wspólnej pracy w gabinecie straciły urok. Nienawidziłam tej osoby, jej długich czarnych włosów, rozkołysanego chodu, krótkiej spódniczki. Nie grałam już na fortepianie. Przestałam się liczyć. To było... to było upokarzające.

Dwa lub trzy dni później, w środku nocy, João i dziewczyna stanęli przed drzwiami.

„Chciałbym, żeby Estefânia tu została”, powiedział João.

Powiedział to głosem niedopuszczającym sprzeciwu. Nienawidziłam go i jego władczygo sposobu bycia. Amadeu poszedł z nimi do gabinetu. Gdy ich zobaczył, nie powiedział ani słowa, ale pomylił klucze i upuścił pęk na schody. Później zobaczyłam, że przygotował jej posłanie na leżance.

Rano wszedł na górę, umył się i zrobił śniadanie. Dziewczyna wyglądała na niewyspaną i zaleknioną, miała na sobie coś jakby kombinezon, cały jej urok zniknął. Opanowałam się, zaparzyłam drugi dzbanek kawy i jeszcze jeden na drogę. Amadeu nic mi nie wyjaśnił.

„Nie wiem, kiedy wrócę – powiedział tylko. – Nie martw się”.

Spakował swoje rzeczy do torby, włożył do niej trochę leków, a potem wyszli na ulicę. Ku mojemu zaskoczeniu Amadeu wyjął z kieszeni klucze do samochodu i otworzył drzwiczki auta, które poprzedniego dnia jeszcze tam nie stało. Przecież nie potrafi prowadzić, pomyślałam, ale potem za kierownicą usiadła dziewczyna. To był ostatni raz, gdy ją widziałam.

Adriana siedziała nieruchomo z rękoma na kolanach, głową opartą na zagłówku i zamkniętymi oczami. Jej oddech był szybki, jak podczas tamtych wydarzeń. Czarna aksamitka podsunęła się w górę, Gregorius ujrzał bliznę na szyi, okropną, poszarpaną bliznę z małą wypukłością, która lśniła szaro. Amadeu usiadł okrakiem na jej kolanach. *Muszę to zrobić – powiedział – inaczej umrzesz. Zabierz ręce. Zaufaj mi.* Potem uderzył. I pół życia później Adriana widziała, jak siada obok młodej kobiety w samochodzie i bez wyjaśnienia wyjeżdża na nieokreślony czas.

Gregorius czekał, aż oddech Adriany się uspokoi. Spytał, jaki był Amadeu po powrocie.

– Przypadkiem stałam przy oknie, gdy wysiadł z taksówki. Sam. Musiał wrócić pociągiem. Po tygodniu. Ani wtedy, ani później nie wspomniał nawet słowem o tym wyjeździe. Był nieogolony, miał zapadnięte policzki, sądzę, że w podróży ledwo co jadł. Wygłodniały połykał wszystko, co mu podałam. Potem położył się na górze na łóżku i spał cały dzień i noc, musiał wziąć jakieś leki, później znalazłam opakowanie.

Umył włosy, ogolił się i ubrał porządnie. Ja tymczasem wysprzątałam gabinet.

„Wszystko łśni – powiedział i spróbował się uśmiechnąć. – Dziękuję, Adriano. Co ja bym bez ciebie zrobił”.

Powiadomiliśmy pacjentów, że gabinet jest już otwarty, i godzinę później poczekalnia się zapełniła. Amadeu pracował wolniej niż zwykle, może był to skutek środków nasennych, a może objaw choroby. Pacjenci czuli, że nie jest taki jak zawsze, i spoglądali na niego niepewnie. Jeszcze przed południem poprosił o kawę, nie zdarzyło się to nigdy wcześniej.

Dwa dni później dostał gorączki i ostrej migreny. Żaden lek nie pomógł.

„Nie ma powodu do paniki – uspokajał mnie, trzymając dłonie przy skroniach. – Ciało to także duch”.

Gdy jednak obserwowałam go skrycie, widziałam w nim strach, musiał myśleć o tętniaku. Poprosił, bym nastawiła Berlioza, muzykę Fatimy.

„Wyłącz! – krzyknął po kilku taktach. – Natychmiast to wyłącz!”.

Może spowodował to ból głowy, a może czuł, że po dziewczynie nie może już wrócić do Fatimy.

Potem złapali João, dowiedzieliśmy się o tym od pacjenta. Migreny Amadeu stały się tak silne, że chodził w kółko jak szalony, obejmując głowę. W oku pękła mu żyłka, krew zabarwiła je na czerwono, wyglądał okropnie, zropaczony i zaniedbany. Bezradnie spytałam, czy nie powinnam sprowadzić Jorge.

„Ani się waż!”, wykrzyknął.

Spotkał się z Jorge dopiero rok później, na kilka miesięcy przed śmiercią. Tego roku Amadeu się zmienił. Po dwóch, trzech tygodniach gorączka i bóle głowy minęły. Pozostawiły mojego brata jako człowieka, nad którym pochylała się głęboka melancholia. *Melancholia* – jako chłopiec kochał to

słowo i później czytał książki na ten temat. W jednej z nich twierdzono, że chodzi o doświadczenie typowe dla współczesności. „Głupoty!”, złościł się. Uważał melancholię za doznanie bezczasowe i był zdania, że jest ona czymś najcenniejszym, co znają ludzie.

„Ponieważ uwidacznia się w niej cała kruchość człowieka”, powiedział.

Nie było to nieszkodliwe. Wiedział oczywiście, że melancholia i chorobliwe przygnębienie to nie to samo. Gdy jednak leczył pacjenta w depresji, czasem zwlekał o wiele za długo, zanim posłał go do psychiatry. Rozmawiał z nim, jakby chodziło o melancholię, i miał skłonność do gloryfikowania stanu takich ludzi i ranienia ich swoim dziwnym zachwytem wobec ich cierpienia. Po podróży z dziewczyną to się nasiliło i czasami graniczyło z rażącym niedbalstwem.

W diagnozach fizycznych do końca był bezbłędny. Ale został naznaczony i kiedy miał do czynienia z pacjentem o trudnej osobowości, czasami nie dawał już sobie rady. Nagle czuł się skrępowany wobec kobiet i częściej odsyłał je do specjalisty.

Cokolwiek zdarzyło się w czasie tej podróży, bardzo go wzburzyło, jeszcze bardziej niż śmierć Fatimy. Jakby doszło do trzęsienia ziemi, które przesunęło najgłębsze pokłady jego duszy. Wszystko, co na nich leżało, stało się niepewne i przy najlżejszym uderzeniu wiatru zaczynało się chwiać. Zmieniła się atmosfera w całym domu. Musiałam ochraniać i izolować Amadeu, jakbyśmy żyli w sanatorium. Było okropnie.

Adriana otarta łzę z oczu.

– I cudownie. Należał... znowu należał do mnie. Albo należałby do mnie, gdyby pewnego dnia w drzwiach nie stanął Jorge.

O’Kelly przyniósł szachownicę z rzeźbionymi figurami z Bali.

„Dużo czasu minęło, kiedy ostatni raz graliśmy – powiedział. – Zbyt dużo. O wiele za dużo”.

Początkowo nie rozmawiali wiele podczas gry. Adriana przynosiła herbatę.

– To było wysilone milczenie – powiedziała. – Nie wrogie, ale wysilone. Szukali się. Szukali w sobie możliwości, by znowu być przyjaciółmi.

Od czasu do czasu próbowali jakiegoś żartu albo powiedzenia ze szkolnych czasów. Nie udawało się, śmiech zamierał, jeszcze zanim

odnalazł drogę ku twarzom. Na miesiąc przed śmiercią Amadeu poszli po rozgrywce do gabinetu. Rozmowa trwała aż do późnej nocy. Adriana cały czas stała przy otwartych drzwiach mieszkania.

– Drzwi gabinetu się otworzyły, wyszli. Amadeu nie zapalił światła, a blask z gabinetu słabo rozjaśniał korytarz. Szli powoli, niemal jak w zwolnionym tempie. Wydawało się, że zachowują nienaturalnie duży dystans wobec siebie. Potem stanęli wreszcie przed drzwiami.

„A więc”, powiedział Amadeu.

„Tak”, odparł Jorge.

A potem splekli się... tak, splekli się, nie wiem, jak to lepiej wyrazić. Zapewne chcieli się objąć, ostatni raz, i zaczęty ruch wydał się im niemożliwy do dokończenia, ale nie mogli go już powstrzymać, wpadli na siebie, szukali się dłońmi, nieporadni jak ślepcy, uderzali głowami o ramiona, a potem wyprostowali się, szarpnęli w tył i nie wiedzieli, co zrobić z rękoma. Sekunda, dwie ogromnego zakłopotania, po czym Jorge otworzył drzwi i wypadł na dwór. Drzwi się zamknęły. Amadeu obrócił się do ściany, opart o nią czoło i zaczął łkać. Były to głębokie, ochryple, niemal zwierzęce dźwięki, którym towarzyszyło gwałtowne drganie całego ciała. Pamiętam jeszcze, jak pomyślałam: jak głęboko w nim tkwił, przez całe życie! I tak zostanie, nawet po tym pożegnaniu. Był to ostatni raz, gdy się spotkali.

Bezsenność Prado stała się jeszcze bardziej dokuczliwa. Narzekał na zawroty głowy i musiał robić przerwy między kolejnymi pacjentami. Prosił Adrianę, by grała *Wariacje Goldbergowskie*. Dwa razy pojechał do liceum i wrócił ze śladami przelanych łez na twarzy. Na pogrzebie Adriana dowiedziała się od Mélodie, że ta widziała brata wychodzącego z kościoła.

Nieczęsto zdarzały się dni, gdy sięgał po pióro. Nic wtedy nie jadł. Wieczorem przed śmiercią narzekał na ból głowy. Adriana została przy nim, aż zadziałały leki. Gdy wychodziła, wyglądało na to, że zaśnie. Kiedy jednak o piątej rano zajrzała do niego, łóżko było puste. Prado udał się na ukochaną Rua Augusta, gdzie godzinę później dostał wylewu. O szóstej dwadzieścia trzy powiadomiono Adrianę, a ona po powrocie do domu cofnęła wskazówkę i zatrzymała wahadło zegara.

37 *Solidão por proscricção, samotność przez odrzucenie*, ta kwestia zajmowała Prado pod koniec życia. Jesteśmy zdani na szacunek i sympatię innych ludzi i to nas od nich uzależnia. Jak daleka była droga, którą przebył! Gregorius siedział w salonie Silveiry i ponownie czytał notatkę o samotności zamieszczoną przez Adrianę w książce.

SOLIDÃO FURIOSA. WŚCIEKŁA SAMOTNOŚĆ. *Czy jest tak, że wszystko, co robimy, robimy ze strachu przed samotnością? Czy to dlatego rezygnujemy ze wszystkich tych rzeczy, których żałujemy pod koniec życia? Bo dlaczego trzymamy się zrujnowanych małżeństw, zakłamanych przyjaźni, nudnych przyjęć urodzinowych? Co by się stało, gdybyśmy zrezygnowali z tego wszystkiego, powstrzymali podstępny przymus i pozostali wierni samym sobie? Gdybyśmy pozwolili wytrysnąć fontannie naszych uciskanych pragnień i wściekłości z powodu ich zniewolenia? Owa budząca lęk samotność – na czym właściwie ona polega? Na ciszy niewypowiedzianych zarzutów? Na braku konieczności, by ze wstrzymanym oddechem przekradać się przez pole minowe małżeńskich kłamstw i przyjacielskich półprawd? Na wolności, polegającej na tym, że podczas posiłku nie widzi się nikogo naprzeciw siebie? Na pełni czasu, która otwiera się przed nami, gdy milknie dudnienie umówionych spotkań? Czy to nie cudowne rzeczy? Rajski stan? Dlaczego zatem się go lękamy? Czy koniec końców chodzi o lęk, który istnieje tylko dlatego, że nie zastanowiliśmy się nad jego przedmiotem? Lęk, który został nam wmówiony przez bezmyślnych rodziców, nauczycieli i księży? I skąd właściwie pewność, że inni ludzie by nam nie zazdrościli, gdyby ujrzeli, jak wielka jest nasza wolność? I że w rezultacie nie szukaliby naszego towarzystwa?*

Wtedy nie wiedział jeszcze o lodowatym wietrze odrzucenia, który poczuł później dwukrotnie: gdy uratował Mendesa i gdy wywiózł Estefanię Espinhosę poza granicę. Ten wczesny zapisek ukazywał go jako obrazoburcę, który nie wzbrania się przed żadną myślą, jako kogoś, kto nie lęka się wygłosić bluźnierczej mowy przed kolegium nauczycielskim, do którego należeli także duchowni. Napisał te słowa w poczuciu bezpieczeństwa, jakie dawała mu przyjaźń z Jorge. Owo poczucie bezpieczeństwa, pomyślał Gregorius, musiało mu pomóc poradzić sobie z plunięciem, które trafiło go w twarz ze strony wzburzonego tłumu. Ale potem bezpieczeństwo się skończyło. Życiowe wyzwania są po prostu zbyt liczne i zbyt potężne, żeby nasze uczucia mogły je przetrwać niezmienione, powiedział już w czasie studiów w Coimbrze. Powiedział to właśnie do Jorge.

I oto przepowiednia się sprawdziła, Prado został na mrozie nieznośnej izolacji i nie pomagała nawet troskliwość siostry. Lojalność, którą uważał za kotwicę ratunkową przeciw wpływom uczuć – ona także okazała się krucha. Adriana powiedziała, że przestał chodzić na spotkania członków ruchu oporu. Odwiedzał tylko João Eçę w więzieniu. Pozwolenie na te widzenia było jedynym dowodem wdzięczności ze strony Mendesa, jaki zaakceptował. *Jego dłonie, Adriano* – mówił po powrocie – *jego dłonie. Kiedyś grywały Schuberta.*

Zabronił jej wietrzyć gabinet, by nie przegonić zapachu ostatniej wizyty Jorge. Pacjenci zaczęli się skarżyć. Okna były zamknięte całe dni. Wdychał zatechłe powietrze jak narkotyk wspomnień. Gdy nie dało się już uniknąć wietrzenia, siedział zgarbiony na krześle i sprawiał wrażenie, jakby wraz z zaduchem opuszczającym pokój tracił także siły życiowe.

„Proszę za mną – powiedziała Adriana do Gregoriusa. – Chcę panu coś pokazać”.

Zeszli na dół do gabinetu. W rogu leżał mały dywanik. Adriana odsunęła go stopą. Zaprawa murarska na podłodze była pęknięta, a kawałek dużego kafła poluzowany. Adriana uklękła i uniosła kafel. Wydłubano pod nim skrytkę, w której leżały złożona szachownica i skrzynka. Adriana otworzyła skrzynkę i pokazała Gregoriusowi rzeźbione figury.

Gregorius miał trudności z oddychaniem, otworzył okno i wdychał chłodne nocne powietrze. Ogarnęły go zawroty głowy i musiał przytrzymać się ramy okiennej.

„Nakryłam go przy tym”, powiedziała Adriana. Na powrót zasłoniła otwór i stanęła obok Gregoriusa.

„Pałaca czerwień oblała jego policzki. «Chciałem tylko...», zaczął. «Nie ma powodu się wstydzić», powiedziałam. Tamtego wieczoru był bezradny i kruchy jak małe dziecko. Oczywiście *wyglądało* to jak grób dla szachów, dla Jorge, dla ich przyjaźni. Ale odkryłam, że on wcale tak tego nie *odczuwał*. Było to bardziej skomplikowane. I w jakiś sposób pełne nadziei. Nie chciał *pogrzebać* gry. Chciał ją tylko *przesunąć poza granice swojego świata*, nie niszczyć jej, i mieć pewność, że zawsze będzie mógł ją wyjąć. Jego świat był teraz światem bez Jorge. Ale Jorge nadal był. *Był*. «Teraz, gdy go już nie ma, jest tak, jakby i mnie nie było», powiedział kiedyś Amadeu.

Potem na wiele dni stracił pewność siebie i stał się wobec mnie niemal służalczy. «Taki kicz, ta cała sprawa z szachami», wydusił wreszcie, gdy zmusiłam go do wyjaśnień”.

Gregorius pomyślał o słowach O’Kelly’ego: *Miał skłonność do patosu, nie chciał tego przyznać, ale wiedział o tym i dlatego gdy tylko miał okazję, walczył z kiczem, i potrafił być przy tym niesprawiedliwy, okropnie niesprawiedliwy.*

Siedząc w salonie Silveiry, Gregorius przeczytał ponownie zapisek o kiczu:

Kicz to najbardziej zdradzieckie ze wszystkich więzień. Kraty są otulone złotem uproszczonych, nierzeczywistych uczuć, tak że uchodzą za kolumny pałacu.

Adriana dała mu stos kartek, jeden z wielu stosów na biurku Prado, włożony między kartonowe okładki i przewiązany czerwoną tasiemką. „To

rzeczy, których nie ma w książce. Świat nie powinien o nich wiedzieć”, powiedziała.

Gregorius rozwiązał tasiemkę, otworzył okładki i przeczytał:

Szachy Jorge. Sposób, w jaki mi je podał. Tylko on tak potrafi. Nie znam nikogo, kto potrafi być równie wymuszający. Wymuszenie, od którego za nic w świecie nie chciałbym uciec. Jak jego wymuszające ruchy na szachownicy. Co chciał naprawić? Czy to w ogóle właściwe stwierdzenie, że chciał coś naprawić? Nie powiedział: „Wtedy w sprawie Estefanii źle mnie zrozumiałeś”. Powiedział: „Sądziłem, że możemy o wszystkim rozmawiać, o wszystkim, co nam chodzi po głowie. Zawsze tak było, nie pamiętasz już?”. Po tych słowach przez kilka sekund, tylko kilka sekund, myślałem, że możemy na powrót się odnaleźć. Gorące, cudowne uczucie. Ale zgasło. Jego ogromny nos, woreczki łzowe, brązowe zęby. Wcześniej ta twarz była we mnie, była częścią mnie. Teraz znalazła się poza mną, bardziej obca niż twarz obcego człowieka, który nigdy nie stanowił części mnie. Poczulem takie rwanie w piersi, takie straszne rwanie.

Dlaczego miałyby być kiczem to, co zrobiłem z szachami? Chodziło przecież o prosty, szczery gest. I uczyniłem go wyłącznie sam dla siebie, nie dla publiczności. Gdyby ktoś robił coś tylko dla siebie i nie wiedział, że przygląda mu się milion ludzi śmiejących się złośliwie, bo uważają jego działania za kicz: jak byśmy to osądzili?

Gdy godzinę później Gregorius wszedł do klubu szachowego, O’Kelly zajęty był właśnie skomplikowaną rozgrywką końcową. Zjawił się też Pedro, mężczyzna o oczach epileptyka, wciągający smarki, który przypominał Gregoriusowi o przegranym turnieju w Moutier. Nie dostrzegł wolnej szachownicy.

– Niech pan usiądzie tutaj – powiedział O’Kelly i przyciągnął wolne krzesło do swojego stolika.

Przez całą drogę do klubu Gregorius zastanawiał się, czego oczekuje. Czego chce od O'Kelly'ego. Skoro było jasne, że nie może go *spytać*, co stało się wtedy z Estefanią Espinhosą i czy naprawdę chciał ją poświęcić. Nie potrafił sobie odpowiedzieć, ale nie potrafił też zawrócić.

Teraz, czując na twarzy dym z jego papierosa, wiedział już: chciał się jeszcze raz przekonać, jak to jest siedzieć obok człowieka, którego Prado nosił w sobie całe życie, człowieka, którego, jak powiedział ojciec Bartolomeu, potrzebował, żeby być *całym*. Człowieka, z którym lubił przegrywać i któremu, nie oczekując wdzięczności, podarował aptekę. Człowieka, który jako pierwszy roześmiał się głośno, gdy szczekanie psa przerwało kłopotliwą ciszę po skandalicznej mowie.

– Zagramy? – spytał O'Kelly, gdy zakończył rozgrywkę i pożegnał się z partnerem.

Gregorius jeszcze z nikim nie grał w taki sposób. Nie chodziło o partię, lecz o obecność drugiego człowieka. Wyłącznie o jego obecność. O pytanie, jak to było być kimś, czyje życie wypełniał ów mężczyzna, którego połówki od nikotyny palce z brudnymi paznokciami ustawiały szachowe figury z bezlitosną precyzją.

– To, co niedawno panu opowiedziałem, o Amadeu i o mnie – niech pan o tym zapomni.

O'Kelly obdarzył Gregoriusa spojrzeniem, w którym mieszała się nieśmiałość i gniewna gotowość, by wszystko rzucić.

– To wino. Było zupełnie inaczej.

Gregorius skinął głową i miał nadzieję, że na jego twarzy widać szacunek wobec tej głębokiej i skomplikowanej przyjaźni. Powiedział, że Prado zastanawiał się, czy dusza jest miejscem faktów, czy też rzekome fakty są tylko złudnymi cieniami naszych historii.

Tak, odparł O'Kelly. To było coś, czym Amadeu zajmował się całe życie. Mawiał, że przecież we wnętrzu człowieka dzieją się rzeczy znacznie bardziej skomplikowane, niż sugerowałyby nasze schematyczne, dziecinne wyjaśnienia. *Wszystko jest przecież znacznie bardziej skomplikowane. Jest tak w każdej chwili. „Pobrali się, bo się kochali i chcieli dzielić ze sobą życie”, „ukradła, bo potrzebowała pieniędzy”, „skłamał, bo nie chciał jej*

zranić” – cóż to za śmieszne opowiastki! Jesteśmy złożonymi istotami, istotami pełnymi głębi, o duszy z niestałego żywego srebra i usposobieniu, które zmienia kolor i formę jak w nieustannie poruszonym kalejdoskopie.

Jorge wtrącił wtedy, że brzmi to tak, jakby duchowe fakty jednak istniały, tylko były bardzo skomplikowane.

Nie, nie, protestował Amadeu, możemy w nieskończoność udoskonalać nasze wyjaśnienia i mimo to nadal będą fałszywe. *Fałszywe byłoby już samo założenie, że istnieją tam prawdy do odkrycia. Dusza, Jorge, to czysty wymysł, nasz najbardziej genialny wymysł, a jego genialność kryje się w sugestii, przemożnie przekonującej sugestii, że w duszy istnieje coś do odkrycia, jak w kawałku rzeczywistego świata. Prawda, Jorge, jest zupełnie inna: wymyśliliśmy duszę, by mieć przedmiot do rozmowy, coś, o czym moglibyśmy rozmawiać, gdy się spotykamy. Wyobraź sobie, że nie moglibyśmy rozmawiać o duszy – co mielibyśmy ze sobą począć? To byłoby piekło!*

– Potrafił rozprawiać o tym jak natchniony, wtedy wręcz się rozpałał, a gdy widział, że to mi się podoba, mówił: *Wiesz, myślenie jest drugą najpiękniejszą rzeczą. Najpiękniejsza jest poezja. Gdyby istniało poetyckie myślenie i myśląca poezja – to byłby raj.* Gdy później zaczął prowadzić zapiski, sędzę, że była to próba, by utorować sobie drogę do owego raj.

W oczach O’Kelly’ego zebrała się wilgotna mgiełka. Nie zauważył, że jego królowa znalazła się w niebezpieczeństwie. Gregorius wykonał nieznaczący ruch. Byli ostatnimi graczami na sali.

– W pewnym momencie myśląca zabawa przerodziła się w gorzką powagę. Nie powinno pana obchodzić, co się stało, *nikogo* nie powinno obchodzić.

Zagryzł wargi.

– Nawet João w Cacilhas nie.

Zaciągnął się papierosem i zakaszłał.

– „Wmawiasz coś sobie – powiedział do mnie. – Chciałeś tego z zupełnie innego powodu niż ten, który sobie przedstawiasz”.

To były jego słowa, cholerne, raniące słowa: *który sobie przedstawiasz*. Czy potrafi pan sobie wyobrazić, jak to jest, gdy ktoś mówi, że tylko *przedstawia* pan sobie swoje powody? Czy potrafi pan sobie wyobrazić, jak to jest, gdy mówi to *przyjaciół*, ÓW *przyjaciół*?

– „Skąd to niby wiesz – krzyknąłem na niego. – Myślę, że nie ma tu prawdy i fałszu, a może już w to nie wierzysz?”.

Na nieogolonej twarzy O’Kelly’ego pojawiły się czerwone plamy.

– Wie pan, po prostu uważałem, że możemy porozmawiać o wszystkim, co nam chodzi po głowie. *O wszystkim*. Romantyczne. Cholernie romantyczne, wiem. Ale tak było między nami przez ponad czterdzieści lat. Od dnia, gdy zjawił się w klasie w swoim drogim surducie i bez teczki.

On był przecież tym, który nie obawiał się żadnej myśli. *On* był tym, który wobec księży chciał mówić o umierającym Słowie Bożym. A gdy potem ja chciałem wypróbować śmiałość i, co przyznaję, straszną myśl – okazało się, że przeceniłem jego i naszą przyjaźń. Spojrzał na mnie, jakbym był potworem. Kiedy indziej zawsze umiał odróżnić myśl jedynie sprawdzaną od takiej, która rzeczywiście popycha do działania. To *on* nauczył mnie tej różnicy, tej wyzwalającej różnicy. I nagle już jej nie zauważał. Z jego twarzy uciekła cała krew. W tej jednej jedynej sekundzie pomyślałem, że stało się najokropniejsze – że nasza trwająca całe życie przyjaźń przerodziła się w nienawiść. To był ten moment, okropny moment, w którym straciliśmy siebie nawzajem.

Gregorius chciał, żeby O’Kelly wygrał partię. Chciał, żeby wymuszającymi posunięciami dał mu mata. Ale Jorge nie miał już głowy do gry, więc Gregorius zaaranżował remis.

– Taka bezgraniczna otwartość po prostu nie jest możliwa – powiedział Jorge, gdy na ulicy podawali sobie dłoń. – Wykracza poza nasze siły. Istnieje też samotność spowodowana przymusem przemilczenia.

Wypuścił dym.

– To było dawno, ponad trzydzieści lat temu. A jakby zdarzyło się wczoraj. Cieszę się, że zatrzymałem aptekę. Mogę tam mieszkać w naszej

przyjaźni. I czasami udaje mi się myśleć, że nigdy się nie utraciliśmy. Że po prostu umarł.

38 Od dobrej godziny Gregorius kręcił się koło domu Marii João i zastanawiał się, dlaczego tak bije mu serce. *Wielka, nietknięta miłość jego życia* – tak nazwała ją Mélodie. – *Nie zdziwiłoby mnie, gdyby okazało się, że nigdy jej nie pocałował. Ale nikt, żadna kobieta nie dorównywała Marii. Jeśli ktoś poznał wszystkie jego tajemnice, to była to Maria João. W pewnym sensie tylko ona, jedynie ona znała go naprawdę. A Jorge stwierdził, że była jedyną kobietą, której Amadeu naprawdę wierzył. Maria, mój Boże, tak, Maria, powiedział.*

Gdy otworzyła drzwi, naraz wszystko stało się jasne. Trzymała parujący kubek kawy i ogrzewała nim dłoń. Jasne brązowe oczy spoglądały badawczo, lecz nie groźnie. Nie była piękną. Nie była kobietą, za którą odwracali się mężczyźni. W młodości też taka nie była. Jednak Gregorius jeszcze nigdy nie spotkał kobiety, która promieniowałaby równie dyskretną, co doskonałą pewnością siebie i samodzielnością. Musiała mieć ponad osiemdziesiąt lat, lecz nie zdziwiłby się, gdyby nadal pracowała zawodowo.

– Zależy, czego pan chce – powiedziała, gdy Gregorius spytał, czy może wejść. Nie miał ochoty znowu stać przed drzwiami i pokazywać portretu Prado jak przepustki. Spokojne, otwarte spojrzenie dało mu odwagę, by zacząć bez owijania w bawełnę.

– Zajmuję się życiem i pismami Amadeu de Prado – powiedział po francusku. – Dowiedziałem się, że go pani znała. Lepiej niż ktokolwiek inny.

Spojrzenie Marii zdawało się świadczyć, że nic nie może wyprowadzić jej z równowagi. A jednak tak się stało. Nie na powierzchni. W ciemnoniebieskiej wełnianej sukience opierała się o framugę drzwi tak samo pewnie i spokojnie jak wcześniej, a swobodną dłonią pocierała ciepły

kubek, tylko nieco wolniej. Trzepot rzęs przyspieszył jednak, na czole zaś pojawiły się zmarszczki koncentracji, jakiej potrzeba, gdy nagle napotykamy coś nieoczekiwanego, co może mieć ważne konsekwencje. Nic nie powiedziała. Na kilka sekund zamknęła oczy. Potem znowu nad sobą zapanowała.

– Nie wiem, czy chcę do tego wracać – powiedziała. – Ale nie ma sensu, żeby stał tu pan na deszczu.

Francuskie słowa przyszły bez zająknięcia, akcent miał senną elegancję typową dla Portugalki, która bez wysiłku mówi po francusku, lecz ani na chwilę nie oddala się od własnego języka.

Zapytała, kim jest, podając mu kubek kawy, nie zmanierowanym gestem usługowej gospodyni, ale trzeźwym, prostym ruchem kogoś, kto załatwia potrzebną praktyczną kwestię.

Gregorius opowiedział o hiszpańskiej księgarni w Bernie i zdaniach, które przetłumaczył mu księgarz. *Z tysięcy doświadczeń, które zbieramy, najwyżej jedno wyrażamy w słowach* – zacytował. – *Wśród wszystkich niemych doświadczeń kryją się te, które niezauważenie nadają naszemu życiu formę, barwę i melodię.*

Maria João zamknęła oczy. Popękane wargi, na których widać było resztki opryszczki, zaczęły niedostrzegalnie drżeć. Opadła nieco głębiej na fotel. Otoczyła rękoma kolana i na powrót puściła. Nie wiedziała, co ma zrobić z dłońmi. Powieki z ciemnymi żyłkami zadrgały. Powoli jej oddech się uspokoił. Otworzyła oczy.

– Usłyszał to pan i uciekł ze szkoły – powiedziała.

– Uciekłem ze szkoły i to usłyszałem – odparł Gregorius.

Uśmiechnęła się. *Spojrzała na mnie i podarowała mi uśmiech pochodzący z odległego stepu świadomie przeżytego życia*, napisał sędzia Prado.

– No dobrze. Ale pasowało. Pasowało tak bardzo, że zechciał pan go poznać. Jak trafił pan do mnie?

Gdy Gregorius skończył opowiadać, popatrzyła na niego.

– Nie wiedziałam o książce. Chciałabym ją zobaczyć.

Otworzyła książkę, spojrzała na zdjęcie, i było tak, jakby wgniotła ją w fotel podwójna siła grawitacji. Za usianymi żyłkami, niemal przezroczystymi powiekami skakały gałki oczne. Maria zebrała siły, otworzyła oczy i utkwiała baczne spojrzenie w portrecie. Powoli przejechała po nim kościstą dłonią, raz i drugi. Potem wsparła ręce na kolanach, wstała i bez słowa wyszła z pokoju.

Gregorius wziął książkę i spojrział na zdjęcie. Przypomnił sobie chwilę, gdy siedział w kawiarni przy placu Bubenberga i zobaczył je po raz pierwszy. Przypomnił sobie głos Prado dochodzący ze starego magnetofonu Adriany.

– Teraz i ja tam wróciłam – powiedziała Maria João, gdy ponownie usiadła w fotelu. – *Jeśli chodzi o duszę, niewiele możemy uchwycić, zwykły mawiać.*

Jej twarz była spokojniejsza. Odgarnęła z czoła zbłąkane kosmyki, sięgnęła po książkę i spojrzała na portret.

– Amadeu.

W jej ustach imię to brzmiało zupełnie inaczej niż w ustach pozostałych osób. Jakby było to zupełnie inne imię, które nie mogło należeć do tego samego człowieka.

– Był taki mądry i spokojny, tak strasznie mądry i spokojny. Może dlatego, że tak bardzo wypełniał go język. Nie mogłam, nie chciałam w to uwierzyć – że nie wypowie już żadnych słów. Nigdy więcej. Zalała je krew z pękniętej żyły. *Wszystkie słowa. Krwawa powódź o unicestwiającej sile. Jako pielęgniarka widziałam wielu zmarłych, nigdy jednak śmierć nie wydała mi się tak okropna. Coś, co po prostu nie powinno było zaistnieć. Coś, co było zupełnie nie do zniesienia. Nie do zniesienia.*

Pomimo dobiegającego z ulicy hałasu pokój wypełniła cisza.

– Pamiętam, jak przyszedł do mnie z wynikami ze szpitala w dłoni, to była żółtawa koperta. Zgłosił się na badania z powodu ostrych migren i zawrotów głowy. Bał się, że to guz. Angiografia, środki cieniujące. Nic. Tylko tętniak. „Z tym może pan dożyć setki!”, powiedział neurolog. Ale Amadeu był trupioblady. *Może pęknąć w każdej chwili, w każdej chwili, jak mam żyć z tą bombą zegarową w mózgu, powiedział.*

Gregorius powiedział, że Prado zdjął ze ściany schemat budowy mózgu.

– Wiem, to było pierwsze, co zrobił. Znaczenie tego można ocenić tylko wtedy, gdy się wie, jak bezgraniczny podziw żywił wobec ludzkiego mózgu i jego zagadkowych możliwości. *Dowód na istnienie Boga* – powiedział – *to dowód na istnienie Boga. Tyle tylko, że Boga nie ma.* I oto zaczęło się dla niego życie, w którym unikał jakiegokolwiek myśli o mózgu. Każdy przypadek choroby, który w zaledwie niewielkim stopniu mógł mieć coś wspólnego z mózgiem, natychmiast kierował do specjalisty.

Gregorius przypomniał sobie wielką książkę o mózgu, która leżała na górze stosu w pokoju Prado. *O cérebro, sempre o cérebro* – usłyszał słowa Adriany. – *Porquê não disseste nada?*

– Nikt poza mną o tym nie wiedział. Adriana też nie. Nawet Jorge.

Duma w jej głosie była ledwie słyszalna, ale była.

– Później rzadko o tym rozmawialiśmy i nigdy zbyt długo. Nie było wiele do powiedzenia. Jednak groźba krwawej powodzi w czaszce zaległa jak cień nad ostatnimi siedmioma latami jego życia. Były chwile, gdy pragnął, by wreszcie to się stało. Żeby wyzwolić się od strachu.

Spojrzała na Gregoriusa. – Proszę za mną. – Ruszyła przodem do kuchni. Z najwyższej półki w szafie zdjęła duże płaskie pudełko z lakierowanego drewna, z wieczkiem zdobionym intarsjami. Usiedli przy kuchennym stole.

– Niektóre z jego zapisków powstały u mnie w kuchni. Wtedy była to inna kuchnia, ale ten sam stół. *Rzeczy, które tu piszę, są najniebezpieczniejsze*, powiedział. Nie chciał o tym rozmawiać. *Pisanie jest nieme*, twierdził. Zdarzało się, że siedział całą noc i niewyspany wracał do gabinetu. Niszczył sobie zdrowie. Adriana tego nienawidziła. Nienawidziła wszystkiego, co wiązało się ze mną. „Dziękuję – mówił, wychodząc. – U ciebie jest jak w spokojnym, bezpiecznym porcie”. Zawsze przechowywałam te kartki w kuchni. Tutaj jest ich miejsce.

Otworzyła cyzelowany zamek pudełka i wyjęła trzy pierwsze strony. Przeczytała po cichu kilka linijek, po czym przesunęła papiery ku Gregoriusowi.

Czytał. Gdy czegoś nie rozumiał, spoglądał na Marię, a ona tłumaczyła.

MEMENTO MORI. Ciemne klasztorne mury, spuszczonego wzroku, zaśnieżony cmentarz. Czy musi tak być?

Przypominać sobie, czego naprawdę chcemy. Świadomość ograniczonego, upływającego czasu jako źródło siły, by móc opierać się własnym nawykom i oczekiwaniom, ale przede wszystkim oczekiwaniom i groźbom innych. A zatem jako coś, co otwiera przyszłość, a nie ją zamyka. Tak rozumiane memento stanowi zagrożenie dla potężnych tyranów, którzy próbują urządzić świat w ten sposób, by uciśnieni nie znajdowali posłuchu dla swoich pragnień, nawet u siebie samych.

„Dlaczego mam myśleć o tym, że koniec jest końcem, będzie, co będzie, dlaczego mi o tym mówicie, to przecież niczego nie zmienia”.

Jaka pada odpowiedź?

„Nie marnuj swojego czasu, zrób z nim coś wartościowego”.

Jednak co to może znaczyć: wartościowego? Wreszcie zacząć urzeczywistniać dawno żywione pragnienia. Dostrzec pomyłkę w założeniu, że potem będzie jeszcze na to czas. Memento jako narzędzie w walce przeciw wygodzie, samooszukiwaniu się i lękowi, który wiąże się z konieczną przemianą. Wybrać się w wymarzoną podróż, nauczyć się jeszcze jednego języka, przeczytać te książki, kupić sobie taką biżuterię, spędzić noc w tym słynnym hotelu. Nie minąć się z samym sobą.

Chodzi też o większe rzeczy – rzucić niełubiany zawód, wyrwać się ze znieciercierowanego otoczenia. Zrobić to, co sprawi, że będziemy prawdziwsi, bliżsi samym sobie.

Od rana do wieczora leżeć na plaży albo siedzieć w kawiarni – to także może być odpowiedź na memento, odpowiedź kogoś, kto do tej pory tylko pracował.

„Pomyśl o tym, że musisz kiedyś umrzeć, może już jutro”.

„Myślę o tym cały czas, dlatego nie chodzę do biura i wystawiam się na słońce”.

Owo pozornie ponure upomnienie nie zamyka nas w zaśniewanych klasztornych ogrodach. Otwiera drogę na zewnątrz i budzi nas do teraźniejszości.

Pamiętając o śmierci, uprościć swe związki z innymi ludźmi. Zakończyć wrogość, przeprosić za wyrządzone krzywdy, wyrazić uznanie, którego nie wyraziliśmy wcześniej z powodu małostkowości. Nie brać poważnie spraw, które traktowaliśmy zbyt poważnie – docinków, wywyższania się innych ludzi, w ogóle wszystkich zmiennych, zależnych od nastroju opinii wyrażanych na nasz temat. Memento jako wezwanie, by czuć inaczej.

Niebezpieczeństwo: związki nie są już prawdziwe i żywe, bo brakuje im chwilowej powagi, która zakłada pewien brak dystansu. A także: dla wielu spraw, które przeżywamy, jest decydujące, że wiążą się z myślą o przemijaniu, a raczej z poczuciem, że przyszłość będzie jeszcze bardzo długa. Uświadomienie sobie czekającej nas śmierci oznaczałoby zduszenie w zarodku tych przeżyć.

Gregorius opowiedział o Irlandczyku, który w All Souls College w Oxfordzie ośmielił się zjawić na wieczornym wykładzie z ognistą czerwoną piłką.

– Amadeu zanotował: *Cóż bym dał, żeby być tym Irlandczykiem!*

– Tak, to pasuje – powiedziała Maria João – pasuje dokładnie. Przed wszystkim do początku, do naszego pierwszego spotkania, w którym, jak bym dziś powiedziała, wszystko zostało już zaplanowane. Było to na moim pierwszym roku w szkole dla dziewcząt znajdującej się przy liceum. Żywiłyśmy głęboki respekt dla uczących się tam chłopców. Łacina i greka! Pewnego dnia, w ciepły majowy ranek, poszłam po prostu do nich, dość już miałam głupiego respektu. Bawili się, śmiali, grali. Tylko on nie. Siedział

na schodach, rękoma obejmował kolana i przyglądał mi się. Jakby czekał na mnie już od lat. Gdyby tak nie patrzył, nie usiadłabym obok niego. Wtedy jednak wydawało się to najbardziej naturalne na świecie.

„Nie bawisz się?”, spytałam. Pokręcił krótko głową, wręcz nieco nieuprzejmie.

„Czytałem tę książkę – powiedział łagodnym, nieodpartym tonem dyktatora, który nie wie jeszcze o swojej dyktaturze i w pewnym sensie nigdy nie będzie wiedział. – Książkę o świętych, Thérèse de Lisieux, Teresa de Ávila i tak dalej. Po niej wszystko, co robię, wydaje mi się takie banalne. Po prostu nie dość *ważne*. Rozumiesz?”.

Roześmiałam się. „Ja się nazywam Ávila, Maria João Ávila”, powiedziałam.

Roześmiał się ze mną, ale nieco udęczonym śmiechem, nie czuł się traktowany poważnie.

„Nie *wszystko* może być *ważne* i nie *zawsze* – stwierdziłam. – To byłoby okropne”.

Popatrzył na mnie i teraz jego uśmiech nie był już udęczony. Zabrzmiał licealny dzwonek, rozstaliśmy się.

„Czy przyjdiesz jutro znowu?”, spytał. Nie upłynęło więcej niż pięć minut, a już istniała między nami zażyłość jak po wielu latach.

Oczywiście następnego dnia znowu tam poszłam, a on wiedział już wszystko o moim nazwisku i wygłosił wykład o Vasco Ximeno i grafie Raimundo de Borgonha, którzy zostali posłani do tego miasta przez króla Alfonsa VI Kastylijskiego, o Antão i João Gonçalves de Ávila, którzy w XV wieku sprowadzili nazwisko do Portugalii i tak dalej.

„Moglibyśmy pojechać razem do Ávila”, powiedział.

Następnego dnia wyjrzałam przez okno klasy w stronę liceum i ujrzałam dwa oślepiająco jasne punkty. To był odbłask słońca w szklach jego operowej lornetki. Wszystko stało się tak szybko, z nim zawsze wszystko działało się szybko.

Na przerwie pokazał mi lornetkę. „Należy do Mamy – powiedział. – Ona bardzo lubi chodzić do opery, ale *Papá...*”.

Starał się uczynić ze mnie dobrą uczennicę. Żebym mogła zostać lekarką. Powiedziałam, że wcale tego nie chcę, wolę zostać pielęgniarką.

„Ale ty...”, zaczął.

„Pielęgniarką – powtórzyłam. – Zwykłą pielęgniarką”.

Potrzebował roku, by to zaakceptować. Fakt, że trwałam przy swoim wyobrażeniu i nie dałam się przymusić do jego wizji, wpłynął na naszą przyjaźń. Bo tym właśnie była: przyjaźnią na całe życie.

„Masz takie brązowe kolana, a twoja sukienka tak ładnie pachnie mydłem”, powiedział dwa, trzy tygodnie po pierwszym spotkaniu.

Dałam mu pomarańczę. Reszta klasy była zazdrosna: szlachecki syn i chłopska córka. *Dlaczego właśnie Maria?* – spytała jakaś dziewczyna, gdy nie wiedziała, że jestem w pobliżu. Wyobrażały sobie najróżniejsze rzeczy. Ojciec Bartolomeu, dla Amadeu najważniejszy nauczyciel, nie lubił mnie. Kiedy mnie widział, odwracał się i szedł w inną stronę.

Na urodziny dostałam nową sukienkę. Poprosiłam mamę, by ją nieco skróciła. Amadeu nie powiedział nic na ten temat.

Czasami przychodził do nas i szliśmy na przerwie na spacer. Opowiadał o domu, o plecach ojca, o milczących oczekiwaniach matki. Dowiadywałam się o wszystkim, co go poruszało. Stałam się jego powiernicą. Tak, tym właśnie się stałam: powiernicą na całe życie.

Nie zaprosił mnie na wesele. „Tylko byś się nudziła”, powiedział. Stałam za drzewem, gdy wychodzili z kościoła. Drogi ślub szlachty. Wielkie lśniące samochody, długi biały tren. Mężczyźni we frakach i melonikach.

To był pierwszy raz, gdy zobaczyłam Fatimę. Piękna, biała jak alabaster twarz o regularnych rysach. Długie czarne włosy, chłopięca figura. Nie powiedziałabym: laleczka, ale w pewien sposób... opóźniona. Nie potrafię tego dowieść, lecz sądzę, że sprawował nad nią opiekę. Nie zauważając tego. Był władczy. Nie żądny władzy, ale władczy, charyzmatyczny, dominujący. W zasadzie w jego życiu nie było wcale miejsca dla kobiety. Kiedy zmarła, doznał głębokiego wstrząsu.

Maria João zamilkła i wyjrzała przez okno. Gdy ponownie się odwróciła, zrobiła to z wahaniem, jakby z wyrzutami sumienia.

– Jak powiedziałam: głębokiego wstrząsu. Bez wątpienia. A jednak... jak mam to wyrazić – nie był to wstrząs, który przeniknąłby go do ostatniej, najgłębszej głębi. W pierwszych dniach często u mnie przesiadywał. Nie po to, by szukać pocieszenia. Wiedział, że... że *tego* nie może ode mnie oczekiwać. Tak, to wiedział. *Musiał* wiedzieć. Chciał po prostu, żebym przy nim była. Tak jak często musiałam być *przy nim*.

Maria João wstała, podeszła do okna i zatrzymała się tam, ze spojrzeniem skierowanym na ulicę, z dłońmi skrzyżowanymi na plecach. Gdy mówiła dalej, głos miała cichy, jakby dzieliła się tajemnicą.

– Za trzecim czy czwartym razem znalazł wreszcie odwagę, wewnętrzna udręka stała się zbyt wielka, musiał to komuś powiedzieć. Nie mógł spłodzić dzieci. Poddał się operacji, by nigdy nie zostać ojcem. To było na długo, nim spotkał Fatimę.

„Nie chcę, by małe bezbronne dzieci musiały dźwigać brzemie mojej duszy – powiedział. – Wiem przecież, jak to było ze mną – i nadal jest”.

Zarysy rodzicielskiej woli i lęków wpisują się rozpalonym rylcem w dusze małych, przepelnionych bezsilnością i niewiedzą o tym, co się z nimi dzieje. Potrzebujemy całego życia, by odnaleźć i odcyfrować wypalony tekst, i nigdy nie możemy być pewni, że go zrozumieliśmy. Gregorius opowiedział Marii João, co przeczytał w liście Prado do ojca.

– Tak – powiedziała. – Tak. Tym, co na nim ciążyło, nie był zabieg, nigdy go nie żałował. Tylko fakt, że nie powiedział o nim Fatimie. Cierpiała z powodu bezdzietności, a on niemal dusił się wyrzutami sumienia. Był odważnym człowiekiem, człowiekiem o wyjątkowej odwadze. Ale tu okazał się tchórzem i nigdy nie pokonał tego tchórzostwa.

Jest tchórzem, gdy chodzi o Mamę, powiedziała Adriana. To jedyny rodzaj tchórzostwa, jaki w nim tkwi. W nim, który nie cofa się przed żadną nieprzyjemnością, żadną.

– Rozumiałam to – powiedziała Maria João. – Tak, mogę chyba powiedzieć, że to rozumiałam. Doświadczyłam, jak głęboko zapisali się w nim ojciec i matka. Do czego doprowadzili. A jednak byłam poruszona. Również z powodu Fatimy. Ale jeszcze bardziej zaniepokoiła mnie

radykalność, wręcz brutalność jego decyzji. W wieku dwudziestu kilku lat podjąć ostateczną decyzję w tej kwestii. Na zawsze. Potrzebowałam około roku, by się z tym pogodzić. Aż uznałam, że nie byłby sobą, gdyby nie potrafił zrobić czegoś takiego.

Maria João wzięła do ręki książkę Prado, włożyła okulary i zaczęła kartkować. Jednak w myślach nadal była w przeszłości i ponownie zdjęła okulary.

– Nigdy nie rozmawialiśmy dłużej o Fatimie, o tym, czym dla niego była. Ona i ja, raz spotkałyśmy się w kawiarni, weszła i czuła się zobowiązana usiąść obok mnie. Jeszcze nim podszedł kelner, obie wiedziałyśmy, że to był błąd. Na szczęście zamówiłyśmy tylko espresso.

Nie wiem, czy rozumiałam to wszystko, czy nie rozumiałam. Nie jestem nawet pewna, czy on to rozumiał, i na tym polega *moje* tchórzostwo: nie przeczytałam, co napisał o Fatimie. „Wolno ci to przeczytać dopiero po mojej śmierci – powiedział, podając mi zapieczętowaną kopertę. – Ale nie chcę, żeby wpadło w ręce Adriany”. Wielokrotnie trzymałam w ręku tę kopertę. Kiedyś zdecydowałam raz na zawsze: nie chcę wiedzieć. Koperta nadal więc spoczywa w pudełku.

Maria João włożyła do pudełka tekst o bliskości śmierci i odsunęła je na bok.

– Jedno wiem – gdy przydarzyła się ta sprawa z Estefanią, nie byłam ani trochę zaskoczona. Przecież czasami tak jest, że nie wiemy, czego komuś brakuje, dopóki tego nie otrzyma, i wtedy naraz staje się zupełnie jasne, o co chodziło.

Zmienił się. Po raz pierwszy w ciągu czterdziestu lat wydawał się wstydić przede mną i coś ukrywać. Dowiedziałam się tylko, że jest ktoś, ktoś z ruchu oporu, kto ma też coś wspólnego z Jorge. I że Amadeu nie chciał do tego dopuścić, nie mógł do tego dopuścić. Ale ja go znałam – nieustannie o niej myślał. Jego milczenie wyraźnie świadczyło o tym, że nie powinnam jej zobaczyć. Jakbym przez sam fakt, że ją zobaczę, mogła dowiedzieć się o nim czegoś, czego nie wolno mi było wiedzieć. Czego nikt nie mógł wiedzieć. Można uznać, że on sam też nie. Poszłam więc i czekałam przed domem, gdzie spotykali się członkowie ruchu oporu. Wyszła tylko jedna kobieta i natychmiast było dla mnie jasne – to ona.

Spojrzenie Marii João powędrowało po pomieszczeniu i zatrzymało się na odległym punkcie.

– Nie chciałabym jej panu opisywać. Powiem tylko, że mogłam sobie natychmiast wyobrazić, co się z nim stało. Że nagle świat wyglądał dla niego zupełnie inaczej. Że zawalił się dotychczasowy porządek. Że naraz liczyły się zupełnie inne rzeczy. Taką była kobieta. A miała dopiero dwadzieścia kilka lat. Była nie tylko piłką, czerwoną irlandzką piłką na uczelni. Była czymś znacznie więcej niż wszystkimi czerwonymi piłkami naraz – musiał czuć, że stanowiła dla niego szansę, dzięki której mógł być *cały*. To znaczy jako mężczyzna.

Tylko tak można wytłumaczyć fakt, że zaryzykował wszystko: szacunek innych, przyjaźń z Jorge, która była dla niego święta, nawet życie. I że wrócił z Hiszpanii, jakby... został zniszczony. Zniszczony, tak, to dobre słowo. Stał się powolny, miał trudności z koncentracją. W jego żyłach nie pozostał nawet ślad żywego srebra, ślad dawnej śmiałości. Zgasł w nim żar życia. Mówił, że musi nauczyć się żyć zupełnie od nowa.

„Byłem w liceum – powiedział pewnego dnia. – Wtedy wszystko leżało jeszcze przede mną. Tyle jeszcze było możliwe. Wszystko było otwarte”.

Maria João miała ściśnięte gardło, odchrząknęła i mówiła dalej ochrypłym głosem.

– Powiedział coś jeszcze. „Czemu nigdy nie pojechaliśmy razem do Ávila”.

Sądziłam, że o tym zapomniał. Nie zapomniał. Płakaliśmy. To był jedyny raz, gdy razem płakaliśmy.

Maria João wyszła. Gdy wróciła, miała szal na szyi i gruby płaszcz przełożony przez ramię.

– Chciałabym pojechać z panem do liceum – powiedziała. – Do tego, co z niego zostało.

Gregorius wyobraził sobie, jak popatrzy na obrazy Isfahanu i będzie zadawać mu pytania. Był zdumiony, że się przed nią nie wstydzi. Nie przed Marią João.

39 Miała osiemdziesiąt lat, lecz prowadziła samochód ze spokojem i precyzją taksówkarza. Gregorius patrzył na jej dłonie na kierownicy i drążku zmiany biegów. Nie były to eleganckie dłonie, a ona nie poświęcała czasu na ich pielęgnację. Dłonie, które opiekowały się chorymi, opróżniały nocniki, zakładały bandaże. Dłonie, które wiedziały, co robią. Dlaczego Prado nie uczynił z niej swojej asystentki?

Zatrzymali się i poszli na piechotę przez park. Chciała najpierw wejść do budynku szkoły dla dziewcząt.

– Nie byłam tu od trzydziestu lat. Od jego śmierci. Wtedy przychodziłam niemal codziennie. Sądziłam, że wspólne miejsce, miejsce pierwszego spotkania, nauczy mnie, jak pożegnać się z nim. Nie wiedziałam, jak powinnam to zrobić, jak się z nim pożegnać. Jak można pożegnać się z kimś, kto jak nikt inny wpłynął na nasze życie?

Podarował mi coś, czego nie znałam wcześniej i nigdy później nie doświadczyłam: niewiarygodną empatię. Dużo zajmował się sobą i był skoncentrowany na sobie do okrucieństwa. Ale jednocześnie, gdy chodziło o innych, miał wyobraźnię, która była tak szybka i precyzyjna, że przyprawiała o zawroty głowy. Zdarzało się, że mówił mi, jak się czuję, zanim sama zaczęłam szukać właściwych słów. Chęć zrozumienia innych stanowiła jego namiętność, pasję. Nie byłby jednak sobą, gdyby nie wątpił też w możliwość takiego zrozumienia, nie wątpił tak radykalnie, że rzucał się w drugą skrajność.

Dzięki tej empatii powstawała między nami niespotykana, zapierająca dech bliskość. W moim domu nie było pod tym względem wyjątkowo źle, ale zachowywaliśmy się wobec siebie bardzo rzeczowo, można powiedzieć konkretnie. I oto zjawiał się ktoś, kto umiał zajrzeć w głąb mnie. Był jak objawienie. I to dawało nadzieję.

Stanęli w klasie Marii João. Nie było tu już ławek, została tylko tablica. Ślepe okna, w których tu i ówdzie brakowało kawałków szyb. Maria otworzyła okno, trzeszczenie świadczyło o upływie dziesiątków lat. Wskazała na liceum.

– Tam. Tam na górze, na trzecim piętrze dostrzegłam blask lornetki. – Przełknęła ślinę. – Fakt, że ktoś, chłopak ze szlacheckiego domu, wypatrywał mnie przez lornetkę – to... to było coś. I, jak powiedziałam, zrodziło nadzieję. Nadzieja ta miała jeszcze dziecienną formę i oczywiście nie byłam pewna, o czym mówiła. Lecz choć niejasna, stanowiła nadzieję na wspólne życie.

Zeszli po schodach, które, podobnie jak w liceum, pokrywała śliska powłoka wilgotnego kurzu i zgniłego mchu. Maria João milczała, aż minęli park.

– I w jakiś sposób się ziściło. To znaczy owo wspólne życie. Wspólne w bliskiej dali, w dalekiej bliskości.

Spojrzała na fasadę liceum.

– Tam, siedział przy tamtym oknie, a ponieważ już wszystko umiał i się nudził, pisał na karteczkach krótkie wiadomości, które dawał mi na przerwie. Nie były to... *billets doux*. Nie pisał tam nic, na co miałam nadzieję z każdą nową karteczką. Były to jego przemyślenia na jakiś temat. Teresy d'Ávila i wielu innych spraw. Uczynił ze mnie mieszkankę świata swoich myśli. „Poza mną tylko ty tam mieszkasz”, powiedział.

A jednak już wtedy prawdą było to, co pojęłam bardzo wolno i dopiero znacznie później: nie chciał, żebym została wplątana w jego życie. W pewnym sensie, choć trudno to wytłumaczyć, chciał, żebym pozostała na zewnątrz. Czekałam na to, że zapyta, czy chcę pracować w niebieskim gabinecie. W marzeniach już wielokrotnie tam pracowałam, i było cudownie, rozumieliśmy się bez słów. Ale nie poprosił, nawet nie zasugerował.

Uwielbiał pociągi, były dla niego symbolem życia. Chętnie pojechałabym z nim w jednym przedziale. Lecz on tego nie chciał. Chciał mnie na peronie, chciał za każdym razem móc otworzyć okno i spytać o radę. A gdy pociąg ruszał, chciał, żeby peron jechał razem z nim. Miałam na podobieństwo anioła stać na jadącym peronie, na anielskim peronie, który toczy się obok pociągu dokładnie w tym samym tempie.

Wkroczyli do liceum. Maria João rozejrzała się.

– Właściwie dziewczynki nie miały tu wstępu. Przyproceedził mnie po lekcjach i wszystko pokazał. Ojciec Bartolomeu nas przyłapał. Gotował.

Ale to był Amadeu, więc nic nie powiedział.

Stanęli przed gabinetem senhora Cortesa. Mimo wszystko Gregorius poczuł strach. Weszli. Maria João wybuchnęła śmiechem. Był to śmiech złąknionej życia uczennicy.

– Pan?

– Tak.

Podeszła do zdjęć Isfahanu zawieszonych na ścianie i spojrzała na niego pytająco.

– Isfahan, Persja. Jako uczeń chciałem tam pojechać. Na Daleki Wschód.

– A teraz, kiedy pan uciekł, nadrabia to pan. Tutaj.

Skinął głową. Nie wiedział, że są ludzie, którzy tak szybko potrafią zrozumieć. Można było otworzyć okno pociągu i spytać anioła.

Maria João uczyniła coś zaskakującego – podeszła do niego i objęła go za ramiona.

– Amadeu by to zrozumiał. I nie tylko zrozumiał. Pokochałby pana za to. *A imaginação, o nosso último santuário*, zwykł mawiać. Wyobraźnia oraz intymność, oprócz języka były to dwie świętości, które uznawał. *I mają ze sobą wiele wspólnego, bardzo wiele*, mówił.

Gregorius zawahał się. Potem jednak otworzył szufladę biurka i pokazał Marii João hebrajską Biblię.

– Założę się, że to pana sweter!

Usiadła w fotelu i okryła nogi jednym z koców Silveiry.

– Proszę mi przeczytać jakiś fragment. On także to robił. Oczywiście nic nie rozumiałam, ale było cudownie.

Gregorius przeczytał historię stworzenia. On, Mundus, w podupadłym portugalskim gimnazjum czytał osiemdziesięcioletniej kobiecie, której wczoraj jeszcze nie znał i która nie rozumiała słowa po hebrajsku, historię stworzenia. To była najbardziej zwariowana rzecz, jaką dotychczas zrobił. Cieszył się nią, jak jeszcze nigdy niczym się nie cieszył. Było tak, jakby w duchu odrzucił wszystkie pęta po to, by ten jeden raz czuć się nieskrępowanym jak ktoś, kto wie o bliskim końcu.

– A teraz pójdziemy do auli – powiedziała Maria João. – Wtedy była zamknięta.

Usiedli w pierwszym rzędzie przed podwyższonym pulpitem.

– Tam zatem wygłosił swoją mowę. Swoją słynną mowę. Uwielbiałam ją. Tyle w niej było z niego. *Była* nim. Coś jednak mnie przeraziło. Nie chodziło o sposób, w jaki przemawiał. Przypomina pan sobie zakończenie, gdzie mówi, że potrzebuje obu rzeczy, świętości słów i wrogości przeciw wszelkiemu okrucieństwu? Potem następuje: *I nikt nie może mnie zmusić, bym wybrał*. To było ostatnie zdanie, które wygłosił. Początkowo jednak następowało po nim kolejne: *Seria uma corrida atrás do vento*, byłyby to pogoń za wiatrem.

„Cóż za cudowna wizja!”, wykrzyknęłam.

Wtedy wziął Biblię i przeczytał mi fragment Księgi Salomona: *Widziałem wszelkie sprawy, jakie się dzieją pod słońcem. A oto: wszystko to marność i pogoń za wiatrem* [Koh 1,14]. Przeraziłam się.

„Nie możesz tego zrobić! – powiedziałam. – Wszyscy od razu to rozpoznają i uznają cię za opętanego manią wielkości!”

Nie powiedziałam, że w tej chwili obawiałam się o niego, o jego zdrowie psychiczne.

„Dlaczego? – powiedział zdumiony. – To jest przecież tylko poezja”.

„Ale nie możesz wygłaszać biblijnej poezji! *Biblijnej* poezji! W swoim imieniu!”

„Poezja przewyższa wszystko – odparł. – Obala wszelkie zasady”.

Stracił jednak pewność siebie i wykreślił to zdanie. Poczuję, że byłam zatroskana, zawsze wszystko wyczuwał. Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy.

Gregorius opowiedział jej o dyskusji Prado z O’Kellym o umierającym Słowie Bożym.

– Nie wiedziałam o tym – powiedziała i milczała przez chwilę. Splotła dłonie, puściła je, znowu splotła.

– Jorge. Jorge O’Kelly. Nie wiem. Nie wiem, czy był dla Amadeu szczęściem, czy nieszczęściem. Wielkie nieszczęście, które maskuje się

jako wielkie szczęście, tak czasem bywa. Amadeu tęsknił za siłą Jorge, surową siłą. W ogóle tęsknił za surowością, którą u Jorge można było poznać nawet po szorstkich, popękanych dłoniach, po szczeciniastych, potarganych włosach i papierosach bez filtra, które już wtedy palił nałogowo. Nie chcę być wobec niego niesprawiedliwa, ale nie podobało mi się, że Amadeu uwielbiał go tak bezkrytycznie. Jako chłopska córka wiedziałam, jacy są chłopscy synowie. Nie ma powodu do romantyzmu. Gdyby doszło co do czego, Jorge myślałby najpierw o sobie.

W O'Kellym fascynowało go i potrafiło wprawić niemal w stan upojenia to, że nie miał żadnych trudności, by odgrodzić się od innych. Mówił po prostu „nie” i uśmiechał się pod tym wielkim nosem. Za to Amadeu walczył o swoje granice jak o zbawienie.

Gregorius opowiedział o liście do ojca i zdaniu: *Inni są twoim sądem*.

– Tak, dokładnie tak było. Uczyniło to z niego człowieka głęboko niepewnego, o najcieńszej skórze, jaką można sobie wyobrazić. Miał tę przemożną potrzebę zaufania i bycia akceptowanym. Uważał, że ową niepewność musi ukrywać, więc to, co wyglądało na odwagę lub śmiałość, często było po prostu ucieczką do przodu. Wymagał od siebie nieskończenie wiele, zbyt wiele, i dlatego stał się surowy i wręcz katowski.

Wszyscy, którzy znali go bliżej, doświadczyli uczucia, że nigdy nie dorastają do niego i jego oczekiwań, że zawsze zostają w tyle. Fakt, że miał o sobie niskie mniemanie, dodatkowo pogarszał sprawę. Nie można było się nawet bronić, zarzucając mu zarozumiałość.

Był taki niecierpliwy wobec kiczu! Przede wszystkim w słowach i gestach. I jakże się bał własnego kiczu! „Żeby być wolnym, trzeba umieć zaakceptować siebie także w kiczu”, powiedziałam. Potem przez chwilę oddychał spokojniej, swobodniej. Miał fenomenalną pamięć. Jednak takie rzeczy zapominał szybko, i znowu żelazny, nielitościwy uścisk zapierał mu dech.

Walczył przeciwko temu sądowi. Mój Boże, jak walczył! I przegrał. Tak, sądzę, że trzeba powiedzieć: przegrał.

W okresach spokoju, gdy po prostu pracował i czuł ludzką wdzięczność, czasami sprawiał wrażenie, jakby mu się udało. Ale potem przydarzyła się

ta historia z Mendesem. Prześladowała go ślina ściekająca po twarzy, wciąż o niej śnił. Egzekucja.

Sprzeciwiałam się jego wstąpieniu do ruchu oporu. Nie był odpowiednim człowiekiem, nie miał dość mocnych nerwów, choć inteligencję tak. I nie uważałam, że powinien coś naprawiać. Ale nic nie dało się zrobić. *Jeśli chodzi o duszę, niewiele możemy uchwycić*, powiadał, przytaczałam już panu te słowa.

Jorge także należał do ruchu oporu. Jorge, którego w końcu w ten sposób stracił. Załamany rozmyślał o tym w mojej kuchni i nie powiedział ani słowa.

Weszli po schodach i Gregorius pokazał jej szkolną ławkę, przy której w myślach posadził Prado. Piętro było inne, ale poza tym miejsce się zgadzało. Maria João stała przy oknie i spoglądała na szkołę dla dziewcząt.

– Sąd otoczenia. Tak to odebrał, gdy przeciął gardło Adrianie. Pozostali siedzieli przy stole i patrzyli na niego jak na potwora. A przecież uczynił jedyną słuszną rzecz. W swoim czasie w Paryżu chodziłam na kurs pomocy medycznej w nagłych wypadkach, pokazywali nam, jak to zrobić. Konioktomia. Trzeba rozdzielić w poprzek *ligamen conicum* i wsunąć rurkę w tchawicę. Inaczej pacjent umrze z powodu zamartwicy. Nie wiem, czy bym to potrafiła i czy pomyślałabym o długopisie zamiast rurki. „Jeśli chciałby pan tu pracować...” powiedzieli lekarze, którzy później operowali Adrianę.

Dla Adriany miało to druzgocące skutki. Gdy uratowało się komuś życie – właśnie wtedy należy pożegnać się szybko, lekko. Uratowanie życia jest dla drugiej osoby, a przez nią i dla ratującego, ciężarem, którego nikt nie zdoła unieść. Dlatego należy traktować to jak szczęśliwy przypadek natury, na przykład samoistne wyzdrowienie. Zdarzenie nieosobiste.

Amadeu ciężko znosił wdzięczność Adriany, która miała w sobie coś religijnego, fanatycznego. Czasami czuł wstręt, bo potrafiła być służalcza jak niewolnica. Ale potem przydarzyła się jej nieszczęśliwa miłość, aborcja, zaistniało niebezpieczeństwo osamotnienia. Czasami próbowałam sobie wmówić, że to ze względu na Adrianę nie sprowadził mnie do gabinetu. Ale to nieprawda.

Z M elodie, jego siostr  Rit , by o zupe nie inaczej, lekko i nieskr powanie. Miał zdj cie, na kt rym pozowa  w pilotce, jakie nosi y dziewczyny z jej orkiestry. Zazdroci  siostrze odwagi bycia niesta . Przyznawa ,  e jako nieplanowana c rka odczuwa  duchowe brzemi  rodziców znacznie s abiej ni  starsze rodze stwo. Ale potrafi  te  czu  w sciek o , kiedy my la , o ile  atwiejsze mog o by  jego  ycie.

Tylko raz odwiedzi am go w domu. By o to w okresie szkolnym. Zaproszenie okaza o si  b ludem. Byli dla mnie mili, ale wszyscy czuli my,  e nie nale e do nich, do ich bogatego szlacheckiego  wiata. Amadeu czu  si  nieszcz e liwy z powodu tego popo udnia.

„Mam nadzieje... – powiedzia . – Nie umiem..

„To przecie  niewa ne”, odpar am.

Znacznie p oniej spotka am si  kiedy  z s dzi , poprosi  mnie o to. Czu ,  e Amadeu ma mu za z e jego prac  dla r adu, kt ry odpowiada za Tarrafal. *Gardzi mn , m j w asny syn mn  gardzi*, wyrzuci  z siebie. A potem opowiedzia  o swoim b lu i o tym,  e praca pomaga mu dalej  y . Zarzuci  Amadeu niedostateczn  empatie. Powt rzy am mu, co m wi  mi Amadeu: *Nie chc  go widzie  jako chorego, kt remu wszystko si  wybacza. By oby wtedy tak, jakbym nie mia  ju  ojca.*

Nie opowiedzia am mu natomiast, jak nieszcz e liwy czu  si  Amadeu w Coimbrze. Poniewa  miał w tpliwo ci co do swojej przysz oci jako lekarza. Nie by  pewien, czy nie spe nia jedynie  yczenia ojca i nie zaniedbuje w asnych pragnie .

W najstarszym domu towarowym w mie cie dopu ci  si  kradzie y, zosta  niemal przy apany i prze y  za amanie nerwowe. Odwiedzi am go.

„Znasz pow d?”, spyta am. Pokiwa  g ow .

Nigdy mi tego nie wyt umaczy , ale s d e,  e mia o to zwi zek z ojcem, s dem i wyrokiem. Rodzaj bezradnego, utajonego buntu. Na szpitalnym korytarzu spotka am O’Kelly’ego.

„Gdyby przynajmniej ukrad  co  warto ciowego! – powiedzia  tylko. – Taki szmelc!”.

Nie wiedzia am, czy go w tej chwili lubie , czy wr cz przeciwnie. Do dzi  tego nie wiem.

Zarzut niedostatecznej empatii zdecydowanie nie był usprawiedliwiony. Jakże często w mojej obecności Amadeu przyjmował postawę cierpiącego na chorobę Bechterewa i trwał w niej, aż dostawał skurczu mięśni pleców! A potem pochylał się jeszcze mocniej, z głową wysuniętą do przodu jak u ptaka i zaciśniętymi zębami.

„Nie wiem, jak on to wytrzymuje – mówił. – Nie tylko ból, ale i upokorzenie!”.

Jeśli zawodziła go wyobraźnia, to w przypadku matki. Związek z nią pozostał dla mnie tajemnicą. Ładna, zadbana, lecz niepozorna kobieta. „Tak – mówił. – Tak. O to właśnie chodzi. Nikt by nie uwierzył”. Przypisywał jej winę za tak wiele rzeczy, że nie mogły być prawdą. Nieumiejętność odcięcia się, pracoholizm, nadmierne wymagania wobec siebie samego, niezdolność do tańca i zabawy. Wszystko miało wiązać się z nią i z jej łagodną dyktaturą. Ale nie pozwalał o tym ze sobą porozmawiać. „Nie chcę rozmawiać, chcę być wściekły! Po prostu być wściekły! *Furioso! Raivoso!*”.

Zapadał zmierzch, Maria João włączyła światła w samochodzie.

– Zna pan Coimbrę? – spytała.

Gregorius pokręcił głową.

– Uwielbiał *Biblioteca Joanina* na uniwersytecie. Nie było tygodnia, żeby tam nie wstąpił. I *Sala Grande dos Actos*, gdzie odbierał świadectwo. Później też ciągle tam jeździł, by oglądać sale.

Gdy Gregorius wysiadł, ogarnęły go zawroty głowy i musiał przytrzymać się dachu samochodu. Maria João zmrużyła oczy.

– Czy zdarza się to panu często?

Zawahał się. Potem skłamał.

– Nie powinien pan tego lekceważyć – powiedziała. – Zna pan tu jakiegoś neurologa?

Skinał głową.

Ruszyła powoli, jakby zastanawiała się, czy nie wrócić. Dopiero na skrzyżowaniu dodała gazu. Świat zawirował i Gregorius musiał przytrzymać się klamki, zanim zdołał otworzyć drzwi. Wypił szklanekę mleka z lodówki Silveiry i poszedł powoli na górę, stopień po stopniu.

40 *Nienawidzę hoteli. Dlaczego nadal to robię? Czy możesz mi to powiedzieć, Julieta?* Gdy Gregorius w sobotę po południu usłyszał, jak Silveira otwiera drzwi, przypomniały mu się te słowa powtórzone przez służącą. Pasowało do nich, że Silveira po prostu rzucił walizkę i płaszcz na podłogę, usiadł w holu w fotelu i wyczerpany zamknął oczy. Kiedy ujrzał schodzącego na dół Gregoriusa, jego twarz się rozjaśniła.

– Raimundo. Nie jesteś w Isfahanie? – spytał ze śmiechem.

Był przeziębiony i kichał. Załatwianie interesów w Biarritz nie poszło tak, jak oczekiwał, dwa razy przegrał z kelnerem z wagonu sypialnego, a Filipe, szofer, spóźnił się na dworzec. Poza tym Julieta wzięła dziś wolne. Silveira miał wypisane na twarzy wyczerpanie, a było ono jeszcze większe i głębsze niż wtedy w pociągu. *Problem polega na tym, powiedział, gdy stali na dworcu w Valladolid, że nie mamy pełnego oglądu naszego życia. Ani jeśli chodzi o przyszłość, ani o przeszłość. Kiedy coś się układa, znaczy to, że po prostu mieliśmy szczęście.*

Zjedli to, co Julieta przygotowała poprzedniego dnia, i wypili w salonie kawę. Silveira dostrzegł, że spojrzenie Gregoriusa wędruje do zdjęć z przyjęcia.

– Cholera – powiedział. – Zupełnie o tym zapomniałem. Uroczystość, ta przeklęta rodzinna uroczystość!

Nie pójdzie, *po prostu nie pójdzie* – stwierdził i uderzył widelcem o stół. Coś w wyrazie twarzy Gregoriusa sprawiło, że się zawahał.

– Chyba że pójdiesz ze mną – powiedział. – Sztynna uroczystość w szlacheckiej rodzinie. Ostatnia! Ale gdybyś zechciał...

Było około ósmej, gdy Filipe przyjechał po nich i ze zdumieniem ujrzał, że stoją w holu i trzęsą się ze śmiechu. Godzinę wcześniej Gregorius powiedział, że nie ma nic odpowiedniego, co mógłby włożyć. Potem przymierzał ubrania Silveiry, wszystkie za ciasne. Teraz oglądał się

w wielkim lustrze: za długie spodnie układające się w fałdy na niepasujących do reszty stroju, zwyczajnych butach, smokingowa marynarka, która się nie dopinała, koszula uwierająca pod szyją. Przeraził się, gdy zobaczył swoje odbicie, potem jednak porwał go wybuch śmiechu Silviery i oto zaczął cieszyć się błazenadą. Nie potrafiłby tego wytłumaczyć, ale miał wrażenie, że dzięki tej maskaradzie może zemścić się na Florence.

Niewidzialna zemsta rozpoczęła się jednak na dobre dopiero wtedy, gdy wkroczyli do willi ciotki Silveiry. Silveira z przyjemnością przedstawiał swoim pyszałkowatym krewnym przyjaciela ze Szwajcarii Raimunda Gregoria, prawdziwego uczonego, władającego niezliczonymi językami. Kiedy Gregorius usłyszał słowo *erudito*, zadrżał jak hochsztapler tuż przed zdemaskowaniem. Ale przy stole diabeł go podkusił i na dowód swej wielojęzyczności mówił na zmianę po hebrajsku, grecku i berneńskim dialektem niemieckim oraz upajał się zawilými połączeniami słów, które z minuty na minutę stawały się bardziej szalone. Nie miał pojęcia, że kryje się w nim aż tyle słownego dowcipu, miał wrażenie, jakby wyobraźnia śmiała, szeroką pętlą unosiła go w pustą przestrzeń, coraz dalej i wyżej, skąd w końcu będzie musiał spaść. Ogarnęły go zawroty głowy, przyjemne zawroty głowy wywołane zwariowanymi słowami, czerwonym winem, dymem i muzyką w tle, *chciał* tych zawrotów i robił wszystko, by je utrzymać, był gwiazdą wieczoru, krewni Silveiry cieszyli się, że nie muszą się nudzić ze sobą, Silveira palił jednego papierosa po drugim i rozkoszował się przedstawieniem, kobiety spoglądały na Gregoriusa spojrzeniami, do których nie przywykł, nie był pewien, czy oznaczały to, co zdawały się oznaczać, ale to i tak było obojętne, liczyło się tylko to, że takie wieloznaczne spojrzenia kierowały się na niego, Mundusa, człowieka z szorstkiego pergaminu, którego nazywali Papirusem.

W pewnym momencie znalazł się w kuchni, gdzie zmywał naczynia, była to kuchnia krewnych Silveiry, ale także kuchnia von Muraltów, a Eva, Niewiarygodna, przyglądała się ze wstrętem jego poczynaniom. Czekał, aż obie służące wyjdą, a potem przekradł się do kuchni i oto, z zawrotami głowy, chwiejąc się, stał pochylony nad zlewem i wycierał talerze. Nie chciał się teraz bać zawrotów głowy, chciał się cieszyć szalonym wieczorem, który polegał na tym, że po czterdziestu latach Gregorius

nadrabiał to, czego nie zdołał wtedy zrobić na uczniowskim przyjęciu. Przy deserze spytał, czy w Portugalii można kupić tytuł szlachecki, nie wywołał jednak zażenowania, na jakie liczył, uznali pytanie za bełkotanie obcokrajowca. Tylko Silveira się uśmiechnął.

Okulary były zaparowane od gorącej wody, Gregorius sięgnął w pustkę i upuścił talerz, który rozbił się na kamiennej posadzce.

– *Espera, eu ajudo* – powiedziała siostrzenica Silveiry Aurora, która nagle zjawiała się w kuchni. Uklękli i razem pozbierali odłamki porcelany. Gregorius nadal nic nie widział i zderzył się z Aurorą, której perfumy, jak pomyślał później, idealnie pasowały do zawrotów głowy.

– *Não faz mal* – powiedziała, gdy przeproszał, i zawstydzony poczuł, że całuje go w czoło. Kiedy wstali, spytała, co właściwie tu robi, i chichocząc, wskazała na fartuch, którym się obwiązał. Zmywa naczynia? On? Gość? Uczony poliglota? – *Incrível!* Niewiarygodne!

Tańczyli. Aurora zdjęła mu fartuch, nastawiła kuchenne radio, chwyciła go za rękę i za ramię i zaczęła krążyć z nim po kuchni w takt dźwięków walca. Gregorius w swoim czasie uczył się tańca, z której zrezygnował po półtorej lekcji. Teraz obracał się jak niedźwiedź, potykał się o za długie spodnie, zakreśliło mu się w głowie, *zaraz upadnę*, próbował przytrzymać się Aurory, która zdawała się niczego nie zauważać i gwizdała w takt muzyki, jego kolana ugięły się i tylko mocny chwyt dłoni Silveiry zapobiegł upadkowi.

Gregorius nie zrozumiał, co Silveira powiedział do Aurory, ale ton głosu zdradzał, że ją zganiał. Pomógł Gregoriusowi usiąść i podał mu szklanekę wody.

Po półgodzinie wyszli. W samochodzie Silveira powiedział, że czegoś takiego jeszcze nie przeżył, Gregorius postawił całe to sztywne towarzystwo na głowie. Zgoda, Aurora w ogóle ma taką opinię... Ale pozostali... Kazali mu następnym razem koniecznie przyprowadzić Gregoriusa!

Zwolnili szofera do domu, a potem Silveira usiadł za kierownicą i pojechali do liceum. – W jakiś sposób to teraz pasuje, prawda? – powiedział nagle.

W świetle lampy kempingowej przyjrzał się zdjęciom Isfahanu. Pokiwał głową. Spojrzał na Gregoriusa i znowu pokiwał. Na fotelu leżał koc złożony przez Marię João. Silveira usiadł. Zadawał Gregoriusowi pytania, jakich nikt tutaj jeszcze mu nie zadawał, nawet Maria João. Jak zaczął się uczyć języków klasycznych? Dlaczego nie pracuje na uniwersytecie? Pamiętał wszystko, co Gregorius powiedział o Florence. Czy później nie było żadnej innej kobiety?

A potem Gregorius opowiedział mu o Prado. Był to pierwszy raz, gdy rozmawiał o nim z kimś, kto go nie znał. Zdumiał się, jak wiele o nim wie i jak często o nim rozmyśla. Silveira grzał dłonie o piecyk kempingowy i słuchał, nie przerywając ani razu. W końcu spytał, czy może zobaczyć tę książkę z czerwonymi cedrami.

Na długo zatrzymał wzrok na portrecie. Przeczytał wstęp o tysiącu niemych doświadczeń. Przeczytał go drugi raz. Potem zaczął kartkować. Roześmiał się i przeczytał na głos: *Małostkowe księgowanie hojności – to także się zdarza*. Kartkował dalej, po czym zatrzymał się, cofnął o kilka stron i przeczytał:

AREIAS MOVEDIÇAS. LOTNE PIASKI. *Gdy zrozumieliśmy już, że pomimo całego wysiłku czystą kwestią szczęścia jest, czy coś się nam udaje, czy nie, gdy zatem zrozumieliśmy, że we wszystkich działaniach i przeżyciach jesteśmy lotnymi piaskami wobec i dla nas samych: co dzieje się wtedy ze wszystkimi znanymi nam i cenionymi doznaniem, takimi jak duma, skrucha czy wstyd?*

Silveira wstał z fotela zaczął chodzić tam i z powrotem z tekstem Prado przez oczami. Jakby ogarnęła go gorączka. Przeczytał: *Zrozumieć siebie – czy jest to odkrycie, czy tworzenie?* Przerzucił kilka stron i ponownie przeczytał: *Czy ktoś naprawdę interesuje się mną, a nie tylko swoim zainteresowaniem mną?* Trafił na dłuższy fragment tekstu, usiadł na skraju biurka senhora Cortesa i zapalił papierosa.

PALAVRAS TRAIÇOEIRAS. ZDRADZIECKIE SŁOWA. *Gdy mówimy o sobie samych, o innych ludziach lub po prostu o rzeczach, wtedy przez własne słowa chcemy – można by powiedzieć – się ujawnić chcemy dać poznać, co myślimy i czujemy. Pozwalamy innym zajrzeć w naszą duszę. (We give them a piece of our mind, jak mówią po angielsku. Pewien Anglik powiedział mi to, gdy staliśmy przy relingu statku. To jedyna dobra rzecz, którą przywiozłem z tego odległego kraju. Może jeszcze wspomnienie Irlandczyka z czerwoną piłką w All Souls). W tym rozumieniu sprawy, jeśli chodzi o otwieranie samych siebie, jesteśmy suwerennymi reżyserami, samostanowiącymi dramaturgami. Ale może to całkowicie błędne założenie? Samooszukiwanie się? Ponieważ przez swoje słowa nie tylko się ujawniamy, ale także się zdradzamy. Oddajemy znacznie więcej niż to, co chcemy ujawnić, a czasami nawet całkowite tego przeciwieństwo. Inni ludzie zaś mogą odczytać nasze słowa jako symptomy czegoś, o czym sami może nie wiemy. Symptomy choroby bycia nami. Kiedy patrzymy w ten sposób na ludzi, bywa to zabawne, może nas to uczynić bardziej tolerancyjnymi, ale także dać nam broń do ręki. A jeśli w chwili, gdy zaczynamy mówić, myślimy o tym, że inni tak samo postępują z nami, słowa mogą uwięzić nam w gardle, a przerażenie może sprawić, że zamilkniemy na zawsze.*

W drodze powrotnej zatrzymali się przed budynkiem ze stali i szkła.

– To moja firma – powiedział Silveira. – Chciałbym zrobić kopię książki Prado.

Wyłączył silnik i otworzył drzwi. Spojrzenie na twarz Gregoriusa sprawiło, że się zatrzymał.

– Ach tak. Tak. Ten tekst i maszyna ksero – nie pasują do siebie. – Przejechał dłonią po kierownicy. – A poza tym chciałbyś zachować go dla siebie. Nie tylko książkę. *Tekst.*

Później, gdy Gregorius leżał w łóżku, myślał wciąż o tych zdaniach. Dlaczego wcześniej w jego życiu nie było nikogo, kto rozumiałby go tak szybko i bez trudu? Nim poszli spać, Silveira objął go na chwilę. To był człowiek, któremu mógłby opowiedzieć o zawrotach głowy. O zawrotach głowy i strachu przed pójściem do neurologa.

41 Gdy w niedzielę po południu João Eça stanął w drzwiach pokoju, Gregorius po wyrazie jego twarzy zrozumiał, że coś się stało. Eça zawahał się, nim zaprosił go do środka. Był zimny marcowy dzień, a mimo to okno otwarto na oścież. Eça, siadając, poprawił spodnie. Walczył ze sobą, gdy drżącymi dłońmi ustawiał figury na szachownicy. Ta walka, pomyślał później Gregorius, dotyczyła zarówno jego doznań, jak i kwestii, czy powinien o nich mówić.

Eça ściągnął brwi. – Dziś w nocy zmoczyłem się do łóżka – powiedział ochryplym głosem. – I nic nie zauważyłem. – Spojrzenie miał wbite w szachownicę.

Gregorius losował kolor. Nie mógł milczeć zbyt długo. Powiedział, że wczoraj wieczorem zataczał się z zawrotami głowy w obcej kuchni i omal nie wylądował w ramionach chętnej kobiety, nie z własnej woli.

Eça stwierdził rozdrażniony, że to coś zupełnie innego.

– Ponieważ nie dotyczy dolnej części ciała? – spytał Gregorius. W obu wypadkach chodziło przecież o to, że utracona została zwykła kontrola nad ciałem.

Eça spojrzał na niego. Coś w nim kipiało.

Gregorius zaparzył herbatę i nalał mu pół filiżanki. Eça dostrzegł spojrzenie, które Gregorius rzucił na jego drżące dłonie.

– *A dignidade* – powiedział.

– Godność – stwierdził Gregorius. – Nie mam pojęcia, co to właściwie jest. Ale nie sądzę, że to coś, co traci się tylko dlatego, że zawodzi nas ciało.

Eça sknocił otwarcie.

– Gdy prowadzili mnie na tortury, robiłem w spodnie, a oni się z tego śmiali. To było okropne *upokorzenie*, lecz nie miałem poczucia, że straciłem *godność*. Czym *zatem* ona jest?

Gregorius spytał, czy sądzi, że straciłby *godność*, gdyby zaczął mówić.

– Nie powiedziałem ani słowa, ani słowa. Wszystkie możliwe słowa... zamknąłem w sobie. Tak właśnie – *zamknąłem* je i nieodwołalnie zaryglowałem drzwi. Było więc *wykluczone*, żebym mówił, to nie było *dopuszczalne*. Skutek okazał się niezwykły – przestałem doświadczać tortur jako *działania* innych, jako *czynności*. Siedziałem tam jak zwykłe ciało, kupa mięsa, w którą uderza ból jak gradobicie. Przestałem uważać torturujących za sprawców. Nie wiedzieli tego, ale *zdegradowałem* ich, zdegradowałem do obserwatorów ślepych wydarzeń. To pomogło mi uczynić z tortur agonię.

A gdyby rozwiązali mu język narkotykiem?

Eça powiedział, że często się nad tym zastanawiał i śnił o tym. Doszedł do wniosku, że mogliby go w ten sposób *zniszczyć*, ale nie mogliby odebrać mu *godności*. Aby stracić *godność*, trzeba ją najpierw samemu *przegrać*.

– A teraz denerwuje się pan brudnym łóżkiem? – spytał Gregorius i zamknął okno. – Jest zimno, a nic nie czuć, wcale nie czuć.

Eça przetarł dłonią oczy. – Nie zgodzę się na żadne cewniki ani pompy. Tylko po to, żeby wszystko trwało kilka tygodni dłużej.

Gregorius powiedział, że może *godność* polega na tym, że istnieją rzeczy, których nie zrobiłby ani nie dopuściłby się za *żadną* cenę. Nie chodzi koniecznie o granice moralne, dodał. Można *przegrać* swoją *godność* także w inny sposób. Nauczyciel, który z posłuszeństwa odstawia w wodewilu piejącego koguta. Lizusostwo dla kariery. Bezgraniczny oportunizm. Zakłamanie i unikanie konfliktów dla ratowania małżeństwa. Takie rzeczy.

– A żebrak? – spytał Eça. – Czy może być żebrak pełen *godności*?

– Może, jeśli w jego historii był jakiś przymus, coś nie do uniknięcia, na co nie potrafił nic poradzić. I gdy jest temu wiemy. Wiemy samemu sobie –

powiedział Gregorius.

Wierność samemu sobie – to także część godności. W ten sposób można godnie przetrwać publiczne rozszarpanie. Galileusz. Luter. Ale także ktoś, kto jest winny i opiera się pokusie, by temu zaprzeczyć. Coś zatem, do czego niezdolni są politycy. Uczciwość, odwaga bycia uczciwym. Wobec innych i wobec siebie.

Gregorius zamilkł. To, co myślimy, wiemy dopiero, gdy to wymówimy.

– Istnieje wstręt – powiedział Eça – szczególny wstręt, który odczuwamy, gdy mamy przed sobą kogoś, kto nieustannie się okłamuje. Może ten wstręt dotyczy właśnie braku godności. Siedziałem w szkole obok chłopaka, który miał zwyczaj wycierać lepkie ręce o spodnie, i to w taki sposób – nadal to widzę – jakby nie było *prawdą*, że je wyciera. Chętnie zostałby moim przyjacielem. Nie potrafiłem. I to nie z powodu spodni. *W ogóle* taki był.

Dodał, że nawet przy pożegnaniach i przeprosinach pojawia się kwestia godności. Amadeu czasem o tym mówił. Szczególnie zajmowała go różnica między wybaczeniem, które zostawia drugiej osobie godność, a takim, które ją odbiera. *Nie może być przebaczenia, które wymaga poddaństwa* – powiedział. – *A zatem nie jak w Biblii, gdzie musisz się uważać za sługę Boga i Jezusa. Sługę! Tak tam napisano!*

– Bywało, że bladł z wściekłości – powiedział Eça. – I często mówił potem o braku godności, który jest zapisany w nowotestamentowym ujęciu śmierci. *Umrzeć godnie oznacza umrzeć w uznaniu faktu, że to koniec. I przeciwstawić się wszelkiemu kiczowi nieśmiertelności.* W dzień Wniebowstąpienia jego gabinet był otwarty, a on sam pracował jeszcze więcej niż zwykle.

Gregorius wrócił przez Tag do Lizbony. *Gdy zrozumieliśmy, że we wszystkich działaniach i przeżyciach jesteśmy lotnymi piaskami...* Co oznaczało to dla godności?

42 W poniedziałek rano Gregorius wsiadł do pociągu i pojechał do Coimbry, miasta, w którym Prado zadręczał się pytaniem, czy studiowanie medycyny nie było wielkim błędem, bo spełniał w ten sposób wolę ojca i pomijał własne, prawdziwe pragnienia. Pewnego dnia poszedł do najstarszego domu towarowego w mieście i ukradł zupełnie niepotrzebne mu rzeczy. On, który mógł sobie pozwolić na to, by podarować swojemu przyjacielowi Jorge całą wyposażoną aptekę. Gregorius pomyślał o liście Prado do ojca i o pięknej złodziejce, Diamantynie Esmeraldzie Ermelindzie, która w jego wyobraźni miała pomścić skazaną przez sędziego kobietę.

Nim wyjechał, zadzwonił do Marii João i spytał o nazwę ulicy, przy której dawniej mieszkał Prado. Na jej zatroskane pytanie o zawroty głowy odpowiedział wymijająco. Dziś rano nie czuł zawrotów głowy. Ale coś się zmieniło. Miał wrażenie, jakby musiał pokonać cieniuteńką powietrzną poduszkę delikatnego oporu, by zyskać styczność z rzeczami. Tę warstwę powietrza, którą musiał przebić, mógłby potraktować jak ochronną powłokę, gdyby nie palący lęk, że świat po drugiej stronie nieustannie mu się wymyka. Na dworcu w Lizbonie chodził energicznym krokiem tam i z powrotem, by zyskać pewność kamiennego oporu. Pomogło, a gdy zajął miejsce w pustym przedziale pociągu, był już spokojniejszy.

Prado jeździł tą trasą bardzo często. Maria João mówiła przez telefon o jego uwielbieniu dla kolei, które opisywał również João Eça, gdy opowiadał, jak wiedza Prado o pociągach i jego *szaleńczy kolejowy patriotyzm* ratowały życie członkom ruchu oporu. Mówił, że Prado fascynowało szczególnie przedstawianie zwrotnic. Maria João podkreśliła coś innego – jeżdżenie koleją jako koryto wyobraźni, jako ruch, w którym upłynnia się fantazja i podsuwa podróżnemu obrazy z zamkniętych komnat duszy. Rozmowa z nią tego ranka trwała dłużej, niż Gregorius zakładał, nadal istniała między nimi niezwykła, cenna bliskość, która powstała, gdy poprzedniego dnia czytał Biblię. Ponownie przypomniał sobie westchnienie O'Kelly'ego: *Maria, mój Boże, tak, Maria*. Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd otworzyła mu drzwi, a już było dla niego zupełnie jasne, dlaczego myśli, które uważał za najbardziej niebezpieczne, Prado zapisywał właśnie w jej kuchni i nigdzie indziej. O co chodziło? O jej nieulekłość?

O wrażenie, że ma się przed sobą kobietę, która w ciągu życia posiadała umiejętność odcięcia się i niezależność, o jakiej Prado mógł tylko marzyć?

Rozmawiali przez telefon, jakby nadal siedzieli w liceum, on przy biurku senhora Cortesa, ona w fotelu, z nogami przykrytymi kocem.

– To, co dotyczyło podróży, było dziwnie rozdzielone – powiedziała. – Chciał jechać coraz dalej, chciał zagubić się w przestrzeniach, które otwierała mu wyobraźnia. Ledwo jednak opuścił Lizbonę, ogarniała go tęsknota, straszna tęsknota, nie można było na nią patrzeć. „Tak, Lizbona jest piękna, ale...”, mówili ludzie.

Nie rozumieli, że naprawdę nie chodziło o Lizbonę, lecz o niego samego, Amadeu. Jego tęsknota nie była tęsknotą za rzeczami znanymi i kochanymi. Było to coś znacznie głębszego, coś, co dotyczyło jego istoty – pragnienie, by na powrót uciec poza mocne, sprawdzone wewnętrzne zapory, które chroniły go przed niebezpieczną kipiela i zdradzieckimi prądami własnej duszy. Doświadczył, że owe wewnętrzne mury miały największą trwałość, gdy przebywał w Lizbonie, w domu rodziców, w liceum, ale przede wszystkim w niebieskiej przychodni. *Niebieski to kolor mojego bezpieczeństwa*, mówił.

Fakt, że chodziło o ochronę przed sobą samym, tłumaczy, dlaczego jego tęsknota zawsze miała posmak paniki i katastrofy. Gdy go ogarniała, działo się to bardzo szybko, a potem znienacka przerywał podróż i uciekał do domu. Jak często Fátima była rozczarowana, gdy do tego dochodziło!

Maria João zwlekała, nim dodała:

– To dobrze, że nie rozumiała, o co chodziło w jego tęsknocie. Inaczej musiałaby myśleć, że najwyraźniej nie umie sprawić, by pozbył się strachu przed samym sobą.

Gregorius otworzył książkę Prado i po raz kolejny przeczytał zapisek, który jak żaden inny wydawał mu się kluczem do wszystkich pozostałych.

ESTOU A VIVER EM MIM PRÓPRIO COMO NUM COMBOIO A ANDAR. MIESZKAM W SOBIE JAK W JADĄCYM POCIĄGU. *Nie wsiadłem z własnej woli, nie miałem wyboru i nie znam celu podróży. Pewnego dnia w odległej przeszłości obudziłem się w przedziale i poczułem ruch. To było*

ekscytujące, nasłuchiwałem stukotu kół, wystawiałem głowę na wiatr i cieszyłem się prędkością, z jaką rzeczy przesuwały się obok mnie. Pragnę, żeby pociąg nigdy nie przerwał biegu. W żadnym razie nie chcę, żeby zatrzymał się gdzieś na zawsze.

To w Coimbrze, w twardej ławce na sali wykładowej, uświadomiłem sobie, że nie mogę wysiąść. Nie mogę zmienić biegu torów i kierunku. Nie decyduję o prędkości. Nie widzę lokomotywy i nie mogę stwierdzić, kto prowadzi ani czy maszynista wydaje się godny zaufania. Nie wiem, czy właściwie odczytuje sygnały i czy zauważa, gdy jakaś zwrotnica została źle ustawiona. Nie mogę zmienić przedziału. Widzę przechodzących na korytarzu ludzi i myślę: może pozostałe przedziały wyglądają zupełnie inaczej niż mój. Nie mogę jednak pójść i sprawdzić, konduktor, którego nigdy nie widziałem i nigdy nie zobaczę, zaryglował i zapieczętował drzwi. Otwieram okno, wychylam się mocno i widzę, że wszyscy pozostali robią to samo. Pociąg jedzie po łagodnej pętli. Ostatnie wagony są jeszcze w tunelu, a pierwsze już ponownie do niego wjeżdżają. Może pociąg jeździ w kółko, nieustannie, i nikt tego nie zauważa, maszynista też nie? Nie mam pojęcia, jak długi jest pociąg. Widzę wszystkich pasażerów, jak wyciągają szyje, by coś zobaczyć i zrozumieć. Witam się z nimi, ale wiatr rozwiewa moje słowa.

Oświetlenie przedziału zmienia się, choć to nie ja o tym decyduję. Słońce i chmury, zmierzch i świt. Deszcz, śnieg, burza. Światło na suficie jest mętne, jaśnieje, błyszczy, zaczyna migotać, gaśnie, powraca, jest starą lampką, żyrandolem, jaskrawą neonówką, wszystkim naraz. Ogrzewanie zawodzi. Zdarza się, że przy upale grzeje, a zimą nie działa. Gdy naciskam przełącznik, klika, ale nic się nie zmienia. Co dziwne, także płaszc nie zawsze grzeje mnie równie mocno. Na zewnątrz sprawy zdają się toczyć zwykłym rozsądnym biegiem. Może w pozostałych przedziałach też?

W każdym razie w moim jest inaczej, niżbym oczekiwał, zupełnie inaczej. Czy konstruktor był pijakiem? Szaleńcem? Diabolicznym szarlatanem?

W przedziałach leżą rozkłady jazdy. Chcę przeczytać, gdzie się zatrzymamy. Strony są puste. Na dworcach, na których stajemy, brak tabliczek z nazwami miejscowości. Ludzie z zewnątrz rzucają ciekawe spojrzenia na pociąg. Szyby są zamglone z powodu częstej niepogody. Myślę sobie: wypaczają obraz od wewnątrz. Nagle ogarnia mnie potrzeba, by wyprostować sprawy. Okno się zacina. Krzyczę, aż chrypnę. Oburzeni pasażerowie stukają w ściany. Za stacją pojawia się tunel. Zapiera mi dech. Gdy wyjeżdżamy z tunelu, zastanawiam się, czy naprawdę się zatrzymaliśmy.

Co można robić w czasie jazdy? Posprzątać przedział. Przymocować rzeczy, żeby się po nim nie obijały. Potem jednak śnię, że wiatr się wzmaga i opuszcza szybę. Wszystko, co z takim trudem ułożyłem, odlatuje. W ogóle dużo śnię podczas tej niekończącej się jazdy, są to sny o spóźnieniu się na pociąg i błędnych informacjach w rozkładzie jazdy, o dworcach rozplywających się w nicość, gdy na nie wjeżdżam, o dróznikach i zawiadowcach stacji w czerwonych czapkach, którzy nagle stają w pustce. Czasami zasypiam z czystego przesytu. Zasypianie jest niebezpieczne, bardzo rzadko budzę się odświeżony i zadowolony ze zmian. Zasadą jest, że niepokoi mnie to, co po przebudzeniu zastaję zarówno we wnętrzu, jak i na zewnątrz.

Czasami przerażam się i myślę, że w każdej chwili pociąg może się wykoleić. Tak, ta myśl zwykle mnie przeraża. Jednak w rzadkich, rozszarzonych do białości chwilach przesywa mnie niczym szczęśliwy piorun.

Budzę się, a za oknem przesuwa się krajobraz innych ludzi. Czasami w pędzie, tak że ledwo nadążam za ich nastrojami i kipiącymi nonsensami,

potem znowu z dręczącą powolnością, gdy mówią i robią wciąż to samo. Cieszę się, że między nimi a mną jest szyba. W ten sposób poznaję ich pragnienia i plany, lecz oni nie mogą bez przeszkód brać mnie pod lupę. Cieszę się, gdy pociąg nabiera pełnej prędkości i znikają. Pragnienia innych ludzi: co z nimi robimy, kiedy do nas trafiają?

Przyciskam czoło do szyby i koncentruję się z całej siły. Chciałbym raz, jedyny raz, pojąć, co dzieje się na zewnątrz. Naprawdę pojąć. Żeby natychmiast znowu nie uciekło. Nie udaje mi się. Wszystko dzieje się za szybko, nawet gdy pociąg staje na otwartej przestrzeni. Kolejne wrażenie zaciera poprzednie. Pamięć pracuje gorączkowo, dostaję zadyszki, próbując składać ulotne obrazy wydarzeń w iluzję czegoś zrozumiałego. Zawsze się spóźniam, niezależnie od tego, jak szybko światło uwagi goni za wydarzeniami. Zawsze wszystko już minęło. Nigdy nic nie wskóram. Nigdy nie jestem przy tym obecny. Nawet wtedy, gdy nocą odbija się w szybie wewnątrz przedziału.

Uwielbiam tunele. Są symbolem nadziei – kiedyś znowu będzie jasno. Jeśli nie panuje właśnie noc.

Czasami w przedziale zjawiają się goście. Nie wiem, jak to możliwe pomimo zaryglowanych i zabezpieczonych drzwi, ale tak się dzieje. Najczęściej odwiedzający przychodzą o nieodpowiedniej porze. To ludzie z teraźniejszości, a często też z przeszłości. Przychodzą i odchodzą, jak im się podoba, są nietaktowni i przeszkadzają. Muszę z nimi rozmawiać. Wszystko jest przejściowe, niezobowiązujące, ulegające zapomnieniu; właśnie rozmowy w pociągu. Niektórzy goście znikają bez śladu. Inni zostawiają ślady lepkie i cuchnące, wietrzenie nic nie pomaga. Chciałbym wtedy wyrwać całe wyposażenie przedziału i wymienić na nowe.

Podróż jest długa. Są dni, gdy pragnę, by nie miała końca. To rzadkie, cenne dni. Są też inne, gdy cieszę się, bo wiem, że będzie ostatni tunel,

w którym pociąg stanie na zawsze.

Gdy Gregorius wysiadł z pociągu, było późne popołudnie. Wynajął pokój w hotelu po drugiej stronie Mondego, skąd miał widok na stare miasto i wzgórze Alcáçova. Ostatnie promienie słońca oblewały ciepłym złotym światłem majestatyczne, górujące nad dachami budynki uniwersytetu. Tam, na górze, przy jednej ze stromych, wąskich uliczek Prado i O’Kelly mieszkali w *República*, domu studenckim, którego tradycje, podobnie jak pozostałych domów, sięgały średniowiecza.

„Nie chciał mieszkać inaczej niż wszyscy – powiedziała Maria João. – Chociaż hałasy z sąsiednich pokoi nigdy nie doprowadzały go do rozpaczy. Nie był do tego przyzwyczajony. Jednak rodzinny majątek, pochodzący z ziemskich posiadłości dawnych pokoleń, czasami stanowił dla niego ciężkie brzemię. Były dwa słowa, które bardziej niż jakiegokolwiek inne wywoływały rumieńce na jego twarzy: *colónia* i *latifundiário*. Wyglądał wtedy jak człowiek gotowy strzelać.

Gdy go odwiedziłam, był specjalnie ubrany niedbale. Spytałam, dlaczego nie nosi żółtej wstążki jak pozostali studenci medycyny.

«Wiesz przecież, że nie lubię uniformów, już licealna czapka była dla mnie wstrętna», odparł.

Gdy musiałam wracać i staliśmy na dworcu, na peron wszedł jakiś student, który nosił granatową wstążkę wydziału literatury.

Spojrzałam na Amadeu. «Nie chodzi o wstążkę», powiedziałam. «Tylko o żółtą wstążkę. Wolałbyś nosić niebieską».

«Wiesz przecież – odparł – że nie lubię, gdy ktoś potrafi mnie przejrzeć. Przyjeźdź wkrótce znowu. Proszę».

Miał zwyczaj mówić *por favor* – poszłabym na koniec świata, żeby to usłyszeć”.

Uliczkę, przy której niegdyś mieszkał Prado, łatwo było znaleźć. Gregorius obejrzał klatkę schodową akademika i wszedł kilka stopni na górę. W *Coimbrze*, gdy cały świat zdawał się do nas należeć. Tak przedstawił Jorge tamten okres. W tym domu zatem on i Prado spisali, co

może wzmacniać *lealdade*, lojalność. Na liście brakowało miłości. *Pożądanie, upodobanie, bezpieczeństwo*. Doznania, które wcześniej czy później przemijały. Lojalność była jedyną trwałą rzeczą. *Wola, postanowienie, zajęcie stanowiska przez duszę*. Coś, co przypadkowość spotkań i przypadkowość uczuć zmienia w konieczność. *Powiew wieczności, tylko powiew, ale jednak*, powiedział Prado. Gregorius przypomniał sobie twarz O'Kelly'ego. *Mylił się. Obaj się myliliśmy*, powiedział powoli jak pijany.

Gregorius najchętniej poszedłby od razu do *Biblioteca Joanina* i *Sala Grande dos Actos*, miejsc, dla których Prado wciąż powracał na uniwersytet. Było to jednak możliwe tylko w określonych godzinach, a te już minęły.

Nadal otwarta była *Capela de São Miguel*. Gregorius znalazł się w niej sam i oglądał barokowe organy o niezwykłym pięknie. *Chcę słyszeć upajający dźwięk organów, ten zalew nieziemskich tonów. Potrzebuję ich przeciw kłującej śmieszności muzyki marszowej*, stwierdził Prado w swojej mowie. Gregorius przywołał we wspomnieniach okoliczności, kiedy był w kościele. Katechizacja, pogrzeb rodziców. *Ojcze nasz...* Jak matowo, ponuro i pocziwie to brzmiało! Pomyślał, że nie miało nic wspólnego z potężną poezją greckiego i hebrajskiego tekstu. Nic, zupełnie nic!

Gregorius wzdrygnął się. Bezwiednie uderzył pięścią o ławkę i teraz rozejrzał się zawstydzony, ale nadal był sam. Upadł na kolana i zrobił to, co robił Prado: próbował wczuć się w przygarbioną postawę sędziego. *Należałoby to wyrzucić*, mówił Amadeu, gdy z ojcem Bartolomeu mijali konfesjonały. *To takie upokarzające!*

Kiedy Gregorius się wyprostował, kaplica zawirowała z zawrotną szybkością. Przytrzymał się ławki i czekał, aż wrażenie minie. Potem udał się powoli korytarzem, którym przemykali pospiesznie studenci, i wszedł do sali wykładowej. Usiadł w ostatnim rzędzie i początkowo myślał o wykładzie dotyczącym Eurypidesa, kiedy to nie wyraził swojego zdania wobec prowadzącego. Potem wrócił myślami do wykładów, których słuchał

jako student. I wreszcie wyobraził sobie studenta Prado, jak wstaje w sali wykładowej i zadaje krytyczne pytania. Ojciec Bartolomeu powiedział, że uznani, nagradzani profesorowie, autorytety w danej dziedzinie, czuli się przez niego egzaminowani. Ale Prado nie siedział tu jak arogancki, wszechwiedzący chłopak. Żył w czyścucu wątpliwości, dręczony strachem, że może się rozminąć z samym sobą. *To w Coimbrze, na twardej ławce w sali wykładowej, uświadomiłem sobie, że nie mogę wysiąść.*

Był to wykład z prawa, Gregorius nie rozumiał ani słowa, więc wyszedł. Został na terenie uniwersytetu aż do późnego wieczora i wciąż na nowo próbował zrozumieć zagmatwane doznania, które mu towarzyszyły. Dlaczego tu, na najświetniejszej uniwersytecie w Portugalii, naraz przyszło mu do głowy, że może jednak chciałby stanąć w sali wykładowej i podzielić się szeroką wiedzą filologiczną ze studentami? Czy może stracił życiową szansę, szansę na życie, jakie przy swoich umiejętnościach i wiedzy bez trudu mógłby prowadzić? Wcześniej nigdy, ani przez chwilę, nie uważał za błąd, że jako student po kilku semestrach przestał chodzić na wykłady i cały czas poświęcił na niestrudzoną lekturę tekstów. Skąd nagle ta dziwna tęsknota? I czy w ogóle była to tęsknota?

Gdy w małej knajpce podano mu jedzenie, stracił apetyt i zapragnął wyjść na chłodne nocne powietrze. Cieniutka poduszka, która otaczała go wczesnym rankiem, zjawiała się znowu, nieco grubsza i stawiająca o włos silniejszy opór. Stapał po niej mocno jak na dworcu w Lizbonie, i znowu pomogło.

JOÃO DE LOUSADA DE LEDESMA, O MAR TENEBROSO. Zauważył wielki tom, gdy oglądał półki w antykwariacie. Książka na biurku Prado. Jego ostatnia lektura. Gregorius wziął tom do ręki. Wielkie, kaligraficzne litery, miedzioryty wybrzeży, rysunki tuszem przedstawiające żeglarzy. *Cabo Finisterre*, przypomniał sobie słowa Adriany. *Na górze, w Galicji. To była jego idée fixe. Miał zaszczuty, gorączkowy wyraz twarzy, gdy o tym mówił.*

Gregorius usiadł w rogu i kartkował książkę, aż natrafił na wypowiedź muzulmańskiego geografa El Edrisiego z XII wieku: *Z Santiago udaliśmy się do Finisterre, jak nazywają je chłopi, słowo, które oznacza koniec*

świata. Wzrok nie sięga dalej niż niebo i woda, i powiadają, że morze jest tak burzliwe, iż nikt nie może po nim pływać, nie wiadomo więc, co leży po drugiej stronie. Mówili nam, że śmiałkowie pragnący to zbadać zniknęli ze swymi statkami i że żaden z nich nie wrócił.

Jakiś czas trwało, nim myśl Gregoriusa przybrała konkretny kształt. *Dużo później usłyszałem, że pracuje w Salamance, wyklada historię*, powiedział João Eça o Estefanii Espinhosie. Gdy należała do ruchu oporu, pracowała na poczcie. Po ucieczce z Prado została w Hiszpanii. I studiowała historię. Adriana nie widziała związku między podróżą Prado do Hiszpanii i jego nagłym fanatycznym zainteresowaniem Finisterre. A co, jeśli związek istniał? Jeśli pojechał z Estefanią Espinhosą do Finisterre, ponieważ ona już wtedy interesowała się średniowiecznym lękiem przed nieskończonym burzliwym morzem, a zainteresowania te skłoniły ją do podjęcia studiów? I może podczas tej podróży na koniec świata stało się to, co tak wzburzyło Prado i skłoniło go do powrotu?

Ale nie, to zbyt odległe, zbyt przygodowe. Szaleństwem było zakładać, że Estefânia również napisała książkę o budzącym lęk morzu. Naprawdę nie powinien zajmować tym czasu antykwariuszowi.

– Zobaczymy – powiedział antykwariusz. – Ten sam tytuł – to niemal wykluczone. Wbrew akademickim zwyczajom. Spróbujemy po nazwisku.

Estefânia Espinhosą, jak stwierdził komputer, napisała dwie książki, obie dotyczyły początków renesansu.

– Wcale nie tak odległy temat, prawda? – zauważył antykwariusz. – Ale dowiemy się dokładniej, niech pan uważa – i zadzwonił na wydział historii uniwersytetu w Salamance.

Estefânia Espinhosa miała własną stronę i zaraz na początku listy publikacji znajdowały się dwa opracowania o Finisterre, jedno po portugalsku, drugie po hiszpańsku. Antykwariusz uśmiechnął się.

– Nie lubię tego urzędnika, ale czasami...

Zadzwonił do specjalistycznej księgarni i okazało się, że mają jedną z książek.

Zbliżała się pora zamknięcia sklepów. Gregorius biegł z wielkim tomem o Finisterre pod pachą. Czy na okładce znajdował się portret kobiety?

Niemal wyrwał sprzedawczyni książkę i spojrzął.

Estefânia Espinhosa, urodzona w 1948 roku w Lizbonie, dziś profesor wczesnej historii nowożytnej Hiszpanii i Włoch na uniwersytecie w Salamance. Oraz portret, który wszystko tłumaczył.

Gregorius kupił książkę i w drodze do hotelu przystawał co kilka metrów, by spojrzeć na zdjęcie. *Była nie tylko piłką, czerwoną irlandzką piłką na uczelni – powiedziała Maria João. – Była znacznie więcej niż wszystkimi czerwonymi piłkami naraz – musiał czuć, że stanowiła dla niego szansę, żeby być całym. To znaczy jako mężczyzna.* Także słowa João Eça nie mogły być bardziej trafne: *Sądzę, że Estefânia była jego szansą, by wreszcie wyjść z sali sądowej na wolny, gorący plac życia i ten jeden raz żyć tylko podług swoich pragnień, swoich namiętności, i niech diabli wezmą innych.*

Miała zatem dwadzieścia cztery lata, gdy przed niebieskim domem usiadła za kierownicą samochodu i razem z Prado, starszym o dwadzieścia osiem lat mężczyzną, przekroczyła granicę, uciekła od O’Kelly’ego, od niebezpieczeństwa, do nowego życia.

Wracając do hotelu, Gregorius minął klinikę psychiatryczną. Pomyślał o załamaniu nerwowym Prado po kradzieży. Maria João opowiadała, że na oddziale interesował się przede wszystkim tymi pacjentami, którzy ślepo zagłębieni w siebie chodzili w tę i z powrotem i mówili do siebie. Także później zwracał uwagę na podobnych ludzi i dziwił się, jak wielu było takich, którzy na ulicy, w autobusie, na promie wykrzykiwali swą wściekłość wobec niewidzialnych przeciwników.

„Nie byłby sobą, gdyby się do nich nie odzywał i nie wysłuchiwał ich historii. To zdarzało się im po raz pierwszy, gdy więc popełnił błąd i podał swój adres, następnego dnia zwałali się do niego i Adriana musiała ich wyrzucać”.

W hotelu Gregorius przeczytał jeden z niewielu ustępów w książce, których jeszcze nie znał.

O VENENO ARDENTE DO DESGOSTO. PALĄCA TRUCIZNA GNIEWU. Gdy inni ludzie wywołują w nas gniew – z powodu ich zuchwałości, niesprawiedliwości, bezwzględności – sprawują wtedy nad nami władzę, panoszą się i wgryzają w naszą duszę, ponieważ gniew jest jak paląca trucizna, która niszczy wszelkie łagodne, szlachetne i wyważone uczucia i odbiera nam sen. Bezseni zapalamy światło i gniewamy się na gniew, zdomowiony jak próżniaczy szkodnik, który nas wysysa i pozbawia sił. Jesteśmy wściekli nie tylko z powodu doznanych szkód, ale także dlatego, że gniew pochłania nas zupełnie sam, ponieważ kiedy z obolałymi skroniami siedzimy na skraju łóżka, odległy sprawca pozostaje nietknięty niszczącą siłą uczucia, którego ofiarami padliśmy. Na opustoszałej wewnętrznej scenie oblanej jaskrawym światłem niemej wściekłości sami dla siebie odgrywamy dramat z przypominającymi cienie postaciami i słowami, jakie ciskamy na przypominających cienie wrogów w bezradnym gniewie, odczuwanym w głębi duszy jako trzaskający lodowaty ogień. I im większa nasza rozpacz, że jest to tylko gra cieni, a nie prawdziwa konfrontacja, która pozwalałaby zaszkodzić drugiemu człowiekowi i doprowadzić do równowagi cierpienia, tym bardziej dziko tańczą trujące cienie i podążają za nami aż do najciemniejszych katakumb naszych snów. (Pobijemy go własną bronią, myślimy ponuro, i całe noce wykuwamy słowa, które podziałają na przeciwnika jak bomba podpalająca, i wtedy to w nim strzela płomień oburzenia, a my, ułagodzeni radością z cudzego nieszczęścia, z pogodnym spokojem będziemy pić kawę).

Na czym mogłoby polegać właściwe postępowanie z gniewem? Nie chcemy przecież być bezdusznymi istotami, które pozostają całkowicie niewzruszone na to, z czym się stykają, istotami, których osądy ograniczają się do chłodnych, bezkrwistych wyroków i których nic nie oburza, bo nic ich naprawdę nie obchodzi. I dlatego nie możemy poważnie pragnąć, by

w ogóle nie doświadczając gniewu i zamiast tego trwać w obojętności, tożsamej z pustym brakiem uczuć. Gniew przecież także uczy nas czegoś o tym, kim jesteśmy. Chciałbym zatem wiedzieć, na czym może polegać takie wychowanie i wyćwiczenie w gniewie, aby umieć odnieść korzyści z tego doświadczenia, nie ulegając truciznie?

Możemy być pewni, że na łożu śmierci jako część ostatecznego rozrachunku uznamy – i ta część będzie smakować gorzko jak cyjanek – że zbyt wiele, wyraźnie za wiele sił i czasu zmarnowaliśmy na to, by się gniewać i rewanzować się innym ludziom w rozpaczliwym teatrze cieni, o którym wiedzieliśmy tylko my, gdy go bezradnie doświadczaliśmy. Jak możemy poprawić ten bilans? Dlaczego rodzice, nauczyciele i wychowawcy nigdy nam o tym nie mówili? Dlaczego nie poruszyli kwestii o tak przemożnym znaczeniu? Nie dali nam żadnego kompasu, który pomógłby nam uniknąć marnotrawienia naszej duszy na niepotrzebny, wyniszczający gniew?

Gregorius długo leżał i nie mógł zasnąć. Od czasu do czasu wstawał i podchodził do okna. Teraz, po północy, górne miasto z uniwersytetem i dzwonnica wyglądało skromnie, sakralnie, a także nieco groźnie. Wyobrażał sobie mierniczego, który na próżno czeka na to, by uzyskać wstęp do tajemniczej dzielnicy.

Z głową wspartą na górze poduszek Gregorius przeczytał ponownie zdania, w których Prado otworzył się i ujawnił przed samym sobą bardziej niż w innych: *Czasami przerażam się i myślę, że w każdej chwili pociąg może się wykoleić. Tak, ta myśl zwykle mnie przeraża. Jednak w rzadkich, rozszarzonych do białości chwilach przesywa mnie niczym szczęśliwy piorun.*

Gregorius nie wiedział, skąd się wziął ten obraz, nagle jednak ujrzał owego portugalskiego lekarza, którzy marzył o poetyckim myśleniu jak o raj, siedzącego między kolumnami krużganka pośrodku klasztoru

stanowiącego milczący azyl dla wykolejeńców. Wykolejenie lekarza polegało na tym, że rozpalona lawa jego udręczonej duszy z oszałamiającą mocą spaliła i zmyła w nim wszystko, co wiązało się z ujarzmieniem i uciskiem. Zawiódł wszystkie oczekiwania, złamał wszelkie tabu, i na tym polegało jego szczęście. Wreszcie odnalazł spokój przed sędziowskim pochylonym ojcem, łagodną dyktaturą ambitnej matki i dożywotnią, duszącą wdzięcznością siostry.

I znalazł spokój także wobec samego siebie. Tęsknota za domem minęła, nie potrzebował już Lizbony i niebieskiej barwy bezpieczeństwa. Teraz, gdy poddał się całkowicie gwałtownym wewnętrznym prądom i stał się z nimi jednością, nie było już nic, przed czym musiałby stawiać ochronny mur. Niepowstrzymany przez samego siebie mógł odbyć podróż aż na koniec świata. Mógł wreszcie pojechać przez zaśnieżone stopy Syberii do Władywostoku i nie musiał przy każdym stuknięciu kół myśleć, że oddala się od swej niebieskiej Lizbony.

Do klasztorного ogrodu wpadło słoneczne światło, kolumny jaśniały coraz bardziej, aż wreszcie całkiem wyblakły i pozostała tylko lśniąca głębia, w której Gregorius stracił punkt oparcia.

Przestraszył się, chwiejnym krokiem poszedł do łazienki i umył twarz. Potem zadzwonił do Doxiadesa. Grek kazał mu opisać zawroty głowy ze wszystkimi szczegółami. Przez chwilę milczał. Gregorius czuł, jak wzbiera w nim strach.

– To może być wszystko – powiedział w końcu Grek spokojnym lekarskim głosem. – Większość z tych rzeczy jest nieszkodliwa, nic, czego nie dałoby się szybko uregulować. Trzeba jednak zrobić badania. Portugalczycy potrafią to równie dobrze jak my, ale instynkt mówi mi, że powinien pan wrócić do domu. Porozmawiać z lekarzami w rodzimym języku. Strach i obcy język niezbyt do siebie pasują.

Gdy Gregorius wreszcie zasnął, nad uniwersytetem pojawił się pierwszy blask świtu.

43 Przewodniczka powiedziała, że znajduje się tu trzysta tysięcy

tomów. Jej szpilki stukwały na marmurowej posadzce Biblioteka Joanina. Gregorius został z tyłu i rozejrzał się. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widział. Pomieszczenia dekorowane złotem i egzotycznym drewnem, połączone łukami przypominającymi łuki triumfalne, w górze herb João V, który założył bibliotekę na początku XVIII wieku. Barokowe regały z galeriami na smukłych kolumnach. Portret króla. Czerwony dywan dodatkowo potęgujący wrażenie przepychu. Było jak w bajce.

Homer, *Iliada* i *Odyseja*, wiele wydań w kunsztownych oprawach, które czyniły z tekstów świętość. Gregorius powiódł wzrokiem dalej.

Po chwili poczuł, że jego spojrzenie przesuwa się po półkach dość nieuważnie. W myślach pozostał przy Homerze. Myśli te musiały powodować kołatanie serca, ale nie mógł stwierdzić, czego dotyczyły. Skierował się do rogu sali, zdjął okulary i zamknął oczy. Z sąsiedniego pomieszczenia dochodził ostry głos przewodniczki. Gregorius przycisnął dłonie do uszu i skoncentrował się na głuchej ciszy wewnątrz. Mijały sekundy, czuł pulsowanie krwi.

Tak. Tym, czego bezwiednie szukał, było słowo, które u Homera występuje tylko raz. Miał wrażenie, jakby coś za plecami, ukryte w kulisach pamięci, chciało sprawdzić, czy pamięć Gregoriusa nadal jest niezawodna jak zawsze. Jego oddech przyspieszył. Słowo się nie pojawiało. *Nie pojawiało się.*

Kolejna przewodniczka poprowadziła grupę przez salę, ludzie rozmawiali. Gregorius przecisnął się między nimi do najdalszej części pomieszczenia. Usłyszał, jak zamykają się drzwi wejściowe do biblioteki i szczeka w nich klucz.

Z sercem bijącym jak młot pobiegł do półki i zdjął *Odyseję*. Stara, zeszytniała skóra wrzynała mu się ostrymi krawędziami w dłoń. Kartkował tom gorączkowo, wzbijając kurz. Słowa nie było tam, gdzie sądził. *Nie było go tam.*

Próbował oddychać spokojnie. Czuł przybliżające się i oddalające zawroty głowy, jakby przepływało przez niego stado mglistych chmur.

Metodycznie przebiegł w myślach cały epos. Żadne inne miejsce nie wchodziło w grę. Ćwiczenie myślowe sprawiło jednak, że oto skruszyła się także pozorna pewność, z którą rozpoczął poszukiwania. Ziemia zaczęła się chwiać, i tym razem nie z powodu zawrotów głowy. Czyżby pomyłka była jeszcze większa, i chodziło o *Iliadę*? Zdjął ją z półki i kartkował bezmyślnie. Ruchy dłoni stały się puste i mechaniczne, cel poszukiwań odchodził w zapomnienie, z każdą chwilą coraz bardziej, Gregorius czuł, że otacza go powietrzna poduszka, starał się zmiażdżyć ją krokami, zamachał ramionami, książka wypadła mu z dłoni, kolana ugięły się i w łagodnym, bezsilnym ruchu opadł na ziemię.

Gdy odzyskał przytomność, z trudem odszukał okulary, które leżały w zasięgu ręki. Spojrzał na zegarek. Nie mógł upłynąć więcej niż kwadrans. Usiadł i oparł się plecami o ścianę. Mijały minuty, gdy tylko oddychał, zadowolony, że się nie zranił i że okulary są całe.

A potem, całkiem nagle, wybuchła w nim panika. Czy takie zapomnienie było początkiem czegoś poważnego? Pierwszą maleńką wyspą zapomnienia? Czy będzie rosła i czy będą do niej dołączać się inne? *Jesteśmy hałdami gruzu zapomnienia*, napisał Prado. A gdyby nagle przetoczyła się przez niego lawina gruzu i porwała ze sobą wszystkie cenne słowa? Objął głowę swoimi dużymi rękoma i przycisnął, jakby w ten sposób mógł zapobiec znikaniu dalszych słów. Przedmiot po przedmiocie przeskakał pole widzenia i nazywał każdą rzecz, najpierw w rodzimym dialekcie, potem w urzędowym niemieckim, po francusku, angielsku i wreszcie po portugalsku. Żadnego słowa nie brakowało, powoli więc się uspokoił.

Gdy drzwi otworzyły się przed następną grupą, czekał w rogu, na chwilę wmieszał się w tłum, a potem wyszedł. Nad Coimbrą górowało głębokoniebieskie niebo. W kawiarni wypił małymi, powolnymi łykami herbatę rumiankową. Żołądek się rozluźnił i Gregorius mógł coś zjeść.

W ciepłym marcowym słońcu wylegiwali się studenci. Jakiś mężczyzna i kobieta, objęci, wybuchnęli nagle głośnym śmiechem, wyrzucili papierosy, wstali płynnym sprężystym ruchem i zaczęli tańczyć, tak lekko i swobodnie, jakby nie istniała siła ciężenia. Gregorius poczuł ssanie

wspomnień i poddał mu się. I nagle pojawiła się scena, o której nie myślał od lat.

Bez błędnie, ale trochę ciężkawo, powiedział profesor łaciny na sali wykładowej, gdy Gregorius przetłumaczył *Metamorfozy* Owidiusza. Grudniowe popołudnie, elektryczne światło, uśmieшки dziewcząt. *Trochę więcej tańca!*, dodał mężczyzna z muchą i czerwoną apaszką przewiazaną na blezerze. Gregorius poczuł cały ciężar swego ciała w ławce. Ławka trzeszczała, gdy się poruszał. Przez resztę zajęć, gdy odpowiadali pozostali studenci, siedział w głuchym ośpieniu. Ośpienie to trwało nadal, kiedy szedł między bożonarodzeniowo udekorowanymi drzewami.

Po przerwie świątecznej nie wrócił na te zajęcia. Unikał mężczyzny w czerwonej apasce i schodził z drogi także innym profesorom. Od tamtego czasu studiował tylko w domu.

Zapłacił i wrócił do hotelu przez Mondego, którą zwali *O Rio dos Poetas*. *Uważasz mnie za nudziarza? Co? Ależ Mundus, nie możesz mnie pytać o takie rzeczy!* Dlaczego to wszystko nadal tak bolało, nawet teraz? Dlaczego w ciągu dwudziestu, trzydziestu lat nie udało mu się z tego *otrząsnąć*?

Gdy dwie godziny później obudził się w hotelowym pokoju, właśnie zachodziło słońce. Natalie Rubin, stukając szpilem, szła przez marmurowe korytarze uniwersytetu w Bernie. Stojąc w pustej sali, Gregorius wygłaszał wykład o słowach, które w greckiej literaturze występowały tylko raz. Chciał je zapisać, ale tablica była tak pokryta mydłem, że kreda się z niej ześlizgiwała, a gdy próbował je wymówić, zawodziła go pamięć. W niespokojnym śnie zjawiała się także Estefânia Espinhosa, postać o lśniących oczach i oliwkowej cerze, początkowo bezgłówna, potem wykładająca pod ogromną złoconą kopułą kwestie, które nie istniały. Przerwał jej Doxiades. *Niech pan wraca do domu*, powiedział, *zbadamy pana na placu Bubenberga*.

Gregorius usiadł na skraju łóżka. Homeryckie słowo nadal się nie pojawiało. I ponownie zaczęła go dręczyć niepewność co do miejsca,

w którym się znajdowało. Nie miało sensu brać do ręki *Iliady*. Było w *Odysei*. Było tam. Wiedział to. Ale gdzie?

W recepcji poinformowali go, że najbliższy pociąg do Lizbony odjeżdża dopiero nazajutrz rano. Gregorius sięgnął po dużą księgę o ciemnym morzu i czytał dalej, co napisał El Edrisí, muzułmański geograf: *Mówią nam, że nikt nie wie, co znajduje się w owym morzu i że nie można go zbadać ze względu na zbyt wiele przeszkód, które uniemożliwiają podróż statkiem – głęboka ciemność, wysokie fale, częste burze, niezliczone potwory zamieszkujące w wodach i potężne wiatry*. Gregorius chętnie skopiowałby oba opracowania Estefanii Espinhosy o Finisterre, ale nie udało mu się porozumieć z personelem biblioteki, bo zabrakło mu słów.

Siedział jeszcze przez chwilę. *Trzeba zrobić badania*, powiedział Doxiades. Usłyszał też głos Marii João: *Nie powinien pan tego lekceważyć*.

Wziął prysznic, spakował się i kazał zdumionej recepcjonistce wezwać taksówkę. Wypożyczalnia samochodów przy dworcu była jeszcze czynna. Mężczyzna powiedział, że muszą naliczyć opłatę także za ten dzień. Gregorius skinął głową, podpisał umowę na dwie kolejne doby i poszedł na parking.

Prawo jazdy zrobił jako student za pieniądze zarobione na udzielaniu lekcji. Było to trzydzieści cztery lata temu. Od tamtej pory nie prowadził samochodu, położył prawo jazdy z młodzieńczą fotografią i wydrukowaną tłustym drukiem uwagą, by nosił okulary i nie prowadził nocą, leżało w teczce obok dokumentów podróży. Mężczyzna w wypożyczalni zmarszczył czoło, jego spojrzenie krążyło od zdjęcia ku twarzy Gregoriusa, tam i z powrotem, ale nic nie powiedział.

Gregorius czekał za kierownicą dużego samochodu, aż oddech się uspokoi. Powoli wypróbował wszystkie guziki i przełączniki. Zimnymi dłońmi przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił wsteczny bieg, puścił sprzęgło i zgasił silnik. Przestraszony silnym szarpnięciem, zamknął oczy i ponownie odczekał, aż oddech się uspokoi. Za drugim razem samochód podskoczył, ale ruszył, i Gregorius wyjechał tyłem z miejsca

parkingowego. Do wyjazdu z parkingu dotoczył się w ślimaczym tempie. Na światłach silnik znowu zgasł. Potem było coraz lepiej.

Autostradę do Viana do Castelo pokonał w dwie godziny. Siedział spokojnie za kierownicą i trzymał się prawego pasa. Zaczął czerpać przyjemność z jazdy. Udało mu się oddalić kwestię homeryckiego słowa tak bardzo, że niemal można to było nazwać zapomnieniem. Zuchwale naciskał pedał gazu i trzymał kierownicę wyciągniętą ręką.

Z przeciwległego pasa nadjechał samochód z zapalonymi światłami. Świat zaczął wirować, Gregorius zdjął nogę z gazu, zjechał na prawo na pobocze, skosił trawnik i zatrzymał się centymetry od barierki ochronnej. Przelatywały przez niego rozpedzone świetlne kule. Potem, na najbliższym parkingu, wysiadł z samochodu i oddychał ostrożnie chłodnym nocnym powietrzem. *Powinien pan wrócić do domu. Porozmawiać z lekarzami w ojczystym języku.*

Godzinę później, za Valença do Minho, dotarł do granicy. Dwaj wartownicy z Guardia Civil uzbrojeni w pistolety maszynowe skinęli, żeby jechał. Z Tui skierował się na autostradę przez Vigo, Pontevedrę i dalej w kierunku Santiago. Na krótko przed północą zrobił postój i posilając się, przestudiował mapę. Nie było innego wyjścia: jeśli nie chciał znacznie nadkładać drogi i jechać przez cypel Santa Eugenia, musiał w Padrón skręcić na górską drogę do Noia, reszta była jasna, cały czas wzdłuż wybrzeża aż do Finisterre. Nigdy jeszcze nie jechał górską drogą, i w jego umyśle pojawiły się obrazy szwajcarskich przełęczy, gdzie kierowca samochodu pocztowego nieustannie kręcił kierownicą to w lewo, to w prawo.

Ludzie wokół niego mówili galisyjskim dialektem. Nic nie rozumiał. Był zmęczony. Zapomniał słowa. On, Mundus, zapomniał słowa z Homera. Pod stołem przyciskał stopy do ziemi, by zdusić powietrzną poduszkę. Bał się. *Strach i obcy język niezbyt do siebie pasują.*

Okazało się to łatwiejsze, niż sądził. Na stromych zakrętach z ograniczoną widocznością jechał w ślimaczym tempie, ale w nocy nadjeżdżające z naprzeciwka samochody widać było dzięki światłom lepiej niż za dnia. Samochodów pojawiało się coraz mniej, minęła godzina druga. Gdy myślał o tym, że w przypadku zawrotów głowy na tej wąskiej drodze

nie będzie mógł się zatrzymać, ogarniała go panika. Potem jednak, kiedy minął tablicę informacyjną przed Noia, stał się nadmiernie pewny siebie i ścinał zakręty. *Nieco ciężkawo. Ależ Mundus, nie możesz mnie pytać o coś takiego!* Dlaczego Florence po prostu nie skłamała? *Ty, nudziarzem?* Wcale nie!

Czy w ogóle można otrząsnąć się z tak bolesnych spraw? *Sięgamy daleko w przeszłość* – napisał Prado. – *Staje się to przez nasze uczucia, te najgłębsze, czyli te, które decydują o tym, kim jesteśmy i jak to jest być nami. Owe uczucia bowiem nie znają czasu, nie znają go i nie uznają.*

Z Noia do Finisterre było sto pięćdziesiąt kilometrów równej drogi. Nie widział morza, ale wyczuwał je. Dochodziła czwarta. Gregorius zatrzymywał się od czasu do czasu. Za każdym razem mówił sobie, że to nie zawroty głowy, po prostu ze zmęczenia mózg wydawał się pływać w czaszce. Po wielu ciemnych stacjach benzynowych znalazł wreszcie taką, która była czynna. Zapytał zaspanego obsługującego, jakie jest Finisterre. – *Pues, el fin del mundo!* – roześmiał się tamten.

Gdy zajechał do Finisterre, przez zachmurzone niebo zaczął się przedzierać świt. Gregorius wypił kawę w pustym barze. Całkiem rozbudzony stąpał mocno po kamiennej posadzce. Słowo wróci, pojawi się wtedy, gdy będzie tego najmniej oczekiwał, taka już jest pamięć, przecież wiadomo. Cieszył się, że odbył szaloną podróż i że się tu znalazł. Przyjął papierosa, którym poczęstował go właściciel baru. Po dwukrotnym zaciągnięciu się dymem ogarnęły go lekkie zawroty głowy. – *Vértigo* – zwrócił się do gospodarza. – Jestem ekspertem od zawrotów głowy, istnieje wiele ich rodzajów i znam je wszystkie. – Gospodarz nie zrozumiał i energicznie czyścił ladę.

Kilka kilometrów do przylądka Gregorius przejechał przy otwartym oknie. Słone morskie powietrze było cudowne, i jechał powoli, jak ktoś, kto cieszy się oczekiwaniem. Ulica kończyła się w porcie, w którym widać było łodzie rybackie. Rybacy niedawno wrócili i palili na nabrzeżu papierosy. Później Gregorius nie pamiętał już, jak do tego doszło, ale naraz stał razem z rybakami i palił ich papierosy, jakby znalazł się przy stoliku dla stałych gości ustawionym pod gołym niebem.

Spytał ich, czy są zadowoleni z życia. Mundus, berneński filolog klasyczny, pytał galisyjskich rybaków na końcu świata o podejście do życia. Gregorius cieszył się z tego, cieszył się niezmiernie, radość z absurdalnej sytuacji mieszała się ze zmęczeniem, euforią i nieznanym poczuciem wyzwajającego odgraniczenia.

Rybacy nie zrozumieli pytania i Gregorius musiał powtórzyć je dwukrotnie w kiepskim hiszpańskim. – ¿*Contento?* – wykrzyknął w końcu jeden z nich. – *Nie znamy nic innego!* – Roześmieli się i śmieli się nadal, aż powstał z tego gromki śmiech, do którego Gregorius przyłączył się z taką mocą, że łzy pociekły mu z oczu.

Położył jednemu z mężczyzn dłoń na ramieniu i obrócił go w stronę morza.

– ¡*Siempre derecho, más y más – nada!* – krzyknął w podmuchu wiatru.

– ¡*América!* – zawołał mężczyzna. – ¡*América!*

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął zdjęcie dziewczyny w niebieskich džinsach, kowbojskich butach i kapeluszu.

– ¡*Mi hija!* – Moja córka! Gestykulował w stronę morza.

Pozostali wyrwali mu zdjęcie z dłoni.

– ¡*Qué guapa es!* – Jaka ładna! – wykrzykiwali jedni przez drugich.

Gregorius śmiał się, gestykulował i śmiał się, pozostali klepali go po ramionach, z prawej, z lewej, z prawej, to były mocne uderzenia, chwiały się, rybacy zaczęli się obracać, morze się obracało, świst wiatru przeszedł w szum w uszach i nabrzmiwał, by nagle zniknąć w ciszy, która połknęła wszystko.

Gdy się obudził, leżał na ławce w łodzi, a nad nim pochylały się przestraszone twarze. Usiadł. Głowa bolała. Odmówił wypicia wódki. Już dobrze, powiedział, i dodał: – ¡*El fin del mundo!* Roześmieli się z ulgą. Uściskał kościste, popękane dłonie, powoli wydostał się z łodzi i usiadł za kierownicą. Cieszył się, że silnik zapalił od razu. Rybacy spoglądali za nim, trzymając ręce w kieszeniach sztormiaków.

Wynajął pokój w pensjonacie i spał do popołudnia. Tymczasem przejaśniło się i zrobiło cieplej. Mimo to marzył, gdy wieczorem pojechał na

przylądek. Usiadł na skale i patrzył, jak blask światła na zachodzie słabnie coraz bardziej, by w końcu całkiem zgasnąć. *O mar tenebroso*. Czarne fale huczały, jasna piana z groźnym szumem sunęła po plaży. Słowo nie przychodziło. *Nie przychodziło*.

Czy słowo w ogóle *istniało*? Czy drobna rysa powstała nie w jego pamięci, lecz w umyśle? Jak to możliwe, że człowiek niemal tracił rozum, ponieważ wypadło mu z głowy słowo, jedno słowo, które występowało tylko raz? Mógłby się zadreć, gdyby siedział w sali wykładowej, na egzaminie, pod nadzorem. Ale wobec huczącego morza? Czy czarne wody, które tam w dali gładko przechodziły w nocne niebo, nie powinny po prostu zmywać takich trosk jako czegoś zupełnie bez znaczenia, śmiesznego, o co mógł się martwić tylko ktoś, kto stracił wszelkie poczucie proporcji?

Tęsknił za domem. Zamknął oczy. Za kwadrans ósma schodził z Bundesterrasse i wkraczał na most Kirchenfeld. Przez Spitalgasse, Marktgasse i Kramgasse udawał się na dół do Bärengraben. W katedrze słuchał bożonarodzeniowego oratorium. Wysiadł z pociągu w Bernie i wszedł do swojego mieszkania. Zdjął z adapteru płytę z kursem języka portugalskiego i włożył ją do schowka na szczotki. Położył się do łóżka i z zadowoleniem stwierdził, że wszystko jest jak dawniej.

Było mało prawdopodobne, że Prado i Estefânia Espinhosa tu przyjechali. Więcej niż mało prawdopodobne. Nic za tym nie przemawiało, zupełnie nic.

Przemarznięty i w wilgotnej marynarce poszedł do samochodu. Auto wyglądało w ciemności jak olbrzym. Potwór, którym nikt nie zdołałby bezpiecznie dojechać z powrotem do Coimbry, a już na pewno nie on.

Później próbował zjeść coś w pobliżu pensjonatu, ale nie mógł. Wziął z recepcji kilka arkuszy papieru, a potem usiadł przy malutkim stoliku w swoim pokoju i przetłumaczył to, co napisał muzułmański geograf, na łacinę, grekę i hebrajski. Miał nadzieję, że pisanie greckich liter sprowadzi utracone słowo. Nic jednak się nie stało, pomieszczenie pamięci pozostało nieme i puste.

Nie, nie było tak, że dzięki szumiącej dali morza zapamiętywanie i zapominanie słów traciło znaczenie. Ani zapamiętywanie czy zapominanie słówek. Nie było tak, wcale nie. Jedno słowo spośród wszystkich słów,

jedyne słówko spośród słówek – stały się nietykalne, całkowicie nietykalne dla masy ślepych, pozbawionych słów wód, i byłoby tak nadal, nawet gdyby naraz cały wszechświat zmienił się w świat wiecznych potopów, w którym woda nieustannie spływa z niebios. Gdyby we wszechświecie istniało tylko jedno słowo, jedyne słowo, nie byłoby to wtedy słowo, ale gdyby jednak, to byłoby potężniejsze i bardziej promieniste niż wszelkie powodzie za wszelkimi horyzontami.

Powoli Gregorius się uspokoił. Zanim poszedł spać, popatrzył przez okno na zaparkowany samochód. Jutro, za dnia, da radę.

Dał. Wyczerpany i przestraszony po niespokojnym śnie przejechał całą drogę małymi etapami. W czasie postojów regularnie nawiedzały go senne wizje z nocy. Był w Isfahanie, który leżał nad morzem. Miasto z minaretami i kopułami, ze lśniąca ultramaryną i błyskającym złotem, unosiło się na tle jasnego horyzontu i dlatego Gregorius przeraził się, gdy spojrzał na morze i ujrzał, że czarne i wzburzone huczy u bram pustynnego miasta. Gorący, suchy wiatr uderzał go w twarz wilgotnym, ciężkim powietrzem. Po raz pierwszy śnił o Prado. Złotnik słów nic nie robił, był tylko obecny na szerokiej arenie snu, milczący i dostojny, a Gregorius, z uchem przy olbrzymim magnetofonie Adriany, słuchał brzmienia jego głosu.

W Viana do Castelo, tuż przed autostradą do Porto i Coimbrzy, Gregorius poczuł, że ma na końcu języka utracone słowo z *Odysei*. Bezwiednie zamknął oczy i z całej siły starał się nie dopuścić, by słowo ponownie zapadło w niepamięć. Wzdrygnął się na dziki dźwięk klaksonu. W ostatniej sekundzie zdołał zawrócić samochód, który wpadł na przeciwległy pas, i zapobiec czołowemu zderzeniu. W najbliższej zatoczce zatrzymał się i czekał, aż ustąpi bolesne pulsowanie krwi w mózgu. Potem powoli pojechał za jakąś ciężarówką do Porto. Kobieta w wypożyczalni samochodów nie była zachwycona, że Gregorius chce oddać auto tu, a nie w Coimbrze, ale po dłuższym spojrzeniu na jego twarz wreszcie ustąpiła.

Gdy pociąg ruszył wreszcie w kierunku Coimbrzy i Lizbony, Gregorius wyczerpany oparł głowę na zagłówku. Pomyślał o czekających go pożegnaniach. *Bo to jest sens pożegnania w pełnym, ważnym sensie tego słowa – że dwoje ludzi, zanim się rozejdą, porozumiewa się co do tego, jak*

się widzieli i przeżywali – napisał Prado w liście do matki. – *Żegnamy się także sami ze sobą – jesteśmy sobie wierni pod spojrzeniami innych.* Pociąg przyspieszył. Przerazenie Gregoriusa z powodu wypadku, którego o mały włos nie spowodował, zaczęło ustępować. Aż do Lizbony nie chciał już myśleć o niczym.

Dokładnie w chwili, w której, przy wsparciu monotonnego stukania kół, udało mu się oderwać od wszelkich spraw, nagle pojawiło się utracone słowo: λίστρον – skrobak do czyszczenia podłogi sali. Przypomniał sobie również, gdzie się znajdowało: w *Odysei*, pod koniec pieśni XXII.

Drzwi przedziału otworzyły się i wszedł młody mężczyzna, który zaczął czytać bulwarową gazetę z ogromnymi literami. Gregorius wstał, wziął swój bagaż i poszedł na koniec pociągu, gdzie znalazł pusty przedział. Λίστρον, powtarzał, λίστρον.

Gdy pociąg zatrzymał się na dworcu w Coimbrze, pomyślał o uniwersyteckim wzgórzu i geometrze, który w jego wyobraźni szedł przez most z antycznym lekarskim kuferkiem w dłoni, szczupły, pochylony mężczyzna w szarym roboczym fartuchu, rozmyślający o tym, jak nakłonić ludzi z zamkowego wzgórza, by go wpuścili.

Gdy wieczorem Silveira wrócił z firmy do domu, Gregorius wyszedł mu na spotkanie w holu. Silveira zachwiał się i zacisnął powieki.

– Jedziesz do domu.

Gregorius pokiwał głową.

– Opowiadaj!

44 – Gdyby dał mi pan czas, zrobiłabym z pana prawdziwego Portugalczyka – powiedziała Cecília. – Niech pan o tym pomyśli, gdy znowu znajdzie się pan w swoim zachrypłym, gardłowym kraju: *doce, suave*, i przeskakujemy nad samogłoskami.

Nasunęła na usta zieloną apaszkę, która wydymała się przy kolejnych słowach. Cecília uśmiechnęła się, widząc jego spojrzenie.

– Podoba się panu to, co robię z apaszką, prawda? – I dmuchnęła bardzo mocno.

Podawała mu dłoń. – Ta pańska niewiarygodna pamięć. Już z tego powodu pana nie zapomnę.

Gregorius trzymał jej dłoń tak długo, jak mógł. Zawahał się. W końcu zaryzykował.

– Czy jest powód, dla którego...

– Chodzi panu o to, dlaczego zawsze ubieram się na zielono? Tak, jest powód. Pozna go pan, kiedy pan wróci.

Quando voltares. Kiedy pan wróci. Powiedziała *quando*, nie *se*. W drodze do Vitora Coutinha Gregorius wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby w poniedziałek rano zjawił się w szkole językowej. Jak wyglądałaby jej twarz. Jak poruszałyby się jej usta, gdy zdradzałaby mu powód wiecznej zieleni.

– *Que quer?* – zawołał godzinę później szczekliwy głos Coutinha.

Zabrzączał domofon, staruszek zszedł po schodach z fajką w zębach. Przez chwilę musiał szukać w pamięci.

– *Ah, c'est vous* – powiedział wreszcie.

Dziś także pachniało starym jedzeniem, kurzem i tytoniem, a Coutinho znowu miał na sobie spraną koszulę o nieokreślonym kolorze.

Prado. *O consultório azul.* Czy Gregorius go znalazł?

Nie mam pojęcia, dlaczego chcę ci to dać, ale tak zrobię, powiedział staruszek, kiedy podarował mu Nowy Testament. Gregorius przyniósł go ze sobą, ale zostawił w kieszeni. Nie wspomniał nawet o tym, właściwe słowa nie chciały nadejść. *Intymność jest ulotna i złudna jak miraż,* napisał Prado.

Gregorius powiedział, że się spieszy, i podał staruszkowi dłoń.

– Jeszcze jedno – zawołał Coutinho przez podwórze. – Czy teraz, gdy pan wróci, zadzwoni pan pod ten numer? Numer na czole?

Gregorius wykonał gest oznaczający niepewność i pomachał.

Pojechał do Baixy, dolnego miasta, i spacerował po szachownicy ulic. Zjadł coś w kawiarni naprzeciw apteki O’Kelly’ego i obserwował, jak postać palącego aptekarza pojawia się za szybą w drzwiach. Czy chciał z nim jeszcze raz porozmawiać? Czy tego *chciał*?

Od samego rana czuł, że żegna się w niewłaściwy sposób. Że czegoś brakuje. Teraz zrozumiał. Poszedł do sklepu fotograficznego i kupił aparat z teleobiektywem. Wrócił do kawiarni i fotografował zbliżenie fragmentu drzwi, w którym od czasu do czasu ukazywał się O’Kelly. Zużył całą kliszę, ponieważ najczęściej za późno naciskał guzik.

Później pojechał raz jeszcze do domu Coutinha przy Cemitério dos Prazeres i sfotografował zniszczony, porośnięty bluszczem budynek. Zrobił zbliżenie na okna, staruszek jednak się nie pojawił. W końcu Gregorius się poddał i poszedł na cmentarz, gdzie wykonał zdjęcia grobu rodziny Prado. W pobliżu cmentarza dokupił kliszę, po czym pojechał starym tramwajem do Mariany Eçy.

Czerwonozłota herbata Assam z kandyzowanym cukrem. Duże, ciemne oczy. Rudawe włosy. Tak, przyznała, że lepiej będzie, jeśli Gregorius porozmawia z lekarzami w ojczystym języku. Nie powiedział jej nic o zasłabnięciu w bibliotece w Coimbrze. Rozmawiali o João.

– W jego pokoju jest nieco ciasno – stwierdził Gregorius.

Po twarzy Mariany przemknął gniew, lecz szybko się opanowała.

– Proponowałam mu inne zakłady, wygodniejsze. Ale tak chciał. Ma być *surowo*, powiedział. *Po tym wszystkim, co było, musi być surowo.*

Gregorius pożegnał się, nim w dzbanku zabrakło herbaty. Żałował, że wspomniął o pokoju Eçy. Bezsensowne było udawać, że po czterech popołudniach stał mu się bliższy niż ona, którą Eça znał już jako małą dziewczynkę. Jakby lepiej go rozumiał. To było bezsensowne. Nawet jeśli prawdziwe.

Gdy po południu wypoczywał w domu Silveiry, włożył stare, ciężkie okulary. Oczy nie chciały do nich wrócić.

Kiedy stanął pod domem Mélodie, było zbyt ciemno na fotografowanie. Mimo to zrobił kilka zdjęć, błyskając fleszem. Dziś nie widział jej za oświetlonymi oknami. *Dziewczyna, która zdawała się nie dotykać ziemi.*

Sędzia wysiadł z samochodu, zatrzymał laską samochodu, utorował sobie drogę wśród słuchaczy i nie patrząc na córkę w pilotce na głowie, rzucił do otwartego futerału skrzypiec garść monet. Gregorius spojrział na cedry, które Adrianie, tuż przed tym, kiedy brat wbił jej nóż w gardło, wydały się krwistoczerwone.

Dostrzegł za oknem mężczyznę. To rozstrzygnęło kwestię, czy powinien zadzwonić. W barze, w którym już raz był, wypił kawę i jak wtedy zapalił papierosa. Potem poszedł na zamkowy taras i zapisał w pamięci nocną Lizbonę.

O’Kelly właśnie zamykał sklep. Gdy kilka minut później wyszedł na ulicę, Gregorius podążył za nim w tak dużej odległości, że tym razem aptekarz nie mógł go odkryć. Skręcił w uliczkę, przy której znajdował się klub szachowy. Gregorius wrócił, by zrobić zdjęcia oświetlonej apteki.

45 W sobotę rano pojechał z Filipe do liceum. Spakowali przybory kempingowe, Gregorius zdjął ze ścian zdjęcia Isfahanu. Potem odesłał kierowcę.

Był słoneczny ciepły dzień, za tydzień zacznie się kwiecień. Gregorius usiadł na mchu na schodach przed wejściem. *Siedziałem wtedy na ciepłym mchu schodów wejściowych i rozmyślałem o władczym życzeniu mego ojca, bym został lekarzem – a zatem kimś, kto potrafi uwolnić podobnych mu ludzi od bólu. Kochałem go za jego zaufanie i przeklinałem z powodu przytłaczającego brzemienia, które nałożył na mnie tym dotkliwym życzeniem.*

Naraz Gregorius zaczął płakać. Zdjął okulary, ukrył głowę między kolanami i pozwolił łzom kapać na mech. *Em vão, na próżno*, brzmiał jeden z ulubionych zwrotów Prado, jak powiedziała Maria João. Gregorius wymówił te słowa i powtarzał je powoli, potem coraz szybciej, aż zlały się ze sobą i ze łzami.

Później wszedł na górę do klasy Prado i sfotografował widok na szkołę dziewcząt. Ze szkoły dziewcząt utrwalił analogiczny widok: okno, w którym Maria João widziała odbicie promieni słońca załamujących się w operowej lornetce Prado.

Gdy w południe usiadł w kuchni Marii João, opowiedział jej o zdjęciach. A potem nagle wyrzucił to z siebie, mówił o zasłabnięciu w Coimbrze, o zapomnianym homeryckim słowie i o panicznym strachu przed badaniem neurologicznym.

Siedząc razem przy stole kuchennym, przeczytali, co napisano w leksykonie Marii João o zawrotach głowy. Powody mogły być zupełnie nieszkodliwe, Maria João wskazała mu odpowiednie zdania, przesuwając wzdłuż nich palcem, przetłumaczyła i powtórzyła ważne słowa.

Tumor. Gregorius w milczeniu wskazał ten wyraz. Tak, oczywiście, stwierdziła Maria João, ale musiałyby przeczytać, co jeszcze piszą na ten temat, przede wszystkim, że w tym przypadku zawroty głowy nie występują bez innych, poważniejszych objawów, jakich u niego nie ma.

Na pożegnanie powiedziała, że cieszy się, że zabrał ją w podróż w przeszłość. W ten sposób mogła odczuć dziwne połączenie bliskości i dystansu, które jest w niej, gdy chodzi o Amadeu. Potem podeszła do szafy i wyciągnęła wielkie pudełko z intarsjowanym wieczkiem. Podała Gregoriusowi zapieczętowaną kopertę z zapiskami Prado o Fatimie.

– Jak już mówiłam, nie przeczytam tego – powiedziała. I myślę, że u pana będzie bezpieczne. Może w końcu to pan poznał go najlepiej z nas wszystkich. Jestem wdzięczna za sposób, w jaki pan o nim mówi.

Gdy Gregorius siedział później na promie płynącym przez Tag, miał przed oczami Marię João machającą mu na pożegnanie, aż zniknęła jej z oczu. Była tą, którą poznał jako ostatnią, i tą, której najbardziej będzie mu brakować. Poprosiła, żeby napisał, jak wypadły badania.

46 Gdy Gregorius stanął w drzwiach, João Eça zamknął oczy, a jego rysy stwardniały jak u kogoś, kto przygotowuje się na silny cios.

– Jest sobota – powiedział.

Usiedli na zwykłych miejscach. Brakowało szachownicy, stół wyglądał nago.

Gregorius opowiedział o zawrotach głowy, o lęku, o rybakach na końcu świata.

– A zatem już pan nie wróci – powiedział Eça.

Zamiast o nim i jego troskach mówił o sobie, a w przypadku każdej innej osoby Gregoriusa by to uraziło. Lecz nie w przypadku tego udręczonego, zamkniętego w sobie, samotnego mężczyzny. Jego słowa należały do najcenniejszych, jakie kiedykolwiek usłyszał.

Powiedział, że kiedy zawroty głowy okażą się nieszkodliwe i lekarzom uda się je usunąć, wtedy wróci. Aby dobrze nauczyć się portugalskiego i napisać historię ruchu oporu. Powiedział to zdecydowanym głosem, jednak pewność, którą zawarł w wypowiedzi, brzmiała pusto, i był pewien, że Eça także to słyszał.

Eça drżącymi dłońmi wyjął szachownicę i ustawił figury. Przez chwilę siedział z zamkniętymi oczami. Potem wstał i przyniósł zbiór partii szachowych.

– Tu. Alechin przeciw Capablance. Chciałbym, żebyśmy razem odtworzyli tę partię.

– Sztuka przeciw nauce – powiedział Gregorius.

Eça uśmiechnął się. Gregorius żałował, że nie może uwięzić tego uśmiechu na kliszy.

W połowie partii Eça powiedział, że czasami próbował sobie wyobrazić ostatnie minuty po przyjęciu śmiertelnej dawki tabletek. Początkowo pewnie ulga, bo wreszcie nadchodzi koniec i można uciec przed pozbawioną godności chorobą. Powiew dumy z powodu własnej odwagi. Żal, że częściej nie było się tak odważnym. Ostatnie podsumowanie, ostatnie upewnienie się, że to słuszne i nie należy dzwonić po karetkę. Nadzieja na spokój i opanowanie aż do końca. Czekanie na nadchodzące otępienie w czubkach palców i ustach.

– A potem nagle gwałtowna panika, opór, szalone pragnienie, żeby to jeszcze nie był koniec. Wewnętrzny zalew, gorący, potężny prąd woli życia, który wszystko porywa i wszelkie przemyślenia i decyzje ukazuje jako sztuczne, papierowe, śmieszne. A wtedy? Co wtedy?

Gregorius powiedział, że nie wie, po czym wyjął książkę Prado i przeczytał:

Czy to nie oczywiste, proste i jasne, na czym polegałoby ich przerażenie, gdyby w tym momencie zostali powiadomieni o tym, że wkrótce umrą? Wystawiłem twarz ze śladami niewyspania na poranne słońce i myślałem: oni chcą po prostu zaczerpnąć więcej życia, obojętne, czy byłoby łatwe, czy uciążliwe, ubogie czy bogate. Nie chcą, by się skończyło, nawet jeśli po zakończeniu życia nie będą mogli żałować jego utraty – i wiedzą to.

Eça wziął książkę i sam przeczytał ten fragment, a potem całą rozmowę z Jorge o śmierci.

– O’Kelly – powiedział w końcu. – Umrze od palenia. „Tak, i co z tego?”, stwierdził, gdy ktoś go o to zagadnął. Pamiętam wyraz jego twarzy: *Pocałuj mnie w dupę*. A potem jednak dosięgną! go strach. *Merda*.

Zaczęło się ściemniać, gdy skończyli partię i Alechin wygrał. Gregorius wziął filiżankę Eçy i wypił ostatni łyk herbaty. W drzwiach stanęli naprzeciw siebie. Gregorius czuł, jak wewnątrz drży. Dłonie Eçy chwyciły go za ramiona, a jego głowa dotknęła policzka. Eça przełknął głośno, Gregorius czuł ruch jabłka Adama. Silnym szarpnięciem, które zachwiało Gregoriusem, Eça oderwał się od niego i ze spuszczonego wzrokiem otworzył drzwi. Nim skręcił za róg, Gregorius obejrzał się. Eça stał na środku korytarza i patrzył za nim. Nigdy wcześniej tego nie zrobił.

Na ulicy Gregorius stanął za krzakiem i czekał. Eça wyszedł na balkon i zapalił papierosa. Gregorius wypstrykał całą kliszę.

W ogóle nie patrzył na Tag. Widział i czuł João Eçę. Z Praça do Comércio poszedł powoli w kierunku Bairro Alto i usiadł w kawiarni w pobliżu niebieskiego domu.

47 Mijał kwadrans za kwadransem. Adriana. To będzie najtrudniejsze pożegnanie.

Otworzyła i natychmiast właściwie odczytała wyraz jego twarzy. – Coś się stało – powiedziała.

Rutynowe badania u lekarza w Bernie, poinformował ją Gregorius. Tak, bardzo możliwe, że wróci. Był zaskoczony, jak spokojnie to przyjęła, niemal go to uraziło.

Nie oddychała gorączkowo, ale wyraźniej niż wcześniej. Zebrała siły, wstała i przyniosła notatnik. Powiedziała, że chciałaby mieć numer jego telefonu w Bernie.

Gregorius zdumiony uniósł brwi. Wskazała na stolik w rogu, gdzie stał aparat telefoniczny.

– Od wczoraj – stwierdziła. I chce mu coś jeszcze pokazać. Poprowadziła go na poddasze.

Stosy książek na nagich deskach w pokoju Amadeu zniknęły. Książki stały teraz na regale w rogu. Spojrzała na Gregoriusa wyczekująco. Skinął głową, stanął obok i dotknął jej ramienia.

Adriana wyciągnęła szufladę z biurka Amadeu, rozwiązała tasiemkę przytrzymującą kartonowe okładki i wyjęła trzy arkusze papieru.

– Napisał to potem, po dziewczynie – powiedziała. Jej chuda pierś unosiła się i opadała. – Litery zrobiły się nagle takie małe. Gdy to zobaczyłam, pomyślałam: chciał to ukryć przed samym sobą.

Powiodła wzrokiem po tekście. – To niszczy wszystko. *Wszystko*.

Włożyła kartki do koperty i podała ją Gregoriusowi.

– Nie był już sobą. Chciałabym... proszę, niech pan to zabierze. Daleko. Bardzo daleko stąd.

Gregorius przeklinał sam siebie później z tego powodu. Chciał jeszcze raz zobaczyć pomieszczenie, w którym Prado uratował życie Mendesowi,

gdzie wisiała mapa umysłu i gdzie pochował szachy Jorge.

– Tak lubi tu ze mną pracować – powiedziała Adriana, gdy stanęli w gabinecie. – Ze mną. Razem ze mną. – Poglądziła dłonią kozetkę. – Wszyscy go kochają. Kochają go i podziwiają.

Uśmiechnęła się upiornie lekkim, odległym uśmiechem.

– Niektórzy przychodzą nawet wtedy, gdy nic im nie dolega. Wymyślają coś. Tylko po to, by go zobaczyć.

Myśli Gregoriusa pędziły. Podszedł do stołu z przestarzałymi strzykawkami i wziął jedną do ręki. – Tak, tak wyglądały wtedy strzykawki – powiedział. Jakże inne są dzisiaj!

Słowa nie dotarły do Adriany, która skubała papierowy ręcznik na kozetce. W jej rysach nadal widoczna była resztką uśmiechu.

Gregorius spytał, czy wie, co się stało z mapą mózgu. Obecnie musiała być cenną rzadkością.

– „Dlaczego właściwie potrzebujesz tej mapy – pytam go czasami. – Ludzkie ciało jest dla ciebie jak ze szkła”. „To przecież mapa”, mówi wtedy. Kocha mapy. Mapy geograficzne. Mapy kolejowe. Podczas studiów w Coimbrze skrytykował kiedyś ceniony atlas anatomii. Profesorowie go nie lubili. Nie okazuje szacunku. Po prostu tak bardzo wszystkich przerasta.

Gregorius znał tylko jedno rozwiązanie. Spojrzał na zegar.

– Jestem spóźniony – powiedział. – Czy mogę skorzystać z pani telefonu?

Otworzył drzwi i ruszył korytarzem.

Jej twarz była zagubiona. Pozioma zmarszczka przecinała czoło i nadawała Adrianie wygląd kogoś, w kim panuje ciemność i zagubienie.

Gregorius podszedł do drzwi.

– *Adeus* – powiedziała Adriana.

Był to jej surowy, odpychający głos, który zapamiętał z pierwszych wizyt. Stała wyprostowana jak świeca i stawiała opór całemu światu.

Gregorius podszedł powoli i stanął przed nią. Spojrzał jej w oczy. Spojrzenie Adriany było zapieczętowane i odpychające. Nie wyciągnął ręki. Nie przyjęłaby jej.

– *Adieu* – powiedział. – Wszystkiego dobrego. – Potem wyszedł.

48 Gregorius podarował Silveirze kopię książki Prado. Przez ponad godzinę błąkał się po mieście, aż znalazł dom towarowy, który był nadal otwarty i w którym mógł skorzystać z kserokopiarki.

– To jest... – powiedział Silveira ochryple. – Ja...

Potem rozmawiali o zawrotach głowy. Silveira powiedział, że jego niedowidząca siostra od kilkadziesiąt lat cierpi na zawroty głowy, nie znaleziono przyczyny, po prostu się do tego przyzwyczaiła.

– Byłem z nią kiedyś u neurologa. I opuściłem gabinet z wrażeniem: epoka kamienia. Nasza wiedza o mózgu jest z epoki kamienia. Kilka obszarów, kilka wzorców aktywności, kilka substancji. Więcej nie wiadomo. Wydawało mi się, że nie wiedzą nawet, czego *powinni* szukać.

Rozmawiali o lęku, który rodzi się z niepewności. Nagle Gregoriusa coś zaniepokoiło. Chwilę trwało, nim zrozumiał – przedwczoraj, po powrocie rozmowa z Silveirą o podróży, dziś rozmowa z João Ecą, teraz znowu z Silveirą. Czy dwa zbliżenia mogą się blokować, utrudniać, zatruwać? Cieszył się, że nie opowiedział Esie o zasłabnięciu w bibliotece w Coimbrze, w ten sposób miał coś, czym mógł podzielić się tylko z Silveirą.

Silveira spytał, jakie właściwie było to homeryckie słowo, którego zapomniał. *Λίστρον*, powiedział Gregorius, skrobak do czyszczenia podłogi sali.

Silveira roześmiał się, Gregorius przyłączył się do niego, śmiali się i śmiali, gromkim śmiechem, dwóch mężczyzn, którzy na chwilę potrafią wznieść się ponad wszelki lęk, smutek, rozczarowanie i całe zmęczenie życiem. Którzy w wyjątkowy sposób połączyli się w śmiechu, choć lęk, smutek i rozczarowanie należały wyłącznie do nich i powodowały ich samotność.

Gdy śmiech przebrzmiał i Gregorius ponownie poczuł ciężar świata, pomyślał o tym, jak śmiał się z João Ecą z rozgotowanego obiadu w domu opieki.

Silveira poszedł do swojej pracowni i wrócił z serwetką, na której Gregorius w wagonie restauracyjnym nocnego pociągu zapisał hebrajskie słowa: *Wtedy Bóg rzekł: „Niechaj się stanie światłość!”*. *I stała się światłość* [Rdz 1,3]. Silveira poprosił, żeby przeczytał to jeszcze raz, a potem, by zapisał jakieś zdanie z Biblii po grecku.

Gregorius nie mógł odmówić i napisał: *Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga. Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało. W Nim było życie, a życie było światłością ludzi* [J 1,1–4].

Silveira przyniósł Biblię i odczytał te zdania z Ewangelii świętego Jana.

– A zatem słowo jest światłością ludzi – powiedział. – A rzeczy istnieją naprawdę wtedy, gdy są ubrane w słowa.

– Słowa zaś muszą mieć rytm – dodał Gregorius. – Rytm, jaki na przykład mają słowa świętego Jana. Dopiero wtedy, dopiero gdy są poezją, rzeczywiście rzucają na rzeczy nowe światło. W zmiennym świetle słów te same rzeczy mogą wyglądać bardzo różnie.

Silveira popatrzył na niego.

– I dlatego kogoś, komu brakuje jednego słowa wobec trzystu tysięcy ksiąg, muszą ogarnąć zawroty głowy.

Roześmiali się i śmiali się bez przerwy, spoglądali na siebie i wiedzieli, że śmieją się także z poprzedniego śmiechu i z tego, że z najważniejszych spraw najlepiej jest się śmiać.

Silveira spytał potem, czy Gregorius zostawi mu zdjęcia Isfahanu. Powiesili je w jego pracowni. Silveira usiadł za biurkiem, zapalił papierosa i patrzył na zdjęcia.

– Chciałbym, żeby to mogła zobaczyć moja była żona i dzieci – powiedział.

Nim poszli spać, przez chwilę stali, milcząc, w holu.

– I to też już minęło – powiedział Silveira. – Chodzi mi o twój pobyt tutaj. Tu, w moim domu.

Gregorius nie mógł zasnąć. Wyobrażał sobie, jak następnego dnia pociąg ruszy, poczuł jego pierwsze, łagodne szarpnięcie. Przeklinał zawroty głowy i fakt, że Doxiades miał rację.

Zapalił światło i przeczytał, co Prado zanotował o intymności.

INTIMIDADE IMPERIOSA. PRZYMUSOWA INTYMNOŚĆ. *W intymności jesteśmy spleceni ze sobą, a niewidzialne więzy stanowią kajdany wyzwolenia. Owo splecenie wiąże się z przymusem: wymaga wyłączności. Dzielenie się oznacza zdradę. A jednak lubimy, kochamy i dotykamy nie tylko jednego człowieka. Co robić? Reżyserować różne odmiany intymności? Pedantycznie księgować tematy, słowa, gesty? O wspólnej wiedzy i tajemnicach? Byłaby to bezgłośnie sącząca się trucizna.*

Zaczęło już świtać, gdy Gregorius zapadł w niespokojny sen i śnił o końcu świata. Był to melodyjny sen bez instrumentów i dźwięków, sen złożony ze słońca, wiatru i słów. Rybacy z szorstkimi dłońmi krzyczeli do siebie szorstkie słowa, rozwiewał je słony wiatr, także to słowo, którego Gregorius zapomniał. Potem znalazł się w wodzie i zanurkował ostro w dół, płynął z całej siły, coraz głębiej, czuł ochotę i ciepło w mięśniach, kiedy opierały się zimnu, musiał opuścić bananowy parowiec, spieszył się, zapewnił rybaków, że nie ma to z nimi nic wspólnego, ale oni bronili się i patrzyli na niego obco, gdy z workiem żeglarskim schodził na ląd, a towarzyszyły mu słońce, wiatr i słowa.

Część czwarta

Powrót

49 Silveira dawno już zniknął z pola widzenia, ale Gregorius nadal mu machał. „Czy w Bernie jest firma produkująca porcelanę?”, spytał go na peronie. Zrobił zdjęcie z okna przedziału: Silveira, który osłania przed wiatrem papierosa, żeby zapalić.

Ostatnie domy Lizbony. Poprzedniego dnia Gregorius udał się ponownie do kościelnej księgarni w Bairro Alto, gdzie opierał się czołem o wilgotną od mgły szybę, nim po raz pierwszy zadzwonił do niebieskiego domu. Wtedy musiał walczyć z pokusą, by pojechać na lotnisko i najbliższym samolotem wrócić do Zurychu. Teraz musiał opierać się pokusie, by wysiąść na następnej stacji.

Gdyby z każdym metrem pokonywanym przez pociąg było wymazywane jakieś wspomnienie i gdyby jednocześnie świat kawałek po kawałku wracał do swej dawnej postaci, tak że kiedy Gregorius zajechałby na dworzec w Bernie, wszystko byłoby takie jak wcześniej: czy wtedy zostałyby zniszczone także czas jego pobytu w Lizbonie?

Gregorius wyjął kopertę, którą dała mu Adriana. *To niszczy wszystko. Wszystko.* Słowa, które miał przeczytać, Prado napisał po podróży do Hiszpanii. Po *dziewczynie*. Gregorius przypomniał sobie, co Adriana powiedziała o jego powrocie: wysiadł z taksówki nieogolony i z zapadłymi policzkami, wygłodniały połykał wszystko, wziął proszek nasenny, przespał cały dzień i noc.

Gdy pociąg zbliżał się do Vilar Formoso, gdzie mieli przekroczyć granicę, Gregorius przetłumaczył tekst zapisany przez Prado małutkimi literkami.

CINZAS DA FUTILIDADE. POPIÓŁ DAREMNOŚCI. *Minęła wieczność, odkąd Jorge zadzwonił w środku nocy, ponieważ ogarnął go lęk przed śmiercią. Nie, nie wieczność. To było w innym czasie, w zupełnie innym czasie.*

A jednocześnie minęły po prostu trzy lata, trzy całkiem zwyczajne, nudne kalendarzowe lata. Estefânia. Mówił wtedy o Estefanii. Wariacje Goldbergowskie. Grała je dla niego, a on sam chciałby umieć zagrać je na swoim steinwayu. Estefânia Espinhosa. Cóż za czarowne, olśniewające imię! – myślałem tamtej nocy. Nie chciałem zobaczyć tej kobiety, żadna kobieta nie mogła dorównać takiemu imieniu, musiało mnie spotkać rozczarowanie. Skąd miałem wiedzieć, że jest odwrotnie: to imię nie mogło dorównać jej.

Lęk przed tym, że życie pozostanie niepełne jak popiersie; świadomość, że nie można już zostać tym, kim się planowało. W ten sposób ostatecznie opisaliśmy lęk przed śmiercią. Ale jak można – zapytałem – obawiać się braku pełni i harmonii życia, skoro gdy nadejdzie nieodwracalne, już go nie przeżywamy? Jorge wydawał się to rozumieć. Co powiedział?

Dlaczego nie przerzucam kartek, dlaczego nie sprawdzam? Dlaczego nie chcę wiedzieć, co wtedy myślałem i napisałem? Skąd ta obojętność? Czy jest to obojętność? Czy też strata jest większa, głębsza?

Chcieć wiedzieć, co myśleliśmy wcześniej i jak z owych myśli zrodziło się to, co myślimy teraz: takie doświadczenie także należałoby do pełni życia, gdyby istniała. Czy w ten sposób straciłbym to, co czyni śmierć straszną? Wiara w harmonię życia, o którą warto walczyć i którą próbujemy wydrzeć śmierci?

Lojalność, powiedziałem do Jorge, lojalność. W niej doszukujemy się naszej harmonii. Estefânia. Dlaczego przypływ przypadku nie rzucił jej w inne miejsce? Dlaczego właśnie do nas? Dlaczego musiała wystawić nas na próbę, do której nie dorośliśmy? Której obaj nie przeszliśmy, każdy na swój sposób?

„Jesteś dla mnie zbyt wygodniały. Jest z tobą przecudownie. Ale jesteś dla mnie zbyt wygodniały. Nie mogę chcieć tej podróży. Widzisz, to byłaby

twoja podróż, wyłącznie twoja. Nie mogłaby być nasza”. I miała rację: nie można czynić z innych ludzi fragmentów konstrukcji swojego życia, nosiwodów w pogoni za własnym szczęściem.

Finis terrae. Nigdy jeszcze nie byłem taki przytomny jak tam. I taki trzeźwy. Od tamtej pory wiem: moja pogoń dobiegła końca. Pogoń, o której nie wiedziałem, że trwa, od zawsze. Pogoń bez konkurentów, bez celu, bez nagrody. Pełnia? Espejismo, mówią Hiszpanie, w tamtych dniach przeczytałem to słowo w gazecie, to jedyne, co jeszcze pamiętam. Złudzenie. Fatamorgana.

Nasze życie to niestałe konstrukcje z lotnych piasków, tworzone przez jeden podmuch wiatru, niszczone przez następny. Formacje daremności, które ulatują na wietrze, nim na dobre powstały.

Nie był już sobą, powiedziała Adriana. Nie chciała mieć nic wspólnego z obcym, wyobcowanym bratem. Daleko. Bardzo daleko.

Kiedy jesteśmy sobą? Kiedy jesteśmy tacy jak zawsze? Tacy, jakimi się widzimy? Czy tacy, jakimi byliśmy, kiedy paląca lawa myśli i uczuć grzebała pod sobą wszystkie kłamstwa, maski i oszustwa wobec samych siebie? To inni ludzie się skarżą, że ktoś nie jest już sobą. Może naprawdę oznacza to, że przestał być taki, jakim byśmy chcieli, żeby był? Czy zatem nie chodzi zaledwie o coś na kształt wojennego zawołania przeciw burzeniu tego, do czego się przyzwyczailiśmy, zamaskowanego jako troska i obawy o rzekome dobro drugiego człowieka?

W dalszej drodze do Salamanki Gregorius zasnął. I wtedy stało się coś, czego jeszcze nigdy nie doświadczył: obudził się w środku zawrotów głowy. Przeszła przez niego fala nieukierunkowanego nerwowego pobudzenia. Groziło mu, że wpadnie w głębie, trzymał się więc kurczowo oparcia siedzenia. Zamknięcie oczu jeszcze pogorszyło sytuację. Zakrył twarz dłońmi. Minęło.

Λίστρον. Wszystko w porządku.

Dlaczego nie poleciał? Jutro rano, za osiemnaście godzin będzie w Genewie, trzy godziny później w domu. W południe u Doxiadesa, który zorganizuje resztę.

Pociąg zwolnił. SALAMANCA. I kolejna tablica: SALAMANCA. Estefânia Espinhosa.

Gregorius wstał, dźwignął bagaż z półki i przytrzymał się, aż minie zawrót głowy. Po peronie stapał mocno, by zniszczyć powietrzną poduszkę, która go otoczyła.

50 Gdy później rozmyślał o swym pierwszym wieczorze w Salamance, wydawało mu się, że walcząc z zawrotami głowy, godzinami krążył chwiejnie po katedrach, kaplicach i krużgankach, ślepy na piękno, ale przytłoczony ich ciemną siłą. Patrzył na ołtarze, kopuły i chóry, które nawarstwiały się w jego wspomnieniach, dwukrotnie trafił na mszę i w końcu wysłuchał koncertu organowego. *Nie chcę żyć w świecie bez katedr. Potrzebuję ich piękna i wzniosłości. Potrzebuję ich przeciw zwyczajności świata. Chcę spoglądać na lśniące witraże i dać się oślepiac nieziemskim barwom. Potrzebuję ich blasku. Potrzebuję go przeciw brudnej, jednolitej barwie uniformów. Chcę się dać otulić cierpkemu chłodowi kościołów. Potrzebuję ich nakazującego milczenia. Potrzebuję go przeciw bezdusznemu rykowi koszar i zmyślnej paplaninie konformistów. Chcę słyszeć upajający dźwięk organów, ten zalew nieziemskich tonów. Potrzebuję ich przeciw kłującej śmieszności muzyki marszowej.*

To napisał siedemnastoletni Prado. Chłopak, który płonął. Chłopak, który tuż potem pojechał z Jorge O'Kellym do Coimbry, gdzie cały świat wydawał się do nich należeć i gdzie w salach wykładowych pouczał profesorów. Chłopak, który nic jeszcze nie wiedział o fali przypadku, o rozwianym lotnym piasku i popiołach daremności.

Lata później napisał do ojca Bartolomeu te słowa: *Istnieją sprawy, które dla nas, ludzi, są za wielkie: ból, samotność i śmierć, ale także piękno, wzniosłość i szczęście. Dlatego stworzyliśmy religię. Co się dzieje, gdy ją tracimy? Te sprawy nadal są dla nas zbyt wielkie. Co nam pozostaje, to poezja pojedynczego życia. Czy jest dość silna, by nas unieść?*

Z pokoju hotelowego Gregorius widział starą i nową katedrę. Gdy dzwony wybijały pełną godzinę, podchodził do okna i patrzył na oświetlone fasady. Tu żył San Juan de la Cruz. Florence przyjeżdżała tu wielokrotnie, gdy o nim pisała. Jeździła z innymi studentami, Gregorius nie miał ochoty. Nie lubił, gdy rozwodziła się o mistycznych wierszach wielkiego poety, ona i inni.

Nad poezją się nie *rozwodziło*. Czytało się ją. Czytało się ją językiem. Żyło się nią. Czuło się, że nas porusza, zmienia. Że za jej sprawą życie otrzymuje formę, odcień, melodię. Nie rozmawiało się o niej, a już na pewno nie traktowało się jej jak mięsa armatniego w akademickiej karierze.

W Coimbrze zastanawiał się, czy nie ominęło go życie na uniwersytecie. Odpowiedź brzmiała: nie. Raz jeszcze wyobraził sobie, jak siedzi w Paryżu w COUPOLE i rozmawia z rozgadаныmi kolegami Florence swym berneńskim językiem i ze swoją berneńską wiedzą. *Nie*.

Później śnił, że w kuchni Silveiry Aurora obraca nim do muzyki organów, kuchnia rozszerzyła się, zanurkował ostro w dół i trafił w wir, aż stracił przytomność i się obudził.

Na śniadaniu zjawiał się jako pierwszy. Później poszedł na uniwersytet i zebrał informacje na wydziale historii. Wykład Estefanii Espinhosy był za godzinę: Isabel la Católica.

Pod arkadami na dziedzińcu uniwersytetu tłoczyli się studenci. Gregorius nie rozumiał ani słowa z ich rozpędzonego hiszpańskiego i wcześniej poszedł do sali wykładowej, pomieszczenia o surowej klasztornej dystynkcji, wyłożonego boazerią, z ustawionym z przodu pulpitem. Zebrali się słuchacze. Była to duża sala, jednak już przed rozpoczęciem wykładu zapełniła się do ostatniego miejsca, po bokach studenci siedzieli na podłodze.

Nienawidziłam tej osoby, jej długich czarnych włosów, rozkołysanego chodu, krótkiej spódniczki. Adriana widziała ją jako dwudziestoparoletnią dziewczynę. Kobieta, która teraz weszła, miała pięćdziesiąt kilka lat. Pamiętał jej lśniąco oczy, niezwykłą, niemal azjatycką cerę, zaraźliwy, porywający śmiech, miękki krok, i po prostu nie chciał, by to wszystko zgasło, nie mógł tego chcieć, powiedział João Eça o Prado.

Gregorius pomyślał, że nikt nie mógł tego chcieć. Dziś także nie. A zwłaszcza nie wtedy, gdy usłyszał, jak mówi. Miała niski, nieco przytłumiony głos i wymawiała twarde hiszpańskie słowa ze śladem portugalskiej miękkości. Zaraz na początku wyłączyła mikrofon. To był głos, który wypełniłby katedrę. I spojrzenie, które pozwalało żywić nadzieję, że wykład nigdy się nie skończy.

Z tego, co mówiła, Gregorius zrozumiał niewiele. Słuchał jej jak instrumentu muzycznego, czasami z zamkniętymi oczami, czasami ze spojrzeniem skoncentrowanym na jej gestach: dłoń, która odgarnia z czoła szpakowate włosy, druga dłoń trzymająca srebrny długopis i dla podkreślenia rysująca w powietrzu linie, łokcie oparte na pulpicie, wyciągnięte ramiona obejmujące blat, gdy rozpoczynała nowy temat. Dziewczyna, która początkowo pracowała na poczcie, dziewczyna o fenomenalnej pamięci, w której przechowywała wszystkie tajemnice ruchu oporu, kobieta, której nie podobało się, gdy O'Kelly na ulicy obejmował ją w talii, kobieta, która przed niebieskim domem usiadła za kierownicą samochodu i pojechała aż na koniec świata, żeby ratować życie, kobieta, która nie chciała wyruszyć z Prado w jego podróż, a to rozczarowanie i odrzucenie wywołało w nim największą i najbardziej bolesną przytomność, świadomość, że ostatecznie przegrał w pogoni za szczęściem, uczucie, że jego rozpoczęte, rozpalone życie wygasło i zmieniło się w popiół.

Hałas spowodowany przez wstających studentów przeraził Gregoriusa. Estefânia Espinhosa spakowała przybory do teczki i zeszła po schodkach z podium. Studenci podeszli do niej. Gregorius wyszedł i czekał.

Ustawił się tak, by zobaczyć ją już z daleka. I móc potem zdecydować, czy się do niej odezwać. Nadeszła w towarzystwie kobiety, do której zwracała się jak do asystentki. Gregoriusowi serce podeszło do gardła, gdy

go mijąca. Podążył za obiema kobietami po schodach i przez długi korytarz. Asystentka pożegnała się, a Estefânia Espinhosa zniknęła za drzwiami. Gregorius przeczytał na tabliczce nazwisko. *To imię nie mogło dorównać jej.*

Powoli wrócił i przytrzymał się mocno poręczy schodów. Na dole na chwilę przystanął. Potem wbiegł z powrotem po schodach na górę. Zaczekał, aż oddech mu się uspokoi, po czym zapukał.

Miała na sobie płaszcz i właśnie zamierzała wyjść. Spojrzała na niego pytająco.

– Czy... czy mogę rozmawiać z panią po francusku? – spytał Gregorius. Skinęła głową.

Przedstawił się, jękając, i wyjął, jak często w ostatnim czasie, książkę Prado.

Jej jasnobrażowe oczy zwięzły się, wpatrywała się w książkę, ale po nią nie sięgnęła. Mijały sekundy.

– Ja... Dlaczego... Niech pan wejdzie.

Podeszła do telefonu i powiedziała do kogoś po portugalsku, że nie może teraz przyjść. Potem zdjęła płaszcz. Poprosiła Gregoriusa, by usiadł, i zapaliła papierosa.

– Czy w książce jest coś o mnie? – spytała i wypuściła dym.

Gregorius pokręcił głową.

– Skąd zatem pan się o mnie dowiedział?

Gregorius opowiedział. O Adrianie i João Esie. O książce o ciemnym morzu, którą Prado czytał przed śmiercią. O poszukiwaniach antykwariusza. O tekście na okładkach jej prac. Nie wspomniał o O'Kellym. Nie powiedział też nic o odręcznych zapiskach małymi literami.

Chciała obejrzeć książkę. Zaczęła czytać. Zapaliła kolejnego papierosa. Potem spojrzała na portret.

– A zatem tak wyglądał wcześniej. Nigdy nie widziałam zdjęcia z tego okresu.

Gregorius powiedział, że nie miał zamiaru tu wysiadać. Ale nie mógł się oprzeć. Portret Prado jest taki... taki niepełny bez niej. Oczywiście wie, że

to z jego strony wielka śmiałość, by zjawić się tak bez uprzedzenia.

Podeszła do okna. Zadzwoił telefon. Pozwoliła mu dzwonić.

– Nie wiem, czy tego chcę – powiedziała. – To znaczy rozmawiać o tamtych czasach. W żadnym razie nie tutaj. Czy mogę wziąć książkę? Chciałabym ją przeczytać. Zastanowić się. Niech pan przyjdzie wieczorem do mnie do domu. Wtedy powiem panu, jak się z tym czuję.

Podowała mu wizytówkę.

Gregorius kupił przewodnik i zwiedził klasztory, jeden po drugim. Nie był człowiekiem, który goni za atrakcjami turystycznymi. Gdy ludzie tłoczyli się przed czymś, zwykł na przekór zostawać w oddaleniu, podobnie jak zwykł czytać bestsellery dopiero po latach. I teraz również nie kierował nim turystyczny zapał. Dopiero gdy minęło popołudnie, zrozumiał – zajmowanie się Prado zmieniło jego odczucia wobec kościołów i klasztorów. *Czy istnieje powaga poważniejsza niż poetycka powaga?* – odpowiedział Ruth Gautschi i Davidowi Lehmannowi. To łączyło go z Prado. Może była to nawet najsilniejsza więź. Jednak mężczyzna, który z gorliwego ministranta zmienił się w bezbożnego kapłana, uczynił krok dalej, i Gregorius, krocząc krużgankami, starał się ów krok zrozumieć. Czy udało mu się rozciągnąć poetycką powagę poza biblijne słowa, na budowle, które zostały stworzone z tych słów? Czy właśnie o to chodziło?

Na kilka dni przed śmiercią Prado Mélodie widziała go wychodzącego z kościoła. *Chcę czytać potężne słowa Biblii. Potrzebuję nierzeczywistej siły ich poezji. Kocham modlących się ludzi. Potrzebuję ich widoku. Potrzebuję go przeciw zdradzieckiej truciznie powierzchowności i bezmyślności.* To były odczucia jego młodości. Z jakimi uczuciami wszedł do kościoła człowiek, który czekał, aż w jego mózgu wybuchnie bomba z opóźnionym zapłonem? Człowiek, dla którego po podróży na koniec świata wszystko zmieniło się w popiół?

Taksówka wioząca Gregoriusa do domu Estefanii Espinhosy zatrzymała się na światłach. Na wystawie biura podróży ujrzał plakat z kopułami i minaretami. Jak by to było, gdyby na błękitnym Dalekim Wschodzie z jego złotymi kopułami co rano słyszał muezina? Gdyby to perska poezja określała melodię jego życia?

Estefânia Espinhosa miała na sobie niebieskie dzinsy i granatową marynarską bluzę. Pomimo siwych pasm we włosach wyglądała na czterdzieści kilka lat. Zrobiła kanapki i naląła Gregoriusowi herbaty. Potrzebowała czasu.

Gdy ujrzała, że Gregorius wodzi wzrokiem po półkach z książkami, zaprosiła go, by obejrzał je z bliska. Wziął do ręki grube tomy historyczne. Przyznał, jak niewiele wie o Półwyspie Iberyjskim i jego historii. Potem mówił o książkach o dżumie i trzęsieniu ziemi w Lizbonie.

Poprosiła, by opowiedział jej o filologii klasycznej, zadawała wiele pytań. Pomyślał, że chce się dowiedzieć, kim jest człowiek, któremu ma opowiedzieć o swojej podróży z Prado. A może po prostu potrzebowała więcej czasu?

– Łacina – powiedziała wreszcie. – Łacina w pewnym sensie stanowiła początek. Był pewien chłopak, student, który pomagał na poczcie. Nieśmiały chłopak, zakochał się we mnie i sądził, że tego nie zauważam. Studiował łacinę. *Finis terrae*, odezwał się pewnego dnia, gdy trzymał w dłoni list do Finisterre. A potem wyrecytował długi łaciński wiersz, w którym także była mowa o końcu świata. Spodobało mi się, jak recytował łacińską poezję, nie przestając jednocześnie sortować listów. A on poczuł, że to mi się podoba, robił więc tak dalej, przez całe popołudnie.

Zacząłam potajemnie uczyć się łaciny. Nie mogł się o tym dowiedzieć, źle by to zrozumiał. Było nieprawdopodobne, że ktoś taki jak ja, dziewczyna z poczty, z fatalnym wykształceniem, nauczy się łaciny. Tak, *nieprawdopodobne!* Nie wiem, co mnie bardziej ekscytowało: język czy owo nieprawdopodobieństwo.

Poszło szybko, miałam dobrą pamięć. Zacząłam interesować się historią Rzymu. Czytałam wszystko, co mogłam znaleźć, później także książki o historii Portugalii, Hiszpanii, Włoch. Moja matka zmarła, gdy byłam jeszcze dzieckiem, mieszkałam z ojcem, kolejarzem. Nigdy nie czytał książek i najpierw zdziwił się, że to robię, a później poczuł dumę, wzruszającą dumę. Miałam dwadzieścia trzy lata, kiedy zabrało go P.I.D.E. i oskarżony o sabotaż trafił do Tarrafal. Ale nie mogę o tym mówić, nawet teraz nie.

Jorge O'Kelly'ego poznałam kilka miesięcy później na spotkaniu ruchu oporu. Wieść o aresztowaniu taty rozeszła się w filii poczty i ku mojemu zdumieniu okazało się, że wielu moich kolegów należy do ruchu oporu. Aresztowanie taty sprawiło, że nagle stałam się niezwykle świadoma politycznie. Jorge był ważną osobą w grupie. On i João Eça. Zakochał się we mnie po uszy. To mi pochlebiało. Starał się zrobić ze mnie gwiazdę. Wpadłam na pomysł ze szkołą dla analfabetów, gdzie wszyscy mogliby się spotykać, nie wzbudzając podejrzeń.

I tam się to stało. Pewnego wieczoru do sali wszedł Amadeu. Potem wszystko było inaczej. Ujrzałam sprawy w nowym świetle. Z nim działało się tak samo, poczułam to już pierwszego wieczoru.

Chciałam tego. Nie mogłam spać. Przychodziłam do niego do gabinetu, raz po raz, pomimo pełnych nienawiści spojrzeń jego siostry. Chciał mnie wziąć w ramiona, w jego wnętrzu piętrzyła się lawina, która w każdej chwili mogła runąć. Odrzucił mnie jednak. „Jorge – powiedział – Jorge”. Zaczęłam nienawidzić Jorge.

Kiedyś zadzwoniłam do Amadeu o północy. Przeszliśmy kilka ulic, potem wciągnął mnie pod luk bramy. Lawina runęła. „To nie może się znowu zdarzyć”, stwierdził potem i zakazał mi zjawiać się ponownie.

Nadeszła długa, pełna udreki zima. Amadeu nie przychodził już na spotkania. Jorge był chory z zazdrości.

Przesadziłabym, gdybym powiedziała – czułam, że do tego dojdzie. Tak, to byłaby przesada. Ale czasami zastanawiałam się nad tym, że coraz bardziej polegają na mojej pamięci. „Co będzie, gdy coś mi się stanie”, mówiłam.

Estefânia wyszła. Gdy wróciła, wyglądała na odmienioną. Jak po walce, pomyślał Gregorius. Wyglądało na to, że obmyła twarz, a włosy związała w koński ogon. Stała przy oknie i zaciągając się, pospiesznie wypaliła całego papierosa, nim zaczęła mówić dalej.

– Katastrofa zdarzyła się pod koniec lutego. Drzwi otworzyły się bardzo wolno. Bezgłośnie. Miał wysokie oficerskie buty. Nie mundur, ale buty. To jego buty zobaczyłam najpierw w szparze w drzwiach. Potem pojawiła się inteligentna, czujna twarz, znaleźliśmy go, to był Badajoz, jeden z ludzi Mendesa. Zrobiłam to, co wielokrotnie ustalaliśmy, i zaczęłam mówić o ç,

objaśniać użycie tej litery analfabetom. Później przez długi czas nie mogłam patrzeć na ç, żeby nie myśleć o Badajozie. Ławka zatrzeszczała, gdy usiadł. João Eça obrzucił mnie ostrzegawczym spojrzeniem. *Teraz wszystko zależy od ciebie*, zdawał się mówić jego wzrok.

Jak zawsze miałam na sobie prześwitującą bluzkę, można powiedzieć, że była moim roboczym ubraniem. Jorge jej nienawidził. Zdjęłam żakiet. Spojrzenia Badajoz skierowane na moje ciało miały nas uratować. Badajoz skrzyżował nogi, to było wstrętne. Zakończyłam lekcję.

Gdy podszedł do Adrião, mojego nauczyciela gry na fortepianie, wiedziałam, że to koniec. Nie słyszałam, o czym rozmawiali, ale Adrião pobladł, a Badajoz uśmiechał się nieszczercze.

Adrião nie wrócił z przesłuchania. Nie wiem, co z nim zrobili, nigdy go już nie widziałam.

João uparł się, żebym zamieszkała u jego ciotki. Bezpieczeństwo, powiedział, chodzi o to, żeby zapewnić mi bezpieczeństwo. Już pierwszej nocy uświadomiłam sobie – zgadza się, ale nie chodzi o mnie, lecz przede wszystkim o moją pamięć. O to, co mogłabym zdradzić, gdyby mnie pojмали. W tych dniach tylko raz spotkałam się z Jorge. Nie dotknęliśmy się, nawet nie uścisnęliśmy sobie dłoni. To było niesamowite, nie rozumiałam tego. Zrozumiałam dopiero, gdy Amadeu powiedział mi, dlaczego muszę wyjechać za granicę.

Estefânia wróciła od okna i usiadła. Spojrzała na Gregoriusa.

– To, co Amadeu powiedział o Jorge – to było tak potworne, tak niewyobrażalnie okropne, że początkowo po prostu się roześmiałam. Amadeu posłał dla mnie łóżko w gabinecie, a następnego dnia wyjechalśmy.

„Po prostu w to nie wierzę – stwierdziłam. – Zabić mnie”. Popatrzyłam na niego. „Mówimy o Jorge, twoim przyjacielu”.

„Właśnie”, odparł głucho.

Spytałam, co *dokładnie* powiedział Jorge, ale on nie był gotowy, by powtórzyć jego słowa.

Gdy potem leżałam sama w gabinecie, w wyobraźni powracałam do wszystkiego, co przeżyłam z Jorge. Czy był *zdolny* myśleć o czymś takim?

Myśleć o tym *poważnie*? Czułam się zmęczona i niepewna. Pomyślałam o jego zazdrości. Pomyślałam o chwilach, gdy wydawał mi się gwałtowny i bezwzględny, choć nie wobec mnie. Sama nie wiedziałam. Nie *wiedziałam*.

Na pogrzebie Amadeu staliśmy obok siebie przy grobie, on i ja. Inni już poszli.

„Nie *wierzyłaś* w to, prawda? – spytał po chwili. – On mnie *źle* *rozumiał*. To było nieporozumienie, zwykle nieporozumienie”.

„Teraz to już nieważne”, powiedziałam.

Rozeszliśmy się bez jednego dotknięcia. Więcej o nim nie słyszałam. Czy jeszcze żyje?

Po odpowiedzi Gregoriusa przez chwilę milczała. Potem wstała i wyjęła z regału egzemplarz O MAR TENEBROSO, wielkiej księgi, która leżała na biurku Prado.

– I do końca to czytał? – spytała.

Usiadła i położyła książkę na kolanach.

– To za wiele, zbyt wiele dla dwudziestopięcioletniej dziewczyny, jaką wówczas byłam. Badajoz, przenosiny do ciotki João, noc w gabinecie Amadeu, okropne myśli o Jorge, jazda obok mężczyzny, który odebrał mi sen. Byłam całkowicie roztrzęsiona.

Przez pierwszą godzinę jechaliśmy w milczeniu. Cieszyłam się, że mogę siedzieć za kierownicą. João powiedział nam, że powinniśmy przekroczyć granicę na północy, w Galicji.

„A potem pojedziemy do Finisterre”, odezwałam się i opowiedziałam mu historię o studencie łaciny.

Poprosił, żebym się zatrzymała, i objął mnie. Potem poprosił znowu i prosił coraz częściej. Lawina runęła. Szukał mnie. Ale właśnie o to chodziło: nie szukał *mnie*, szukał *życia*. Nie chciał już przed nim uciekać i chciał go coraz szybciej i pożądliej. Nie chodziło o to, że był szorstki czy gwałtowny. Wręcz przeciwnie, przed nim nie wiedziałam, czym jest *czułość*. Ale on mnie dusił, wsysał w siebie, miał taki głód życia, głód jego gorąca, jego pożądania. I był równie spragniony mojej duszy, jak mojego

ciała. W ciągu kilku godzin chciał poznać całe moje życie, moje wspomnienia, myśli, fantazje, marzenia. *Wszystko*. I pojmował z szybkością i dokładnością, które po początkowym zdumieniu zaczęły napawać mnie lękiem, bo jego gwałtowne zrozumienie burzyło wszystkie ochronne mury.

W ciągu następnych lat zawsze rzucałam się do ucieczki, gdy tylko ktoś zaczynał mnie rozumieć. To już minęło, ale jedno pozostało: nie chcę, by ktoś rozumiał mnie *całkowicie*. Chcę iść przez życie nierozpoznana. Ślepotą innych ludzi jest moja pewnością i wolnością.

Brzmi to teraz tak, jakby Amadeu gwałtownie interesował się *mną*, ale przecież tak nie było. Ponieważ nie było to *spotkanie*. Ze wszystkim, czego się dowiadywał, wsysał głównie *substancję życia*, której nigdy nie miał dość. Innymi słowy, naprawdę nie byłam dla niego *kimś*, lecz *sceną życia*, ku której sięgał w taki sposób, jakby do tej pory go na niej oszukiwano. Jakby chciał raz jeszcze przeżyć całe swoje życie, nim dosięgnie go śmierć.

Gregorius opowiedział o tętniaku i mapie mózgu.

– Mój Boże – powiedziała cicho.

Siedzieli w Finisterre na plaży. W oddali przepływał statek.

– „Popłynęmy statkiem – powiedział. – Najlepiej do Brazylii. Belem, Manaus. Amazonka. Gdzie jest gorąco i wilgotno. Chętnie bym o tym napisał, o barwach, zapachach, lepkich roślinach i kąpiącym pierwotnym lesie, o zwierzętach. Zawsze pisałem tylko o duszy”.

Ten człowiek, który nigdy nie miał dość rzeczywistości, powiedziała o nim Adriana.

– Nie był to młodzińczy romantyzm ani kicz starzejącego się mężczyzny. To było *prawdziwe*, było *rzeczywiste*. Chciał zabrać mnie w podróż, która byłaby tylko *jego* podróżą, jego wewnętrzną podróżą w zaniedbane sfery jego duszy.

„Jesteś dla mnie zbyt wygłodniały – powiedziałam. – Nie mogę tego zrobić, nie *mogę*”.

Gdy wciągnął mnie do bramy, byłam gotowa podążyć za nim aż na koniec świata. Ale wtedy nie wiedziałam jeszcze o jego okropnym głodzie.

Bo w jakiś sposób ten głód życia był okropny. Głód o duszącej, niszczącej sile. Budzący lęk. Przerazający.

Moje słowa musiały go straszliwie zranić. Straszliwie. Nie chciał już wynajmować wspólnego pokoju, zapłacił za dwa osobne. Gdy się później spotkaliśmy, był przebrany. Patrzył spokojnie i stał sztywno, bardzo poprawnie. Wtedy pojęłam: skutek moich słów miał wrażenie, że utracił swoją godność, a ta sztywność, poprawność były bezradną próbą pokazania, że ją odzyskał. Ja tego tak nie widziałam, nie było nic niegodnego w jego namiętności ani w pożądaniu, istotą pożądania nie jest brak godności.

Mimo całkowitego wyczerpania nie zmrużyłam oka.

Następnego ranka oświadczył krótko, że zostanie tu kilka dni, i nic nie mogło lepiej wyrazić jego całkowitego wycofania się do wewnątrz niż ta oszczędność słów.

Na pożegnanie podaliśmy sobie ręce. Jego ostatnie spojrzenie było zaryglowane od wewnątrz. Wrócił do hotelu, nie oglądając się ani razu, a ja, nim wcisnęłam gaz, na próżno czekałam na jakiś jego znak.

Po nieznośnej półgodzinie za kierownicą pojechałam z powrotem. Zapukałam. Stanął w drzwiach spokojnie, bez wrogości, niemal nieporuszony, na zawsze wykluczył mnie ze swojej duszy. Nie mam pojęcia, kiedy wrócił do Lizbony.

– Po tygodniu – powiedział Gregorius.

Estefânia oddała mu książkę.

– Czytałam ją całe popołudnie. Najpierw poczułam przerażenie. Nie przez niego. Przez siebie. Że nie miałam pojęcia, kim był. Jak bardzo był świadomy siebie. I jak szczery. Bezlitośnie szczery. Do tego owa potęga słowa. Wstydziałam się, że do takiego człowieka powiedziałam po prostu: „Jesteś dla mnie zbyt wygłodniały”. Ale potem powoli uświadomiłam sobie, że jednak było to właściwe. Byłoby właściwe także wtedy, gdybym znała jego zapiski.

Dochodziła północ. Gregorius nie chciał odejść. Berno, kolej, zawroty głowy – to wszystko było bardzo daleko. Spytał, jak ucząca się łaciny pracownica poczty została profesorem historii. Odpowiadała krótko, niemal wymijająco. Czasem zdarzało się tak, że ktoś otwierał się całkowicie

w sprawach odległej przeszłości, ale pozostawał zamknięty, gdy chodziło o rzeczy późniejsze i teraźniejszość. Intymność miała swój czas.

Stanęli przy drzwiach. Wtedy się zdecydował. Wyjął kopertę z ostatnimi zapiskami Prado.

– Sądzę, że te zdania najbardziej należą do pani – powiedział.

51 Gregorius stał przed witryną agencji mieszkaniowej. Za trzy godziny odchodził pociąg do Irún i Paryża. Bagaże leżały w skrytce na dworcu. Stał mocno na asfalcie. Spojrzał na ceny i pomyślał o swoich oszczędnościach. Nauczyć się hiszpańskiego, języka, który do tej pory zostawiał Florence. Zamieszkać w mieście jej ukochanego bohatera. Słuchać wykładów Estefanii Espinhosy. Studiować historię licznych klasztorów. Przetłumaczyć zapiski Prado. Omówić je z Estefanią, zdanie po zdaniu.

W agencji zaaranżowali trzy spotkania na najbliższe dwie godziny. Gregorius stał w pustych mieszkaniach, w których rozbrzmiewało echo. Sprawdzał widok, uliczny hałas, wyobrażał sobie codzienną wędrówkę po schodach. Na dwa mieszkania wyraził ustną zgodę. Potem jeździł taksówką po mieście. – *¡Continue!* – powiedział do kierowcy. – *¡Siempre derecho, más y más!*

Gdy wreszcie znalazł się na dworcu, pomylił skrytki i w końcu musiał biec, by zdążyć na pociąg.

W przedziale zasnął i obudził się dopiero wówczas, gdy pociąg zatrzymał się w Valladolid. Weszła młoda kobieta. Gregorius położył jej walizkę na półce. – *Muito obrigada* – powiedziała, usiadła przy drzwiach i zaczęła czytać francuską książkę. Gdy założyła nogę na nogę, rozległ się jasny szelest jedwabiu.

Gregorius spoglądał na zapieczętowaną kopertę, której nie chciała otworzyć Maria João. *To wolno ci przeczytać dopiero po mojej śmierci,*

powiedział Prado. *I nie chcę, żeby wpadło w ręce Adriany.* Gregorius złamał pieczęć, wyjął kartki i zaczął czytać.

PORQUÊ TU, ENTRE TODAS? DLACZEGO ZE WSZYSTKICH KOBIET WŁAŚNIE TY? Pytanie, które w pewnym momencie rodzi się w każdym z nas. Dlaczego wydaje się ono niebezpieczne, nawet jeśli zadajemy je tylko w ciszy? Co jest tak przerażającego w myśli o przypadkowości, którą wyraża to pytanie i która nie jest tą samą myślą co myśl o dowolności i wymienności? Dlaczego nie można uznać owej przypadkowości i z niej żartować? Dlaczego sądzymy, że gdybyśmy uznali ją za coś oczywistego, umniejszyłaby, a nawet przekreśliła nasze przywiązanie?

Zobaczyłem cię po drugiej stronie salonu, ponad głowami i kieliszkami szampana. „To jest Fátima, moja córka”, przedstawił cię twój ojciec. „Mógłbym sobie wyobrazić, że chodzi pani po moich pokojach”, powiedziałem do ciebie w ogrodzie. „Czy nadal możesz sobie wyobrazić, że chodzę po twoich pokojach?”, spytałaś w Anglii. A na statku: „Czy wierzysz, że jesteśmy sobie przeznaczeni?”.

Nikt nie jest nikomu przeznaczony. Nie tylko dlatego, że nie ma opatrności ani kogokolwiek innego, kto mógłby to zaaranżować. Nie, ponieważ między ludźmi nie istnieje po prostu nieuchronność, która wykraczałaby poza przypadkowe potrzeby i potężną siłę przyzwyczajenia. Miałem za sobą pięć lat szpitala, pięć lat, kiedy nikt nie chodził po moich pokojach. Stałem tam zupełnie przypadkowo, ty stałaś tam zupełnie przypadkowo, między nami kieliszki szampana. Tak było. Nie inaczej.

Dobrze, że tego nie przeczytasz. Dlaczego sądziłaś, że musisz się zbratać z Mamą przeciw mojej bezbożności? Adwokat przypadkowości nie kocha przecież mniej. I nie jest też mniej lojalny. Raczej bardziej.

Czytająca kobieta zdjęła okulary i zaczęła je czyścić. Jej twarz niezbyt przypominała twarz bezimiennej Portugalki na moście, miały jednak ze sobą coś wspólnego: nierówny odstęp między brwiami a nasadą nosa, jedna brew kończyła się wyżej niż druga.

Gregorius powiedział, że chciałby o coś zapytać. Czy portugalskie słowo *glória* oprócz sławy może też oznaczać szczęście w sensie religijnym?

Kobieta zastanowiła się, a potem skinęła głową.

Czy niewierzący mógłby go użyć, gdyby chciał mówić o tym, co pozostaje, kiedy od religijnego szczęścia odejmiemy się religijne szczęście?

Roześmiała się. – *Que c'est drôle! Mais... oui. Oui.*

Pociąg ruszył ze stacji w Burgos. Gregorius czytał dalej.

UM MOZART DO FUTURO ABERTO. MOZART OTWARTEJ PRZYSZŁOŚCI. *Zesłaś po schodach. Jak tysiące razy przedtem patrzyłem, jak widać cię coraz więcej, podczas gdy głowa aż do końca zostaje ukryta za zakrętem schodów. Zawsze uzupełniałem w myślach to, co pozostawało niewidoczne. I zawsze w ten sam sposób. Było wiadomo, kto schodzi na dół.*

Tego ranka było jednak inaczej. Poprzedniego dnia bawiące się dzieci rzuciły piłkę w stronę kolorowego okna i zbiły szybę. Światło na schodach wyglądało inaczej niż zwykle – zamiast złotego, rozmytego światła, przypominającego oświetlenie w kościele, do domu wpadało niezmqcone światło dnia. Stało się tak, jakby to odmienione światło uczyniło wyłom w moich zwykłych oczekiwaniach, jakby gwałtownie otworzyło coś, co wymagało ode mnie nowych myśli. Nagle byłem ciekaw, jak będzie wyglądać twoja twarz. Ta nagła ciekawość mnie uszczęśliwiła, a jednocześnie przestraszyła. Lata minęły, odkąd upłynął czas zabiegającej ciekawości i zamknęły się drzwi za naszym wspólnym życiem. Dlaczego, Fatimo, musiała się zbić szyba, żebym ponownie mógł cię spotkać z otwartym spojrzeniem?

Potem próbowałem tego także z tobą, Adriano. Ale nasza zażyłość stała się ołowiana.

Dlaczego jednak otwarte spojrzenie jest takie trudne? Jesteśmy leniwymi istotami, spragnionymi tego, co znane. Ciekawość jako rzadki luksus na polu przyzwyczajęń. Stać mocno na ziemi i w każdej chwili bawić się otwartymi możliwościami, to byłaby sztuka. Trzeba by być Mozartem. Mozartem otwartej przyszłości.

San Sebastián. Gregorius spojrział na rozkład jazdy. Wkrótce będzie musiał się przesiąść w Irún do pociągu do Paryża. Kobieta założyła nogę na nogę i czytała dalej. Wyjął z zapieczętowanej koperty ostatnią kartkę.

MINHA QUERIDA ARTISTA NA AUTO-ILUSÃO. MOJA UKOCHANA MISTRZYNI W OSZUKIWANIU SIĘ. *Wiele naszych pragnień i myśli pogrążonych jest w ciemności nawet dla nas samych, a czasami pozostali ludzie wiedzą o nich lepiej niż my? Czy ktoś kiedykolwiek uważał inaczej?*

Nikt. Nikt, kto żyje i oddycha z drugą osobą. Znamy się aż po najdrobniejsze drgnienia ciała i słów. Wiemy, a często nie chcemy wiedzieć, co wiemy. Zwłaszcza wtedy, gdy luka między tym, co widzimy, i tym, w co wierzy druga osoba, staje się nieznośnie duża. Wymagałoby boskiej odwagi i boskiej siły, by żyć ze sobą w całkowitej prawdomówności. Tak wiele wiemy, także o nas samych. Nie ma powodu do obłudy.

A jeśli jest ona prawdziwą mistrzynią w oszukiwaniu samej siebie, zawsze o krok przede mną? Czy powinienem stanąć naprzeciwko ciebie i powiedzieć: nie, coś sobie wyobrażasz, naprawdę nie jesteś taka? To pozostałem ci winien. Jeśli byłem ci to winien.

Skąd człowiek ma wiedzieć, co w tym sensie jest winien drugiemu?

Irún. *Isto ainda não é Irún*, to jeszcze nie Irún. To były pierwsze portugalskie słowa, które do kogoś skierował. Przed pięcioma tygodniami, również w pociągu. Gregorius pomógł kobiecie zdjąć walizkę.

Chwilę po tym, jak zajął miejsce w pociągu do Paryża, kobieta minęła jego przedział. Już prawie znikła, ale zatrzymała się, wróciła, zobaczyła go, zawahała się chwilę i weszła. Położył jej walizkę na półce.

Na jego pytanie odpowiedziała, że wybrała ten powolny pociąg, ponieważ chciała przeczytać książkę. LE SILENCE DU MONDE AVANT LES MOTS. Nigdzie nie czyta się jej tak dobrze jak w pociągu. Nigdzie nie jest tak otwarta na nowe idee. Stała się ekspertką od powolnych pociągów. Też jedzie do Szwajcarii, do Lozanny. Tak, przyjazd do Genewy jutro rano. Najwyraźniej oboje wybrali ten sam pociąg.

Gregorius nasunął płaszcz na twarz. On wybrał wolniejszy pociąg z innego powodu. Nie chciał przyjechać do Berna. Nie chciał, by Doxiades sięgnął po słuchawkę, by zarezerwować łóżko w szpitalu. Od Genewy dzieliły go dwadzieścia cztery stacje. Dwadzieścia cztery okazje, by wysiąść.

Zanurkował, wciąż ostro w dół. Rybacy śmiali się, gdy tańczył z Estefanią Espinhosą w kuchni Silveiry. Wszystkie te klasztory, z których wchodziło się do tych wszystkich pustych, rozbrzmiewających echem mieszkań. Ich pełna echa pustka wymazała homeryckie słowo.

Przeraził się. Λίστρον. Poszedł do toalety i umył twarz.

Gdy spał, kobieta zgasiła górne oświetlenie i zapaliła małą lampkę do czytania. Czytała i czytała. Kiedy wrócił z toalety, na krótką chwilę uniosła wzrok i uśmiechnęła się nieobecnie.

Gregorius zasłonił płaszczem twarz i wyobraził sobie czytającą kobietę. *Stałem tu zupełnie przypadkowo, ty stałaś tam zupełnie przypadkowo, między nami kieliszki szampana. Tak było. Nie inaczej.*

Gdy tuż po północy zajechali do Paryża, kobieta powiedziała, że mogą pojechać razem taksówką na Gare de Lyon. LA COUPOLE. Gregorius wdychał zapach jej perfum. Nie chciał do szpitala. Nie chciał wachać szpitalnego powietrza. Powietrza, przez które przebijał się, kiedy odwiedzał

umierających rodziców w dusznych, przegrzanych trójosobowych pokojach, gdzie mimo wietrzenia wciąż pachniało moczem.

Gdy około czwartej nad ranem obudził się pod płaszczem, kobieta spała z otwartą książką na kolanach. Zgasił lampkę nad jej głową. Obróciła się na bok i naciągnęła płaszcz na twarz.

Pojaśniało. Gregorius nie chciał, by jaśniało.

Kelner z wagonu restauracyjnego przyszedł z wózkiem z napojami. Kobieta się obudziła. Gregorius podał jej kubek kawy. W milczeniu patrzyli, jak słońce wynurza się zza delikatnej zasłony chmur. To niezwykle, powiedziała nagle kobieta, że *glória* oznacza dwie tak różne rzeczy: zewnętrzną hałaśliwą sławę i wewnętrzną cichą szczęśliwość. A po chwili: – Szczęście – o czym właściwie mówimy?

Gregorius niósł jej ciężką walizkę przez genewski dworzec. Ludzie w wagonie bez przedziałów rozmawiali głośno i śmiali się. Kobieta dostrzegła jego gniew, wskazała na tytuł swojej książki i roześmiała się. On też się roześmiał. W połowie jego śmiechu głos z megafonu zapowiedział pociąg do Lozanny. Kobieta wstała, zdjął jej walizkę. Spojrzała na niego. – *C’était bien, ça* – powiedziała. Potem wysiadła.

Fryburg. Gregorius się dusił. Wszedł na zamkowe wzgórze i popatrzył na nocną Lizbonę. Płynął promem przez Tag. Siedział u Marii João w kuchni. Szedł przez klasztory Salamanki i słuchał wykładu Estefanii Espinhosa.

Berno. Gregorius wysiadł. Odstawił walizkę i czekał. Gdy ją podniósł i poszedł dalej, czuł się tak, jakby brodził w ołowiu.

52 W zimnym mieszkaniu odstawił walizkę i poszedł do zakładu fotograficznego. Teraz siedział w salonie. Za dwie godziny może odebrać wywołane zdjęcia. Co miał robić do tego czasu?

Słuchawka telefonu nadal leżała odwrotnie na widełkach i przypomniawszy mu o nocnej rozmowie z Doxiadesem. Minęło od niej pięć tygodni. Wtedy

padał śnieg, teraz ludzie chodzili bez płaszczy. Światło nadal było jednak blade, bez porównania bledsze niż światło na Tagu.

Płyta z kursem językowym leżała na adapterze. Gregorius przesłuchał ją. Porównał głosy z głosami w starym lizbońskim tramwaju. Pojechał z Belém do dzielnicy Alfami i metrem dalej do liceum.

Rozległ się dzwonek. Wycieraczka – powiedziała pani Loosli. Zawsze poznaję po wycieraczce, kiedy jest w domu. Podała mu pismo od dyrekcji szkoły, które przyszło poprzedniego dnia. Pozostałą pocztę wysłała już na adres Silveiry. Stwierdziła, że Gregorius blado wygląda. Czy wszystko w porządku?

Gregorius przeczytał wyliczenia w liście od dyrekcji i zapomniał je jeszcze w trakcie czytania. W pracowni fotograficznej zjawił się za wcześnie i musiał czekać. Z powrotem niemal biegł.

Cała klisza tylko z oświetlonymi drzwiami apteki O’Kelly’ego. Niemal zawsze za późno naciskał przycisk. Trzy razy mu się udało i na zdjęciu widać było palącego aptekarza. Zwichrzone włosy. Duży mięsisty nos. Wiecznie przekrzywiony krawat. *Zaczęłam nienawidzić Jorge*. Gregorius pomyślał, że odkąd dowiedział się o historii z Estefanią Espinosa, spojrzenie O’Kelly’ego wydawało mu się podstępne. Podłe. Jak wtedy, gdy w klubie szachowym przy sąsiednim stole przyglądał się, jak Gregoriusa denerwuje obrzydliwy dźwięk, gdy Pedro co kilka minut wciągał smarki.

Gregorius zbliżył zdjęcie do oczu. Gdzie się podziało zmęczone i dobroduszne spojrzenie, które wcześniej widział w tej chłopskiej twarzy? Spojrzenie pełne smutku po utraconym przyjacielu? *Byliśmy jak bracia. Więcej niż bracia. Naprawdę sądziłem, że nigdy się nie utracimy*. Gregorius nie mógł już odnaleźć tych wcześniejszych spojrzeń. *Taka bezgraniczna otwartość po prostu nie jest możliwa. Wykracza poza nasze siły. Istnieje też samotność spowodowana przymusem przemilczenia*. Teraz te inne spojrzenia znowu wróciły.

Czy dusza jest miejscem faktów? Czy też rzekome fakty są tylko złudnymi cieniami naszych historii?, zastanawiał się Prado. Gregorius pomyślał, że dotyczy to również spojrzeń. Spojrzenia nie istniały i były czytane.

Spojrzenia zawsze były *wczytywanymi* spojrzeniami. *Istniały* tylko jako takie.

João Eça o zmroku na balkonie. *Nie zgodzę się na żadne rurki ani pompy. Tylko po to, żeby wszystko trwało kilka tygodni dłużej.* Gregorius poczuł gorącą, palącą herbatę, którą wypił z filiżanki Ecy.

Ze zdjęć pogrążonego w ciemności domu Mélodie nic nie wyszło.

Silveira, który na peronie osłania papierosa od wiatru, by go zapalić. Dziś znowu pojechał do Biarritz, i znowu, jak zawsze, będzie się zastanawiał, dlaczego to dalej ciągnie.

Gregorius raz jeszcze przejrzał zdjęcia. Potem jeszcze raz. Przeszłość zaczęła zamarać pod jego spojrzeniem. Pamięć wybierałaby, aranżowała, retuszowała, kłamała. Sztuczka polegała na tym, że pominięcia, zniekształcenia i kłamstwa byłyby później nierozróżnialne. Nie istniał punkt widzenia poza pamięcią.

Zwykle środowe popołudnie w mieście, w którym spędził całe życie. Co miał z nim począć?

Słowa muzułmańskiego geografa El Edrisiego o końcu świata. Gregorius wyjął kartki, na których przetłumaczył jego uwagi o Finisterre na łacinę, grekę i hebrajski.

Nagle wiedział już, co chce zrobić. Chciał sfotografować Berno. Utrwalić to, z czym żył przez te wszystkie lata. Budynki, uliczki, place, które były czymś znacznie więcej niż tylko kulisami jego życia.

W sklepie fotograficznym kupił kliszę i do zmierzchu chodził ulicami Länggasse, na których spędził dzieciństwo. Teraz, gdy spoglądał na nie pod różnymi kątami z uwagą fotografa, były zupełnie inne. Fotografował aż do uśnięcia. Czasami budził się i nie wiedział, gdzie jest. Gdy potem siedział na skraju łóżka, nie wiedział już, czy zdystansowane, kalkulujące spojrzenie fotografa było właściwym spojrzeniem, by przywłaszczyć sobie świat życia.

W czwartek dalej robił zdjęcia. Na stare miasto pojechał wyciągiem z Universitätsterrasse i wybrał drogę przez dworzec. W ten sposób mógł ominąć plac Bubenberg. Zapewniał kliszę po kliszy. Katedrę ujrzał taką, jakiej nie widział nigdy wcześniej. Ćwiczył w niej organista. Po raz

pierwszy od przyjazdu pojawiły się zawroty głowy i Gregorius przytrzymał się mocno kościelnej ławki.

Zaniósł klisze do wywołania. Gdy potem szedł na plac Bubenberg, czuł się tak, jakby nabierał rozbiegu do czegoś wielkiego, trudnego. Przystanął przy pomniku. Słońce znikło, nad miastem piętrzyło się równomiernie szare niebo. Oczekiwał, że poczuje, czy może znowu dotknąć placu. Nie czuł tego. Nie było tak jak wcześniej i nie jak podczas krótkiej wizyty przed trzema tygodniami. Jak było? Ogarnęło go zmęczenie i obrócił się, by odejść.

– Jak się panu podobała książka złotnika słów?

To był sprzedawca z hiszpańskiej księgarni. Podał Gregoriusowi dłoń.

– Czy spełniła to, co obiecywała?

Gregorius odparł, że tak, całkowicie.

Powiedział to sztywno. Księgarz zauważył, że nie ma ochoty rozmawiać, pożegnał się więc szybko.

W kinie Bubenberg zmienili program, ekranizacja Simenona z Jeanne Moreau została zastąpiona innym filmem.

Gregorius czekał niecierpliwie na wywołanie klisz. Na ulicy pojawił się Kägi, rektor. Gregorius schował się w wejściu do sklepu. *Są chwile, gdy moja żona wygląda tak, jakby się rozpadała*, napisał Kägi. Teraz była w klinice dla nerwowo chorych. Rektor wyglądał na zmęczonego i zdawał się nie dostrzegać, co się dzieje wokół. Przez chwilę Gregorius czuł chęć, by z nim porozmawiać. Potem uczucie minęło.

Odebrał zdjęcia, usiadł w restauracji w hotelu Bellevue i otworzył koperty. Były to obce zdjęcia, nie miały z nim nic wspólnego. Włożył je z powrotem do koperty i w czasie posiłku na próżno próbował stwierdzić, czym było to, czego oczekiwał.

Na schodach do mieszkania chwyciły go potężne zawroty głowy, musiał przytrzymać się obiema rękami poręczy. Potem cały wieczór siedział przy telefonie i wyobrażał sobie, co się stanie, gdy zadzwoni do Doxiadesa.

Za każdym razem, gdy zasypiał, czuł strach, że zapadnie w zawroty głowy i nieświadomość i obudzi się bez wspomnień. Kiedy nad miastem

powoli jaśniało, zebrał całą odwagę. Stał przed gabinetem Doxiadesa, nim pojawiła się jego asystentka.

Greki nadszedł kilka minut później. Gregorius czekał na gniewne zdumienie z powodu nowych okularów. Grek jednak tylko na chwilę zmrużył oczy, wszedł przed nim do gabinetu i kazał sobie opowiedzieć wszystko o nowych okularach i zawrotach głowy.

W końcu powiedział, że nie widzi żadnego powodu do paniki. Ale konieczne będzie przeprowadzenie wielu badań i przez jakiś czas obserwacja w szpitalu. Sięgnął po słuchawkę, potem zawahał się i spojrzał na Gregoriusa.

Gregorius odetchnął kilka razy, po czym skinął głową.

Zostanie przyjęty w niedzielę wieczorem, powiedział Grek, gdy odłożył słuchawkę. Dodał, że daleko by szukać lepszego lekarza.

Gregorius szedł powoli przez miasto, mijając liczne budynki i place, które niegdyś były dla niego ważne. Tak było dobrze. Zjadł tam, gdzie jadał zwykle, i wczesnym popołudniem poszedł do kina, w którym jako uczeń po raz pierwszy oglądał film. Film go nudził, ale nadal pachniało tak jak wtedy, został więc do końca.

W drodze do domu spotkał Natalie Rubin.

– Nowe okulary! – powiedziała na powitanie.

Oboje nie mieli pojęcia, jak powinni się zachować. Od rozmów telefonicznych upłynęło wiele czasu i przypominały teraz tylko echo snu.

Tak, powiedział, bardzo możliwe, że ponownie wyjedzie do Lizbony. Badania? Nie, nie, tylko drobny problem z oczami.

Natalie stwierdziła, że utknęła z nauką perskiego. Pokiwał głową.

Na zakończenie spytał, czy przyzwyczaili się do nowego nauczyciela.

Roześmiała się. – Na miły Bóg, ale nudziarz!

Oboje obrócili się po kilku krokach i pomachali sobie.

W sobotę Gregorius spędził wiele godzin, biorąc do ręki łacińskie, greckie i hebrajskie książki. Oglądał liczne uwagi na marginesach i zmiany, jakie w ciągu dziesięcioleci przeszedł jego charakter pisma. Ułożył na stoliku mały stosik książek, które postanowił zabrać do szpitala. Potem zadzwonił do Florence i spytał, czy może ją odwiedzić.

Poroniła i kilka lat temu wycięto jej guza. Nowotwór nie wrócił. Pracowała jako tłumaczka. Nie była wcale tak zmęczona i przygaszona, jak myślał niedawno, gdy widział ją wracającą do domu.

Opowiedział o klasztorach w Salamance.

– Wtedy nie chciałeś – stwierdziła.

Skinął głową. Roześmiali się. Nie powiedział o szpitalu. Gdy w drodze powrotnej zbliżał się do mostu Kirchenfeld, pożałował tego.

Obszedł dookoła ciemne gimnazjum. Przypomniała mu się hebrajska Biblia, która leżała w biurku senhora Cortesa owinięta jego swetrem.

W niedzielę przed południem zadzwonił do João Eça. Eça spytał, co ma teraz robić po południu, czy Gregorius może mu to powiedzieć.

Gregorius odparł, że idzie dziś wieczorem do szpitala.

– To nie musi nic znaczyć – powiedział Eça po chwili. – A jeśli nawet – nikt nie może tam pana zatrzymać.

W południe zadzwonił Doxiades i zaproponował, żeby przyszedł na partię szachów, potem zawiózłby go do szpitala.

Po pierwszej partii Gregorius spytał Greka, czy nadal myśli o tym, by wszystko rzucić. Ten odparł, że tak, często o tym myśli. Ale może to minie. W przyszłym miesiącu jedzie do Salonik, nie był tam ponad dziesięć lat.

Skończyli drugą partię i nadszedł czas.

– Co będzie, jeśli odkryją coś poważnego? – spytał Gregorius. – Coś, przez co utracę siebie?

Greki popatrzył na niego. Było to spokojne i mocne spojrzenie.

– Mam blok receptowy – powiedział.

W milczeniu pojechali o zmierzchu do szpitala. *Życie nie jest tym, co przeżywamy, jest tym, co wyobrażamy sobie, że przeżywamy*, napisał Prado.

Doxiades podał mu dłoń. – To prawdopodobnie nic takiego – powiedział. – A lekarz, jak już mówiłem, jest najlepszy.

Przed drzwiami szpitala Gregorius obrócił się i pomachał. Potem wszedł. Gdy zamknęły się za nim drzwi, zaczęło padać.

Przypisy

[1] Marek Aureliusz, *Rozmyślania*, przeł. Marian Reiter, Warszawa 1997.

[2] Wszystkie cytaty z Biblii wg Biblii Tysiąclecia.